

Robert Liparulo

PRZYBYWA JEŹDZIEC

Comes a Horseman

Tłumaczenie:

Barbara Nowakowska

CZEŚĆ I

KOLORADO

Umrzeć - to będzie wielka przygoda

J.M. Barrie, *Piotruś Pan*

O, jakże chciałbym być Antychrystem!

Percy Bysshe Shelley

1.

5 lat temu

Asia House, Tel Awiw, Izrael

Czekał, przyciskając twarz do rozgrzanego metalu, a pistolet wrzynał mu się w plecy. Przyszło mu do głowy, żeby wyciągnąć broń zza paska i położyć koło siebie lub nawet trzymać w dłoni, ale kiedy nadejdzie czas, będzie musiał działać szybko, więc nie chciał, by mu przeszkadzała. Był tam już od dobrej chwili, na długo zanim na przyjęcie zaczęli przybywać pierwsi goście. Sądząc z dochodzących dźwięków, na trzecim piętrze wysokiego budynku zebrał się niemały tłumek. Głosy ludzi przepływały przez szyb wentylacyjny, odbijając się echem od metalowych ścian i dobiegały do jego uszu w postaci mieszaniny falujących tonów przerywanej co jakiś czas piskliwym śmiechem. Zamykał oczy na dłuższą chwilę i usiłował wsłuchać się w rozmowę, jednak, czy to z powodu zniekształcenia, czy obcego języka, nie był w stanie rozróżnić nawet pojedynczych słów.

Luco Scaramuzzi uniósł głowę, odrywając policzek od niewielkiej plamy potu, i po raz setny spojrzął przez kratkę o wymiarach sześćdziesiąt na sześćdziesiąt centymetrów znajdującą się pod nim. Na marmurowej posadzce, tam, gdzie kropla potu spłynęła z czubka jego nosa, zanim zdążył ją obetrzeć, nadal widać było małą plamkę. Gdyby ta plamka była środkiem tarczy zegara, ustęp znajdowałby się na godzinie dwunastej, umywalka i toaleta na drugiej, a drzwi - tuż poza polem widzenia Luca - na trzeciej. Pomimo że przestronne pomieszczenie zostało zaprojektowane jako pojedyncza toaleta, ustęp po obu stronach osłonięty został zapewniającym dyskrecję przepierzeniem kasztanowego koloru. To dzięki tym osłonom Luco mógł zsunąć się z szybu wentylacyjnego, nie będąc widzianym przez osobę stojącą przy umywalce - czyli przez swój cel. Owionął go podmuch wiatru o ostrym zapachu, który wywołał u niego skręt kiszek, aż mężczyzna musiał złapać oddech przez kratę. W budynku mieściło się kilka ambasad, galeria sztuki i restauracja - to oznaczało wystarczająco dużo ludzi, jedzenia i odpadków, żeby wytworzyć istic obrzydliwe opary. Kiedy system chłodzący nie pracował, temperatura w szybach mimo nocnej pory podnosiła się do letniego upału i przeróżne wonie grasowały w kanałach wentylacyjnych jak stado wściekłych psów. Potem włączał się klimatyzator, przeganiając zapachy i zamrażając

warstewkę potu na jego ciele.

Arjan ostrzegł go przed takimi rzeczami. Wyjaśnił, że tajne operacje wymagają poddawania organizmu i zmysłów działaniu czynników, których ludzie rozsądni zwykli unikać: skrajnie wysokich i niskich temperatur; długiego bezruchu w najbardziej niewygodnych miejscach i pozycjach; kontaktu z insektami, gryzoniami i rozkładającymi się odpadami. Doradził mu, by skupiał się na pojedynczym przedmiocie i myślał o czymś przyjemnym, aż powróci równowaga umysłu.

Wzrok Luca padł na buteleczkę perfum stojącą na toalecie. Wyobraził sobie ich zapach, a potem siebie, jak wdycha go, jednocześnie odgarniając włosy z zagłębienia szyi o oliwkowym odcieniu i wargami wyczuwa puls.

Usłyszał dźwięk otwieranych drzwi toalety i cofnął się w osłonę ciemności. Wstrzymał oddech, potem wypuścił powietrze, usłyszawszy stukanie kobiecych obcasów. W zasięgu wzroku pojawiły się buty, potem nogi i w końcu cała postać. Naturalnie była elegancko ubrana. Przede wszystkim wymagał tego charakter przyjęcia, a ponadto było to pomieszczenie zarezerwowane dla szczególnych gości - celu, jego rodziny i świty - czyli dla ludzi, po których można się spodziewać najwyższej staranności w wyglądzie. Kobieta przystanęła przed toaletką i przelotnie spojrzała w lustro, po czym podeszła do kabiny. Odwróciwszy się, zadarła suknię. Rajstopy i bielizna powędrowały w dół przytrzymywane dwoma kciukami, po czym kobieta usiadła.

Przepierzenie przesłaniało Lucowi widok jej kolan i ud, a podczas odwiedzin w toalecie dwóch innych uroczych dam dowiedział się, że choćby nie wiem, jak daleko wyciągał szyję, ten fakt pozostawał niezmienny. Leżał więc bez ruchu i obserwował twarz kobiety. Miała urodę modelki, wielkie zielone oczy, wyrzeźbione kości policzkowe i wargi zbyt pełne, by mogła je stworzyć natura. Gdy skończyła, spuściła wodę i podeszła do umywalki, gdzie znalazła się całkowicie poza zasięgiem wzroku. To upewniło go, że plan został dobrze przemyślany. Po umyciu rąk przez chwilę majstrowała coś przy umywalce - poprawiając zapewne makijaż - po czym wyszła.

Czekał na szczęknięcie zapadki we framudze zamykanych drzwi. Dźwięk się nie rozległ... Ktoś przytrzymywał drzwi. Męskie buty i nogi odziane w spodnie wkroczyły bezgłośnie do środka, pojawiając się w polu widzenia. Luco wstrzymał oddech.

Uważaj na ochroniarza, przestrzegł go Arjan. Wejdzie się rozejrzeć. Może spuścić wodę w toalecie i odkręcić kran przy umywalce, ale sam z niczego nie skorzysta. Następny, który wejdzie, to twój człowiek.

Rzecz jasna rozpoznałby swój cel, ale te kilka sekund wyprzedzenia pozwoliło, by

jego umysł ze stanu czujności przeszedł w gotowość do działania.

Teraz zobaczył ochroniarza. Był to goryl o kwadratowej szczęce wciśnięty w garnitur od Armaniego. Strażnik podszedł do toaletki, by kolejno zlustrować wszystkie flakoniki i pędzle. Przyklęknął na jedno kolano ze swobodą, o jaką Luco nigdy by go nie posądził, po czym zajrzał pod umywalkę i blat. Toaleta została już wcześniej tego dnia dokładnie sprawdzona, ale nikt nie lubi niespodzianek. Na myśl o tym, Luco się uśmiechnął.

Podniósłszy się znów na nogi, ochroniarz rozejrzał się po pomieszczeniu. Jego wzrok powędrował w stronę kratki. Luco wycofał się jeszcze głębiej, z trudem powstrzymując się od gwałtownego ruchu mogącego wywołać trzask metalu, na którym leżał, albo skrzywienie gipsowych kasetonów na suficie łazienki. Wyobraził sobie, jak ochroniarz bada wzrokiem śruby, którymi, jak się zdawało, była przykręcona kratka. W rzeczywistości były to tylko nakrętki przyklejone w miejscach, skąd Luco usunął prawdziwe śruby. Teraz kratka przytrzymywana była tylko pojedynczym drutem.

Strażnik sprawdził ustęp, wyściełaną ławeczkę naprzeciwko umywalki i wąską szafkę przy drzwiach, pustą poza kilkoma zapasowymi ręcznikami do rąk i dodatkowymi rolkami papieru toaletowego. Poruszał się szybko i sprawnie. Musiał to robić już niezliczoną liczbę razy - pewnie nawet we śnie - nigdy nie spodziewając się ujrzeć cokolwiek, co uzasadniłoby jego obecność. Tym razem również nic takiego nie znalazł. Jego szef był przecież dobrodusznym premierem demokratycznego kraju, który miał niewielu wrogów. Powodem zamachu musiałyby być raczej osobista uraza, nie kwestia polityczna.

Albo przeznaczenie, pomyślał Luco. Przeznaczenie.

Ochroniarz powiedział coś przyciszonym głosem do osoby stojącej w holu.

Drzwi zamknęły się ze szczęknięciem zatrasku. Zasunięto zamek. Cel pojawił się w polu widzenia. Wysączył bursztynowy płyn z kryształowej szklanki, postawił ją na skraju toaletki i głośno beknął. Grzebał przy swoich spodniach, a Luco zauważył, że pokaźny brzuch zasłaniał mężczyźnie rozporek, co mogło stanowić problem, biorąc pod uwagę rozliczne haczyki i guziczki nierzadko spotykane przy spodniach od dobrych krawców. Cel nie zamknął drzwi kabiny. Stał przed ustępem, spodnie i bokserki owinięte miał wokół kostek, a biodra wysunięte do przodu, żeby lepiej celować, zupełnie tak, jak u sikającego dziecka.

Wprawny zabójca mógłby zrobić to już teraz, po prostu by się cofnął i strzelił przez kratę w głowę celu. Rzecz jasna mógł to zlecić takiemu zawodowcowi. Arjan podjąłby się tego zadania, a nawet sam poprosił o przydział.

Ale to muszę być ja. Jeśli nie zrobię tego osobiście, wszystko na nic.

Wobec tego wymogu Arjan zabrał się do przygotowania swojego szefa na ten

moment, załatwił transport i alibi, zdobył terminarze i plany budynku. Wymógł też na nim pięć miesięcy treningu z jednostkami specjalnymi Incursori. Dali mu niezły wycisk, a także wtłoczyli do głowy znajomość balistyki i anatomii, wyszkolili w walce w bezpośrednim kontakcie, wyuczyli, jak być czujnym i działać z ukrycia - przynajmniej na tyle, na ile było to możliwe w tak krótkim czasie. Jak wyjaśnił Arjan, użycie karabinu snajperskiego nie wchodziło w grę ze względu na termin.

- Trzeba nie lada biegłości, żeby zastrzelić człowieka z prawie trzystu metrów! - zachnął się. - To nie tak, jak na filmach, stary. Trzeba lat treningu, żeby zabić jednym strzałem. A drugiej szansy mieć nie będziesz, zgadza się?

Zgadza.

I w ten sposób w mrocznym umyśle Arjana przestawiona została zwrotnica oznakowana tabliczką „zabójstwo z bliska”, wysyłając Luca torem wiodącym do tego szybu wentylacyjnego, a jego dłoń prowadząc na drut przytrzymujący kratkę. Powoli odwiązał go z wystającej śruby. Potem przypomniał sobie instrukcje Arjana i zwinął go w pętlę.

Niesłabnący strumień moczu męczyzny upewnił go, że ma jeszcze przynajmniej kilka sekund. Luco wyjął zwilżoną ściereczkę z plastikowej torebki. Wytarł nią twarz, oczyszczając okolice oczu z potu i kurzu. Poczul się odświeżony. Arjan twierdził, że pośpiech i mit wojownika walczącego pomimo przeciwności stały się przyczyną klęski niezliczonych misji. „Pot zalewający oczy to utrudnienie. Jeśli możesz mu zaradzić, zrób to!”, rozkazał.

Ściereczką z drugiej torebki wytarł twarz do sucha. Czuł wilgoć swoich dłoni pod ciasnymi kuchennymi rękawiczkami, ale to i tak lepsze niż trzymać pistolet oraz drut spoconymi rękami. Rękawiczki chirurgiczne, jak się dowiedział, były zbyt cienkie i nie zapobiegały zostawianiu odcisków palców. A od wejścia do wyjścia musiał mieć na dłoniach rękawiczki - Arjan nie pozostawił co do tego najmniejszych wątpliwości. Właściwie kazał Lucowi nosić je przez cały ostatni tydzień treningu.

Cel podciągnął spodnie i zaczął wtykać poły koszuli za pasek. Kiedy okrążył przepierzenie i stanął przed umywalką, Luco nagłym szarpnięciem uwolnił śrubę z drutu i kratka opadła. Przymocowana do drutu linka przesunęła się między jego kciukiem i palcem wskazującym, aż zatrzymała się na suple przytrzymując kratkę o kilka centymetrów od ściany.

Woda popłynęła z kranu przy umywalce.

Unosząc się na silnych ramionach, Luco ustawił się bezpośrednio nad otworem. Zeskoczył na posadzkę, ruchem nóg amortyzując uderzenie. Gdy tylko gumowe podeszwy jego butów dotknęły marmuru, ugiął kolana, dzięki czemu udało mu się wylądować niemal

bezglóśnie. Ciągłe skulony wyjął pistolet zza paska. Był to typ china 64, wiekowy, ale doskonale nadający się do tej roboty. Lufa nie była dłuższa niż u innych typów broni ręcznej, ale posiadała tłumik; zamkową część lufy dało się zablokować - tak jak teraz - co tłumilo odgłosy wyrzutu pocisku i ponownego napełniania komory, właściwe broni półautomatycznej. Do tego dzięki pociskom poddźwiękowym kalibru 7,65 mm był to najcichszy pistolet, jaki kiedykolwiek zrobiono.

Stanął za plecami celu, który pochylał się nad umywalką, ochlapując sobie twarz wodą. Doskonale. Zamek blokujący oznaczał, że miał tylko jeden strzał. Następny wymagałby przynajmniej pięciu sekund przygotowań. To wieczność, kiedy ranna ofiara miota się, wrzeszcząc, a ochroniarze próbują wykopać drzwi. Jego celem było natychmiastowe obezwładnienie... śmierć na miejscu. Znaczyło to, że nabój musi przerwać rdzeń mózgowy, a to najłatwiej było osiągnąć, atakując z tyłu. Wycelował pistolet w orientacyjny punkt, gdzie głowa ofiary miała się znaleźć po wyprostowaniu.

Jednak mężczyzna ciągle schylony sięgnął po ręcznik, strącił go na ziemię i wyciągnął rękę, by go podnieść. Kątem oka dostrzegł Luca i zwrócił się do niego twarzą. Nie odrywając oczu od pistoletu, unióś rękę w geście kapitulacji. Potem popatrzył z uwagą na twarz intruza. Skonsternowany zamrugął oczami i otworzył usta.

Wie, że już kiedyś mnie widział, pomyślał Luco.

- *Ti darò qualsiasi cosa oppure* - zapewnił. - Dam ci wszystko.

Mówił ściszym głosem, najwyraźniej wierząc, że dzięki współpracy uniknie śmierci.

- *Sono sicuro che lo farai* - odparł Luco. - Wiem o tym.

Robiąc krok naprzód, przytknął lufę do zagłębienia między nosem a górną wargą mężczyzny - lekko, jakby w geście namaszczenia - i pociągnął za spust. Głowa odskoczyła do tyłu. Mózg, krew i fragmenty kości natychmiast oblepiły lustro za nim, a dziesiątki pęknięć pokryły taflę, rozchodząc się z centralnego punktu, gdzie uderzył pocisk. Cudem żaden z odłamków nie odpadł. Odgłos ledwie przebijał się przez szum płynącej z kranu wody. Luco chwycił ciało, zanim zdołało upaść, i delikatnie ułożył je na posadzce.

Wtedy uderzył go ten zapach, jakby ktoś wepchnął mu w nozdrza kawał mięsa. Stał, starając się oddychać. Coś odkleilo się od lustra i z mokrym odgłosem wylądowało na blacie. Lucowi zebrało się na wymioty. Przykrył usta dłonią i siłą woli opanował odruch. Nie odrywając ręki, przyglądał się jatce: mózg i krew rozprysnięte na lustrze i blacie, coraz większa krwawa plama wokół głowy ofiary, wypływająca z niej strużka wijąca się w kierunku kratki ściekowej obok ustępu, twarz wykrzywiona przerażeniem, otwarte usta,

wysunięty język, wytrzeszczone oczy.

Chciał to zapamiętać.

Wrócił pod otwór wentylacyjny, podskoczył i podciągnął się w powrotem do szybu. Mógł stanąć na ławce, ale zależało mu na tym, by opóźnić pościg choćby o kilka sekund. Nie chodziło o czas, który ochroniarze straciliby na przesuwanie ławki, ale o dezorientację wynikającą z nieznamomości oczywistego kierunku ucieczki. Najpierw wezmą śrubokręt (albo odstrzelą nakrętki). Potem wyszarpną kratkę przytrzymywaną drutem o dużej wytrzymałości. W końcu dostaną się do wnętrza szybu i natknąwszy się na fałszywą metalową ściankę, którą umieścił za sobą, podążą w przeciwnym kierunku.

W sześć minut po zamachu wygramolił się z szybu za stertą pudeł w magazynie. Wypadł przez drzwi, przebiegł dwa kroki korytarzem i już schodził wąską i ciemną klatką schodową dla służby, rzadko używaną, od kiedy w latach siedemdziesiątych zainstalowano windy. Wyszedł w kuchni trzy piętra niżej. Natychmiast chwyciły go jakieś ręce, zdzierając z niego okrwawiony kombinezon.

- Szybko - wyszeptał po włosku młody mężczyzna. Jego głowa kręciła się we wszystkie strony, kiedy zdejmował ubrania.

Luco ściągnął gumowe rękawiczki, po czym energicznie potarł dłonie. Otworzył szczyryk i przeciął ostrzem sznurówki. Młody mężczyzna - Luco zapamiętał, że ma na imię Antonio - szarpnięciem zdjął mu buty i nałożył na nogi parę drogich półbutów dopasowanych do garnituru. Wszystko powędrowało do aktówki. Antonio otarł jego twarz i włosy mokrym ręcznikiem.

- Aaa - jęknął Luco ze skargą, trąc oko.

- Płyn do naczyń. Najlepszy na krew.

Antonio wrzucił ręcznik do aktówki, wyjął grzebień i przeciągnął nim po włosach Luca.

- Chodź.

Powiódł go do ciężkich drzwi przeciwpożarowych na tyłach budynku i dał mu sygnał, żeby czekał. Otworzył je i wysunął się na zewnątrz. Po piętnastu sekundach był z powrotem i gestem wywołał Luca na zewnątrz.

Od Asia House ciągnęła się długa uliczka wciśnięta między dwa wysokie budynki. Jedyne oświetlenie stanowiła lampa rtęciowa na przecznicy, gdzie kończyła się alejka. Cała reszta tonęła w ciemnościach. Przytrzymując drzwi stopą, Antonio wskazał koniec uliczki.

- Samochód stoi na Henrieta Sold.

Luco chwycił młodego mężczyznę za ramię i potrząsnął. Przysunął się bliżej.

- Grazie.

- Dla ciebie wszystko - szepnął w odpowiedzi Antonio.

Luco wszedł w mroczną uliczkę, a stukot jego obcasów niósł się cichym echem.

Drzwi zamknęły się za nim. Uśmiechnął się.

Było po wszystkim.

I dopiero się zaczęło.

2.

Obecnie

Garrisonville, Wirginia

Chłopiec miał włosy swojej matki, ciemne, delikatne i lśniące. Brady Moore przesunął dłoń po głowie syna, czując, jak miękkie kosmyki wymykają się spomiędzy jego palców niczym strumyki wody. Twarz Zacha była odwrócona; oddychał głęboko i rytmicznie. Spał albo zasypiał. Siedząc obok syna zwrócony plecami w stronę wezgłowia, Brady delikatnie odchylił się, uniósł nogi i położył je na łóżku.

Coś, co na pierwszy rzut oka przypominało brązową perukę leżącą na narzucie w nogach Zacha, poruszyło się. Następnie z jednej strony włochatego kłęбка pojawiła się głowa i obróciła w jego stronę. Był to Coco, w przekonaniu Brady'ego najbardziej oddany shi tzu, chluba swojej rasy, i zarazem nieodłączny towarzysz Zacha od czasów niemowlęcych. Mężczyzna uniósł palec do ust. Zwierzak wysunął różowy język z pyszczkopodobnego otworu w kłębowisku futra i wpatrywał się tylko w mężczyznę ślepiami z lekka wyłupiastymi i zezowatymi zarazem. Po chwili psia głowa na powrót wtopiła się w jednolity kształt.

Brady zamknął trzymaną na kolanach książkę i odłożył ją na nocny stolik. Odsunął na bok żołnierza G.I. Joe razem z jego zabawkowym sprzętem wojennym: mikroskopijną menażką, plastikowym karabinem M16 i czymś, co przypominało połowę radiostację. Słyszając brzęknięcie plastiku o ramkę stojącego na stoliku zdjęcia, Brady zatrzymał wzrok na twarzy widniejącej na nim kobiety. Ładnej twarzy. Nie... raczej pięknej. Cechy Indian Czikasawów, przodków jej ojca, w niezwykle tyglu etnicznym przemieszane z teutońskim pochodzeniem matki dały prawdziwie zniewalający efekt. Nie tylko w sensie zewnętrznego piękna, choć początkowo to właśnie jej uroda zwróciła uwagę Brady'ego. Smągła cera świadczyła o niezwyklej temperamencie. Wysokie kości policzkowe, wąski nos, sarnie oczy. Kształt twarzy i układ rysów skłaniał obserwatora do bliższego przyjrzenia się, podobnie jak niektóre przysmaki - jak choćby szwajcarska czekolada - zapraszają do delektowania się ich smakiem. Potem ujawniała się jej osobowość, inteligencja i ironiczny humor... Niektórych natura szczególnie hojnie obdarzyła zaletami, zaś najlepsi z nich nie zdawali sobie sprawy z wrażeń, jakie wywierali na innych.

To właśnie Karen. Jest tak...

Brady zatrzymał się. Nawet w osiemnaście miesięcy po jej śmierci wciąż myślał o niej w czasie teraźniejszym. Poczul dobrze znane ukłucie bólu w sercu i ścisk w gardle.

- Myślisz o mamie?

Dobiegający go głos brzmiał tak sennie i nierealnie, że dopiero po dobrej chwili Brady zdał sobie sprawę, że nie dochodzi z wnętrza jego głowy.

Odwrócił się i zobaczył syna, który przyglądał mu się przez ramię. Cała Karen. Oprócz włosów również oczy, podobnie jak jej, miały głęboką barwę polerowanych ziaren kawy. Zach odziedziczył po matce również nie całkiem pełne wargi, których kąciki zakręcały nagle ku górze, sprawiając wrażenie uśmiechu, nawet kiedy nie był zamierzony. To właśnie ten nieprawdziwy uśmiech - u matki oczywiście, nie u syna, który wtedy był siedem lat przed poczęciem - spowodował, że Brady odłączył się od przyjaciół stojących w kolejce do kasy kinowej i podszedł do tej pięknej czarnowłosej dziewczyny. Spytał ją, czy mógłby usiąść w kinie obok niej, zapewniając, że jest świetnym towarzyszem przy oglądaniu filmów, śmieje się, kiedy trzeba, a do tego poczęstuje ją popcornem. Cóż z tego, że wcale nie wybierała się na Nietykalnych. Nie wiedział, jaki film chciała zobaczyć, i nie robiło mu to różnicy. Dopiero po zaręczynach dowiedział się, że wcale się do niego nie uśmiechała. Ale jego śmiałość w nawiązaniu kontaktu z dziewczyną bez cienia jakiegokolwiek zachęty zaintrygowała ją na tyle, że odparła: „Jasne, nigdy nie odmawiam, gdy proponują darmowy popcorn”. Jak zaskakująco toczą się nasze losy. Mieli wtedy po siedemnaście lat.

Brady pochylił się nad chłopcem, podpierając się jedną ręką.

- Hej, myślałem, że śpisz - wyszeptał.

- A czy ona o nas myśli?

- Cały czas. - Przyniósł się bliżej. - To jeszcze nic. Ona na nas patrzy.

Twarz Zacha rozjaśnił uśmiech. Taki prawdziwy, nie tylko bezwiedny trik kącików ust. Brady nie miał pojęcia, jak się to chłopcu udaje. On sam, trzydziestotrzyletni mężczyzna balansował nieustannie na krawędzi otchłani, jakiegoś załamania, którego cierpień nie mógł sobie wyobrazić i z którego najpewniej już by się nie wydźwignął. Dziewięcioletni Zach trzymał się znacznie lepiej. Owszem, były potoki łez w chwilach smutku, którego żadne dziecko nie powinno doświadczać. Jednak na co dzień funkcjonował dobrze, wybuchał zdrowym śmiechem, dopytywał się ciekawie o niemowlęta, urządzenia elektroniczne i samoloty, a tylko czasem zadawał zbyt dojrzałe na jego wiek pytania na temat śmierci, umierania czy życia pozagrobowego. Błogosławieństwo nieświadomości? A może coś innego sprawiało, że Zach potrafił żyć dalej? Tak czy inaczej Brady bardzo się z tego cieszył.

- Ma mnie na oku, kiedy cię nie ma? Na przykład w szkole albo kiedy... wyjeżdżasz?

Podróże służbowe Brady'ego były drażliwym tematem. Oczy Zacha wciąż były zaczerwienione od wcześniejszego wybuchu płaczu z powodu wyjazdu planowanego na następny dzień.

- Właśnie - potwierdził Brady. - Cały czas.

- A jeśli mama widzi, że dzieje się coś złego, to może temu zapobiec?

Brady zastanawiał się przez chwilę.

- Myślę, że wtedy szepcze nam do ucha. Mówi na przykład: „Nie wychodź jeszcze na ulicę. Poczekaj, aż samochód przejedzie”. Albo: „Nie wspinaj się na drzewo. Jedna gałąź jest złamana”.

Zach pokiwał głową. Oczywiście, że mama by tak powiedziała.

- Odbierzesz mnie jutro ze szkoły? - zapytał.

- Nie, pani Pringle po ciebie przyjedzie.

Zach się skrzywił. Leżący w nogach łóżka Coco jęknął przez sen, jakby potwierdzał opinię swojego pana.

- O co chodzi? Przecież ją lubisz.

- No tak... - zawahał się. - Ale ona tak wolno jeździ, że nie zdążymy na Scooby-Doo.

- I tak powinienes odrabiać lekcje. Albo bawić się na powietrzu, dopóki jest ciepło.

- No tak, ale tato... Scooby-Doo.

Brady dobrze wiedział, jak bardzo chłopiec lubił tę kreskówkę. Swego czasu razem z Zakiem wypożyczali stare odcinki i cały wieczór oglądali przygody Scooby-Doo i Shaggy'ego z duchami, goblinami i różnymi innymi zjawami. Karen nigdy nie podzielała ich zainteresowania i od czasu jej śmierci Brady nie miał ochoty na takie atrakcje, nawet razem z Zakiem. Chłopiec sam oglądał więc powtórki i po każdym odcinku na powrót stawał się energicznym czwartoklasistą. Zanim Brady zdążył zareagować, Zach mówił dalej.

- A poza tym ona jest taka stara, ma chyba ze sto lat.

- Niezupełnie, ale nawet gdyby tak było, to co z tego?

Chłopiec zmarszczył nos.

- I tak dziwnie pachnie.

Nie dało się zaprzeczyć. Pani Pringle była wdową po siedemdziesiątce i pachniała, jakby czas poza godzinami z Zakiem spędzała obłożona naftaliną. Jej umysł jednak nie stracił ostrości, więc mimo powolności w działaniu była w pełni zdolna do wykonywania wszystkich czynności koniecznych przy opiece nad chłopcem. W środowe poranki Brady odprowadzał syna na przystanek autobusowy. Po szkole Zach szedł do świetlicy razem z kilkoma

kolegami, których rodzice oboje pracowali lub których wychowywało tylko jedno z rodziców. Jeszcze półtora roku wcześniej Brady'emu przez myśl by nie przeszło, że jego syn będzie należeć do tej drugiej grupy.

Wiedział, że niektórzy rodzice pozwalają dzieciom zostawać samymi w domu na te parę godzin między końcem lekcji a powrotem z pracy. Brady pracował jednak jako przedstawiciel prawa już dość długo, by wiedzieć, że dzieci zostawione same w domu częściej narażają się na niebezpieczeństwo - przez nieostrożność i łatwowierność w internecie, zabawy z ogniem czy kontakty z nieznanymi - i padają ofiarami wypadku czy przestępstwa. Kiedy więc musiał pracować do późna - a nie zdarzało się to często - zastępowała go pani Pringle. Może i była powolna oraz nieco woniejąca, ale Brady'emu wydawała się istotą zesłaną z niebios.

- Jak wrócę - powiedział Brady - to wypożyczymy sobie Scooby-Doo i będziemy oglądać, aż nam oczy wypadną. Zgoda?

Zach się rozpromienił.

- We dwójkę?

- No pewnie - zapewnił po krótkiej chwili.

- Z tobą?

Brady roześmiał się cicho, jakby to było niemądre pytanie, choć oczywiście wcale nie było.

- Ze mną - odparł.

- Dobra! - Natychmiast rozbudzony Zach usiadł na łóżku. - A kiedy wrócisz?

- Za kilka dni. Może za tydzień.

Twarz chłopca wydłużyła się.

- Dopiero? Czemu musisz wyjeżdżać? Nie może pojechać ktoś inny?

- To moja praca, Zachary. Inni wykonują swoją.

- A będzie tam pani Wagner?

Brady wiedział, że Zach lubi jego partnerkę Alicję Wagner.

- Już jest na miejscu. Biuro postanowiło wysłać nas tam za późno i nie zdążymy zbadać miejsca zbrodni zanim miejscowa policja... się nim zajmie.

- To znaczy zanim je zdepta.

Brady nie był pewien, czy podoba mu się to, że jego syn tak dobrze orientuje się w sposobie pracy, żargonie i procedurach FBI.

- Właśnie. Więc nie muszę się aż tak spieszyć. Zrobimy, co się da, zbadamy dowody i mam nadzieję, że następnym razem zdążymy wcześniej.

- Masz nadzieję, że będzie następny raz? - zapytał Zach.

Dzieciak był bystry.

- Nie, oczywiście, że nie. Chodzi mi o to, że jeśli przestępca znów zaatakuje, mam nadzieję, że zjawimy się tam szybciej i będziemy mogli pomóc.

Zach pokiwał głową.

Brady pochylił się, rozsunął palcami grzywkę chłopca i pocałował go w czoło.

- A teraz do spania, olbrzymie - powiedział. - Do zobaczenia rano.

Kiedy wstawał, Zach chwycił jego rękę.

- Możemy się pomodlić?

Brady zawahał się. Karen zapoczątkowała ten rytuał. Opał z powrotem na łóżko i powiedział:

- Ty to zrób.

Chłopiec zamknął oczy i zaczął mówić cichym i łagodnym głosem.

Brady zauważył ciepłą poświatę, którą lampka nocna rzuciła na twarz Zacha. Nigdy wcześniej nie przyglądał się synowi, ale teraz chłonął wzrokiem każdy szczegół i rejestrował go w pamięci, by móc go przywołać podczas rozłąki. Pomiedzy splecionymi dłońmi Zach ścisnął swój wyświechtany koczek z czasów niemowlęcych, który już raz oddał w wieku czterech lat. Krótco po pogrzebie Karen zdarzyło mu się kilka razy zmoczyć łóżko i znów zaczął z płaczem prosić o swój stary koczek. Na szczęście Karen, zorganizowana i sentymentalna zarazem, przechowywała go w pudle opisanym „Dziecięce zabawki Zachary’ego”. Nocne wypadki ustały, ale Zach był teraz bardziej przywiązany do wytartego koca niż kiedykolwiek wcześniej. Pani Pringle nieustannie łątała pled, a zwłaszcza przyszywała jego jedwabną lamówkę, którą chłopiec bezwiednie pocierał palcami w chwilach zmęczenia lub zmartwienia.

Moczenie łóżka, przywiązanie do kocyka, lgnięcie do Brady’ego - u Zacha były to oznaki udreki. Brady na cierpienie reagował inaczej - robił się gniewny i posępny. Stawał się również skrajnie sceptyczny w kwestii tak zwanego porządku wszechświata. Poczucie, że można w jakikolwiek sposób kształtować przyszłość to stek bzdur. Ilu absolwentów najbardziej prestiżowych uniwersytetów kończy, smażąc hamburgery? Brady osobiście znał jednego, który swojego losu nie zawdzięczał własnej nieudolności, ale ułomności wszechświata. Brady’emu zdarzyło się również oglądać rozbudowany system ochrony domu, skąd właśnie porwano dziecko. A czy codzienne ćwiczenia i zdrowe odżywianie mogło ochronić przed uderzeniem samochodu prowadzonego przez pijaka? Karen na własnej skórze poznała odpowiedź na to pytanie. „Sprawiedliwość” oznacza porządek, a życie nie jest

sprawiedliwe.

W polu widzenia pojawiła się twarz Zacha.

- Tato?

Oczy i uwaga Brady'ego z powrotem skupiły się na synu.

- To było świetne - powiedział. - Dziękuję.

Zach nie wyglądał na przekonanego.

- Będę za tobą tęsknić - szepnął tylko.

Brady przyciągnął go do siebie i przytulił.

- Ja za tobą też, synku.

Ułożył głowę chłopca na poduszce i zgasił lampkę. Już w drzwiach obejrzał się. Światło z korytarza wlało się do pokoju, wkradło na łóżko i utworzyło szeroką prostokątną plamę w poprzek przykrytej sylwetki. Od klatki piersiowej w górę postać chłopca pogrążona była w mroku.

- Tato - głos Zacha dobiegł go z ciemności.

- Hm?

- Kogo teraz ścigasz? Co on zrobił?

Brady zastanowił się nad odpowiedzią.

- Coś bardzo złego, Zach. Trzeba go złapać, kimkolwiek jest.

Zapadła cisza. Brady przymknął drzwi, jednak zatrzymał się. Podeszedł do łóżka i znów usiadł, wywołując kolejne głośne westchnienie Coco. Teraz widział zarys twarzy Zacha.

- Nie martw się - powiedział. - Będę bardzo uważać. Na pewno wrócę.

Zdawał sobie sprawę, że to nierozważna obietnica. Nikt nie mógł mieć stuprocentowej pewności, że wróci cały i zdrowy ze spaceru po okolicy, a co dopiero z pościgu za seryjnym mordercą. A jednak strata matki uprzytomniła Zachowi przypadkowość i nagłość śmierci. Brady zrobiłby, co w jego mocy, by złagodzić zmartwienia chłopca. Przyjaciel rodziny podarował mu książkę o tym, jak wspierać dziecko w przypadku straty rodzica. Autor radził, by uświadamiać dziecku, że i drugie z rodziców może w każdej chwili „odejść”. Brady wyrzucił książkę do kosza.

Zach wyciągnął do ojca ramiona i jeszcze raz się przytulił.

- Musisz wrócić - powiedział.

3.

Palmer Make, Colorado

Dzikię zwierzę jak cień przemykało się wśród drzew. Z łatwością pokonywało przeszkody, prześlizgując się między gałęziami, które muskały jego futro. Sącące się poprzez konary światło księżycy tworzyło migotliwą feerię blasku i cienia, jednak zmysły drapieżnika były wyostrzone jak zawsze. Wyczuwał wszystko: królika kryjącego się w norze na sąsiedniej łące; niedawno pozostawione odchody łani, która jednak teraz była już daleko. Jego towarzysze po obu stronach dotrzymywali mu kroku, zwinni i pewni swojej siły. Trzydzieści kroków w tyle podążał ich pan, z chrzęstem depcząc leżące gałązki i omijając przeszkody. Zwierzę wyczuło cel, jeszcze zanim go zobaczyło, ludzki zapach, woń nory człowieka. Ogień. Wiedziało, że zmierzają w stronę ognia, dopiero teraz jednak zauważyło dym. Drapieżnik rozwarł pysk, nabierając w płuca chłodne powietrze, po czym wypuścił je z niskim, gardłowym warkotem.

Chłonąc powietrze z przewodu kominowego, płomienie wgryzały się w drewno, a natrafiwszy na szczególnie suche miejsce, rozjarzały się przelotnie. Ogień ogrzewał nagie ramiona siedzącej na dywanie w salonie Cynthii Loeb ubranej w letnią bluzkę i szorty. Dodawała właśnie ostatnie pociągnięcia pędzlem, wykańczając dzieło, które miało zaistnieć na eBay jako „ręcznie malowany kosz na śmieci autorstwa światowej sławy artystki”. No cóż, „światowej sławy” to lekkie nadużycie, przyznała się sama przed sobą, zataczając pędzlem spirale między dwiema bryłkami farby na palcu. Temu przyływowi szczerości towarzyszył grymas ust. Ale dzięki popularności sprzedaży internetowej jej rękodzieło gościło w łazienkach na całym świecie. Nawet jeśli wszystko, czym mogła się poszczycić, to tylko kilkaset transakcji ledwie mogących opłacić przyzwoity posiłek, to cóż z tego? Jej nazwisko nie było może znane tylu osobom co, dajmy na to, nazwisko Julii Roberts, ale to już tylko kwestia ilościowa. Skinęła głową zadowolona z tej myśli i nałożyła płamę oranżu wokół krwistoczerwonych płomieni.

Gwałtownie podniosła głowę na odgłos dobiegający z sypialni z tyłu domu. Nasłuchiwała, ale rozbrzmiewało tylko trzaskanie ognia. Odgłosy z zewnątrz należały do rzadkości tak daleko od drogi, która była zresztą mało uczęszczaną drogą gruntową. Niekiedy

jakiś komiwojażer trafiał wprawdzie do stojących na uboczu domów rozrzuconych na wzgórzach na zachód od miasteczka, jednak nigdy o - tu spojrzęła na stojący na kominku zegar - nigdy o 23.20. Poza tym zauważyłaby reflektory, gdyby na podjazd wjechał samochód. Doszła więc do wniosku, że po prostu ogień wydał niecodzienny odgłos, i wróciła do swego zajęcia.

Odłożyła pędzel i ujęła kosz w dłonie, jedną ręką podtrzymując go od spodu, drugą od wewnątrz. Odsunawszy go od ostrego światła lampy podłogowej, przyglądała się grze ciepłej poświaty ognia na połyskującym jeszcze farbą widoczku. Skinęła głową.

- Dzisiaj chustki do nosa, jutro wystawa w Luwrze - powiedziała głośno i podskoczyła. Znow coś usłyszała, właśnie w momencie wypowiedzenia ostatniej sylaby. Ciche skrzypienie, jakby otwierane okno lub szuranie buta po podłogowych deskach.

Powoli opuściła kosz na ziemię i mrużąc oczy, wpatrywała się w wejście do hallu z tyłu domu. Stanowiło ciemny trójkąt w rogu pokoju. Rozkrzyżowała nogi i wstała z grymasem bólu, rozprostowując uda i dolną część pleców. Jak to miała w zwyczaju, pod nosem przeklęła swojego byłego, obiboka, który zabrał jej najlepsze lata życia i zostawił w momencie, gdy do Cynthii zaczęło docierać, że ani „brzuski”, ani kremy przeciwzmarszczkowe nie powstrzymają upływu czasu. On zapewne zdał sobie z tego sprawę nieco wcześniej. Przynajmniej dostała dom.

Zrobiła krok w stronę hallu. Dochodzący stamtąd odgłos budził raczej zdziwienie niż przestrasz. Ciche stuk, stuk, stuk, stuk, stuk, stuk - stawało się coraz szybsze i głośniejsze. Coś, co wydawało ten odgłos, sunęło przez hall w stronę salonu.

Tuż za jej plecami rozbrzmiał dzwonek telefonu. Serce jej zamarło, a z ust wyrwał się cichy okrzyk przerażenia. Skamieniała wpatrywała się w mroczne wyjście do hallu. Zapadła cisza... którą nagle rozdarł ponowny dzwonek telefonu, bezlitośnie szarpiąc nerwy Cynthii. Nie spuszczać wzroku z drzwi, wycofała się w stronę stolika, namacała słuchawkę i podniosła ją do ucha.

- Halo? - wyszeptała.

- Cynthia! Nie widziałam cię w niedzielę w kościele - rozbrzmiał nieco płaczliwy głos, jakby nieobecność Cynthii była osobistym afrontem. Należał do Marcie, niby-przyjaciółki, która potrzebowała nieustannych zapewnień, że znajomi wciąż ją cenią niezależnie od pory dnia. - Przyniosłam ci tę książkę, którą...

- Chyba ktoś jest w domu.

- Gdzie? U ciebie? Ktoś jest u ciebie w domu?

- Chyba ktoś się włamał. - Oczy Cynthii zaczęły teraz lustrować pokój w

poszukiwaniu czegoś, co mogło posłużyć za broń.

- Jesteś pewna?

- Powiedziałałam chyba.

- Słyszysz go? Ktoś chodzi po domu?

- Słyszałam... Chyba słyszałam pazury... Stukot pazurów po podłodze.

- Niedźwiedź!

Marcie mieszkała w mieście.

- Nie, Marcie. Raczej pies.

- Pies? Wielkie nieba!

Cynthia już wyobrażała sobie kolejnych pięć rozmów telefonicznych Marcie: „Cynthia Loeb twierdzi, że pies włamał się jej do domu. Poza tym nie przyszła do kościoła w niedzielę. Biedactwo, chyba nie jest z nią najlepiej”.

- Mam zadzwonić po policję?

Po policję? Przeszło jej to przez myśl. Znała wdowy i rozwódki tak bardzo spragnione czyjejs troski, że rozpaczliwie szukały sytuacji, w których ktoś poświęca im czas i uwagę. Świat jest pełen ludzi o niezaspokojonych potrzebach. Nie chciała być taką osobą.

- Nie - odszepnęła. - Jeszcze nie teraz. Ale możesz zostać przez chwilę na linii?

- Dobrze. Co chcesz zrobić? Nie możesz przecież...

Cynthia położyła słuchawkę na ilustrowanym magazynie. Okrążyła kosz, przekroczyła paletę pełną niewykorzystanych farb i bokiem przysunęła się do kominka, gdzie podniosła ze stojaka ciężki żelazny pogrzebacz. Gorące powietrze owionęło jej nogi, kiedy szła powoli w stronę hallu. Dom pogrążony był w ciszy, jeśli nie liczyć trzaskania płomieni i metalicznego głosu Marcie dobywającego się ze słuchawki. Odwagi dodawał jej ciężar pogrzebacza w dłoni oraz, co trudno wytłumaczyć, świadomość, że przyjazna osoba czeka przy telefonie na jej powrót. Weszła do hallu.

Minęła próg kuchni i szeroki otwór w ścianie będący wejściem do jadalni. Hall nikał w cieniu. Słaba poświata lampki dozownika do wody przy lodówce okalała wejście do kuchni i sączyła się do hallu. Pod wpływem światła źrenice Cynthii zwężyły się na tyle, że cienie wydawały się czarniejsze. Naraz usłyszała dyszenie, jakby cienie ożyły. Głębokie i rytmiczne wdechy i wydechy.

- Kto to? - zawołała, zde gustowana słabością swojego głosu. Odchrząknęła. - Kto tam? - Już lepiej.

Stuk, stuk, stuk, stuk, stuk, stuk.

Z cienia wyłoniło się zwierzę z błyszczącymi zielono ślepiami. Pies... albo wilk.

Mimo potarganej czarnoszarej sierści na jego grzbiecie Cynthia zauważyła siłę potężnych mięśni barków i łędzwi. Zwierzę pochyliło głowę, a jego ślepia w czarnych obwódkach, lekko przysłonięte brwiami o jaśniejszym odcieniu, utkwione były w kobiecie. W wydłużonym pysku lśniły kły. Uniesione wargi zadrgały, odsłaniając czarne jak heban dziąsła, a z gardła dobył się warkot.

- Uciekaj! - wrzasnęła Cynthia i dźgnęła powietrze pogrzebaczem.

Zwierzę natychmiast podskoczyło dwa razy i rzuciło się na nią. Poczula, że powietrze rozsadza jej płuca, kiedy łapy uderzyły w jej w klatkę piersiową, popychając ją do wewnątrz pokoju, w stronę drzwi wejściowych. Zawadziła biodrem o stół, gdzie leżały klucze, i runęła na podłogę razem ze zwierzęciem i stołem. Owionął ją smród jak z klatki dla małp i poczuła na sobie oddech bestii o zapachu gnijącego mięsa. Mdłości ścisnęły jej żołądek. Zasłoniła gardło, spodziewając się ataku zwierzęcia. Jednak ono cofnęło się. Kobieta usiadła. Poczula wilgoć na brodzie i otarła ją ręką. To nie krew, pomyślała, z ulgą patrząc na lśniąca powierzchnią dłoni. Skóra była mokra od śliny - nie wiedziała: jej czy napastnika.

Zwierzę odgradzało ją od ognia, kontury włochatej sylwetki okolone były biało-żółtą poświatą. Podniosła pogrzebacz, który zadygotał w jej drżącej dłoni jak wahadło sejsmografu. Drapieżnik nie spuszczał z niej oka.

Podniosła się na nogi ze zduszonym jękiem.

- Sio! - wrzasnęła wściekle.

Ponownie usłyszała stukot i kątem oka zauważyła ruch. Drugi wilk-pies wyłonił się z cienia hallu. Zanim zdążyła zareagować, już był w powietrzu. Szczęki zwierzęcia zacisnęły się na nadgarstku jej wyciągniętej ręki. Wypuściła z dłoni pogrzebacz, który z łomotem upadł na podłogę, odbiwszy się jeszcze o drzwi.

Wzdłuż jej ramienia wystrzelił ból i doszedłszy do gardła, zamienił się w przeszywający krzyk. Ręka opadła pod ciężarem zwierzęcia. Na nosie drapieżnika zauważyła czerwień. Zdała sobie sprawę, że to jej krew tryska z głębokiej rany, barwiąc pysk zwierzęcia, i spływa na podłogę. Zachwiała się, ale nie upadła. Nagle druga ręka zapłonęła przeraźliwym bólem. Pierwszy wilk chwycił ją zębami, starając się dostać do nadgarstka. Cynthia usiłowała strząsnąć z siebie bestie, młóćąc ramionami, ale zwierzęta okazały się zbyt ciężkie. Szczęki unieruchomiły jej kości i mięśnie w żelaznym uścisku. Rozpaczliwe starania sprawiły tylko, że potknęła się o lampę i przewróciła ją na podłogę. Żarówka pękła i pokój rozświetlał już tylko migotliwy blask ognia.

Mroczone kształty zatańczyły w całym pomieszczeniu. Dopiero po chwili dotarło do niej, że cień jednej z bestii jest w istocie trzecim zwierzęciem. Wilk stał w progu, przednimi

łapami w pokoju, tylnymi wciąż w hallu, i obserwował jej daremne wysiłki. Pozostałe dwa przestały szarpać i miażdżyć jej nadgarstki, wciąż jednak trzymając krwawiące ręce w żelaznych kleszczach. Słabnąc z bólu, jęknęła, patrząc na przyglądające się jej zwierzę i pochyliła do przodu, potem znów do tyłu.

Stłumiony dźwięk jej imienia dotarł do niej z oddali. Wzniosła oczy do sufitu oczekując, że ten rozplynie się olśniony blaskiem sięgającej po nią Bożej ręki. Znowu jej imię... i powróciło poczucie rzeczywistości. Głos dobiegał ze słuchawki leżącej na stoliku.

- Marcie! - krzyknęła. - Mar...

Trzeci wilk wszedł do pokoju. Tuż za nim wkroczył mężczyzna. Nie był wysoki, za to niewiarygodnie umięśniony, a szerokość barków potęgowały jeszcze zwierzęce skóry zwisające z ramion i spięte na przedzie. Nie było widać, gdzie kończy się futrzane okrycie, a zaczyna człowiek. Bujna broda i wąsy w kolorze rdzy spływały z jego twarzy, zmierzwione włosy zwisały luźno odgarnięte jednak tak, by nie zasłaniały oczu. Szerokie, piękne oczy pozbawione były cienia uczuć. Głęboko pobrużdżona, zimna, beznamietna twarz przypominała lodowiec. Nie był stary, sprawiał tylko wrażenie zniszczonego życiem. Usta były cienką szczeliną, opadające kąciki wyrażały, jak się wydawało, nie gniew czy irytację, ale zacięłą nieustępliwość. Ciężka koszula pod futrzanym okryciem ściągnięta była pasem z surowej skóry. Spodnie opinały masywne nogi i ginęły w wysokich butach. Cynthia uznała, że cała postać była nie na miejscu - nie tylko w jej domu, ale w jej czasach, w jakichkolwiek czasach od wielu pokoleń. To wywołało w jej głowie jeszcze większy zamęt, potęgując poczucie nierzeczywistości sytuacji.

Widok przedmiotu, który intruz zaciskał w prawej dłoni, sprawił, że szerzej otworzyła oczy. Drewniany trzonek, jakby kija bejsbolowego, był gładki, wypolerowany od częstego używania. Mężczyzna poruszył się i ogień oświetlił sporych rozmiarów metalową płaszczyznę przytwierdzoną do drewna. Patrzyła na topór. Napastnik trzymał go bezwiednie, jak się trzyma aktówkę lub nosi zegarek. Niedbały sposób traktowania broni tchnął w nią pewną nadzieję.

- O co... - zaczęła, ale ucichła, widząc jego nagły ruch. Podszedł do niej i wznosił topór nad głowę. Lewa ręka powędrowała w górę i chwyciła za drugi koniec styliska. Wilk wydał z siebie przeciągły charkot podniecenia, kiedy ostrze spadało, rozcinając powietrze jak płomień ognia, który odbijał się w tafli metalu. Gwałtownie nabrała powietrza, ale nie zdążyła krzyknąć, zanim topór sięgnął jej szyi.

Psy zwolniły uścisk, a napastnik patrzył, jak ciało kobiety upada, dygocząc. Na podłodze spoczęło na boku, brocząc krwią. Usłyszał cienki głos i zobaczył, że słuchawka

telefonu została zdjęta z widełek. Nie wypuszczając topora z ręki, podszedł do stolika, podniósł ją i nasłuchiwał.

- Cynthia, co to było? Cynthia? Dzwonię po policję! Cynthia!

Głębokim głosem z silnym obcym akcentem powiedział:

- Ona nie żyje, idiotko.

Potem delikatnie odłożył słuchawkę i powrócił do czekającego go zajęcia.

4.

Stojąc pośrodku zaciemnionego salonu, Brady Moore nasłuchiwał odgłosów domu. Było cicho. Wyczuwał niecodzienną mieszankę zapachu kurzu i środków czyszczących. Nie był tak pedantyczny jak jego żona i z niechęcią myślał o tym, jak wielkie koty z pewnością zebrały się pod meblami. Niedługo trzeba je będzie zabrać do weterynarza i zaszczepić przeciw wściekliznie. Uśmiechnął się. Zachowi to by się spodobało.

Światło księżycy połyskiwało na przejrzystych zasłonach zwisających wzdłuż trzech szyb sporego wykuszu okiennego. Poniżej znajdowała się wygodna wyściełana ławka, na której jednak nigdy nie siadywał. Godzinę przed położeniem się spać lubił się przechadzać po domu. Początkowo, ponad rok temu, często zmieniał trasę. Ostatnio jednak podążał zawsze tą samą ścieżką: z salonu do jadalni, kuchni, gabinetu... potem wzdłuż korytarza, przez niewielki hall i z powrotem do salonu, gdzie rozpoczynał kolejną pętlę. Sto osiemdziesiąt cztery kroki. Dziesięć niespiesznych okrążeń. Mnóstwo czasu na myślenie.

Jak to miał w zwyczaju, przed rozpoczęciem wieczornego spaceru odwiedził barek, który stanowił główne źródło unoszącego się w pokoju zapachu cytrynowej pasty do polerowania. Schylił się, otworzył drzwiczki i wyjął kryształową karafkę burbona i jedyną kryształową szklankę, jaką zwierał kredens. Postawił je na marmurowym blacie. Razem z Karen rzadko pili alkohol, a gdy już się to zdarzyło, wybierali zazwyczaj wino, czasem piwo. Ale teraz było inaczej. Przekonywał się, że to środek leczniczy. Pomaga zasnąć. Tylko na dwa palce.

Jako psycholog kryminalny znał aż za dobrze zagrożenia płynące z szukania pocieszenia w butelce. Wlał bursztynowy płyn do szklanki z fatalizmem narkomana wstrzykującego sobie narkotyk, o którym wie, że kiedyś go zabije. No dobra, cztery palce. Nie musi przecież wypić do dna. Pociągnął łyk i poczuł, jak płomień rozlewa się w jego żołądku. Przynajmniej jeszcze do tego nie przywykł. Wybrał burbona, bo miał obrzydliwy smak, to jakby ssać deski starej beczki. Nie chciał, żeby mu smakowało.

Ze szklanką w dłoni odetchnął głęboko i postawił pierwszy ze 184 kroków.

Przenikliwy hałas budzika przedarł się przez mgielkę otulającą jego głowę, podrywając go do pozycji siedzącej. Z zamkniętymi oczami sięgnął po niego, ale go nie namacał. Zresztą dźwięk i tak ucichł. Zastanowiło go to na ułamek sekundy. Zanim jego

przyćmiony umysł osunął się na powrót w nieświadomość, hałas rozległ się znowu. Dobiegał z jego klatki piersiowej. Nie, raczej z kieszeni koszuli. I nie był to budzik, tylko telefon. Gorączkowym ruchem dobył go z kieszeni i otworzył oczy. Leżał rozparty na kanapie w salonie. Na zewnątrz wciąż było ciemno, ale księżyc, który wcześniej nadawał zasłonom srebrzystą poświatę, zniknął. Dom wypełniała nadnaturalna ciemność, bezświatlna strefa czekała na pierwsze włączenie lampy.

Brady utkwiał wzrok w jaśniejącym ekranie telefonu. Słowa były niewyraźne, a ekran zbyt ostro podświetlony. Zamknął jedno oko i przysunął telefon do twarzy. Odczytał nazwisko Alicii Wagner i rozpoznał jej numer telefonu. Wcisnął klawisz.

- Halo? - powiedział, starając się ukryć fakt, że jego język spuchł do absurdalnych rozmiarów i porósł włosiem. Cisza. - Halo?

Spojrzał na telefon. Wcisnął nie ten przycisk, co trzeba, odrzucając połączenie przychodzące. Oczywiście. Jego głowa wykonała obrót ze skrzypieniem ścięgien i dostrzegł prawie pełną kryształową szklankę usadowioną na skórzanym oparciu sofy. Nie pamiętał, która to dolewka, ale miał graniczące z pewnością przeczucie, że przekroczył granicę czterech palców. Podskoczył, gdy telefon w jego dłoni zadzwonił jeszcze raz. Skoncentrował się, wcisnął przycisk „odbierz” i powtórzył powitanie.

- Czy właśnie się rozłączyłeś? - głos Alicii katował jego bębenek.

- O co ci chodzi? - chciał, żeby w jego głosie zabrzmiało oburzenie, a nie zamroczenie, i udało się.

- Chyba jakaś przerwa w połączeniu. Te komórki. Obudziłam cię? Głupie pytanie. Mam nadzieję, że nie obudziłam Zacha.

Znajdowała się w stanie podniecenia, który zawsze wywołany był pracą. Coś się działo.

- Która godzina?

- Yyy... 1.10 mojego czasu. U ciebie dziesięć po trzeciej.

Brady opuścił telefon, by wcisnąć przycisk zmniejszający głośność. Kiedy znów przysunął go do ucha, usłyszał:

- ...uwierzysz w to? Tak szybko?

- Co szybko?

- Brady! Gdzie ty jesteś? Przecież ci mówię, że on znowu zaatakował! Już po dwóch dniach od ostatniego. Poczekaj...

Usłyszał sygnał klaksonu i pisk opon.

- Alicia...

Za moment była z powrotem, kontynuując przerwana myśl.

- Przedtem przerwa trwała cztery dni. Jeśli ten gość zaczyna działać coraz szybciej... nie chcę myśleć, co będzie dalej.

- Gdzie jesteś?

- W drodze na miejsce zbrodni i ty też lepiej wyruszaj! Słuchaj, musisz przyjechać natychmiast.

- Mój bilet...

- Jest to niczego. Miałeś lecieć do Denver, prawda? Potem jechać do Fort Collins? Zmień kurs na Colorado Springs, potem jedź na północ, w stronę sąsiedniego miasteczka. Czeka.

Szelest papieru. To mapy, jak podejrzewał Brady. Odzyskiwał jasność umysłu. Już jedna dawka Alicii tak na niego działała.

- Tam są dwa miasteczka - powiedziała. - Palmer Lake. Czeka. Kiedy tu będziesz?

- Jak złapię lot, a wyjdę za godzinę...

- Masz rację, za późno. Będziesz najwcześniej za dwie godziny. Miejscowi czekają już tam na mnie i nie skaczą z radości. Nic nowego, nie? W każdym razie muszę zacząć, jak tylko tam będę. Zadzwoń, jak wylądujesz, to cię pokieruję.

- Jak...

Przerwał mu elektroniczny sygnał.

Taka właśnie była Alicia: o czym tu jeszcze gadać? Właściwie cała rozmowa mogła się zawrzeć w jednym zdaniu: „Natychmiast przyjeżdżaj i zadzwoń do mnie”. Na szczęście była w rozmownym nastroju. W swoim obecnym stanie pewnie uznałby, że mu się przyśniło, i wrócił do spania. Ale kontakt z Alicią trwający dłużej niż parę chwil działał jak potrójne espresso wypite jednym haustem.

Potał twarz dłońmi. Nawet odgłos zarostu na skórze zdawał się hałasem.

Niedobrze, pomyślał po raz enty. Wyobraził sobie, jak będzie wyglądał za dziesięć lat: pięćdziesiąt kilo cięższy, policzki i nos pokryte czerwonymi plamami, popijający w ukryciu, jednak z widocznymi efektami, ledwie utrzymujący posadę w Biurze dzięki fuksowi i litości zwierzchników. Co gorsza Zach już wtedy darzyłby go nienawiścią za te wszystkie mecze bejsbola, na których tato się nie zjawił, za wszystkie sytuacje, gdy chłopiec musiał wykazać się odpowiedzialnością, na którą ojca nie było stać, za zmarnowane weekendy i lata. Nie, do tego nie dojdzie, ale Brady uświadomił sobie, że mogłoby.

Wydarto mu to, co miał w życiu najcenniejszego, ale nie zamierzał rezygnować z tego, co mu zostało. Po raz pierwszy jednak naprawdę zrozumiał, dlaczego życiowe tragedie

popychały ludzi w otchłań goryczy i rozpacz, w głębię beznadziei. Kto tego nie przeżył, nie jest w stanie sobie wyobrazić powabu tej otchłani, która daje rozgrzeszenie za to, że my wciąż żyjemy, przynosi odrętwienie zamiast bólu i poczucie, że pławiąc się w niej, wygrażasz żalosalną pięścią zimnemu, nieczulemu światu. To zapewne jest wyjaśnieniem picia i zdecydowanie niekorzystnych zmian w słownictwie, jakie u siebie zauważył. Zamacza stopę w otchłani, sprawdza.

Wejdz do wody! Jest świetna!

Bogu dzięki, że ma Zacha. Gdyby nie on, Brady już dawno dałby nura. Ale najpierw musiał znaleźć bydlaka, który staranował jego żonę, kiedy uprawiała jogging. „Pobiegnę tylko do parku i na śniadanie będę z powrotem”. Najpierw musiał go wytropić i rozwalić mu łeb...

Brady potrząsnął energicznie głową, jakby chciał strząsnąć pasożyta wżerającego mu się w czaszkę.

Spróbował się skupić na myśli o zimnym prysznicu i podniósł się z sofy. Zaraz opadł na nią z powrotem. Ekspres do kawy marki Alicia potrafił świetnie rozewrzeć ołowiane powieki i zastartować połączenia synaptyczne, ale otrząsnąć się po dojmującym wspomnieniu jima beama - to już znacznie trudniejsze zadanie. Przypomnił sobie o puszcze red bulla w lodówce. To już dobry początek. Dźwignął się na nogi i nieco chwiejnym krokiem skierował do kuchni.

- Zachary?

Brady delikatnie potrząsnął śpiącym chłopcem. Zach chciał się przewrócić na drugi bok, ale Brady przyciągnął go do siebie. Chłopiec zatrzepotał rzęsami i spojrzał spod przymrużonych powiek, choć do pokoju wpadało tylko przyćmione światło z korytarza. Uśmiechnął się.

- Ładnie pachniesz - powiedział.

Brady wziął prysznic, ogolił się i ze szczególną starannością wyszorował zęby z alkoholowego osadu. Skropił się wodą Lagerfeld Photo, którą dostał od Zacha w prezencie na gwiazdkę dwa lata wcześniej.

- Dzięki. - Odgarnął włosy z twarzy chłopca. - Jeszcze za wcześnie, żeby wstawać, ale muszę już jechać. Pani Wagner dzwoniła.

Zach się rozbudził.

- Znowu to zrobił? Znowu kogoś zabił?

- Tak, i teraz mamy najlepszą okazję, żeby się więcej o nim dowiedzieć.

- Dowody zebrane w ciągu dwudziestu czterech godzin od popełnienia zbrodni mają

decydujące znaczenie dla śledztwa - wyrecytował Zach rzeczowo.

- Otóż to.

Chłopiec zastanowił się przez chwilę, po czym z poważną miną spojrzał uważnie ojcu w oczy.

- Złap go.

Brady skinął głową. Miał dwa powody, żeby się starać. Po pierwsze, by oczyścić świat z robactwa, które go toczy, a po drugie, by usprawiedliwić rozstanie z synem przez czynienie dobra. Te dwa motywy wydawały się jednym i tym samym, jednak dla chłopca i jego ojca u progu rozłąki były tak rozdzielne jak miłość do rodziny od miłości, którą darzy się przyjaciół.

Uściskali się i pocałowali na pożegnanie. Potem Brady pochylił się nad Coco zwiniętym w nogach łóżka i wtulił twarz w sierść zwierzęcia.

- Opiekuj się Zacharym - nakazał psu, który natychmiast przeturlał się na grzbiet, domagając się drapania po brzuchu. Brady go nie zawiódł. - Słyszysz? W razie czego masz apteczkę i komórkę, Coco?

Zach uśmiechnął się szeroko.

Brady wstał.

- Zostawiam cię w dobrych rękach... a właściwie łapkach. Pani Pringle będzie tu za parę minut, chociaż skoro jest tu Coco, to może zadzwonię do niej i powiem, że nie musi przyjeżdżać.

- Tak!

Brady znów spojrzał na psa.

- Co mówisz? - zapytał. Przysunął się bliżej, nasłuchując psich sekretów. Coco trącił go łapą, zachęcając do dalszych pieszczot, na co Brady skinął. - Ach tak? - Zwrócił się do Zacha. - Coco chce, żeby pani Pringle została. Jak ty jesteś w szkole, to obsypuje go przysmakami i drapie po brzuszku.

Zach poddał się.

- No dobra, może zostać, ale tylko tak długo, jak Coco będzie chciał.

- Zgoda. - Przybili sobie piątkę. Brady zasalutował, stojąc w progu, po czym zamknął drzwi.

W korytarzu oparł się ciężko o ścianę. Spełnił obowiązek. Pożegnanie przebiegło w pozytywnym tonie. Ale głowa dosłownie mu pękała.

5.

Pulsujące światła unosiły się jak zbląkane statki na mrocznym sosnowo-osikowym oceanie. Czerwone i niebieskie plamy ściagały się wzdłuż nieprzeniknionych murów z kory i igieł. Panel świetlny na jednym z trzech wozów patrolowych był przekrzywiony i ukośne trajektorie wysyłanych promieni przyprawiały Alicię siedzącą za kierownicą wypożyczonego samochodu o lekki zawrót głowy. Zwolniła, by przyjrzeć się scenie: wozy policyjne i nieoznakowane samochody ustawiły się po lewej stronie wąskiej alejki w jednej linii przerwanej tylko długim, niewybrukowanym podjazdem. Wstępu bronił jeden funkcjonariusz, opierający się, na wpół siedząc, na masce najbliższego auta z papierosem w palcach, o którym najwyraźniej zapomniał. Przez przednią szybę zobaczyła grymas na jego twarzy. Jakieś pięćdziesiąt metrów w głębi alejki mieszkańcy ukrytych przed wzrokiem okolicznych domów kręcili się bez celu, ciekawscy i niespokojni.

Wycofała samochód, po czym ustawiła się za ostatnim wozem w rzędzie, beżowym sedanem na rządowych rejestracjach. Kiedy wysiadła, czerwony piasek usunął jej się spod stóp i ratując się przed upadkiem, musiała wskoczyć do głębokiego na blisko metr rowu irygacyjnego. Przynajmniej nie było tam wody. Przyszły jej do głowy węże i czym prędzej wygramoliła się na nasyp, chwytając się tylnego błotnika swojego samochodu. Przypomniały się jej grupowe wypady w plener, na których nauczyła się pić i odczytywać męskie zamiary - tylko migające światła nie pasowały do obrazka. Te zazwyczaj pojawiały się później, niedługo przed świtem.

Wyciągnęła z bagażnika skórzany neseser w kształcie kuli i postawiła go na ziemi, następnie dźwignęła ciężką walizę i długi uchwyt zarzuciła sobie na ramię. Pasek wrzynał się jej w ciało i marszczył tkaninę bluzki. Zatrzasnęła klapę bagażnika i z neseserem w dłoni ruszyła w stronę podjazdu oraz młodego człowieka w szarym mundurze policji hrabstwa El Paso.

Kiedy zobaczył, jak Alicia z mozołem kroczy w jego stronę, zsunął pośladek z samochodu i poprawił pas. Głęboko zaciągnął się papierosem. W miarę jak się zbliżała, jego wargi coraz bardziej rozciągały się w ironicznym uśmiechu. Dobywała się spomiędzy nich smużka papierosowego dymu, przez co usta wyglądały, jakby właśnie w tej chwili wycinano je laserem.

Alicia słyszała pochwały swojej urody wystarczająco często, żeby uwierzyć komplementom, chociaż stało się to dla niej raczej przekleństwem niż błogosławieństwem. Metr siedemdziesiąt wzrostu, ogromne zielone oczy, pełne usta i niewielki, lekko zadarty nos. Proste blond włosy opadały ukośnie na czoło i spływały na ramiona. Któryś z zapomnianych dawnych chłopaków powiedział, że jest żywym obrazem Ariel z Małej syrenki, może z wyjątkiem koloru włosów. W szkole średniej zaprzestała używania makijażu, by przyciągnąć zainteresowanie chłopców. Teraz nakładała go oszczędnie po prostu po to, by poczuć się bardziej kobieco. Bóg świadkiem, że „miała w sobie więcej z chłopaka niż z dziewczyny”, jak zwykł mawiać jej ojciec na widok żaby schowanej w szufladzie na bieliznę lub ostrego w tonie listu od nauczyciela.

Nigdy jednak nie czuła się chłopakiem, przynajmniej na tyle, na ile umiała to ocenić. Jako dziecko bawiła się lalkami Barbie i lubiła udawać, że piecze ciasteczka. Chętnie nosiła sukienki, rozklejała się na romantycznych filmach dla kobiet, a gdy słyszała płacz dziecka, pojawiała się w głębi jej duszy tęskne uczucie. Ale dla ochrony Barbie miała też zabawkowych żołnierzy, jako okrycie w chłodną pogodę wybierała znoszoną kurtkę lotniczą, podobał się jej Terminator 3, a bojowością w łapaniu przestępców nie ustępowała w Biurze żadnemu z siłaczy w portkach. Nie przestawało jej zadziwiać, że właśnie ta ostatnia cecha wydawała się najbardziej drażnić jej zwierzchników. Broń Boże, żeby miała wykonywać swoją pracę lepiej niż ten czy inny macho.

Skupiła wzrok na zwirowym podjeździe, który najwyraźniej prowadził do miejsca zbrodni, i nie zwalniając kroku, podeszła do funkcjonariusza. Bez słowa zagroził jej drogę wyciągniętym ramieniem. Odwróciwszy się do niego, zauważyła, że podziwiał nie jej twarz niczym z kreskówki Disneya, a jej biust. Nikt przy zdrowych zmysłach nie nazwałby go obfitym, co było powodem rozpaczki dla nastoletniej Alicii, ale za co teraz dziękowała Bogu. Mimo to ten głupek jednak łypał na jej biust bez żenady i niemal wyzywająco. Opuściła wzrok na jego krocze, mówiąc:

- Agentka specjalna Alicia Wagner, FBI.

Przez następne pięć sekund zastanawiał się, czemu ona się przygląda. Roześmiał się nerwowo, choć dobrodusznie, a Alicia nieco zaskoczona podniosła oczy na jego twarz.

- Przepraszam panią - powiedział z wymuszonym uśmiechem, już bez cienia lubieżności. - Chyba się gapilem.

- Owszem - odparła stanowczo, choć czuła, że gniew ustępuje. Ten dzieciak nie miał chyba więcej niż dwadzieścia jeden lat, czyli był w wieku, który stanowił dolną granicę dla większości funkcjonariuszy policji, a większości mężczyzn daleko jeszcze w tym wieku do

dorosłości. Dodajmy do tego buńczuczność często przypisaną do broni palnej i odznaki, a funkcjonariusz - zerknęła na identyfikator - Britt skazany był na pewne zachowania kobieciarza, które należałoby wyplenić. Za pięć lat mu przejdzie... albo zostanie na zawsze. Złagodziła mrugnięciem swoje gniewne spojrzenie i posłała mu półuśmiech na znak, że przyjmuje przeprosiny.

Funkcjonariusz Britt wyrzucił papierosa i poprosił o identyfikator. Postawiła na ziemi neseser, schyliła się, by zdjąć z ramienia cięższą walizkę i wyszperała z kieszeni spodni legitymację FBI. Przyjrzał się fotografii, po czym skierował światło latarki na jej twarz.

- Dobrze, że ktoś choć raz robi to jak należy - powiedziała, mrużąc oczy.

Mężczyzna wyjął podkładkę z przypiętymi kartkami papieru i zaczął spisywać jej dane. Z westchnieniem odwróciła głowę, by obejrzeć dom. Najbliżej rosnące sosny to przyskakiwały, to ginęły z powrotem, kiedy światła policyjne na przemian łapały je i pozwalały uciec. Dalej całe bataliony kolejnych drzew stały jej na drodze. W końcu w odległości niemal stu metrów udało jej się dostrzec spory kształt czarniejszy niż otaczający go krajobraz. W oknach nie paliło się światło. To był dobry znak.

Kiedy skończył, podał jej podkładkę i długopis.

- Agentko Wagner, czy mogłaby się pani podpisać obok swojego nazwiska?

Formularz nie wyglądał na zwyczajny rejestr odwiedzających. Jedną trzecią strony zajmował tekst, którego czcionka była zbyt drobna, by go odczytać w świetle latarki. Jej podpis miał być jedenasty na liście.

- Co to dokładnie jest?

- Zobowiązanie do udostępnienia na żądanie wszelkich próbek, jak włosy, próbki krwi, odcisk buta, odciski palców...

- Wiem, co to są próbki.

- Prosimy również o sporządzenie sprawozdania wyjaśniającego pani zaangażowanie w śledztwo i czynności na miejscu zbrodni.

Opuściła głowę, by ukryć uśmiezek, i złożyła podpis. Zgody na udostępnienie odcisków palców, próbek włosów i krwi udzielono. Jeśli technicy znajdą na miejscu zbrodni niezidentyfikowany materiał genetyczny, muszą wykluczyć obecne osoby upoważnione. Jeśli natomiast jakiś półgłówek coś spaprze na miejscu zbrodni albo pogubi dowody, każdy z obecnych ma obowiązek wyjaśnić, co robił, i opisać wszystko, co widział. Nazywanie tego „sprawozdaniem” i wymaganie podpisów to po prostu próba odstraszenia tych, którzy mają upoważnienie, ale nie palącą potrzebę, żeby się tam znaleźć: szefów departamentów, asystentów prokuratora okręgowego czy polityków, jeśli sprawa jest nagłośniona.

- Tym podjazdem do końca. Czeka ją na panią.

Podniosła neseser, zarzuciła na ramię pasek od walizki i ruszyła w stronę domu. Nie opuszczając stanowiska, policjant oświetlał jej drogę, zanim nie zniknęła za łagodnym zakrętem. To wystarczyło, by ją upewnić, że na podjeździe nie było wybojów ani kolein. Kilka kroków dalej przystanęła, żeby poprawić pasek wpijający się jej w ramię. Cisza i bezruch wokół na moment ją zdumiały. Żadnego szumu samochodów, szelestu wiatru w gałęziach drzew, odgłosów zwierząt czy owadów. Panowała absolutna cisza. Powietrze było rześkie, przesycone zapachem mchu i ziemi. Prawie uwierzyła, że stoi w najodleglejszym zakątku ziemi, miejscu nieskalanym stopą ludzką. Zauważyła, że światło księżyca przefiltrowane przez korony drzew tworzy na ziemi kształty podobne do plam rozbryźniętej krwi. Potrząsnęła głową i ruszyła naprzód.

Po kilku sekundach zaskoczył ją widok ognika papierosa, którym ktoś się zaciągał. Przeklinała chrzęszczący żwir, który zagłuszał wszelkie inne odgłosy. Na betonowym podejściu przed drzwiami do garażu dostrzegła około tuzina postaci. Światła w garażu były wyłączone, nie docierały tam też bezpośrednio promienie księżyca, gdzieś tam tylko w odbitym świetle wyłaniały się szare sylwetki, tu profil twarzy, tam łysy czubek głowy. Kilka rozjarzonych punktów świadczyło, że palaczy jest więcej. Dym się unosił, wtapiając w księżycową poświatę, która spływała po pochyłym dachu budynku.

Jeden z mężczyzn nagle odwrócił głowę, wypluł coś na ziemię i pośpieszył w jej stronę.

- Agentka Wagner? - Jego głos chrząścił bardziej niż żwirowy podjazd, nieuchronne świadectwo nałogowego wypalania od lat dwóch paczek papierosów dziennie.

- To ja. Agent Nelson?

Na oko dobiegał sześćdziesiątki, był mocno zbudowany, miał gęste siwe włosy gdzieś przetykane jeszcze czarnymi pasmami. Ubrany był w ciemny garnitur, zdjęty zapewne z wieszaka w Sears, pognieciony, choć daleko mu było do prochowca porucznika Columbo. Do tego miał wąski bezbarwny krawat i buty pastowane ostatnio bodaj za prezydentury Clintona. Był przydzielony do agencji rezydencjonalnej w Colorado Springs działającej przy biurze terenowym w Denver. Może była to zasługa odmiennego tempa życia w małych miasteczkach lub braku rywalizacji i politycznych nacisków, ale zawsze lepiej dogadywała się z agentami RA niż z ich kolegami z biur terenowych. Miała wrażenie, że agresywność i wyniosłość agenta była tym większa, im bliżej było mu do Waszyngtonu i rosła wraz z rozmiarem biura, do którego był przydzielony. Jej siedziba mieściła się w akademii FBI w Quantico. Sprawa zamknięta.

- Jack - przedstawił się. - Rozmawialiśmy przez telefon. Może pomogę. - Sięgnął po pasek walizki, a Alicia pozwoliła, by bagaż zsunął się z jej ramienia. Ciężar uderzył mężczyznę w nogę z takim rozmachem, że stracił na moment równowagę. - O, cholera! - wysapał.

- To drukarka laserowa - wyjaśniła. - Ponoć przenośna.

Gestem wskazał drugą walizkę.

- Wybiera się pani na kręgle?

Uśmiechnęła się i podniosła neseser, który rzeczywiście wyglądał jak torba na kulę do kręgli po kuracji sterydowej.

- Dlatego tu jestem. To przyszłość techniki badania miejsca zbrodni.

Spojrzał jeszcze raz, marszcząc brwi ze zdziwienia.

- Hm. Okay - powiedział. Podniósł rękę i włożył do ust kilka nasion słonecznika. Za złączonymi wargami zęby zaczęły obłupiać je ze skorupki.

Zniżyła głos.

- Dziękuję, że wszystkiego dopilnowałeś.

- Robię, co do mnie należy.

- Utrzymanie na dystans miejscowej policji to nie lada zadanie. - Zlustrowała wzrokiem stojącą w cieniu grupkę. Chyba im się przyglądali, choć nie wyglądali na szczególnie zainteresowanych rozmową. - Co sądzą o tym, że tu jesteśmy?

Nelson przerzucił walizę na drugie ramię i pochylił się do niej.

- Sęk w tym, że nas tu wcale nie ma. Biuro szeryfa ma pierwszorzędną jednostkę śledczą. Prawie najwyższa wykrywalność w Colorado. W zeszłym roku rozwiązali wszystkie swoje sprawy o zabójstwo. Na szczęście Biuro ma z nimi dobre stosunki, przede wszystkim dlatego, że wiemy, kiedy nie wchodzić im w drogę. Jesteś tutaj, bo poprosiłaś o możliwość wypróbowania swoich nowych gadżetów, a ktoś w wydziale już wyjednał na Kapitolu, że możemy udzielać wsparcia śledczego w sprawie zabójstw Pelletier na terenie stanu. Nie mówię, że jesteś niemile widziana, tylko że trzeba stąpać ostrożnie.

Skinęła głową.

- To właśnie musiałam wiedzieć. Który z nich tu dowodzi?

Przechylił się na bok i wypluł łupy słonecznika. Połówka jednej sturlała się z jego wargi i zawisła na brodzie.

- Detektyw Dave Lindsey - odpowiedział. - Mojego wzrostu, łysiejący, z wąsem.

- Dzięki. - Okrążyła go i podeszła do grupki detektywów, funkcjonariuszy i techników. Skinieniem odpowiedziała na upórczywe spojrzenia, maszerując w stronę

mężczyzny, który stał oparty ramieniem o filar oddzielający drzwi garażu. Udało mu się przybrać wyraz znudzonej ciekawości.

- Detektywie Lindsey, dziękuję, że pan na mnie zaczekał. Jestem agentka specjalna Alicia Wagner. - Wyciągnęła dłoń.

Nie od razu ją uściskał.

- Mam nadzieję, że ma pani coś dobrego - odparł, odrywając się od filaru. - Pół wydziału przebiera nogami przed miejscem zbrodni, którego nie mogę zbadać, bo pani ma wysoko postawionych przyjaciół.

- Dave, bądź miły - zaskrzeczał Nelson zza jej pleców.

Alicia wiedziała, że wzburzenie Lindseya było przynajmniej w części na pokaz. Chciał pokazać jej i swoim ludziom, że jest tu szefem, mimo że łaskawie zgodził się, by zewnętrzna agencja asystowała przy śledztwie. Poza tym chciał chronić swój tyłek, gdyby z opóźnienia wynikły jakieś problemy. Cała wina spoczywała teraz na niej i miał na to świadków. Jej to nie martwiło. Przepływ informacji był w tym przypadku nadzwyczaj szybki. Dzięki wydanemu przez nią okólnikowi z informacją, że morderca Pelletier może wkrótce znów zaatakować w Colorado, policjant na patrolu wysłany do zgłoszenia alarmowego od razu wiedział, na co się natknął. Szef biura szeryfa zadzwonił do Nelsona, jeszcze zanim wysłał na miejsce jednostkę śledczą. Ze swojego hotelu na południu Denver Alicia dojechała w czterdzieści minut. Jak się dowiedziała od Nelsona, biura szeryfa mieściły się na południu Colorado Springs - przynajmniej dwadzieścia pięć minut drogi od Monument. Czekali więc nie dłużej niż piętnaście minut.

Ale w obcesowości Lindseya był jeszcze dodatkowy element. Domyślała się, że Nelson nie powiedział mu, iż agent z Denver to kobieta.

- Rozumiem pańskie obawy - zwróciła się do detektywa. - Wie pan, że zanieczyszczenie dowodów z miejsca zbrodni to najczęstsza przyczyna sfuszerowanych śledztw i unieważnień procesów. Nawet sugestia, że dowody mogły być zaniedbane, potrafi zniweczyć wysiłki prokuratury. Pamięta pan O.J. Simpsona? To zwykle nie jest wina błędów śledczych. Już samo badanie miejsca zbrodni może je nieodwracalnie skazić.

- Zasada Locarda wzajemnej wymiany śladów - przerwał detektyw, kiwając głową.

- Zgadza się. - Odgarnęła włosy i założyła za ucho. Dobrze wiedziała, że ten swobodny, dziewczęcy gest sprawia, że staje się mniej onieśmialająca. - Najlepszym sposobem zachowania użyteczności miejsca zbrodni jest dokumentacja. Jak dokładnie wyglądało miejsce w momencie opuszczenia go przez sprawcę? Czy światło było włączone? Drzwi zamknięte czy otwarte? Czy włókna dywanu były przydeptane? Sam pan wie. Więc

wysyłamy ludzi do zbierania odcisków palców, fotografów, rysowników, ludzi od gromadzenia śladów, od oględzin zwłok.

Lindsey jeszcze raz wszedł jej w słowo.

- A oni wszyscy też zostawiają ślady.

Uśmiechnęła się.

- I po to właśnie jest ta zabawka. - Trąciła stopą jedną z walizek. - To maleństwo rejestruje całą dokumentację bez udziału rzeszy ludzi. - Po chwili ciągnęła dalej: - Jeśli to jest zabójstwo Pelletier, to cztery śledztwa toczą się właśnie w podobnych sprawach. Ten sprzęt pomoże pańskiemu wydziałowi złapać tego drania.

Zamilkła przekonana, że Lindsey myśli teraz o pozostałych śledztwach. Ujęcie groźnego przestępcy zawsze było priorytetem, niezależnie, kto go łapie i komu przypisuje się zasługę. Mimo to nigdy jeszcze nie spotkała policjanta, któremu nie zależało na tym, żeby osobiście dokonać aresztowania. W tym momencie detektyw Lindsey zastanawiał się, czy jej sprzęt rzeczywiście mógł dać mu przewagę.

Udawał, że przygląda się kulistemu neseserowi i większej walizce, którą Nelson postawił obok, ale Alicia wiedziała, że tak naprawdę rozpatruje za i przeciw jej zaangażowania w śledztwo. Mógł zgrywać dupka, utrudniając życie jej i wszystkim innym, albo trochę odpuścić, dać jej swobodę ruchu i zapewnić optymalne warunki do wykonania zadania, a wtedy może rzuciłaby mu na żer coś, dzięki czemu będzie mógł wetknąć duże pióro do swojego pióropusza. Przegląd jego oddziałów pokazał mu to, co ona już widziała: byli pełni ciekawości, entuzjazmu i nieśmiałej gotowości, by iść we wspólnym zaprzęgu z nowo przybyłym jeźdźcem.

- No dobra - powiedział głośno. - Więc co tu mamy?

6.

Stary volkswagen minibus był tak nagrany, że w środku stopiłby się plastik. Mieszanka potu, zatłuszczonych opakowań z jedzenia, pudełek gnijącej chińszczyzny na wynos razem z unoszącym się zapachem dawnych wycieków oleju i spalenizny na zepsutej obecnie kuchence przepełniała wnętrze nieziemskim smrodem. Jednak Olaf czuł jedynie zapach krwi, nowy dodatek do panującego aromatu. Zniknie dopiero, kiedy psy wyliżą się do czysta. Odkręcił szybę na szerokość dłoni i zaciągnął się świeżym, nocnym powietrzem. Samochód toczył się po drodze stanowej nr 24, krętym rollercoasterze asfaltu, który wcinał się w sam środek Gór Skalistych. Nakłonił swój pojazd do pokonania obwodnicy Wilkerson, a stąd, z wyjątkiem niewielkiego objazdu w Tront Creek, było już z górki aż do Johnson Village, skąd pojechać miał trasą nr 285, a potem nr 5 do Canon City. Znajdował się teraz między dwiema dolinami, rozglądał się więc za jakimś zalesionym miejscem, gdzie mógłby zatrzymać się, by wyczyścić broń i wypuścić zwierzęta.

Z tyłu usłyszał warknięcie i kłapnięcie pyska jednego z psów, a zaraz potem skowyt drugiego. Olaf domyślał się, że ofuknięte zwierzę próbowało zlizać smak krwi z pyska towarzysza.

- *Goð stelpa!* - krzyknął w języku, którym jego plemię posługiwało się od trzydziestu pokoleń. Futrzane cielsko natychmiast wgramoliło się na stos map i śmieci pokrywający podłogę obok siedzenia kierowcy. Zwierzę zaczęło kręcić się w kółko w miejscu, gdzie znajdował się kiedyś fotel pasażera, zanim Olaf nie wyrzucił go na pobocze. Była to Freya, stworzenie nadzwyczajnej urody, chociaż najmniejsze z trzech i trochę lęдлиwe w ich obecności.

- *Afhverju í veröldinni ertu fúl?*

Rozpoznając wesoły ton Olafa, zwierzę przysiadło na zadzie i wydało z siebie przeciągły jęk.

- *Hvao?*

Pies przysunął się bliżej i pochylił łeb. Olaf podrapał gęstą sierść między uszami i przeciągnął dłonią po karku i grzbiecie, tak daleko, jak mógł sięgnąć. Mimo że najmniej okazała ze stada, Freya była potężnym zwierzęciem ważącym przynajmniej czterdzieści kilo. Olaf nauczył ją obezwładniać zdobycz, rzucając się na klatkę piersiową. Wiedział z

doświadczenia, że od takiego ciosu pękały zębra. Namacał ścięgna pod sierścią i potrząsnął głową - świadczyły o ogromnej sile. Hodowla krzyżówek psa i wilka była częścią kultury jego ludu od tak dawna, jak gawędziarze sięgali pamięcią. Udoskonalali skład genetyczny rasy: siłę i instynkt łowczy wilka połączyli ze zdolnością do tresury i lojalnością owczarka niemieckiego. Dla swoich panów były usłużne i towarzyskie, dla ich wrogów - śmiertelnie niebezpieczne jak lwy. Po minucie drapania i głaskania poklepał zwierzę parę razy i jego dłoń powróciła na kierownicę.

Zbliżając się do skrzyżowania, zauważył po przeciwnej stronie drogi polanę między drzewami. Zdjął nogę z gazu. Furgonetka gwałtownie zwolniła, jakby znalazła się pod wodą. Sięgnął do drążka zmiany biegów i jego ręka natrafiła na wilgotny nos Frei. Dobrze wiedziała, jak się ustawić. Olaf skarcił ją ostrym słowem i odepchnął pysk.

- Nie teraz - mruknął pod nosem w swoim starożytnym języku. Suka czmychnęła na tył samochodu, gdzie natychmiast przywitało ją warknięcie.

Zjechał na pobocze, ustawiając opony w wyrobionych koleinach, niechybnie pozostawionych przez miejscowych imprezowiczów i myśliwych. Zanim minął pierwszą kępę osik i sosen, zatrzymał się i wyłączył przednie reflektory. Światła innego pojazdu zbliżały się, widoczne teraz z odległości kilku kilometrów. Poza tym wokoło nie było żywej duszy. Pozwolił, by furgonetka podryfowała w głąb zagajnika, prowadzona koleinami niczym pociąg na torach. Wkrótce dotarł na polanę, zjechał na wyżłobiony zakręt i zgasił silnik.

Otworzył drzwi, nie zakłócając absolutnej ciszy górskiej łąki. Kiedy dwa tygodnie temu kupował furgonetkę, zawiasy skrzypiały piskiem jastrzębia. Kilka niewielkich poprawek i smarowanie WD-40 wystarczyło, by je uciszyć. Zainstalował również nowy rozrusznik i akumulator oraz porządnie podrasował samochód. Używana furgonetka wyglądała niegroźnie, co mu pasowało, ale nie mógł pozwolić, żeby opóźniła go w ucieczce po zabójstwie. Wysiadł i zawołał psy, które jednym susem przesadziły siedzenie kierowcy i wyskoczyły na zewnątrz. Pobiegły zygzakiem między wysoką trawą w stronę drzew po przeciwnej stronie łąki i węsząc, spryskały liście, znacząc terytorium.

Księżyc nadawał okolicy nierealną poświatę. Olaf pomyślał o domu. Poczł znajomy ucisk w piersi, który podsyczał wściekłość, kiedy wymagało tego zadanie. Ból ten wzmógł się teraz, odbierając mu oddech. Okrążył samochód i otworzył przesuwne drzwi od strony pasażera. Poplamiony papierowy kubek i zmięty magazyn wypadły na ziemię. Odgarnął pozostałe śmieci, żeby dostać się do kolejnej nowinki, którą zainstalował w furgonetce - schowka pod podłogą. Samochód był na tyle stary i niecodzienny, że podwyższony poziom podłogi nie powinien wzbudzić niczyich podejrzeń, zwłaszcza że pokrył sklejkę nie

wykładziną, a płytami rdzewiejącego metalu i kawałkami oryginalnego chodnika. Sięgnąwszy pod furgonetkę, wcisnął niewielki guzik i fragment podłogi odskoczył, ujawniając zawartość schowka.

Stanowiły ją dwie aluminiowe walizki i podłużna skrzynka rozmaitych broni ręcznych: noży, toporów i grotów. Podniósł długi worek leżący na szczycie stosu i wyjął z niego topór o trójkątnym ostrzu osadzonym na dębowym stylisku długości ramienia. Wrzucił sakwę z powrotem do samochodu i podniósł broń, by się jej przyjrzeć. Widniały na niej plamy krwi, fragmenty skóry i kilka kosmyków włosów. Rękojeść tuż za obuchem również pokryta była czerwonobrązowymi cząsteczkami. Z plastikowej skrzynki wydobyl manierkę oraz kawałek tkaniny i podszedł do drzew oddalonych o jakieś dziesięć kroków. Za pomocą liści usunął większość tkanki, następnie polał ostrze wodą i zaczął je polerować.

Usłyszał silnik samochodu, jeszcze zanim zobaczył światło reflektorów.

Ktoś zbliżał się powoli między drzewami w stronę polanki. Odwrócił się prędko i zobaczył psy zbite w gromadę z pyskami wyciągniętymi w stronę intruza. Kiedy patrzył, wszystkie trzy naraz opuściły łby, wężąc zwierzynę. Samochód skręcił na polanę zataczając półokrąg przednimi światłami. Niewiele brakowało, a psy znalazłyby się w blasku reflektora. Było już za późno, żeby je odwołać i ukryć w przygotowanym dla nich miejscu pod podłogą furgonetki.

- Fara! - krzyknął i psy zniknęły między drzewami, zanim omiotły je światła.

Samochód skręcił, oświetlając jaskrawo najpierw ciężarówkę, potem zaś postać Olafa, który skrył topór za plecami. Uśmiechnął się szeroko.

Na dachu pojazdu rozbłyły pulsujące czerwone i niebieskie światła.

7.

- Robocop - szepnął ktoś za jej plecami, wywołując cichą falę wesołości. Gdyby tylko wiedzieli, jak mało oryginalna była to uwaga. Mimo to komentarz był całkiem trafny, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Groźnie wyglądający hełm przypominał czarną kopułę wyrastającą z ramion i zwieńczoną na czubku głowy, zaś po obu jego stronach ciągnął się szereg gadżetów. Waga urządzenia wymagała zainstalowania kołnierza, jak w kostiumach nurków głębinowych, dzięki któremu ciężar rozkładał się na barki, a ramiona zyskiwały nienaturalnie masywny wygląd. Wypukły przedni panel zrobiony był z nieprzezroczystego plastiku. Specjalne buty, pas i wyposażenie umocowane na łydkach i przedramionach dopełniały obrazu cyborga. System nosił oficjalną nazwę: „Digitalizator Miejsca Zbrodni” - pozbawioną polotu i onieśmiałą swoją technicznością. Alicia wolała mówić DMZ.

Odwróciła się do detektywa Lindseya.

- Pójdę przodem.

Jej głos, przesyłany przez niewielkie głośniki z przodu i z tyłu kołnierza, brzmiał metalicznie i odlegle. Mikrofon rejestrujący dźwięk przesyłał go do słuchawek, wywołując pogłos słyszalny tylko dla niej. Zgłosiła ten defekt, ale dopóki nie został usunięty, każdy, kto używał hełmu, skazany był na potworny ból głowy. Na szczęście chochlik dobrał się wyłącznie do systemów peryferyjnych, jak mikrofon czy kilka urządzeń udogodniających. Gdyby wada dotyczyła któregoś z kluczowych systemów, zagrażałoby to analizie miejsca zbrodni, którą teraz przeprowadzali, a co za tym idzie Biuro nigdy nie dostałoby funduszy na wdrażanie projektu do codziennego użytku.

- Proponuję, żeby przy pierwszych oględzinach szedł za mną jeden technik, by nie niszczyć śladów. DMZ opracuje plan pracy dla następnych.

Lindsey przyglądał się jej kostiumowi z komicznym wyrazem niedowierzania i Alicia pożałowała, że nie włączyła jeszcze kamery.

- Dobrze - odparł niezdecydowanie. Zdołał nareszcie zamknąć usta i odwrócił się. - Fleiser - burknął.

Mężczyzna w okularach i długim laboratoryjnym kitlu skinął głową i podniósł z ziemi skórzaną lekarską torbę.

Alicia ustawiła się u stóp drewnianych schodów w garażu. Według słów policjanta na

patrolu wiodły do sieni połączonej z pralnią. Stamtąd hall prowadził do sypialni i innego korytarza, z którego wchodziło się do fontowych pomieszczeń domu.

- Włączam systemy - powiedziała.

Klatkę schodową natychmiast wypełniła jasność, usuwając wszystkie cienie. Białe światło biło z lamp halogenowych umieszczonych na ramionach i nagolennikach Alicii. Na wyświetlaczu wewnętrznym ukazał się obraz z kamery cyfrowej umieszczonej u góry hełmu. Poczula na brzuchu wzmożoną pracę twardego dysku DMZ, którego czarną obudowę przypiętą miała w pasie.

- Mapowanie. - Rozległ się wysoki dźwięk niewielkiego silnika. Wibracje zaczęły rozchodzić się od czubka jej głowy aż do szczęk. Kolejny problem do zgłoszenia. Jej pole widzenia przecięły czerwone promienie tuzina laserów. Byłyby tysiąc razy lepiej widoczne gdyby nie światło halogenów.

- O kurczę! - usłyszała Lindseyę.

Wcisnęła guzik na swoim lewym przedramieniu, włączając wsteczną kamerę. Wyraz niedowierzania powrócił na twarz detektywa.

- Lasery ułatwiają mapowanie miejsca zbrodni przez optyczny miernik odległości. DMZ wygeneruje szczegółowy, dokładny plan wnętrza: meble, ślady, wszystko.

- Aha - odparł bez przekonania.

Weszła na schody.

- Sprawca schodził tędy - powiedziała, wskazując długą na osiem centymetrów rysę na niemalowanej ścianie działowej, głębszą na dolnym końcu. Była pokryta brązową skorupą. - Zaznaczę to na mapie. - Czerwony promień wystrzelił z czubka jej palca. Kiedy kropka na ścianie dotknęła rysy, Alicia wcisnęła guzik. Rozległ się sygnał i laser zniknął.

- Fleiser - odezwał się Lindseyę za jej plecami - zaznacz to.

W pralni zatrzymała się ponownie.

- Poczekać chwilę - światła przygasły jak zachodzące słońce, obrotowe lasery wyłączyły się z cichym traskiem. Ciemność przecięł pojedynczy promień. - Odcisk buta - powiedziała Alicia. - Duży, rozmiar dwanaście albo trzynaście, prowadzący z hallu do pralni. Halogeny znowu rozbłysły, a lasery miernika odległości zaczęły znowu krążyć po pomieszczeniu. Wyciągnęła palec, by wskazać miejsce.

- Nie widzę...

- Użyłam podczerwieni. Dlatego musiałam wyłączyć światła. Czy możesz mnie obejść i to zaznaczyć?

Technik Fleiser pochylił się, stawiając na podłodze coś na kształt miniaturowego

pylonu z numerem. Alicia poleciła DMZ również zmapować odcisk.

Przekroczyli pylon oraz niewidoczny odcisk i weszli do hallu. Podeszwy wysokich butów składały się z grubych na półtora centymetra gumowych słupków usytuowanych po bokach stóp i na śródstopiu, zaprojektowanych, by jak najmniej naruszały podłogę i zostawiały łatwo rozpoznawalne ślady. Wyposażone były również w czujniki identyfikujące rodzaj podłogi. Na gotowym diagramie miejsca zbrodni pokazałyby, że podłoga w tej części domu wyłożona była drewnianymi deskami. Ściany wąskiego hallu obwieszane były rzędami fotografii w ramach dokumentujących tworzenie się, rozwój i funkcjonowanie statystycznej amerykańskiej rodziny: uroczystości szkolne, śluby, narodziny, wakacje na piasku, ferie na śniegu i potężne dinozaury z gipsu.

Alicia poczuła ścisk w gardle. Śmierć kradła o wiele więcej niż tylko przyszłość człowieka. Dla ofiary kończył się wszechświat. Znikało wszystko, co było i będzie. Dla rodziny nawet radosne wspomnienia nagle zabarwione były smutną świadomością, że ich ważna postać nie gromadzi już nowych wspomnień.

Fragment lekkiej obudowy na jej ramieniu zawadził o jedną z fotografii. Alicia obróciła się i zdążyła złapać zdjęcie, zanim spadło na podłogę. Podała je Lindseyowi. Przekroczyła otwarte wejście po prawej stronie. Lasery roztańczyły się po pomieszczeniu, notując wymiary i rozmieszczenie mebli. Prostota wystroju i spora ilość kurzu wskazywały, że znaleźli się w rzadko używanym pokoju gościnnym. Miał jedno okno. Dolna połowa była uniesiona, a w niej znajdował się okrągły otwór odpowiadający kształtem mosiężnemu zamkowi, który zamykał się na zatrzask przy opuszczeniu okna.

- Punkt wejścia - powiedziała podchodząc bliżej. - Na framudze znajduje się coś, co wygląda jak kępka zwierzęcej sierści. Szyba leży na ziemi, na zewnątrz. Błoto na parapecie... Ziemia, sosnowe igły, liście na dywanie w środku. - Wskazała wszystkie przedmioty laserem umieszczonym na palcu.

Lindsey i Fleiser wkroczyli za nią.

- Przełączam znów na podczerwień - oznajmiła, zanim światła przygasły. Po kilku sekundach rozjarzony w ciemności laser dotknął dwóch plam po obu stronach okna. Halogeny na nowo rozbłysły. - Są odciski na framudze okna, pięćdziesiąt centymetrów od górnej krawędzi po lewej, czterdzieści dziewięć centymetrów po prawej. Wygląda to na dwa palce i wnętrze dłoni.

- Ja tam ni cholery nie widzę - powiedział Lindsey bezmyślnie.

Dlatego właśnie nazywamy je utajonymi odciskami, zaripostowała nieomal, ale w porę się zreflektowała.

- Są tam - odpowiedziała zamiast tego.

- Nie miał rękawiczek? To bez sensu.

- Na innych miejscach zbrodni też znaleziono odciski - poinformowała go. - Może zabójcy po prostu nie zależy.

Wyszła z pomieszczenia i ruszyła wzdłuż hallu. Dalej dwoje zamkniętych drzwi. Za pierwszymi kryło się coś w rodzaju gabinetu. Monitor stał na niewielkim biurku, a komputer ustawiony był pod spodem. Krzesło, drukarka, trochę poczty i jakieś wydruki, metalowa szafka na akta. Reszta pokoju zastawiona była kolumnami plastikowych koszy na śmieci powkładanych jeden w drugi.

Przy następnych drzwiach zgasiła halogeny i zlustrowała pomieszczenie podczerwienią. Spod skrzydła drzwi sączyło się światło. Cofnęła się w stronę Lindseya, który podążał za nią.

- Światło - wyszeptała. - Czy ten funkcjonariusz, który przyjął zgłoszenie...

- Wybiegł stąd tak szybko, że mógł nie sprawdzić. Niech pani włączy z powrotem tę wieżę kontrolną. - Wyminął ją z pistoletem w dłoni. Powoli przekręcił gałkę i wpadł do środka, a Alicia tuż za nim. Poruszał się szybko, machając bronią w różnych kierunkach. W sześć sekund upewnił się, że pokój, szafa i mała łazienka są puste.

Wykonała obrót i stanęła twarzą do wnętrza pomieszczenia. Pierwszą rzeczą, która rzuciła jej się w oczy, było łóżko: wielkie, z grubą puchową kołdrą i zieloną pościelą ozdobioną koronką koloru kości słoniowej. Górna część kołdry i narzuta były odwiniete z jednej strony. Dwie poduszki leżały napuszone u wezłowia. Przy jednej z nich rozstawiona była jak namiocik otwarta, położona grzbietem do góry książka. Sufitowy wiatrak obracał się leniwie. Wiedziała, że lampka nocna na stoliku się pali, mimo że jej światło ginęło w blasku halogenów.

- Wygląda na to, że była w łóżku i coś jej przeszkodziło - powiedział Lindsey.

- Nie, prześcieradło jest zbyt gładko naciągnięte. - Alicia miała nadzieję, że metaliczne głośniki przefiltrują melancholię w jej głosie. - To miała być nagroda. Wygodne łóżko i dobra książka na zakończenie długiego dnia. Przygotowała je już wcześniej, może tuż po kolacji, żeby na nią czekało. Nie chciało jej się ścieścić, kiedy była zmęczona. Chciała po prostu się położyć i delektować.

- Skąd ty to wiesz?

- Bo dokładnie to samo robiła moja matka. Codziennie. Czasami nawet... - Jej głos nagle ucichł. Dlaczego miałyby dzielić się wspomnieniami z jakimś facetem, który najpewniej ma to gdzieś? Mówiła bez zastanowienia i teraz tego pożałowała.

Lindsey przypatrywał się równo ułożonym przedmiotom.

- Prawdopodobnie szykowała się do snu, kiedy sprawca się włamał.

- Jasne.

- Spójrz tylko!

Podążyła za jego wędrującym spojrzeniem. Każdy skrawek powierzchni - stół nocny, toaletka, skrzynia w nogach łóżka, półki biblioteczki - usiany był bibelotami. Wszystkie przedstawiały symbole religijne: gliniana kapliczka, złożone dłonie, monstrualny gwóźdź owinięty czerwoną wstążką, naczynie z bogato zdobionym napisem „Nakarm owce moje”, niezliczone krzyżyki, książeczki do nabożeństwa, anioły i figurki Jezusa. Ściany obwieszane były tuzinem obrazów, niektóre przedstawiały Mesjasza w różnych pozach, inne - urocze krajobrazy z wykaligrafowanymi na ich tle fragmentami Biblii. Wykonała pełen obrót, upewniając się, że kamera zarejestrowała wszystkie te bezwartościowe skarby.

- Jeszcze jedna fanatyczka.

- Detektywie! - Wskazała palcem kamerę i mikrofon umieszczone na szczycie hełmu niczym oko złowrogiego bóstwa. Rejestrowanie przejścia po miejscu zbrodni wykorzystywano na wiele sposobów poza wsparciem śledczych w rekonstruowaniu przestępstwa. Nagrania pomagały rozwiać wątpliwości sądu na temat położenia i stanu przedmiotów stanowiących kluczowe dowody w sprawie. Krewni i przyjaciele często oglądali je, by się upewnić, że miejsce było odpowiednio potraktowane, albo pomóc ustalić, czy coś zginęło lub zostało przyniesione przez sprawcę.

Lindsey wyglądał na stropionego.

- Jak więc mówiłem, kolejna religijna osoba odeszła zbyt wcześnie. To potworne.

Do pokoju wszedł Fleiser z małą czarną torebką w dłoni.

- Jest tu coś?

- Raczej nie - odparł Lindsey i przepychając się obok niego, wrócił do hallu.

Alicia nie zauważyła tego wcześniej, ale podejrzewała, że jedno tylko miejsce pozostało wolne od bibelotów. Spojrzała w tamtą stronę i uśmiechnęła się. Nagi skrawek na stoliku nocnym miał kształt spodka od filizanki. Mama lubowała się w rumianku. Ciekawe, co lubiła Cynthia Loeb.

- Idziemy? - zawołał Lindsey. - Trzeba jeszcze znaleźć ciało!

Nagle Alicii odeszła ochota na szukanie.

8.

Że też akurat gliniarz musiał zauważyć jego zjazd na pobocze.

Olaf utrzymał uśmiech, kiedy latarka rozbłysła najpierw w nocne niebo, a potem skierowała się na zaparkowaną furgonetkę. Policyjny wóz zatrzymał się jakieś dziesięć metrów z tyłu. Reflektory oświetlały tył i prawy bok jego samochodu, podczas gdy lewa strona z otwartymi przesuwными drzwiami pozostała w ciemności. Podniesiony fragment podłogi i schowek były poza zasięgiem wzroku policjanta. Z toporem za plecami Olaf niespiesznie podążył w stronę furgonetki. Glinie nie spодoba się, że zniknął z pola widzenia. Prędko rzucił wytarty chodnik na stos broni, pochylił się i wcisnął podłogę na miejsce. Topór wsunął sobie za pas nad prawym pośladkiem, nisko, aż ostrze zatrzymało się na szorstkiej skórze pasa. W trzy sekundy mógł go wyszarpnąć i wziąć zamach... Dwa razy szybciej, jeśli po prostu rozerwałby pas.

Z powrotem wkroczył w krąg światła i zarazem w pole widzenia policjanta. Położył dłonie na biodrach, nieco z przodu, żeby gliniarz widział, że są puste. Światło latarki zatrzymało się na nim, po czym zgasło. Migające światła samochodu również wyłączono. Olaf podejrzewał, że miały mu tylko dać do zrozumienia dobre intencje nadjeżdżającego.

Gliniarz przez kolejną minutę sprawdzał rejestrację furgonetki.

Dobra, pomyślał Olaf. To nie o samochód powinieneś się martwić.

W końcu drzwi się otworzyły i jego oczom ukazał się funkcjonariusz policji stanowej. Jedną ręką nasunął na głowę kapelusz z szerokim rondem, druga, jak zauważył Olaf, spoczywała na kaburze. Okrążył drzwi wozu i zawołał:

- Dobry wieczór!

- Dobry wieczór! Chyba nie wtargnąłem na cudzy teren? - odpowiedział przyjaznym tonem bez najmniejszego śladu obcego akcentu.

Gliniarz przemaszerował przed reflektorami, jego cień wyskoczył na Olafa, zniknął i wyskoczył znowu. Zatrzymał się w pewnej odległości od furgonetki.

- Nie, to teren do użytku publicznego. Zobaczyłem, że pan się zatrzymuje i chciałem sprawdzić, czy wszystko w porządku. W porządku?

- W jak najlepszym - rozciągnął wargi w jeszcze szerszym uśmiechu. Zdawał sobie sprawę, że jego wygląd mógł niepokoić. Krępy i umięśniony, z fryzurą jak Yeti, w stroju

starożytnego wikinga, którym w rzeczywistości był: ciężka, dziana koszula, przydługa i niestety koszmarnie brudna, obcisłe spodnie z owczej skóry, wysokie skórzane buty. Podczas napadu jego postać przerażała ofiary, wywołując choćby kilkusekundowe oszołomienie - to wystarczyło, by dać mu przewagę i ułatwić ruch. W sytuacjach takich jak ta jego wygląd zniechęcał gliniarzy do pogawędki, ale nie był na tyle groźny, żeby narazić Olafa na szykany lub nadgorliwe przesłuchanie. Był dziwaczny, ale nie za bardzo. Odzież była też dla niego źródłem otuchy. Koszulę zrobiła jego żona Ingun. Skóry na spodnie wyprawił sam, a Ingun skroiła je i zszyla. Synowie poszli razem z nim odebrać buty od kuśnierza. Zachwycali się wykonaniem i chwalili jego sylwetkę, kiedy je założył.

Policjant wyciągnął latarkę zza pasa i włączył ją. Podeszedł do tylnej szyby i zajrzał do środka.

- Kalifornijska rejestracja - oświadczył, jakby to miało zrobić wrażenie na Olafie.
- Zgadza się. San Luis Obispo.
- Tam, gdzie te ptaki?
- Nie, to San Juan Capistrano. Ja mieszkam o pięć godzin drogi na północ.

Glina skinął głową. Obszedł samochód i stanął po tej samej stronie, co Olaf. Miał około trzydziestu pięciu lat, był więc nieco młodszy od Olafa. Jego oczy miały wyraz szczerości, który świadczył o tym, że kocha swoją pracę, natomiast głębokie pionowe bruzdy wskazywały, że kochał ją być może zbyt mocno, by mieć szczęśliwe życie rodzinne. Olaf wyobraził sobie, jak bierze nadgodziny, żeby trenować żółtodziobów i spędza mnóstwo czasu na strzelnicy. Jeśli ktokolwiek mógł mu nabruździć, to właśnie ten facet. Zastanawiał się, czy już wie o ostatnim zabójstwie. Mało prawdopodobne. Minęły dopiero niecałe dwie godziny, a stróże prawa nie byli skorzy do tak szybkiego rozpowszechniania informacji na temat zbrodni. Szczególnie agencjom federalnym i zwłaszcza kiedy nie mieli pojęcia, kogo szukają i jakim samochodem sprawca się porusza. Był pewien, że nikt nie widział, jak wyjeżdżał z Palmer Lake na zachód. W tamtych okolicach nie było żadnych głównych dróg, a i mieszkańców było niewiele.

Policjant skierował snop światła na otwarte drzwi.

- Kupa śmieci.
- W podróży zachowuję się jak świnia.
- Dokąd pan jedzie?
- Do Taos, do kuzyna. - Przewidując następne pytanie dodał:
- Przyjechałem I-70, żeby jeszcze po drodze odwiedzić znajomych.
- Naprawdę kupa śmieci. - Kręcił głową, lustrując odpadki strumieniem światła.

Zmarszczył nos i skrzywił się. Właśnie dotarł do niego smród.

Uśmiech Olafa przygasł. Sam tolerował ten odór tylko z jednego powodu: żeby wyprowadzić z równowagi takich jak ten policjant. Gdyby gliny chciały przeszukać samochód, miał niemal pewność, że zrobiliby to szybko i raczej pobieżnie. A jeśli szukaliby kogoś z psami, nie wyczuliby zapachu zwierząt. Żadne prawo nie zakazywało posiadania samochodu cuchnącego jak wychodek. Zbrodnie, które ów wychodek pomagał ukrywać, to już inna sprawa.

Policjant cofnął się o krok.

- Prawo jazdy proszę.

Olaf sięgnął ręką za siebie.

- Jakies kłopoty, panie władzo?

- Żadne. - Słowa były przyjazne, ale w wykrzywionych ustach zabrzmiały jak obelga.

Olaf wyjął sfatygowany plastikowy portfel i wygrzebał z niego prawo jazdy. Było świeżo wyrobione, ale wyglądało, jakby miało sto lat.

Pośród najbliższych drzew rozległo się warknięcie. Głowa policjanta podskoczyła i momentalnie obróciła się w tamtym kierunku. Za nią podążyło światło latarki. Trzymał ją w zgiętej ręce na wysokości ramienia, jak świetlny oszczep. Drugą ręką szybko sięgnął do kabury.

- Coś nie w porządku? - Jeszcze zanim Olaf usłyszał dźwięk, zauważył jednego z psów. Krążyły wokół łąki, a teraz ustawiły się tuż poza zasięgiem wzroku.

- Jest pan sam? - Olaf wiedział, że gliniarz pluje sobie w brodę, że nie zadał tego pytania wcześniej.

- Jasne, że tak. A co, coś tam jest?

- Proszę podejść tutaj. - Wskazał Olafowi punkt w połowie drogi między sobą a drzewami, gdzie miałby na oku zarówno mężczyznę, jak i zacienione miejsce, skąd dobiegł odgłos. Posunął się o parę centymetrów w stronę linii lasu, kierując światło to na Olafa, to na drzewa.

- Nie myśli pan chyba, że to jakieś dzikie zwierzę?

Gliniarz się nie odezwał. Opadł na jedno kolano i schylił się, żeby zajrzeć pod gałęzie... omiótł miejsce badawczym wzrokiem. Następnie zadarł głowę w stronę Olafa, ale nie patrzył, tylko nasłuchiwał. Po minucie ciszy wstał i podszedł do mężczyzny.

- Powinienem się bać? - zapytał Olaf, szeroko otwierając oczy.

- Pewnie jeleń - mruknął policjant. Wziął do ręki prawo jazdy, rzucił na nie okiem na około trzy sekundy i zwrócił Olafowi. Jego czoło pokrywała warstewka tłustawego potu,

połyskującego w świetle latarki. Cofnął się o krok, skierował strumień światła na furgonetkę, potem na drzewa, potem na Olafa. Wyglądało na to, że podejmuje jakąś decyzję. Następnie wycofał się do swojego wozu, rzucając ukradkowe spojrzenia w stronę lasu i wyrzucając z siebie potok słów, jakby chciał usprawiedliwić swoją niechęć do odwracania się tyłem do dziwaka w kretańskim ubraniu.

- Jeśli będzie pan rozpałał ognisko, niech pan je koniecznie zagasi wodą... Śmieci proszę wrzucić do oznakowanych pojemników albo zostawić w samochodzie, jeśli pan woli. Udanej podróży.

- Dziękuję.

Mężczyzna minął przód swojego wozu, przeszedł wzdłuż jego boku i okrążył otwarte drzwi, nie odwracając się od Olafa, jak na filmie puszczonej od tyłu. Nie zdejmując kapelusza, schował głowę pod dach i zatrzasnął drzwi. Rozległ się głośny trzask elektronicznego zamka drzwiowego. Zielona poświata terminalu komunikacyjnego nadawała widocznej przez przednią szybę postaci dość upiorny wygląd. Policyjny wóz zatoczył niewielkie koło, natrafił na koleiny prowadzące między drzewami i wkrótce pozostała po nim tylko niewyraźna biała łuna - co jakiś czas rozjarzająca się mocniej, przystrojona czerwienią mrugających tylnych reflektorów - która zanikała wraz z odgłosem silnika.

Może tu wrócić.

Zależało to przede wszystkim od tego, czy uwierzył, że Olaf jest sam. Było jasne, że nie uwierzył. Gdyby jednak przyłapał go na kłamstwie, to co z tego? Czy to był dowód, że popełniono przestępstwo? Nie. Tak naprawdę jedynym skutkiem dla policjanta byłoby narażenie się na zbędny kontakt z potencjalnie niebezpiecznymi ludźmi. Nawet, jeśli słyszał o morderstwie, trudno mu będzie skojarzyć te fakty. Zabójca miał przynajmniej jednego psa. Odgłosy z lasu mogło wydać takie właśnie zwierzę, ale nic innego nie wskazywało na jego obecność. A jakie zwierzę chowane przez człowieka siedziałoby po cichu w ukryciu? Do tego dochodziła wymowa Olafa. Profil zabójcy wspominał o silnym obcym akcencie opisanym przez kobietę, która słyszała go przez telefon. Większość ludzi mogłaby próbować ukryć akcent podczas popełniania przestępstwa, ale rzadko kto starałby się go fabrykować. Olaf bardzo mocno wierzył w przydatność fałszywych tropów.

- Freya! Thor! Eric!

Psy przedarły się przez gałęzie i usiadły w półkolu dookoła niego.

- *Góan dag!* - pochwalił zwierzęta. - Mam coś dla was. Chcecie? - Schylił się i wyjął z furgonetki jutowy worek. Wyciągnął z niego pełną garść suszonej wołowiny i rzucił ją przed największego z psów, potwora o imieniu Thor. Zwierzęta spojrzały na stos mięsa, po czym

przeniosły wzrok na swojego pana, wciąż czekając. Pozostałym dwóm wydzielił podobne porcje, po czym rzucił.

- Jedzcie. - Kiedy odłożył worek, po wołowinie nie było śladu. - Teraz idźcie pobiegać. Odjeżdżamy za pięć minut. - Wypruły na łąkę, jakby ktoś podpalił im ogony.

Ponownie otworzył ukrytą klapę. Wyciągnął topór zza pasa i cisnął do skrzyni z bronią. Sięgnął głębiej do schowka, palcami namacał plastikową kieszeń na wizytówki przyklejoną do drewna i wydobył z niej pieczołowicie poskładaną kartkę papieru. Odwrócił się, przysiadł na skraju otworu i rozłożył świstek. Nazwiska, opisy, adresy. Na liście figurowało pięćdziesiąt osób opisanych odręcznie małymi, starannymi literami. Policzył je, myśląc o każdym z osobna. O tym, jak jego życie przetnie się z ich życiem, kładąc mu kres. Cynthia Loeb była piąta od góry w pierwszej kolumnie. Krwawy odcisk kciuka częściowo przykrywał nazwisko poniżej. Olaf zdrapał plamę paznokciem i litery stały się czytelne: „Trevor Wilson, lat 12”.

Dalej opis zewnętrzny i adres domowy w Canon City w stanie Colorado.

Kąćki ust opadły w marsowym grymasie, jakby przytwierdzone sznurkami do ciężaru, który poczuł w piersi. Oczywiście wiedział, że na liście figurowało nazwisko chłopca. Ale teraz nadeszła jego kolej na śmierć. Pomyślał o swoich synach. Jego dłoń powędrowała do wisiora, który nosił na szyi na konopnym sznurku. Wyczuł palcami drewniany Othel - kształt rombu z ramionami przedłużonymi poza jego dolny punkt. Dla ludu Olafa był to symbol rodziny. Siedmioletni Jon spędził cały miesiąc, strugając go w ukryciu, żeby podarować ojcu w dniu jego wyjazdu. Syn pocałował go i wtulił twarz w jego pierś. Łzy chłopca spływały jak krew po włosach na skórze Olafa.

Ręka namacała teraz króliczą łapę, pierwszą zdobycz Bjorna. Trofeum było ogromnie ważne dla chłopca i Olaf czuł głębokie wzruszenie, kiedy syn mu je wręczył. Jedenastoletni Bjorn uważał się za mężczyznę i nie okazywał uczuć. Uściskał tatę, życzył mu bezpiecznej podróży i prędko odsunął się na bok. Silne postanowienie starszego syna, by nie okazać słabości, znaczyło dla Olafa tak samo dużo, jak łyżka Jona.

A teraz ten chłopiec, Trevor Wilson, ma zginąć. Jego rodzice będą zrozpaczeni.

Szczęka Olafa zeszywniała i zaczął składać kartkę.

Co trzeba zrobić, to trzeba.

Odwrócił się z powrotem do schowka, ukrywając papier, i podjął postanowienie, że okaże tyle litości, ile będzie mógł. Zatrzasnął klapę i skinął głową. Tak, tyle mógł zrobić. Prawo jego klanu nakazywało stawać twarzą w twarz z wrogiem i spojrzeć mu w oczy, dając szansę - jakkolwiek nikłą - na obronę i przeżycie. Nie dotyczyło jednak dzieci. Złoży chłopcu

wizytę późno w nocy, kiedy będzie spał.

*

Niemal na drugim końcu świata właśnie zadzwonił telefon. Obudził mężczyznę, który zmrużył oczy przed porannym słońcem wlewającym się do hotelowego apartamentu. Zerknął na urządzenie wydające z siebie piekielny świergot i podniósł z nocnego stolika leżący obok wysadzany drogimi kamieniami zegarek. Była 8.50, czyli 6.50 w jego strefie czasowej. Nasunął zegarek na rękę i podniósł telefon.

- Co jest? - burknął w swoim rodzimym języku.

Rozmówca wymówił jego nazwisko. Słowa, filtrowane przez elektroniczny modyfikator głosu, już całkiem go rozbudziły.

- Tak. Kto mówi? - zorientował się, że pytanie było głupie.

- Mów po angielsku - zażądał rozmówca.

Zastosował się do polecenia.

- Skąd masz ten numer?

- Pippino Farago jest gotów.

- Pip? - Mężczyzna usiadł na łóżku. - Gotów do czego?

- Na spotkanie z tobą. Ma to, czego chcesz. Bądź przekonujący. Zrób to teraz.

- O czym ty mówisz? Halo?

Tamten się rozłączył. Mężczyzna spojrział na telefon. Na wyświetlaczu pojawiła się informacja, że rozmówca był „nieznany”. Jakżeby inaczej! Zresztą, czy to ważne? Jeśli wiadomość od niego była prawdziwa, to podarował mu właśnie wyjątkowy prezent. Serce biło mu jak oszalałe, kiedy przewijał listę kontaktów w poszukiwaniu numeru Pipa.

9.

Reflektory Alicii oświetliły kuchnię i niemal natychmiast spoczęły na przerażającym znalezisku - odciętej głowie Cynthii Loeb. Ustawiona była na skraju blatu, tak że broda opadała poza krawędź, tuż przed stosem niepozmywanych naczyń i otwartym opakowaniem serowych krakersów.

Alicia wzięła gwałtowny wdech, który z głośniczków hełmu zabrzmiał jak skrzek i wrócił do niej w postaci przeszywającego trzasku. Instynktownie cofnęła ramiona nieznacznym ruchem, który powtórzyły masywne światła umieszczone na stroju. Stojący tuż za nią detektyw Lindsey dostał jednym z reflektorów prosto w głowę.

- Hej! - krzyknął z bólem. - Trochę ostrożniej!

- Przepraszam - wyszeptała.

Przepchnął się koło niej, pocierając czoło. Dostrzegł leżącą na blacie głowę i wydał z siebie zdławiony okrzyk.

Następny wszedł technik Fleiser, przeciskając się z drugiej strony Alicii. Nie wydał żadnego odgłosu, ale poczuła, że ścisnął ją za ramię.

- A więc to rzeczywiście morderstwo Pelletier - powiedział Lindsey głosem pozbawionym wyrazu, jak narrator filmu dokumentalnego. Aż do teraz musiał wierzyć ocenie policjanta przyjmującego zgłoszenie, który nadał bieg całej sprawie.

Fleiser odchrząknął.

- Słyszałem już tę nazwę, ale właściwie dlaczego „Pelletier”?

Alicia spodziewała się, że zapyta o cokolwiek, co choćby nieznacznie odwróci ich uwagę od groteskowego widoku.

- Od Nicolasa-Jacques'a Pelletier - odpowiedziała. - W 1792 roku został jako pierwszy stracony na gilotynie.

Taka ciekawostka przyszła do głowy któremuś z oficerów śledczych na miejscu pierwszej znanej zbrodni mordercy Pelletier w Utah. Nazwa się przyjęła.

Włosy w kolorze rudawego blondu były zmatowione i zbite w kołtun na czubku głowy. Alicia wyobraziła sobie z potworną jaskrawością, jak zabójca niesie głowę za włosy. Ale nie było widać ciągnących się śladów krwi. Opuściła wzrok, żeby sprawdzić ponownie, zabierając ze sobą snop światła.

- Co pani robi? Proszę oświetlić głowę! Światło na głowę! - zażądał Lindsey z paniką w głosie, jakby głowa Cynthii Loeb miała podfrunąć do niego i zacząć szeptać mu do ucha.

- Chwileczkę.

Podłoga była czysta poza kilkoma cieniutkimi brązowymi smużkami. Ewidentnie była to zaschnięta krew. Wyglądało to prawie, jakby starto rozlaną krew. Tylko po co? Nagle dostrzegła jakiś ślad na podłodze i podeszła bliżej. Trzy czwarte odcisku psiej łapy w czerwieni. Teraz to do niej dotarło: zwierzęta wylizały podłogę do czysta.

- No, paniusiu. - Detektyw sięgał do najgłębszych rezerw swojego uroku.

Powoli odwróciła się z powrotem w stronę głowy.

Tęczówki Cynthii - zielone, jak zauważyła Alicia - wywrócone były ku górze, jakby właśnie się zorientowała, jak fatalną ma fryzurę. Jedna powieka opadała. Obie dziurki nosa wypełnione były krwią, która zastygła również na lewej skroni i policzku. Fioletowo-żółty siniak wykwitł na prawej stronie twarzy. Wysuszone wargi wykrzywione były w cierpkim grymasie... Język był nabrzmiąły... Sącząca się krew utworzyła kałużę i skapywała na posadzkę.

Idiotyczne powiedzenie przyszło Alicii do głowy: nawet martwa bym się tak nie pokazała - i zdała sobie sprawę, co tak naprawdę znaczyło. Tyle razy się stroiłaś i szykowałaś, i malowałaś, pomyślała, zakładając, że kobieta czyniła za życia typowo kobiece starania. I tak skończyłaś. Już nie ma kogo olśniewać. Nawet samej siebie.

Odwróciła wzrok, utrzymując jednak światło halogenów na makabrycznych szczątkach ze względu na jej dwóch towarzyszy. Krąg jasności objął również poplamiony musztardą nóż, okruszki chleba i wąski pasek przezroczystego plastiku, jaki oddziera się z opakowania kielbasek koktajlowych, żeby dostać się do zawartości. Pusta torba na chleb leżała płasko jak wypompowany balon. Nieznacznie przesunęła krąg światła i ujrzała resztę pustej plastikowej torebki po kielbaskach. Tuż za nią stał słoik musztardy. Oczy Alicii, błędząc po kuchennym blacie, zatrzymały się na kałuży krwi.

- Sprawca zrobił sobie kanapkę - oznajmiła.

- Co? - mruknął Fleiser.

- Skąd wiesz, że ofiara sama nie zrobiła kanapki przed śmiercią? - zapytał Lindsey.

Fleiser parsknął.

- „Przed śmiercią”, dzięki, że to uściśliłeś.

- Wiesz, o co mi chodzi.

- Okruszki leżą na powierzchni tej plamy krwi. - Oświetliła to miejsce.

Fleiser zbliżył się o krok. Fakt. Niektóre były jeszcze białe, nienasączone.

- Jak w utworach Judas Priest.

Na moment zapadła cisza. Każde z nich wyobrażało sobie tę makabryczną scenę. Alicia wyczuła, że nawet pragmatyk Lindsey osłupiał.

Fleiser odezwał się pierwszy.

- Co ona ma na czole? - Powoli podszedł bliżej, uważnie omijając krew na podłodze.

- Pisałam o tym w rozesłanej notatce. - Alicia zrobiła zbliżenie małego znaku powyżej prawej brwi.

- Wygląda jak oparzenie... jakby piętno. - Technik zbliżył się tak blisko, że mógłby pocałować nieszczęsną panią Loeb. - To jest słońce.

- Słońce? - powtórzył jak echo Lindsey.

- Wielkości dziesięciocentówki. Odchodzą od niego krótkie promienie.

- Inne ofiary naznaczono w ten sam sposób - powiedziała Alicia rzeczowo. - To samo będzie na wnętrzu jej lewej dłoni. Kiedy znajdziemy ciało.

- To jakiś symbol satanistów? - Intonacja Lindseya podniosła się przy ostatnim słowie.

- Mamy tu czciciela diabła?

- Kto wie. - Przejrzawszy akta śledztwa w sprawie zabójstwa w Fort Collins, Alicia przetrząsnęła bazę danych Biura w poszukiwaniu znaków słońca. Wiele symboli solarnych kojarzone było ze znanymi grupami okultystycznymi, ale żaden z nich nie odpowiadał ściśle temu kształtowi. Najbliższy mu był Sonnenrad lub koło słońca. Symbol ten miał korzenie w starożytnej Europie, szczególnie ważny był dla dawnych kultur nordyckich i celtyckich. Przedstawiał zakrzywione promienie rozchodzące się ze środkowego punktu. Często używali go naziści w miejsce swastyki, która przed wiekami wykształciła się z koła słońca. Neonaziści przejęli ten znak, aby obejść zakazy, którymi obwarowano nazistowską symbolikę. W różnych kulturach Sonnenrad różnił się znaczeniem, gdzieś miał wymiar sataniczny lub okultystyczny, choć nie było to regułą.

Dowiedziała się, że wiele religii deifikowało słońce albo zawierało elementy kultu solarnego wplecione w swoją główną ideologię, nawet hinduizm i buddyzm. Cynthia Loeb wyraźnie była osobą religijną. Może to powiązanie?

- To może znaczyć wszystko - powiedziała.

- Naprawdę jest wypalone na skórze - oznajmił technik z niejakim zdziwieniem.

- Sądźmy, że sprawca podgrzewa jakiś mały, żelazny stempel ogniem z zapalniczki. - Przygryzła wargę. - Potem wyciska na skórze.

Fleiser przytaknął.

Alicia powtórzyła procedurę szukania ukrytych odcisków palców w świetle

podczerwieni i rejestrowania położenia wszystkich śladów - głowy, krwi, składników na kanapkę, odcisku łapy - w programie mapującym i banku dowodów. Następnie wyszła z powrotem do hallu, poruszając się sztywno i niezdarne w niewygodnym hełmie, kamizelce, nagołennikach, nałokietnikach, rękawicach i butach.

Poczuła potworną chęć, żeby oddalić się od tej głowy, a jednocześnie zdawała sobie sprawę, że następnym znaleziskiem będzie ciało. Ta rozterka nie wyjaśniała jednak jej złego samopoczucia, dlatego dłonie były zimne i spocone, serce łomotało jak wyścigowy koń w boksie i musiała wyęczać wszystkie siły, żeby uniknąć hiperwentylacji. Widziała już setki fotografii z miejsc zbrodni, oglądała skutki niewyobrażalnie okrutnych czynów, badała rany postrzałowe, śmiertelne zranienia, widziała zwłoki zmiażdżone w samochodach. A jednak w tej odciętej głowie było coś, co ją szczególnie przerażało. Może Brady będzie wiedział, o co tu chodzi, bo ona nie miała pojęcia.

- Myślisz, że morderca zostawił resztę ciała?

Zawahała się. Przez otwór drzwiowy na końcu hallu widać było przewrócony stolik czy kwietnik. Obok na podłodze leżał breloczek z kluczami i skrawek papieru. Z głębi pokoju ciągnęło się pęknięcie w drewnianej posadzce, jak rzeka na mapie. Wtedy dotarło to do niej i z trudem przełknęła ślinę. Rysa była naprawdę szeroką smugą krwi.

- No więc? - zawołał Lindsey zza jej pleców. - Idziemy!

Ruszyła w stronę pokoju.

Lindsey mruknął.

- Ta maszyna podpowiada kolejność oględzin pomieszczeń?

Alicia wiedziała, co ma na myśli: wejście przez tylną sypialnię, głowa w kuchni, miejsce ataku - najwyraźniej - w pokoju na przedzie domu. Miejsce zbrodni z sekundy na sekundę stawało się coraz rozleglejsze i bardziej skomplikowane. Kiedy reszta ekipy wkroczy wreszcie do domu, sytuacja może się wymknąć spod kontroli.

- Nazywamy to PA, planem ataku. System podpowiada, jakiego rodzaju technicy powinni przystąpić do pracy i co powinni zbadać, żeby zachować jak najwięcej śladów nietkniętych. Przekażę wam też większość informacji potrzebnych do sporządzenia raportów.

- Od razu?

- Jak tylko podłączę się do drukarki. Wydrukuję plan domu z zaznaczonymi dowodami, sekwencję kroków badawczych przy uwzględnieniu minimalizacji szkód i tę samą sekwencję z przydzielonymi zadaniami, żeby każdy wiedział dokładnie, co ma robić i nie marnował czasu.

- No... najpierw muszę je obejrzeć.

- Oczywiście.

Oczom ich ukazały się stopy martwej kobiety i reszta nóg. Kiedy Alicia weszła z hallu do pokoju, promienie halogenów przesunęły się wzdłuż ciała, boleśnie obnażając całe okrucieństwo mordu: góra beżowych szortów i dolna część bawełnianej bluzki usiana była plamami i kropkami brązowej czerwieni, które w miarę jak postać ukazywała się ich oczom robiły się coraz gęstsze, niczym wzór na firance. W połowie korpusu krew już całkowicie pokrywała tkaninę. Z kołnierza wystawał kikut szyi - dłuższy, niż Alicia mogłaby podejrzewać. Kończył się czystym cięciem w miejscu, gdzie powinna być głowa. Alicii przyszła na myśl źle skadrowana fotografia.

Za pomocą klawiatury na lewym przedramieniu i lasera na końcu palca wprowadziła dane zwłok. Kolejne kliknięcie i wszystkie lasery zamocowane na szczycie hełmu, dotąd wędrujące po pomieszczeniu, teraz skierowały się w przód i ku dołowi. Skupiły się na zwłokach i zaczęły przemykać się po nich z taką prędkością, że utworzyły jedną nasilającą się czerwoną poświatę ogarniającą ciało. Aparat fotograficzny umieszczony na poziomie ucha wydał z siebie trzask, a następnie ciche buczenie. Trzydziestopięciomilimetrowy film z perfekcyjną dokładnością uwiecznił najbardziej odporne szczegóły, które mogły umknąć nawet cyfrowej kamerze o wysokiej rozdzielczości zapisującej obraz na twardym dysku.

Gdy skończyła, odwróciła się od makabrycznego widoku. Przed kominkiem leżała paleta z wysychającymi bryłkami koloru, a obok niej akrylowy kosz na śmieci, wciąż połyskujący świeżą farbą. Pochyliła się, żeby przyjrzeć się ilustracji.

- Niech pani sprawdzi włącznik światła - odezwał się Lindsey - żebym mógł je zapalić.

Odwróciła się, detektyw wskazywał palcem na ścianę.

- Najpierw podczerwień - odpowiedziała i ponownie rozpoczęła procedurę: zgaszenie reflektorów, włączenie podczerwieni, włączenie reflektorów, zaznaczenie dowodu laserowym wskaźnikiem... Nowe miejsce: zgaszenie reflektorów, włączenie podczerwieni, włączenie reflektorów, laserowy wskaźnik... aż zbadła cały pokój. Wreszcie sprawdziła, czy na włączniku światła i w jego okolicy nie ma ukrytych odcisków palców. - Czysto - zaskrzeczała przez żalosalne głośniczki na hełmie. Zapalił światło. Przez blask halogenów nie zauważyła żadnej zmiany oświetlenia.

Nie było nic do oglądania oprócz ciała. Kucnęła i ustawiła się tak, by w zasięgu kamery mieć górny odcinek szyi razem z jego mokrymi anatomicznymi zawilościami, które nie powinny były nigdy ujrzeć światła dziennego. Następnie nakierowała liczne systemy DMZ na jeden z okaleczonych nadgarstków Cynthii Loeb. Żyły i ścięgna wystawały z

otwartych ran jak wyszarpane kable. Wokół było zadziwiająco mało krwi, jakby została zmyta. Albo - poczuła ucisk w żołądku - zlizana do czysta. Konstelacja maleńkich nakłuć rozchodząca się od rany na zewnątrz świadczyła o udziale jakiegoś zwierzęcia w ataku. Niewielka kałuża krwi zebrała się we wnętrzu otwartej dłoni kobiety. Na wypukłości ciała poniżej kciuka widniało piętno słońca. Palec serdeczny był odgryziony.

Alicia nagle wstała. Ciężar hełmu o mało nie przeważył jej do tyłu. Cofnęła się o krok, żeby się nie przewrócić, i wpadła na stojący za nią mebel, który trzasnął o drewnianą podłogę. Zakłęła pod nosem. Oczyma duszy widziała, jak zatacza się pod ciężarem hełmu, obija o meble, wpada na ściany, depcze ślady i potyka się o zwłoki... Tłumiąc ciekawość, jaki mebel przewróciła, zmusiła swoje ciało do ustawienia się w miejscu. Kiedy poczuła, że odzyskała równowagę, zamknęła system, odpięła hełm z kołnierza i ściągnęła go. Stała, chwiejąc się lekko z hełmem w obu rękach. Światło w pokoju się paliło, ale wydawało się niewystarczające dla tego pomieszczenia. Czowała, że jej głowa zaraz eksploduje.

- Wyłączone? - głos Lindseya zabrzmiał głośno, teraz kiedy pozbyła się osłony hełmu.

Alicia wzięła głęboki oddech. To był błąd, bo zatoki i płuca wypełniły się zapachem krwi.

- Tak, wyłączone.

- Bogu dzięki - powiedział i wypuścił potężne gazy.

Tego jeszcze potrzebowała. Alicia obróciła się na pięcie i oddaliła się szybkim krokiem.

10.

Lotnisko Ben Guriona

Nieopodal Tel Awiwu w Izraelu

Wielka czarna limuzyna jak zwykle oczekiwała na płycie lotniska na przyłot samolotu Gulfstream IV z ojcem Adalbertem Randallem na pokładzie. Obserwował ją przez iluminator, czekając, aż pilot otworzy drzwi, opuści schodki i poda mu rękę. Był stary, za stary już na takie manewry. Miał przygarbione plecy, postrzał w kolanach i nie posiadał już takiej masy mięśniowej, jaka u młodszego mężczyzny pomogłaby zrekompensować te niedostatki. Przynajmniej nie musiał latać liniami komercyjnymi.

Kiedy się zbliżał, tylne drzwi limuzyny otwarły się. Wychyliwszy się, Pippino Farago zmierzył go wzrokiem, po czym na powrót zniknął w chłodnym, ciemnym wnętrzu pojazdu.

Wejście do samochodu jeszcze bardziej nadwyrężyło kręgosłup Randalla.

Część przeznaczona dla pasażerów miała układ saloniku z dwoma wyłożonymi pluszem podłużnymi siedzeniami naprzeciw siebie - jednym tuż za fotelem kierowcy, drugim w tyle samochodu. Pip i jego mocodawca Luco Scaramuzzi usadowili się na tylnym siedzeniu, więc Randall opadł na przeciwległe, twarzą do nich.

Luco uśmiechnął się ciepło. Pochylając się, wyciągnął rękę, a ojciec Randall ją uściskał.

- Dobrze ojca znowu widzieć - odezwał się Luco. Należał do najprzystojniejszych mężczyzn, jakich księdzu zdarzyło się kiedykolwiek widzieć na ekranie lub w życiu. Mógłby być włoskim bratem George'a Clooneya. Był smukły, wysoki i muskularny. Mimo czterdziestu dwóch lat linia gęstych włosów koloru soli z pieprzem nie przesunęła się ani na centymetr w górę czoła.

A Bóg nie szczędził mu okazji do wykorzystania atrakcyjnego wyglądu. Gdyby urok był grą karcianą, Luco miałby w ręce królewskiego pokera. Dzieci go uwielbiały, mężczyźni podziwiali, a kobiety... no cóż, wyrażenie „bożyszczce kobiet” z pewnością zostało ukute z myślą o Lucu Scaramuzzim.

Randall uśmiechnął się w duchu na te górnolotne pochwały. Można by pomyśleć, że jest jego agentem prasowym, a nie teologiem. Ale nie zamierzał przeproszać. To wszystko

była prawda, jak mu Bóg miły.

Randall przypuszczał, że Luco będzie potrzebował każdego ze swoich wspaniałych genów, żeby osiągnąć wyznaczony cel. To przypomniało mu o jeszcze jednej cnodzie Luca - był niezwykle pracowity. Wydawało się, że nigdy nie śpi. Kiedy nie wypełniał akurat swoich obowiązków jako ambasador Włoch w Izraelu, snuł plany opanowania świata... Dosłownie. Lub ćwiczył w prywatnej siłowni, nurkował na Wyspach Liparyjskich, jeździł na nartach w St. Moritz... Bądź oddawał się innym, równie forsownym rozrywkom.

Wielka szkoda, że wobec wszystkich tych przymiotów mężczyzna był również uosobieniem zła. Lista haniebnych uczynków zawierała rozdziwiczanie młodych dziewcząt, romanse z żonami po to tylko, by złamać serce męża, rabunki, defraudacje, wymuszenia, podpalenia, pobicia. I morderstwa - nie zapomnijmy o morderstwach.

W istocie to właśnie zamach na polityka przed pięciu laty w Asia House - tym samym budynku, gdzie teraz sam uprawiał politykierstwo - zapewnił mu funkcję ambasadora.

Gdyby ktoś zapytał Randalla, dlaczego utrzymuje kontakty z tak nikczemnym człowiekiem, skłamałby. Ale miał swoje powody, a jednocześnie nie wstydził się spojrzeć w lustro przed snem. Zazwyczaj.

- Czy ojciec się czegoś napije? - zapytał Luco. Wyjął z lodówki butelkę wody mineralnej dla siebie.

- Poproszę wina.

Luco wysunął butelkę na tyle, żeby móc przeczytać etykietę.

- Brunello di Montalcino?

- Wyśmienicie.

Luco odkorkował butelkę, nalał odrobinę do kieliszka Riedel Vinum i podał Randallowi.

Ten uniósł rękę.

- Na pewno jest dobre.

Luco napełnił kieliszek do połowy i wręczył księdzu.

- Pip?

Asystent Luca podniósł dłoń na znak odmowy. Oczy utkwione miał gdzieś za szybą, jakby szukał wyjścia z problemu. Randall podejrzewał, jakiego charakteru.

Luco wyciągnął nogi, wyrównał kant na spodniach i pociągnął łyk wody. W końcu odezwał się.

- Jest ojciec gotów?

Randall uśmiechnął się, a jego wargi przybrały barwę skóry.

- Mam dla ciebie sensację.
- Nie muszę chyba podkreślać, jak ważne jest dla mnie to spotkanie.
- Rozumiem.
- Więc po co ta próżna gadanina? - roześmiał się Luco.

Co jakiś czas, w odstępach sześciu do dwunastu miesięcy, Luco spotykał się w Jerozolimie ze swoim zarządem - tak Randall określał Radę - by omówić podejmowane działania, opracować strategię i, jeśli uznają za stosowne, przyznać Lucowi więcej kontroli nad imperium, które kiedyś miało być jego. Do obowiązków Randalla należało ciągle potwierdzanie statusu Luca jako prawowitego następcy. Była to praca niepodobna do żadnej innej na świecie, ponieważ i spotkania, i członkowie zarządu różnili się od wszystkich innych.

Każde spotkanie było wojną umysłów: Luco starał się jak mógł, by przekonać do siebie Radę, zaś jego przeciwnicy robili wszystko, by go obalić. Dzisiejsza narada miała szczególne znaczenie. Luco zamierzał nie tylko wydrzeć Radzie nieco więcej władzy, ale wynik spotkania miał albo wzmocnić albo osłabić wiarę jego wyznawców na całym świecie. W następną niedzielę wybrani spośród nich - nie tak wpływowi jak członkowie Rady, lecz mający znaczenie dla kariery Luca - mieli się zebrać w Jerozolimie na, jak oceniał Randall, czymś w rodzaju spotkania dopingującego. Wydarzenie to złożone z mszy, przyjęcia i części ceremonialnej nosiło oficjalnie zagadkową nazwę Zgromadzenia.

Obrócił się do okna i obserwował przemykający krajobraz. Zbliżali się do Shaar Hagai, gdzie wraki pancernych pojazdów z czasów wojny o niepodległość rdzewiały wśród krzewów mimozy. Ziemia tutaj była płodna, pokryta zielenią, wokoło piętrzyły się wzgórza jerozolimskie, które w rzeczywistości były górami, na swój niedbały sposób tak pięknymi jak wszystkie wzniesienia Italii. Oprócz Alp. Z nimi nie mogły się równać.

Luco obserwował coś, co zbliżało się do samochodu od jego strony. Wcisnął guzik na swoim podłokietniku. Szklana przegroda oddzielająca szoferkę od pomieszczenia pasażerskiego obniżyła się, chowając w fotelu kierowcy.

- Słucham - powiedział kierowca.
- Zatrzymaj się tu, Tullio.

Pip gwałtownie wyjrzał przez okno od swojej strony, nieustannie węsząc niebezpieczeństwo. Nie zobaczywszy nic oprócz pól, przyklęknął i pochylił się do okna Luca.

- Co się dzieje?
- Dzieci. Tam, na łące.
- Rzucają kamieniami? Przecież zaraz je miniemy...
- Cii. - Luco otworzył drzwi, wpuszczając do wnętrza kurz i gorące powietrze.

Wysiadł. Tuż za poboczem widać było stromy na jakieś cztery metry uskok, a za nim, aż do podnóża gór rozciągała się łąka. Krzewy i drzewa rzucały plamy cieni, mogące ujawnić lub ukryć wiele przed ludzkim okiem. Świetne miejsce na kryjówkę, chyba że w swojej naiwności miało się na sobie biały podkoszulek. Było ich sześciu, sami chłopcy, stłoczeni za dużym krzakiem oddalonym o jakieś pięćdziesiąt metrów. Szeptali między sobą, rzucając ukradkowe spojrzenia w górę na przejeżdżające szosą samochody. Czekali pewnie, aż zza zakrętu wyłoni się jakiś autobus z dużymi szybami. Nie zauważyli, że limuzyna się zatrzymała. Luco wetknął głowę przez okno.

- Pip, daj mi swoją broń.

- Moją broń?

Randall pochylił się naprzód.

- Luco...?

Luco niecierpliwie strzelił palcami. Pip wyciągnął z kabury swój półautomat i po chwili wahania umieścił go w wyciągniętej dłoni Luca.

- Luco! - rzucił Randall ostro. - Co ty wyprawiasz? To nie...

- Cicho! - odwarknął Luco. Odszedł kilka kroków od samochodu, aż na pobocze.

- Hej! - zawołał.

Twarzyczki odwróciły się w jego stronę. Najmłodszy miał z dziesięć lat, najstarszy koło czternastu. Skryli się za krzakiem.

Luco sięgnął do wewnętrznej kieszeni i wyjął chusteczkę. Wytarł cały pistolet, wysunął magazynek i cały dokładnie wyczyścił. Randall wiedział, że tej broni nie da się namierzyć, taki był styl Luca.

Luco podniósł głowę i ujrzał przypatrujące mu się dzieciaki. Począł, aż minie ich zdezelowana furgonetka peugeot. Upewnił się, że nie ma innych samochodów w zasięgu wzroku i wznosił pistolet wysoko nad głowę wymachując nim. Cisnął go z nasypu w stronę wpatrzonych w niego chłopców.

Randall pokręcił głową. Dobył z kieszeni na piersi wysłużoną srebrną papierośnicę, wyjął z niej ręcznie skręconego papierosa i wcisnął go między zęby. Zapalił od płomienia wiekowej zapalniczki Zippo. Nachylił się do otwartych drzwi, wypuścił smużkę dymu i zerknął na Luca. Ten stał tyłem do samochodu, z rękami opartymi na biodrach. Czekał, co zrobią dzieci. Odwrócił się i zobaczył, że Pip patrzy w przeciwną stronę, przez swoją szybę.

Lewa noga Pipa była krótsza od prawej w wyniku tragicznego wypadku w dzieciństwie. Założył nogę na nogę, krótszą na wierzchu. Randall zerkał na coś, co wyglądało jak dwie książki przytwierdzone do podeszwy lewego buta. Odezwał się cicho.

- Pip?

Bez odpowiedzi.

Pochylił się i dotknął buta Pipa.

Nadal cisza.

Randall westchnął i oparł się na siedzeniu. W ciągu ostatnich kilku miesięcy zaprzyjaźnili się z Pipem. Ich rozmowy dotyczyły jednak głównie lekceważącego traktowania Pipa przez Luca, który od trzydziestu lat mienił się jego „przyjacielem”. Randall zachęcał Pipa - nawet jeszcze tego samego ranka przez telefon - żeby wyzwolił się spod wpływu Luca. Widać było, że Pip zmaga się z bolesnymi wspomnieniami i trudnymi decyzjami.

- Pip? - zawołał Luco.

Pip odwrócił się gwałtownie, unikając spojrzenia Randalla.

- Tak?

- Co to było, dziewiątka?

- Tak, lłama 9 mm.

- Daj pudełko.

Pip wyciągnął pudełko ze schowka pod podłokietnikiem i wręczył mu. Luco zrzucił je z nasypu. Kiedy uderzyło o ziemię, naboje potoczyły się na wszystkie strony. Wskazał palcem na rozsypane skarby, które dla nich zostawiał, skinął głową do chłopców i wrócił do limuzyny.

Skrzywił się na widok papierosa księdza i powiedział:

- Bardzo ojca proszę.

Randall zaciągnął się głęboko dymem i wyrzucił nadpalonego papierosa na zewnątrz na ziemię.

Luco zamknął drzwi.

- Jedziemy, Tullio - rzucił do kierowcy. Wyszczrzył zęby w uśmiechu. - Koniec szkoły dla miotaczy kamieni!

Pip skinął bez zdecydowania. Kiedy odjeżdżali, Randall obrócił się, żeby wyjrzeć przez zaciemnioną szybę. Pierwszy z chłopców już opuścił kryjówkę i biegł w stronę prezentu Luca. Inni podążyli w ślad za nim, a potem limuzyna łagodnie skręciła pomiędzy wzgórzami i chłopcy zniknęli z pola widzenia.

Luco założył nogę na nogę i z uśmiechem pełnym zadowolenia z siebie począł ocierać zakurzony but chusteczką.

- Jeden z tych chłopców kiedyś cię zastrzeli - oznajmił Randall.

Uśmiech spelzł z twarzy Luca. Spojrzał w oczy księdza, a tamten roześmiał się sucho.

- Nie, Luco, to nie przepowiednia. Tylko odrobina sarkazmu.

- Twoje żarty mnie nie bawią.

- Mnie twoje też nie - odparł. - Twoim przeznaczeniem są rzeczy wielkie. Po co tracisz czas na sztubackie wybryki? - Jego ton brzmiał ojcowsko.

Luco wzruszył ramionami.

- Dla zabawy. - Zwrócił się do Pipa. - Może powinniśmy pojechać do domu przez Mevo Modi'in. - Uśmiechnął się od ucha do ucha. - Słyszałem, że na trasie nr 1 czyhają niebezpieczeństwa. - Strzepnął chustkę o swój wyczyszczony but, zmienił nogę i zaczął wycierać drugi. Po kilku wdechach zapytał: - Jak długo może ojciec zostać tym razem?

- Wylatuję dziś wieczór.

Wyraz zatroskania przemknął przez twarz Luca.

- A co z...?

- Nie martw się, wrócę na Zgromadzenie. - Ojciec Randall pociągnął łyk wina. Zamknął oczy i odchylił głowę. To będzie długi tydzień.

11.

Dwa lata temu Brady nie leciałby o 6.40 z Dulles do Colorado Springs, tylko poczekał na następny lot. Wymogiem FBI było, żeby nosił ze sobą pistolet zawsze, kiedy jest na służbie, czyli również podczas podróży służbowych. Federalny Zarząd Lotnictwa uznawał potrzebę wnoszenia broni na pokład przez niektórych stróżów prawa i wyrażał na to zgodę, pod warunkiem że stosowali się oni do ścisłych wytycznych regulaminu. Jeden z punktów zabraniał „wchodzenia na pokład samolotu aż do ośmiu godzin po spożyciu alkoholu”. Według swoich szacunków Brady skończył pić - wyrażenie „stracił przytomność” nie przyszło mu do głowy - około północy. Pomimo że czuł się trzeźwy i gotowy, formalnie rzecz biorąc, naruszył prawo federalne, wsiadając na pokład o 6.25. Formalnie rzecz biorąc.

Zazdrościł Alicji jej praktycznego podejścia. Nie pozwalała, żeby coś tak błahego jak prawo stanęło jej na drodze w pościgu za przestępcą. Jeśli trapiła ją ironia tej sytuacji, to nie dawała tego po sobie poznać. Naturalnie nigdy nie zabiłaby człowieka niesprowowana i nie ukradłaby niczego dla własnej korzyści. Deptanie należnych przestępcy praw człowieka nie stanowiło jednak dla niej większego problemu. Tak jak nie stanowiło go zapominanie o protokole, kiedy było jej to na rękę; protokole, który postrzegala jako ciężar uwieszony u jej kostek w wyścigu po sprawiedliwość, a który dla Brady’ego był ścianą odgradzającą policjanta od oszusta.

Unikał ostentacji w swoich regulaminowych działaniach, nie pouczał, nie napominał. Nie chwalił się swoim rygoryzmem, przekonany, że szlachetne czyny spełnia się dla siebie i dla Boga, nie dla innych ludzi.

Brady był osobą, która zawsze w hotelach płaci osobno za dostępne w pokoju filmy, choć zawsze są to niewinne tytuły jak Władca Pierścieni czy Tytani, by nie obciążać kosztami służbowej karty kredytowej. Teraz zastanawiał się, po co ta drobiazgowość. Od śmierci Karen coraz częściej miał ochotę dopuścić się łamania protokołu lub przymknąć oko, kiedy inni to robią. Nie wierzył wprawdzie, żeby dobre zachowanie miało mu wyjednać jakieś szczególne błogosławieństwo, ale sądził, że nie przejdzie niezauważone przez Stwórcę, kiedy postanowi zabrać ofiarę pijanego kierowcy czy jej zrozpaczoną rodzinę.

Świadomość, że złe rzeczy przytrafiają się dobrym ludziom, nie dawała mu poczucia wspólnoty z innymi świętoszkowatymi głupcami, a raczej przekonywała go, że stwierdzenie

przeciwne jest równie prawdziwe: dobre rzeczy przytrafiają się złym ludziom. Nie żeby nieszkodliwe kłamstwa czy drobne występki świadczyły o podłości, ale dobrze wiedział, że wielu jego kolegów - głównie pracowitych agentów, porządnych ludzi o wyśmienitej reputacji i ogromnej skuteczności - pozwalało, żeby rząd płacił ich rachunki za hotelowe filmy i obsługę pokojową, naciągało fakty, by uzyskać nakazy aresztowania, i stosowało technikę zastraszania opornych świadków. Właściwie łamali wszelkie zasady prawne i moralne, choć w różnym stopniu. Niektórzy byli zdania, że wobec atmosfery, jaka wytworzyła się ostatnio wokół „praw przestępcy”, był to jedyny sposób, żeby chronić obywateli przed naprawdę złymi ludźmi.

Teraz pragnął łapać bandytów jeszcze bardziej niż dawniej. Oprócz chwil spędzonych z Zakiem pomoc w aresztowaniu przestępców była jedynym balsamem na jego skołataną duszę. Gdyby patrzył na swoje życie jak na zdemolowany, rozlatujący się dom pełen zdewastowanych mebli i pomazanych ścian, schwytanie przestępcy było jak posklejanie rozbitej porcelanowej figurki i ustawienie jej z powrotem na półce. A jeśli naginanie zasad lub, co ważniejsze, przyjęcie za zasadę łamanie reguł w imię dobra sprawy zwiększało skuteczność ich pracy, to on był za.

Pasażer po jego prawej stronie, barczysty biznesmen, rzucił się na poranne wydanie „Wall Street Journal”, pochłaniając kolumny oczami i wściekle wertując strony, jakby spodziewał się znaleźć ukryte w tekście oszczerstwa pod swoim adresem. Aby ułatwić sobie poszukiwania, pan biznesmen zajął również przestrzeń przed twarzą Brady’ego i czujnie lustrował szpalty. Brady odsunął rękę sąsiada. Mężczyzna wymamrotał przeprosiny, ale po minucie znów z głośnym szelestem rozpiął w powietrzu kolejną stronę.

Miejsce po lewej stronie Brady’ego zajęła drobna starsza kobieta. Zdawała się sądzić, że podróż samolotem to wyśmienita okazja do nawiązywania znajomości - jeśli znajomością można nazwać opowiadanie swojego życia ze wszelkimi możliwymi szczegółami pierwszy raz napotkanej osobie. Jeśli jego metabolizm i cztery tabletki przeciwbólowe mogły w jakimkolwiek stopniu złagodzić objawy wczorajszej libacji, ta kobieta wiedziała, jak do tego nie dopuścić.

- Proszę pani? - odezwał się w końcu Brady, kiedy samolot wyrównał lot na wysokości dziesięciu kilometrów.

Niesłabnący potok słów płynął dalej.

- Proszę pani - bardziej stanowczym tonem.

Przerwała, jakby zdziwiona widokiem wpatrzonej w nią żywej osoby na miejscu obok.

- Przepraszam, ale naprawdę muszę popracować. - Skulił się, by wydobyć segregator i

brulion z teczki wsuniętej pod siedzenie tuż przed nim.

Powróciła do swojego monologu, zaczynając w środku zdania, dokładnie tam, gdzie Brady jej przerwał. Westchnął i uznał, że kobieta nie zauważy, jeśli zajmie się własnymi sprawami, a nawet jeśli zauważy, to szczególnie jej to nie obejdzie.

Opuścił klapę wbudowaną w fotel przed nim i umieścił na nim brulion. Segregator położył na wierzchu. Nie był jeszcze gotów, by go otworzyć. Siedział z palcami spoczywającymi lekko na twardej okładce.

Poniżej dolnej krawędzi segregatora zobaczył trzy żółte zakładki. Dzieliły dokumenty na trzy sekcje, z których każda dotyczyła jednego z zabójstw Pelletier, z wyłączeniem ostatniego. Miejscowa policja dopiero wczoraj przefaksowała do Biura dokumentację i niektóre zdjęcia z miejsca zbrodni, dzięki perswazji Johna Gilbreatha, szefa wydziałów laboratoryjnego i szkoleniowego. Brady skopiował je przed wyjazdem do Colorado.

Pośród raportów, zapisów przesłuchań i szkiców miejsca zbrodni były też zdjęcia zwłok z wszelkimi możliwymi detalami. Wszyscy stróże porządku publicznego, od funkcjonariuszy policji hrabstwa po agentów FBI, w ramach szkolenia oglądali dziesiątki, jeśli nie setki fotografii zwłok. To doświadczenie służyło nie tylko zaostreniu ich zdolności śledczych, nauczeniu ich, na przykład, jak wyczytać prawdę z rozbryzgów krwi i rozpoznać upozorowane samobójstwo, ale również znieczuleniu ich na potworność skutków przemocy fizycznej. Wymiotujący funkcjonariusze sięją spustoszenie na miejscu zbrodni, a oficerom śledczym trudno dokonać rekonstrukcji zdarzeń na podstawie oględzin zwłok, jeśli na widok ciała ofiary dostają mdłości i zawrotu głowy. Słowa nie są w stanie opisać rozmiarów okrucieństwa, z jakim ludzie traktują innych, a także samych siebie: twarze zdarte od wystrzału karabinów, zwisające strzępy chrząstek, zatoki, oczodoły i gardła wypełnione krwią, wypatroszone ludzkie ciała, po których zostają jedynie puste łupiny, rozczłonkowane ofiary popakowane w worki, zakopane w ziemi...

Wobec okaleczeń, które zdarzyło mu się widzieć, dekapitacja nie wydawała się szczególnie potworna. A jednak na samą myśl przewracało mu się w żołądku. Nieodwołalność, ostateczność tego aktu była dla niego wstrząsająca. Na przestrzeni dziejów ludziom udawało się przetrwać przeraźliwe akty przemocy. Zdrowieli po postrzałach w każdą możliwą część ciała. Przeżywali amputacje i groźne rany cięte. Dźgnięcia, przekłucia, porażenia prądem, duszenie, obdzieranie ze skóry, otrucia, pobicia, oparzenia, ugryzienia, upadki z dużej wysokości.

Ale dekapitacji - nigdy. Nie pozostawiała żadnej nadziei, najmniejszych szans na przeżycie. I najpewniej dlatego zabójca wybrał tę metodę. Ścięcie głowy było bardziej

makabryczną wersją ciosu miłosierdzia, dobicia ofiary, co mafia i totalitarni przywódcy załatwiali za pomocą dwóch kulek w łeb.

Praca Brady'ego polegała na tym, żeby dać świadectwo tym zbrodniom, badać ich następstwa i opracować profil człowieka, który mógł te potworności popełnić. W swoje najlepsze dni czuł się jak mężny rycerz, który przemierza piekło po to, żeby uchronić od niego innych. Gdy był w dołku, a morderstwa okazywały się szczególnie odrażające, stawał się podglądaczem jakiejś alternatywnej rzeczywistości, gdzie wszystko było na opak. Narodziny, energia, nadzieja, życie, miłość, piękno - jego codzienność wypełniona była dokładną odwrotnością tychże. Zazwyczaj jednak praca wywoływała w nim poczucie, które plasowało się gdzieś pośrodku tych stanów.

Brady z westchnieniem podniósł segregator. Przeszło mu przez myśl, że był za lekki, że powinien jakoś oddawać ciężar tych straconych istnień, których dokumentację zawierał. Przyciągnął go do piersi, upewniając się, że zawartość jest dobrze ukryta przed kobietą (po drugiej stronie gazeta stanowiła wystarczającą zaporę) i otworzył z trzaskiem.

12.

Pod Jerozolimą

Luco Scaramuzzi wziął głęboki wdech i postarał się nie wyobrazić sobie ludzi po przeciwnej stronie wielkiego stołu konferencyjnego jako wielkiego stosu trupów. Choć miał ogromną chęć urzeczywistnić tę wizję, byli mu jednak potrzebni. Potrzebował ich pieniędzy, ich władzy. Na razie.

Nagie żarówki nad ich krzesłami pośród mroku pomieszczenia nadawały im bezcielesny wygląd, twarze unosiły się nad krawędzią stołu jak maski na Halloween przywiązane na żyłce wędkarskiej. Upiorny widok doskonale korespondował zarówno z miejscem, gdzie się znajdowali, jak i czekającym ich zadaniem.

Zajmowali ośmiokątną komnatę blisko dwadzieścia metrów pod uliczkami chrześcijańskiej dzielnicy starego miasta Jerozolimy. Pomieszczenie było częścią podziemnego kompleksu, który rozmaite rządy okupacyjne od trzech tysiącleci kolejno przywłaszczały sobie i adaptowały do swoich potrzeb. Przez ostatnie kilkaset lat stało zamknięte na głucho i zapomniane przez świat na powierzchni. Potem, dwadzieścia trzy lata temu, robotnicy przebili się przez ścianę w piwnicach Seminarium Patriarchatu Łacińskiego, odkrywając starożytny tunel wodny. Prowadził w dół do ogromnego labiryntu podobnych tuneli, katakumb, grot i komnat. Usytuowany był tuż przed murami starego miasta, pomiędzy Bramami Jaffy i Nową, czyli daleko od słynnych Tuneli Ezechiasza, Jaskiń Zedechiasza i innych znanych jerozolimskich podziemnych konstrukcji. Nikt nie miał pojęcia o ich istnieniu, a dzięki szybkiej reakcji ówczesnego rektora szkoły udało się je zachować w sekrecie. Wykonał kilka telefonów, odebrał nieliczne znaleźne i udostępnił pomieszczenia na wyłączny użytek pewnej *organizzazione oscura* - tajnej organizacji cieni, jak określał stowarzyszenie. Milczenie robotników opłacono (choć według jednej z wersji wszyscy zostali zamordowani). Zatrudniono nowych, którzy w progu osadzili żelazną bramę, zbudowali osobne wejście do piwnic i wzniesli ściany zapewniające prywatność wchodzącym i wychodzącym z podziemnych pomieszczeń.

Na przykład Lucowi. Oraz dwanaścioru mężczyznom i kobietom siedzącym naprzeciw niego.

Podłużne sylwetki otaczających ich kolumn poprzecinane były odłamkami przyćmionego światła. Rozmieszczone w regularnych odstępach wyznaczały wymiary pomieszczenia. Sala szeroka na dwadzieścia pięć metrów przypominała bardziej starożytny królewski grobowiec niż koszary, którymi kiedyś była. Fragmenty kamienia z kruszących się ścian osiadły na podłodze, tworząc coś w rodzaju wklęsłego nasypu. Głowice kolumn i belkowanie bogato zdobiły liście winorośli i motywy twarzy, z których pozostały tylko guzki i bruzdy przywodzące na myśl raczej tkanę bliznowatą. Kamienne wsporniki łukiem zbiegały się w szczytowym punkcie wysokiego sklepienia sali teraz ukrytego w mroku.

Żarówki rozwieszono między naprzeciwległymi filarami. Rzuciły słabe światło na nieskazitelną konstrukcję stołu z wiśniowego drewna, tak nieprzystającego do otoczenia jak moneta krugerrand w ręku épuna.

Luco zajmował jedno z dwudziestu identycznych krzeseł dość rzadko rozstawionych wokół stołu. Ośmiu mężczyzn i cztery kobiety naprzeciwko niego tworzyli ciało zarządzające organizacji zwanej eufemistycznie Strażnikami. Jego pradawna właściwa nazwa była trudna do wymówienia, w tych czasach niewiele wypowiadało ją na głos czy nawet znało. Większość z dyrektorów zastąpiła na stanowiskach swoich ojców i matki, zarówno tutaj, jak i w szerszym świecie. Aby zapobiec osłabieniu zgromadzenia, miejsca opustoszałe z powodu bezpłodności, nielojalności, niepowodzeń politycznych bądź finansowych czy przedwczesnej śmierci członków, których dzieci były zbyt młode, by przejąć obowiązki rodziców, zapelniano na drodze rekrutacji. Każdy z dyrektorów był majątny i wpływowy - równi sobie wśród światowej elity.

Ponieważ cieszyli się wszelkimi przywilejami i sprawowali obowiązki od dawna im przeznaczone, ich wyraźnie zarysowane osobowości kształtowały przede wszystkim wysokie urodzenie i przynależność narodowa, nie zaś, jak w przypadku zwykłych ludzi, złożona mieszanka pragnień zaspokajanych z trudem, i tych nigdy niezrealizowanych. Gdy każdą pokusę można łatwo i natychmiast zaspokoić, doświadczenia będące dla ludzi źródłem najradośniejszych nawet emocji - miłość, sukces, przygoda - szybko powszednieją. Co za tym idzie, poczuciem, które definiowało życie każdego z nich, było znudzenie.

Tak było, dopóki w ich życiu nie pojawił się Luco. Uosabiał to, o czym marzyli i na co czekali. Był inny niż wszystko, co dotąd widzieli. Kiedy Luco myślał o wrazeniu, jakie na nich wywarł, do głowy przychodził mu tylko frazes pełen nastoletniego egocentryzmu: ruszyłem ich świat w posadach! Tandetne to, owszem, ale doskonale oddawało sytuację Luca pośród tych arystokratów, których świat trwał w bezruchu od czasu szoku po opuszczeniu łona matki.

Mężczyzna siedzący naprzeciwko Luca zatopiony był w cichej rozmowie ze swymi towarzyszami. Był to Koji Arakawa, dziedzic fortuny nieruchomości, nadzorca potężnej gałęzi finansowej komisji i faktyczny przywódca Strażników. Nawet w niekorzystnym świetle komnaty jego władcze rysy pozostały niezaprzeczalnie piękne, Luca dobrze znał również jego błyskotliwość i inteligencję. Łatwo było sobie wyobrazić jak przyjmuje poddanych i wydaje edykty w tokijskiej kwaterze głównej swojej korporacji, azjatycki Salomon ze światem u swych stóp. Jeśli mógłby podziwiać kogokolwiek pośród nich - tych padlinożerców czekających, by ogryźć kości z jego talerza, którzy udawali, że go chronią, prowadzą, ułatwiają mu rozwój, podczas gdy w rzeczywistości trzymali łapy na przynależnej mu własności - jeśli ktokolwiek mógłby budzić w nim szacunek, byłby to właśnie Arakawa. Stoicko spokojny, emanował żelaznym zdecydowaniem, które inni mogli tylko nieudolnie naśladować.

Luco podniósł do ust butelkę wody mineralnej Daggio i opróżnił ją do połowy. Kiedy postawił ją z powrotem na stole, poczuł na sobie wzrok Arakawy. Głos mężczyzny był tak dostoyny, jak jego aparycja.

- Luco - odezwał się uprzejmym tonem - nie jesteśmy pewni, czego chcesz.

- Wszystkiego - odparł.

- Co to znaczy „wszystkiego”? - zapytał Niklas Hüber z ostrym, teutońskim akcentem. Wypowiadając ostatnie słowo, uderzył otwartą dłonią w blat stołu, jakby chciał rozgnieść robaka. Niemiecki magnat telekomunikacyjny był najzagorzalszym przeciwnikiem Luca. Zamiast brwi miał dwie czarne gąsienice, na głowie burzę siwych włosów i ponurą twarz z obrazów Edwarda Muncha.

Luco z niewzruszonym spokojem studiował złowrogą minę adwersarza.

Gdyby wzrok mógł zabijać...

Inni również oczekiwali na odpowiedź. Wszyscy poza jego rodakiem Donato Beninim. Stary dobry Donato. Najgorętszy stronnik Luca, niemal fan. Jego zawsze obecny uśmiech przygasł nieco pod wpływem zakłopotania, może nawet zawstydzenia kiepskimi manierami Hübera.

Donato siedział na jednym krańcu półkola, Hüber na drugim. Na drodze nieumyślnego, o czym Luca był przekonany, procesu polaryzacji poglądów Strażnicy z czasem dostosowali do nich również zajmowane przy stole miejsca. Poczynając od Donato, z każdym członkiem zaufanie do Luca i entuzjazm dla jego planów stopniowo malały, przeradzając się na przeciwnym końcu w skrajną pogardę Hübera.

Luco zamierzał przechylić na swoją korzyść to spektrum opinii, zamienić wątpliwości

niektórych w zaufanie i przymilność Donata.

- Wszystkiego - powtórzył, wruszając ramionami. - Kont bankowych, holdingów nieruchomości, obligacji, kontaktów z politykami, potentatami medialnymi i inwestorami, kontroli nad technikami, urzędnikami, zabójcami... wszystkiego.

- Chyba oszalałeś! - wypalił Hüber, rozgniatając dłonią kolejnego niewidzialnego insekta.

Podniosła się wrzawa, posypały wyrazy oburzenia, u jednych wywołanego słowami Luca, u innych Hübera.

Jeden Arakawa nie odezwał się słowem. Napotkał spojrzenie Luca i wygiął wargi w uśmiechu. Luco nie potrafił rozszyfrować wyrazu twarzy mężczyzny. Mógł oznaczać: „Jak to możliwe, że wylądowaliśmy wśród tych głupców?”. Albo równie dobrze: „No, to masz kłopoty”.

Po chwili uciszył resztę.

- Zdajesz sobie sprawę, że mamy dla ciebie plan, harmonogram? - zwrócił się do Luca.

- To wasz harmonogram, nie mój.

- Czy posiadasz jakieś informacje, które świadczyłyby o tym, że posuwamy się zbyt wolno?

- Wiem to... stąd - Luco dotknął swojej piersi.

Piękna kobieta po czterdziestce, odziana w sari z jedwabiu w odcieniach fioletu, wyciągnęła do niego rękę, jakby coś ofiarowywała.

- Panie Scaramuzzi - powiedziała. - Daliśmy już panu bardzo wiele. Same pańskie osobiste dochody...

- Księżniczko Sajra Kumar - przerwał jej Luco, skłaniając głowę. - Proszę mi wybaczyć. Zdaję sobie sprawę, że dysponuję niemałym majątkiem i pewnymi wpływami politycznymi...

- Masz posłuch u włoskiego premiera - wtrącił się Hüber. Szykował się do dłuższej tyrady, ale Luco go uprzedził.

- Jako ambasador, owszem. Jednak czuję, że jestem powstrzymywany, że... utrudnia się spełnienie proroctwa.

Ich zaniepokojenie dało się zauważyć w wyrazie ust. Niektóre rozwarły się w osłupieniu, lecz większość ściągnęła się w gniewie. Nawet niewzruszony Arakawa zmarszczył brwi.

W przypadku większości instytucjonalnych zgromadzeń wzmianka o proroctwach

musiałyby wywołać gorące emocje. Ale Strażnicy byli organizacją teokratyczną, kierowali się zasadami, które są obce Harvard Business School, choć trójka z obecnych posiadała dyplomy tej szacownej uczelni.

Nie, wstrząsnęła nimi właśnie sugestia, że stoją na drodze spełnienia się proroctwa. Celem organizacji było rozpoznać pewne przepowiednie, przyspieszyć i ułatwić ich realizację. A oto mieli przed sobą Luca Scaramuzziego, który wprost oskarżał ich o zaniedbanie obowiązków.

Niklas Hüber skierował teraz swoją uwagę na Arakawę. Oczy nieomal wyskakiwały mu z orbit, a twarz przybrała odcień, jaki miewają poślądki po dobrym laniu. Luco uśmiechnął się na tę myśl.

- Nie wydaje mi się... - zaczął Hüber.

Nie odwracając twarzy od Luca, Arakawa uciszył mówiącego gestem podniesionej dłoni.

- Skoro nie możesz mieć wszystkiego, na czym w szczególności ci zależy? - zapytał Arakowa.

- Zaczę od Włoch.

Wyniosły Japończyk wytrzymał spojrzenie Luca, potem popatrzył na każdego po kolei.

- Już czas - dodał Luco.

Przez moment Arakawa wydawał się przyglądać stojącej przed nim pustej szklance po wodzie. Następnie powiedział:

- Luco, czy mógłbyś dać nam kilka minut na dyskusję we własnym gronie?

Luco skinął głową.

- Naturalnie. - Podniósł się i odszedł od stołu, znikając w mroku komnaty. Ciągle czuł na sobie ich wzrok. Wiedział, że prezentował się świetnie w skrojonym na miarę garniturze. Z każdego jego ruchu emanowała pewność siebie. Chcąc ich rozgryźć, wynajął specjalistę od behawioryzmu. Jednocześnie zatrudnił konsultantów od wizerunku, by rozgryźli jego, a przynajmniej nadali jego postaci taką samą siłę wyrazu, jaką miały jego słowa i czyny. Udoskonalili jego garderobę, fryzurę i mowę ciała, by świadczyły o sile i zdolnościach przywódczych. Powoli - czasem sądził, że zbyt wolno - stawał się takim człowiekiem, jakim chciał go widzieć świat.

Stał pod ścianą i odwrócił się, by przyjrzeć się członkom zarządu, czyli swoim inkwizytorom. Pochyleni w stronę siedzącego pośrodku Arakawy szeptali i gestykulowali, wytykając sobie nawzajem brak logiki. Podniósł do ucha palec, jakby chciał strząsnąć

drażniącą go muchę i włączył niewidoczną niemal słuchawkę. Natychmiast dobiegł go bezładny szmer ich szeptów.

- ...jest za wcześnie!

- To zawsze było naszym zamiarem, wyłącznym zamiarem naszej organizacji, od czasów...

- Niemniej nadal nie jestem przekonany...

Zamontował ultraczułe miniaturowe mikrofony do kabla z żarówkami wiszącego nad stołem. Potrafił przypisać głosy do ich właścicieli, rozpoznając je bądź śledząc ruchy ich warg. Ton rozmowy sprawił mu zawód, a nawet zdziwił go. Powiedzą mu, że potrzebują dowodu, jakiegoś znaku, że już czas, by wykroczył poza swój dotychczasowy status. Jednak w rzeczywistości to nie znaków chcieli. Chcieli wiedzieć na pewno, że był tym, za kogo się podawał, tym, na którego czekali. Wiara, jaką go obdarzyli, doprowadziła go do tego miejsca, ale następny krok, krok ku któremu ich popychał, prowadził za horyzont, a stamtąd nie było już odwrotu.

Przygotował się. Dwa szybkie ciosy, które miały rozwiać ich wątpliwości. Może oprócz Hübera - ale inni, stuprocentowo przekonani, nakłoniliby go do uległości. Pierwszy argument przedstawi im, gdy wszystkie dowody, potwierdzone przez ich własnych ekspertów, będą mieli przed oczami. Argument o wielkiej mocy - być może najpotężniejszy ze wszystkich dotychczas. Drugi - to jego majstersztyk obliczony na wywarcie maksymalnego wrażenia. W tym momencie rozgrywał się on w Stanach Zjednoczonych dzięki taktycznemu geniuszowi Arjana i morderczym zdolnościom Skandynawa. Nie przedstawi go Strażnikom. Odkryją go sami i tu kryła się jego siła przekonywania.

Niecierpliwie się, ruszył w stronę sklepionego wyjścia z komnaty. Nie było tam drzwi, tylko próg dzielił pomieszczenie od korytarza. Gdzieś tam czekała straż z lampami, jednak od Luca dzieliła ich zbyt duża odległość albo zbyt wiele zakrętów, korytarz więc wyglądał jak wypełniony gęstym, czarnym dymem. Przez słuchawkę usłyszał czyjś szept: „Gdzie on idzie?”. Arakawa zawołał za nim: „Luco?”. Echo podniesionego głosu rozbrzmiało w słuchawce i zawisło w powietrzu, pulsując w jego głowie. Sięgnął ręką i wyłączył aparat.

- Luco?

Nie odwracając się, podniósł palec wskazujący, tak by go widzieli. W następnej chwili wyszedł na korytarz i pochłonęła go ciemność.

13.

Poza sposobem działania mordercy na pierwszy rzut oka nic ofiar nie łączyło. Pierwszy z zabitych, Joseph Johnson, lat czterdzieści pięć, był ojcem pięciorga dzieci i mieszkał w Ogden w stanie Utah. Wykładowca księgowości na Stanowym Uniwersytecie Webera. Rasy białej. Z zapisków policjanta prowadzącego śledztwo wynikało, że pan Johnson cieszył się dobrym zdrowiem, był zapalonym narciarzem, aktywnym członkiem Kościoła mormonów. Urodzony w Ramstein w Niemczech, gdzie jego ojciec stacjonował z 83. Skrzydłem Lotnictwa Transportowego. W wieku jedenastu lat przeprowadził się do Utah. Przez trzy lata mieszkał w bazie lotniczej Hill, następnie przeniósł się poza bazę do sąsiadującego z nią miasteczka Layton, kiedy jego ojciec odszedł na emeryturę. Ukończył Stanowy Uniwersytet Webera dwadzieścia lat temu. Jego życie nie obfitowało w szczególne wydarzenia. Tak przynajmniej wyglądało to dla człowieka z zewnątrz przeglądającego jego naprędce skleconą biografię.

Brady zanotował kilka szczegółów w brulionie. Biznesmen po jego prawej ręce ciągle zagłębiony był w lekturze prasy. Po lewej stronie starsza pani niezmiennie pochłonięta była własną opowieścią. Przeszedł do kolejnej sekcji.

Ofiara numer dwa, William Bell, dwudziestotrzyletni pomocnik hydraulika z Moab. Nigdy nie był żonaty. Rasy białej. Ukończył szkołę średnią w Grand Country ze średnią trzy. Bez wyższego wykształcenia. Urodził się tam, gdzie został zamordowany. Sporo wzmianek na temat bójek i pijackich incydentów.

Ofiara numer trzy, Jessica Hampton z Orem. Lat czterdzieści. Gospodyni domowa. Od dwudziestu lat żona tego samego mężczyzny, pośrednika nieruchomości. Syn i córka w szkole średniej.

Można skreślić płeć jako kryterium wyboru ofiary.

Dlaczego zabił akurat ciebie, pomyślał Brady, wpatrując się w powiększone zdjęcie z prawa jazdy Jessiki Hampton. Widniała na nim brunetka z luźno opadającymi kręconymi włosami do ramion. Szeroki uśmiech, wesołe oczy. Lekka nadwaga, sądząc po wypukłości policzków. Przystojna kobieta i całkiem niezła fotka jak na prawo jazdy. Wiedział, że następna strona zawiera fotografie zwłok na miejscu zbrodni. Nie miał ochoty ich oglądać, przynajmniej nie teraz, więc otworzył kolejną sekcję.

By zabić następną ofiarę, morderca zapuścił się aż do Colorado. Gruby błąd. Kiedy technicy laboratoryjni ustalą związek pomiędzy choćby jednym zabójstwem w Utah i jednym w Colorado, sprawa trafia pod jurysdykcję FBI i zaczyna się masowa oblawa. Brady uśmiechnął się do siebie. Wbrew obiegowej opinii FBI nigdy nie „przejmuje” śledztwa. Raczej koordynuje pracę miejscowej policji i wnosi wsparcie techniczne, wywiadowcze oraz śledcze, o jakim wszystkie inne organy ścigania mogą tylko pomarzyć. Czasem, co prawda, trzeba przypomnieć miejscowym, jakimi zasobami dysponuje FBI oraz że ma prawo zrobić z nich użytek. Czy była to pomoc, czy zastraszanie, to już kwestia semantyki.

Brady lubił myśleć, że jeśli przestępca naraził się FBI, to potwornie schrzanił sprawę. Prawda była taka, że ci, którzy to robili, najczęściej mieli to gdzieś. A wielu wręcz uwielbiało wzbudzać zainteresowanie federalnych. Kto chciałby prowadzić ryzykowną grę z miejscowymi kmiotkami? „Ciężkie działa” - oto jak opinia publiczna i grupy przestępcze postrzegały FBI. Zasługi za stworzenie tego wizerunku należały się filmowcom, którzy musieli przedstawić FBI scenariusz do akceptacji, jeśli chcieli liczyć na współpracę Biura, oraz speccom od wizerunku, którzy rozgłaszali triumfy agencji, jednocześnie pomniejszając rozmiary wpadek. Nie bez znaczenia, jak przypominał sobie Brady, były również wysokie standardy pracy i osiągnięcia samej organizacji. Mieli do dyspozycji dziesięć tysięcy agentów, trzysta tysięcy personelu pomocniczego, trzymiliardowy budżet. Nic dziwnego, że łapali przestępców. Jednak pozycja Biura inspirowała również skrzywione jednostki o skłonnościach do zabawy w kotka i myszkę, skrycie pragnące umrzeć.

Ofiarą z Fort Collins w stanie Colorado był trzydziestotrzyletni mężczyzna o nazwisku Daniel Fears. Nauczyciel WF w szkole średniej, trener. Rozwiedziony, jedna córka. Afroamerykanin.

Chociaż większość seryjnych morderców zabijała ludzi tej samej rasy co oni sami, zdarzały się wyjątki. Brady nie był zresztą pewien, czy mieli do czynienia z seryjnym zabójcą. Przemieszczanie się i krótkie odstępy między kolejnymi zbrodniami wskazywały raczej na impulsywnego mordercę - różnica dla ofiar niewielka, ale decydująca dla ustalenia strategii ścigania.

Detektyw pracujący nad sprawą Frearsa zanotował, iż zamordowany kolekcjonował monety, ćwiczył na siłowni trzy razy w tygodniu i był starszym członkiem First Baptist Church.

Hmm. Joseph Johnson również czynnie uczestniczył w życiu swojego Kościoła. Różniło ich wyznanie. Nie było wzmianki o przekonaniach religijnych Jessiki Hampton. Jeśli nawet William Bell chadzał do kościoła, liczne przypadki wszczynanych po pijanemu

awantur świadczyły, że kazania nie trafiały raczej na podatny grunt.

Nie, jeśli zabójca widział jakieś podobieństwo między ofiarami, to nie rzucało się ono w oczy. Różniły się wiekiem i miejscem zamieszkania. Zajmowały inne pozycje na drabinie społecznej, różniły się poziomem wykształcenia. Płeć nie. Rasa nie. Ogden było miasteczkiem uniwersyteckim. Fort Collins również. Co do Moab i Orem nie był pewien. Zanotował sobie, żeby to sprawdzić.

Pomimo odmienności dzielących ofiary, sposób działania mordercy się nie zmieniał. Dekapitacja. Każdą z głów układał oddzielnie od ciała, ale poza tym nie pozował zwłok - zostawiał je tam, gdzie upadły. Kły przebiły skórę, mięśnie i wiązadła na dłoniach, nadgarstkach i przedramionach każdej z ofiar. Prawa ręka Jessiki Hampton została niemal całkiem odgryziona. Na dwóch ciałach - Josepha Johnsona i Davida Frearsa - koroner znalazł również głębokie ugryzienia zwierzęcia wokół kostek i na stopach. Laboratorium w Ogden ustaliło, że sierść pozostawiona na miejscu zbrodni pochodziła od krzyżówki wilka i psa, przynajmniej dwóch różnych zwierząt. Te agresywne hybrydy były teraz nielegalne w około trzydziestu stanach. Jeśli morderca używał tych zwierząt do unieruchamiania ofiar, musi mieszkać w stanie, gdzie można je hodować zgodnie z prawem. Lub na odludziu. Nie udałoby się utrzymać psów w tajemnicy w mieście lub okolicy podmiejskiej.

Wszystkie ofiary zabito w domu. Czy wiedział wcześniej, gdzie znaleźć swoją zwierzynę? Znał ich adresy? Czy po prostu jeździł po okolicy, zauważał ich przed domem i dokonywał wyboru na miejscu? A może selekcji dokonał gdzieś indziej, w sklepie spożywczym albo na stacji benzynowej, i śledził ich aż do domu.

Brady zapisał kolejną notatkę: „Wychodzili wcześniej z domu? Dokąd?”.

Zatrzasnął segregator i zamknął oczy. Gdyby jego mózg nie był zamarynowany, kiedy odebrał telefon Alicii, zapytałby ją o ostatnią ofiarę. To okropne, ale im więcej zabitych, tym lepsze szanse na odkrycie schematu. Ofiary seryjnego mordercy zawsze miały ze sobą coś wspólnego, choćby było to nie wiadomo jak niejasne i irracjonalne. Ta wspólna cecha często stanowiła klucz do tego, by przewidzieć następny cel i miejsce, a może też - choć prawdopodobieństwo było nikłe - zapobiec kolejnej zbrodni.

Równomierny szum silnika samolotu i znikoma ilość snu w oparach alkoholu sprawiły, że Brady odpłynął w nieświadomość.

Co ciekawe, w jego głowie nie roztańczyły się wizje latających czaszek ani maniaków z siekierami. Żadnych nieboszczyków czy bezcielesnych wrzasków w mroku. Śnił o swojej żonie i synu: Zach turlał się w dół po trawiastym zboczu pagórka, Karen ze śmiechem głaskała męża kwiatkiem stokrotki po policzku. Była w ciąży. Jego palce dotykały napiętej

skóry na jej dużym brzuchu z tą samą delikatnością, z jaką płatki gładziły jego twarz. W półświadomości snu zdał sobie sprawę, że Karen spodziewa się dziecka, którego nie mieli. Patrzyli na siebie, a ich twarze wyrażały coś więcej niż radość. Ich śmiech mieszał się i barwnie wirował, płynąc ku niebu.

Kiedy stewardesa delikatnie potrząsnęła go za ramię, wciąż czuł dotyk płatków na policzku. Podniósł rękę do twarzy i otarł łzę.

14.

Gdy Luco ponownie pojawił się na progu komnaty, bezcielesne twarze Strażników zwróciły się w jego stronę. Zatrzymał się i odwrócił. Ojciec Randall wyłonił się z ciemności korytarza i wkroczył w blade światło nagich żarówek. Szurając nogami, przeszedł koło Luca, a ten wskazał mu krzesło po wolnej stronie stołu.

- Bardzo proszę tutaj.

Randall wpatrywał się w kamienną posadzkę na metr przed sobą i Luco zastanawiał się, czy ksiądz widzi jego wyciągniętą rękę. Kiedy starszy mężczyzna skrzył we właściwym kierunku, Luco jeszcze raz zerknął w stronę korytarza.

Pojawienie się Pipa poprzedzało donośne stukanie. Stuk... stuk... stuk. Coraz głośniej. Wreszcie przed ich oczami zamajaczyło tekturowe pudło i dwa palce obu dłoni trzymające jego dolne rogi. Następnie, przekroczywszy próg, ich posiadacz pojawił się w plamie światła. Luco uśmiechnął się. Twarz Pipa była tak niedorośła, jak jego noga. Wyglądał niemal dziecięco, choć był w wieku Luca. Gładka cera, wielkie brązowe oczy, wąskie brwi i drobny nos budziły natychmiastową sympatię wszystkich oprócz najbardziej zatwardziały.

Co drugi krok Pipa był bezgłośny, ale za każdym razem, gdy jego lewa stopa dotykała ziemi, rozlegał się ten okropny głuchy stukot podkowy, a ciało przechylało się w jedną stronę. Luco od lat proponował, że zapłaci za protezę, obuwie ortopedyczne bądź operację... wszystko, co mogłoby ułatwić Pipowi życie. Ten zawsze odmawiał, wybierając chałupnicze sposoby: książki, plastikowe pudełka po kasetach wideo, kawałki drewna przytwierdzone taśmą, przywiązane lub przyklejone do podeszwy buta.

Był w połowie drogi do stołu, kiedy Luco odebrał od niego pudło.

- Dziękuję, Pip.

Pip skinął głową i podniósł wzrok na wpatrzone w niego oczy mężczyzn i kobiet przy stole. Odgarnął włosy z czoła, wydawało się, że chce coś powiedzieć, ale schylił głowę i wyszedł, a dźwięk jego kroków ciągnął się za nim jak silny zapach wody kolońskiej.

Luco postawił pudło pełne notatek i kserokopii rękopisów na siedzeniu obok Randalla i posunął w jego stronę. Obszedł księdza i usiadł po drugiej jego ręce, czyli na swoim zwykłym miejscu.

- Wszyscy znacie ojca Randalla - zaczął. - Odkrył coś, co powinno - zrobił krótką

pauzę, by sugestia zabrzmiała dobitniej - rozwiąć wszelkie wasze wątpliwości.

Randall podniósł głowę.

- Panowie... i panie - odezwał się silnym barytonem kompletnie nieprzystającym do jego mizernej postaci. Akcent położył na ostatnie słowo, któremu towarzyszyło skinienie. Przez ułamek sekundy przypominał uczniaka na potańcówce, proszącego panienkę do pierwszego tańca. - Miło znów was wszystkich widzieć.

Strażnicy odклонili się, cicho odpowiadając na powitanie, ale Randall już spuścił głowę, wertując papiery.

Lucowi ten człowiek wydawał się tak stary i zasuszony jak papirus, nad którym bez końca ślęczał. Nawet jego skóra przypominała go wyglądem: silnie pomarszczona, sucha i wiotka, naznaczona czasem. Wargi stały się wąskie i przybrały kolor ciała, przez co były niewidoczne, kiedy zamykał usta. Zbyt wydatny nos, zapadłe policzki, przeredzone włosy - a jednak ogień w jego oczach przesłaniał patrzącemu wszystkie te niedoskonałości. Były niebieskoszare, wszystkowidzące. Już od bardzo długiego czasu nic nie uchodziło ich uwadze. Wyzierała z nich głęboka mądrość, a także żywa ciekawość, poczucie humoru i gotowość do współczucia. Inni doceniali ich spojrzenie, jakby miały moc przekazywania jakiejś wyższej wiedzy temu, kto znalazł się w ich zasięgu.

Nawet Lucowi, odpornemu na siłę męskiego uroku, który sam z taką łatwością roztaczał, z ogromną trudnością przychodziło odwrócenie wzroku od tych oczu. Najczęściej jednak był zazdrosny o ich moc. Jego własny urok był wypadkową ekspresji, błyskotliwości i aury. Same oczy Randalla potrafiły zniewalać i manipulować. Ksiądz czy nie, stary piernik musiał być za swoich czasów wulkanem seksu, pomyślał Luco.

Żarówka rzucała blask na połyskującą skórę głowy Randalla, przez co srebrzyste włosy zdawały się jeszcze rzadsze, jakby dym unoszący się znad skóry. Ubranie - grafitowa koszula i czarne spodnie - unosiły się w powietrzu, o rozmiar za duże. Tkanina zwisała z jego kościstych ramion jak draperia. Z rękawów wystawały przeraźliwie wiotkie i pokryte plamkami ramiona, zakończone jednak ogromnie interesującymi dłońmi. Były chude, z pożółkłymi paznokciami i brązowymi plamami od nikotyny. Duże dłonie o długich palcach - palcach pianisty, jak powiedziałaaby ciotka Luca - trzepotały jak gołębie, kiedy mówił, tańczyły w takt jego słów. Teraz jednak Randall milczał, więc dłonie spoczywały na stole, szeleszcząc papierami.

- Aaa - powiedział przeciągle, jak ktoś, kto w upalny dzień schładza ciało świeżą wodą, po czym wyciągnął z pudła plik papierów.

Luco dostrzegł szeregi miniaturowych liter, którymi pokryte były całe strony.

Zastanawiał się, jak Randall spodziewał się odnaleźć jakąś notatkę po tym, jak utonęła w oceanie zapisywanych codziennie identycznych linijek.

Randall rozłożył papiery w wachlarz na stole. Kiedy czytał, jego głowa poruszała się tam i z powrotem. Nagle wybuchnął głośnym śmiechem. Spojrzeniem zaprosił Luca i innych, by przyłączyli się do jego wesołości. Ich powściągliwość ani trochę nie przygasiła radości w jego oczach ani szerokiego uśmiechu.

Co za dziwak, pomyślał Luco. Zapalczywy i energiczny, a jednocześnie rozważny i pełen rezerwy. Właściwie nie taki dziwny. Skoncentrowany. Zapalał się do rzeczy, które były dla niego ważne, na wszystkie inne był obojętny. Luco to rozumiał, był taki sam. Tylko że jego pasje dotyczyły świata przyjemności, zaś Randalla ograniczały się do kilku wybranych zagadnień - wszystkie miały się dobrze przysłużyć Lucowi.

Mało powiedziane. Mógł sobie tylko wyobrazić, gdzie byłby teraz, gdyby nie dzieło Randalla. Pewnie z powrotem w Rzymie. Grałby w Piotrusia razem z Napoleonem i Panem Bogiem w wariatkowie, Centro di Psicoterapia Cognitiva.

- Do rzeczy - rozpoczął Randall. - Moralia Grzegorza Wielkiego...

Luco położył dłoń na jego ramieniu.

- Sekundę, ojciec. - Zwrócił się do reszty zgromadzonych. - Wasi uczeni z pewnością zbadali już to proroctwo.

- John Stapleton o nim wie? - spytał Niklas Hüber sceptycznie.

- O, tak - odparł ojciec Randall. - Mam tu... - Sięgnął do pudła i tym razem jego ręka natychmiast wyłoniła się z powrotem, ściskając kilka arkuszy papieru. - Mam tu jego oświadczenie, zgodne z moimi wnioskami. Mam też podobne od doktora Noyce'a. I profesora Inglehooka. - Każdy list opadał na stół w chwili, gdy duchowny wymieniał jego autora.

- Chcielibyśmy dostać kopie, jeśli ksiądz łaskaw - powiedział Tirunih Wodajo, wysoki Etiopczyk siedzący obok Hübera.

Randall poklepał bok tekturowego pudła.

- Mam zbindowane kopie mojego raportu, dokumentów pomocniczych oraz tych listów potwierdzających.

Kilkoro ze Strażników pokiwało głowami z uznaniem.

Proszę, wcale nie taki dziwak. Luco miał ochotę uściskać staruszkę. Zawsze wychodziło na jego.

- Do rzeczy - zapowiedział Randall ponownie. Poczynając od przygodnego zapisku na marginesie manuskryptu Grzegorza Wielkiego z roku 598, omówił ze szczegółami wszystkie kroki, które poprzez kolejne stare pisma doprowadziły go do najnowszego odkrycia.

Przedstawiając obrazowo odnajdywanie, otwieranie i przeglądanie dawnych rękopisów, rozwijanie bezcennych zwojów, skryte podczytywanie zakazanych pism, opisał swoją żmudną drogę, dodając komentarze na temat tekstologii oraz metod egzegezy.

Pełna pasji przemowa Randalla była ciężka do zniesienia dla słuchających. Zawsze robił to w ten sposób, jakby nie dało się docenić znaczenia wniosku, jeśli nie poznało się procesu, który do niego doprowadził.

W końcu zamilkł. Jego oczy błyskawicznie lustrowały jedną po drugiej unoszące się w powietrzu twarze zebranych, jakby oczekiwał słowa pochwały, pytania lub przynajmniej wyrazu zaskoczenia. Wobec braku jakiegokolwiek reakcji głos zabrał Koji Arakawa.

- Przykro mi, ojcze Randall - powiedział. - Obawiam się, że wywód księdza był dla nas zbyt zawiły. Proszę nam jeszcze raz powiedzieć, językiem laika, co głosi proroctwo.

Randall spuścił głowę i zamknął oczy. Wreszcie odchylił się, wziął głęboki oddech i oznajmił:

- Jako mały chłopiec Syn Zatracenia zamorduje, a raczej powinienem powiedzieć zamordował - tu spojrzał na Luco, któremu ten chwyt bardzo się spodobał - swoją matkę.

To wywołało oczekiwany efekt. Ciche okrzyki, pytania i prośby o spokój. Wiele spojrzeń z naprzeciwka stołu padło nie na Randalla, ale na Luca. Wszyscy znali jego historię. Mroczne zdarzenie z dzieciństwa, które pozostawało w ukryciu, dopóki ich wnikliwe śledztwo nie wywlokło go na światło dzienne, teraz okazało się czymś... czymś innym, czymś niezwykłym.

Luco nie mógł się powstrzymać od uśmiechu. Miał ich w garści.

15.

Gdy Alicia Wagner się obudziła, ostry dźwięk wciąż dzwonił jej w uszach. Otworzyła oczy i podniosła twarz z materaca. Leżała na brzuchu w łóżku, do którego wpełzła o szóstej rano. Budzik elektroniczny na stoliku nocnym poinformował ją, że jest godzina 10.27. Cztery i pół godziny snu, jeśli można tak nazwać rzucanie się z boku na bok. Prześcieradło wilgotne od potu oplatało jej klatkę piersiową jak boa dusiciel. Jej skóra była chłodna i lepka. Poduszki i ciężka narzuta zniknęły z pola bitwy w trakcie tego poranka. Przekręciła zeszywniały kark w stronę okna. Słońce przeświecało przez szpary między zaciągniętymi zasłonami.

Bum! Bum! Bum!

Prawie spadła z łóżka. Ktoś dobijał się do drzwi. Prawdopodobnie pukał tak już od jakiegoś czasu.

- Co? - próbowała z siebie wydusić, ale z jej zaschniętego gardła dobył się tylko chrapliwy skrzek. Złapała stojącą na stoliku butelkę wypełnioną w jednej czwartej wodą, przełknęła kilka bolesnych łyków i zawołała: - O co chodzi?

Odpowiedziało jej głośnie mamrotanie.

- Na rany boskie. - Sturlała się z łóżka, zaplątała w jakieś ubrania porzucane na podłodze i utykając, rzuciła się do drzwi.

W wizjerze ujrzała zniekształconą twarz Brady'ego Moore'a. Kiedy skończyła na miejscu zbrodni, załadowała sprzęt i pojechała do hotelu, on jeszcze nie wylądował, więc zostawiła mu w skrzynce głosowej wiadomość z nazwą hotelu i numerem pokoju. Popatrzył w jedną stronę korytarza, potem w drugą. Zerknął w wizjer, poprawił krawat, spojrzął na zegarek.

- Czekaj sekundę - powiedziała.

Z lustra w łazience gapiała się na nią jakaś obca kobieta. Również miała blond włosy, ale Alicii sięgały ramion i zaczesane były do tyłu. Ta druga miała sterczące kołtuny. Z jednej strony przylizane na płasko wznosiły się powyżej głowy dobre dziesięć centymetrów, a z drugiej oplatały twarz mackami. Oczy miała wielkie i zielone, tak samo jak Alicia - i nawet nie bardzo przekrwione, jak zauważyła. Niebieskawe obwódki pod dolnymi powiekami to jednak nie był styl Alicii. Zbyt gotycki.

- Oooo - jęknęła i zaczęła przeczesać włosy palcami. Nigdy nie była zbyt

pedantyczna, jeśli chodzi o wygląd, ale to przekraczało granice rozsądku. Po piętnastu sekundach frustracji zorientowała się, że szczotka leży tuż przed nią na blacie. Sięgnęła po nią, ale się zatrzymała. „A co mi tam”. Uznała, że narzucenie na siebie czegoś oprócz majtek, w których spała, stanowiło wymagane minimum. Szarpnięciem zerwała puszysty, biały szlafrok hotelowy z drzwi łazienki, opasała się ciasno w talii i otworzyła drzwi.

Wyglądał idealnie. Nawet nieogolony i z lekko zaczerwienionymi oczami mógłby grać agenta FBI w filmie. Natychmiast pożałowała, że nie poświęciła więcej czasu, żeby się ogarnąć.

Obdarzył ją niezdecydowanym uśmiechem. Wiedziała już, że to najlepsze, na co go stać. Poza chwilami spędzonymi z synem. W ciągu całego roku, kiedy pracowała z Bradym, tylko w obecności chłopca jego wskaźnik zadowolenia wzrastał powyżej „okay”.

- Dzień dobry, słoneczko - powiedział bez wyrazu. Nie próbował wejść do pokoju.

- Czemu to tak długo trwało? - Owinęła się szlafrokiem jeszcze ciaśniej jednocześnie napinając mięśnie, jakby się przeciągała.

- Pierwszy lot był o 6.40. Może spotkamy się w kafejce na dole, zjemy śniadanie?

Pokręciła głową i obejrzała się przez ramię. Walizki DMZ stały na podłodze w nogach łóżka.

- Zamówię do pokoju. Chcę przejrzeć wczorajszy zapis z miejsca zbrodni.

- Jak poszło?

Na myśl o tym - o stronie technicznej, nie o ofierze - uśmiechnęła się. Poczula, jak zamroczenie całkowicie ustępuje.

- Dobrze... Właściwie świetnie. - Wzruszyła ramionami. - Komendant Dee to zręczliwy dziad, nie podobało mu się, że wkracza FBI, że jestem kobietą i że miałam mu mówić, jak badać miejsce zbrodni.

- A mówiłaś? - zapytał Brady. Z rękami w kieszeniach wyglądał swobodnie, stojąc w korytarzu hotelowym.

- A pewnie. Trzeba go było widzieć. Po przejściu razem z nim i technikiem pokazałam mu PA. Był w takim szoku, że nie mógł słowa wydusić - zaśmiała się. - Rozłożyłam plan domu na masce jego samochodu i zaczęłam mu tłumaczyć symbole, podejrzone utajone odciski, plamy krwi, kilka śladów obcasów, sierść, najpewniej psa, a ten nic, tylko „ooo, aaa”.

Brady uśmiechnął się ze zrozumieniem, co przypomniało jej o rozdźwięku między jego względną elegancją a jej rozwichrzeniem.

- Słuchaj, muszę się doprowadzić do porządku. Wróc za pół godziny.

Zmierzył wzrokiem jej szlafrok i fryzurę.

- Myślę, że będziesz potrzebowała więcej czasu.

- Ha, ha.

- Jestem w 422, po drugiej stronie korytarza. - Skinął głową w tamtym kierunku. - Zadzwoń, jak będziesz gotowa.

Zamknęła drzwi i przycisnęła do nich plecy. Brady był przystojnym mężczyzną. Może nie tak, jak gwiazdorzy filmowi, ale mógłby śmiało konkurować z ogierami z ogólniaka czy przystojniakami z sąsiedztwa, których żony zszywały kołdry z łąt, gdakając radośnie, przypalały ciasteczka na szkolną wyprzedaż czy robiły cokolwiek, co gospodynie domowe zwykły robić, kiedy się spotykają. Nie była pewna, czy jego stoicyzm dodawał czy ujmował mu uroku. Mógł być albo tajemniczo zadumany, albo chmurny i przygnębiony. Jego udane najczęściej dowcipy - które Alicia interpretowała jako sposób odwrócenia od siebie spojrzeń lub próbę chronienia innych przed pustką depresji, która może wciągnąć bez reszty - sprawiały, że jego melancholia wydawała się raczej cechą osobowości niż problemem emocjonalnym.

W jego smutku było też coś romantycznego. Jego żona zmarła... ile, półtora roku temu? A jednak Alicia czuła, że gdyby nie syn, Brady stoczyłby się w ciemną otchłań. W mgnieniu oka. Musiał ją naprawdę kochać. Alicia знаła pary, które chociaż twierdziły, że odnalazły miłość swojego życia, nalegały, by w razie śmierci jednego, drugie starało się znaleźć nową miłość. Każde chciało, żeby to drugie było szczęśliwe. Alicia podejrzewała, że wszystko to bzdury. W rzeczywistości każdy chciał być niezastąpiony. To pragnienie w gruncie rzeczy było podświadomym życzeniem uczuciowej śmierci dla współmałżonka: kiedy umierasz, chcesz, żeby serce ukochanej osoby pękło całkowicie, by nic już nigdy nie mogło w nim zakiełkować. W końcu cóż znaczą zapewnienia o wiecznej miłości, jeśli można nią obdarzyć kogoś innego? To, czego wszyscy pragniemy, to miłość tak głęboka, że nigdy więcej nie może wypłynąć na powierzchnię.

Przykre. Wręcz samolubne. Ale prawdziwe. I okropnie romantyczne.

Również ironiczne. Bo ktoś, kto potrafi tak głęboko kochać, jest bardzo pociągający dla tego, kto pragnie tak mocno być kochany.

Alicia potrząsnęła głową. Co za pomysł? Romans z Bradym? Wydęła usta. No dobra, przeszło jej to przez myśl raz lub dwa. Koleżanki z Biura opisywały jej dawnego Brady'ego. Używały wyrażen takich, jak „pełen życia” i „żywe srebro”. To był ten wyluzowany Brady. Czy mógł być taki znowu? Jeśli tak, czy to nie umniejszyłoby tego romantyzmu, który tak bardzo ją pociągał?

Może z nią było inaczej. Czy gdyby udało się jej wydobyć go z tej otchłani, nie

dowodziłoby to, że jego rozpacz wcale nie była taka głęboka? Wtedy znów by się w nią zapadł, tym razem obciążony miłością do niej.

„Aaaaaa!”, wrzasnęła w myślach. Chyba naprawdę jestem przemęczona. Brady to Brady. Jej partner. Przystojny, ale i okropnie humorzasty. Miły facet, ale zbyt samolubny, żeby zrozumieć, jakim utrapieniem jest dla innych. Poza tym, ja wcale nie szukam. Wcale nie. Praca jest mi mężem i kochankiem. I tak na razie musi zostać...

Jej ręka powędrowała w górę i dotknęła zmierzwionej burzy włosów. Roześmiała się na głos, krótko i bez radości. Nawet jeśli Brady był wyłącznie jej partnerem, nie chciała, żeby zachował w pamięci jej obraz jako rozczochranego babska. No cóż, to nie do końca prawda. Wiedziała, że gdyby Brady był po prostu jakimś facetem, nie przejmowałaby się, jak ją widzi. Ważna byłaby tylko praca.

Odsunęła się od drzwi. Nie trać głowy, Alicia, pomyślała. Masz robotę do wykonania. Nie czas na mrzonki, zwłaszcza o... o tym. Poczłapała do łazienki z postanowieniem, że dzisiaj weźmie zimny prysznic. Bardzo zimny.

16.

Za murami miasta w chasydzkiej dzielnicy Me'a She'arim chłopcy bawili się na ulicy. Ich ręce nieustannie wędrowały w górę, żeby sprawdzić, czy jarmułki nie zsunęły im się z głów. Mężczyźni gromadzili się w niewielkie grupki, niektórzy siedzieli na ławkach pogrążeni w modlitwie. Ze swoimi długimi brodami mogliby uchodzić za księżęta z dzielnicy Haight-Ashbury albo fanów ZZ Top. Schludne czarne garnitury nadawały im wygląd niemal królewski - czerń w tradycji ich sekty symbolizować miała żałobę po zburzeniu świątyni króla Salomona w 70 roku. Nie mieli za to krawatów, które w ich przekonaniu reprezentują krzyż Chrystusa. Kobiety nosiły ubrania bardziej współczesne, ale również w ciemnych kolorach i z długimi rękawami, chusty zaś chroniły ich włosy przed lubieżnymi spojrzeniami. Oddane codziennym czynnościom chodziły od jednego straganu do drugiego, nabywając świeże produkty na dzisiejszy posiłek. Czasem tylko zamieniły ze sobą parę słów, napominały dzieci, żeby „bawiły się ładnie”, a swoim mężczyznom pozwalały w spokoju rozważać Boże tajemnice.

Przez taki właśnie idylliczny krajobraz kuśtykał Pippino Farago, w pośpiechu ciągnąc za sobą chromą nogę. Szedł ze schyloną głową, trzymając się blisko ścian zabudowań. Udawał, że nie zauważa niegościnnych spojrzeń rzucanych w jego stronę nie z powodu kalectwa, wiedział o tym, ale ponieważ nie był chasydem. Tutejsi mieszkańcy jak oka w głowie strzegli tej oazy surowej judaistycznej wiary, którą pieczołowicie uprawiali w centrum rozbujanego komercjalizmu i turystyki. Byli jak zjeżone wilki warczące na widok intruza.

Podany adres znajdował się w samym sercu Me'a She'arim. Dla niechasydów było to dziwne miejsce na spotkanie. Ale gwarantowało większą prywatność i zapewne dlatego zostało wybrane. Panujący w tej dzielnicy spokój i brak jakichkolwiek wpływów z zewnątrz, a także wąskie, kręte uliczki sprawiały, że wyjątkowo łatwo było zauważyć ogon. Od momentu, kiedy zaparkował samochód na przyszpitalnym parkingu, powziął wszelkie możliwe środki ostrożności - okrążał całe przecznice, przecinał otwarte przestrzenie, często oglądał się za siebie. Jak dotąd nie rzuciło mu się w oczy nic podejrzanego.

W każdej innej części miasta martwiłby się, czy przypadkiem nie spotka znajomych siedzących przy stolikach na chodniku albo rozglądających się po targu, którzy słysząc stukot jego kroku, podnieśliby głowy, żeby sprawdzić, czy to rzeczywiście stary biedny Pip. W

Me'a She'arim nie znał nikogo i nikt nie znał jego.

Mimo to czuł się nieswojo. Nie miał żadnego interesu w tym, żeby spotykać się z człowiekiem, który zadzwonił do niego rano. Gdyby Luco się dowiedział... Pip wolał nie myśleć o konsekwencjach. Przed jego oczami, nieprzywoływany, zjawił się obraz Luca tłukącego w ślepej furii twarz już i tak zmasakrowaną nie do rozpoznania. Potrząsnął głową. Oczywiście nie była to żadna prorocza wizja - tym niech się zajmują ci obłąkańcy, którzy chodzą teraz za Lukiem krok w krok. Raczej wspomnienie, przykre i żywe.

Nie zatrzymując się, skręcił w otwartą bramę piekarni. Wewnątrz przystanął w oczekiwaniu. Piekarz stał za szklaną ladą zajęty swoim jedynym klientem. Drożdżowy aromat świeżego hallah przypomniał Pipowi, że nie jadł lunchu; zresztą żołądek miał teraz tak ściśnięty, że nic by nie przełknął. Wyjął skrawek papieru z kieszeni na piersi i jeszcze raz przeczytał wskazówki. Skinął głową i schował kartkę z powrotem. Doszedłszy do wniosku, że śledzący go osobnik miał już dość czasu, żeby się pokazać, pokuśtykał z powrotem na chodnik i śmiało spojrzął się w stronę, od której przyszedł. Nikt nie zatrzymał się nagle, nikt się nie odwrócił.

Pip poszedł więc dalej. Po pięciu minutach był już przy wejściu do ulicy Yifhan. Była opuszczona, jeśli nie liczyć starej kobiety, która siedząc na krześle na balkonie na drugim piętrze, coś przeżuwała - prawdopodobnie tylko własne dźwięki. Przyglądała się Pipowi ze stoickim spokojem. Wyciągnął papier z kieszeni. Ulica Yifhan. Numery widniejące na metalowej tabliczce nad drzwiami wskazywały, że szukany numer będzie po prawej stronie, ale nie widział żadnych innych tabliczek. Zakładał, że pod podanym adresem znajdzie kawiarnię albo inne publiczne miejsce spotkań. Tymczasem ulica Yifhan wydawała się okolicą wyłącznie mieszkalną. Do tego wyglądała na niemal całkowicie opuszczoną. Ostrożnie szedł dalej. Co drugi krok delikatnie opuszczał na ziemię tomiki przyklepione taśmą do lewego buta.

Zatrzymał się, słysząc skrzypienie drzwi. W wąskiej uliczce jakieś trzydzieści metrów przed nim po prawej stronie poruszył się jakiś cień, który wkroczył w plamę światła, zamieniając się w mężczyznę. Nieznajomy miał na sobie czarne spodnie i koszulę z długim rękawem w tym samym kolorze. Niewielki biały fartuch przewiązany w pasie nadawał mu wygląd kelnera z burżujskiej restauracji. Zmierzył Pipa wzrokiem.

- Pan Farago? - zapytał.

- Tak?

- Tędy proszę. - Odsunął się nieco od wejścia do uliczki i wyciągnął ramię w geście zaproszenia.

Pip pokuśtykał powoli naprzód. Przy wejściu do alejki zatrzymał się. Za ciemno, żeby cokolwiek dostrzec. Spojrzał na kelnera, który uśmiechnął się i skinął głową. Używał drogiej wody kolońskiej o subtelnym zapachu. Pasowałyby do Luca. Pip poczuł bolesny ucisk w żołądku. Może to zasadzka? Sprawdzian lojalności? Czy w alejce czekał na niego Luco z nożem w dłoni i palącym oskarżeniem na ustach?

Jakby czytając w jego myślach, kelner zapewnił go:

- Gospodarz oczekuje pana.

Pip spojrział przez ramię na staruszkę, która beznamyślnie śledziła go wzrokiem ze swojego balkonu.

Wszedł w uliczkę i natychmiast zauważył po lewej stronie otwarte drzwi. Pomieszczenie oświetlone było słabą, czerwoną poświatą. Wszedł do środka. Kiedy jego oczy przywykły do panującego tam światła, dotarł do niego intensywny i w pewien sposób kojący zapach kawy, przypraw i tytoniu. Widział teraz, że znajdował się w przedsionku wyłożonym drewnem. Jedyne światło rzucały na pomieszczenie trzy świece w czerwonych szklanych osłonach rozstawione na trzech małych stolikach. Drzwi zamknęły się za nim i kelner wyprzedził go.

- Tędy, proszę pana - powiedział. Poprowadził Pipa w głąb długiego, szerokiego korytarza, wzdłuż którego ciągnął się szereg ciężkich drewnianych drzwi. Kinkiety na ścianach rzucały miękkie światło na sufit w kolorze miedzi.

Zatrzymał się przy jednych drzwiach, bez pukania przekręcił gałkę i otworzył je. Wewnątrz migotały świece. Pip zobaczył ściany o przygaszonych barwach w pomieszczeniu nie większym niż garderoba. Obite skórą krzesła z wysokimi oparciami otaczały niewielki okrągły stolik na środku pokoju. Na blacie stała filiżanka na spodku, a znad niej unosiła się para. Właśnie gdy Pip zaczynał wierzyć, że pokój jest pusty, siedzący na jednym z krzesel mężczyzna wychynął z głębszego cienia.

- Witaj, Pip - odezwał się przyjaźnie Niklas Hüber. Niemiecki akcent brzmiał jak szcęk miecza oburęcznego. - Cieszę się, że cię widzę.

17.

Zadzwoił telefon i Brady zerknął na zegarek. Alicia jak zwykle przed czasem, tym razem tylko o trzy minuty. Odebrał po drugim dzwonku.

- Pociąg rusza ze stacji - powiedziała Alicia.

Usłyszał jak drugi telefon zaterkotał na stojaku, po czym zamilkł. Brady pokiwał głową. Ciągle w biegu. Powiedziała, że przejrzą nagranie z DMZ u niej w pokoju, dlatego nie chciała zejść do restauracji. Teraz nie mogła się doczekać, aż wyruszą. Pewnie uznała, że mogą obejrzeć materiał w samochodzie albo na miejscu zbrodni.

Miejsca zbrodni były lekką obsesją Alicii. Gadzety tworzone przez jej wydział nie robiły na niej wrażenia i nie sprawiały jej najmniejszych trudności w obsłudze, ani na moment jednak nie traciła z oczu ich przeznaczenia - rozwiązywania zagadkowych zbrodni i, jeśli to możliwe, zapobiegania kolejnym. W głębi serca czuła, że jej miejsce jest na polu walki.

Nie było tygodnia, żeby nie zwracała się do szefa wydziału Johna Gilbreatha o pozwolenie na połączenie testów ze śledztwem w terenie. Efektem tego miała być wymarzona praca Alicii: niesienie wsparcia w tworzeniu przełomowych narzędzi śledczych oraz bycie jednocześnie częścią zespołu pracującego nad zidentyfikowaniem i ujęciem sprawcy. Każda jej prośba spotykała się z odmową Gilbreatha, który niczym wykuty w kamieniu strażnik zagradzał przejście, czekając na podanie właściwego hasła.

Kiedyś próbował wyjaśnić jej swoje powody. Gdyby niezatwierdzony sprzęt w jakikolwiek sposób zanieczyścił miejsce zbrodni lub nie został dopuszczony przez sąd jako dowód, zabójca mógłby wrócić na ulicę, a relacje Biura z miejscową policją zostałyby poważnie nadwyreżone. Z czasem zaczął przerywać jej już w pół słowa, mówiąc, by wróciła, kiedy będzie chciała porozmawiać o pracy.

Brady dźwignął się z łóżka, podniósł kaburę z bronią z nocnego stolika i przypiął ją do paska. Chwycił pilota i wyłączył program informacyjny, którego właściwie nie oglądał. Ściągnął marynarkę z oparcia jedyne w pokoju krzesła, wśliznął się w nią i podniósł torbę zawierającą jego segregator z aktami spraw. W drodze do drzwi złapał wysuwaną rączkę walizki na kółkach, której nawet nie otworzył. Nie został w pokoju na tyle długo, żeby się rozgościć.

Agenci mieli obowiązek trzymać sprzęt, akta spraw i swoje bagaże w pokoju hotelowym, kiedy się tam znajdowali, kiedy zaś przebywali poza hotelem - w wypożyczonym samochodzie. Telefony z nagłymi poleceniami - wezwanie na nowe miejsce zbrodni, trop w sprawie czy nowy przydział zadania - stanowiły tak nieodłączną część tej pracy jak zwietrzała kawa i tony papierkowej roboty. Opóźnienie reakcji - by wrócić po rzeczy do hotelu czy skończyć posiłek - było niedopuszczalne.

Otwarte drzwi do pokoju Alicii podparte były walizką, którą Brady rozpoznał jako etui na hełm DMZ, a którą nieświadomy obserwator mógł wziąć za torbę na kulę do kręgli. Zatrzymał się w progu. Alicii nie było w zasięgu wzroku. Nawet przy braku jej rzeczy osobistych (które z pewnością już spakowała) pokój wyglądał jak po przejściu huraganu. Pościel rozrzucona była wszędzie tylko nie na łóżku. Szuflady nocnego stolika i toaletki były wysunięte. Z powodu znanego tylko Alicii poduszka zatknięta była na kloszu lampy.

Gdyby Brady musiał spisać listę cnót Alicii, zamiłowanie do porządku na pewno by się na niej nie znalazło. Jej miejscem pracy w Zespole do Spraw Gromadzenia Dowodów był dwuipółmetrowej długości stół zawalony pod sufit raportami, memorandumami, wycinkami z gazet, periodykami technicznymi i gadżetami obok zwykłych sprzętów biurowych. To, co się nie mieściło, spadało do pudeł z aktami ustawionymi pod biurkiem. Jej krzesło stało naprzeciw uprzątniętego półkola na blacie. Współpracownicy i szefowie Alicii tolerowali bałagan tylko dlatego, że angażowała się w pracę na dwieście procent, a dowodziły tego nie tylko nadgodziny, ale również imponujące rezultaty: jej projekty dostawały najwięcej ochów i achów w Wydziale do Spraw Badań i Rozwoju oraz przechodziły drogę od pomysłu przez prototyp do wdrożenia w śledztwie terenowym szybciej niż czyjekolwiek inne.

- Halo? - zawołał.

- Sekundeczkę! - Jej głos dobiegł za rogu, który zasłaniał przed wzrokiem niewielki fragment pokoju. Usłyszał „bbbrrriipppp” ciężkiego zamka błyskawicznego. Gdy się ukazała, zmierzając dziarsko w stronę drzwi, ciągnęła za sobą walizkę podobną do bagażu Brady’ego, a z jej ramion zwisały dwa spore nesesery.

- O rany - powiedział, cofając się o krok. - Pomogę ci.

Przystanęła i westchnęła przeciągle. Kiedy była gotowa do akcji, nie lubiła, żeby coś ją opóźniało.

Przyjrzał się jej. Ubrana w kawową bluzkę z półgolfem i kostium w kolorze cynamonu przywodziła Brady’emu na myśl café latte. Miała na sobie ciemnobrązowe skórzane buty na płaskim obcasie. Kiedyś narzekała na ich cenę, wyjaśniając jednak, że są wygodne jak tenisówki i nie będzie musiała ich zdejmować, żeby ścigać podejrzanego. Jak dotąd ścigała w

nich tylko swoje ambicje, a nie były łatwe do schwytania. Wyglądała naprawdę konserwatywnie i właściwie, zważywszy na jej zamiłowanie do naruszania regulaminu. Udało jej się również ujarzmić fryzurę; teraz linia włosów powtarzała łuk policzka, nadając jej wygląd dziewczęcy i poważny zarazem. Jeśli nałożyła jakikolwiek makijaż, był zbyt subtelny, żeby Brady go zauważył.

- Hej - odezwał się. - Ładnie wyglądasz.

Tego się chyba nie spodziewała. Zamilkła, jakby szukając w myślach stosownej riposty. Wreszcie uśmiechnęła się tylko.

- No, ty też. - Kiwnęła głową w stronę kulistego neseseru. - Możesz to wziąć?

Umieścił swoją torbę na wyciągniętym ramieniu walizki i podniósł neseser, nogą przytrzymując drzwi, żeby mogła przejść.

- Ależ z ciebie dżentelmen - rzuciła, mijając go.

W windzie żadne z nich nie postawiło bagaży na podłodze. Ignorując piosenkę Billy'ego Joela w kalekim instrumentalnym wykonaniu płynącą z niewidocznego głośnika, Brady powiedział:

- Opowiedz mi o wczorajszej ofercie.

- Cynthia Loeb - zaczęła Alicia.

Kobieta, pomyślał, dopasowując ten fakt do analizy spraw, którą zaczął w samolocie. To już druga.

- Lat czterdzieści dwa - ciągnęła. - Biała.

Jessica Hampton miała czterdzieści lat, również była biała.

- Miała dzieci? - zapytał.

- Dwóch synów na studiach. - Obróciła się do niego. - Coś ci przychodzi do głowy?

- Jeszcze nic. - Nienawiść do matki odpadała, trzy ofiary to mężczyźni.

- Niedawno się rozwiodła.

Szybko podsumował w myślach. Jedna ofiara stanu wolnego, dwoje w małżeństwie, dwoje rozwiedzionych. Nic, czego można się uchwycić.

Z sygnałem nieco przyjemniejszym niż piekielna muzyka windowa zielony wskaźnik piętra zmienił się z L na P i drzwi się rozsunęły. Młoda kobieta trzymająca za rękę małą dziewczynkę czekała na zewnątrz. Alicia i Brady wytoczyli się z windy obładowani bagażami. Jedyne wejście mieściło się w dalekim rogu i słabe światło lamp sodowych wystarczało, by tylko nieznacznie rozjaśnić mrok podziemnego parkingu. Cementowe ściany i filary naznaczone zaciekami zdawały się pochłaniać światło, a oddawać tylko zwielokrotniony dźwięk. Trzask zamykanych drzwi samochodu odbijał się od odległej ściany,

daleko za rzędami innych pojazdów.

- Jedziemy twoim czy moim? - zapytał Brady.

- Moim. - Zmierzała w stronę alejki bliższej niż ta, gdzie zaparkował. - Musisz obejrzeć nagranie, zanim dojedziemy na miejsce.

Kiedy wchodzili i wychodzili z zasięgu światła sufitowych, ich szarawe cienie wędrowały wkoło jak dwie wskazówki zegara słonecznego.

- Cynthia Loeb - przypomniał. - Co jeszcze możesz mi o niej powiedzieć?

Szła przez chwilę, nie odpowiadając. Potem odezwała się cicho:

- Próbuję sobie przypomnieć zdjęcia, które wisiły u niej na ścianach. - Potrząsnęła głową. - Jedyne, co przychodzi mi do głowy, to ta potworna głowa, którą znaleźliśmy na kuchennym blacie.

- Nie spiesz się.

Zatrzymali się za taurusem w kolorze akwamaryny. Alicia wyjęła kluczyki i otworzyła bagażnik. Stojąc z rękami na uniesionej klapie, spoglądała przez chwilę w głąb ciemnego pustego schowka, jakby coś przyciągnęło jej uwagę.

- Chyba bym ją polubiła - powiedziała w końcu. - Malowała plastikowe kosze na śmieci i sprzedawała je na eBayu. - Mówiąc to, roześmiała się. - Jeden z techników znalazł faktury i papier do pakowania w zaimprovizowanym biurze razem ze stosami tych koszów, wyższymi ode mnie. Nie wzbogaciła się na tym, ale łatwo się nie poddawała. - Alicia zwróciła twarz w stronę Brady'ego. - Jej dom jest taki wiejski, przytulny. Prawie ją widzę, jak siedzi na krzeselku z surowego drewna, baranie kapcie na nogach, kubek gorącej czekolady w ręce, może doprawionej odrobiną bailey'sa, i opowiada przyjaciółce, jak to poradzi sobie sama, jak będzie sprzedawać kosze, sprzątać psie kupy, sprzedawać cydr na górskich festiwalach, cokolwiek byle tylko swojemu wiarołomnemu byłemu udowodnić, że poradzi sobie sama.

- Mąż ją zdradzał?

Podniosła swoją walizkę na kółkach i większy z dwóch neseserów DMZ i włożyła do bagażnika.

- Tak mówili sąsiedzi, którzy się tam wczoraj kręcili. Kto wie?

Odsunęła się na bok, żeby mógł schować swoją walizkę. Jako ostatni włożyła do bagażnika kulisty neseser. Następnie rozsunęła zamek błyskawiczny i otworzyła go. Brady'ego uderzyła mnogość elementów i skomplikowana organizacja neseseru. W hełmie, we wgłębieniu na głowę wetknięty był laptop i dwa inne mniejsze urządzenia. Kiedy Alicia wyjmowała te rzeczy, Brady zauważył, że były unieruchomione wewnątrz, jakby w hełmie

znajdowały się dodatkowe uchwyty. Najwyraźniej projektanci przykładali taką samą wagę do bezpieczeństwa przechowywania i przewożenia, jak i do funkcjonowania urządzeń. Gdyby tylko wszyscy inżynierowie byli tak dokładni.

Pokazując komputer, który trzymała w dłoni, powiedziała:

- Tego ci trzeba. Jedziemy.

18.

Kiedy Pip zobaczył siedzącego w półmroku Hübera, prawie się cofnął o krok. Spotkanie z kimkolwiek ze Strażników poza wyznaczonymi miejscami, za plecami Luca, było głupie... zakazane... nieroztropne. Spotkanie z tym konkretnie dyrektorem to zdrada.

Odwróć się i wyjdź, pomyślał. Po prostu odejdz stąd.

Zamiast tego jednak wszedł do pokoju i usiadł na krześle naprzeciw Hübera. Usłyszał cichy trzask i zobaczył, że drzwi zamknięto, kelner zaś zniknął. Obserwował pełen serdeczności wyraz twarzy Hübera i czuł, że zaciskają mu się mięśnie szczęki.

- Kazałeś mi tutaj przyjść, bo inaczej...

Hüber wzruszył ramionami.

- Wybacz ten melodramatyzm, Pip. Chciałem tylko podkreślić, jak ważne jest to spotkanie. Na pewno to rozumiesz.

Doskonale rozumiał takich jak Hüber. Według nich to, co jest ważne dla nich, musi też być ważne dla wszystkich innych. Byli mistrzami nakłaniania ludzi pochlebstwem, groźbą i manipulacją, żeby przyjmowali ich punkt widzenia. Luco od dawna w tym celował. A Pip był królikiem doświadczalnym, na którym doskonalili swoje umiejętności.

Zdał sobie sprawę, że usadowił się na samej krawędzi krzesła, zdradzając w ten sposób swój strach. Przesunął się w tył i zapadł w siedzisko. Przy wzroście stu siedemdziesięciu siedmiu centymetrów i wadze około sześćdziesięciu kilogramów drobna postać Pipa wydawała się jeszcze bardziej filigranowa przez jego ułomność i dziecięcą twarz. Nie pomagał również uległy sposób bycia, źródło jego nieustannych wewnętrznych zmagania. Założył krótszą nogę na drugą i zaczął nerwowo wodzić palcami po brzegu taśmy, którą do podeszwy buta były przytwierdzone książki. Podniósł wzrok.

Hüber wpatrywał się w niego czujnymi oczami, taksując go. Wargi starszego mężczyzny zbiegły się w wąski uśmiech satysfakcji, jakby uważał, że wygrał bitwę, zanim jeszcze się rozpoczęła. Sprawy musiały się tylko potoczyć tak, jak przewidywał.

Pip chciał powiedzieć coś błyskotliwego i dowcipnego, co starłoby ten uśmiech z twarzy mężczyzny i pokazało mu, że nie docenił Pippina Farago. Nic jednak nie przychodziło mu na myśl. Zanim zdążył zapytać, czego tamten chce, od strony drzwi dobiegł go odgłos dwóch silnych uderzeń. Pip podskoczył, jakby do pokoju wpadła jednostka

antyterrorystyczna.

Hüber uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Wejść - zawołał.

Pojawił się kelner z tacą, postawił ją na stole i wyszedł. Na tacy znajdowały się składniki nargili, fajki wodnej do palenia mieszanki tytoniu i suszonych owoców. Luco miał taką, ale nazywał ją bongo i palił w niej substancje nieco silniejsze niż tytoń. Tak było, zanim mu odbiło na punkcie zdrowia.

Pochyliwszy się, Hüber zabrał się do składania fajki. Nalał źródlanej wody do szklanego dzbana w kolorze bursztynu, po czym na wierzch nałożył mosiężny korpus. Z niego odchodził gumowy wąż zakończony elastyczną, powleczoną tkaniną rurką i plastikowym ustnikiem. Większości ludzi takie przyrządy kojarzą się z orientalną palarnią opium.

- Myślę, Pip, że możemy sobie nawzajem pomóc. - Hüber manipulował fajką, nie podnosząc głowy. Na szczycie korpusu umieścił coś, co wyglądało jak mosiężne sitko, a na nim glinianą miseczkę. - Wydaje ci się pewnie, że jesteśmy po przeciwnych stronach. Zapewniam cię, że tak nie jest.

Odchylił się, żeby sięgnąć dłonią do kieszeni spodni. Kiedy jego ręka ukazała się znowu, ścisnęła skórzany woreczek. Otworzył go i wytrząsnął część zawartości do ceramicznego pojemnika. Do nozdrzy Pipa dotarł ostry zapach tytoniu z posmakiem jabłek.

Hüber popatrzył na Pipa.

- Twój szef to okrutny człowiek.

- Jest moim przyjacielem.

- Tak, tak. Tak mówisz. Ale, Pip... - Opuścił wzrok na niespokojnie poruszające się palce Pipa, które zdążyły już oderwać trzy centymetry taśmy. - Czy to nie Luco Scaramuzzi zrobił z ciebie kalekę?

Pip poczuł skurcz w żołądku.

Skąd on to wiedział?

Skóra głowy zaswędziała go od potu. Podniósł rękę, żeby się podrapać, ale zmienił zdanie i opuścił ją z powrotem na oderwany fragment taśmy przy bucie, skubiąc ją dalej.

Hüber milczał, a jego pytanie wciąż dźwięczało w powietrzu. Wyjętym z kieszeni na piersi długopisem zaczął nakłuwać otwory w czworokątnym skrawku aluminiowej folii. Ukształtował w niej zagłębienie i nałożył na ceramiczną miskę.

Oczy Pipa zdawały się obserwować te czynności, ale naprawdę przesuwały się przed nimi wspomnienia sprzed trzydziestu lat.

Czterech chłopców na wagarach w piątej klasie, w maleńkim miasteczku Raddusa na Sycylii. Kąpią się nago w kobaltowych wodach jeziora Ogliastro. Słońce parzy im skórę. Mają mnóstwo radości dzięki linie, którą Enzo zawiązał na gałęzi zwieszającej się nad powierzchnią wody: huśtają się, skaczą, fikają koziołki. Kto zrobi największy plusk? Kto skoczy najdalej? Kto potrafi zrobić najwięcej obrotów w powietrzu? Jezioro okolone jest falującą wstęgą klifów, na których rosną sosny.

Znudzony Luco wskazuje na pobliskie urwisko.

- Skaczemy stamtąd! - oznajmia.

Inni chłopcy spoglądają w tamtą stronę i śmieją się, potrząsając głowami.

Luco znika między drzewami i pojawia się znowu w prześwicie, w ćwierć drogi do góry.

- Chodźcie! - woła. - Tchórze!

- Popatrzmy stąd - odpowiada Enzo.

- Właśnie, popatrzmy, jak sobie łamiesz kark, Luco! No, dalej! - mówi Raffi.

- Pip, chodź!

Pip kręci głową.

- Ja wolę linę!

- Pip, chodź tu! Już!

Opór Pipa słabnie. Luco niedawno zaczął być dla niego miły, a chłopcy, którzy mu dokuczali, bo był mały i drobny, zauważyli to. Pozwolili mu nawet trzymać się z nimi, razem popalali za kościołem świętego Józefa, podkradali rzeczy ze sklepu Papy Uzo i gnębili mniejszych chłopców. Jeszcze sześć miesięcy wcześniej siedziałby w klasie, spoglądając na ich puste ławki i marzył o tym, żeby mieć odwagę urwać się ze szkoły i mieć przyjaciół, z którymi można to zrobić. A teraz ma, dzięki Lucowi. Nie zawiedzie go.

Tylko dlaczego on zawsze wymyśla najniebezpieczniejsze, najbardziej przerażające zabawy?

- Idę! - wrzeszczy Pip. Ma nadzieję, że fałszywa brawura w jego głosie brzmi przekonująco w uszach reszty chłopców. - Tchórze - woła do nich dla pewności.

Kiedy Pip dociera na szczyt, Luco stoi wychylony nad krawędzią, trzymając się gałęzi.

- Nic trudnego - mówi. - Popatrz.

Pip przysuwa się bliżej i zdaje sobie sprawę, że stąd wysokość wydaje się jeszcze większa. Aż się kręci w głowie. Ale przecież w dole jest woda, więc skok chyba nie byłby aż tak niebezpieczny.

Luco odsuwa się, robiąc mu miejsce.

Pip chwyta za gałąź i wychyla się. Natychmiast zauważa głaz bezpośrednio pod nimi, jakiś metr pod powierzchnią.

- Luco - mówi - tam jest...

W dole pleców czuje uderzenie, jakby silne kopnięcie. Spada, wiruje, wydaje mu się, że mógłby z powrotem złapać się gałęzi, ale ona jest już daleko. Twarz Luca wychylona nad krawędzi, uśmiechnięta, staje się coraz mniejsza. Przez milisekundę czuje chłód wody, potem przesywający błysk bólu i w końcu zupełnie nic.

Budzi się w szpitalnym łóżku. Jego noga uniesiona jest sześćdziesiąt centymetrów nad materacem w temblaku przytwierdzonym do drutów, bloczków i metalowego stojaka. Gips pokrywa ją od palców aż po pachwinę. Metalowe bolce grube na palec wystają z niego w różnych miejscach. Ból jest ogromny, nie potrafi powiedzieć, czy dochodzi z nogi, bioder czy narządów wewnętrznych - wszystko przeraźliwie go boli.

Kamienne mury szpitala niechlujnie pokryte są cementem, tak jak w wielu budynkach tego tysiącletniego miasteczka. Warstewka wapna na próżno usiłuje nadać miejscu wrażenie sterylności i nowoczesności. Blade światło sączy się przez brudne okna umieszczone wysoko wzdłuż jednej ściany. Brzęcząc i trzaskając, przyrządy kontrolne śledzą go ze swoich wózków ze stali nierdzewnej. Tłusta mucha podfruwa, żeby go powitać. Okrąża jego twarz. Jakaś ręka łapie ją błyskawicznym ruchem. Pip podnosi głowę i dostrzega stojącego Luca, z muchą zamkniętą w pięści. Luco patrzy wprost na niego. Na jego twarzy widnieje ten sam uśmiech, który widział, spadając. Pip wierzy, że ten grymas ani na chwilę nie zniknął z jego twarzy.

- Obudziles się - mówi Luco. - Najwyższy czas.

- Zepchnales mnie - odzywa się Pip. Jego głos jest cichy i chrapliwy, jakby sączył się przez piasek. Słowa ranią mu gardło.

Przez twarz Luca przemyka wyraz zaciętości i wściekłości, który natychmiast zastąpiła dobroduszna cierpliwość, jaką okazuje się niedorozwiniętemu bratu.

- Sam skoczyłeś, głuptasie - mówi. - Enzo i Raffi cię widzieli. Podziwiali twoją odwagę. W szkole jesteś bohaterem. Zrobiłeś jaskółkę z samego kosmosu. - Podnosi dłoń i opuszcza ją powoli, przedstawiając pełną gracji powietrzną akrobację.

- Ty...

- Tak, ja też to widziałem. To było niesamowite.

Wyraz zaciętości powrócił na jego twarz. Wyciąga w stronę Pipa pięść i zaciska ją tak mocno, że bieleją mu kostki. Otwiera dłoń i wyciera zgniecioną muchę o szpitalną koszulę na piersi Pipa.

- Jesteś bohaterem - szepcze i wychodzi z sali.

A więc tak było - skoczył i na jakiś czas zyskał miano lokalnego bohatera. Kiedy inne dzieciaki oglądają miejsce, gdzie dokonał mężnego czynu, i pytają: „Dlaczego wcześniej nie spojrzaleś?”, odpowiada: „Wtedy nie byłoby przygody”. Dokładnie tak, jak Luco mu polecił. I nie wychodzi na głupka, a inni chwalą jego jeszcze większą odwagę.

Płytki wzrostowe jego kości piszczelowej i strzałkowej są zmiażdżone. W miarę jak prawa noga coraz bardziej przerasta lewą, Pip doczepia do lewego buta coraz grubszą podkładkę. Dostosowuje się i nigdy nie odstępuje Luca na krok.

- Pip!

Zaskoczony zorientował się, że Niklas Hüber ciekawie się mu przypatruje. Nikt w Raddusie nie znał prawdy o jego wypadku. Nikt poza Enzem i Raffim, a oni nigdy nawet nie zasugerowali niczego, co byłoby niezgodne z oficjalną wersją jego heroicznego wyczynu, nawet gdy byli sami. Pip domyślił się, że Luco ich ostrzegł w podobny sposób jak jego, używając być może argumentów bardziej dosadnych niż zmiażdżona mucha. Wróg Luca rozesłał detektywów, żeby odkryli wszystkie szczegóły z jego życia. Luca to nie dziwiło. Ale fakt, że Hüber dowiedział się również tak głęboko skrywanej prawdy, naprawdę zaniepokoił Pipa. Do czego jeszcze się dokopał?

- Jesteś z nami? - spytał Hüber z uśmiechem. Dym unosił się z kawałka węgla umieszczonego na perforowanej folii w nargili. Pociągnął powietrze z ustnika, jakby całował węża. Po kilku sekundach wypuścił dym przez nos i wąską szczelinę ust.

Pip obserwował go.

- Zastanawiam się - powiedział cicho.

- Zastanów się nad tym: Scaramuzzi oszukuje teraz nie tych, co trzeba. Wiem o jego przekrętach we Włoszech i Grecji, o tym że wyłudzał od wdów ostatnie pieniądze. I o lewym handlu bronią z... kto to był, z Syrią?

Na czoło i górną wargę Pipa wystąpił pot. Wytarł go.

- Przeszłość Luca nie ma żadnego związku...

- Wiesz, że ma. Ale teraz nie ma do czynienia z gospodyniami domowymi ani sektą z jakiejś dziury w Gelnhausen, Stroud czy Toledo... - głos Hübera stawał się coraz głośniejszy. Wziął głęboki wdech i pociągnął z fajki. Mówił dalej, nie wypuszczając dymu i jego słowa, choć spokojniejsze, wydawały się uchodzić z ust jak para wodna. - Collegium Regium Custodum et Vigilum Pro Domino Summo Curantium jest ogólnoswiatową siłą o nieograniczonych środkach: dysponuje majątkiem, ma na usługach polityków, czołowe postaci biznesu... zabójców. - Ostatnie słowo wyszeptał znacząco, a po nim zrobił krótką

pauzę. - Jak wiesz, bardzo poważnie traktujemy nasze cele. Wszystko, co kiedykolwiek zrobiliśmy, zmierza do ich realizacji. Kiedy wyjdzie na jaw, że Scaramuzzi jest oszustem, nie wygnamy go z miasta ani nie zamkniemy w więzieniu. Zarzniemy go. Zetrzemy z powierzchni ziemi wszystkie ślady jego istnienia: rodzinę, współników... przyjaciół. Kiedy jego wpływ na moich mniej wybrednych kolegów osłabnie, nie minie sześć miesięcy, a nazwisko Scaramuzzi zniknie bezpowrotnie. Nie zostanie po nim żaden ślad, nikt, kto by je wymówił. Wierzysz mi?

Pip spróbował przełknąć ślinę. Usta i gardło miał tak wysuszone, jak spalony beton. Pip już postawił na Scaramuzziego i na to, że zwycięży w tej potwornej rozgrywce, więc nie miał trudności z podjęciem decyzji. Potrzebował tylko odwagi. Gdzieś tam w nim była. W końcu znalazł jej na tyle, żeby powiedzieć:

- Wierzę, że jesteście w stanie to zrobić. Nie wierzę natomiast, że Luco okaże się kimkolwiek innym niż tym, za kogo się podaje. Dlaczego w niego wątpisz?

- Ważniejsze jest - powiedział Hüber - dlaczego ty mu wierzysz... Jeśli rzeczywiście wierzysz. - Pochylił się do przodu. Światło świec rozjaśniało jego przesywające niebieskie oczy. - Dlaczego ty, Pip, wierzysz, że Luco Scaramuzzi jest Antychrystem?

19.

Brady siedział w fotelu pasażera z otwartym laptopem na kolanach. Kable wijące się z lewej strony opadały na podłogę pod jego nogami podłączone do elementów, które Alicia wyjęła z neseseru na hełm. Brady nie miał bladego pojęcia o cyfrowej symulacji, ale obrazy pojawiające się na ekranie były oszałamiające. Około dwunastu ludzi wpatrzonych w kamerę stało wokół otwartego garażu. Widać było szczegóły twarzy, łącznie z wąsami czy niedoskonałościami cery. Cały kadr był całkowicie wyraźny, bez rozmytych fragmentów czy głębokich cieni, które pojawiają się przy jasnym oświetleniu.

Wyciągając szyję, żeby spojrzeć przez tylną szybę, Alicia z piskiem opon wyjechała z miejsca parkingowego.

Brady zamknął oczy i w myślach nakazał sobie zachować spokój. Gdyby jego lekarz widział, jak Alicia prowadzi, zapisałby mu diuretyk i beta-bloker, żeby obniżyć oszalałe ciśnienie. Albo, co bardziej prawdopodobne, kazałby mu wziąć taksówkę.

Na ekranie Alicia weszła na klatkę schodową. Tu i ówdzie na ścianach widoczne były smugi, nisko przy podłodze, gdzie otarły się o nie ciemne podeszwy butów. Brady dostrzegł cienką warstewkę kurzu na wznoszącej się listwie przypodłogowej. Wcisnął spację i zatrzymał nagranie. Obrócił się do Alicii, kiedy ta właśnie wyprowadzała samochód na wyjazd z parkingu. Słońce wlało się przez przednią szybę i rozświetliło jej twarz. Przez ułamek sekundy Brady'emu wydawało się, że światło nie pochodzi od słońca, ale bije od samej Alicii. Zaparło mu dech w piersiach, ale już po chwili zachichotał cicho. Umysł płata nam różne figle.

- Z czego się śmiesz? - zapytała, opuszczając osłonę na przednią szybę i sięgając do schowka po okulary.

- No, że... - Nie ma mowy, żeby próbował wyjaśnić to złudzenie. Jego wewnętrzny głos przybrał włoski akcent. Zajaśniałaś mi jak Madonna, mi amore! Jasne. Przypomniał sobie, dlaczego zatrzymał odtwarzanie. - Udało ci się - powiedział. - Rozwiązałaś największy problem.

Kiedy Brady rok temu przyszedł do jednostki badawczo-rozwojowej Zespołu do Spraw Gromadzenia Dowodów, Alicia strawiła już dziesięć miesięcy nad projektem DMZ. Pierwsza demonstracja, jaką ujrzał, była nieszczególnie imponująca. Obraz był niestabilny,

ziarnisty, prześwietlony i niedoświetlony na przemian. Przy takiej rozdzielczości nie przewidywał, żeby urządzenie mogło przynieść jakiegokolwiek korzyści profilerom czy prokuratorom. Zadaniem Brady'ego było pomóc programistom DMZ zrozumieć, jakiego rodzaju informacji potrzebują profilerzy, przygotować instrukcję dla użytkowników wskazującą, jak te informacje zdobywać, oraz uczestniczyć w testach terenowych kolejnych prototypów, zawsze razem z Alicią. To nagranie po raz pierwszy pokazywało obraz niemal tak wyraźny, jak widziany okiem ludzkim - coś, co wszyscy uważali za konieczne, ale wielu za nieosiągalne.

- Ten obraz jest miliony lat świetlnych od ostatniego testu robionego za ledwie... ile? Sześć miesięcy temu?

Uśmiechnęła się szeroko.

- No cóż, ja tylko nękam techników, aż dostanę, czego chcę - powiedziała skromnie. Potem z przesadzoną dumą dodała: - A w tym jestem naprawdę dobra.

- Tak czy inaczej, efekt jest widoczny. Już zwątpiłem. - Ponownie wcisnął spację i zobaczył, jak Alicja wkracza po schodach. - Jak to się dzieje, że obraz jest taki wyraźny?

- Kamery są umieszczone w żyroskopowych korpusach, które działają jak ministabilizatory - wyjaśniła. Docisnęła pedał gazu i przemknęła przez wąską lukę między samochodami, przecinając dwa pasy. Klaksony zawyły, ale nie zwracała na nie uwagi. - Jak system steadicam używany do kręcenia filmów, tyle że sto razy mniejszy. Nawet z nimi nieobrobiony obraz trzęsie się i wibruje tak, że po paru minutach można dostać potężnego skurczu mózgu. Więc używa się programów komputerowych do stabilizacji obrazu. Możemy to zrobić, bo filmujemy w technologii cyfrowej high-definition, czyli po prostu w języku komputerowym.

Jeśli chodzi o skurcz mózgu, to Brady właśnie go doświadczał. Nie wiedział, czy od technicznego żargonu Alicji, czy od jej sposobu prowadzenia samochodu. Nagranie z miejsca zbrodni na pewno nie poprawi sytuacji, ale musiał je obejrzeć. Wznowił odtwarzanie. Ciche głosy przypomniały mu, że dźwięk był wyciszony. Czasami uwagi funkcjonariuszy na miejscu zbrodni pomagały wyeliminować wątpliwości dotyczące obrazu. Wcisnął klawisz zwiększający siłę dźwięku. Z głośników popłynął metaliczny głos Alicji. „Poczekaj chwilę... Odcisk buta”.

- O, spróbuj w tym - odezwała się tuż przy nim. Sięgnęła na tylne siedzenie, macała przez chwilę na ślepo, po czym obróciła się, żeby spojrzeć, tracąc z oczu drogę. Tył półciężarówki przybliżał się do nich w szybkim tempie. Wręczyła Brady'emu złote słuchawki, zahamowała ostro i zmieniła pas, w ostatniej sekundzie unikając zderzenia.

- Mają redukcję szumów - oznajmiła. - Chociaż to trochę za dużo powiedziane. I tak słysząc dźwięki z otoczenia, ale na tyle wyciszone, że to, czego słuchasz, jest bardzo wyraźne.

Przypiął je do komputera i włączył. Szum silnika i hałas uliczny natychmiast przycichły, jakby ktoś zamknął okno w domku na plaży.

Alicja na nagraniu przemówiła: „Użyłam podczerwieni. Dlatego musiałam wyłączyć światła. Czy możesz mnie obejść i to zaznaczyć?”. Głośno i wyraźnie. Kiedy dotarła do pralni u szczytu schodów, był już kompletnie zatopiony w nagraniu. Jakby sam tam był.

20.

Pipowi nie wolno było się spotykać na osobności z żadnym ze Strażników, a powodem było właśnie pytanie, jakie zadał mu Hüber. Nie był przygotowany na odparcie bezpośredniego ataku. Przeciwwstawianie się naciskom nie leżało w jego naturze. Polecieć do Palermo, żeby wręczyć łapówki, wykraść dokumenty z zamkniętych biur rządowych w środku nocy albo przeglądać akta, niszczyć wszystko, co nie potwierdzało pożądanej tezy - to wszystko mógł robić, wręcz w tym celował. Ale tracił głowę, gdy ktoś zapytał wprost o rzeczy naprawdę ważne. Nawet mówienie prawdy było trudne, kiedy motywy pytającego były przeciwne jego motywom, kiedy stawka była wysoka. Zawsze myślał, że jest typem człowieka, który przyznaje się do niepopelnionej zbrodni tylko dlatego, że nie jest w stanie znieść presji policyjnego przesłuchania.

Hüber czekał na odpowiedź, trzymając w dłoni ustnik nargili, z którego unosił się dym.

Dlaczego Pip sądził, że Luco jest Antychrystem?

Nie sądził, żeby odpowiedź: „A dlaczego nie?” zadowoliła Hübera. A jednak była bliższa prawdzie niż cokolwiek innego, co przychodziło mu na myśl. Przed ośmiu laty Luco powiedział mu, że natknął się na człowieka, który twierdził, że zna organizację oczekującą nadejścia Antychrysta. Luco odkrył, że wiele z aspektów życia Antychrysta wynikających z proroctwa zgadzało się z jego życiorysem. A te, które się nie zgadzały, jak wyjaśnił, można było przeinterpretować, zmodyfikować czy sfabrykować. Miał plan, który wymagał ponad dwóch lat badań i „zasiewu” - tego słowa użył. Następnie upewniłby się, że odpowiedni ludzie zwrócą na niego uwagę, nie członkowie organizacji Strażników, ale ludzie, którzy znają ludzi, którzy znają ludzi...

- Wchodzisz w to czy nie? - zapytał Pipa. Jeśli jego odpowiedź nie brzmiała dosłownie „Czemu nie?”, to tyle właśnie znaczyła. Intryga wydawała się mocno naciągana, ale to samo można było powiedzieć o wszystkich innych przekrętach Luca. A pozwoliły one im dwóm - uroczemu, ujmującemu Lucowi i pracowitemu, niewidocznemu Pipowi - wieść życie na poziomie, o którym ich znajomi oszuści z Raddusy mogli tylko pomarzyć.

Doszły ich słuchy, że Strażnicy mieli wręczyć legat Antychrystowi, gdy ten się pojawi, ale żaden z nich nie wyobrażał sobie ogromu bogactwa i władzy, które oczekiwały

Bestię Apokalipsy. Kiedy zdali sobie sprawę, w co się wpakowali, było już za późno, by się wycofać. Pip nie podejrzewał, żeby Luco zgodził się zniknąć po cichu, nawet gdyby to było możliwe. Intryga stanowiła zbyt wielkie wyzwanie, a nagrody zbyt wielką pokusę.

Hüber znał już proroctwa przypisane Luconi. Jeśli dotąd ich nie kupił, to Pip z pewnością go nie przekona. Pip odpowiedział bez entuzjazmu:

- Zachodzą na świecie fakty, które dowodzą, że czas nadszedł.

- Tak, tak. Po raz pierwszy od dwóch tysięcy sześciuset lat istnieje niezależne państwo żydowskie. Chrześcijaństwo jest w stanie wrzenia, zwaśnione wewnętrznie. Skołowani i zmęczeni ludzie gonią za coraz to nowymi duchowymi doświadczeniami. Stoją na krawędzi apostazji albo już się w niej pływają. Świeckie społeczeństwo też przeżywa kryzys ekonomiczny, polityczny i każdego innego rodzaju, który zadowoliliby uczciwego anarchistę. Świat dojrzał do nadejścia Antychrysta, zgoda. To dla mnie oczywiście ogromnie poruszające. Należę do pokolenia, które go przyjmie! Po dwóch tysiącach lat być pośród tych nielicznych, którzy powitają go w imperium takiego bogactwa i władzy, jakich nigdy nie dzierżył żaden człowiek. Ale jeden człowiek je posiada i użyje ich, by osiągnąć przepowiedzianą mu wielkość. - Hüber pochylił się, patrząc pośród dymu nargili prosto w oczy Pipa. - Luco Scaramuzzi nie jest tym człowiekiem.

- Okay - odparł Pip. - Zostawmy fakty światowe, zostawmy jego pochodzenie i osobowość. Luco spełnił szczegółowe przepowiednie. Przecież...

Hüber podniósł dłoń i przymknął oczy.

- Daruj sobie, Pip. Wiem, jakie przepowiednie twierdzi, że spełnił. Wiem również, że pewne z nich mogły zostać, no cóż, naciągnięte, podrasowane i przekręcone, żeby wymusić zbieżność z życiem Scaramuzziego. Bardzo wygodne dla niego, że ojciec Randall i jego zespół uczonych wyjaśnia i prostuje interpretacje Strażników i naszych własnych teologów.

Pip westchnął i odchylił się na miękką skórę oparcia krzesła.

- Jeśli jesteś tak podejrzliwy i pełen wątpliwości - powiedział zrezygowany - nawet mimo pomocy najmądrzejszych teologów i namacalnych dowodów, to jak się spodziewasz kiedykolwiek go znaleźć? To znaczy: tego właściwego, według ciebie?

Hüber uśmiechnął się, ale w zimnym wyrazie jego twarzy nie było śladu rozbawienia czy radości.

- Czuję to we krwi. Teraz coś mówi mi, że Scaramuzzi to nie ten człowiek. Coś mówi mi, że ty też o tym wiesz. Gdyby tylko wiedzieli też moi koledzy. Ale zrozumieją to, Pip. Niech ci się nie wydaje, że można ich wiecznie oszukiwać. - Przez chwilę wytrzymał spojrzenie Pipa, po czym pochylił się, żeby spojrzeć na dymiący węgiel. Najwyraźniej

usatysfakcjonowany ciągnął dalej. - Wiesz, to wszystko już się wydarzyło. - Pokiwał głową w odpowiedzi na zdziwioną minę Pipa. - Moi poprzednicy nie byli najwyraźniej bardziej wybredni niż moi koledzy. Hitler, Napoleon, Justynian, Neron. Każdy z nich manipulował prorocstwem, żeby dopasować je do okoliczności. Z pomocą Rady lub jej poprzedników każdy osiągnął niezwykle wysoką pozycję. I wszyscy utopili świat we krwi. - Znów ten sam uśmiech. - Nie trzeba być prawdziwym Antychrystem, żeby wyrzynać miliony. Trzeba tylko kogoś, kto w ciebie uwierzy.

Pip zaczynał się czuć, jakby jego głowa była boją na wzburzonym morzu.

- Co chcesz powiedzieć? Że Luco spróbuje podbić świat, po drodze mordując miliony ludzi?

- Naturalnie. Przecież podaje się za Antychrysta, prawda? Według Księgi Apokalipsy Antychryst podbija dziesięć narodów. Jednoczy je w jedno imperium, po czym wypowiada wojnę reszcie świata. Dzięki swojemu niemałemu urokowi, inteligencji, bezwzględności i ambicji, a także przez zbieg okoliczności, Scaramuzzi, jak na razie, ma poparcie Strażników, organizacji o ogromnym majątku i wpływach. Z naszymi środkami nie ma takiej rzeczy, której nie mógłby zrobić.

- A chce wypełnić prorocstwa Antychrysta - dodał Pip.

- Łącznie z Armagedonem.

Pip zastanowił się nad tym.

- Jeśli to takie okropne, to dlaczego Strażnicy chcą w tym pomagać? - zapytał.

- Na początek pozwól, że coś ci wyjaśnię. Biblia wyraźnie mówi, że jest wielu antychrystów, wiele niszczycielskich jednostek, które nienawidzą Boga i... mają, można powiedzieć, piekielną ochotę siać zniszczenie wśród Jego stworzeń. Ci pretendenci, o których wspominałem, Hitler, Neron, z całą pewnością byli antychrystami. Twój szef prawdopodobnie też jest. Ale ten termin można do nich stosować tylko w takim sensie, w jakim grzeczne dzieci nazywa się „małymi aniołkami”. Nie bliżej im do aniołów niż krowom, ale ich dobre zachowanie wydaje nam się anielskie. Niedoszli despoty postępują jak Antychryst, ale nim nie są i nie interesują Strażników. Naszym pragnieniem jest wyłącznie pomagać prawdziwemu Antychrystowi. Filozof dominikanin Tomasso Campanella nazwał go Antichristo Massimo, czyli Wielkim Antychrystem. Zarówno Daniel, jak i Jan Apostoł śnili o tym człowieku. Jego przeznaczenie jest jasne, a my zamierzamy pomóc mu je wypełnić.

- Ale dlaczego?

Hüber rzucił mu chytre spojrzenie.

- Wiemy, że Antychryst skupi w swoim ręku władzę nad wszystkimi krajami świata.

Będzie miał władzę absolutną. Będzie decydował o życiu i śmierci, o tym, kto czyści kible, a kto ma domy w Anguilli ze służbą i haremem. Jego doradcy i powiernicy będą mieli wpływ na jego myśli w tych kwestiach. Będą beneficjentami jego władania.

Pip potrząsnął głową.

- Nie wystarczy wam to, co już macie?

- Są rzeczy, których nie kupi się za pieniądze - powiedział Hüber. - Znasz oczywiście lorda Winstona.

Był to członek zgromadzenia z posiadłością pod Londynem. Pip skinął głową.

- Biedak nie wie, co robić. Ma pewną... hm... słabość do małych chłopców. Zaledwie przed kilkoma miesiącami rodzice jednego z jego młodych gości zaczęli rzucać oskarżenia. Mieli jakieś badania lekarskie na poparcie swoich słów. Gdybym ci powiedział, ile pieniędzy nas to kosztowało i jakich wpływów musieliśmy użyć, żeby załagodzić sytuację, Pip, padłbyś tu na atak serca. A nawet mimo to upodobania lorda Winstona niemalże wyszły na jaw. O mały włos. - Pokazał Pipowi kciuk i palec wskazujący, jakby sypał szczyptę soli. - Opinia publiczna wymusiłaby wszczęcie dochodzenia, które ujawniłoby, kto wie jakie inne niedyskrecje. Koniec końców żadne pieniądze i wpływy nie uratowałyby go od więzienia, zakładając, że do tego czasu nie podciąłby sobie żył.

Popatrzył na nargilę tak, jakby na chwilę o niej zapomniał, włożył ustnik między wargi i wciągnął dym do płuc. Wypuścił go i patrzył na unoszące się kłęby.

- Rzecz w tym, Pip, że wszyscy miewamy skłonności, przez które możemy skończyć za kratkami albo w bocznej uliczce pobici na śmierć. Zwłaszcza ludzie majątni. Zakosztowaliśmy już wszelkiej wolności, jaką oferuje ten purytański świat. Teraz chcemy zakosztować reszty bez ryzyka, że wszystko stracimy. Jak będziemy ustalać reguły i mieć wszystkie pieniądze, wtedy moralność i opinia publiczna - krótko zaciągnął się jeszcze raz i wypuścił powietrze - będą znaczyć tyle co ten dym.

Pip czuł, że robi mu się niedobrze. Czy rzeczywiście chodzi tylko o możliwość zaspokajania swoich zakazanych pragnień? Czy pokusa grzechu jest naprawdę tak silna? Pycha, chciwość, zazdrość, gniew, obżarstwo, lenistwo, żądza. Dante się pomylił - siedem grzechów głównych jest śmiertelne nie dla tych, którzy je popełniają, ale dla tych, którzy staną im na drodze.

- Cały wasz wysiłek - zaczął, nie mogąc ukryć obrzydzenia pobrzmiewającego w głosie - wszystkie starania Strażników od pięćdziesięciu pokoleń, wszystko po to, żebyście mogli zaspokajać perwersyjne zachcianki?

- Żebyśmy mogli doświadczyć wszystkiego. Pełnia życia nie zna żadnych więzów,

żadnych ograniczeń.

- Ale przecież prorocstwo mówi, że władanie Antychrysta ma potrwać tylko kilka lat. - Pip nie mógł tego pojąć, to wszystko wydawało mu się głupim marnowaniem czasu, pieniędzy i poświęceń.

- Siedem lat - uściślił Hüber. - A to nie jest wyryte w kamieniu.

- W kamieniu...? Macie nadzieję zmienić prorocstwo?

- Szatan zna Boga lepiej niż ktokolwiek inny, a najwyraźniej sądzi, że może zwycięsko wyjść z Armagedonu, mimo że Biblia wróży mu porażkę. Bo inaczej po co w ogóle by próbował? Prawdopodobnie nie raz już pokonał wolę i przepowiednie Boga. Może prorocstwo to nic innego jak Boża podżegająco-motywacyjna przemowa. „Zobaczycie, na pewno wygramy!”

- Chyba w to nie wierzysz.

- Owszem, wierzę. Życie pełne nieskrępowanej rozkoszy. Ludzie już zabijali i ginęli, żeby doświadczyć choć jednego dnia. A wyobraź sobie siedem lat! Przy tym znając jego przewidywany upadek i możliwe błędy, możemy im zapobiec. Co jeśli dostaniemy dziesięć, a nawet trzydzieści lat? A jeśli stworzymy zupełnie nowe imperium, które nigdy się nie skończy? Wtedy przestałbyś drwić, prawda?

Pip zamrugał oczami. Jak można odpowiedzieć na to pytanie?

Hüber przybrał pojednawczy ton.

- Chcę uniknąć błędów z przeszłości, Pip. Marnotrawienia naszych środków, nadmiernego rozlewu krwi.

Pip zastanawiał się, czego tamten chciał uniknąć bardziej.

- Jak zamierzasz to zrobić?

- Upewniając się, że żaden uzurpator nie pojawi się na mojej wachcie.

- Dlaczego po prostu go nie zabijesz?

- Jasno wyraziłem swój sprzeciw. Jeśli Scaramuzzi zginąłby teraz, nawet gdyby wyglądało to na wypadek czy atak serca, ja i kilku moich kolegów zostalibyśmy usunięci w odwecie i po to, żeby opozycja nigdy już nie posunęła się tak daleko. Jesteśmy organizacją demokratyczną. Rządzi większość. Najpierw trzeba go zdyskredytować.

- Ale... - Pip gorączkowo szperał w myślach. Nie chciał sugerować nic, co mogłoby zaszkodzić Lucowi, ale ciekawość nie dawała mu spokoju. Poza tym Hüber i inni Strażnicy niewątpliwie przemyśleli sprawę i mieli swój plan. - Ale czy przedwczesna śmierć nie dowiodłaby, że nie jest Antychrystem?

Hüber zaśmiał się, a jego śmiech brzmiał zimno i sucho jak lód grzechoczący w

szklance.

- Chciałbym, żeby to było takie proste. Moglibyśmy po prostu odstrzeliwać każdego kandydata, który zwróciłby naszą uwagę. Jeśli uda mu się obronić albo broń się zatnie, zostanie zraniony i wyzdrowieje, czy to oznacza zbieg okoliczności, a może nadprzyrodzoną ochronę? Musielibyśmy jeszcze raz spróbować, a nadal nie mielibyśmy pewności. No, gdyby umarł, a potem znowu ożył, albo gdyby kule odbiły się od niego, mielibyśmy ostateczną odpowiedź. Ale jeśli umrze na dobre, czy to dowodzi, że nie był Antychrystem? A może zapobiegliśmy spełnieniu proroctwa? A może po prostu tylko opóźniliśmy to, co nieuniknione, może przybędzie w nowym ciele, w następnym pokoleniu, bo jego dusza nie zazna spoczynku dopóki przepowiednia się nie wypełni? Nikt tego nie wie, ale wszyscy są zgodni, że zabójstwo kandydata nie jest rozsądne. Przynajmniej do czasu, kiedy przestanie być kandydatem.

- No to chyba jesteś w kropce.

- Dlatego ty jesteś mi potrzebny, Pip. Ty i Scaramuzzi przyjaźniliście się od dzieciństwa. Od trzydziestu lat jesteście sobie bliźsi niż bracia. Wierzę, że nie masz wątpliwości, że nie jest tym, za kogo się podaje, i znasz jakieś fakty, które mogą to definitywnie potwierdzić. Może nawet masz dowody.

Hüber obserwował jego twarz, jakby szukając w niej czegoś na potwierdzenie swoich przypuszczeń. Pip starał się niczego po sobie nie pokazać.

- Powiedziałem, że byliście sobie bliźsi niż bracia, ale Scaramuzzi bywa dla ciebie okrutny, prawda? Traktuje cię jak psa.

Szczęki Pipa zacisnęły się.

- Jest dla mnie dobry.

- Tak jak pan jest dobry dla niewolnika. Jesteś jego narzędziem.

Hüber odkręcił zawór z boku gumowego węża obok rurki z ustnikiem. Podniósł z tacy nieużywaną rurkę i zaczął przykręcać ją w powstałym otworze.

- Zamiast być jego psem, i to tylko dopóki nie skończy się zabawa i razem z resztą jego obozu nie zostaniecie zlikwidowani, zacznij pracować ze mną. Daj mi to, czego mi potrzeba, żeby go zdemaskować. W zamian dostaniesz wygodną posadę w mojej organizacji, sutą pensyjkę, a co najważniejsze, gwarancje przeżycia.

Hüber podniósł rurkę z ustnikiem, którą właśnie przytwierdził do nargili, i podał ją Pipowi. W drugiej ręce trzymał własną. Dodając drugi ustnik, stworzył fajkę wspólnoty... fajkę pokoju. Przyjęcie jej oznaczałoby zgodę na zdradzenie Luca.

Pip wpatrywał się w oferowany ustnik. Unosił się z niego dym, raz widoczny, raz nie

w migoczącym świetle ustawionej pod nim świecy. Wiedział, że od tego momentu jego życie się zmieni, bez względu, czy po niego sięgnie czy nie. Ludzie pokroju Hübera kiepsko znosili odrzucenie. Luco już wiedział, że tamten w niego wąpi i chce go pogrążyć, więc wyjawiając mu przebieg tego spotkania, Pip nie zrobiłby Hüberowi krzywdy. Za to gdyby Hüber zorientował się, że nie da się wykorzystać Pipa, żeby dostać się do jego zwierzchnika, najpewniej pozbawiłby go życia, licząc, że nabruździ w ten sposób Lucowi. Gdyby przyjął propozycję - bo rzeczywiście miał to, czego chciał Niemiec - potrzebowałby azylu aż do śmierci Scaramuzziego. A potem czeka go życie, jakiego nie zaznał jako lokaj Luca - jeśli Hüber dotrzyma słowa. To wielka niewiadoma.

Dym unosił się, falował i rozmywał się w ciemności. Tak jak moja przyszłość, pomyślał Pip.

21.

Alicia wiedziała, że Brady dotarł do miejsca w nagraniu, gdzie znajdują odciętą głowę, ponieważ gwałtownie nabrał powietrza i bezwiednie zasłonił usta dwoma palcami. Gdyby nie potworne okoliczności, gratulowałyaby sobie dobrej roboty - DMZ naprawdę potrafił wciągnąć oglądającego. Osiem minut później zdarł z głowy słuchawki, jakby nagle wydały jakiś potworny jazgot. Oddychał szybciej niż zwykle. Spojrzał na nią.

- Myślałem, że jestem na to przygotowany.

Skinęła głową.

- Szkoda, że cię tam nie było.

- Czuję się, jakbym był. Prawie czułem zapach krwi.

„To jest na mojej liście do poprawki” - tylko takt powstrzymał ją od powiedzenia tego na głos.

Wcisnął klawisz.

- Teraz obejrzę powoli. Uważniej.

- Za późno - odparła. - Jesteśmy na miejscu.

Zaparkowała taurusa na poboczu drogi gruntowej, jak się wydawało dokładnie w tym samym miejscu, gdzie wczoraj w nocy. Sześć innych wozów stało stłoczonych wokół opasanego taśmami podjazdu Cynthii Loeb: dwa policyjne, dwa sedany z krzykliwym napisem „wóz służbowy”, biała półciężarówka, która, jak podejrzewała Alicia, przywiozła większą liczbę techników, i krwistoczerwony kabriolet corvette.

Wykręciła szyję, żeby przez drzewa popatrzeć na dom.

- Nikogo nie widać. Pewnie wszyscy są w środku.

Zanurkowała pod żółtą taśmą policyjną rozpiętą między dwoma drzewami z przodu podjazdu.

- Pięknie tu - zauważył Brady.

Wczorajszej nocy walory estetyczne miejsca nie zwróciły jej uwagi, ale teraz dostrzegła, że długi, kręty podjazd wyłożony jest różową terakotą. W zestawieniu z zielenią sosen, lazurowym niebem i tysiącem odcieni brązu, od kory drzew przez opadłe igły do barwy ziemi, błoga sceneria aż zapierała dech.

Podjazd zakręcał w stronę domu i zakończony był betonowym podestem przed

podwójnymi drzwiami garażu. Po obu jego stronach ziemia wznosiła się ostro, jakby dom zbudowany był na wzgórzu, a przestrzeń na garaż wykopana była w zboczu. Dom stał frontem do podjazdu. Drewniane schody zataczały szeroki łuk od podestu przed garażem do frontowego ganku.

Kiedy Alicia i Brady zbliżali się do domu, drzwi otwarły się i wyszedł detektyw Lindsey. Przeciągnął się i ziewnął. Bez wątplenia był tu cały czas od wczorajszego wieczora. Zauważył ich i Alicia machnęła do niego ręką. Nawet z odległości trzydziestu metrów dostrzegła, jak zmarszczył brwi. Nagle poczuła ciężar w piersi. Jeśli strategia śledcza, którą opracował dla niego DMZ, okazała się błędna, to zahamuje rozwój programu na długie miesiące, jeśli nie lata.

Detektyw ruszył w dół po schodach. Do betonowego podestu dotarli równocześnie, ale zamiast zarzucić ją oskarżeniami i obelgami, skierował wzrok na Brady'ego i podszedł do niego.

- Kim pan jest? - zapytał Lindsey.

- Detektywie Lindsey - odezwała się Alicia - to mój partner, agent specjalny Brady Moore.

- Witam - powiedział Brady i wyciągnął rękę. Lindsey zignorował gest i podparł się pod boki. - Partner? To gdzie pan był wczoraj wieczór?

- Agent Moore dopiero co przyjechał z Quantico.

Lindsey wreszcie zwrócił się do niej, błyskając zębami w krzywym uśmiechu.

- Aż z Quantico? To wam się, chłopaki, naprawdę wydaje, że to wasze dochodzenie. - Wskazał ruchem głowy na dom.

- Nie rozumiem pana - powiedziała. - Sądziłam, że wniosłam coś cennego do waszego śledztwa.

Jego wyraz twarzy odrobinę złagodniał.

- Owszem, agentko Wagner. To całe MD... MZD to świetne urządzenie. Sam bym takie chciał. Jak już mówiłem wczoraj wieczór, bardzo dziękuję za pomoc. Teraz żegnam.

Nie dało się tego wyrazić jaśniej.

- Detektywie Lindsey - odezwał się Brady przyjaźnie. - Nie jestem wysoko postawiony w FBI. Nie ma powodu, żeby czuł się pan zagrożony moją obecnością.

Lindsey postąpił krok w stronę Brady'ego.

- A wyglądam, jakbym się czuł zagrożony?

- Nie, tylko że...

- Czym się pan właściwie zajmuje? Drugi robocop?

- Korzystał pan kiedyś z kryminalnych analiz śledczych FBI?

- Profile psychologiczne sprawców? Jest pan profilerem? - Lindsey przewrócił oczami. - O tak, korzystałem. Poza wypełnianiem dwudziestu stron formularzy każecie sobie przysyłać kopie każdego skraweczka papieru związanego ze sprawą, może oprócz tego, co detektywi używają w kiblu. Raporty z sekcji zwłok, stenogramy przesłuchań, wyniki analizy balistycznej, mapy, teorie, zdjęcia. I muszę jeszcze błagać łącznikowego, żeby pozwolił mi poskładać to wszystko do kupy, zanim będzie mi dane chociaż porozmawiać z wszechmocnym profilerem. Czy mam już teraz paść na kolana?

- Może później - odparł Brady. - Potrzebujemy tego wszystkiego, ponieważ nie wiadomo, jaki szczegół okaże się decydujący, jak słowo klucz do szyfru. Czy sprawca gra w szachy, warcaby czy w Dungeons and Dragons? Pije mleko czy piwo? Ugania się za kobietami czy się za nie przebiera? Nie obchodzi nas, jakiego papieru toaletowego używają wasi detektywi, ale być może uda nam się ustalić, jakiego używa wasz sprawca.

Nie zdejmując oczu z Lindleya, wskazał na Alicję.

- Digitalizator Miejsca Zbrodni, czyli D-M-Z, tak przy okazji, który stworzyła agentka Wagner, pozwoli zmniejszyć tę górę papierkowej roboty o połowę. Ile teraz trwa sporządzenie portretu psychologicznego? Chyba z tydzień, jeśli w ogóle dogadamy się z waszymi. To cała wieczność, kiedy zaginęło dziecko albo morderca ciągle zabija, a prasa, opinia publiczna i szefowie nie dają ci spokoju. DMZ skróci ten czas o połowę, a ludzie będą mogli się zająć sprawami, na które teraz nie mamy czasu nawet spojrzeć. Nie wiem, czy agentka Wagner obraziła pana w jakiś sposób, poza tym może, że jest kobietą i zna się na tym, co robi. Powiedział pan, że jej wczorajsza praca wam pomogła. Założę się, że bardzo wam pomogła. Rozumiem, że broni pan swojego terytorium, ale tu naprawdę nie o to chodzi. Może pan wierzyć lub nie, ale jesteśmy tu, żeby pomóc, i ostatnia rzecz, jakiej potrzebujemy to słuchanie pańskich żalów.

Mówiąc to, Brady pochylił się nieco do przodu, tak że twarze dwóch mężczyzn dzieliły centymetry. Lindsey cofnął się o krok i udawał, że poprawia pasek. Przeniósł wzrok z Brady'ego na Alicję i uśmiechnął się.

- Niezła z was para. Nie jestem pewien, ale chyba właśnie zostałem zbesztany.

- Pańskim rodzicom też tak trudno było się z panem dogadać?

Lindsey przypatrywał mu się z niepewną miną.

Uśmiech wypłynął na twarz Brady'ego bardzo powoli.

- Aaa...! - roześmiał się detektyw. - To żart. Rozumiem, ale nie mogę pozwolić wam węszyć na moim miejscu zbrodni. Jak coś spaprzecie, to mnie się...

Przerwał mu męski głos wołający go z wnętrza domu. Coś w związku z oprowadzeniem i depozytem.

- Chwileczkę - Lindsey podniósł palec i podbiegł do wejścia. Alicia i Brady słyszeli, jak drzwi otwierają się - wołanie staje się głośniejsze o decybel - i zatrząskują z powrotem.

- Niezła przemowa - odezwała się.

- Sądziłem, że zadziała - odpowiedział.

- Nie przejmuj się nim. To nadęty...

Lindsey zszedł właśnie po stopniach, a za nim policjant w cywilu, który eskortował łysiejącego mężczyznę po czterdziestce.

- Tylko chwilę, tylko chwilę... - powtarzał mężczyzna.

Lindsey dotarł do podestu i gestem polecił im zrobić przejście dla policjanta i mężczyzny.

Kiedy mijali Brady'ego i Alicię, idąc podjazdem w stronę drogi, mężczyzna ciągle przekonywał:

- Mam w samochodzie aparat. Dajcie mi chociaż pstryknąć parę fotek.

Lindsey zwrócił się do nich.

- Przepraszam. Jeszcze jedna trudna osobowość.

- Kto to? - spytała Alicia.

- Jeffery Loeb. Mąż ofiary.

- Mąż? Myślałem, że była rozwiedziona.

- Byli w separacji. Rozvodu jeszcze nie orzeczono. Poprosiliśmy go, żeby przyszedł sprawdzić, czy coś zginęło albo jest nie na miejscu, i to był błąd.

Alicia skinęła głową. Standardowa procedura.

- I zobaczył coś?

- Tylko dom, który chciałby sprzedać. Chodził tak naokoło i prawie widać było, jak zaświtało mu w głowie: „Nie mieliśmy rozvodu. To moje, wszystko moje”. Chciał dziś przyjechać z pośrednikiem. Nie uśmiechało mu się, że zamykamy dom jako dowód w sprawie na tydzień albo dwa.

Brady odezwał się:

- Chciałbym z nim porozmawiać. - Postąpił krok w stronę dwóch mężczyzn oddalających się podjazdem.

Lindsey dotknął jego ramienia, powstrzymując go.

- Raczej nie.

- Dlaczego?

- Po pierwsze, nie chcemy go spłoszyć.
- Jak to spłoszyć?
- W tym momencie to nasz główny podejrzany.

- Chyba pan żartuje. Na jakiej podstawie?

Lindsey odchylił głowę do tyłu spojrzął z góry na Brady'ego.

- No cóż, musicie mi wybaczyć, jeśli wkraczam na wasze terytorium, ale są dowody na to, że zabójca zrobił kanapkę.

- Aha. - To było na nagraniu DMZ. Suche okruchy na zakrwawionym blacie.

- Poprawcie mnie, jeśli się mylę, ale czy to zazwyczaj nie wskazuje na sprawcę, który znał ofiarę i czuł się w domu swobodnie? - Mówiąc to uniósł brwi.

- Zazwyczaj tak, ale...

- I czy większość aktów przemocy nie jest popełnianych przez krewnych lub tak zwanych bliskich?

- Często tak jest, ale wszystko wskazuje na to, że ta zbrodnia jest powiązana z przynajmniej czterema innymi morderstwami w dwóch stanach. Czy mąż Cynthii Loeb wszystkie je popełnił?

- Nie słyszeliście nigdy o naśladowcach?

Brady tylko gapił się na Lindseya. Alicia była nie mniej zdębiała. Lindsey musiał wiedzieć, że do prasy podane zostały tylko skąpe informacje o poprzednich zbrodniach Pelletier. W przypadku każdej z nich istotne szczegóły utajniono, łącznie z najważniejszym dowodem łączącym wszystkie zabójstwa: wykorzystanie psów. Jeśli ktoś próbowałby się podszyć pod mordercę Pelletier, to po pierwsze, skąd miałby to wiedzieć, a po drugie, jak miałby to naśladować? Chyba że przypadkiem miał akurat psy tresowane do unieruchamiania ofiar.

- I tak chciałbym z nim porozmawiać - oznajmił Brady. - Nie może pan zabronić mi rozmowy ze świadkiem.

- Mogę, dopóki jest na moim miejscu zbrodni.

Jakby na umówiony znak, od strony drogi dał się słyszeć ryk mocnego silnika.

- Pewnie ma jeszcze na masce napis „kryzys wieku średniego” - zauważyła Alicia obojętnie.

Jak można się było spodziewać, huk silnika dochodził z czerwonej korwety, która właśnie błysnęła przed ich oczami. Żwir rozpryskiwał się spod opon, kiedy samochód mknął ze zdecydowanie zbyt dużą prędkością.

Brady z niesmakiem zwrócił się do Lindseya.

- Przynajmniej go pan przesłuchał?

- Nie, zaprosiłem go do mamy na podwieczorek.

- Czy mógłby pan przesłać nam zapis przesłuchania e-mailem? - Starał się, jak mógł zachować uprzejmy ton.

- Zobaczę, co da się zrobić. Na jaki adres?

Brady wyjął wizytówkę z wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Będę wdzięczny.

- Choć tyle mogę zrobić.

- Agent Moore naprawdę musi się rozejrzeć - powiedziała Alicia. - Wstał dziś o trzeciej rano specjalnie, żeby tu przylecieć.

Mina Lindsey przypominała jej, że nie spał całą noc i sen Brady'ego podobnie jak budżet Biura interesował go tak, jak zagadnienie, czy Pavarotti zaśpiewa jeszcze w operze. Ale znów ją zaskoczył, pytając:

- Co takiego chcielibyście tu zrobić?

Brady szybko podjął temat.

- Moim zadaniem jest upewnić się, że DMZ zarejestrował wszystko, co jest potrzebne profilerowi do ścisłej analizy miejsca zbrodni. Obejrzałem wczorajsze nagranie agentki Wagner. Potrzebuję teraz rozejrzeć się na miejscu zbrodni tak, jakby pan poprosił o opracowanie profilu psychologicznego i jakby moja obecność była uzasadniona. Będę szukał czegokolwiek, co agentka Wagner mogła pominąć na nagraniu. To wszystko. Nic skomplikowanego.

Lindsey przekrzywił głowę i wzniosł oczy do nieba. Wyglądał, jakby po raz pierwszy zastanawiał się nad skokiem na bungee.

Na schodkach wiodących od frontowego wejścia pojawił się technik w białym fartuchu laboratoryjnym.

- Detektywie - zawołał - muszę z panem pomówić.

Lindsey zwrócił się do funkcjonariusza wracającego podjazdem po tym, jak bezpiecznie odprowadził Głównego Podejrzanego Numer Jeden.

- Vasquez!

- Ta!

- Masz następną wycieczkę!

Vasquez pokazał kciuk: nie ma problemu.

Lindsey ruszył po schodach.

- Dziękuję - zawołała za nim Alicia.

- Spadajcie stąd za czterdzieści minut, okay? - Zniknął im z oczu.

Brady zwrócił się do niej.

- A ty dlaczego się uśmiechasz?

- Już nie mogę się doczekać, jak Biuro przejmie tę sprawę.

- Nie wolno łączyć testów terenowych ze śledztwem w terenie, wiesz o tym. Jesteś gotowa zostawić tę sprawę?

- Byłoby warto, żeby tylko zobaczyć jego twarz, kiedy będziemy ją przejmować. -
Zastanowiła się przez chwilę. - No, prawie.

22.

W samochodzie Brady zaczął uzupełniać notatki z obchodu domu Cynthii Loeb.

Alicia wjechała przodem na podjazd, po czym wycofała taurusa na drogę. Ślady kół świadczyły, że korweta wykonała pełen obrót i Brady poprosił ją, żeby nie próbowała powtarzać tego wyczynu.

Rzuciła okiem na jego rękę kreślącą naprędce jedną za drugą linijki obserwacji.

- Czterdzieści minut to niedużo jak na analizę miejsca zbrodni - zauważyła.

- Chyba mam to, co mi potrzebne.

- No więc... jak się spisałam?

Przez kilka minut nie odpowiadał, wertując notes, łącząc szczegóły, zapisując nowe spostrzeżenia. Co jakiś czas podnosił aparat cyfrowy, by sprawdzić zdjęcia, które zrobiła na jego prośbę podczas obchodu. W końcu pokiwał głową.

- Całkiem niezłe ci poszło. Mam tylko kilka sugestii.

- Słucham.

Wyjechali już z Palmer Lake i minęli miasteczko Monument. Teraz wtoczyli się na zjazd na autostradę I-25 na północ. Ustalili, że odwiedzą też miejsce zbrodni w Fort Collins, gdzie trzy dni temu Daniel Frears, trener drużyny szkolnej, został ofiarą numer cztery. Alicia przyjechała do Kolorado dzień wcześniej, żeby zarejestrować nagranie z miejsca morderstwa Frearsa i być w gotowości do kolejnego nagrania na nowym miejscu zbrodni na wypadek, gdyby NS - nieznany sprawca - znów zaatakował na terenie tego stanu. Tego wieczora, kiedy przyjechała, zamordował Cynthię Loeb, zanim Alicii udało się dotrzeć do Fort Collins. Brady i Alicia mieli nadzieję znaleźć tam szczegóły, które pozwolą ustalić jakiś szablon. Im więcej będą mieli wskazówek, tym bardziej szczegółowy będzie portret zabójcy. To było jak układanie puzzli: pierwszych kilka kawałków nie odsłania nic, jasny obraz uzyskuje się dopiero, oglądając wiele fragmentów.

- Ślady użycia narzędzia w miejscu wejścia - powiedział. - Są zadrapania w miejscach, gdzie prawdopodobnie użył narzędzia, żeby zdjąć siatkę z okna. Przydałyby się zbliżenia framugi i siatkowej osłony na zewnątrz. - Sprawdził coś w notatkach. - A jeśli już o tym mowa, następnym razem idź za funkcjonariuszem, który bada ślady zewnętrzne. Vasquez powiedział, że trop urwał się po około stu metrach, a gdyby ustalili, gdzie NS zaparkował

albo czekał, byłyby to bezcenne informacje.

- Chodzi o ślady opon?

- To też. Gdyby natomiast napastnik czekał, to oznaczałoby, że działał według planu. Na co czekał? Aż odjadą inni ludzie? Aż zapadnie ciemność? Na określoną porę, która coś dla niego znaczyła? Co robił, czekając? Palił? Wyciął coś na drzewie? Czy po prostu stał jak halabardnik? A gdybyśmy wiedzieli, gdzie zaparkował, może dowiedzielibyśmy się trochę o nim. Jeśli daleko od miejsca zbrodni na przykład, to znaczy, że dobrze się orientuje w lesie, jest na tyle zdrowy, żeby przedostać się piechotą. Jeśli w miejscu, gdzie dojedzie tylko samochód z napędem na cztery koła...

Kiwała głową. Brady kontynuował:

- Nieźle się spisałaś, rejestrując tę jej dziwaczną sypialnię, wszystkie te religijne bibeloty. Dobrze byłoby obejrzeć każdy z osobna z różnych stron. Nie przestawiać, tylko nakręcić je z różnych kątów.

- Marne szanse.

- Wiem, że na to trzeba czasu, na miejscu pełno policji i pewnie nie da się zrobić tego za pierwszym razem. Dlaczego nie możemy tam wrócić?

- Miejscowi nie mogą się doczekać, żeby capnąć materiały z DMZ i się mnie pozbyć. Podejście Lindseya nie jest wyjątkiem. Mogłabym nalegać. - Uśmiechnęła się.

- Gdybyśmy znaleźli podobny bibelot albo obrazek na innym miejscu zbrodni albo przesłuchali kogoś, kto pracuje w miejscu, gdzie się takie rzeczy robi albo sprzedaje, to mógłby być przełom w sprawie. I jeszcze jedno. Zrobiłaś panoramę pokoju, ale spróbuj poświęcić trochę czasu na nagranie grup przedmiotów. Na przykład biblioteczki, układu mebli, fotografii na ścianie, obrazów.

- Myślałam, że kadr ogólny to wszystko zarejestruje.

- Nie dość szczegółowo. Jeśli na stoliku jest otwarty magazyn, zrób zbliżenie, żeby było widać tytuł, datę i numer strony. Lepiej mieć za dużo informacji niż za mało.

- Więc trzy wpadki? - spytała.

- To całkiem nieźle.

Wzruszyła ramionami.

- Podejrzewam, że projekt DMZ będzie rozwijany jeszcze po moim odejściu. Różni ludzie będą oczekiwać różnych rzeczy, będą się zmieniać zasady analizy dowodowej, wejdą nowe metody.

- Przeszkadza ci to? - zapytał. - Że pracujesz nad projektem, który nigdy nie będzie ukończony?

- Nie, raczej nie. Takie czasy. Wyobraź sobie, jak to jest być programistą i pracować do północy dzień w dzień nad produktem, który po miesiącu od skończenia będzie przestarzały. DMZ bazuje na technologii, więc wprowadzanie nowinek będzie normą. Tylko chcę, żeby się przydał do łapania niebezpiecznych przestępców. I może żeby kiedyś stał się podstawową metodą badania miejsca zbrodni.

- Tylko tyle. - Uśmiechnął się do niej.

Przemierzyli grań wzgórza Monument i zobaczyli przed sobą długi fragment autostrady. Taurus gnał w stronę horyzontu. Brady zastanawiał się, czy miernikiem dobrej jazdy dla Alicii jest liczba wyprzedzonych samochodów. Podniósł laptop leżący przed nim na podłodze. Potrzebował obejrzeć nagranie DMZ bardziej wnikliwie.

- Przychodzi ci coś do głowy w związku z zabójcą? - zapytała.

- Jeszcze analizuję, ale możemy wcale nie mieć do czynienia z seryjnym mordercą. Coraz bardziej wygląda mi to na robotę impulsywnego zabójcy.

- Krótkie przerwy i sposób podróżowania?

- I brak wspólnego mianownika między ofiarami, przynajmniej na pierwszy rzut oka. - odparł Brady. - Chociaż za wcześnie, żeby stwierdzić, że nic ich nie łączy. Czasem związek staje się jasny dopiero, jak zabójca zostaje złapany i wyjaśnia swoje motywacje. Jeśli w ogóle do tego dochodzi.

- A co można wywnioskować z częstotliwości zabójstw i krótkich odstępów?

Brady zastanowił się nad odpowiedzią, a potem potrząsnął głową.

- Ambicja... związek z jakimiś wydarzeniami... rosnąca fascynacja krwią. Na tym etapie po prostu nie wiadomo.

- Lindsey powiedział coś, co mnie zaniepokoiło - zaczęła.

Spojrzał na nią.

- O jedzeniu - wyjaśniła. - Miał rację, że to wskazuje na osobę, która znała ofiarę lub czuła się swobodnie w domu?

- Wskazuje, jasne. Ale ludzki umysł jest nieskończenie złożony, każdy człowiek i każdy motyw jest inny.

- Więc o czym według ciebie świadczy robienie kanapki tuż obok odciętej głowy?

- O jednej rzeczy, prawdopodobnie jest socjopata. Brak mu poczucia moralności, zdolności odróżnienia dobra od zła.

- W końcu cóż w tym złego, że się komuś obcina głowę, nie?

- Dokładnie. Oni wiedzą, że społeczeństwo to potępia, dlatego starają się uniknąć schwytania.

- Myślisz, że na innych miejscach zbrodni też coś przekąsił?

- Nic takiego nie zauważyłem... Czekaj. - Przełożył ramię przez oparcie i wygrzebał segregator z teczki leżącej na podłodze przed tylnym siedzeniem. Używając zamkniętego komputera jako biurka, otworzył segregator i zaczął czytać. Po chwili odezwał się: - Pierwsza ofiara, Joseph Johnson z Ogden. Na wewnętrznej stronie uchwytu lodówki znaleziono dwa utajone odciski palców, jakby sprawca ją otworzył. - Coraz szybciej przewracał strony. - O tu - powiedział. - William Bell został zamordowany na parkingu przed budynkiem, w którym mieszkał w Moab. Godzinę zgonu ustalono na 12.05, tak mówi raport koronera, i wtedy też któraś z mieszkańek okolicy słyszała hałasy dochodzące z parkingu. Sądziła, że ktoś próbuje rozdzielić walczące psy. Ale kiedy wyjrzała przez okno, nic nie zobaczyła, a odgłosy ustały. A teraz słuchaj. Dziesięć minut wcześniej Bell kupił cheeseburgera, frytki i czekoladowy koktajl w nocnej jadalni. - Podniósł wzrok znad kartki. - Wziął je na wynos. Koktajl znaleźli rozbryźnięty na ziemi nieopodal ciała. Ale burgera ani frytek nigdzie nie było... ani też opakowania.

- Więc Bell zjadł w samochodzie, a śmieci wyrzucił przez okno. - Sama w to nie wierzyła, ale praca detektywa polegała na graniu roli adwokata diabła tak długo, aż rozważy się wszystkie możliwości.

- Mało prawdopodobne - skomentował Brady pogrążony w lekturze. - Po pierwsze, szoferka jego ciężarówki była pełna pustych puszek po piwie i innego śmiecia, w tym opakowań po fast foodzie. Oglądali je, szukając dowodów. Wszystkie były stare i wyschnięte. Znaleźli też fajkę do haszyszu i trochę marihuany w torebce. Dlaczego miałby ryzykować, że policja zatrzyma go za zaśmiecanie, skoro miał przy sobie narkotyki, a do tego i tak jeździł śmieciarką? Po drugie, przed burgerownią wstąpił jeszcze do wypożyczalni wideo. Kasety, które wypożyczył, znaleziono blisko przy ciele. Wygląda, że planował zjeść kolację przed telewizorem.

Zastanawiała się przez chwilę, podczas gdy Brady nadal przeglądał raporty.

- Chcesz powiedzieć, że zabójca zabiera im jedzenie?

Brady skinął głową.

- Obstawiam, że tak.

- I to ma być jego motyw? - zapytała z niedowierzaniem.

- Nie, motyw jest inny. Może to daje mu poczucie władzy. Albo stanowi jakiś symbol przeniesienia na niego ich siły, wielu psychopatycznych morderców ma takie iluzje. Odebrał im życie i zabrał to, czego potrzebują do życia, czyli jedzenie.

- A może był po prostu głodny?

Brady uniósł brwi.

- Może.

Było wiele niewiadomych na tym etapie śledztwa. A właściwie śledztw. Nad każdym morderstwem pracowała miejscowa policja, przynajmniej do czasu, kiedy wkroczy Biuro, żeby pomóc im porównać notatki i ujednoczyć wysiłki.

Samochód gnał na północ, nie zwalniając, nawet kiedy ograniczenie prędkości spadło ze stu dwudziestu kilometrów na godzinę do stu na terenie miasteczka Castle Rock. Brady spojrzął znad segregatora, który przez ostatnie piętnaście kilometrów odwracał jego uwagę od nagrania wideo. Obserwował skałę w kształcie wieży szachowej, od której miasto wzięło nazwę. Maszty radiowe i telefoniczne górowały nad płaskowyżem. Ledwo dostrzegł z jednej strony zarys sporej gwiazdy, prawdopodobnie przerośniętej, bożonarodzeniowej dekoracji świetlnej. Jego uwagę przykuły jednak warstwy podłoża wyraźnie odcinające się aż do trzech czwartych wysokości góry, widomy dowód na to, że kiedyś Wielkie Równiny zakrywało morze. Jego fale obmywały Góry Skaliste, a - kiedy się cofnęło - już tylko wystający płaskowyż. Wszystko, co wtedy było, teraz już nie istnieje. Tak jak wszystko co jest teraz, kiedyś zniknie.

23.

Opuszczając Castle Rock, przyspieszyli jeszcze bardziej. Łapiąc wiatr i przejeżdżając po niewielkich nierównościach drogi, samochód lekko się wznosił i opadał jak liść unoszony falą. Brady wepchnął segregator z powrotem do teczki za tylnym siedzeniem i otworzył laptop.

Alicia wyciągnęła zmiętą paczkę cameli z kieszeni marynarki. Palila zawsze, kiedy była zniecierpliwiona, czyli według oceny Brady'ego około paczki dziennie. Zobaczyła, że ją obserwuje.

- Mogę? - spytała szczerze, nie wyzywająco.

Kiwnął głową. Zapaliła i opuściła szybę. Dym natychmiast wyfrunął przez okno niczym dusza, która znalazła wyjście z piekła.

- Może mnie poczęstujesz?

Przyjrzała mu się podejrzliwie.

- Przecież nie palisz.

- Próbuję zacząć.

Trzymała paczkę w dłoni.

- To paskudny nałóg.

- Im paskudniejszy, tym lepiej.

Roześmiała się.

- Od kiedy?

Odkąd zdałem sobie sprawę, że złe rzeczy służą ci nie gorzej, a czasem lepiej, niż zdrowe, dobre rzeczy, pomyślał. Odkąd uznałem, że wszystko mi jedno.

Wzruszył ramionami.

Podala mu paczkę.

- Czasem się o ciebie martwię, Brady. Naprawdę.

Kiedy zbliżali się do Denver, ruch zwolnił i Alicia musiała ustawić się w kolejce samochodów.

- Musimy niedługo zatankować. Jak się wydostaniemy z tego kotła, do Fort Collins będzie jeszcze godzina drogi - oznajmiła, zapalając następnego papierosa.

Brady'emu jeden wystarczył. Wrócił do nagrania DMZ. Oglądał fragment,

zatrzymywał, odtwarzał ponownie, szedł dalej. W ten sposób dotarł do ozdóbek w sypialni Cynthii Loeb, kiedy Alicia znów się odezwała.

- Pamiętasz Muniza? - spytała.

Wargi Brady'ego rozciągnęły się w uśmiechu. Skinął głową.

- To ten bohater - powiedział.

Agent specjalny Rudolph Muniz należał do jednostki śledczej, która dostała białe pióro, co w FBI oznacza rozwiązanie szczególnie ważnej sprawy. Takie pióro wzbudzało szczególne emocje, kiedy wszyscy stracili już nadzieję na sukces. Sprawa, nad którą pracował Muniz ze swoim partnerem Barrymore'em, wyglądała dość beznadziejnie: zaginięcie jedenastoletniej dziewczynki. Minęło dwa tygodnie od jej zniknięcia, kiedy miejscowi w końcu wezwali FBI.

Brady i Alicia usłyszeli szczegóły około dwóch miesięcy temu, dzień po aresztowaniu sprawcy. Czekali właśnie na odprawę Zespołu do Spraw Gromadzenia Dowodów, kiedy Bull Jordans - dawny wspomagający drużyny stanowego uniwersytetu w Luizjanie i dzielnicowy w Nowym Orleanie, obdarzony urokiem i wrażliwością, jakich można się spodziewać po kimś z podobną przeszłością - uraczył ich opowieścią o najnowszej wielkiej akcji FBI.

- Chodzą od drzwi do drzwi, co nie? - rzekł Bull do tuzina zwróconych w jego stronę twarzy. - Wszystkich jeszcze raz przesłuchują. Okropna harówka, tym bardziej że dzieciak już i tak pewnie wacha kwiatki od spodu. Ale idą do chaty nauczyciela fortepianu, co uczył tę dziewczynkę.

Brady skrzywił się, słysząc słowo „chata” w ustach czterdziestoletniego białego mężczyzny. „Wachanie kwiatków” już lepiej pasowało do osobowości Bulla.

- Myślę sobie: to ślepy zaułek - ciągnął dalej. - Trzydzieści lat, żonaty, żadnej kartoteki. Powiedziałbyś: zwykły facet. Dzwonią do drzwi i po chwili ktoś uchyla zasłonę frontowego okna. I zaraz słyszą, jak drzwi garażu się podnoszą, a tam stoi samochód i ktoś grzeje silnik. Muniz i Barrymore rzucają się do garażu. A tam pianista za kółkiem dodge'a chargera z sześćdziesiątego ósmego. Wielki silnik, szybki wóz. - Bull uśmiechnął się z uznaniem. - Jak tylko ich zobaczył, wrzucił gaz i wrywa, aż pali gumy. Muniz i Barrymore wrzeszczą: „Stój! FBI! Zatrzymaj się!”. Wyciągają gnaty, ale nie chcą strzelać, bo to może być ich sprawca i może gdzieś ukrył dziecko. Więc Muniz rzuca broń i, słuchajcie teraz, skacze na maskę. Widzicie to? Wóz pruje po podjeździe, a Muniz walczy o życie, bo nim miota na wszystkie strony. Barrymore osłupiał. Stoi i oczom nie wierzy. Mówił, że charger zasuwał po ulicy jak na filmie o pościgach, tylko że przewijanym na podglądzie. Wiecie, na tych filmach o gliniarzach twardzielach, jak oni robią coś takiego, to mają taki zacięty wyraz

twarzy.

Wszyscy pokiwali głowami.

- No więc Muniz nie. Patrzył, jakby co dopiero się obudził na masce pędzącego samochodu i nie wiedział, skąd się tam wziął. Taką miał minę... - Bull idealnie naśladuje wyraz twarzy kogoś, kto patrzy na gnający prosto na niego pociąg. - Muniz się drze. Nie: „Zatrzymaj samochód!”, tylko: „Aaaaaaaaaaaaaaaaaa!!!” na całą cholerną ulicę.

Rozległy się ryki śmiechu.

- Barrymore, idiota, zaczyna za nim biec i też się drze: „Rudy! Rudy! Rudy!”. W końcu się reflektuje i pędzi do swojego wozu. Widzi jeszcze, jak charger bierze zakręt i Muniz frunie z maski. Dosłownie frunie, chyba z piętnaście metrów. Pianista traci kontrolę i ładuje się w drzewo. Gdy Barrymore go dopada, mamrocze: „Przepraszam, przepraszam”. Barrymore pyta: „Gdzie dziecko?”. - Bull potrząsnął głową i rozejrzał się wokół, jakby chciał powiedzieć: „Niektórzy to mają szczęście”. - Pianista na to: „U mnie w piwnicy! Och, przepraszam! Przepraszam!”. Muniz utyka i trzyma się za łokieć, ale widać, że będzie żył, więc Barrymore jedzie z powrotem do domu, a tam dziewczynka w piwnicy, cała i zdrowa. Bingo!

Przez następne kilka dni spływały kolejne szczegóły. Okazało się, że dziewczynka nie była cała i zdrowa, ale dojdzie do siebie. Przynajmniej fizycznie.

- Pamiętasz, jak wskoczył na maskę samochodu? - odezwała się Alicia, wrywając Brady'ego z zadumy.

Skinął głową.

- Wszyscy się z niego śmiali. „Aaaaaaa!” - Zademonstrowała minę, jaką zrobił Bull. - Ale chodzi o to, że... - zawahała się - ja też tak chcę.

Spojrzała na niego, jakby spodziewając się wyrazu zdziwienia czy rozbawienia albo czegoś innego, co ją zniechęci. Jeszcze raz skinął tylko głową z obojętną miną, a Alicia przeniosła wzrok z powrotem na drogę i ciągnęła:

- Chcę skakać na maskę pędzącego samochodu albo gnać przez jakieś pole pod ostrzałem, albo skakać z helikoptera na półciężarówkę. - Znow rzuciła na niego okiem. - Wiesz?

- Wszystko w imię ratowania cywilów i unieszkodliwienia groźnych przestępców.

- No. Nie dla zabawy. - Zawahała się. - Chociaż myślę, że to by była niezła zabawa.

Brady odchrząknął.

- Jung nazwał to kompleksem bohatera.

- O, super. Mam kompleks.

- Wszyscy mamy. Wielu z nas po kilka. Ale „kompleks” to tylko słowo. Wygodny sposób, żeby sklasyfikować skłonności w myśli i zachowaniu.

- Więc kompleks bohatera jest dobry czy zły? - Nagle skręciła na zjazd, najwyraźniej zobaczywszy odpowiednią stację benzynową.

Brady kurczowo złapał się klamki. Alicia zahamowała gwałtownie przed czerwonym światłem.

Kiedy się zatrzymali, Brady odpowiedział.

- Może być pozytywny lub negatywny. Jest dobry, jeśli dodaje ci inicjatywy i odwagi. Zły, jeśli prowadzi do brawury i nadmiernego ryzyka. - Przypatrywał się jej, kiedy nad tym myślała. - U ciebie to może być coś zupełnie innego - dodał.

- Co masz na myśli?

- Twoja chęć dokonywania bohaterских czynów może wynikać z miłości do pracy. Kochasz pracę agenta i chcesz doświadczyć wszystkiego, co się z nią wiąże. I oczywiście ratować przy tym ludzi. Po to przecież wstąpiłaś do FBI, prawda?

Alicia nie odpowiedziała. Zatrząbił klakson. Zobaczyła zielone i dodała gaz. W końcu odezwała się:

- Chyba wstąpiłam do FBI, bo chciałam kopać tyłki.

Brady uśmiechnął się.

- Jeśli te tyłki należą do przestępców, to jesteś bohaterem. Gratuluję.

- A ty tego nie czujesz?

Tym razem to on musiał się zastanowić. Jego praca polegała najczęściej na siedzeniu za biurkiem. Analizował opisy spraw i fotografie z miejsca zbrodni, po czym starał się przetworzyć je na profil sprawcy. Alicia wolała bardziej przyziemną, brudną robotę. Godziny wolnego czasu spędzała na strzelnicy, zaś jego ulubiony trening to kilkugodzinna lektura Podręcznika diagnostyki i statystyki zaburzeń psychicznych. Kiedy on pisał rozprawę doktorską, ona czołgała się w rowie, trenując ruchy bohatera.

- Nie do tego stopnia - odpowiedział.

- Założę się, że Muniz wieszkuje sobie codziennie, że skoczył wtedy na tę maskę, mimo tych wszystkich drwin, które musiał znieść.

- Do tego złamał rękę.

- Wielkie rzeczy - prychnęła. - Ja złamałam rękę, jak miałam czternaście lat. Nawet nie płakałam.

- Biłaś się z miejscowym zbirem?

Alicia docisnęła gaz, żeby zdążyć na żółtym. Zmieniło się na czerwone, zanim dotarli

do skrzyżowania. Przemknęli przez krzyżówkę, po czym Alicia ostro zahamowała i zjechała na stację.

- Jechałam na rowerze i wpadłam na skrzynkę pocztową - wyjaśniła rzeczowo.
- W to jestem gotów uwierzyć.

24.

Śródziemnomorskie słońce skąpało miasto w pomarańczowych płomieniach, które odbijały się od szyb i metalicznych powierzchni nowoczesnych wieżowców Tel Awiwu. Wilgotna bryza od morza sprawiała, że powietrze wydawało się gorętsze niż dwadzieścia stopni, które wskazywał cyfrowy termometr na zewnątrz wzniesionej w stylu romańskim głównej kwatery Banku Hapoalim przy Bulwarze Rotschilda. Ci, którzy przyjechali tu na jeden dzień, delektowali się właśnie ostatnią kąpielą w spienionej wodzie lub ostatnim spacerem boso po piasku, zanim wyruszą w drogę powrotną do domu. Pracownicy biurowi, którzy udali się do domu, aby wziąć prysznic, wkrótce mieli się pojawić ponownie i wypełnić liczne kluby nocne na ulicy Hayarkon. Telawiwczycy często zdumiewali przyjezdnych z Zachodu swoim kosmopolitycznym stylem życia i nienasyconą żądzą rozrywki. Wierzyli, że w dzień się ciężko pracuje, a w nocy trzeba to odreagować i się zabawić.

Wyjątkiem był Luco Scaramuzzi.

W zaciszu prywatnej siłowni we włoskiej ambasadzie przekraczał właśnie granice swojej siły i wytrzymałości. Strużki potu jak zimowe potoki znaczyły wyraźne zarysy mięśni, ześlizgując się po naprężonych bicepsach, mięśniach czworogłowych, mięśniach klatki piersiowej. Spływały po jego twarzy i dalej, połyskując pomiędzy czarnymi włosami na piersi i brzuchu, wsiąkały w ściągacz bawełnianych szortów do ćwiczeń. Każde uniesienie dwudziestokilowych ciężarków wywoływało następne poty i jęki wysiłku cedzone przez zaciśnięte usta. Przenosząc wzrok ze szklanej ściany, za którą rozciągało się miasto, na kolumnę wyłożoną lustrem, zamrugał powiekami i poczuł szczypanie oczu. Jednak widok go zadowolił, na jego ciele widać było efekty codziennego treningu. Siedział na ławce, a podeszwy jego butów od Prady przylegały do podłogi. Plecy miał wyprostowane, a na idealnie płaskim brzuchu nie było ani jednej fałdki tłuszczu. Tułów zwięźlał się od ramion do pasa. Luco wypchnął ciężar nad głowę i obserwował naprężenie jednych mięśni oraz drganie innych. Zależało mu bardziej na masie i rzeźbie niż na sile, więc hantle były stosunkowo lekkie, a ćwiczenie powtarzał wielokrotnie.

Zorientował się, że stracił rachubę, więc postanowił podnosić i opuszczać ciężarki dopóki nie skończy się utwór grzmiący w słuchawkach iPod'a. Było to Murder (in Four Parts) z filmu *Droga do zatracenia* - utwór niepokojący i tajemniczy, taki jak lubił przy

intensywnym treningu. Tego wieczoru Luco był niespokojny, dlatego ćwiczył z jeszcze większą zaciętością - najpierw mięśnie nóg, ramion i przedramion, wyciskanie, runda na ośmiu stanowiskach zestawu do ćwiczeń siłowych, a teraz hantle. Obolałe mięśnie odmawiały posłuszeństwa. Każde kolejne wzniesienie i opuszczenie ramienia było coraz trudniejsze - ciężarki opadały przeraźliwie wolno, zgodnie z zaleceniami trenera. Zaciśnął powieki. Hantle już nie drgały, ale wręcz trzęsły mu się w rękach. Uniósł je jednak. Czuł, jakby w jego żyłach płynęło szkło. Opuszczając ramiona, zauważył, że ciśnienie powietrza w pomieszczeniu nagle spadło: ktoś otworzył drzwi. Z gwałtownym stęknieniem dźwignął hantle w górę jednostajnym ruchem, opuścił i znów uniósł.

Proszę, pomyślał. Umysł ponad materią. Zawsze jest jeszcze trochę siły, nawet jeśli wydaje się inaczej. Trzeba ją po prostu znaleźć, wykrzesać z siebie.

Otworzył oczy, tym razem nie zwracając uwagi na szczypanie potu. W polu widzenia pojawił się Pippino Farago. Wyglądał na przestraszonego, jakby się spodziewał, że Luco każe mu dźwigać ciężarki. Ale Luco wiedział, że jego stary druh ma inne powody do niepokoju.

Hantle powędrowały w dół... powoli, pewnie. Luco ponownie zamknął oczy. W górę... w dół... W słuchawkach zabrzmiało ogłuszające crescendo i Luco pomyślał, jeszcze... raz... w górę. Utwór się skończył. Luco opuścił ramiona i zwiesił je wzdłuż ciała, wciąż trzymając ciężarki. Łapał oddech, a pot parował z powierzchni jego skóry. Wreszcie opuścił na podłogę jedną hantlę, potem drugą. Zaczęła się następna piosenka na jego liście utworów - Elk Hunt z *Ostatniego Mohikanina*. Aranżacja była tak poruszająca, że chętnie wysłuchałby utworu do końca. Interesy jednak czekały, więc sięgnął po przypiętego w pasie iPod'a i wyłączył go. Wyjął z uszu słuchawki i zawiesił kable na szyi.

- Arjan mówił, że chciałeś mnie widzieć. - Pip przeniósł ciężar na swoją krótszą nogę.

- Usiądź. - Wskazał stojącą obok drugą ławkę do ćwiczeń. Wychyliwszy się w bok, zdjął ręcznik z haczyka przymocowanego do lustrzanej kolumny i począł wycierać twarz. - Wszystko załatwiłeś w Jerozolimie? - spytał. Po spotkaniu ze Strażnikami Pip nie wrócił z nim do Tel Awiwu, bo jak mówił, miał coś do załatwienia. Przyjechał po kilku godzinach w towarzystwie jednego z ochroniarzy.

Pip nagle jakby bardzo zainteresował się tenisówkami Luca i wybąkał coś w odpowiedzi.

Pocierając ramiona ręcznikiem, Luco spytał:

- Jak wyglądam?

- Yyy...

- Ramiona jak u Michała Anioła, nie sądzisz?

Pip skinął głową.

- Zawsze byłeś wysportowany.

- Nie tak jak teraz. - Przetarł ręcznikiem klatkę piersiową i rzucił go sobie na kolana.

Pochylił się do przodu, przedramiona opierając na udach. - Mamy problem - oznajmił, przesywając Pipa wzrokiem.

Pip wzdrygnął się, ale szybko ochłonął.

- Jaki?

- Wiem o twoim dzisiejszym spotkaniu. Z Hüberem. Myślałeś, że to przede mną ukryjesz?

Niższy mężczyzna znów odwrócił wzrok. Prędko podniósł oczy na Luca i znów je spuścił. Przez jego twarz przemknął nerwowy, rozdygotany uśmiech.

Luco wiedział, że Pip nie zniesie presji bezpośredniej konfrontacji, zwłaszcza kiedy to jemu musi stawić czoło. Kiedy Arjan doniósł mu o telefonie, który Pip otrzymał od Hübera, zignorował sprawę. Niemożliwe, żeby Pip za jego plecami spotkał się z jednym ze Strażników. Do spotkania jednak doszło i Luco zastanawiał się, czy nie lepiej zaczekać, co będzie dalej. Czy zdrowy rozsądek zmusi Pipa, by wyznał swój błąd, czy zaskoczy go działaniami, których motywów Luco nie pojmował? Cóż takiego może mu obiecać Hüber, czego Luco jeszcze mu nie dał? Potem jednak zdał sobie sprawę, że nie może ryzykować zdrady Pipa, nie teraz, kiedy toczyła się walka o władzę rozpętana przez niego na spotkaniu Strażników i w Stanach Zjednoczonych. Lepiej otwarcie stawić czoło buntowi Pipa, dowiedzieć się, co się dzieje, i czym prędzej położyć temu kres.

- Rozumiem, dlaczego Hüber się do ciebie zwrócił. Nigdy nie ukrywał swojej pogardy dla mnie. Ale ty... moja prawa ręka... przyjaciel. Co cię opętało?

Wpatrzony we własne dłonie złożone razem na kolanach Pip odparł:

- Ciekawe, że użyłeś tego słowa.

- Jakiego? Opętało? - Roześmiał się śmiechem zimnym i suchym jak zwietrzałe kości.

Pip skinął nieznacznie.

- Ty się... zmieniłeś. Jesteś...

- Nie słyszę cię.

Pip podniósł wzrok.

- Zmieniłeś się. Kiedy pakowaliśmy się w ten przekręt, byłeś śmiały, ale uważny. Byłeś...

- Przekręt! - Luco poderwał się z ławki i przyjął pozycję boksera gotowego w każdej chwili wnieść pięści do walki. - To tak myślisz o moim przeznaczeniu? To dlatego stałeś się

taki słaby?

Pip siedział dalej. Lepiej dla niego. Gdyby wstał, Luco by go powalił. Z nerwów pot wystąpił mu na czoło.

- Sam mówiłeś, że to przekręt, Luco - odparł po chwili wahania. - Osiem lat temu, kiedy...

Luco zbliżył się i zwałił go z ławki silnym ciosem w głowę. Pip wstał niezdarnie, trzymając rękę przy twarzy. Zatoczył się do tyłu.

- Osiem lat temu! - wykrzyczał. - Powiedziałeś mi o Strażnikach i o tym, kogo szukają. Powiedziałeś, że możesz nim być. Mówiłeś, że to może być przekręt wszechczasów. Przekręt, Luco, sam tak mówiłeś!

Luco czuł przyspieszający puls, ramiona wznosiły się i opadały, kiedy dyszał wściekle.

- Ty nie wierzysz - wycedził przez zaciśnięte szczęki.

- W co mam wierzyć, Luco? W co? Że ci się uda? Owszem, wierzę. Że jesteś Antychrystem? - Jego ramiona opadły. - Nie, w to nie wierzę.

Już naprężone mięśnie Luca stężały jeszcze bardziej, aż stały się twarde jak skała pod napiętą skórą. Rozejrzał się wokoło, zobaczył hantle i podniósł jedną w zaciśniętej pięści. Zwrócił się do Pipa, który cofał się, wznosząc ręce w błagalnym geście.

- I o tym właśnie rozmawiałeś z Hüberem? Do tego już doszło?

- Nie! Poczekaj... pozwól mi wyjaśnić...

- Wystarczy mi to, co już usłyszałem. - Podszedł do Pipa. - Jezus miał Judasza. Ja mam ciebie.

- Hüber prosił mnie o pomoc, ale nic mu nie powiedziałem. Ja...

- I jak mam ci teraz zaufać? Poszedłeś do niego. - Luco przysunął się bliżej.

- Czekaj! - Pip był już bliski paniki. Cofnął się o kolejny krok. - Całe życie mną pomiatałeś... ale ja nie jestem głupi, Luco. Zabezpieczyłem się.

Luco zatrzymał się.

- O czym ty mówisz? Jak się zabezpieczyłeś?

- Mam akta z Raddusy.

Luco poczuł się, jakby dostał obuchem w głowę. Jego wściekłość wyparowała.

- Zostały zniszczone - powiedział. - One nie istnieją.

Wiele miesięcy temu ojciec Randall wspomniał mu o przepowiedni mówiącej, że jako dziecko Antychryst zamorduje własną matkę. Wyjaśnił, że jeszcze nie zweryfikował i nie potwierdził tego proroctwa. Ale to był dokładnie ten argument, którego potrzebował Luco,

żeby umocnić poparcie Strażników dla swojej kandydatury.

Wszyscy wiedzieli, że w wieku jedenastu lat zabił matkę. Na policji tłumaczył, że go maltretowała, i że biła go właśnie, kiedy chwycił nóż i pchnął ją w klatkę piersiową. Pokazał im siniaki, pozostałości po jej ciosach. Płaczem i paplaniną udało mu się przekonać policję, że mówi prawdę. U boku miał niepokieszonego ojca, który zeznał, że matka często biła chłopca pomimo jego protestów. „Moja Maria miała bardzo trudny charakter”, wyjaśniał żalobnym tonem.

Przyjaciele Luca usłyszeli inną wersję tej historii: że matka znalazła jego schowek z zakazanymi magazynami i trochę trawki, którą dostał od starszego kolegi. Zagroziła, że powie tacie, który na pewno stłukłby go bez litości. Więc zabił ją, żeby go nie wydała. Strażnicy wiedzieli o tym zdarzeniu. Przepowiednia, potwierdzona przez ich teologów, o co Randall na pewno się postara, miała umocnić ich wiarę.

Problem w tym, że Luco nie zabił swojej matki. Zakłuł ją ojciec w pijackiej furii. Kiedy to się stało, Luco był osiemdziesiąt kilometrów stamtąd u siostry ojca w Letojanni na Sycylii. Zawezwał on syna do domu, zbił go dla efektu i nakłonił, żeby wziął winę na siebie. „Dziecku nic nie zrobisz”, mówił.

Jeden z policjantów podejrzewał prawdę. Zebrał dowody - bilet kolejowy Luca z Letojanni do Raddusy, zeznania sąsiada, który słyszał awanturę i wrzaski kilka godzin przed rzekomym czasem zgonu, oraz fragmenty skóry spod paznokci Marii Scaramuzzi. Wobec konsekwentnych zeznań ojca i syna oraz anonimowych gróźb wymierzonych przeciw rodzinie funkcjonariusza, śledztwo zostało zamknięte. Luco jednak wiedział, że przepowiednia skłoni Strażników, zwłaszcza Hübera i jego grupę, do wszczęcia wnikliwego śledztwa. Akta, dowody poszlakowe i próbki skóry kiedyś znaczyły niewiele, ale pobrane z nich teraz DNA z miejsca wyeliminowałyby Luca, ujawniając kłamstwo.

Prawda o śmierci jego matki była bez znaczenia, dopóki nie została połączona z tożsamością Antychrysta.

Luco od początku wiedział, że musi spełnić wszystkie potwierdzone proroctwa, zwłaszcza przytoczone przez jego teologów i przy jego aprobacie. Jedna niespełniona przepowiednia oznaczałaby wyrok śmierci. Skoro Luco wiedział, że jest tym, którego szukają, podejrzewał, że Randall popełnił błąd, źle interpretując potwierdzające dowody. Widzimy to, co chcemy, myślał Luco. Ale Strażnicy nigdy nie zaakceptowałyby błędu tej skali. Uznaliby, że i on, i Randall są oszustami, chociaż nie mieliby racji.

Niedługo po tym jak Randall przyszedł do niego z przepowiednią o matkobójstwie, Luco wysłał Pipa do Raddusy. Za zadanie miał znaleźć i zniszczyć akta sprawy. Miał spalić

cały magazyn, żeby nie ujawniać swoich motywów. Dużo lepiej było nawet wzbudzić podejrzenie zacierania śladów przez Luca, niż pozostawić akta tam, gdzie Strażnicy mogli je znaleźć.

Pip wykonał zadanie bez mrugnięcia okiem. Przynajmniej tak sądził Luco.

- Zachowałem te akta - oświadczył Pip. - Widziałem, co się z tobą dzieje. Musiałem mieć coś, co mnie obroni, jeśli zwrócisz się przeciwko mnie. Atakowałeś już wielu ludzi, którzy ci ufali. Zacząłem spisywać dziennik, ale to było tylko moje słowo. Te akta to dowód.

- Nie wierzę ci.

- Kiedy twój ojciec zabił matkę, byłeś w Letojanni. Materiał dowodowy trzymali we fiolce. Była opisana: „Skóra spod paznokci prawej ręki”.

Luco kiedyś wyjawiał Pipowi prawdę, ale nie opisywał szczegółów ani nie wspominał o dowodach. Pip otworzył i czytał akta, to było pewne. Ale czy je zachował? Luco wierzył, że tak. Nie sądził natomiast, że zaaranżował sprawę tak, żeby akta na wypadek jego śmierci trafiły w ręce wrogów. To było zbyt ryzykowne i skomplikowane. Gdyby zabił Pipa teraz, z pewnością znalazłby akta wśród jego rzeczy albo przynajmniej klucz czy jakieś zapiski, które doprowadziłyby do nich.

Luco niespodziewanie złagodził wyraz twarzy. Wydawał się zrezygnowany. Odwrócił się od Pipa i podszedł do ławki.

- Słusznie. Masz mnie w garści. Ale ważniejsza jest nasza przyjaźń. - Opuścił ciężarek na podłogę. - Nie możemy pozwolić, żeby coś takiego... - Spojrzał z powrotem na Pipa, który wycofał się aż do drzwi. - Pip?

Z otwartymi szeroko oczami, drżąc na całym ciele, Pip potrząsnął głową. Obrócił się i wypadł przez drzwi.

25.

Powinien się tego spodziewać. To szaleństwo!

Pip ruszył czym prędzej w stronę windy. Obejrzał się i zobaczył zamknięte drzwi siłowni. Obserwował je przez kilka sekund, ale nie otwały się z hukiem pod naporem wściekłości Luca, a on sam nie pojawił się, by pochwycić, ogarnąć i zmiażdżyć zdobycz. Uzbrojony ochroniarz pod drzwiami obojętnie przyglądał się sunącemu w pośpiechu mężczyźnie. Oczy Pipa spoczęły na broni strażnika, potem na krótkofalówce przypiętej do pasa.

Dotarł do drzwi windy. Wcisnął guzik ze strzałką w dół. Światelko przycisku rozbłysło, ale wcisnął go znów i jeszcze raz. Obserwował świetlny wskaźnik nad drzwiami.

To naprawdę się wydarzyło. Luco oszalał. Kiedy to się stało? Jak Pip mógł być tak ślepy? Czy podobnie jak Luco był tak pochłonięty iluzją władzy i bogactwa, że nie zauważył przemiany z aktora w szaleńca? A może obłąd atakował podstępnie, powoli i niezauważenie jak rak?

Rzucił się w głąb korytarza, w stronę schodów. Samo niezrównoważone zachowanie nie powinno wzbudzić podejrzeń ochrony budynku. Luco nieustannie popędzał ludzi, żeby biegali to tam, to tu. Ale jeden jego telefon i strażnicy pochwyć zdobycz jak macki Luca. Pip wpadł przez drzwi na klatkę schodową i łapiąc się barierki, pokonywał po trzy, cztery stopnie naraz, nie zwracając uwagi na ukłucia bólu w kolanie chromej nogi.

Przez ostatni rok wypowiedzi Luca przypominały coraz bardziej słowa człowieka spełniającego swe wielkie przeznaczenie, a nie kogoś, kto udaje. W prywatnych rozmowach z Pipem mówił mniej o strategii, o sile przekonywania, a więcej o działaniach. Coraz mniej skupiał się na tym, „jak zrobić wrażenie na Strażnikach?”, a coraz częściej zadawał sobie pytanie: „Co powinienem zrobić teraz, żeby przyspieszyć moje wyniesienie, moje władanie, nadejście mojego królestwa?”.

Pip sądził, że to po prostu błyskotliwa gra aktorska, metoda Brando albo Pacino. Nie wypadać z roli, stopić się z nią w jedno. Skąd mógł wiedzieć, że ta rola pochwyć i wchłonąć aktora? To nie Luco stał się odtwarzanym bohaterem. To rola stała się nim.

Trzy półpiętra niżej, na poziomie, gdzie znajdowało się jego biuro, Pip zatrzymał się. Dyszenie i łomotanie serca były tak donośne, że nie dochodziły do niego żadne inne odgłosy,

które mogły się rozlegać na klatce schodowej. Spojrzał w górę przez wąski szyb biegnący w środku pomiędzy schodami. Nikt nie patrzył w dół, szukając go, nikt go nie ścigał.

Tam na górze był człowiek obłąkany. Tak długo starał się przekonać ludzi, że jest kimś innym, że w końcu się nim stał. Pip słyszał, że Bela Lugosi, aktor grający Draculę w filmie z 1931 roku, z czasem naprawdę uwierzył, że jest wampirem. Nie gryzł wprawdzie ludzi w szyję, ale zawsze nosił czarną pelerynę z czerwoną podszewką i spał tylko w ciągu dnia. Pod koniec życia nie uznawał już własnego imienia i reagował tylko na „Dracula” albo „Książę”. A Lugosi nie miał tak źle - musiał tylko wyglądać przekonująco przed kamerą osiem godzin dziennie przez dwadzieścia dni zdjęciowych. Luco był pod presją roli Antychrysta bez chwili przerwy. Nic dziwnego, że pękł.

Pękł? - zastanowił się Pip. Ten człowiek się rozleciał na milion kawałków. Każdy z nich jest ostry jak brzytwa i śmiertelnie niebezpieczny.

Wyciągnął dłoń, by chwycić klamkę, i nagle zamarł. Co to za dźwięk nad głową? Jakby trzask zamykanych drzwi, ale cichszy niż gdyby zamykały się pod własnym ciężarem? Cofnął się do szczeliny szybu. Nic nie zobaczył. Spojrzał na drzwi.

Czego mi potrzeba z biura? Jak mnie zabiją, już nic mi się nie przyda.

Pobiegł dalej w dół, w stronę podziemnego parkingu.

Może obłąd Luca przychodził i odchodził. Może postać Antychrysta wypływała na powierzchnię jego świadomości, żeby zaraz znów się pogrążyć jak wodne zwierzę podpływające, żeby zaczerpnąć powietrza. Może. Ale nawet jeśli tak było, Pip nie widział dla siebie nadziei. Wiedział, że Luco usunie go bez względu na ich długoletnią przyjaźń. Zarówno Luco uzurpator, jak i Luco Antychryst mieli powody, by mu nie ufać.

Dla Luca, tego Luca, Pip wiedział za dużo. Był świadkiem planów, intryg i wszystkich przygotowań poczynionych po to, żeby Strażnicy go odkryli. Wiedział o oszustwach i podkładaniu dowodów - czy raczej podkładaniu przepowiedni - których się dopuścili, od kiedy Luco został pupilkiem Strażników i ich największą nadzieją.

Dla Antychrysta Pip był - jak się okazało przed chwilą w siłowni - heretykiem, którego odstępstwo było tym bardziej szkodliwe, że wiarygodności dodawał mu status wieloletniego towarzysza Luca. Ta więź, zamiast gwarantować Pipowi bezpieczeństwo, zdecydowała o tym, że musi umrzeć. Ambicja nie znosi sentymentów, nie robi użytku z uczuć takich jak przyjaźń, współczucie, litość. A Lucowi ambicji nie brakowało. Podobnie jak Antychrystowi, Pip był tego pewien.

No i istniały akta. Dowód na tę farsę, na kłamstwa i oszustwa. Luco nie spocznie, póki ich nie zniszczy.

Lewe kolano Pipa pulsowało teraz z bólu. Książki przyklepione taśmą do podeszwy zaczęły się rozlatywać po tym, jak kilka razy zawadził nimi o stopnie. Wyglądały jak poszarzały pompon z papierowych strzępów.

Jak u klauna, pomyślał Pip. Jestem klaunem w Cirque du Scaramuzzi. Ale publiczność już się nie śmieje i błazen musi odejść.

Drzwi na dole schodów oznaczone były dużą literą P. Inaczej niż na innych piętrach, gdzie miały klamki, te otwierały się za naciśnięciem żelaznej sztaby biegnącej w poprzek, żeby ułatwić ucieczkę w razie pożaru.

Pip z impetem całym ciałem napał na poręcz i wypadł na podziemny parking. Czyjaś ręka chwyciła go za ramię i osadziła w miejscu.

- Hej! - odezwał się głęboki głos.

Pip wykręcił się, uwalniając z uścisku. Strażnik, który go złapał, cofnął się o krok, jedną ręką sięgając do kolby pistoletu przytroczonego do pasa. Minę miał zaciętą, żadnych sentymentów. Pip chciał wrzasnąć... powalić napastnika... zniknąć jak czarodziej - cokolwiek byle nie stać tu, czekając, aż długie macki Luca nakażą marionetce go uśmiercić. Ochroniarz uśmiechnął się.

- Pan Farago - zwrócił się do Pipa. - Przestraszył mnie pan, wybiegając tak przez te drzwi. Skąd ten pośpiech?

Wargi Pipa zaschły tak, że nie mógł ich rozłączyć, czuł suchość w ustach. Cała wilgoć musiała odpłynąć do jego czoła, bo czuł jak pot spływa mu do oczu. Otarł go i spostrzegł, że twarz miał mokrą i śliską jak rybie ciało. Chciał się roześmiać, ale z jego gardła dobyło się skrzeczenie.

- Wiesz, jak to jest - odparł przyjaźnie, swobodnym tonem. - Wszystko ma być na wczoraj.

Ochroniarz potrząsnął głową.

- Zawsze to samo.

W drodze do samochodu Pip obejrzał się. Strażnik wrócił na swoją pozycję przy drzwiach, plecami do ściany. Obserwował Pipa i skinął w jego stronę.

Dotarł do swojego czerwonego fiata sedana i podniósł klucz do zamka. Dłonie trzęsły mu się tak, że porysował lakier i zajęło mu dobre dziesięć sekund, zanim trafił w szczelinę. Kiedy gramolił się do środka, książka zawadziła o próg, odkleiła się i spadła na ziemię. Z buta zwisały teraz tylko strzępy taśmy. Lewą stopą zawsze naciskał hamulec. Musiał teraz pochyłać się w jedną stronę, żeby dosięgnąć pedału, ale nie zamierzał zwalniać, zanim dotrze do Hajfy. Jeśli przekroczy dozwoloną prędkość i będzie jechać całą noc, może nawet dojedzie

do Bejrutu.

Zapalił samochód. Mały silnik rzeził i jazgotał jak piła łańcuchowa. Wycofał, wyjechał w alejkę i ujrzał światło dzienne tuż za budką strażnika.

Uda mi się? Naprawdę wyjdę z tego cało?

Samochód powoli toczył się w stronę wyjazdu blokowanego drewnianym szlabanem pomalowanym na czerwono i biało oraz żelaznymi kolcami wystającymi z nawierzchni. Pip zobaczył, że strażnik zerka na niego, a potem na coś poniżej linii okna, najpewniej książkę.

Czytaj dalej, pomyślał, nie - zaklinał go z całą siłą swojej koncentracji. To wcale nie jest dźwięk krótkofalówki. To nie rozkaz, żeby zatrzymać spoconego faceta w czerwonym fiacie.

Strażnik ponownie podniósł wzrok, dopiero kiedy Pip zatrzymał samochód tuż przed nim. Zderzak fiata był nie dalej niż metr od szlabanu i kolców. Z okna budki strażnik uśmiechnął się do Pipa.

- Pan Farago - pozdrowił go. Ale nie wcisnął guzika podnoszącego szlaban i opuszczającego kolce. Patrzył tylko na Pipa.

O co chodzi? Czy Luca zdążył do niego zadzwonić? Może zamiast prostego rozkazu: „Zabić go”, powiedział: „Zatrzymać go. Ja zaraz zejdę”? Nie było powodu, żeby mordować go dyskretnie.

Luco polecił Arjanowi, żeby w charakterze ochroniarzy i strażników budynku zatrudniał tylko ludzi z Palermo. Wszyscy znali Luca i Pipa z dawnych czasów. Gdyby nie dwumiesięczne szkolenie w Paladyńskiej Akademii Zaawansowanej Ochrony Osób i Mienia w Monachium - elitarnej placówce, którą utworzyły włoskie służby zagraniczne oczarowane przez Luca - byliby zwykłymi zbirami. Mafiosi o dobrych manierach. Byli lojalni i szkoleni w zabijaniu. Czy Antychryst mógł mieć lepszych kumpli?

Pip obejrzał się i zerknął przez tylną szybę. Niemal spodziewał się zobaczyć tam Luca skąpanego w czerwonej poświacie świateł stopu, z karabinem wycelowanym w jego głowę. Ale nie było nikogo. Zawołał do strażnika.

- No?

- Poproszę przepustkę - odezwał się tamten w odpowiedzi, jakby chciał do tego dodać: „idioto!”.

I Pip tak właśnie się czuł. Tak przywykł do tego, że ma dokument w ręce, kiedy przejeżdża, że zupełnie o nim zapomniał.

Wyłowił z kieszeni swój identyfikator i podał go strażnikowi, który przeciągnął go przez czytnik wewnątrz budki i oddał Pipowi. Szlaban drgnął i zaczął się wznosić. Pip

zakładał, że metalowe kolce jednocześnie zaczęły się chować. Poczuł, że jego serce zwolniło i cofnęło się nieco z tego niewygodnego miejsca w gardle.

Dlaczego Luco go wypuścił? Pip dobrze widział wyraz jego twarzy w chwili, kiedy zorientował się, że Pip naprawdę może mu nabruździć. Dostrzegł w jego oczach wściekłość i obląkańczą nienawiść. Widywał to spojrzenie już wcześniej i zawsze oznaczało zagładę dla osoby, na którą było skierowane. Dlaczego teraz było inaczej? Czy Pip źle ocenił sytuację? Mylił się co do Luca?

Kątem oka zauważył jakiś ruch. Strażnik podniósł dłoń do ucha. Kabel w cielistym kolorze biegł od jego ucha i znikał pod kołnierzem. Pip docisnął pedał gazu. Silnik się zakrzuszył, ale samochód nie drgnął. Sięgając po identyfikator, przełożył dźwignię na luz. Dostrzegł broń strażnika, która wyłoniła się spod linii okna i teraz celowała w niego. Otwartą dłonią pchnął dźwignię i zwolnił sprzęgło.

Huk wystrzału zagrział mu w uszach. Świdrujący ból przeszył jego czaszkę. Potworna siła odrzuciła w prawo jego głowę, a potem całe ciało. Kiedy upadał, krew rozbryznięła się na przedniej szybie, plamiąc deskę rozdzielczą.

Wóz gwałtownie ruszył do przodu. Pip nie zdjął nogi z gazu.

Rozległ się drugi wystrzał i rozprysła się szyba za drzwiami kierowcy. Fragmenty szkła posypały się na Pipa jak brylanty. Odbijały się od wszystkich powierzchni. Większa część jego mózgu gorączkowo domagała się jakiejś reakcji od ciała, nakazując mu zrobić cokolwiek - miotać się na osłep, uderzyć, kopać, ciągnąć, biec, wyskoczyć, skulić się, przypaść, młócić rękami, odskoczyć...

A jednak niewielki skrawek świadomości, jakby z przyzwyczajenia, rejestrował wydarzenia wokół. Dotarło do niego, że powinien usłyszeć dźwięczenie szkła latającego i podskakującego wokoło. Zorientował się, że przez pierwszy wystrzał całkowicie stracił słuch w lewym uchu i częściowo w prawym. Że wybój, po którym samochód właśnie się przetoczył, to pas schowanych metalowych kolców. A kiedy przód samochodu opadł, po czym nagle wyrównał poziom, wóz przejechał przez chodnik. Pip ostro zakręcił kierownicą. Usłyszał zgrzyt, a potem pisk metalu, kiedy karoseria szorowała o bok innego samochodu.

Uderzenie roztrzaskało tylną szybę. W przedniej, jak za machnięciem czarodziejkiej różdżki, pojawił się otwór po pocisku.

Wyprostował kierownicę i metaliczny zgrzyt ustał, a zamiast niego rozległo się pojedyncze szczęknięcie. Samochód wyskoczył do przodu jak z katapulty, by zaraz się zatrzymać, uderzając w przeszkodę. Siła odśrodkowa rzuciła nim o dźwignię zmiany biegów, a głową trzasnęła w schowek. Ból był tak potworny, że niemal stracił przytomność. Siłą woli

udało mu się zachować świadomość - była mu potrzebna. Podniósł się z wysiłkiem. Wiedział, że jęczy, choć słyszał tylko jednostajny niski dźwięk. Fiat wbił się w zaparkowane przy krawężniku BMW. Wrzucił wsteczny bieg i obejrzał się.

Strażnik wyszedł z budki i stał na rampie wyjazdowej z parkingu. Za nim widać było opadający szlaban. Trzymał pistolet w obu dłoniach celując w Pipa przez strzaskaną tylną szybę. Pip skulił się. Nic nie usłyszał ani nie poczuł, ale kiedy podniósł głowę, w przedniej szybie widniał jeszcze jeden otwór. Z piskiem opon wycofał samochód, oddalając się od BMW, lekko wyprostował kierownicę... i wjechał w strażnika. Mężczyzna odskoczył od tylnego zderzaka, przeleciał przez szlaban i zwałił się prosto w budkę. Ciało bezwładnie opadło na ziemię.

W głębi parkingu błyski wystrzałów zamigotały jak lampa błyskowa aparatu reportera. Iskry posypały się z klapy bagażnika, kiedy pociski musnęły powierzchnię. Dwóch... trzech strażników wyłoniło się z półmroku, pędząc w stronę fiata.

Pip wrzucił pierwszy bieg i wyjechał na ulicę. Tył samochodu zatańczył, ale Pip zdołał wyrównać. Kolejna kula przeszła przednią szybę, wrywając z niej fragment wielkości bochenka chleba. Pip pochylił się jeszcze bardziej, ale i tak już skulony na przednim siedzeniu obniżył w ten sposób głowę tylko o milimetry. Twarz niemal przycisnął do kierownicy. Zdał sobie sprawę, że widzi tylko prawym okiem. Wyobraził sobie, że lewe pewnie jest wybite i zwisa z oczodołu jak zdechła meduza na plaży. Jeśli tak rzeczywiście było, to nic nie mógł z tym zrobić. Lewa ręka spoczywała bezwładnie na kolanach, odmawiając posłuszeństwa za każdym razem, kiedy próbował nią poruszyć.

Trzy przecznice dalej skręcił i wjechał na chodnik, by ominąć samochody stojące na światłach. Piesi się rozbiegli.

Ścigający go strażnicy na pewno byli teraz w samochodach, niedaleko za nim. Próbował oszacować swoją przewagę, ale jego procesy myślowe były tak samo poharatane jak wóz. Wiedział, że strażnicy musieli wrócić na parking po swoje hummery, a te były duże i trudno sterowne w wąskich, zatłoczonych uliczkach. Wyprzedzał ich pewnie o minutę, może dwie.

Znowu zboczył na chodnik i ostro zahamował, zatrzymując się o centymetry od zdumionej rodziny. Kiedy schowali się w sklepie, ruszył dalej, po chwili wracając na jezdnię. Otworzył szeroko oczy, słysząc wycie klaksonu. Przedni zderzak terenówki pędził prosto na niego. Jechał nie swoim pasem. Wykonując gwałtowny skręt kół, przygniół przednie nadkole jakiegoś innego wozu i rozległ się odgłos klaksonu podobny do kwilenia niemowlęcia. Wszystko było szare, jakby przydymione. Z sekundy na sekundę szarzało coraz bardziej. Nie

mógł się zatrzymać. Zbliźali się, byli tuż za nim.

Kiedy przytomność w końcu go opuściła, Pip opadł na prawo i pociągnął ze sobą kierownicę. W zderzeniu z żelazną jerozolimską latarnią uliczną fiat nie miał większych szans.

26.

Dom Daniela Frearsa był trzykondygnacyjnym ceglanym budynkiem. Gdyby splunąć z frontowego ganku, trafiłoby się w dom sąsiada. Funkcjonariusz w mundurze powitał ich przed drzwiami, przeciął żółtą taśmę i wpuścił do środka. Od czasu morderstwa w Fort Collins technicy zdążyli już odkurzyć i odrapać, co się dało, narobić zdjęć i usunąć ciało - innymi słowy wyrządzić wszelkie możliwe szkody, pomyślał Brady - więc nagranie DMZ służyłoby tylko jako ćwiczenie i dokumentacja dla Biura.

Alicia postanowiła założyć kostium, stojąc na skrawku linoleum tuż za drzwiami frontowymi, żeby nie przyciągać tłumu gapiów.

- Pomóc ci? - zapytał Brady.
- Nie, dzięki. To robota dla jednej osoby.
- Porozglądam się.
- Miłej zabawy.

Brady zapisał datę, miejsce i nazwisko ofiary na górze strony żółtego brulionu i ruszył na obchód, zaczynając od salonu. Proste meble. Żadnych zbędnych sprzętów. Najwyraźniej nieczęsto używany. Zapisał kilka notatek. Krótki rząd schodów prowadził z salonu do korytarza z pięciorgiem drzwi. Pierwsze po prawej prowadziły do łazienki. Brady zbadał zawartość gablotki z lekarstwami i zajrzał do szafki pod umywalką. Zauważył cynowy krzyżyk wiszący na gwoździu.

Przez następne drzwi po prawej stronie wchodziło się do sypialni pana domu. Brady zajrzał do szuflad komody i szafki przy łóżku.

Obejrzał jeszcze drugą łazienkę i dwie inne sypialnie, z których jedna urządzona była dla małej dziewczynki.

Schodząc po schodach, minął Alicię zmierzającą na górę. Nie odezwał się, a tylko szybko prześliznął obok. Nie lubił się oglądać na nagraniach z miejsca zbrodni.

- Rzuć okiem na obraz w gabinecie - usłyszał jej metaliczny głos filtrowany przez głośniczki DMZ.

Wisiał nad kraciastą sofą, która nosiła krwawe ślady koszmarnego końca pana Frearsa. Brady natychmiast rozpoznał reprodukcję. Miał na studiach kurs ze sztuki europejskiej piętnastego i szesnastego wieku, a autor tego dzieła był jedną z jej gwiazd. Hieronim Bosch.

Była to litografia tryptyku *Haywain* ukazującego raj, ziemię i scenę z prawego skrzydła - piekło. Mroczny i przygnębiający obraz przedstawiał płonące ruiny budowli oraz demony o zwierzęcym wyglądzie, które obmacują, przebijają i obdzierają ze skóry ciała nagich ludzi. Brady'emu nie mieściło się w głowie, dlaczego ktoś chciałby wystawiać ten obraz w tak widocznym miejscu we własnym domu. Jednak stanowił on wspólny mianownik dla Frearsa i Loeb.

Na ścianie gabinetu mieścił się ceglany kominek z obu stron obstawiony biblioteczkami. Przeglądał właśnie grzbiety książek, kiedy tuż za nim pojawiła się Alicia. Miała na sobie DMZ, ale wyłączyła lasery, światła i inne gadżety.

- Zauważyłeś jakieś ważne rzeczy, które mogłam przeoczyć? - spytała.

- Te książki - odparł wykręcając szyję, żeby przeczytać tytuły.

- Książki mam.

- Ozdoby na ścianach, zdjęcia, bibeloty.

- O tym wszystkim mówiłeś w Palmer Lake.

- Nic się nie zmieniło.

- Więc mam wszystko. Znalazłeś jakieś powiązania?

- Być może. Pogadamy, jak się z tego wydostaniesz.

- Gadasz zupełnie jak miejscowi.

Pięć minut później pojawiła się pod własną postacią.

- Zauważyłeś, że ten obraz jest podobny do scen, które malowała Cynthia Loeb na koszach na śmieci?

- To piekło.

- W całej swojej ognistej potworności. A ten ma tu i ówdzie krzyże. To może nie to, co sypialnia Loeb, ale czy ludzie miewają tyle religijnych symboli w domach? To normalne?

- Karen miała kilka. Na przykład wyszywany cytat z Biblii: - „Ja sam i mój dom służyć chcemy Panu”. Kilka krucyfiksów. Obraz modlącego się Jezusa. I Georga Washingtona modlącego się na Valley Forge.

- Więc co się tu rzuca w oczy?

- Te wyobrażenia piekła. Z definicji są religijni, ale wierzący ludzie nieczęsto interesują się takimi rzeczami.

- Brzmi obiecująco.

- Nie rób sobie nadziei. Mamy jeszcze trzy ofiary, a te są daleko, więc musimy polegać na zdjęciach i raportach.

- Na co czekamy? Jedźmy do hotelu.

27.

Ochrona Luca Scaramuzziego dotarła do rozbitego samochodu z dwóch stron. Hummery z rykiem silników podjechały do pogiętego fiata, z którego unosił się dym, i ustawiły się trzydzieści centymetrów od każdego z tylnych rogów pojazdu. Latarnia była wgnieciona w komorę silnika, więc nie było mowy, żeby wrak nagle zwinnym manewrem wyrwał się z pościgu. Drzwi hummerów otwały się i wyskoczyli z nich mężczyźni.

Z jednego wyłonił się Arjan Vos. Był średniej budowy, miał metr pięćdziesiąt pięć wzrostu, raczej chudy. Ale sploty mięśni rysowały się pod skórą wyraźne jak kable. Wydawał się naprężony, w każdej chwili gotowy do skoku. Nawet na twarzy, która poprzecinana ostrymi liniami mięśni przypominała jednocześnie lwa i jastrzębia. W przeciwieństwie do swoich podwładnych odzianych w niebieskie mundury miał na sobie brązowe żołnierskie bojówki. Czubek łysej głowy przykrywał brązowy beret, nakrycie, które słabych czyniło jeszcze słabszymi, a silnym, jak Arjan, nadawały jeszcze groźniejszy wygląd, jakby beret był nakrętką na butelce śmiertelnej trucizny.

Arjan zlustrował okolicę. Nic oprócz ciekawskich spojrzeń. Na razie żadnych syren policyjnych, ale to się wkrótce zmieni. W ciągu kilku sekund, kiedy oceniał sytuację, jego ludzie otoczyli fiata. Stojący w kręgu mężczyźni trzymali pistolety w wyciągniętych rękach jak skierowane do wewnątrz promienie. Arjan wyjął z kabury desert eagle .357 magnum i podszedł do zatrzaśniętych drzwi fiata od strony kierowcy.

Samochód był pusty. Dużo krwi i żadnego ciała.

Gwałtownie podniósł głowę. Gapie wpatrywali się w niego ze zdezorientowanymi minami. Okna i drzwi spowijała nieprzenikniona ciemność o tej wczesnowieczornej porze. Zerkając na ziemię, Arjan nie dostrzegł smug ani plam krwi, żadnej oznaki ucieczki Pipa. Podniósł głos i zwrócił się do zebranego tłumu:

- Kto widział mężczyznę z tego samochodu? Jest ranny. Chcemy mu pomóc.

Około sześciolatek chłopiec obserwował go z pobliskiego chodnika z kamiennym wyrazem twarzy.

Nawet on wie, że wcale nie chcemy pomóc, pomyślał Arjan. Jednak dzięki takiej deklaracji, każdy kto wsypałby rannego, mógłby udawać, że uwierzył w dobre zamiary żołnierzy.

- Chłopcze - Arjan zwrócił się do dziecka. - Dokąd on poszedł?

Dzieciak nie odezwał się słowem. Z cienia arkad wyłoniła się kobieta, chwyciła chłopca za ramiona i odpędziła go z krawężnika.

Jak prawdziwy miejski herold Arjan powoli zatoczył koło, wołając:

- Rząd włoski wyznacza za tego człowieka nagrodę. Jest niebezpieczny. Chce was skrzywdzić. Weźcie nagrodę i uwolnijcie się od tego zagrożenia.

Jakiś staruszek się odwrócił i odszedł powoli. Za nim podążyła młoda kobieta. Wkrótce tłumek się rozproszył, oferta Arjana ich nie zainteresowała. Wiedzieli, kim jest. Słyszeli opowiadania, niektórzy nawet osobiście doświadczyli twardej taktyki służb włoskiej ambasady, które chciały z ulic otaczających jej teren usunąć motłoch i wszelkich wrogów. Miał ochotę kilku z nich zatrzymać, zabrać do swojej kwatery i przekonać się, co wiedzą na temat Pippina Farago. Zastanawiał się nad przeszukaniem okolicznych domów i sklepów, ale to znacznie przekraczało zakres jego władzy i jerozolimską policję prędko by się zjawiała. Charakterystyczny świergot ich syren właśnie dotarł do jego uszu. Mógł ich poprosić o pomoc w odnalezieniu Pipa, ale potem pewnie zatrzymaliby go aż do ustalenia jurysdykcji, a kto wie, jakie historie by wtedy opowiedział? Lepiej załatwić to na własną rękę.

- Zwijamy się - warknął na swoich ludzi. Pistolety trafiły do kabur, drzwi trzasnęły i odjechali.

Kiedy jerozolimską policję dotarła na miejsce, nie pozostał żaden dowód czyjegoś szczególnego zainteresowania tym wypadkiem drogowym. Jedyne, co budziło ciekawość, to zniknięcie kierowcy.

28.

- Skaczemy! - krzyknął Trevor Wilson do Josiaha, kolegi jadącego za nim na rowerze. Nawet trzy metry z przodu Trevor słyszał ciężki oddech przyjaciela. Nie czuł się lepszy dlatego, że był bardziej wysportowany, i nie wyśmiewał się z tuszy Josiaha. Żałował tylko, że kumpel nie może dotrzymać mu kroku i trzeba na niego czekać, kiedy jeżdżą po nierównym terenie wokół nowej budowy. A jeszcze gorsze było to, że na niektóre wyprawy w ogóle nie mogli się wybrać - jak na przykład przekroczyć kanion rzeki Temple i zwiedzić rządowe ziemie po drugiej stronie - bo Josiah po prostu nie przeżyłby tego wysiłku.

Tam gdzie kończył się krawężnik, a zaczynał podjazd, Trevor zjechał z ulicy na chodnik i ustawił rower na drewnianej skoczni dla deskorolek, którą zbudowało kilku nastolatków. Usłyszał grzechot roweru Josiaha, kiedy ten wskoczył na chodnik tuż za nim. Nadaża aż za dobrze, pomyślał Trevor. Gdyby spękał tuż przed skokiem, Josiah na pewno by na niego wpadł. Zaczął mocno pedałowić, żeby nabrać szybkości przed rampą i odsadzić Josiaha na tyle, na ile się da. Upadek byłby okropny - mama ostrzegала go, żeby nie podarł kolejnego skautowskiego mundurka. Ale gdyby jeszcze wylądował na nim Josiah... O tym koszmarze wolał nie myśleć.

Trzy metry do rampy. Półtora. Trevor wstrzymał oddech i poderwał kierownicę, gdy przednia opona dotknęła brzegu. Rozległ się głuchy grzechot, potem zapadła cisza, kiedy frunął w powietrzu. Spojrzał w dół, by zobaczyć beton dobry metr pod swoimi stopami. Miał nadzieję, że te starsze dzieciaki, które zbudowały rampę, teraz go obserwują. Takie szybowanie przysporzyłyby mu popularności. Potem przypomniał sobie o kasku i zaczął się modlić, żeby nastolatków nie było w zasięgu wzroku. Kaski były obciachowe, bez dwóch zdań. Przenosząc wzrok na spodziewany punkt uderzenia sprężył się i starał powstrzymać chybotanie przedniego koła. Wylądował i miał chwilę paniki, gdy rower chciał się odbić od podłoża i uciec spod niego. Chłopcu udało się jednak odzyskać nad nim panowanie. Natychmiast skrzył w podwórko i zatrzymał się bocznym ślizgiem.

Obejrzał się w samą porę, żeby zobaczyć jak Josiah z trudem wjeżdża na rampę, nie unosząc przy tym kierownicy, dzięki czemu rower mógłby łatwiej pokonać próg. Podczas skoku pochylony był do przodu zamiast do tyłu. I jechał za wolno. Przednie koło zanurkowało w dół i odbiło się od chodnika, poruszając się wolniej niż tył roweru, który z

kolei powędrował w górę i wysłał Josiaha w krótką podróż nad kierownicę. Widmo śmierci powstrzymało chłopca przed przefrunięciem ponad rowerem. Zamiast tego korpulentny Josiah Miller wykonał niewiarygodną, kilkusekundową stójkę na rękach na kierownicy z gracją i równowagą godną cyrkowego niedźwiadka. Potem opadł, na szczęście trafiając w siodełko, a nie obok. Jednak ta akrobacja oraz siła lądowania to było zbyt wiele dla Josiaha i jego roweru. Chłopiec i jego pojazd zatrzęśli się gwałtownie, po czym każdy poszedł w swoją stronę. Josiah wylądował na chodniku, sunął po nim chwilę, przeturlał się, przekoziółkował i stanął na nogi, żeby zaraz powtórzyć sekwencję sunięcia-turlania-koziółków i w końcu się zatrzymał.

Trevor zeskoczył z roweru.

- Stary! To było niesamowite!

Josiah zajączał.

- Nic ci nie jest? - Trevor pochylił się, zaglądając w twarz przyjaciela. Miał otwarte oczy, to dobry znak. Na policzku miał zdarty kawałek skóry. Trzymał się za łokieć.

- Pokaż - powiedział Trevor.

Josiah odjął dłoń, na której pokazała się krew. Z dziury wielkości kamyka sączyła się gęsta czerwień.

Trevor dokładnie obejrzał ranę z wszystkich stron, po czym oświadczył:

- Nic ci nie będzie.

Josiah uśmiechnął się blado. Trevor wiedział, że dzięki kilkutygodniowemu pobytowi w szpitalu po wypadku stał się dla Josiaha i innych dzieciaków w szkole autorytetem w kwestiach medycyny. Nie starał się wyprowadzić ich z błędu. Dlaczego z tej potwornej historii nie miałyby wyniknąć coś dobrego?

Naturalnie pobyt na oddziale intensywnej terapii szpitala St. Thomas More nie rozwinął szczególnie jego medycznej wiedzy, może oprócz tych spraw, które bezpośrednio go dotyczyły. Teraz wiedział, że w Stanach Zjednoczonych topi się średnio dwanaście osób dziennie. Dziesięć z nich jest płci męskiej. Wiedział też, że „sinica” oznacza, że skóra robi się sina z niedotlenienia krwi, i że nawet poprawnie wykonany masaż serca może połamać żebra. Połamane żebra natomiast bolą przy każdym oddechu.

Pobyt w szpitalu uświadomił mu też, że chce robić dla innych to samo, co lekarze zrobili dla niego. Nie uważał tego za przypadek, że obudził się ze śpiączki z chęcią zrobienia czegoś dobrego ze swoim życiem. Z potrzebą czynienia dobra.

Zaczął widzieć ludzi, a zwłaszcza dzieci, jako wspaniałe istoty przyrodziane w kruche ciała. Zastanawiał się, ile w historii zmarło dzieci, które, gdyby przeżyły, mogłyby dać światu

coś cudownego. Chciał pomóc im przetrwać i osiągnąć ich przeznaczenie.

To bardzo głębokie myśli jak na ówczesnego dziesięciolatka. Ale Trevor bardzo wiele doświadczył przez te dni, kiedy był w śpiączce. Po przebudzeniu trąkotał o tym przez jakiś czas, ale później jego rodzina nie poruszała tematu zmiany, jaka w nim zaszła, ani jej przyczyn, wyczuwając ból i przerażenie, które za nią stały. Nawet sam ze sobą o tym nie rozmawiał, odsuwając te myśli od siebie, kiedy próbowały wypłynąć na powierzchnię z otchłani pamięci.

Trevor spojrzał jeszcze raz na Josiaha i szeroko otworzył oczy.

- Co? - spytał przyjaciel, znów wystraszony.

- Twój kask - wyszeptał Trevor. Rozpiął pasek pod brodą i delikatnie zsunął kask z głowy kolegi. Prawie się spodziewał, że wypłynie z niego krew i mózg, ale zobaczył tylko zmierzwione, spocone włosy. Obrócił go w dłoniach i pokazał Josiahowi. Wzdłuż całego przodu kasku biegła długa, głęboka bruzda. W szczelinie pękniętego plastiku widać było połamany styropian.

- To mogła być twoja głowa.

Josiah potarł czoło.

- Trochę mnie boli głowa, ale... - potrząsnął czupryną.

Trevor dotknął swojego kasku. Nagle przestał mu tak bardzo przeszkadzać.

- Chodź. Dasz radę wstać?

Podał mu rękę i pociągnął przyjaciela w górę.

- Ej, patrz - odezwał się Josiah, stojąc już, wsparty ciężko na ramieniu kolegi. Spoglądał w górę na skaliste urwisko, za którym rozciągał się rozległy Royal Gorge Park.

Trevor podążył za jego wzrokiem. Głazy i powyginane sosny okalały skraj urwiska, a za nimi widniało bladobłękitne niebo.

- Nic nie... - zaczął, ale wtedy zobaczył: na samej górze stała postać nieruchoma jak skała. Nie dało się rozróżnić, czy to mężczyzna czy kobieta. Obserwowali postać przez dobre pół minuty, ale nie poruszyła się. - Dziwne - powiedział. - Chodźmy po twój rower.

Leżał na ulicy z pogiętym przednim kołem, z którego wystawały szprychy jak rachityczne żebra. Josiah usiadł na krawężniku, podczas gdy Trevor próbował nieco naprostować uszkodzony rower, żeby chociaż dało się go prowadzić. Najpierw szprychy zahaczały o widelki ramy. Potem odpadła opona i owinęła się wokół piasty.

- Stary, twój rower jest chyba bardziej pokiereszowany niż ty - powiedział Trevor. Podniósł z trawnika własny pojazd i powiedział koledze, żeby go prowadził. Drugi rower podniósł za przód i ciągnął po ulicy na tylnym kole.

Josiah lekko utykał na lewą nogę i Trevor widział, że mocno się opiera na rowerze, żeby się nie przewrócić. Zrównał się z nim, idąc obok.

- Musisz powiedzieć mamie, żeby cię zabrała do lekarza - oznajmił.

Josiah pokręcił głową.

- Nic mi nie jest.

Szli przez chwilę w milczeniu. Kiedy Trevor parsknął tłumionym śmiechem, Josiah odwrócił się do niego.

- Co jest?

Trevor się uśmiechnął.

- Chłopie, szkoda, że się nie widziałeś. Zrobiłeś stójkę na kierownicy!

- Naprawdę? - Josiah wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Prościutką - chichotał Trevor. - To znaczy cały byłeś wyprostowany w górę, nawet nogi.

- Wiedziałem, że ci się spodoba.

- Akurat, że to niby specjalnie!

Obaj zanieśli się śmiechem i Josiah nieco wyrównał chód. Wtoczyli rowery na podjazd przy domu Trevora. Chłopiec wstukał kod na małej klawiaturze i drzwi garażu zaczęły się z trzaskiem otwierać.

- On ciągle tam stoi - powiedział Josiah. Chodziło o postać na urwisku.

Trevor zniknął w garażu i wrócił z lornetką. Chwilę szukał, ustawił ostrość i wreszcie zobaczył człowieka. Z całą pewnością był to mężczyzna z burzą zmierzwionych włosów i krzaczastą brodą. Patrzył właśnie na Trevora przez własną lornetkę.

- On też ma lornetkę - powiedział. - Chyba gapi się prosto na nas.

- Pewnie jakiś zboczeniec - uznał Josiah. Zwinął dłonie w tubę i wrzasnął w stronę mężczyzny:

- Tego chcesz, zboku? - Odwrócił się i pokręcił sporych rozmiarów pupą.

Trevor trzepnął go wierzchem dłoni.

- Przestań!

- Auu! Stary, uważaj na łokieć!

Trevor przycisnął oczy do okrągłych gumowych osłon.

- Ej - powiedział - koło niego siedzi pies. Wygląda jak husky.

- Daj zobaczyć! - Josiah złapał lornetkę i wyjął ją z rąk przyjaciela.

- Pewnie jakiś robotnik z budowy - zauważył Trevor bez przekonania.

Josiah pokręcił gałką do ustawiania ostrości.

- O rany - powiedział. - Aż ciarki przechodzą.

Trevor wszedł do garażu. Nie lubił rzeczy, od których przechodzą ciarki. Szczególnie od czasu wypadku.

29.

Chłopiec zniknął w garażu. Był niewyrośnięty jak na swój wiek i oczywiście nie było do porównania zdjęcia z prawa jazdy, ale Olaf wiedział, że odnalazł Trevora Wilsona. Pasował do opisu: około metr czterdzieści wzrostu, jakieś czterdzieści pięć kilo wagi, rudawe włosy. I otworzył drzwi garażu pod adresem z listy.

Większy chłopak wciąż przyglądał mu się przez lornetkę. Jutro opowie policji o dziwnym mężczyźnie na klifie. Przyjdą tu na górę i znajdą ślady, gdzie stał, trochę psiej sierści. Nic nowego. Ale jeśli będą węszyć dalej, znajdą też ślady opon. Będzie musiał coś z tym zrobić. Nie martwił się odciskami palców na miejscach zbrodni, bo nigdy nikt ich od niego nie pobierał, a nie miał zamiaru dać się złapać. W każdym razie nie żywy. Opony to już co innego. Gdyby ślady okazały się nietypowe, policja mogłaby rozpoznać zaparkowaną gdzieś furgonetkę jako podejrzany pojazd, podczas gdy on oddali się na polowanie lub uzupełnić zapasy. Wtedy mieliby po swojej stronie element zaskoczenia, a chciał go zatrzymać dla siebie.

Duży dzieciak opuścił lornetkę i mówił coś w stronę wnętrza garażu. Ten drugi, Trevor, wychylił się, złapał kolegę za rękę i wciągnął go do środka, zerkając szybko na urwisko. Nie spodobało mu się, że ich obserwuje, pomyślał Olaf. Sprytny dzieciak.

Skierował lornetkę na tył domu. Potem na pas zieleni, który dogodnie dla Olafa biegł niczym parkowa alejka wzdłuż całego szeregu domów za linią tylnych ogródków. Każdy z nich ogrodzony był cedrowym płotem wysokim na dwa metry, z furtką wiodącą na pas zieleni.

Podążył wzrokiem wzdłuż ścieżki prowadzącej przez dwie ulice do miejsca, gdzie kończył się rząd domów i niewielki park usiany kępami trawy wypełniał przestrzeń między osiedlem a klifem, na którym stał. Na park składały się drewniany plac zabaw, rząd huśtawek i garstka drzew. Żwirowy parking, leżący teraz po prawej stronie Olafa, wyznaczał jego południową granicę. Od niego odchodziła droga, jak się wydawało, na zachód, w stronę wzgórz. Najprawdopodobniej biegła niedaleko obecnego stanowiska Olafa, chociaż w drodze tutaj nie przekraczał żadnej drogi.

Omiótł wzrokiem okolicę, by ponownie namierzyć dom dzieciaka. Drzwi do garażu były zamknięte, rowerów nie było.

Przyszła mu do głowy cierpka myśl: co jeśli większy chłopak zostanie na noc? Jego synowie bardzo lubili nocować u kolegi. Olaf chciał zabić chłopca we śnie, a to wymagało większej dyskrecji niż wcześniej. To dość trudne zadanie nawet bez drugiego dziecka w pokoju. Opuścił lornetkę, wpatrując się z wysoka w szachownicę domów, i westchnął. Misja przede wszystkim. Wykona zadanie, nawet jakby miał się zrobić bałagan.

Zlustrował otoczenie. Chciał mieć pewność, że nie napotka żadnych niespodzianek, kiedy wróci tu dziś w nocy. Droga zaczynająca się przy parku biegła gdzieś na północ od niego. Odwrócił się i wyruszył jej poszukać. Przesadzał głazy i uskoki ze znacznie większą zwinnością, niż sugerowałaby jego krępa sylwetka. Pies trzymał się blisko, póki nie upewnił się co do kierunku marszu. Potem wyrwał naprzód, węsząc i czujnie obserwując. Poruszali się razem, bezgłośnie. Po chwili zniknęli między drzewami.

30.

Zdjęcia z miejsca zbrodni pokrywały każdy skrawek poziomej powierzchni w pokoju hotelowym Alicii. Brady przesuwiał się od jednego do drugiego ze szkłem powiększającym i notesem. Alicia siedziała za biurkiem i oglądała w zwolnionym tempie na komputerze nagrania z miejsc zbrodni w Palmer Lake i Fort Collins. Co jakiś czas zatrzymywała i drukowała kadr w dużej rozdzielczości. Słyszając dźwięk drukowania Brady podchodził, zabierał zdjęcie i wracał do miejsca, z którego usłyszał zew drukarki.

Raz spytał, czy Alicia ma dostęp do internetu. Przewróciła oczami, ale wyjaśnił, że potrzebuje trochę posurfować. Przespacerowała się do automatu z napojami i kiedy wróciła z puszką dla każdego z nich, zastała go znów nad stosem zdjęć. Dwadzieścia minut później odezwał się:

- Okay, gotowa?

Obejrzała jeszcze kilka klatek nagrania z domu Daniela Frearsa i zamknęła laptop.

- Dawaj - rzuciła.

Wskazał na stos zdjęć na łóżku.

- Ofiara numer jeden. Joseph Johnson z Ogden w stanie Utah. Żadnych wyobrażeń piekła, przynajmniej nie widać ich na zdjęciach. Ale popatrz na te książki: *W stronę światła*, Betty Nadie i Curtisa Taylora, *Skrawek nieśmiertelności: Dowody na życie po śmierci* Stephena E. Braude'a i *Kara piekła* Duncana McAfee.

- Co to za książki? - spytała Alicia.

- Strona amazon.com podaje, że wszyscy zajmują się NDE, czyli doświadczeniami bliskimi śmierci.

- Aha - bąknęła niepewnie.

- Wiesz, na przykład czyjeś serce się zatrzymuje, ogłaszają śmierć kliniczną, a potem ich reanimują. W czasie gdy byli „martwi”, ich duchy doświadczały różnych rzeczy.

- Jakich rzeczy?

- Może unosili się ponad swoimi ciałami albo wybierali się do nieba. O tym mówią te książki.

- Dziwne.

- Wielu ludzi wierzy, że doświadczenia bliskie śmierci są prawdziwe. - Rozejrzał się

po papierach i zdjęciach ukazujących ofiary Pelletier. - Oni najwyraźniej wierzyli.

Wyrecytował tytuły książek związanych ze śmiercią kliniczną. Nawet William Bell - pomocnik hydraulika, którego biblioteka liczyła pięć pozycji, a jedną z nich było wydanie zbioru fotografii kobiet w kostiumach kąpielowych „Sports Illustrated” z ostatniej dekady - posiadał *Przewodnik po doświadczeniach bliskich śmierci dla kompletnego idioty* autorstwa P.M.H. Atwater oraz *Tylko przejazdem. Spojrzenia na życie pozagrobowe* Duncuna McAfee.

- Ten facet często się przewija - zauważyła.

- Duncan McAfee. Jedyne autor, którego książki miały przynajmniej cztery ofiary.

- Chyba znaleźliśmy związek.

Westchnął.

- Teraz chciałbym wiedzieć, dlaczego interesowali się śmiercią kliniczną.

- Do tego właśnie służą telefony - powiedziała. - Weź trzy morderstwa, a ja dwa. Zadzwońmy do krewnych, a ja namierzę też Duncana McAfee. Będę dzwonić z komórki, więc ty możesz skorzystać z linii hotelowej.

Alicia czytała coś w internecie, kiedy Brady skończył ostatnią rozmowę. Zabrało im to nieco więcej niż dwie godziny.

- Umieram z głodu - oznajmił.

Chwyciła za słuchawkę telefonu na biurku.

- Może zamówimy coś do pokoju? Co chcesz? - Zamówiła posiłek dla nich obojga, po czym przeszła do sprawy: - No cóż, uroczy były mąż Cyntii Loeb powiedział, że jej serce przestało bić podczas histerektomii cztery lata temu. Najpierw mówiła, że to było okropne. Potem w ogóle przestała poruszać ten temat, ale zaczęła mieć obsesję na punkcie życia pozagrobowego: nieba, piekła, aniołów, demonów. Zapewniał, że nie rozstaliby się, gdyby jej tak nie odbiło, to jego słowa. - Przerzuciła stronę. - Nie udało mi się namierzyć nikogo z krewnych Williama Bella. Jego szef powiedział, że miał kilka lat temu jakiś wypadek. Rozbił się na quadzie czy skuterze, nie pamiętał. Spędził miesiąc w szpitalu, ale nigdy o tym nie mówił. Po wypadku zmienił się z duszy towarzystwa w skrytego odludka. - Wzruszyła ramionami. - No i dowiedziałam się, że Duncan McAfee to katolicki ksiądz z Manhattanu.

- Ksiądz?

- No. Mam też jego numer.

- Dobra. Ja miałem dwa trafienia. Była żona Daniela Frearsa odłożyła słuchawkę, kiedy zapytałem o jego historię zdrowia. Jego matka powiedziała, że przeszedł „ciężkie chwile” zeszłego roku przy pęknięciu wyrostka, a potem też odłożyła słuchawkę. Tak samo było przy rozmowie z trójką krewnych Josepha Johnsona. Jakbym był reporterem z

plotkarskiej gazety i wypytywał o skłonności ich zmarłych bliskich do transwestytyzmu. Mąż Jessiki Hampton powiedział, że z całą pewnością przeżyła śmierć kliniczną, kiedy jej serce przestało bić w czasie skomplikowanego porodu. Gdy ją docucili, wrzeszczała przerażona o demonach i piekle. W sali pooperacyjnej powiedziała mu, że demony zabrały ją do piekła i próbowały tam zatrzymać, lecz coś ciągnęło jej duszę z powrotem do ciała. Następnego dnia oświadczyła, że nie chce o tym mówić i tak już zostało, mimo że ją wspierał i zachęcał, żeby się otworzyła. Stała się bardzo religijna, zaczęła uczestniczyć w nabożeństwach prezbiteriańskich trzy razy w tygodniu i chodzić na kółko biblijne dwa razy w tygodniu.

Od jakiegoś czasu siedział na łóżku po turecku. Teraz rozprostował ramiona i nogi, po czym wstał.

- Ochłapię się, a potem zadzwonię do Zacha, zanim przyniosą jedzenie - zapowiedział. Wyszedł, obiecując wrócić po kwadransie. Alicia otwarła klapkę swojej komórki i wybrała numer ojca McAfee.

Za ósmym dzwonkiem telefon odebrał mężczyzna.

- Halo?

Albo go obudziła, albo był pijany.

- Ojciec Duncan McAfee?

- Tak, kto mówi?

- Agentka specjalna Alicia Wagner z Federalnego Biura Śledczego.

- FBI? W związku z moimi aktami?

- Yy... z jakimi aktami?

- Nie chodzi o moje akta? Więc czego pani chce?

- Co się stało z aktami ojca?

- Zostały skradzione! - wrzasnął.

Alicia odsunęła słuchawkę od ucha.

- Kiedy do tego doszło?

- Trzy tygodnie temu! Złożyłem doniesienie!

- Co to były za akta?

- Dzieło mojego życia. Efekty całej mojej pracy.

- Przykro mi. Może mogłabym w czymś...

- Och, przestańcie mnie nękać! Nic w tej sprawie nie zrobicie. Policja się tym nie zajmie.

- Czy te akta miały coś wspólnego z książkami ojca o doświadczeniach bliskich śmierci?

- A czego innego miałyby dotyczyć?

- Dzwonię do ojca, ponieważ znaleźliśmy ojca książki na miejscu kilku morderstw.

Chciałam więc zapytać...

- Więc teraz jestem podejrzany? Tego już za wiele!

- Nie, chodzi tylko o to...

- Więc przestańcie zawracać mi głowę!

Klik.

- Halo? Ojciec McAfee?

O rany.

*

Ojciec McAfee odłożył słuchawkę i zamknął oczy.

Co teraz, dobry Boże? Wizyta ojca Randalla przed trzema tygodniami zapoczątkowała okres udreki i nieprzespanych nocy. Nie żeby odżyły dawne winy czy lęki, McAfee umiał sobie radzić z demonami psychiki. Przez pięćdziesiąt dziewięć z sześćdziesięciu ośmiu lat życia odpędzał je wyłącznie modlitwą. Nie, teren kościoła nawiedzał inny demon, może nawet demon wcielony, choć McAfee niechętnie dopuszczał do siebie tę myśl. Dziwne cienie, pogłos kroków w pustych korytarzach, potworny śmiech w zakrystii trwający wystarczająco długo, żeby zdążył się przebudzić i zdać sobie sprawę, że to nie sen - tak się to zaczęło.

Tydzień temu prześladowania się nasiliły. Gdy wchodził do kaplicy, zastawał figury świętych poprzewracane, z pourywanymi głowami i kończynami, zapaskudzone czymś, co wyglądało na krew, ale okazało się czerwona farba. Budziło w nim to wstręt i przerażenie. Policja tylko wzruszyła ramionami. To sprawka szczeniaków, zawyrokowali. Ale McAfee wiedział, że się mylą. Winowajcą był ten lub to, co nawiedzało jego i kościół, a co najwyraźniej pozostawił po sobie ojciec Randall.

Usłyszał szuranie buta tuż za swoimi plecami i odwrócił się gwałtownie. Cień przemknął po ścianie w korytarzu za otwartymi drzwiami jego gabinetu.

- Kto tam? - zawołał. Czuł się głupio, jak ktoś, kto wypiera fakty.

Cień zniknął, ale dobiegł go teraz dobrze już znany śmiech, właściwie chichot. Kiedy umilkł, rozległ się brzęk tłuczonego szkła.

- Odejdź! - wrzasnął McAfee. - Odejdź stąd w imię Jezusa Chrystusa! - Przeżegnał się.

Nie było żadnej odpowiedzi, ale kilka chwil później cień znów się pojawił i nie zniknął. Ten, kto go rzucał, musiał stać w korytarzu tuż poza zasięgiem wzroku. Serce księdza zabiło szybciej. Zamknął oczy, mamrocząc pod nosem modlitwę. Kiedy znów je otworzył, cień zniknął.

*

Alicia otworzyła drzwi w odpowiedzi na pukanie Brady'ego z komórką zatknietą między policzkiem a ramieniem. Machnięciem zaprosiła go do środka.

- John, posłuchaj mnie - powiedziała do telefonu. - Nie, nie jest doskonały, ale prawie. Słuchała.

Podszedł do stolika, gdzie leżał posiłek przyniesiony przez obsługę hotelową i znalazł swojego cheeseburgera na tacy pod metalową przykrywką. Zaczął jeść stojąc.

- Już zrobiliśmy postępy. Odkryliśmy związek... - Opadła ciężko na łóżko. - Tak, dobrze. Dzięki... - Zatrasnęła klapkę telefonu i dokończyła: - Za nic.

- Gilbreath? - spytał Brady z ustami pełnymi burgera. Skinęła.

- Odciski palców i sierść zwierzęca z Ogden i Fort Collins pasują do siebie. Te same zwierzęta, ten sam sprawca, różne stany... Biuro ma jurysdykcję.

Pokiwał głową i wziął następny kęs.

- Ekipa śledcza przylatuje jutro - poinformowała go. - A my wylatujemy. - Stojąc, rzuciła telefon na łóżko i odszukała swoją kanapkę Reuben. Wetknęła sobie frytkę do ust. - Paskudne te frytki. - Sięgnęła i wzięła garść. Podniosła kanapkę i z powrotem ją odłożyła. - Nie chcesz zostać? Nie chcesz pomóc rozwiązać tę sprawę?

Potrząsnęła głową i przełknęła.

- Pasuje mi to, co robimy, Alicia. Nie lubię długo być poza domem. Przyczyniamy się do rozwiązania. To mi wystarczy.

Wydała z siebie westchnienie zniecierpliwionej osoby.

- Zawsze jesteśmy na zewnątrz, to mnie doprowadza do szału. Chcę być w centrum wydarzeń. Chcę łapać bandytów.

- Twoja praca pomoże zamknąć więcej bandytów, niż udałoby ci się przez całe życie jako agent śledczy.

- Tak, tak.

- Co by było, gdyby Edmund Locard podchodził do sprawy tak jak ty? Wyobrażasz sobie śledztwo na miejscu zbrodni bez wykorzystywania odcisków palców?

Podniosła kanapkę i odgryzła kęs.

- Rozmawiałam z McAfee'em - oznajmiła.

- No i?

- Coś jest na rzeczy. Jego akta zostały skradzione trzy tygodnie temu.

- Akta dotyczące śmierci klinicznej? To sprawa prawie rozwiązana.

- No widzisz? Ale czy my możemy ją zamknąć? O nie, my musimy jechać do domu, żeby się bawić gadżetami.

Kontynuowała tyradę, na przemian zagryzając kanapkę i lamentując nad swoją dolą w FBI.

Obserwował ją z uśmiechem. Nie zdawała sobie sprawy, jak jest urocza.

31.

Ból. Straszliwy ból, ostry i pulsujący jednocześnie.

Takie było pierwsze odczucie Pipa, kiedy odzyskał świadomość, a kłębiące się w jego głowie mroczne sny natychmiast wyparowały z pamięci niczym poranna mgła. Miał obolałą twarz i żebra. Głowa była jak zmiażdżona, przygnieciona jakimś ciężarem nie do zniesienia. Zamrugał powiekami, otworzył oczy i znów zamknął. Znów ciemność i mgła. Z wysiłkiem podniósł powieki. Znajdował się w sypialni o wystroju w odcieniach różu i bieli, z bielonymi meblami i lalkami poustawianymi na komodzie. Jedyne oświetleniem była łagodna poświata z lampy, której nie widział, po jego prawej stronie.

Na ścięgnach jak z drutu kolczastego obrócił głowę i mało nie wrzasnął z bólu. Słysząc było, jak nabrał powietrza. Na drewnianym krześle obok łóżka siedziała kobieta. Podniosła głowę znad książki.

Gdzie jestem? - próbował spytać, ale wydał z siebie tylko jęk.

Kobieta wstała i pochyliła się nad nim. Była po pięćdziesiątce, miała krótkie siwe włosy i oczy pełne współczucia.

- Cii... - uspokoiła go, po czym zaczęła mówić coś po hebrajsku. Pip nie rozumiał ani słowa, ale nie był w stanie zasygnalizować tego ruchem głowy. Zaczął poruszać ustami.

Podniosła rękę i zaczęła od nowa, tym razem znośną angielszczyzną.

- Proszę nie mówić. Miał pan ciężki wypadek.

- Jak...? - udało mu się wypowiedzieć.

- Kiedy się pan rozbił, mój mąż pobiegł panu pomóc. Prosił pan, żeby go ukryć, bo ścigają pana jacyś ludzie. Kilku sąsiadów wyciągnęło pana i wniosło do bramy, zanim przyjechali żołnierze. - Skrzywiła się. - To nie byli izraelscy żołnierze.

- Nie - zgodził się.

- Nie wiemy, co pan zrobił, ale im pana nie wydamy.

- Ja... - Jego twarz wykrzywił grymas bólu, ręką dotknął głowy. Była owinięta bandażami. - Muszę...

- Nie może się pan teraz ruszać - powiedziała uprzejmie, ale stanowczo. - Cokolwiek pan chce zrobić, proszę to zrobić w łóżku.

- Nie... Muszę... coś zabrać. Muszę zabrać... - Podniósł się na poduszkę, zobaczył, jak

pokój wokół niego szarzeje, i z powrotem opadł. Spróbował jeszcze raz. Nie posunął się dalej. Popatrzył na kobietę proszącym wzrokiem. - To ważne - powiedział.

- Nie wolno panu... - urwała powstrzymana przez wyraz jego oczu. Długo przyglądała się jego twarzy. Łagodnie poklepała koldrę przykrywającą jego klatkę piersiową. - Może mój mąż panu pomoże. - Podniosła się i wyszła z pokoju.

Pip zastanawiał się, jak może przekonać mężczyznę, żeby mu pomógł. Proszę iść na dworzec kolejowy... do skrytki...

Ciemność spowiła jego myśli, a mgła uniosła się i znów go otoczyła.

*

- Trafiliście go? - upewnił się Luco jeszcze raz.

Arjan stał wyprostowany jak spiżowy posąg, z marsowym wyrazem twarzy.

- Tak, Baducci go trafił.

- W głowę?

- Tak.

Luco potrząsnął głową.

- Nie rozumiem tego.

- To się zdarza. Kula musnęła głowę, a czaszka zadziałała jak hełm i zmieniła tor lotu.

- I odjechał, rozbił samochód i się rozpląnął?

- Znaleźliśmy krew, ciała nie było.

- Niewiarygodne.

Co teraz? - pomyślał Luco. Pip będzie próbował dotrzeć do akt, a potem albo targować się o swoje życie, albo dostarczyć akta Hüberowi. Koniecznie musi odnaleźć albo Pipa, albo akta zanim do tego dojdzie. Spojrzał na wyprostowanego w stosownej postawie Arjana. Podjął błyskawiczną decyzję. Arjan ani nikt z jego ludzi nie może odnaleźć dokumentów. Jeden błąd wystarczy.

- Obserwuj jego mieszkanie i biuro, ale nie przeszukuj.

Zdezorientowany Arjan zerknął na Luca.

- Sam to zrobię - wyjaśnił. - Zrozumiano?

- Tak.

- Każ swoim ludziom go znaleźć i zabić. Przynieście mi ciało.

- Rozumiem.

Luco wątpił, czy rzeczywiście rozumie. Ale wiedział, że Arjan to zawodowiec, wytrawny żołnierz. Nie kwestionował rozkazów, tylko je wypełniał. Ścisnął Arjana za ramię.

- Wiem, że mogę na ciebie liczyć, przyjacielu.

32.

Według wiedzy Olafa w domu Trevora Wilsona zgasły wszystkie światła około dziesiątej trzydzieści, czyli ponad dwie godziny temu. Skulony nad krawędzią nasypu powyżej małego osiedlowego parku nie widział okien z tyłu i z dalszego boku domu. Ale był czwartek, czyli jutro rano chłopiec szedł do szkoły, a rodzice do pracy. Prawdopodobnie położyli się wcześniej, przynajmniej przed północą. Podchodząc od tyłu, miałby szansę przyjrzeć się oknom z tamtej strony. Gdyby zobaczył zapalone światło albo niebieską poświatę od telewizora, mógłby się wycofać i dalej poczekać. Ale nie w nieskończoność. Według planu musiał dotrzeć do Santa Fe jutro wieczorem.

Wcale mu się nie podobało, że musiał zabić dziecko, ale jeszcze gorsze było mordowanie ludzi tylko dlatego, że byli świadkami albo próbowali go powstrzymać od wypełnienia obowiązku. Lista nazwisk była nieodwołalna jak słowo Odyna, ojca bogów. Nadszedł ich czas, a Olaf był narzędziem losu. Z drugiej jednak strony dodatkowe zgony były tragedią. Nie żeby miało go to powstrzymać przed wypełnieniem misji. Przeciwnie, jego trening i stan umysłu, w który się wprowadzał przed zabójstwem, zakładał błyskawiczne podcięcie gardła każdemu, kto stanie mu na drodze.

Wychylił się, stając na palcach, i podparł się toporem, żeby nie stoczyć się w ciemną przepaść za krawędzią klifu. Czekał w tym miejscu pod osłoną konarów potężnej topoli od kilku godzin, obserwując przyjazdy i odjazdy mieszkańców, które w końcu przerodziło się w bezruch. Ich świat pogrążał się w ciemności, jedno okno po drugim.

Początkowo, wiedząc, że ma czas, pozwolił umysłowi błądzić, przywoływać wspomnienia, rejestrując jednocześnie nowe fakty, w miarę jak obrazy wkraczały w jego sferę świadomości. Widząc, jak ulice poniżej jego stanowiska przemierza mercedes, zaczął się zastanawiać nad przemysłem i postępem, potem nad materializmem i chciwością. Obserwował dzieci wracające do pustego domu, pierwsze z rodziców przyjeżdżało po kilku godzinach, potem drugie - jeśli było drugie. Widział plastikowe torby pełne jedzenia przenoszone z samochodów do domu, gdzie rodzina będzie spożywać to, czego nie wyhodowała ani nie zabiła. Często jeden lub dwoje członków rodziny wychodziło ponownie, by powrócić po kilku godzinach. Dzieci były spocone od uprawiania jakiejś nieznaney rekreacji, rodzice rozszczebiotani po świeżym dopływie towarzyskich bodźców. Tak jakby

nie wystarczało im przebywanie z bliskimi, ciepło domowego ogniska, pieszczota dłoni, dzielenie się zdarzeniami dnia. To wszystko było za mało, żeby wypełnić ich serca.

Doszedł do wniosku, nie pierwszy zresztą raz, że tryb życia jego i jego rodu był dalece lepszy. Szczęście znajdował w życiu rodzinnym, walce o przetrwanie i wypełnianiu powinności, wiedząc, że bogowie z zadowoleniem patrzą na jego oddanie. Ciężko trenował oraz się uczył i ze szczerym zadowoleniem poświęcał życie na przygotowanie się do spełnienia obowiązku, który mógł nigdy nie przypaść mu w udziale.

Ale jednak spoczął na jego barkach jak ognista wizja, od której piękna nie sposób odwrócić oczu, choćby miała je wypalić. Po tylu wiekach oczekiwanie dobiegło końca. Teraz przyszedł czas, by wykorzystać jego zdolności, przekazywane i doskonalone od pokoleń z ojca na syna. Nawet spotkanie z przodkami w Valhalli nie mogłoby przynieść mu więcej szczęścia niż wypełnienie tej długo wyczekiwanej roli w służbie Odynowi. To dla tej powinności rozstał się z rodziną. Dla niej czał się teraz w ciemności, wciągając w nozdrza zapach sosen i ilastej ziemi, a teren łowiecki rozciągał się przed jego oczami.

Gdy niebo poszarzało i pociemniało, a księżyc wspiął się wysoko na firmament, każda iskra błyskająca w mózgu zaczęła oświetlać jedną tylko myśl: zabić. Powoli wzbierała w nim nienawiść do ludzkości. Podsycaly ją obrazy ludzkiego okrucieństwa ukazane na groteskowych fotografiach i wyraziście oddane w opowiadaniach plemiennych gawędziarzy. Apostazja, niemoralność, wojna. Jakiej zdrady jeszcze nie dopuściła się rasa człowieka?

Przed pięciu laty niedobitki walczące o przywrócenie starego świata i odwrócenie apostazji ogłosiły nadejście tego, który ma zburzyć świątynie samolubstwa i fałszywych bożków, by zjednoczyć cały świat w jedno szlachetne plemię. Jednak jego przeciwnicy umacniali się i knuli przez całe tysiąclecia, są potężni, liczni i przebiegli. Niektórzy z nich to wrodzy wojownicy, inni - jak ów chłopiec, któremu Olaf miał dzisiaj złożyć wizytę - to nieświadome tryby w maszynie mającej zmiążdżyć nadchodzącą uzurpację.

Olaf nie musiał wiedzieć, jakie zagrożenie dla przyszłego doskonałego świata stanowiło to dwunastoletnie dziecko. Była to część większego planu, nad którym czuwali inni, i to oni wyznaczali konieczne działania. On był tylko dłonią dzierżącą miecz, a właściwie topór. Czy dłonie same kierują sobą lub czy pytają, dlaczego mają chwytać i uderzać?

I tak paląca wściekłość, żrąca nienawiść do całej ludzkości skupiła się na jednym małym chłopcu. Wyobraził sobie Trevora Wilsona: błękitne oczy, włosy w kolorze pszenicy zabarwione zachodzącym słońcem, garstka piegów, dziewczęce niemal wargi. Nie tworzył sobie obrazu potwora. W jego wyobrażeniu z głowy Trevora nie wyrastały rogi, z jego ust nie

sączyły się plugawe przekleństwa. Zniszczenie miało różne formy, niektóre z nich o niewinnym wyglądzie. Trevor był uroczym dzieciakiem. Gdyby Olaf go poznał, na pewno zobaczyłby w nim podobieństwo do własnych synów. Współczucie, ciekawość, wielkookie zdziwienie światem, miłość. A jednak mózg rządzący tym ciałem, którego Olaf był jedynie dłonią, rozpoznał chłopca jako zagrożenie. Jego dalsze istnienie zagrażało odkupieniu ludzkości. Nienawidził chłopca za to, że powstrzymuje odkupienie, choćby nawet nieświadomie.

Jedynie ustępstwo, na jakie mógł iść w przypadku młodego i najwyraźniej niewinnego dziecka, to przyjść w nocy i bez psów. Dorosłego wroga zawsze atakował, gdy był (lub była, pomyślał, choć nie przywykł jeszcze do żeńskich ofiar) obudzony i świadomy. Dzięki temu zyskiwał ostateczne potwierdzenie, że śmierć jest wolą bogów. Ofiary zaś miały możliwość dostąpić bożego ulaskawienia w ostatniej chwili. Jeśli mimo sprawności Olafa, jego siły, uzbrojenia i psów wróg zdołał przeżyć, walcząc, ratując się ucieczką lub dzięki pomocy z zewnątrz, znaczyło to, że ofiara musiała być obdarzona przychylnością Świętych Mocy. Olaf przyjąłby porażkę jako bożą opatrzność... na razie. Ponawiałby ataki, dopóki rozkaz nie zostałby odwołany. Bogowie mogli stale wstrzymywać jego topór lub w końcu pozwolić mu sięgnąć celu.

Dziecko natomiast było pod władzą i opieką rodziców. Gdyby bogowie uznali jego śmierć za przedwczesną, spowodowałoby ingerencję opiekunów. Olaf nie widział powodu, żeby straszyć chłopca ani dawać mu szansę zmiany przeznaczenia, skoro odpowiedzialność za jego bezpieczeństwo spoczywała na rodzicach.

Dziś wieczór psy zostały więc z furgonetce. Bez nich czuł się niepełny, były jego towarzyszami broni. Ale wszystko pójdzie dobrze, tak jak zawsze. Przycisnął dłonią koszulę, która zrobiła dla niego Ingun, miękką pod jego stwardniałymi palcami. Dotknął naszyjników od swoich chłopców, Othel i króliczej łapy. Dziś w nocy żona i synowie byli jego towarzyszami broni. Wyczuwał ich gotowość do polowania.

Mięśnie Olafa napięły się. Nerwy i zmysły stały się nadwrażliwe. Lekki podmuch wiatru ze wchodu przecesał włosy na jego ramionach. Dobrze. Stoi pod wiatr w stosunku do ofiary. Poniżej, na polu jego polowania, trzasnęły drzwi i zaszczekał pies. Mężczyzna szybko ocenił potencjalne zagrożenie i przestał o tym myśleć. Jego oddech stał się rytmiczny, a dzięki treningowi i instynktowi wprowadził się w fizyczny i psychiczny stan doskonały do zabijania.

Przyciągnął do siebie topór, a ostrze, drapiąc skałę, wydało dźwięk podobny do smyczkowej nuty sul ponticello. Uwertura do jego występu. Przesunął dłoń po gładkim

drewnianym stylisku. O centymetry od ostrza zacieśnił uścisk i podniósł się. Oczami przebiegł trasę, którą miał pokonać od wejścia do parku, kiedy wyłoni się ze swojego ukrycia.

Z myślą o chłopcu z toporem w dłoni obrócił się i ruszył w stronę szlaku, który miał ich połączyć.

33.

Trevor podniósł głowę z poduszki i spojrzał na cyfrowy budzik na nocnym stoliku - 12.43 - zanim zdał sobie sprawę, że ze snu wyrwał go jakiś dźwięk. Przewrócił się na drugi bok i usiadł na łóżku. Ze swoją lampką nocną Power Rangers pożegnał się już prawie rok temu, teraz więc rozejrzał się po pokoju, w którym było ciemno jak w grobie - nie przeszkadzało to w zasypianiu, ale w chwilach takich jak ta naprawdę dawało się we znaki. Nawet światło księżyca nie docierało do sypialni chłopca poprzez żaluzje, promienie przeświecały tylko przez szczelinę na sznurek i stały refleksy wokół krawędzi osłon. Drzwi były uchylone, tak jak lubił, ale w korytarzu również panował mrok.

- Mamo? - odezwał się cicho. - Tato?

Cisza.

Nadstawił ucha i wstrzymał oddech.

Nic.

Co go obudziło? Zorientował się, że chce mu się siusiu. Może to wybiło go ze snu, a nie żaden dźwięk? Odrzucił kołdrę i spuścił nogi z łóżka.

Brzdęk. Za oknem rozległ się ledwie słyszalny odgłos.

Trevor zastygł, wpatrując się w okno, jakby zaraz, rozrywając żaluzje, miało przez nie wpaść stado dzikich bestii. Tak się jednak nie stało i chłopiec potrząsnął głową.

Za dużo filmów, pomyślał.

Brzdęk.

Trevor gwałtownie nabrał powietrza, ale zaraz się za to skarcił. Nie wolno mu zachowywać się jak dziewczyna, nawet gdyby naprawdę ścigały go najstraszniejsze potwory, jakie kiedykolwiek narodziły się w umyśle Stephena Kinga. Stephen King był dość przerażający. Trevor tego nie lubił.

- Och, to pewnie nic takiego - wyszeptał i podszedł do okna. Zauważył, że wzdłuż każdej listewki żaluzji biegł mdły promyk światła. Przeszło mu przez myśl, żeby palcem odchylić jeden pasek i wyrzucić przez szczelinę. Zaraz jednak wyobraził sobie oko wpatrujące się w niego po drugiej stronie szyby. To byłoby jeszcze straszniejsze niż podciągnąć żaluzje i stanąć twarzą w twarz z tym czymś na zewnątrz. Sięgnął ręką i chwycił plastikową końcówkę sznurka, którym podnosiło się i opuszczało żaluzje. Nie od razu jednak odsłonił okno.

Wiedział, że odwaga wkrótce powróci, kiedy tylko zorientuje się, że już nie śpi.

Przez tylne podwórko, pod jego oknem, biegła ukośnie ścieżka wyłożona płytami chodnikowymi. Coś sunęło przez chodnik, wydając słaby odgłos szurania: szuu... szuu... szuu...

Trevor gwałtownie cofnął dłoń od sznurka. Serce tłukło mu się w piersi jak ptak, za wszelką cenę próbujący wydostać się z klatki.

„Taaatooo!!!” - wrzasnął w swojej głowie, ale z jego ust dobieły się tylko krótkie urywane oddechy. Zacisnął powieki i zacisnął zęby.

„To nic”, powtarzał sobie. Nic. Zaczął wolniej oddychać i poczuł, że ptak w jego piersi nieco się uspokoił. Zanim zdążył się powstrzymać, sięgnął i szarpnął za sznurek, a żaluzje powędrowały w górę ze stukotem plastiku. Otworzył oczy.

Tylne podwórko było skąpane w świetle księżyca. Nic więcej.

Szuu... szuu... rozległo się coraz bliżej domu.

Spojrzał w tamtą stronę i wypuścił wstrzymywany oddech. Tłusty, futrzany szop pracz ciągnął zębami papierową torbę, której brzegi zwinięte były razem. Z każdym szarpnięciem cofał się o jakieś piętnaście centymetrów, a za nim pakunek szorujący po chodniku - szuu...

- Ty... łobuzie - szepnął chłopiec.

Jakby na dźwięk tych słów szop puścił torbę i obrócił się, żeby spojrzeć w okno. Podniósł się na tylne łapki i węszył w powietrzu. Potem opadł z powrotem i przemaszerował, kołysząc się, obok torby w stronę furtki. W połowie drogi przystanął przy innym skarbie, który próbował ukraść. Była to puszka po zupie, rozmiar rodzinny. Trevor przypomniał sobie rosół z makaronem, który jedli przedwczoraj na kolację. Zwierzę podniosło puszkę w łapkach, przechyliło ją, jakby brało zamach, i upuściło na ziemię - brzdęk.

Trevor uśmiechnął się.

- Wracaj po torbę, kolego - powiedział cicho. - Jak przyjedzie śmieciarz, będzie za późno.

Padł na niego cień. Spojrzał w górę i zobaczył, że przepływające leniwie chmury przykryły księżyc. Opuścił wzrok na szopa, który kołysząc się na boki, zmierzał powoli do furtki z pustymi łapkami.

- Trzymaj się - szepnął chłopiec. Postanowił zostawić żaluzje podniesione, żeby światło wpadało do pokoju, i odwrócił się od okna. Od jego stóp rozciągał się na podłodze nikły cień. Wyszedł z pokoju w ślad za nim, a na korytarzu cień znikł całkowicie. Chłopiec po ciemku znalazł drogę do łazienki.

34.

Olaf znalazł szlak, ale zatrzymał się, zanim zdążył ująć piętnaście długich kroków. Nasłuchiwał w absolutnym bezruchu. Po chwili odgłos, który wydawało mu się, że słyszał, rozległ się znowu: szczeknięcie psa. Stłumione i odległe. Nie był to ten sam pies z sąsiedztwa, którego słyszał wcześniej. Nie był to po prostu jakiś pies. Odgłos ten miał dobrze mu znaną kombinację wysokich tonów. Trwał dłużej niż normalne szczeknięcie, ale urywał się zanim przeszedł w wycie.

Freya. Coś ją zaniepokoiło.

Bez wahania pobiegł z powrotem w górę ścieżki. Sadząc długie susy, po trzydziestu sekundach minął miejsce, gdzie tak długo siedział skulony jak maskaron strzegący przed złymi duchami.

Znów rozległo się wołanie Frei.

Nie walczyła, nie broniła furgonetki. Mówiła mu tylko, że coś wymaga jego uwagi, a inni jej na to pozwalali. Nie była to sprawa życia i śmierci... przynajmniej na razie. Biegając, nurkując pod konarami drzew i przeskakując kępy roślin, zastanawiał się nad możliwościami. Może w pobliżu przeszedł turysta. Albo grupa nastolatków z miasteczka zbliżała się do furgonetki, ostrożnie, bo wiedzieli, że łamią zakazy. Albo niedaleko zatrzymał się samochód, może wóz policyjny.

Olaf przebiegł wierzchołek wzgórza wznoszącego się za górującym nad miasteczkiem urwiskiem. Rzucił się w dół, biegnąc teraz jeszcze szybciej.

Zaparkował furgonetkę pomiędzy dwoma drzewami przykrył ją uciętymi gałęziami. Dziwne, że tak szybko został dostrzeżony, zwłaszcza w nocy. Ale Freya...

Znowu szczeknęła. Tym razem słyszał ją wyraźniej, ponieważ był bliżej.

Freya nie ryzykowałaby ujawnienia, chyba że wiedziałyby, iż kryjówka już została odkryta.

Dwieście metrów od samochodu zwolnił tempo. Nie zamierzał rzucać się w sam środek sytuacji bez rozpoznania. Jeśli policja znalazła furgonetkę i w jakiś sposób zdołała ją powiązać z rzemiosłem Olafa, teraz pewnie czaili się na niego. Może sądzili, że jest w samochodzie, śpi albo przygotowuje się do obrony przed nimi swoim arsenałem broni palnej. Freya nie rozróżniłaby czatującego człowieka od przypadkowego przechodnia, chyba że

włamałoby się do samochodu albo zalali go oślepiającym światem halogenów, a żadna z tych sytuacji najwyraźniej nie miała miejsca.

Przemykał od drzewa do drzewa, węsząc jakiegokolwiek oznaki niebezpieczeństwa: dymu papierosa, smaru do konserwacji broni, zapachu ludzkiego ciała. Kiedy w zasięgu wzroku pojawiły się gałęzie osłaniające furgonetkę, przypadł do ziemi płynnym ruchem, jakby wtapiał się w poszycie. Obserwował pogrążony w ciemności las, rozglądając się na boki, starając się narzucić obraz bardziej światłoczułym pręcikom siatkówki zamiast czopkom znajdującym się bezpośrednio poza źrenicami. Poruszał się bezgłośnie na kolanach i łokciach, co chwilę się zatrzymując, żeby zlustrować otoczenie. Okrążył miejsce ukrycia furgonetki, aż zbadał cały teren.

Nic. A jednak Freya nadal szczekała rytmicznie co około pięć sekund.

Podkraść się do sterty gałęzi przykrywających furgonetkę i powoli trzy z nich odsunął. W powstałą przerwę wsunął głowę i ramiona. Nikt nie skrywał się pod samochodem. Żaden z amortyzatorów nie uginał się obciążony nadmiernym ciężarem ukrywającego się wewnątrz mężczyzny - ewentualność tak mało prawdopodobna jak to, że psom wyrosną skrzydła. Wymagałoby to nagrania szczekania Frey i zabicia lub unieszkodliwienia wszystkich trzech zwierząt, żeby potem powtarzać zarejestrowane szczekanie na głośnikach o niemal doskonałym dźwięku. Przewrócił się na plecy, żeby przyjrzeć się gałęziom powyżej furgonetki. Nie znalazł żadnej ambony myśliwskiej ani uczepionych niej snajperów.

Więc co?

Podniósł ramiona i zerwał osłonę z listowia. Kiedy wstał, wszystkie trzy psy wpatrywały się prosto w niego. Freya zaskomlała. Okrążywszy samochód, podszedł do drzwi po przeciwnej stronie i odsunął je. Psy przysunęły się bliżej.

Wciąż stojąc na zewnątrz, z zaciekawieniem przyjrzał się ich pyskom i szepnął:

- *Hva vik hóra?* - Wtedy zauważył migającą na desce rozdzielczej bursztynową kontrolkę oleju. Skinął głową. Nie szkolił jej, żeby zwracała uwagę na zapaloną lampkę, ale ucieszył się, że w jakiś sposób wiedziała, że to ważne.

- *Góð stelpa.* Dobry piesek - pochwalił ją z entuzjazmem, żeby pokazać, jak mu zaimponowała. Poglaskał ją po pysku, potem po głowie, karku i pod brodą. Thor i Erik przyglądali się obojętnie. Byli starsi niż Freya i bardziej pewni swojego miejsca w jego sercu. I tak podrapał ich po głowach i pochwalił - dobry piesek - zanim popchnął wszystkie trzy na tył furgonetki.

Odgarnął na bok przeróżne śmieci leżące na podłodze. Sięgnął pod samochód, odnalazł i przycisnął guzik otwierający ukryty schowek. Odkoczył ruchomy panel w

podłódze. Olaf podniósł go i podparł.

Delikatnie wyjął dwa aluminiowe nesesery i postawił na ziemi. Opuścił podłogę z powrotem na schowek i rozłożył przed drzwiami turystyczne krzeselko. Nesesery ułożył jeden przy drugim w furgonetce, wstukał kod na klawiaturze i zwolnił zamki. Uniósł pokrywy i zasiadł naprzeciw stacji komunikacyjnej, która technologicznym zaawansowaniem nie ustępowała stanowiskom dowodzenia jakiegokolwiek armii. Migająca kontrolka nie miała nic wspólnego z poziomem oleju w skrzyni korbowej ani ze stanem silnika. Podłączył ją, by sygnalizowała pilne komunikaty od jego rozkazodawców. Innymi słowy działała jak tajny pager i Olaf właśnie został wezwany.

*

Łomotanie do drzwi pokoju hotelowego Brady'ego nie ustawało. Odłożył na nocny stolik akta morderstw, którymi był pochłonięty, wciągnął spodnie i pobiegł do drzwi. Alicia tryskała dobrym humorem, podskakiwała na czubkach palców, rozciągając usta w szerokim uśmiechu.

- Brady - zaczęła - właśnie znów rozmawiałam z Gilbrethem. Zgodził się, żebyśmy pojechali do Nowego Jorku sprawdzić trop ojca McAfee.

Zauważył, że jest kompletnie ubrana, i spojrzał na zegarek.

- Zadzwoił do ciebie o tej porze?

- Cóż... To ja zadzwoniłam do niego. - Wzruszyła ramionami. - Obudziłam go, ale gdy mnie w końcu wysłuchał...

- Musimy jechać?

- Nee - odparła przeciągle. - A nie chcesz?

- Nie.

- Oboje potrzebujemy aresztowań. To jedyna droga, by się posuwać naprzód.

- Baw się dobrze. - Wyszczерzył zęby i pchnął drzwi, zamykając je.

35.

Siedząc naprzeciw dwóch aluminiowych neserów, Olaf przygotowywał się, żeby zadzwonić do domu.

Prawa walizka zawierała radiostację Motoroli z wewnętrznym systemem zasilania i słuchawkami. Lewy neser mieścił komputer Apple. Oba urządzenia połączył kablem wstążkowym i odchylił monitor laptopa. Następnie z tyłu walizki z radiostacją wyciągnął składaną antenę satelitarną, umieścił ją na dachu samochodu i przytwierdził do metalu za pomocą podstawy z przyssawką. Spoglądając w górę, zobaczył gwiazdy patrzące na niego pomiędzy konarów drzew. Był przekonany, że antena ma wolną drogę do satelity komunikacyjnego, który krążył niewidoczny w górze, fałszywej gwiazdy, którą w dzisiejszych czasach doceniano bardziej niż prawdziwe. Dla Olafa był to symbol tych czasów: technologia zastąpiła niebo, ludzie otaczali ją kultem, bo dawała im telefony komórkowe i HBO, zamiast czcić bogów, którzy dali im życie.

Gdyby to od niego zależało, Olaf w zaawansowaniu technologicznym nie posunąłby się dalej niż do prowadzenia volkswagena minibusa z 1974, a i to tylko na wyraźne polecenie. Nie był takim ignorantem, żeby nie widzieć zalet natychmiastowej komunikacji, zdobywania większej liczby informacji w krótszym niż kiedykolwiek czasie dzięki sieciom komputerowym, przechowywania danych na dysku wielkości wafla. Nie był po prostu przekonany, czy dla technologii warto ryzykować utratę rzeczy, które zabijała: wiedzy pochodzącej z doświadczenia, a nie z klepania w klawiaturę, obejmowania przyjaciół po długiej podróży, przekazywania z ust do ust opowiadanej historii. Może prawdziwymi ignorantami byli właśnie ci, którzy nie rozumieli ceny, jaką trzeba zapłacić za postęp.

Kiedyś narzekał, że musi się uczyć używać radiostacji satelitarnej, wytłumaczono mu jednak, że wróg jest liczny, a ich niewielu. Rozsądek nakazywał wykorzystanie wszelkich możliwych środków, aby zyskać przewagę.

- Pozwolą ci szybciej wrócić do domu - wyjaśnił człowiek, który przyniósł gadzety razem z rozkazami dla Olafa oraz zadaniami dla innych wojowników z jego plemienia. Mężczyzna ów, szczupły Albańczyk imieniem Arjan o przenikliwych oczach i żyłastych ramionach, trzymał w dłoni coś, co wyglądało jak zabawkowy pistolet. Nazywał go taserem, który „obezwładnia, ale nie zabija”.

- Takie coś już mam - odparł Olaf, podnosząc zaciśniętą pięść wielkości bochna chleba. Jego ziomkowie potwierdzili ze śmiechem.

- Może chciałbyś zobaczyć demonstrację? - spytał Arjan.

Olaf podniósł się z podłogi siłowni.

Znów rozległ się śmiech, przechwałki i okrzyki zachęty.

Arjan włączył paralizator, a urządzenie zabręczało, potem dźwięk przeszedł w przeciągły pisk i ustał, kiedy przekroczył granicę słyszalności dla ludzkiego ucha.

Chociaż Olaf nie znał możliwości urządzenia, ten odgłos go zaniepokoił. Stał jednak naprzeciwko rywala. Był tylko kilka centymetrów wyższy od Arjana, ale przeciw żyłastej muskulaturze Albańczyka Olaf miał siłę potężnych mięśni.

Skrzyżowali spojrzenia, po czym Arjan zmierzył go wzrokiem.

- Taser zadziała nawet przez twoje grube ubranie - powiedział. - Odsuń się trochę. Ma zasięg do sześciu i pół metra.

Olaf odwrócił się, ale nie zrobił kroku. Zamiast tego zatoczył pełne koło, wykorzystując ruch dla nabrania prędkości. Wyprowadził cios i uderzył z boku pięścią w twarz Arjana. Rozległ się odgłos podobny do stuku kamienia o kamień. Górna połowa ciała Arjana poszybowała w dół, a jednocześnie nogi zaczęły się unosić. Przez moment zdawał się lewitować zwrócony twarzą do podłogi, aż w końcu upadł bezwładnie na deski z głuchym łomotem. Taser wypadł mu z ręki.

Olaf spoglądał na nieruchome ciało.

- Jeśli ma taki zasięg - odezwał się z uśmiechem do przyjaciół - to dlaczego mi dał tak blisko podejść?

Po tym zdarzeniu Arjan zgodził się ograniczyć ingerencje w ich styl życia do najniezbędniejszych urządzeń komunikacyjnych i środków transportu.

- Po prostu wykonaj zadanie - poinstruował Olafa, patrząc na niego ze złością.

Olaf uśmiechnął się na wspomnienie tamtego dnia i opadł na oparcie krzesła. Radiostacja składała się z wtyczek, przełączników, tarcz, klawiatury numerycznej i bogatego asortymentu kolorowych lampek - wszystko to rozmieszczone było w czterech czarnych skrzynkach. Olaf podłączył zasilanie, ustawił częstotliwość, znalazł ustalony kanał satelitarny, podał pierwotny kod szyfrujący, potem wtórny kod szyfrujący - oba również ustalone wcześniej - i swój numer wywoławczy. Wcisnął przycisk, wysyłając te informacje do niskoorbitującego satelity, który prześle je do następnego i jeszcze jednego, aż sygnał dotrze do satelity przelatującego 780 kilometrów ponad radiostacją transmitującą korespondujące dane. Trwało to około pięciu sekund.

- *Hvar er salernið?* - odezwał się wyraźny głos w słuchawkach.

Zmarszczył brwi. Kto wymyślał te hasła? Gdzie jest toaleta? Rozumiał konieczność weryfikacji słownej, ale czy musiała być tak szczeniacka? Odpowiedział po islandzku:

- Dlaczego pytasz?

- Chyba żartujesz!

- Toaleta jest w Kolorado.

Mężczyzna po drugiej stronie roześmiał się.

- No to chyba nie dotrzymam. Dobrze słyszeć twój głos.

- I twój też, Ottarze. - Z uśmiechem przysunął się bliżej do urządzenia. - Widziałeś się z Ingun? Powiedz, że ma się dobrze.

- Nie daje mi spokoju. Koniecznie chce z tobą porozmawiać.

Uśmiechnął się szerzej.

- A moi synowie?

- Jon jest jak nowo narodzony cielak, nie odstępuję mamy na krok. A Bjorn ciągle szuka kłopotów.

To jego chłopcy, dobrze ich podsumował. Chciał oduczyć Jona tej zależności od matki i pomóc Bjornowi zamienić ciekawość i nieodczuwanie strachu w odwagę. Bardzo chciał być z nimi, ale jednocześnie poświęcenie bliskości rodziny sprawiało, że jego zwycięstwa tutaj smakowały jeszcze lepiej. Może taka właśnie była natura tej ofiary, że ponosiła ją nie tylko ty, ale również wszyscy, których kochasz i którzy kochają ciebie. Poświęcenie z natury swojej jest miłością, a miłością dzielisz się z innymi.

- Olaf... jesteś tam...?

Potrząsnął głową. Od dziecka szkolono go na wojownika. Broń, podstęp, przetrwanie, zdobycie celu, ucieczka. Dlaczego nie przygotowano go lepiej na rozłąkę z rodziną?

- Mów - rzucił.

- Arjan przesyła wiadomość. Masz nowe zadanie.

W ten sposób Arjan zrewanżował się za potężny cios Olafa. Jego ostatnim zadaniem było zabić, szybko i bez przestojów, wszystkie osoby z listy pięćdziesięciu nazwisk. Arjan podkreślał wagę tej misji dla wprowadzenia nowego porządku czy też przywrócenia starego, jak chciał Olaf.

- Nie rozumiem - powiedział. Sięgnął ponad aluminiowymi neseserami po kartkę z nazwiskami i danymi biograficznymi ofiar.

- Nowe zadanie ma najwyższy priorytet - dobiegło go rzeczowe zapewnienie Ottara.

Olaf rozwinął listę. Zdążył skreślić tylko sześć nazwisk.

- Czy to... przeze mnie? - Niechętnie poruszał temat porażki, ale musiał wiedzieć. - Ottar, czy zrobiłem coś nie tak jak trzeba?

- Nie, nie, nie. Arjan kazał ci przekazać, że dobra robota, świetnie i wszystko poszło zgodnie z planem.

Zgodnie z planem? Jego dezorientacja rosła. Dano mu pięćdziesiąt nazwisk. Zostało jeszcze czterdzieści cztery.

- A co z resztą? Z innymi nazwiskami na liście?

- Zapomnij o nich. Tak powiedział Arjan: „Zapomnij o nich”.

Olaf przesunął palcami po literach nazwiska Trevora Wilsona, jakby dotykał samego chłopca. „Zostałeś ułaskawiony, paniczku Trevorze”. Żyj dobrze, pomyślał.

- Nie zrozumiałem - powiedział Ottar, a Olaf zdał sobie sprawę, że wymówił to na głos.

- Nic. Co to za zadanie?

- Prześlę ci.

- Zrób to, Ottar. Wyłączam się.

- Czekaj, Olaf. Arjan kazał ci powiedzieć, że dwa kolejne cele się przemieszczają. Jeśli opuszczą obecne miejsce, które jest blisko ciebie, powiadomimy cię i załatwimy transport.

- Rozumiem. - Transport oznaczał prywatny odrzutowiec. Szesnaście dni wcześniej Gulfstream wysadził go w Utah. Jak inaczej mógłby podróżować, wyglądając w ten sposób i z psami?

- Niech bogowie będą z tobą, Olaf.

Zdarł z głowy słuchawki, żeby ochronić uszy przed przeklętym piskiem przekazu danych. Na ekranie laptopa zaczęły się pojawiać dwie kolorowe fotografie. Poziome linie pikseli biegły od lewej do prawej, potem z góry do dołu. Lewe zdjęcie przedstawiało kobietę o kocich rysach. Zadarty nos, zielone oczy w kształcie migdałów. Atrakcyjna, jeśli się takie lubi. Olaf wołał kobiety o pełniejszych kształtach. Miały więcej seksapilu. Mężczyzna po prawej miał ciemne włosy i zamyślonę, zielone lub orzechowe oczy.

Odchylił się na oparcie krzesła. Fotografie skończyły się ładować. Teraz pod każdą z nich pojawiały się informacje o osobach. Czwarta linijka, poniżej nazwisk i opisu zewnętrznego, sprawiła, że uniósł brwi. Wpisano w niej zawód - ten sam dla obojga - i Olaf skinął głową z uznaniem.

Brzmiał on: „Agent specjalny, Federalne Biuro Śledcze”.

CZEŚĆ II

WIRGINIA

I

NOWY JORK

*Umysł człowieka jest tak ukształtowany,
że daleko bardziej podatny jest na kłamstwo niż na prawdę.*

Erazm z Rotterdamu

*Nie mogłam stanąć i czekać na Śmierć -
Ona sama mnie podwiozła - uprzejma.*

Emily Dickinson

36.

Gdyby nie pani Pringle, Brady zakradłby się do swojego domu niczym cień.

Odkąd Zach miał trzy czy cztery lata, ilekroć Brady wracał do domu z podróży, zabawa w chowanego zaczynała się, zanim postawił stopę na frontowym ganku. Mówił Zachowi, o której ląduje na lotnisku Ronalda Reagana, i to wszystko. Nie wiedział, czy Zach już wtedy zaczynał się chować, czy obliczał czas jego dojazdu z lotniska, czy też wypatrywał go przez okno. (Zapytał kiedyś o to Karen, ale spuściła tylko skromnie oczy i rzekła: „Nie powiem”). Jednak za każdym razem, gdy wracał do domu, Zach był schowany. I dzieciak był w tym naprawdę dobry. Wciskał swoje niewielkie ciało w najciaśniejsze zakamarki i potrafił tak tkwić, nie wydając dźwięku, dopóki Brady albo go nie znalazł, albo nie poddał się, co zwykle następowało po trzech kwadransach intensywnych poszukiwań.

Nagrodą był obiad w restauracji wybranej przez Zacha. Kiedy ta zabawa się zaczęła, wybór padał na McDonalda. Ostatnio było to Olive Garden. Jeśli Brady znalazł Zacha, szli na partyjkę minigolfa, co sprawiało Brady’emu większą frajdę niż Zachowi. Teraz Brady’emu rzadko dane było grywać w golfa.

Trzy lata temu pojechał do Los Angeles, by pomóc w śledztwie. Gdy powrócił, szukał od piwnicy aż po strych. Zachęcany przez Karen, szukał dwie godziny, aż w końcu się poddał.

Karen zaprowadziła go do piwnicy, gdzie odsunęła fałszywą ściankę, za którą ukazał się mały pokój, a w nim Zach. Ich bliski przyjaciel Kurt Oakley już dawno chciał zbudować pokój-kryjówkę dla Zacha - wcześniej zrobił podobny dla swoich trzech chłopaków i byli zachwyceni. Kiedy usłyszał o zabawie, nalegał, by zbudować taki pokój, kiedy Brady’ego nie będzie.

Brady protestował, twierdząc, że nie spędził w piwnicy wystarczająco dużo czasu, by znać dokładny rozkład pomieszczeń. Poza tym ściana była doskonale zamaskowana makatką z łodzią wiosłową oraz pustymi pudełkami po proszkach do prania i butelkami po środkach czyszczących przytwierdzonymi do rozsuwanych ścian tuż przy podłodze. Pomysł był genialny w swej prostocie. Ostatecznie Brady uznał swoją klęskę i zabrał wszystkich - włączając w to Kurta, jego żonę Kari i ich synów - do Red Lobster, gdzie świętowali rzeczywiście po królewsku.

Zach często korzystał z kryjówki. Bawił się w niej, spędzał czas sam ze sobą albo chował się przed nieświadomymi niczego kolegami, ale już nigdy nie ukrył się tam przed Bradym. Mimo to Brady zawsze ją sprawdzał, wiedząc, że dzień kiedy tego nie zrobi, będzie dniem, w którym Zach ponownie się tam schowa.

Kiedy Brady, pierwszy raz wracając i rozpoczynając polowanie, zastał w domu panią Pringle (było to sześć miesięcy po śmierci Karen), opiekunka dostrzegła go skradającego się po schodach. W jej słabnących oczach był zaledwie nikłym cieniem. Zaczęła krzyżeć, wołając sąsiadów, i złapała się za serce. Brady myślał, że to koniec pani Pringle - jeśli nie jej życia, to na pewno pracy jako opiekunki Zacha. Przyszła jednak do siebie zadziwiająco szybko i kazała mu obiecać, że w przyszłości będzie ją uprzedzał o swoim powrocie.

Teraz więc, po otwarciu drzwi kluczem i zdjęciu butów w wyłożonym drewnem hallu, odszukał panią Pringle, która właśnie oglądała Entertainment Tonight w gabinecie i odchrząknął. Wzdrygnęła się lekko, posłała mu matczyne spojrzenie i skinęła głową.

Pół godziny później była już gotowa do wyjścia, a on wciąż nie znalazł Zacha.

- Koniec zabawy! Wygrałeś! - zawołał stojąc w hallu. - Zach! Pani Pringle chce iść do domu. Wygrałeś!

Popatrzył bezradnie na opiekunkę, która spojrzała na niego znacząco i skinęła do kogoś za jego plecami.

Odwrócił się i zobaczył Zacha w korytarzu prowadzącym do kuchni, z najśladszym uśmiechem na twarzy.

- Gdzie byłeś tym razem? - spytał Brady.

- Nie powiem. - Jego głos brzmiał zupełnie jak głos Karen.

Brady rozpostarł ramiona, a Zach od razu się w nie rzucił.

- Chyba spróbuję dziś makaronu z sosem serowym - poinformował go Zach.

- Olive Garden?

- Jasne.

Po tym, jak odwieźli panią Pringle, ale zanim oddali się kulinarnej perfekcji w mniemaniu Zacha, ojciec i syn odwiedzili żonę i matkę. Mogiła na wzgórzu Mt. Olivet, gdzie Karen była pochowana, była jednym z tych niezwykłych miejsc, w których każdy chciałby któregoś dnia spocząć. Dla większości ludzi jednak bardziej prawdopodobnym scenariuszem było, że ich ciała spędzą wieczność na placu wielkości boiska piłkarskiego, w kwaterze numer C-10, pośród tysiąca identycznych grobów. Karen miała skromną polisę ubezpieczeniową. Większość pieniędzy poszła na wykupienie dwóch przyległych parcel w mniej rozwiniętej części cmentarza, pod stuletnim dębem, o który zarządcy na piśmie zobowiązali się dbać i

nigdy nie ścinać. Brady wypisał czek na 60 tysięcy dolarów, czyli niemal dwa razy więcej niż wynosiła cena innych mogił.

Ilekoć odwiedzali grób, Brady myślał, że to dobrze wydane pieniądze. Był położony z dala od krzątających się żałobników, od szeregów wykopanych dołów na terenie starszych i popularnych „wspólnot”. Tak zarządca nazywał różne rejony swojej nekropolii, jakby budował osiedla dla powiększających się rodzin. W pewnym sensie może tak było. Z dala od tego wszystkiego Zach mógł spędzać czas z mamą. Mógł mówić, śpiewać, szlochać i leżeć na jej grobie. Najczęściej robił wszystkie te rzeczy. Kiedy Brady odwiedzał grób bez syna, robił to samo.

Dziś wieczór Zach usiadł przed nagrobkiem z marmuru w kolorze zgaszonego rózu. Z jednej strony prostokątnego kamienia ciągnącego się na szerokość obu parcel znajdowało się duże, wypukłe serce. To była lewa strona, strona Karen. Po przeciwnej, gdzie kiedyś miał spocząć Brady, stała okazała rzymska waza z otworem na kwiaty u góry. Brady uznał, że spodobałaby się Karen.

Zach, siedząc, śledził otwartą dłonią wyryte słowa:

UKOCHANA ŻONA I MATKA, SIOSTRA I CÓRKA
KAREN ANNE MOORE

Poniżej wypisane były daty urodzin i śmierci Karen. Zarówno Brady, jak i Zach unikali czytania ich. Ten krótki odcinek czasu miał w sobie coś zbyt ordynarnego i ostatecznego. Daty uświadamiały im boleśnie, że płyną dalej z rzeką czasu, podczas gdy ukochana osoba została z tyłu, malejąc w oddali, choćby nie wiem jak się starali nie spuścić z niej oka. Pod datami widniał jej ulubiony fragment z Biblii:

RADUJCIE SIĘ ZAWSZE W PANU;
JESZCZE RAZ POWTARZAM: RADUJCIE SIĘ!
- LIST DO FILIPIAN 4,4

- Nieco dziwny cytat na nagrobek - zauważył, gdy kiedyś powiedziała mu, że chciałyby mieć takie epitafium.

- Wcale nie! Bóg jest dobry, więc kiedy w końcu się z Nim spotkam, na pewno będę się radować. Mam nadzieję, że ty też.

- Kiedy ty się z Nim spotkasz czy ja?

- I to, i to, ale miałam na myśli siebie.

- Marne szanse, żebym miał się wtedy radować, chyba że odejdę wcześniej.

- Spójrz jak bardzo Bóg chce, żebyśmy się cieszyli. To jest powiedziane dwa razy. „Jeszcze raz powtarzam”.

- Czy możemy pomówić o czymś innym?

Zlecenie grawerowi, by na jej nagrobku wyrył te słowa to jedna z najcięższych rzeczy, jakie przyszło mu zrobić. I wtedy, i teraz, niewiele było radości.

Z miejsca gdzie stał, jakieś dziesięć kroków z tyłu, słyszał, jak Zach po cichu opowiada mamie o szkole, o fajnej książce, którą czyta, o koledze, który dokucza mu na treningu futbolu, i o tym, jak mu się postawił. Brady wiedział, że Karen teraz tuliłaby syna do siebie, gładząc palcami kosmyki włosów, i mówiła mu: „To bardzo ciekawe!” i „Jestem z ciebie bardzo dumna!”. Kto wie, może w tej chwili właśnie to robiła.

Położył ręce na biodrach i dotknął telefonu komórkowego przytroczonego do paska. Zupełnie o nim zapomniał. Odpiął go i zaczął stukać w przyciski, aż nastawił go na tryb wibracji. Nic tak nie psuło cichych chwil, jak dzwonek komórki.

Pozwolił chłopcu jeszcze posiedzieć samemu przez kilka minut, a potem usiadł obok. Zach dotknął palcem wskazującym literę U w słowie UKOCHANA. Brady położył na nim swój palec. Razem przemierzali wszystkie litery fragmentu z Listu do Filipian. Jak zwykle opuścili daty.

37.

Korzystając z mapy znalezionej w internecie, Alicia przemierzyła wypożyczonym dodge'em statusem trasę od lotniska LaGuardia do zaśmieconego parkingu obok kościoła pod wezwaniem św. Antoniego Egipskiego przy Trzydziestej Piątej Alei. Jej ograniczona znajomość zarówno Nowego Jorku, jak i domów Bożych kazała jej oczekiwać potężnej budowli bogato zdobionej płaskorzeźbami, z rozetowymi oknami i ciężką drewnianą bramą przypominającą rufę hiszpańskiego galeonu. Ale temu kościołowi daleko było do katedry św. Patryka. W porównaniu z nią był dość mizerny. Kamienny budynek w tradycyjnym kształcie kościoła miał schody wiodące do podwójnych drzwi, tylko nieznacznie większych niż w domu mieszkalnym, i iglicę z dzwonnica. Na obu bocznych ścianach rozmieszczone były wąskie witraże.

Dwanaście metrów od kościoła stał dwukondygnacyjny, ceglany budynek z brudnymi oknami. Nigdzie nie było widać wejścia. Pomiedzy budynkiem a kościołem, nieco dalej od ulicy, biegł wysoki mur z kamieni imitujących elewację kościoła, jednak na oko znacznie nowszy. Przestrzeń między murem a chodnikiem pokrywała wyschła trawa. Płyty chodnikowe wcinały się zakrzywioną ścieżką od stóp schodów kościoła do bramy z drewna i żelaza mniej więcej pośrodku muru. Przechodząc przez tę bramę, Alicia wkroczyła do zupełnie innego świata.

Dziedziniec mógłby posłużyć za plan do filmu o wampirach, jakie wytwórnia Hammer robiła w latach siedemdziesiątych, z pochmurnym niebem, upiornym lasem i wyciem stworów w oddali. Nagie gałęzie wierzby zwisały jak pułapka czekająca na intruza. Półmrok zamieniał się tutaj w ciemność nocy, a powietrze było o kilka stopni chłodniejsze. Grupa warstwa brudu i liści pokrywała stół i rozstawione wokół niego metalowe krzesła. Alicia potarła ramiona. Ceglany budynek widoczny z zewnątrz i dwa inne zamykały dziedziniec z trzech stron. W ścianie jednego z nich, po lewej stronie od bramy na podwórzu, bezpośrednio za kościołem znajdowały się drzwi opatrzone rzeźbioną drewnianą tabliczką z napisem:

PROBOSTWO

OJCIEC DUNCAN MCAFEE

Weszła na betonowy podest przed drzwiami i przycisnęła podświetlony guzik. W głębi

rozległ się dźwięk dzwonka. Chwilę później rozbłysło światło na werandzie. Otworzyły się małe drzwiczki umieszczone w drzwiach na wysokości wzroku. Alicia widziała przez nie jedynie ciemność.

- Dzień dobry? - odezwała się.

Gdzieś wewnątrz zamknęły się drzwi i zapaliło się światło, ukazując naprzeciw niewyraźne kontury pokoju dziennego. Przysunęła się bliżej. Nagle pojawiła się twarz. Przez otwór widać było tylko szeroko rozstawione czujne oczy i orli nos.

- Słucham? - rozległ się rozdrażniony głos.

- Ojciec McAfee?

Nie odpowiedział od razu.

- To pani otworzyła te drzwiczki? Nie były zamknięte na zasuwę?

- Otworzyły się same po tym, jak zadzwoniłam. Ale nie widziałam nikogo, zanim ojciec nadszedł. - Kiedy to mówiła, jego twarz odsunęła się. Poznała, że rozgląda się wokół. Zaczynał ją przerażać. - Czy coś się stało?

Twarz pojawiła się znowu.

- On nas obserwuje. Musi pani stąd odejść.

- Kto nas obserwuje? Czy potrzebuje ojciec pomocy?

- Skądże. Kim pani jest? Czego pani tu szuka?

Podniosła swoją legitymację FBI.

- Jestem z FBI. Agentka specjalna Alicia Wagner. Wczoraj wieczór rozmawialiśmy przez telefon.

- Chodzi o NDE? - Zmarszczył siwe brwi. - Mówiłem, że nie mogę pani pomóc.

Przysunęła się o krok.

- Kiedy miała miejsce ta kradzież, o której ojciec wspominał?

- Kradzież? Pytała pani przecież o doświadczenia bliskie śmierci, potrzebowała pani informacji do śledztwa.

- Moje śledztwo i sprawa tej kradzieży mogą się łączyć.

- Jak to?

- Czy mogę wejść?

Rozejrzał się jeszcze raz. Bez słowa zatrzasnął drzwiczki. Minęła długa chwila ciszy. Alicia zastanawiała się, czy jeszcze dzisiaj zobaczy ojca McAfee. Westchnęła. Musi chyba zdawać sobie sprawę, że nie może się przed nią bez końca ukrywać. Kościół przecież na pewno był otwarty w ciągu dnia. Wróci rano i go przesłucha, czy mu się to podoba, czy nie. Odwracała się właśnie, gdy nagle usłyszała odsuwanie rygła, po czym drzwi się otworzyły.

Wygląd ojca McAfee ją zaskoczył. Przypominał starzejącego się gwiazdora filmowego. Bystre niebieskie oczy osadzone były na opalonej twarzy. Miał muskularną szczękę i dołeczek w brodzie. Całość dopełniały głębokie podłużne wgłębienia po obu stronach ust. Zmarszczki mimiczne wokół kącików oczu dodawały jego twarzy wyrafinowania, którego zapewne jej brakowało w młodszym wieku. Mimo sześćdziesiątki miał więcej czarnych niż siwych włosów i pełną, niemal bujną fryzurę. Siwe wąsy zdobiły policzki i brodę. Cienie podkreślały oczodoły i wgłębienia na policzkach. Był wysoki, miał na oko około metra dziewięćdziesiąt. Nie wyglądał na kogoś, kto się boi byle czego. Ubrany był w czarne spodnie i czarną, zapinaną na guziki koszulę z krótkim rękawem. Bez koloratki.

Odsunął się, robiąc dla niej przejście.

- Dziękuję - powiedziała. Jedyne światło pochodziło z korytarza poza pokojem dziennym, który widziała przez drzwiczki.

- Nie wiem, co sobie pani obiecuje po tej wizycie - rozpoczął, zamykając i ryglując drzwi.

- Gdyby mógł ojciec zacząć od...

Uciszył ją ostrym „ciiii!” i przyłożył do ust palec wskazujący. Bez słowa lub jakiegokolwiek gestu wszedł do oświetlonego korytarza. Poszła za nim, przeszli przez ciemny pokój, który wyglądał na bibliotekę, do innego korytarza. Jego głowa nieustannie obracała się to tu, to tam, jakby szukał schowanego dziecka. Poprowadził ją przez drzwi do gabinetu. Meble z ciemnego drewna ustawione były na ciemnej drewnianej podłodze. Gdzieś paliło się kadzidło, rozchodził się zapach morwy albo innej słodkiej rośliny. Nie do końca zdołał zamaskować nieprzyjemną woń, której Alicia nie umiała określić.

Książd okrążył biurko i opadł na fotel obity popękana skórą w kolorze burgunda. Na biurku paliła się lampa z abażurem o barwie bursztynu. Na przybrudzonej ścianie widniało puste miejsce po obrazku lub zdjęciu o powierzchni około jednej czwartej metra kwadratowego.

Obejrzała resztę pokoju. Dwie na oko bardzo stare lampy rozstawione na stolikach po obu stronach skórzanej sofy pod kolor fotela dodatkowo oświetlały pokój, nadając mu jednocześnie przytulny wygląd. Na ścianie nad sofą wisiał ogromny obraz przedstawiający starego człowieka z brodą w brązowej szacie i czapce. W ręku trzymał laskę, którą odpędzał jakiegoś ohydneho latającego stworza, pół-człowieka, pół-smoka. Z długiej twarzy przypominającej pysk zwierzęcia sterczały czerwone wylupiate oczy, kły ociekały śliną, a pazurzaste dłonie wznosiły się nad laską, jakby kreatura wyczuwała jej moc. Twarz mężczyzny była spokojna, niemal rozanielona, mimo że potwór wyraźnie chciał go zniszczyć.

- To święty Antoni Egipski - wyjaśnił ojciec McAfee. - Był pustelnikiem. Mawiają, że był często atakowany przez demony. Słowo Boże wyгнаło je z powrotem do piekła.

- Jego twarz...

- Wygląda, jakby się opalał na plaży, a nie bronił przed potworami. Wiara w Boga daje spokój w czasach chaosu. - Ton jego głosu był beznamiętny, jakby myślał o czymś innym.

Odwróciła się do niego.

- Wydaje się, że ojciec w to nie wierzy.

- Ależ wierzę. Nie mam wątpliwości. - Spojrzał na swoje paznokcie. - Ten poziom wiary jest dany niewielu. - Zerknął na obraz i jakby złość wyostrzyła mu rysy. Po chwili spytał: - Więc w czym sądzi pani, że mogę jej pomóc?

Alicja przysiadła na szerokim podłokietniku sofy, wyjęła z kieszeni marynarki nieduży notes i odnalazła stronę z pytaniami.

- Przez telefon powiedział ojciec, że włamano się do kościelnego biura i skradziono akta jakieś trzy tygodnie temu. Czy pamięta ojciec dokładną datę?

- 20 kwietnia.

- Czy zgłosił ojciec włamanie?

- Już pani mówiłem, że tak. I nikt nie chciał mnie słuchać.

- Kto spisał raport?

- Nowojorska policja oczywiście.

- I nie było śledztwa? Nie szukali punktu wejścia i wyjścia, nie zdjęli...

- Nie zrobili nic! - odwarknął. Oparł łokcie na blacie biurka i rozłożył ręce w geście frustracji. - Bardzo tępa z pani osoba!

Ich spojrzenia skrzyżowały się. Nie ustąpiła pod naporem jego wzroku. Po dobrych trzydziestu sekundach zadrgał mięsień po prawej stronie jego twarzy. Poruszał się jak pasożyt pod skórą od miejsca pod okiem do górnej wargi. Zdała sobie sprawę, że mężczyzna zaraz wybuchnie płaczem.

Ukrył twarz w dłoniach i powiedział:

- Przepraszam. Zwykle nie jestem taki... taki obcesowy. Nie spałem dłużej niż dwie godziny na raz od dwóch tygodni. Nie jem. Ja... ja...

Alicja rzuciła notes i długopis na sofę, podeszła do biurka i wyciągnęła rękę. Kiedy palcami dotknęła jego skroni, podskoczył, ale nie podniósł twarzy.

- Co się ojcu stało? - Zawahała się przez moment. - Teraz jestem przyjacielem, nie policjantem, a naprawdę potrafię słuchać.

Podniósł głowę. Z tak bliskiej odległości zobaczyła, jak bardzo był zmęczony. Sine fałdy skóry zwisały pod oczami niczym draperie. Czerwone żyłki rozchodziły się od kącików oczu do źrenic jak prąd elektryczny. Cerę miał bladą i suchą jak łupina cebuli.

Westchnął ciężko i wydawało się, jakby ktoś spuścił z niego powietrze. Potrząsnął głową.

- Wiem, kto się włamał - oznajmił. - A przynajmniej kto zlecił kradzież.

- Ktoś zlecił włamanie? - Chwyła go za ramię, czując ostre kości pod koszulą.

- Ksiądz z Watykanu, ojciec Randall, Alberto Randall. - Nie potrafił ukryć odrazy w głosie.

- Nie rozumiem.

- Witamy w klubie - zaśmiał się sucho. - Przyszedł tu, twierdząc, że reprezentuje Tajne Archiwum Watykańskie.

- Tak się nazywa? Tajne?

- Tak, L'Archivio Segreto Vaticano. Jest tajne nie dlatego, że nikt o nim nie wie, ale ponieważ jest zamknięte dla dziennikarzy i wszystkich innych poza nielicznymi uprzywilejowanymi badaczami. Tajna jest jego zawartość.

- Czego chciał ojciec Randall?

- Pogratulował mi, powiedział, że moje akta zostały uznane za Magnipensa scripta conservanda. Tym terminem określa się dokumenty i pisma ważne dla Kościoła: listy apostołskie świętego Franciszka z Asyżu, Enchiridion symbolorum, czyli wykaz doktryn, tego typu rzeczy. A teraz Stolica Apostolska chce włączyć w ten szacowny zbiór również moje akta, żeby je zachować i udostępnić poważnym religijnym uczonym? Uznałem, że źle się dzieje w państwie duńskim, albo raczej watykańskim, i tak też powiedziałem ojcu Randallowi.

- O jakie akta chodziło?

- Aaa... - Podniósł się, odzyskując częściowo poczucie godności dzięki wyprostowanym ramionom i wyprężonym plecami. Bezwiednie wygładzając koszulę na brzuchu i zatykając ją za pasek, podszedł powoli do drzwi po prawej stronie sofy i stolika. Otworzył je i zapalił światło w sąsiednim pokoiku o powierzchni dziesięciu metrów kwadratowych wyłożonym starymi, drewnianymi szafkami na akta, z których każda była tak wysoka jak on sam. Otworzył jedną z szuflad. Zagrzechotała na prowadnicach, po czym zatrzymała się z głuchym odgłosem. Była pusta. Wysunął kolejną, z innej szafki, na innym poziomie. Pusta. Bezradnie rozłożył ręce.

- Dzieło mojego życia - powiedział.

Weszła do pokoju i otworzyła szufladę na przeciwległej ścianie. W środku znajdował się tylko pojedynczy spinacz.

- Co tam było?

- Artykuły z gazet, notatki z wywiadów, karty szpitalne, wykresy EKG i EEG, świadectwa zgonu, dzienniki, rysunki, diagramy, zdjęcia, rękopisy... wszystko.

- Materiały do książek?

- Do dzieła mojego życia - powtórzył. - Wszystko zniknęło.

- Nie miał ojciec kopii zapasowych?

Roześmiał się i potrząsnął głową.

- Kiedy zacząłem te badania, jeszcze nikt nie słyszał o komputerach osobistych. Mam zaufanie do papieru, bo mogę go wziąć w rękę. Lubię przeglądać dokumenty i pisać ręcznie wśród morza papierów na podłodze w gabinecie. Moje książki całkiem nieźle się sprzedają, dlatego wydawca przymyka oko na tę słabość. Jeśli zaś chodzi o kserowanie... no cóż, po prostu nigdy nie przyszło mi to do głowy.

Spojrzał na szuflady z rozpaczą, z jaką patriarcha mógłby spoglądać na grobowiec przedwcześnie zmarłej rodziny.

- Więc wszystko, co zostało skradzione, dotyczyło doświadczeń bliskich śmierci? - spytała Alicia.

- Tak. Czterdzieści lat badań.

- Co było w aktach, czego nie zamieścił ojciec w książkach?

- Och, tony materiału. Wywiady z ludźmi, którzy twierdzili, że przeżyli NDE, ale których opowieści nie mogłem potwierdzić. Dużo tego było.

Oparła się o szafkę.

- W jaki sposób potwierdza ojciec doświadczenie bliskie śmierci?

- Fakty fizjologiczne to prosta sprawa. Czy są świadkowie wypadku lub ataku, kiedy doszło do zatrzymania akcji serca? Czy sporządzono dokumentację medyczną? Czy pacjent był reanimowany? Przez kogo? Jak długo serce nie biło? Czy zanotowano martwicę niedokrwioną? Stan metafizyczny jest rzecz jasna trudniej mierzalny. Szukam oznak świadczących o tym, że osoba przebywała poza swoim ciałem, a powracając do życia, posiada wiedzę, której nie powinna.

- Na przykład?

- Jeśli wie coś o tym, co działo się wokół niej, kiedy była w stanie śmierci klinicznej. Najlepiej, jeśli to wiedza, której nie można uzyskać dzięki zmysłom, czyli znajomość rozmowy prowadzonej w pomieszczeniu, nie stanowi mocnego dowodu. Ale wiedza, że

pielęgniarka zawiązała sznurówkę albo nie trafiła śmieciem do kosza to już dobry dowód. Czasem ludzie powracają ze znajomością starożytnego języka albo czegoś równie niesamowitego, ale to rzadkość. W większości przypadków nie zyskują żadnej wiedzy, którą dałoby się potwierdzić. Najlepszym dowodem jest stan umysłu osoby, kiedy powraca do życia.

- Stan umysłu? - Alicia żałowała teraz, że notes zostawiła na sofie. - Jakich oznak ojciec szuka?

McAfee uniósł brwi.

- Szukam przerażenia - odparł.

Zdezorientowana Alicia zamrugła oczami.

- Ale ja myślałam, że... wie ojciec, świetlista jasność, piękna muzyka, uczucie spokoju...

- Nie czytała pani moich książek. Większość pisarzy rzeczywiście skupia się na tak zwanych pozytywnych NDE. Przy tak żalonym braku wnikliwości nie sposób nazwać ich badaczami. Podejrzewam, że większość z tych opowieści to bzdury wyssane z palca. - Uśmiechnął się. - Widzisz, moja droga, moją specjalnością są ludzie, którzy po śmierci trafili do piekła.

38.

Kobieta była ładna. Widział to, kiedy stała na ganku, pod światło. Wpatrywała się prosto w niego przez otwarte drzwiczki, choć wiedział, że nie może go dostrzec w ciemności. Kiedy razem z księdzem przeszli korytarzem i zamknęli się w gabinecie, podsłuchiwał pod drzwiami. Po pytaniach, które zadawała, zorientował się, że to jej kazano mu wyglądać. Usłyszał, jak wchodzi do pomieszczenia na akta, i wśliznął się do gabinetu. Ksiądz wyliczał dokumenty, które mu zabrano: „...artykuły z gazet, notatki z wywiadów, karty szpitalne...”.

Mężczyzna uśmiechnął się zachwycony nutą rozpaczony po stracie, którą usłyszał w głosie księdza. Skóra na jego górnej wardze pękła. Błyskawicznym ruchem języka oblizał ją, szukając smaku krwi. Pozwolił swoim oczom spocząć na obrazie przedstawiającym mnicha i demona. To fikcja. W rzeczywistości demon pożarłby mężczyznę jednym kłapięciem paszczy.

Wycofał się do korytarza i przemykał w ciemności, pamiętając każdy zakręt, każdy mebel. Teraz to było jego królestwo. Ksiądz był zbyt przerażony, żeby oddalać się od tych kilku pomieszczeń, które były mu potrzebne: gabinetu, sypialni, łazienki i kuchni. Wkrótce zaśnie w swoim biurze, zupełnie zapomniawszy o jedzeniu i opróżniwszy pęcherz oraz kiszki do kosza na śmieci.

Kiedy wreszcie go uśmierci i upozoruje samobójstwo, napisze coś zmyślnego na obrazie. Oczywiście pismem księdza, więc nie będzie wątpliwości, że sam postanowił ze sobą skończyć. Coś w stylu: „Boże, mój Boże, czemuś mnie opuścił?”.

Zaniósł się chichotem o brzmieniu chrapliwym i zwierzęcym, jakby spiłowane na ostro zęby szatkowały jego śmiech na potworne strzępy hałaśliwego oddechu.

Otworzył drzwi, wszedł do schowka i przecisnął się obok dawno zapomnianych zniszczonych przez wodę pudeł do tylnej ściany. Oparta o nią stała sklejka. Odsunął ją na bok i poczuł lekki podmuch wpadający przez otwór w ścianie. Kiedy wszedł do probostwa po raz pierwszy, żeby się dowiedzieć, gdzie ksiądz trzyma swoje akta, natrafił na ten schowek i znalazł obluzowaną deskę w ścianie. Zaciekawiony oświetlił to miejsce latarką i znalazł schody wiodące w dół do pokoi służby. Kalendarz na ścianie wskazywał 1974 rok.

To odkrycie go zainspirowało. Ze swojej kryjówki w piwnicy mógł zapuszczać się do probostwa, by terroryzować duchownego. Mógł zaatakować - powiedzmy, niszcząc sprzęty

albo rzucając swój cień tam, gdzie ksiądz ledwo go dostrzeże - a potem wycofać się do służbówki, gdzie nikt go nie znajdzie. W ten sposób mógł przeprowadzić powolną i wykańczającą kampanię terroru. Kiedy znudzi mu się ta gra, a na pewno tak się stanie, zamorduje księdza i zniknie wśród cieni miasta. Plan był doskonały.

Poza tym kazano mu uważać na tę kobietę zadającą pytania - i na każdego, kto wykazywał więcej zainteresowania aktami oraz doświadczeniami bliskimi śmierci niż uzasadniałyby to kradzież papierów. Dlaczego nie miałby się trochę zabawić, umilając sobie czas oczekiwania?

Zszedł po wąskich schodach. Na podłodze przed rozrzuconymi kocami i brudną odzieżą płonęła świeca. Usiadł na stercie szmat, przyciągnął do siebie zniszczony worek i położył go na kolanach. Z bocznej kieszeni wyjął nowy, lśniący telefon komórkowy i otworzył klapy. Wstukał dwunastocyfrowy numer. Słuchał przez chwilę, a potem dodał jeszcze cztery cyfry.

Odezwał się głęboki, energiczny głos mówiący w obcym języku.

Mężczyzna w piwnicy probostwa zakomunikował:

- Przyjechała. - Potem tylko słuchał, szczerząc zęby w coraz szerszym uśmiechu, przez który w trzech miejscach popękały mu wargi.

39.

Ojciec Duncan McAfee gestem zaprosił Alicię z powrotem do gabinetu. Weszła i opadła na sofę, z powrotem biorąc do ręki notes i długopis.

Ojciec McAfee zgasił światło w pokoju na akta i zamknął drzwi. Miał właśnie usiąść na drugim końcu sofy, kiedy coś zwróciło jego uwagę. Podeszedł do drzwi, przez które weszli do gabinetu z korytarza.

- Nie zamknąłem tych drzwi? - spytał, wskazując na piętnastocentymetrową szczelinę między skrzydłem a framugą.

Alicia potrząsnęła głową.

- Nie wiem.

Wyszedł na korytarz, rozejrzał się w jedną i drugą stronę. Wróciwszy do gabinetu, zamknął drzwi, przytrzymując klamkę, aż zamek zaskoczył. Zajął miejsce na sofie, westchnął i przeczesał włosy palcami.

- Moi przemienieni... - odezwał się w zamyśleniu.

- Słucham?

Spojrzał na nią, jakby się dziwiąc, że wypowiedział to na głos.

- Przemienieni, tak w skrócie nazywam ludzi, którzy przeżyli doświadczenie bliskie śmierci. Cała fraza jest za długa do wymówienia. Poza tym zachodzi w nich naprawdę wspaniała przemiana, zaczynają kochać życie, ponieważ na krótki czas zostało im odebrane. - Uśmiechnął się ciepło.

Alicia poczuła się wystarczająco oczarowana.

- Mówił ojciec, że ci ludzie... ci przemienieni... trafili do piekła?

- Oczywiście nie na stałe - wyjaśnił. - Wrócili śmiertelnie przerażeni. A trzeba do nich szybko dotrzeć, bo inaczej mogą wyprzeć te wspomnienia. Są aż tak okropne. Ale jeśli porozmawia się z nimi dzień, dwa po tym, jak odkryją, dokąd zmierzają ich dusze, można uzyskać bardzo użyteczną wiedzę. Opisują żywe obrazy i uczucia. Niewielu ludzi naprawdę wierzy, że zmierzają do piekła, a jeśli nawet, to nie mają pojęcia o jego potworności. Po takim doświadczeniu wielu odnajduje Boga i oddaje Mu cześć. Inni starają się odkupić winy, karmiąc ubogich, spełniając dobre uczynki. Przechodzą najczęściej zdumiewającą zmianę w zachowaniu i postawie. Można powiedzieć, że diabelnie się przerażili.

Alicia zastanowiła się przez chwilę.

- Czy zdarza się, że popadają w obsesję na punkcie religii?

- A pani by nie popadła? Właśnie się pani dowiedziała, że nie tylko piekło istnieje, ale że ma pani do niego bilet w jedną stronę. Ale jeśli istnieje piekło, to i niebo, prawda? Więc to staje się ich nowym celem: dostać się do nieba. Do diabła z piekłem. Wyobrażają sobie niebo, czytają o nim, trzymają rzeczy, które o nim przypominają - robią wszystko tak, jak ktoś, kto zdecydowanie dąży do osiągnięcia celu. W odpowiedzi na pani pytanie - tak, wielu ludzi, którzy doświadczyli piekła, podejmuje nieco przesadne starania, żeby dostać się na drugą stronę. Uczestniczą we wszystkich mszach i nabożeństwach w swoich kościołach. Noszą krzyżyki i T-shirty z religijnymi hasłami. Kolekcjonują Biblie, niektórzy nawet czytają.

Alicia przypomniała sobie sypialnię Cynthii Loeb.

- A anioły? Czy mogą mieć obsesję na ich punkcie?

- Oczywiście, są w końcu mieszkańcami nieba - odparł. - Reprezentują miejsce, gdzie przemieniony rozpaczliwie chce się znaleźć. Chce ich mieć za przyjaciół i sąsiadów. I jeszcze jedno: rozmawiałem z kilkoma przemienionymi, którzy wyrazili silne przekonanie, że Bóg anioły wyciągnęły ich dusze z piekła i umieściły z powrotem w ciele. Wierzą, że te anioły chciały dać im jeszcze jedną szansę. Są im więc niezwykle wdzięczni. A jednym sposobem, by spłacić ten dług, jest kolekcjonowanie przedmiotów z motywem anioła: książek, ilustracji, figurek.

Cynthia Loeb, wypisz wymaluj. Ale z drugiej strony obrazki, które malowała na plastikowych koszach na śmieci, przedstawiały ognie piekielne. Podobnie jak reprodukcja Boscha w gabinecie Daniela Frearsa.

- Czy przemienieni - zaczęła - mogą łączyć fascynację niebem z zainteresowaniem piekłem?

Nie odpowiedział od razu, ale przekrzywił głowę, żeby spojrzeć na nią z ukosa, jakby lustrował ją wzrokiem, zastanawiając się, czy wie więcej niż daje po sobie poznać. Wreszcie odrzekł:

- Ta sprawa, nad którą pani pracuje... Chętnie dowiedziałbym się czegoś więcej.

- Nie mogę w tej chwili nic powiedzieć, ale będę o ojcu pamiętać, kiedy już będę mogła. Bardzo proszę, moje pytania są ważne.

Zastanowił się nad tym i skinął głową.

- Bardzo często początkowa entuzjastyczna religijność przemienionego przechodzi w subtelną świadomość własnej duszy - wyjaśnił. - Jego pasja staje się... jeśli nie wręcz podświadoma, to na pewno mocno łagodnieje. Kiedyś taki ktoś nucił piosenki Beatlesów,

teraz nuci hymny. Bezwiedne rysunki czy zapiski zaczynają skłaniać się ku tematom religii. Kiedy doświadczenie piekła cofa się w podświadomość, przemieniony może wykazywać takie samo upodobanie do wizerunków i symboliki piekła jak i nieba.

- Czy zna ojciec dzieła Hieronima Boscha, malarza?

Gdyby nie rozbawienie na jego twarzy, jego śmiech można by wziąć za donośny kaszel.

- O, agentko Wagner, trzymam panią za słowo, że naprawdę wyjawi mi pani informacje o tym śledztwie, kiedy będzie to możliwe. Bosch to ulubiony artysta przemienionych. Nie szkodzi, że piekło na jego obrazach jest mroczne i ohydne, pełne krwiożerczych demonów, które znęcają się nad ludźmi. Malowidła te wprawiają ich w dziwny, niemal hipnotyczny zachwyt. Wydają im się odpychające i pociągające jednocześnie.

Alicia spojrzała w swój notes. Korzystając z nabytej w akademii umiejętności stenografowania, notowała jedno za drugim słowa kluczowe: przemienieni, piekło, obsesja religijna - podświadome - jakiego słowa użył? - upodobanie! do przedstawień nieba/piekła, Bosch ulubiony...

Podniosła wzrok i zobaczyła, że przygląda się, jak notuje.

- Wiadomo, dlaczego Bosch jest ich ulubionym malarzem? - spytała.

- Sami przemienieni tego nie wiedzą. Pytałem ich. W momencie, kiedy natrafiają na jego dzieła, umysł zdążył już w większości stłumić wspomnienia przerażających scen, których byli świadkami. Ale Bosch jednak jakoś z nimi współgra. Podejrzewam, że sam doznał przemienienia. Na własne oczy widział demony i piekielne krajobrazy, które przedstawił na swoich malowidłach. Jego dzieła fascynują przemienionych, bo oni też to widzieli.

- Hieronim Bosch namalował to, co widział podczas swojego doświadczenia bliskiego śmierci?

- Tak sądzę, chociaż nie istnieją na to żadne historyczne dowody. Jego życie to jedna wielka niewiadoma. Wydaje się, że umyślnie chronił się przed światem. Ukrywał się nawet pod pseudonimem. Jego prawdziwe nazwisko to Jerome van Aken. Coś pani pokażę.

Podniósł się z sofy. Alicia słyszała, jak strzelają mu stawy. Otworzył szufladę biurka, wyjął ciężki album i wrócił na sofę. Usiadł z powrotem i położył między nimi książkę, obracając ją w stronę Alicii. Miała tytuł *Niebo i piekło w sztuce*. Poniżej tytułu widniało malowidło, wyraźnie autorstwa Boscha, na którym demony dręczyły ludzi na różne potworne sposoby. Otworzył książkę na zaznaczonej stronie i oczom Alicii ukazał się obraz na dwóch stronach przedstawiający jakiś religijny rytuał w, jak się zdawało, ruinach katedry. Znajdował

się tam mnich w niebieskiej szacie, kapłan odziany na złoto, w wysokim nakryciu głowy, małpa trzymająca na tacy czaszkę i wreszcie szykownie ubrana kobieta z twarzą kreta. Wokół nich płonęło miasto, a przedziwne stworzenia dosiadały zdeformowanych ryb, ptactwa i gryzoni. Alicia poczuła nadchodzące mdłości.

- To panel centralny Kuszenia świętego Antoniego - wyjaśnił ojciec McAfee.

Zerknęła na niego pytającym wzrokiem.

Skinął głową.

- Tak, to mój święty Antoni. To ten człowiek w niebieskiej sutannie. Obraz przedstawia czarną mszę, która miała wyszydzić mszę katolicką. Uczestnicy wielbili Szatana. Używali uryny zamiast krwi. Nabożeństwa często odprawiali księża, którzy zrzucili sutannę. Recytowali Pismo Święte wspak i pluli na krzyż. Na ołtarzu kładli martwe zwierzęta i odcięte ludzkie głowy. Średniowieczni wyznawcy wierzyli, że tak jak msza święta wywołuje cud przeistoczenia, czyli przemienienia wody i chleba w krew i ciało Chrystusa, tak czarna msza napelniała złem martwe ciało. Później posyłali skażone truchła i głowy swoim wrogom, żeby rzucić na nich klątwę.

Odwróciła oczy. Była to podłość oczywista nie tylko dla ludzi religijnych, nieprawość, która sprawiała, że ateści walczyli po stronie ogólnie rozumianego „dobra”.

Ojciec McAfee wskazał na jaśniejsze miejsce na ścianie, gdzie brakowało obrazu. - Przez dziesięć lat wisiała tutaj oprawiona reprodukcja tego dzieła.

- Dlaczego ktoś miałby wieszać tutaj coś tak obrzydliwego?

- Z tego samego powodu, z którego, jak sądzę, Bosch je namalował. Dla inspiracji oraz by uczyć tych, których wiara przetrzymuje zaciekle ataki pokusy. - Położył palec na czarnej mszy w książce. - Ten rytuał reprezentuje pragnienia doczesne: przyjemności ciała, odrzucenie instytucji, przedkładanie własnej woli nad wolę Boga. Ale proszę spojrzeć. Święty Antoni mocno się trzyma. Nie bierze w tym udziału. Proszę zobaczyć, modli się na klęczkach z twarzą zwróconą do oglądającego, jakby chciał powiedzieć: „Moja siła nie pochodzi z tego świata i jest potężniejsza od pokusy”.

Alicia była zdania, że podobnie jak w przypadku większości interpretacji, ojciec McAfee wpisuje w obraz własne przekonania. Widział to, co chciał.

- Przemieniony, z którym rozmawiałem wiele lat temu, znalazł tę reprodukcję i przysłał mi ją. Była przynajmniej wyśmienitym tematem rozmów.

- Teraz to widzę. Gdzie ona jest?

- Podejrzewam, że w Watykanie.

- Ta reprodukcja, która tu wisiała?

- Wątpię, żeby Museu Nacional de Arte Antiga w Lizbonie dało im oryginał, ale moja reprodukcja zniknęła razem z aktami.

- Tymi, o które prosił ojciec Randall?

- Jak mówił, dla Archiwum Watykańskiego. Stolica Apostolska utrzymuje jedną z największych bibliotek archiwalnych świata. Posiada dokumenty opisujące, jak każde, większe i mniejsze wydarzenie światowe wpłynęło na wiarę, Kościół, rasę ludzką: sojusze, traktaty, prorocstwa, nawiedzenia, egzorcyzmy, ale także sprawy codzienne: narodziny, chrzty, małżeństwa, anulowania, zgony. Od czasów Chrystusa, a nawet wcześniej. To zdumiewający zbiór wiedzy i postaw prezentowanych na przestrzeni dziejów. Randall chciał wciągnąć moje prace do tych uczonych pism. Zapowiedział, że następnego dnia przyśle ciężarówkę i ludzi do pakowania dokumentów.

- Ale ojciec mu ich nie dał?

- Skądże! Ilekroć publikuję książkę, jakiś dziennikarz kontaktuje się z Watykanem pytając o „oficjalne stanowisko” Kościoła i za każdym razem wychodzę na kogoś niespełna rozumu. Nie na tyle, żeby uzasadnić cofnięcie aprobaty, ale przekaz był jasny: ojciec McAfee ma własne cele, własne hobby. Kościoła bardzo proszę w to nie mieszać. Powiedziałem mu, że chętnie zapiszę moje dzieła Kościołowi w spadku, ale aż do mojej śmierci akta zostają tutaj.

- Jak Randall przyjął odmowę?

- Najpierw osłupiał, nie mieściło mu się w głowie, że sprzeciwiam się jego autorytetowi. Przebąkiwał coś, że uda się z tym do swojego przełożonego, kardynała, który cieszy się ogromną władzą i szacunkiem w Kościele. Właściwie kiedyś był faworytem do stolca papieskiego. Teraz jest już za stary. Powiedziałem Randallowi: „Niech do mnie zadzwoni, a powiem mu to samo, co księdzu”. Nalegał coraz bardziej, ale to oczywiście było jak walenie głową w mur. Żyły wylażyły mu na skroni. Powiedział: „Zobaczmy, co na to powie arcybiskup”, a ja na to „Bardzo proszę”. Odprowadziłem go i było po wszystkim.

- Ale to nie był koniec?

- Nie. Pracowałem tego wieczora do późna, a następnego ranka przyszedłem wcześniej. Cały dom był poprzewracany do góry nogami, a wszystkie moje akta zniknęły. Niezły zbieg okoliczności, prawda?

- Nic ojciec nie słyszał?

- Śpię na drugim piętrze, tuż nad nami. Pokój mojej gospodyni jest na końcu korytarza. Żadne z nas się nie przebudziło. Musiało ich być kilku i pracowali bardzo cicho. Żałuję, że nie złapałem tych... - Zacisnął wargi, tłumiąc nieomal wypowiedziane słowo.

Alicia poczuła, że jej umysł zwalnia obroty jak samochód z napędem na cztery koła, kiedy jedzie przez błoto albo rowy. Jeśli to włamanie miało cokolwiek wspólnego z zabójstwami Pelletier - a mimo wszystko tak podejrzewała - ojciec McAfee i jego gospodyni mieli niewiarygodne szczęście, że tej nocy się nie obudzili.

- Dlaczego nie zabrali całych szafek, jak ojciec sądzi?

Namyślał się przez moment.

- Są ciężkie jak posągi. Może ich transport na lotnisko albo do Włoch nie wytrzymałby tego ciężaru.

Brzmiało rozsądnie. Nie była gotowa przyjąć teorii o udziale Watykanu, ale jeśli była błędna, to rzeczywiście zbieg okoliczności zadziwił.

- Co ojciec zrobił potem?

- Zadzwoiłem na policję! Zjawiło się dwóch detektywów, coś nabazgrali na formularzu i kazali mi się udać z tą sprawą do swojej diecezji.

Alicia skinęła głową.

- To wygląda na wewnętrzny spór o mienie kościelne.

- To były moje prywatne dokumenty!

- Skontaktował się ojciec z diecezją?

- Naturalnie. Obiecali, że się temu przyjrzą. Po tygodniu powiedzieli, że nikt z Watykanu nie prosił o moje akta.

- A ojciec Randall?

- Jest badaczem w Archiwum, ale oświadczył diecezji, że nigdy o mnie nie słyszał i na pewno nie szarpał się ze mną o akta, które wcale nie są mu potrzebne. Próbowałem sam się z nim skontaktować. Nigdy go nie ma. Dzwoniłem do kardynała Ambrosiego, prefekta Archiwum, ale nie odbierał moich telefonów ani nie odpowiadał na nie. Jeszcze bardziej niepokojące... - Umilkł. Jego wzrok powędrował do drzwi na korytarz.

- Tak? Co się stało?

Jeśli jej wizyta odciągnęła nieco jego myśli od zmartwień, to teraz skutek ten minął bez śladu. Jego twarz pobladła, a spojrzenie stało się odległe.

- Wiem, że intencje ojca Randalla były złe. Poznaję to po tym, co weszło razem z nim do tego miejsca, co po sobie zostawił.

- Słucham?

- Ktoś... coś - kręcił głową, szukając słowa - nawiedza to miejsce od tamtego czasu. Ciebie, który nieustannie obserwuje mnie z ciemnych zakamarków. Dewastuje pomieszczenia. Czuję pani ten uroczy zapach pod wonią jaśminu?

Jej węch przywykł już do tej woni, którą wyczuła, wchodząc do pokoju. Pociągnęła nosem i poczuła go wyraźniej. Skinęła głową.

- Zgniłe jajka rozrzucone na podłodze i w szufladach biurka. Myślę też, że obsikuje dywany albo przynajmniej rozlaczka odór moczu. - Zamilkł i zamyślił się. Wyglądał jak zbity pies. - To coś wyje i chichocze. W nocy wrzeszczy w mojej sypialni, ale kiedy zapalam światło, nic tam nie ma. Maria, moja gospodyni, nie mogła już tego znieść. Odeszła przed tygodniem.

- A co na to policja? - spytała Alicia, podejrzewając, jaka będzie odpowiedź.

- Zaproponowali, żebym zainstalował kamerę. Chcieli mieć dowód, że nie oszalałem.

- Zrobił to ojciec?

- To coś kradnie kasety. Czy to demon, czy człowiek, przyprowadził do tutaj ojciec Randall.

- Demon?

Zwrócił na nią przygnębiony wzrok. Niechętnie rozmawiał o tym z osobą niewierzącą. Spojrzała na swoje notatki i zapisała kilka spostrzeżeń.

- Czy w swoich książkach wymienia ojciec przemienionych z nazwiska?

- Większość z nich by mnie za to zabiła. Zależy im na prywatności i obiecałem, że ją uszanuję.

- Więc nie sposób ich zidentyfikować?

- Zmieniam nazwiska ich lekarzy, nazwy szpitali, nazwiska pracodawców, nazwy ulic, wszystko, po czym można ich rozpoznać. Przeciętny przemieniony, zwłaszcza taki, który trafił do piekła, jest ostrożniejszy niż homoseksualista w obecnych czasach. Nikt nie walczy w ich imieniu, nie przekonuje opinii publicznej, że nadprzyrodzone doświadczenie nie czyni z ciebie świra. A wizyta w piekle? No cóż, to może nadszarpnąć reputację.

- Ale opowiadają o tym ojcu.

- Koloratka pomaga. I, jak już mówiłem, docieram do nich szybko, zanim umocnią się na pozycjach obronnych.

- W jaki sposób dowiaduje się ojciec o domniemanym NDE?

- Wygłaszam w szpitalach wykłady, często występuję w audycjach radiowych i na konwencjach dla osób, które interesują się tymi rzeczami.

- Jakimi?

- Nadprzyrodzonymi, paranormalnymi. Wpasowuję się między entuzjastów UFO i poltergeista. Chodzi o to, że docieram z tym do ludzi. Wiele osób mnie zna i wie, jak się ze mną skontaktować. Nawet sceptycznie nastawieni lekarze... Kiedy stają twarzą w twarz z

reanimowanym pacjentem, który wrzeszczy, że ogień pali jego ciało, a potwory chcą go pożreć, nagle zaczynają wierzyć albo przynajmniej są na tyle zaciekawieni, że łapią za telefon i dzwonią do mnie.

- A ojciec rzuca wszystko i jedzie?

- Aż do niedawna przypadki NDE były bardzo rzadkie. Teraz, kiedy mamy więcej sposobów na przywrócenie do życia ludzi, których serce przestało bić, dostaję sporo telefonów. Teraz „rzucam wszystko i jadę” tylko wtedy, kiedy doświadczenie wydaje się szczególnie wyraziste.

- Więc ma ojciec nazwiska, adresy, dane chyba setek przemienionych z doświadczeniem piekła?

- Tysięcy... lub raczej: miałem.

- Wszystkie informacje o nich były w tych aktach? - O to chodziło. To było sedno sprawy.

- Drzwi trzymałem zamknięte. - Wskazał ponad swoim ramieniem na ciężki rygiel przy drzwiach do pomieszczenia z aktami. - Musieli je wyłamać.

Zapisała to naprędce. Potem przerzuciła kilka stron wstecz, odszukała stronę i wyrwała ją. Wyciągnęła rękę i podała mu kartkę.

- Czy rozpoznaje ojciec któreś z tych nazwisk?

Zerknął na listę, odczytał każde nazwisko, poruszając bezgłośnie ustami i potrząsnął głową. Nagle jego brwi gwałtownie się uniosły.

- William Bell - powiedział. - Rozmawiałem z nim. Początkowo interesował mnie ze względu na młody wiek, miał dwadzieścia lat, o ile pamiętam. To było trzy, cztery lata temu. Mieszkał w Utah.

- W Moab - potwierdziła Alicia. Według życiorysu mieszkał tam całe życie.

- Pewnego dnia jeździł na skuterze wodnym, trochę chojrakował, za ostro wszedł w zakręt i go wyrzuciło. Uderzył głową w kierownicę i poszedł pod wodę. Przyjaciele go wyciągnęli, zrobili sztuczne oddychanie. Przywrócili go do życia po około dwunastu minutach. Ocknął się, wzywając pomocy, chwytając palcami powietrze. Powiedział: „Mają mnie! O mój Boże, niech oni mnie puszcza! Błagam!” czy coś w tym rodzaju. Jeden z ratowników medycznych, którzy odebrali zgłoszenie, znał moją pracę i skontaktował się ze mną.

- Powiedział ojciec, że początkowo interesował się nim ze względu na wiek. Co było później?

- Jeden na dziesięciu przemienionych zamiast postanowić, że dostanie się do nieba, po

prostu popada w depresję - wytłumaczył. - Wpadają w, jak to kiedyś nazywano, czarną dziurę. Nic nie może ich z niej wyrwać i spędzają całe życie w pracy i związku bez przyszłości, jakby zawczasu chcieli zacząć odsiadywać wyrok. On był takim przypadkiem.

- Beznadziejnym?

- Ludzie tacy jak William wierzą, że albo są skazani na piekło, a tylko dowiedzieli się o tym wcześniej, albo droga do nieba przytłacza ich ogromem wysiłku, albo czują, że nie znają sekretnego hasła, które dałoby im dostęp do królestwa Bożego. Wielka szkoda.

Wpatrywał się w listę.

- Cynthia Loeb... może... - Zwrócił jej kartkę. - Ach, pamięć już nie ta. W moim raporcie przypadków było mnóstwo nazwisk, które wrzucałem do akt, nie analizując ich szczególnie, zwłaszcza jeśli nic nie rzuciło mi się w oczy. Przykro mi.

Przebiegła oczami nazwiska na liście. Wszystkie te osoby zostały brutalnie zamordowane, każdej ścięto głowę. Dlaczego? Informacje uzyskane od ojca McAfee wystarczyły, by ją przekonać, że wszystkie ofiary należały do przemienionych, którzy prawdopodobnie wierzyli, że trafili do piekła. Dla niej to wszystko był stek bzdur, ale ważne było to, że ktoś w nie wierzył. Wierzył McAfee i zanotował ich nazwiska. Była przekonana, że wierzył również zabójca i wykorzystał akta księdza do identyfikacji celów.

Prowadzenie ważnego śledztwa było jak sprzątanie pokoju. Zanim zrobiło się porządek, robił się jeszcze większy bałagan. Teraz, kiedy rozumiała, co łączyło ofiary, trapiły ją jeszcze bardziej zagadkowe pytania: Dlaczego ktoś chciałby mordować ludzi, którzy twierdzili, że widzieli piekło podczas doświadczenia bliskiego śmierci? Jaki był udział Watykanu - a przynajmniej ojca Adalberta Randalla - w całej intrydze? Jeśli ukradli akta ojca McAfee, do czego były im tak bardzo potrzebne? Żeby pomóc zabójcy? Dlaczego, dlaczego, dlaczego? Mogła tylko zadawać kolejne pytania.

- Czy przychodzi ojcu do głowy powód, dlaczego ktoś chciałby uśmiercić przemienionego, zwłaszcza dlatego że był przemienionym?

- Uśmiercić? Nie, ja... Wszyscy ci ludzie... - Wskazał na papier w jej ręce. - Zamordowani? Ale na Boga... dlaczego? - Jego oczy błędziły, podczas gdy za nimi kotłowały się myśli. - Moje akta. Ale ich jest tak wielu!

Powiedział, że jest ich tysiące, ale teraz po raz pierwszy (przez sposób, w jaki wymówił „tak wielu”) dotarło do niej, jakie mogą być konsekwencje. Tysiące. Czy te pięć znanych ofiar to początek tysięcy? Nie mieściło jej się to w głowie. Ale duża częstotliwość zabójstw wskazywała na ambicję. Brady tak powiedział.

Ojciec McAfee odezwał się nieprzyjaźnie.

- Pani Wagner, muszę o to zapytać: Czy wśród ofiar były dzieci?

- Nie, ale... Czy dzieci też mają doświadczenia bliskie śmierci?

- O, tak. Wiele z nich.

- Takie, gdzie trafiają do piekła?

- Niestety tak. To, czy dzieci mogą iść do piekła, jest przedmiotem odwiecznego sporu wśród chrześcijan. Badania przekonały mnie, że mogą, i tak się dzieje. A to prowokuje kolejne debaty. Kalwiniści twierdzą, że to dowodzi doktryny predestynacji, czyli że Bóg zawczasu wybrał tych, którzy zostaną zbawieni. Katolicy wierzą, że chrzest ratuje dzieci od piekła do momentu, kiedy będą na tyle dorosłe, żeby samemu przyjąć bądź odrzucić miłość Chrystusa. Jednak rozmawiałem z ochrzczonymi dziećmi, które miały wyraziste, spójne wizje piekła podczas śmierci klinicznej. Ciężko jest zrozumieć, jak kochający Bóg może skazać najmniejszych na wieczne męki.

Przytaknęła z poważną miną.

- A w co ojciec wierzy?

Uśmiechnął się.

- Że Bóg istotnie nas kocha, a jego ścieżki nie są naszymi.

Zawahała się, ale potem zapytała cicho.

- W aktach były również dzieci?

- Tak, przynajmniej kilkadziesiąt.

Przed jej oczami natychmiast pojawiły się lasery DMZ biegające po odciętej głowie dziecka. Wstała gwałtownie i potrząsnęła głową, żeby odpędzić tę myśl.

- Ojczy, ja...

Czuła, że musi coś zrobić, nie wiedziała tylko co. Chciała przelać swoje myśli na ekran komputera, gdzie mogłaby je poukładać, przetasować i spróbować odszukać między nimi związki. Wobec milionów stłoczonych ze sobą faktów, możliwości i obrazów relacje były zbyt ulotne, żeby odnaleźć je w myśli. Chciała porozmawiać z Bradym. Na nowo roznieciła się w niej paląca potrzeba działania. Chciała dostać odpowiedzi i to natychmiast.

Dlaczego ktoś mordował przemienionych? Czy na liście jest tysiąc nazwisk?

Ojciec McAfee wstał i położył jej rękę na ramieniu.

- Agentko Wagner, czy napije się pani herbaty? Wygląda pani na tak przestraszoną, jak ja się czuję.

- Nie, dziękuję. Muszę zebrać myśli. Ogromnie mi ojciec pomógł.

Ruszyła do drzwi i dostrzegła, że znów były uchylone. W momencie dobyła pistolet z kabury. Notes i długopis wrzuciła do kieszeni marynarki.

- Nie wydaje mi się... - zaczął ojciec McAfee.

Uciszyła go, podnosząc dłoń. Stopą otworzyła drzwi szerzej. Za nimi był ciemny korytarz. Przyciskając plecy do framugi, spojrzała w głąb korytarza w jedną stronę. Zbyt ciemno, żeby cokolwiek zobaczyć. Bardzo stara fotografia uśmiechniętych księży w ozdobnej ramie wisiała na ścianie naprzeciw drzwi. Jeśli dalej ciągnął się szereg podobnych zdjęć, nie była w stanie ich zobaczyć. Przesunęła się w poprzek framugi i wyszła na korytarz, trzymając broń w obu dłoniach. Prawie namacalnie czuła czarną głębię w miejscu, gdzie z hallu wchodziło się do biblioteki, tak jak grotolazi, którzy nawet w kompletnej ciemności wiedzą, że natrafili na jaskinię.

- FBI! - wrzasnęła. - Pokaż się! Teraz!

Nic nie widziała ani nie słyszała, ale warto było spróbować.

Rzuciła przez ramię szybkie spojrzenie. Korytarz za nią był jakby wypełniony czarną watą.

Bokiem wsunęła się z powrotem do gabinetu i zamknęła drzwi. Przytknęła ucho do szczeliny i wstrzymała oddech. Po dwudziestu sekundach odwróciła się do ojca McAfee.

- Widziała pani...? - wyszeptał.

Potrząsnęła głową.

- Nic nie widziałam. Czy chciałby ojciec, żebym została? Mogłabym przeszukać probostwo i kościół, spałabym w pokoju gospodyni... przynajmniej dziś w nocy.

- Dziękuję, ale pani wizyta przypomniała mi, że są gorsze rzeczy niż straszne cienie i odgłosy. Istnieją rzeczy, które gryzą i zabijają.

- To, co ojca dręczy, może mieć takie plany.

- Bóg mnie ochroni.

Jasne, chciała powiedzieć. Tak samo, jak ochronił Cynthię Loeb, Daniela Frearsa i Williama Bella...

- Trafię do wyjścia - oznajmiła zamiast tego.

Otworzyła drzwi i podskoczyła, kiedy powiedział.

- Chwileczkę!

Ściągnął z półki książkę i podał jej. *Kara piekła* autorstwa Duncana McAfee.

Skinęła głową w geście podziękowania.

- Proszę na siebie uważać - powiedziała i wkroczyła w ciemność.

40.

Brady włożył płytę Scooby-Doo i najeźdźcy z kosmosu do odtwarzacza DVD. Z kuchni dobiegł go dzwonek mikrofalówki. Minutę później do pokoju wszedł Zach w piżamie z dużą miską popcornu w dłoni.

- Z podwójnym masłem - oznajmił, podnosząc miskę jak trofeum.

- Dawaj go tu - zachęcił Brady. Opadł na sofę i poklepał dłonią poduszkę obok siebie.

Zach podbiegł i wylądował pupą na wskazanym miejscu. Popcorn pofrunął we wszystkie strony.

Brady powstrzymał ostrą naganę, którą miał na końcu języka. Obiecał Zachowi, że będą się dobrze bawić i postanowił dotrzymać obietnicy. Zastanawiał się, czy syn go sprawdza, podejrzewając, że przy najmniejszej prowokacji znów stanie się gderliwy. Chłopiec bardzo chciał odzyskać swojego rozrywkowego tatę sprzed śmierci Karen, ale Brady rozumiał, że nie może udawać. Roześmiał się i pobierał ziarenka kukurydzy z kolan.

- Przypomnij mi, żebym nie prosił cię o coś do picia.

- O rany, zapomniałem - zawołał Zach, położył miskę na kolanach Brady'ego i poderwał się. - Nie zaczynaj beze mnie. - Pognał do kuchni.

Śmiech sprawił Brady'emu przyjemność. Był ze swoim synem i uszczęśliwiał go. To już było coś. Przymknął metalową pokrywę włazu nad tą ciemnością w swojej duszy, która z łatwością mogła się rozprzestrzenić i stłumić każdą radość. Uchyłał ją wielokrotnie, zamieniając potencjalnie radosne momenty w uzalanie się nad sobą. Zawsze gdy przywołanie obecności Karen przychodziło z łatwością, kiedy było jasne, że dzięki niej chwila byłaby piękniejsza, miałyby w sobie więcej życia - widmo nieobecności żony wkraczało do świadomości Brady'ego. Ze względu na Zacha nauczył się odsuwać je od siebie. Nauka przysłała mu z bólem, ale inaczej straciłby Zacha.

Zach krzyknął coś z kuchni.

- Co? - zawołał Brady.

- Chcesz pepsi, sprite'a czy piwo korzenne?

- Mountain dew.

- Nie ma. Pepsi, sprite czy piwo korzenne?

- Dr pepper.

Zach wrócił z dwiema puszkami.

- Proszę, dr pepper dla ciebie - powiedział, podając Brady'emu pepsi.

- O, dziękuję. To mój ulubiony smak.

Zach otworzył swoją puszkę sprite'a, postawił ją na stoliku i wziął od Brady'ego miskę z popcornem.

- Przedstawienie czas zacząć! - zakomenderował.

Brady podniósł pilot i ekran menu zmienił się w ostrzeżenie FBI przed piractwem.

Zach oparł się o jego ramię i skinął głową w stronę telewizora.

- Ty to robisz? - zapytał. Garść popcornu zniknęła w jego ustach.

- Nie, ktoś inny ściga tych złych piratów. Dla mnie są o wiele za groźni. - Nagarnął dłonią trochę prażonej kukurydzy.

- Założę się, że mają mnóstwo filmów za darmo. Ci, co ich ścigają.

- Pewnie tak, ale wtedy muszą sami siebie zaaresztować.

Coco wbiegł do pokoju, merdając wesoło ogonem. Stając na dywanie przed telewizorem, zwrócił na Brady'ego i Zacha swój pyszczek z wylupiastymi ślepiami i wywieszonym jęzorem w nadziei, że skapnie mu parę ziarenek. Zach rzucił zwierzakowi kilka ponad stołem. Pies pochłonął je, a jego puszysty ogon podrygiwał do wtóru. Kiedy zdał sobie sprawę, że na nic więcej nie może liczyć, obrócił się w kółko i położył się na dywanie.

W ciągu pięciu minut Brady razem z Zakiem zaśmiewali się ze zwariowanej kreskówki. Chłopiec przysuwał się do ojca coraz bliżej, aż całkiem przywarł do jego boku, kładąc rękę na jego ramieniu. Miska wciąż do połowy napełniona popcornem spoczywała bezpiecznie w zgięciu nóg Zacha. Brady chciał do niej sięgnąć, ale zdał sobie sprawę, że to zburzyłoby pozycję, w której się ułożyli, a wołał nigdy więcej nie zjeść popcornu niż to zrobić.

Śmiech Brady'ego urwał się nagle, kiedy mężczyzna usłyszał jakiś odgłos nie pochodzący z telewizora. Głuchy łomot, jakby coś na zewnątrz upadło na ziemię. Zach nie przestawał chichotać z niezdarnych wybryków Shaggy'ego, a Brady prawie już się do niego przyłączył, gdy doszedł go odgłos drapania. Coco podniósł głowę i postawił uszy.

- Nie wchodzi tam! - krzyknął Zach w stronę telewizora. - Dlaczego oni zawsze wchodzi w najciemniejsze i najstraszniejsze miejsca?

Coco skoczył na cztery łapy. Wpatrywał się w ciemny korytarz prowadzący do kuchni. Niski warkot psa dotarł do uszu Brady'ego przez odgłosy śmiechu na filmie. Coco cofnął się, zerknął szybko na mężczyznę, a potem znów na korytarz.

- Tato? - Zach patrzył na niego. - Co się stało?

- Ciii. - Delikatnie odsunął Zacha i wstał. Chłopiec sięgnął po pilota, zapewne żeby wyłączyć głos telewizora, ale Brady chwycił go za rękę. - Poczekaj chwilę - szepnął. Przez odgłosy telewizora nic nie mógł usłyszeć, ale instynkt podpowiedział mu, że lepiej nie wyłączać dźwięku.

Przypomniał sobie o swoich pistoletach - jednym w sypialni, drugim w kuchni. Oba zamknięte były w sejfach z kodem linii papilarnych. Dotyk jego dłoni szybko by je otworzył. Ale oba były daleko.

Coco zaczął skomleć, nieustannie spoglądając na niego wyczekująco i jednocześnie obserwując korytarz. W końcu miał dość i pognął w stronę suszarni, gdzie małe drzwiczki dla psa otwierały mu drogę ucieczki z domu.

Brady też to poczuł. Coś nadchodziło. Nie spuszczać oka z zaciemnionego korytarza, odsunął miskę popcornu z kolan Zacha i złapał chłopca pod ramię.

- Chodź - wyszeptał. Przyciągnął syna do siebie i oprowadził go wokół stołu. Suszarnia miała również drzwi zewnętrzne dla ludzi. Ruszyli na palcach w jej stronę. Brady sięgnął po przypięty do paska telefon, który był teraz tak mały, że często o nim zapominał. Jedną ręką otworzył kłapkę i wstukał kciukiem numer 911.

- Centrala alarmowa 911. Jakiej pomocy pan potrzebuje?

Brady szepnął

- W moim domu jest włamywacz. Przyjeżdżajcie szybko. - Podał adres.

- Czy może pan...

Zatrzasnął kłapkę telefonu i wrzucił go do kieszeni. Zbliźali się do drzwi. Z drugiej strony dobiegło ich przeciągłe skowyczenie, które nagle się urwało. Zamarli. Wyraźnie był to Coco.

Zach rzucił się do drzwi.

- Co... - zaczął wołać.

Brady przycisnął dłoń do ust chłopca i przyciągnął go bliżej.

Ostry zapach zwierząt uderzył Brady'ego jak gwałtowny podmuch wiatru. Wiedział już. Błyskawicznie odwrócił głowę, spodziewając się zobaczyć psy-wilki sadzące w ich stronę korytarzem. Nic nie zobaczył... a potem tylko poruszające się cienie...

Brady rzucił się przez drzwi suszarni do jedynej innej wyjścia po przeciwległej stronie pomieszczenia, schodów do piwnicy. Popychając Zacha o kilka stopni przed sobą i podtrzymując go za ramię, żeby nie upadł, Brady zamknął za sobą drzwi. Szybko. Cicho.

- Biegnij, biegnij - szepnął ostro do Zacha i puścił chłopca. Ten popędził po schodach zwinnie, pewnie i zadziwiająco cicho.

Drzwi piwnicy wyposażone były w rygiel zamykany od zewnątrz na klucz, żeby Zach nie mógł go otworzyć, kiedy był małym dzieckiem. Żeby zapobiec przypadkowemu zamknięciu kogoś w domu, z drugiej strony otwierany był za pomocą dźwigni. Brady odryglował drzwi i zszedł po schodach. Poruszał się wolniej niż Zach, ale równie cicho. Zejście na betonową podłogę piwnicy zajęło mu kilka sekund, w tym samym czasie chłopiec zdążył już otworzyć drzwi do swojej kryjówki. Zach przekroczył próg pomieszczenia, obrócił się i spojrzał na ojca rozszerzonymi, wilgotnymi oczami.

Brady zatrzymał się w pół drogi do niewielkiego pomieszczenia we wnęce.

To na nic, pomyślał. Psy ich wyczują. Co... co zrobić? Jego oczy strzelały to tu, to tam. Pralka, suszarka, piecyk do wody, metalowe półki zastawione puszkami farby, środkami czyszczącymi i... Dostrzegł kadź smaru, który stosował do przegubów krzyżowych swojego SUV-a. Gdyby się rozebrali i pokryli smarem - czy to zamaskuje ich zapach? Przypomniał sobie zajęcia w akademii, które miały na celu zaznajomienie agentów ze sposobami wykorzystania psów do śledzenia i obrony. Instruktor powiedział, że psi węch jest milion razy czulszy niż ludzki. Nawet gdyby śledzony był całkowicie zanurzony w wodzie, pies wyczułby jego zapach z pęcherzyków wydychanego powietrza, które wydostałyby się na powierzchnię.

Pazury zaczęły drapać drzwi u szczytu schodów.

- Tato, wchodź! - wysyczał Zach błagalnie.

Brady spojrzał na syna, potem na schody. Mógłby się rzucić po broń w kuchni... wypaść przez drzwi, pognać do sejfu... i zostać rozdarty na strzępy.

Czy to byłby koniec polowania? Czy psy i morderca zostawiliby Zacha w spokoju? Serce pękało mu na myśl, że Zach miałby teraz go stracić, ale to lepsze, niż gdyby chłopiec miał zginąć. Jak dotąd morderca nigdy nie zabił dwóch ofiar na raz.

Pot szczypał go w oczy. Otarł twarz.

- Tato - odezwał się za jego plecami Zach prosząco.

Ale tym razem było inaczej. Zabójca porzucił swój rejon polowań, żeby dopaść jednego z agentów ścigających jego zbrodnie. Czy ten atak ma być ostrzeżeniem: odczepcie się? Zemstą za poszukiwanie go i przypisywanie mu winy za morderstwa? Cokolwiek miał na myśli, było to coś nowego.

Tylko czy zabójca zadowolony jest moją śmiercią? - pomyślał Brady, wracając do jedyne liczącego się pytania.

Odgłosy Scooby-Doo z telewizora na górze nagle umilkły. Ktoś go wyłączył. Teraz wyważy drzwi, do których właśnie drapią psy.

Brady podszedł do stóp schodów.

- Tato? - Zach nadal mówił szeptem, ale desperacja nadawała mu ostry ton.

Brady chwycił miotłę, przydepnął ją powyżej włosia i złamał trzonek ciągnąc do góry. Podniósł do góry blisko metrowej długości, ostro zakończony kij. Gdyby dotarł do szczytu schodów, zanim napastnik sforsuje drzwi, może go zaskoczyć i pchnąć go trzonkiem w szyję. Brady wiedział, że z psami nie ma szans. Na pewno go zabiją. Ale bez swojego pana najwyżej podrapałyby, węsząc w drzwi kryjówki, aż by im się znudziło albo nadeszła pomoc. Zach by przeżył.

Obrócił się do syna, żeby powiedzieć mu, by zamknął się w schowku i nie wychodził bez względu na to, co usłyszy. Jego wzrok padł na butelkę, którą ktoś bezwiednie musiał postawić na fałszywych pudłach przytwierdzonych do ruchomej ścianki. To była jakaś szansa, chociaż tak nikła, że nie powinien jej próbować. Jeśli się nie powiedzie, Zach zginie.

W oku chłopca pojawiła się łza i spłynęła po policzku. Jeszcze zanim dotknęła podłogi, Brady zdecydował, co zrobi dalej.

Chwycił butelkę wybielacza i z ulgą poczuł ciężar - była prawie pełna. Odkręcił ją i wylał płyn na podłogę. Upewnił się, że najpierw pokrył miejsce wokół drzwi do kryjówki, a potem podłogę u stop schodów. Potem zaczął polewać resztę podłogi, żeby okolice wejścia do ukrytego pomieszczenia nie wyglądały na szczególnie wyróżnione.

Wskazał na półkę środków czyszczących i wyszeptał:

- Zach, amoniak.

Zach podbiegł do butelki.

- Wylej go na wybielacz - polecił Brady. - Wstrzymaj oddech.

Drzwi do piwnicy załomotały.

- Pospiesz się - rzucił.

- Gotowe - szepnął Zach po paru sekundach.

Oczy Brady'ego natychmiast zaczęły piec. Poczuł drapanie w gardle. Wybielacz zmieszany z amoniakiem utworzył toksyczny gaz, trichlorek azotu. Brady wyczytał, że mikstura ta zabija rocznie kilka tuzinów niedoinformowanych gospodyń domowych. Opary powinny być milion razy bardziej rażące dla psów. Miał nadzieję, że to powstrzyma je przed wejściem do piwnicy, nawet jeśli ich pan odnajdzie kryjówkę, a na pewno tak się stanie, i Brady wyskoczy na niego z trzonkiem. Będzie to nierówna walka, topór przeciwko kijowi, ale bez udziału psów Brady wierzył, że nie jest bez szans. Być może, jeśli szczęście dziś sprzyjało Moore'om, napastnik się wycofa, widząc, że będzie musiał walczyć bez swoich zwierząt bojowych. Mało prawdopodobne...

- Okay, okay. - Popchnął Zacha do wnętrza, wsunął się za nim i cicho zamknął drzwi.

Stanął tuż za nimi, żeby wyglądać przez wizjer. Opary musiały napęłnić pomieszczenie w trzydzieści sekund od zmieszania, bo przedostawały się przez otwór, powodując łzawienie oka. Wytarł je i dalej wpatrywał się w podnóże schodów.

Drzwi do piwnicy puściły. Dał się słyszeć szybki stukot pazurów na drewnianych schodach. Dwa psy - Brady dałby głowę, że wyglądają jak wilki - pognały w dół aż na najniższy stopień i zamarły. Jeden zawył i odskoczył do tyłu, znikając u szczytu schodów. Drugi zaskamlał. Próbował powąchać podłogę, ale gwałtownie poderwał łeb. Mimo to postawił łapę niżej, na podłodze, znów zaskamlał i powoli się wycofał.

Gdzieś spoza pola widzenia odezwał się donośny głos. Brady nie wiedział, czy słowa były stłumione przez dzielącą ich ścianę, czy wypowiedziane w obcym języku.

Pojawił się inny pies, mniejszy niż tamte, ale o równe dzikim wyglądzie. Ostrożnie zbliżał się do piwnicy, co raz oglądając się na kogoś, kto wydawał ostre, ale ciągle niezrozumiałe rozkazy. Łeb psa odskoczył nagle, kiedy do jego nozdrzy dotarł powiew oparów. Zwierzę odwróciło się, żeby odejść, potem zatoczyło koło, przygotowując się do następnej próby sforsowania wejścia do piwnicy. Zaczęło się krztusić i charczeć, znów się odwróciło i zniknęło. Rozległ się gniewny głos, jak rytm wybijany na bębnach.

Brady odsunął twarz od otworu i przetarł oko. Czuł się, jakby ktoś wytarł je gumką do mazania. Zach obejmował go od tyłu drżącymi rękami. Brady sięgnął za siebie, żeby pogłaskać ramię chłopca. Przyłożył do otworu drugie oko.

Prawie odskoczył, widząc człowieka na środku piwnicy. Zszedł szybko... i całkowicie bezgłośnie. Pierwszą myślą Brady'ego było, że intruz ma na sobie przebranie. Długie splecione włosy spływały mu na ramiona. Ruda krzaczasta broda opadała na dzierganą koszulę. Miał na sobie obcisłe spodnie, jak się wydawało, uszyte z garbowanej skóry i buty sięgające do połowy łydki. W opuszczonej prawej ręce trzymał drewniany trzonek zakończony szerokim ostrzem. Mężczyzna był przysadzisty i umięśniony. Brady zastanawiał się, czy zaostrzony kij wbity w jakiekolwiek miejsce tego masywnego ciała powali go, czy tylko draśnie.

Mężczyzna zerkał na mokrą podłogę. Klatka piersiowa wznosiła się i opadała szybko, oznaczało to, że oddychał płytko. Sprytnie. Podszedł do pralki i suszarki, ledwie widocznych po lewej stronie. Ruchem, od którego Brady poczuł ścisk żołądka, uniósł topór nad głowę, gotując się do ciosu. Brady stracił go z pola widzenia. Usłyszał tylko, jak odskakuje pod uderzeniem pokrywa pralki, a potem suszarki.

Nie wiedział, że człowiek nie zmieści się w środku? - przemknęło Brady'emu przez myśl, a po plecach przeszedł go dreszcz. A może szukał właśnie Zacha?

Mężczyzna wyszedł na środek piwnicy i stanął w połowie drogi między drzwiami a

miejszem ukrycia Brady'ego i Zacha. Ruszając w stronę schodów, zlustrował pomieszczenie i powoli obracał się jak zębatka w maszynie. Nie spiesząc się, szukał śladów zwierzyny.

Wtedy zadzwonił telefon Brady'ego.

41.

Odskoczył od wizjera, tracąc z oczu zabójcę w piwnicy, i poczuł, że telefon wibruje bezgłośnie w przedniej kieszeni jego spodni.

Dzięki Bogu, zanim poszli do wypożyczalni wideo, a potem wrócili do domu na seans filmowy z popcornem, odwiedzili grób Karen. Sygnał telefonu ciągle był ustawiony na wibracje. Po trzech dzwonek wibrujących jednak automatycznie przestawiał się na donośne bzyczenie. Trwał właśnie drugi sygnał, kiedy Brady włożył rękę do kieszeni. Złapał go palcami i pociągnął. Zaciśnięta na telefonie pięść nie dała się wyjąć. Dzwonek numer trzy. Gorączkowo wcisnął na oślep kilka klawiszy w nadziei, że jednym z nich uda mu się odrzucić połączenie i uciszyć telefon. Serce podeszło mu do przełyku... Czwarty dzwonek się nie odezwał. Brady wypuścił wstrzymywane powietrze i przysunął się do wizjera.

Morderca nic nie usłyszał. Zaczerwienione oczy łzawiły. Nadal obracał się niespiesznie wokół własnej osi w środku pomieszczenia, badając każdy potencjalny schowek i każdą rysę w ścianie. Dom zbudowano, zanim weszły w życie przepisy przeciwpożarowe nakazujące umieszczanie okien w piwnicach. Wybielacz i amoniak były jeszcze mokre. Psy wskazały mu drzwi, przez które uciekły ofiary. Zabójca wiedział, że zdobycz była gdzieś tutaj, na dole.

Odwrócił się i stanął twarzą do drzwi kryjówki. Patrzył wprost na Brady'ego, ale ten wiedział, że wiszący na ścianie kilim skutecznie maskował otwór i spoglądające przez niego oko nawet przy bliższym przyjrzeniu się. Napastnik przebiegł wzrokiem po górnej krawędzi „ściany”, po czym zerknął w dół na fałszywe pudła przyklejone do niej przy podłodze.

To zwykle pudła, pomyślał Brady, chcąc wtłoczyć te słowa do głowy zabójcy.

Mężczyzna zrobił krok w stronę Brady'ego. Kopnął kartony. Wydały głuchy dźwięk, ale nie ruszyły się z miejsca. Natychmiast podniósł topór, żeby przebić drzwi schowka.

Brady cofnął się. Popchnął Zacha na przeciwległą ścianę, uniósł złamany kij od miotły i przygotował się na atak.

Topór wejdzie w sklejkę jak w masło, pomyślał.

Ale nic się nie działo. Po chwili Brady odważył się zerknąć. Morderca stał w miejscu z wysoko uniesioną bronią i obiema rękami na stylisku. Patrzył jakby w zamyśleniu na odsłonięte belki stropowe, które podpierały sufit piwnicy i podłogę parteru. Wtedy Brady

usłyszał w oddali coraz głośniejszy sygnał policyjnej syreny.

Tak! - przebiegło mu przez myśl. - Uciekaj! Biegnij, bydlaku!

Zamiast tego zabójca skierował wzrok na ścianę i opuścił topór.

Brady odskoczył, wyprzedzając tylko o pół sekundy ostrze przedzierające się przez ściankę. Topór przerył przepierzenie postrzępioną rysą od wysokości głowy do wysokości pasa. Na Brady'ego posypał się pognieciony gips i pył.

Zach zaczął krzyczeć z przerażenia. Musiał wcisnąć włącznik światła, bo rozblęśla jedyna, goła żarówka w pomieszczeniu.

Na własne oczy przekonawszy się o sile topora, Brady zdał sobie sprawę, że ich jedyna nadzieja to nie kij od szczotki, ale odwleczenie własnej śmierci aż do przyjazdu policji. Syreny były blisko. Brady wypuścił z ręki kij i zrobił pierwsze, co przyszło mu na myśl: złapał ostrze topora. Czuł, jak ostra krawędź metalu przecina ciało jego lewej dłoni. Krew sprawiła, że ręka zaczęła się ślizgać. Brady wzmocnił uścisk. Był pewien, że ostrze zawadzało o kość. Nie mógł już zacisnąć mocniej. Otworzył usta, żeby wyrzeszczeć wulgarne obelgi pod adresem potwora, który wdarł się do jego domu, ale zdołał wydać z siebie jedynie gardłowy ryk.

Obuta stopa przebiła się przez drzwi, kopiąc w kolano Brady'ego. W tej samej chwili ostrze wysliznęło się z jego uścisku i zniknęło po drugiej stronie ścianki. Zatoczył się do tyłu, przygniatając Zacha do tylnej ściany. Nogi ugięły się pod nim i twardo wylądował na ziemi. Zach upadł tuż obok niego. Przez wyrwę w ścianie Brady ujrzał wpatzonego w niego zabójcę.

Brodąta twarz mężczyzny była zacięta w gniewie. Psy szczekały i wyły u szczytu schodów. Poderwał topór, szykując się do kolejnego ciosu. Zawahał się, potem odwrócił się i zniknął Brady'emu z oczu. Rozległo się dudnienie kroków na schodach. Psy ucichły. Na górze trzasnęły drzwi, Brady nie wiedział, czy ktoś je otworzył, czy zamknął. A potem... nic.

Dom nagle wypełniła niesamowita cisza. Jakby przeszło przez niego tornado.

Opary chemiczne kotłowały się wokół nich, choć wcześniej prawie wcale tego nie zauważał. Szczypały go oczy, bolało gardło, płuca były ściśnięte. Zach oddychał nierówno. Chłopiec wyglądał, jakby płakał od tygodnia.

- Już dobrze, synku - powiedział. Wyciągnął do niego rękę. Połała się z niej krew, więc ją opuścił.

Zach podniósł się na kolana i objął tatę. Nabrał gwałtownie powietrza i wypuścił je z niskim, powolnym jękiem.

Brady przycisnął zranioną dłoń do tyłu głowy chłopca.

Metaliczny głos doszedł do uszu Brady'ego. Myślał, że pochodzi z policyjnego radia, ale szybko zdał sobie sprawę, że rozlegał się bliżej.

- Brady! Brady! - woła. Wypuścił Zacha, pozwalając mu usiąść na podłodze. Wyłowił z kieszeni telefon komórkowy. Którymś z przycisków musiał odebrać połączenie, kiedy próbował uciszyć dzwonek. Przyłożył słuchawkę do ucha.

- Brady! - Dzwoniła Alicia.

- Jestem - odpowiedział. Jego głos był chrapliwy. Jeśli prędko nie wyjdą z piwnicy, chemikalia wykonają zadanie za mordercę. Trzymając telefon przy uchu, wstał i wyciągnął rękę do Zacha, żeby pomóc chłopcu się podnieść.

- Co się dzieje? Co to były za odgłosy, trzaski? Nic ci nie jest?

- Zabójca Pelletier napadł na nas, prawie... - Zaczął do niego docierać ogrom tego, co właśnie się stało i co mogło się stać. - Nic nam nie jest. Ja i Zach jesteśmy bezpieczni.

Alicia zamilkła.

Swoją zranioną ręką odsunął drzwi. Ustąpiły niechętnie, zaczepiając połamaną i pogiętą ramą o podłogę i stałą ścianę. Otoczył Zacha ramieniem i poprowadził go na schody. W gonitwie myśli pojawiło się pytanie „Co by było gdyby?”. Gdyby Kurt nie zbudował tej kryjówki? Gdyby policja nie przyjechała albo nie włączyła syren?

- Brady? - rozległ się głos Alicii, wyważony, poważny. - Posłuchaj. Nie rozmawiaj z policją. Ani z miejscowymi, ani z FBI.

Jakby na umówiony znak na górze ktoś właśnie załomotał gwałtownie do frontowych drzwi.

- To oni - powiedział Brady. Stopień po stopniu razem z Zakiem wspinali się po schodach. - O czym ty mówisz? Dlaczego...

- Coś jest nie tak - wyjaśniła. - Posłuchaj mnie. Ukryj się w jakimś bezpiecznym miejscu, ale nie idź na policję. Zaufaj mi.

Wiedział, że ma rację. Zabójca Pelletier... tutaj? Coś tu mocno śmierdziało.

Walenie do drzwi nie ustawało.

- Ale oni już tutaj są - zaoponował. Przez jego głowę przebiegało zbyt wiele myśli. - Zadzwoniliśmy na policję.

- Powiedz, że to pomyłka.

Chwila milczenia.

- Tak im powiedz, Brady. Nie chcesz przecież, żeby w to wkraczali, oni ani nasi. Przygwożdżą cię i zrobią z ciebie łatwy cel. - Zawahała się. - I z Zacha też.

Brady zacisnął powieki.

- Na razie niech będzie. Oddzwonię.

- Na razie?

Rozłączył się.

Stojąc, pogładził syna po twarzy.

- Wszystko będzie dobrze.

Znów rozległ się łomot. Gliniarze byli o krok od wyważenia drzwi.

- Musimy wymyślić historyjkę. Później ci wyjaśnię. - W kilka sekund poinstruował Zacha, co ma mówić. Potem poszli otworzyć drzwi.

42.

Alicia usłyszała trzask w telefonie, a potem słuchała już tylko pustej ciszy. Brady się rozłączył. Odłożyła telefon na stojak i usiadła na hotelowym łóżku. Powiedział, że nie wciągnie w to policji, więc wiedziała, że tego nie zrobi. Przynajmniej dopóki z nią znów nie pomówi, by miała szansę dać wyraz swoim obawom.

Obawom? Sama niewiele o nich wiedziała. Czowała tylko, że coś jest nie tak. Seryjny albo impulsywny morderca zaatakował agenta federalnego niesprovokowany - samo to było już bardzo niecodzienne. Ale żeby miał w tym celu przylecieć z drugiego końca kraju - to więcej niż dziwne. To było przerażające i podejrzane, i... i... Nie przychodziło jej żadne słowo na określenie tego mrozącego uczucia, które przebiegło jej po plecach, kiedy Brady powiedział jej o ataku. Teraz owijało jej mózg, przesłaniając poczucie rzeczywistości. Coś tu nie grało. To nie było w porządku. To było nierealne.

Zdała sobie sprawę, że od napięcia nerwowego wyschło jej w ustach. Wstała i bezwiednie podeszła do niskiego kredensu. Wewnątrz pojemnika na lód znajdowała się złożona foliowa torebka. Bóg jeden wie do czego, oprócz przechowywania lodu, ludzie używają tych pojemników, a z całą pewnością nie warto ufać, że obsługa hotelowa je doczyści. Wyjęła torebkę i rzuciła ją na biurko. Wzięła pojemnik i upewniwszy się, że ma w kieszeni klucz do pokoju, wyszła na korytarz, zamykając za sobą drzwi.

Boso podreptała korytarzem do zbiegu alejek, mijając windy. Podążając za znakami, dotarła do wnęki zastawionej automatami z napojami i słodyczami oraz automatem do lodu. W czasie, jaki zajęło jej nakładanie lodu do pojemnika, podjęła decyzję, że jak najszybciej pojedzie do Wirginii.

Ruszyła z powrotem w stronę pokoju, w roztargnieniu potrząsając wiaderkiem, w którym zagrzechotały kostki lodu.

Brady najpewniej był na granicy hysterii, nie ze względu na grożące mu niebezpieczeństwo, ale ponieważ był tam Zach. Nie mogła mieć mu tego za złe, ale potrzeba mu było kogoś o spokojniejszej głowie, żeby pomóc mu przemyśleć sytuację i opracować plan działania. Można tam dojechać w cztery godziny, ignorując ograniczenia prędkości... Kto by na nie zważał? Kiedy zadzwoni, powie mu, żeby się ukrył w bezpiecznym miejscu, jeśli jeszcze tego nie zrobił, a ona niedługo się tam zjawi.

Chciała krzyknąć z przerażenia, ale jednocześnie nie mogła zaprzeczyć, że czuła również podniecenie. To jak wyjście na Everest bez tlenu: niebezpieczne, głupie i niepotrzebne. Ale ludzie to robili, a ona wiedziała, co czują.

Przystanęła pod drzwiami z plakietką „Obsługa”. Mieściły się po przeciwnej stronie korytarza w odległości około trzydziestu metrów od jej pokoju. Zapamiętała je, idąc do swojego pokoju po zameldowaniu w hotelu. Wróciła się nawet, żeby sprawdzić klamkę. Pomieszczenie było zamknięte na klucz. Hotele i motele bardzo często stawały się miejscami zbrodni, a przez częste w nich pobyty nabrała nawyku ostrożności.

Teraz drzwi były uchylone. Stała po jednej stronie i popchnęła je do wewnątrz. Światło było zgaszone. Podparła otwarte drzwi stopą, sięgnęła do środka i zapaliła lampę. Zobaczyła mnóstwo półek ze złożoną pościelą i ręcznikami. Wózek pełen środków czyszczących, pudełek z chusteczkami i maleńkich buteleczek szamponu. Pomieszczenie było zaopatrzone i wysprzątane, przygotowane na poranną bitwę. Kosz wielkości kontenera na śmieci stał pusty u wylotu zsypu na bieliznę. Nie było żadnych przyczajonych bandytów o przestępczych zamiarach.

Wyłączyła światło i zamknęła drzwi. Zamek zatrzasnął się automatycznie.

Paranoja czy nadmierna ostrożność? Nie, pomyślała. Po prostu jestem dobra w tym, co robię.

Gdy wróciła do pokoju, rzuciła okiem na telefon, upewniając się, że nie miga lampka automatycznej sekretarki. Komórka leżała obok telefonu hotelowego na stoliku nocnym. Gdyby ktoś zostawił wiadomość, aparat brzęczałby co trzydzieści sekund.

Powinnam była go wziąć ze sobą, pomyślała, wchodząc do łazienki. Nie podejrzewała jednak, żeby Brady miał tak szybko zadzwonić. Musiał najpierw odprawić policjantów, którzy pukali do jego drzwi. Postawiła wiaderko na blacie i włożyła do ust kawałek lodu w kształcie księżycy. Rozgryzła go, zdjęła ochronną tekturkę ze szklanki, wrzuciła do niej kilka kostek i napełniła wodą z kranu.

Przełknęła pokruszony lód, podniosła szklankę do ust i nagle zamarła.

Jej broń. Położyła ją na nocnym stoliku obok komórki. Nagle bardzo wyraźnie stanął jej przed oczami obraz stolika po jej powrocie do pokoju: telefon hotelowy, komórkowy, składany budzik podróżny, pilot od telewizora. Pistolet i kabura zniknęły.

Zasłona prysznicowa poruszała się niemal niezauważalnie. Alicia dostrzegła ten ruch w lustrze powyżej swojego ramienia. Zanim zdążyła zareagować albo nawet pomyśleć o jakiegokolwiek reakcji, czyjaś ręka odsunęła zasłonę, tak że metalowe uchwyty stłoczone razem trzasnęły na drążku jak jeden długi rzep. Ramiona za nią pofrunęły w górę, by zaraz

opaść, zakładając coś ponad jej głowę. Zaczęła podnosić rękę, w której trzymała szklankę. Chciała chwycić napastnika za włosy i przerzucić go sobie przez ramię. Coś przycisnęło jej rękę do ciała. Szklanka uderzyła ją boleśnie w kość policzkową, przesunęła się w górę po twarzy i wyśliznęła z rąk. Poszybowała, oblewając jej włosy i twarz wodą, zatoczyła łuk nad jej głową i zaczęła spadać.

Alicia nie mogła poruszyć ręką. Była przyszpilona do jej twarzy.

Garota! - przemknęło jej przez myśl. Czowała, jak drut wcina jej się w przedramię. W lustrze oczy miała szeroko otwarte w panicznym strachu. Krew trysnęła z rany, spryskała lustro, potoczyła się po ręce i zaczęła spływać z łokcia. Alicia szamotała się w przód i w tył. Napastnik nie dawał za wygraną. Nie okręcił drutu wokół jej szyi tak, jak chciał. Ze swojego ukrycia za kotarą nie mógł widzieć, że zanim zaatakował, podniosła rękę ze szklanką. Ani myślał jednak rezygnować z łupu. Zacisnął garotę chyba najsilniej, jak mógł. Drut przeciął ciało aż do kości promieniowej i przesunął się w stronę dłoni, właściwie filetując przedramię z mięśni i tkanki. Teraz wrzynał się również w kark. Ręka nie pozwalała mu przeciąć miękkich partii szyi z przodu i po bokach, gdzie tętnice i żyły szyjne biegły do i od mózgu.

Większości ludzi wydaje się, że garota służy do duszenia. W przypadku użycia drutu zabójca zamierzał niemal odciąć głowę od reszty ciała. Na przeszkodzie stał tylko kręgosłup. Przed kilkoma laty Alicia widziała zdjęcia z miejsca morderstwa mafijnego bossa. Drut przeciął mięśnie i więzadła, żyły, tętnice, chrząstkę tarczową i tchawicę. Tak głęboko utkwiał w czwartym kręgu, że sprawca nie potrafił go wyszarpnąć (ząbkowate rysy wewnątrz cięcia świadczyły, że próbował). Alicii przypominały się tylko przebłyski tego zdarzenia, obrazy podsycane przerwaniem. Nie musiała się zastanawiać, wiedziała, jak będzie wyglądać, kiedy ją znajdą. Głowa wykręcona w niemożliwej pozycji, przytrzymywana jedynie kręgosłupem. Poszczególne części obnażonych wewnętrznych mechanizmów szyi niemożliwe do rozróżnienia pod warstwą zakrzepniętej krwi - oprócz kręgów, wokół których drut zacisnąłby się na zawsze.

Wystarczyło tylko, żeby zabójca wykręcił jej rękę za kark, a garota dosięgłaby przodu jej szyi. Wiedziała o tym. Była pewna, że on też.

Zamachnęła się drugą ręką do tyłu, ale zabójca z łatwością się uchylił. Nie była w stanie się pochylić, żeby wyprowadzić silne kopnięcie w pachwinę napastnika, ale mogła podnieść stopę i pchnąć ją do tyłu. Zrobiła to, a pięta trafiła na coś, co ustąpiło pod jej naporem. Napastnik cofnął się, wcale jednak nie zwalniając uścisku. Pociągnięta do tyłu zatoczyła się do wanny. Nie widziała już lustro, dzięki Bogu - kto chciałby, żeby ostatnim widokiem w życiu było jego własne brutalne morderstwo? Ciężko wylądowała na czymś

ciele, było twarde i kościste. Jej nogi przewieszane były przez krawędź wanny. Ściśniętą drutem rękę miała teraz przed twarzą. Krew ściekała po policzku do ust. Alicia splunęła, z trudem łapiąc oddech, z krtani dobył się krzyk wściekłości i przerażenia. Napastnik miotał się pod nią, ciągnąc jeszcze mocniej za garotę.

Tym razem kiedy sięgnęła do tyłu, nie miał gdzie się usunąć. Palce natrafiły na ucho. Wykręciła je i pociągnęła, ze wszystkich sił starając się je oderwać. Nigdy nie nosiła długich paznokci, ale takie, jakie miała, zatopiła w miękkim ciele.

Jego wrzask bólu zabrzmiał piskliwie i niemęsko. Nie przestawała wykręcać i szarpać, aż poczuła ciepło i śliskość krwi.

Coś - zapewne czoło napastnika - wyróżnęło w jej potylicę. Pociemniało jej w oczach.

Jego ręce znajdowały się przy nasadzie jej szyi, gdzie spotykały się dwa końce drutu, jak podejrzewała, przymocowane do uchwytów. Targnął ją w górę z zadziwiającą siłą, starając się zepchnąć ją z siebie. Oszołomiona nie stawiała oporu. Miotał jej ciałem w górę, w dół i na boki.

Próbuje przepiłować mi drutem rękę! Wtedy zdała sobie sprawę, że te gwałtowne podrygi były po prostu skutkiem jego desperackich prób złapania równowagi, co wkrótce mu się udało, bo nagle podniósł się, pociągając ją ze sobą.

Znów patrzyła w lustro. Jej własny widok ją przeraził. Wyglądała, jakby już była martwa, twarz poszarzała i zwiotczała, na wpół przymknięte oczy, otwarte usta, krew wszędzie.

Tak nie może być.

Nadeszła jej kolej na uderzenie głową. Zagryzła zęby i odrzuciła głowę w tył. Drut jeszcze głębiej werznął się w ciało i poczuła nową eksplozję bólu, który przeszył jej umysł oślepiającą błyskawicą. Oplącało się, coś głośno chrupnęło i wiedziała, że zmiażdżyła mu nos.

Doszło ją tłumione krwią chrząknięcie, ale napastnik ani myślał rezygnować z pozycji przewagi. Krępował jej rękę, a jednocześnie tnący drut miał bardzo blisko jej szyi. Być może obawiając się serii manewrów, z której uderzenie głową było tylko pierwszym i najsłabszym, pchnął ją do przodu. Znów zwalili się w dół, tym razem na zewnątrz wanny. Uderzyła z impetem o blat i spadała dalej. Głową grzmotnęła o deskę sedesową.

Uścisk garoty zelżał, teraz jeden koniec zwisał luźno. Napastnik macał dłonią, szukając uchwytu. Rozprostowała ramię; zwisający z drutu zagłębionego w jej ciele uchwyt podążył za jej ręką i znalazł się poza jego zasięgiem. Był to drewniany kołek, długi na około piętnaście centymetrów, dwuipółcentymetrowej grubości. Był mocno zużyty, gładki i lśniący, pociemniały od brudnych dłoni i krwi. Szarpnął za drugi uchwyt, przeciągając drut przez ciało

jej przedramienia. Wrzasnęła. Luźny koniec przesunął się aż do jej ręki i tam się zatrzymał. Wiedziała, co będzie dalej, dlatego owinęła ramię naokoło podstawy toalety. Napastnik pociągnął za swój koniec garoty. Czowała, jak drut szoruje o kość. Uchwyt szarpał jej ramię, ale nie uwolnił się. Pociągnął jeszcze raz. Rączka garoty tak mocno trzymała się ramienia, że Alicia równie dobrze mogłaby ścisnąć ją w dłoni.

Naprzężona czerwona linia drutu biegła przed jej twarzą. Spodziewała się, że owinie go wokół jej głowy, mimo że nie trzymał obu końców. Drut werznąłby się w jej policzek, oko i nos. Co wtedy zrobi?

Ale on miał inne plany. Czowała, że napiera na jej plecy, próbując wstać. Zamachnęła się ręką, żeby go chwycić. Złapał ją i wykręcił. Leżała teraz na boku na zimnej flizowanej podłodze, białe płytki splamione były jej krwią. Jedną rękę miała zadartą w górę i wykręconą do tyłu. Drugie, zranione ramię, zacisnęła mocniej wokół sedesu. Dostrzegła cięcie na przedramieniu w kształcie wydłużonej litery U. Przypominało ociekający krwią rybi pysk.

Odwróciła się i zobaczyła stojącego nad nią demona. Wykrzywiona twarz była maską nienawiści. Ciemne tęczówki widniały w przekrwionych oczach. Krew ściekała z ucha wzdłuż linii szczęki. Policzek przecinały cztery równoległe pręgi, nos krwawił - narobiła trochę szkód. Spływająca z głowy burza włosów rozlewała się na kościste ramiona jak grzywa zdychającego lwa. Kępki zarostu porastały górną wargę, brodę i wklęsłe policzki. Wąskie usta ukazywały rzędy wyszczerzonych, ostro zakończonych zębów. Spomiędzy nich dobyło się coś pomiędzy warkotem a syczeniem. Strzyknął śliną, której kropelki wylądowały na twarzy Alicii.

Ten diabelski osobnik trzymał ją za nadgarstek i wykręcał go, zmuszając ją, by przewróciła się na podłogę. Zdała sobie sprawę, że jeśli to zrobi, będzie leżała twarzą w dół. Nie była to pozycja, w której chciała się znaleźć, kiedy on stał nad nią. Z drugiej strony miał stopy po dwóch jej stronach na podłodze, a to z kolei nie była postawa, którą powinien przyjąć napastnik. Podciągnęła nogę tak wysoko, że kolanem niemal dotykała klatki piersiowej i kopnęła piętą z całej siły w jego krocze. Oczy wyszły mu z orbit i z okrzykiem Uuuuuuuuu! zatoczył się do tyłu i wypadł przez otwarte drzwi łazienki.

Alicia podparła się na łokciu. Jej syczący oddech dobywał się spomiędzy zaciśniętych zębów. Ramię ugięło się pod nią i znów upadła na posadzkę. Przetoczyła się na drugi bok i podniosła na drugim łokciu obolałym od wykręcania, ale zdatnym do użytku. Wstała, chwytając się toalety i blatu, w każdej chwili spodziewając się ciosu, który powali ją z powrotem na podłogę, gdzie zostanie do czasu, kiedy koroner przyjdzie określić czas zgonu. Za nią rozległ się huk drzwi. Odwróciła się. Skrzydło drzwi uderzyło w ścianę i teraz wracało,

żeby się zamknąć. Zerwała się i złapała za klamkę zanim zamek zaskoczył. Właśnie miała otworzyć je szarpnięciem, kiedy poczuła popchnięcie od tyłu i ktoś rzucił nią o drzwi.

43.

Brady wyciągnął zakrwawioną dłoń w stronę stojącego w hallu policjanta. Jego partnerka, niska kobieta wciśnięta w niebieski mundur o rozmiar za mały, minęła Brady'ego i rozglądała się po salonie z ręką spoczywającą na kolbie pistoletu. Kaburę miała odpiętą. Przy drzwiach pokazał im identyfikator FBI. Nie zrobiło to na nich wrażenia. W tym mieście jedna trzecia mieszkańców była albo w czynnej służbie, albo emerytowanymi agentami Biura. A mimo że starali się, jak mogli, by to zmienić, byli przede wszystkim ludźmi, a dopiero potem agentami federalnymi. Mieli więc tyle samo kolizji z prawem, co cywile. W rezultacie magia i prestiż FBI dawno już przestały imponować miejscowej policji.

Gliniarz, który z nim rozmawiał, był wysoki i chudy, miał krótko przystrzyżone, szpakowate włosy. Jego oczy były zdumiewająco błękitne. Nie tyle patrzył na Brady'ego, co przeszukiwał go wzrokiem.

- Krajalnica ręczna? - policjant powtórzył historyjkę, którą poczęstował go Brady. Na jego identyfikatorze widniało nazwisko Anderson.

- Głupie, co? - skomentował Brady spokojnym tonem pomimo lekkiego drżenia rąk. Co on robił? Chciał przed tymi gliniarzami odtańczyć historyczny taniec ofiary, w którym niewiara, oburzenie i uczucie ulgi podsycane adrenaliną wywoływały niekontrolowane drżenie i wymachy ramionami odzwierciedlające poszczególne aspekty napaści. Temu wszystkiemu towarzyszyła na przemian cicha refleksja i nerwowa paplanina w stylu „Co zamierzacie w tej sprawie zrobić?” i „W moim domu! Moim własnym domu!”.

Chciał powiedzieć: „Seryjny morderca zaatakował mnie i moje dziecko! Uciekł, kiedy usłyszał wasze syreny! Nie może być daleko! Jedziemy!”.

Zamiast tego oświadczył:

- Pewnie powinienem wiedzieć, że krojąc szynkę, nie należy jej trzymać ręką.

- Pewnie tak - oschle odparł Anderson.

- Gdzie jest teraz pański syn? - spytała policjantka, mierząc go podejrzliwym wzrokiem.

Zawahał się.

- Szykuje się do spania, tak myślę. - Zastanawiał się, jak to zabrzmiało. Wiedział, że gliniarze są szkoleni w programowaniu neurolingwistycznym, czyli gałęzi nauk

behawioralnych, która zajmuje się rozpoznawaniem oznak prawdomówności lub kłamstwa. Kłamiąc, ludzie zwykli poruszać oczami w górę i w prawo, natomiast przeszukując wspomnienia, spoglądają w lewo. Kłamcy również często zasłaniają usta. Podają też za dużo szczegółów, błędnie sądząc, że drobiazgowość równa się prawdzie. W rzeczywistości zdolność zmyślania detali była jakby podłączona do ludzkiego DNA i z pewnością łatwiejsza niż zapamiętanie szczegółów wstrząsającego wydarzenia. Większość prawdomówców ograniczała się do podawania istotnych informacji. Jednak znajomość oznak zdradzających kłamstwo nie oznaczała, że potrafiło się ich uniknąć. Brady dotknął ust, po czym prędko opuścił rękę.

- Chcielibyśmy z nim porozmawiać, jeśli to możliwe - powiedziała.

Z twarzy Brady'ego nie zniknął uśmiech, który z pewnością utwierdzał policjantów w przekonaniu, że rozmawiają z półgłówkiem. Przez cały czas zranioną rękę trzymał uniesioną, jakby prosił o drobne, ale w dłoni pojawiła się tylko kałuża sączącej się z rany krwi.

- Mógłby pan go zawołać?

- A, jasne. - Zawołał Zacha po imieniu, poczekał pięć sekund i zawołał jeszcze raz.

- Gdzie jest pańska żona?

- Zmarła. Osiemnaście miesięcy temu.

- Przykro mi. Przyjaciółka?

Brady potrząsnął głową.

- Nie mam nikogo.

Na nagiej kuchennej posadzce rozległ się odgłos kroków. Po chwili na ścianie korytarza pojawił się rosnący cień chłopca, a potem sam Zach.

- Tak, tato?

Przebrany w piżamę Zach z szeroko otwartymi oczami był kwintesencją dziecięcej niewinności. Tyle tylko, że włosy miał zwichrzone, a kurz ze zburzonej ścianki działowej utworzył szeroki biały pasek w miejscu przedziałka. Brady podszedłby i strzepnął go niby od niechcenia, ale policjantka stanęła między nimi.

- Ty jesteś Zachary?

Skinął głową.

- Kto jeszcze jest w domu?

Zach zrobił przestraszona minę.

- Tylko ja i tata.

- To ty dzwoniłeś na policję?

Zach spuścił głowę.

- Tak, proszę pani.

Dobry chłopiec, pomyślał Brady.

Anderson się odezwał:

- Nie zrobiłeś nic złego, synu. Powiedz nam tylko, dlaczego zadzwoniłeś?

Zach spojrzął na policjanta, potem na Brady'ego i na jego dłoń.

- Tata zrobił sobie krzywdę - zaczął cicho tłumaczyć głosem pełnym skruchy. - Słyszałem, jak krzyczy i biegnie do kuchni. Z ręki leciała mu krew i... - Popatrzył na Brady'ego, zamilkł i znów opuścił głowę.

- W porządku, Zach - zwrócił się do syna Brady. Nagle zdał sobie sprawę, że popełnił ten sam błąd, co niemal wszyscy przestępcy, a który należał do tej samej kategorii, co podawanie zbyt wielu szczegółów. Sfabrykował niepotrzebnie rozbudowaną historyjkę. Dlaczego po prostu nie przyznał się, że to on zadzwonił i że się pomylił? Po co wciągał w to Zacha? Atak mocno nim wstrząsnął, to prawda, ale to żadne usprawiedliwienie. Poczul się głupio, niegodny zaufania syna.

- No i... tata mówił brzydkie słowa, bardzo brzydkie. - Oczy chłopca napotkały wzrok Brady'ego. Łzy zbierały się na dolnych powiekach Zacha. - On nigdy tak nie mówi. Wiedziałem, że stało się coś bardzo złego. I po prostu... złapałem telefon - wyszeptał.

Policjantka uśmiechnęła się do swojego partnera. Potem zwróciła się do chłopca.

- Powiedziałaś, że w domu jest włamywacz?

Pokiwał głową.

- Dlaczego?

- Tata mi zawsze mówi, że tak najłatwiej wezwać pomoc i że wtedy najszybciej przyjeżdżacie.

To była prawda, ale Brady zapomniał, że wspominał o włamywaczu. Zdziwił się, że Zach potrafił tak szybko i sprawnie rozmawiać pod uporczywym wzrokiem policjantów.

Dwóch funkcjonariuszy spojrzęło na Brady'ego. Uśmiechnął się niewinnie.

Ze wzrokiem wbitym w Brady'ego kobieta spytała:

- Dlaczego więc mówiłeś szeptem przez telefon?

Teraz to Brady wyglądał na przestraszonego. Czy chciała przyłapać ich na kłamstwie i przez to pytanie dawała mu do zrozumienia, że wie, kto dzwonił? Nie miał pojęcia, co wyszłoby z jego ust. Zanim jednak zdążył odpowiedzieć, odwróciła się i dodała:

- Zach?

- Tata... Nie chciałem, żeby się złościł, ale wiedziałem, że zrobił sobie krzywdę i potrzebuje pomocy. Ale jak mi pokazał ranę, to nie była taka groźna, żeby aż... do was

dzwonić. - Zacisnął wargi. - Przepraszam.

Anderson zaśmiał się i napięcie uleciało z pomieszczenia jak sprężone powietrze z nagle otwartego naczynia.

- Ostrożności nigdy za wiele, co? - Gdyby glina stał bliżej Zacha, na pewno zmierzwiłby włosy chłopca.

Zach uśmiechnął się blado. Po policzku potoczyła się łza.

Ręka kobiety oderwała się od pistoletu i ścisnęła ramię Zacha.

- Dobrze zrobiłeś.

Brady patrzył, jak jego syn przyjmuje wyrazy otuchy. Czuł, jak wzbiera w nim niepokój, jak leniwy pies, który właśnie podniósł głowę. Chłopiec świetnie kłamał. Brady nie spodziewał się, że zmyślanie przyjdzie Zachowi z taką łatwością. Głupio mu też było, że sam okazał się tak naiwny. Jak tak dalej pójdzie, do północy będzie nosił błazeńską czapkę z dzwoneczkami.

- ...rękę.

Odwrócił się do Andersona.

- Słucham?

- Mówię, że powinien pan opatrzyć tę rękę. - Wyszedł na zewnątrz, a za nim jego partnerka.

W tej scenie w filmie, pomyślał Brady, jeden z policjantów nagle coś dostrzeżę, na przykład wbity w drzwi topór albo wybebeszone zwierzę na werandzie, i mówi: „Chwileczkę, a co to jest?”. Wtedy zabójca wyskakuje z krzaków i morduje wszystkich.

Ale to nie był film. Policjanci skinęli głowami i uśmiechnęli się.

- Dziękuję bardzo - powiedział Brady i zamknął za nimi drzwi. Zwrócił się do Zacha. - Byłeś fantastyczny! Świetny z siebie ak...

Zamiast oczekiwanego szerokiego uśmiechu twarz syna wykrzywił grymas żalu i strachu. Jego wargi drżały, a łzy potoczyły się teraz nieskrępowanym potokiem. Chłopiec wziął głęboki wdech. Z otwartymi ramionami pobiegł do ojca. Brady opadł na kolana, a Zach objął go za szyję. Wtulił twarzyczkę w pierś ojca, jakby szukał w nim ratunku, jakby chciał uciec od świata i skryć się w przystani jego wnętrza. Brady ciasno ogarnął syna ramionami, starając się zamknąć go w swoim uścisku. Wiedział, że krew z jego dłoni plami piżamę chłopca, ale nie obchodziło go to. Potarł policzkiem włosy Zacha, wdychając zapach jego szamponu i pyłu gipsowego.

Cały czas szeptał imię chłopca.

- Już dobrze. Jesteśmy bezpieczni. Nie dopuszczę, żeby coś ci się stało. - Dotarło do

niego, że chłopiec czego innego się obawiał, i dodał: - Nie pozwolę, żeby mnie się coś stało. - Przez długie minuty tulił i pocieszał syna.

Kiedy płacz Zacha ucichł, a chłopiec wciąż wtulał się w pierś ojca, Brady odsunął nieco twarz, żeby mogli spojrzeć sobie w oczy.

- Zabiorę cię do wujka Kurta i cioci Kari - powiedział.

Zach potrząsnął głową.

- Nie - zaprotestował i znów się rozplakał. Kurt i Kari Oakley przed czterema laty przeprowadzili się do Wilmington w stanie Delaware, dwie i pół godziny drogi na północny wschód od Garrisonville. Brady ufał im bezgranicznie. Zachowi się u nich spodoba i będzie bezpieczny. Szanse, że ktokolwiek - nawet w Biurze - o nich wie, były najwyżej znikome.

- Zach, muszę wyjechać i się tym zająć. Muszę się upewnić, że człowiek, który na nas napadł, nigdy więcej nas nie zaatakuje. Rozumiesz?

Twarz chłopca rozpromieniła się.

- Obaj pojedźmy do wujka Kurta. Możemy tam zostać. Nikt nas nie znajdzie. - Pociągnął nosem.

- Chciałbym, synku. Ale na świecie są takie potwory, które nie znikają, kiedy się ich unika. Trzeba je odnaleźć i stawić im czoło.

- Jak Dawid i Goliat - powiedział Zach, ale po brzmieniu jego głosu Brady poznał, że nie chciał, by jego ojciec był Dawidem. Chciał go mieć przy sobie.

- Tak jak oni.

Przytulili do siebie twarze, chłonąc nawzajem swoją obecność. Nic nie pozostało do dodania. Jeszcze raz się uściskali, długo i mocno.

- Teraz idź wrzucić do torby trochę ubrań i szczoteczkę do zębów - polecił Brady. Jego ton zdawał się mówić: Prędko. Nie ma chwili do stracenia.

Zach znów był sobą. Wystartował po schodach, ale zatrzymał się i popędził z powrotem na dół. Brady chwycił go w biegu.

- Co się dzieje? Gdzie idziesz?

- Coco! - niemal wykrzyknął chłopiec.

- Zach! Idź po swoje rzeczy. Ja go poszukam.

Brady wyjął pistolet z sejfu w kuchni i włączył światła na tylnym podwórku. Pamiętał gwałtownie urwane skomlenie psa. Otworzył przeszklone drzwi, minął stół śniadaniowy i wyszedł na brukowane patio. Większość posesji w tej okolicy miało parcele o dużej powierzchni, z której większość znajdowała się na tyłach domu. Wyśmienite dla dzieci. To właśnie dlatego Karen zdecydowała się na ten dom, mimo że jego zakup nadwyrężył ich

budżet. Brady spojrział w stronę oddalonego ogrodzenia, słabo widocznego z powodu mroku i przesłaniających je drzew. Miał nadzieję, że nie będzie musiał zapuszczać się w te ciemności, przynajmniej nie bez wsparcia. Nie odwracając się od ogrodzenia, bokiem przesunął się wzdłuż tyłu domu, cicho nawołując Coco. Dotarł do bocznego parkanu i miał już ruszyć z powrotem na drugą stronę patio, kiedy dostrzegł coś nienaturalnie połyskującego. Ciemny, wilgotny kształt na liściach bukszpanu. Dotknął go i podniósł dłoń do światła. Była czerwona... Splamiona krwią. Ukląkł na ziemi z obawą, jakiej nie czuł od momentu powrotu do domu, by spojrzeć w oczy Zachowi po tym, jak funkcjonariusze wreszcie oderwali jego ramiona od leżącego na poboczu ciała Karen.

- Coco? - wyszeptał.

Opuścił głowę. Wstrzymał oddech. Było ciemno, ale dostrzegał pod gałęziami beżową sierść shi tzu. Nie unosiła się rytmicznie, jak wtedy, gdy zwierzę spało w nogach Zacha. Wyciągnął zdrową dłoń i dotknął futra, przyciskając delikatnie, jakby chciał go obudzić. Żadnej reakcji. Otoczył psa dłonią, by go podnieść, ale jego palce zagłębiły się w czymś mokrym i ciepłym. Towarzyszył temu odgłos, jakby ktoś chodził po błocie. Szarpnął rękę do tyłu, cała pokryta była krwią. Lepiły się do niej liście i ziemia. Głośno wypuścił powietrze. Zanim zdążył pomyśleć, zaczął uporczywie, raz za razem, wycierać dłoń o trawę. Jeszcze raz spojrzął na kupkę futra.

- Przykro mi, przyjacielu - wyszeptał.

Odchylił głowę, żeby popatrzeć na okno na piętrze, bezpośrednio nad jego głową. Żaluzje były zaciągnięte. W sekundę zdecydował skłamać, że nie udało mu się znaleźć Coco. Zach nie będzie chciał wyjechać bez psa, ale Brady przekona go, że Garnerowie z domu obok poszukają go i przyjmą do siebie na kilka dni.

Niedługo po śmierci Karen Brady siedział na sofie w salonie ze szklanką whisky w dłoni i czuł się kruchy jak popękana porcelanowa lalka. Wiedział, że jeszcze przez długi czas nie zniesie kolejnego ciosu. Nie miał pojęcia, co mogło się zdarzyć, gdyby został mu zadany - może miałby atak serca, albo popełniłby samobójstwo, albo postradał zmysły. Teraz zdał sobie sprawę, że czas nie złagodził jego poczucia kruchości. Napaść na niego i Zacha sprawiła, że był rozdygotany, o krok od załamania. Jednocześnie fakt, że Zach był w to zaangażowany, dostarczał mu woli, by być silnym, by doprowadzić sprawę do końca. Później mógł się rozpaść, i pewnie tak się stanie, ale najpierw upewni się, że Zach jest bezpieczny.

Brady nie do końca wierzył w tę odporność, którą chłopiec zdawał się wykazywać. Głęboko w środku jego syn musiał mieć te same pęknięcia co on.

Nie chciał dzisiaj sprawdzać tej teorii. Nie zamierzał zrzucić trupa Coco na jego hart

ducha i patrzeć, czy się rozpadnie.

Dźwignął się na nogi, bezwiednie wycierając dłoń o spodnie. Czując się pięćdziesiąt kilo cięższy, niż kiedy wychodził, powłókł się z powrotem do domu. Skupił się na dwóch palących potrzebach: wyszorować ręce i czym prędzej się stąd wynosić.

*

Z wnętrza furgonetki zaparkowanej dwie przecznice dalej Olaf obserwował dwoje funkcjonariuszy opuszczających dom Moore'a. Wydał z siebie słyszalne westchnienie i odpowiedział mu szelest z tyłu samochodu. To psy podniosły łby ze sterty śmieci, żeby skierować na swojego pana ciekawskie spojrzenia. Choćby nie wiem, jak ustawiał ostrość lornetki, policjanci i wóz, a nawet dom były niewyraźne. Problemem nie był sprzęt, ale jego oczy. Opary chemiczne, których niedoszła ofiara użyła, by powstrzymać atak, dały mu się we znaki. Gliniarze zeszli z werandy i drzwi frontowe się zamknęły. Olaf opuścił lornetkę i potarł oczy rękawami. Będzie musiał kupić krople do oczu... i pastylki do ssania - jego gardło było wysuszone i piekło.

Rozległ się kolejny szelest i pysk Frei trącił jego biodro. Podrapał ją po łbie i za uszami.

- Co ty na to? - spytał. - Całkiem sprytnie cię odstraszył, nie? - Uśmiechnął się. - Naprawdę sprytnie.

Znów podniósł lornetkę. Dom wydawał się pogrążony w ciszy. To dziwne. Spodziewał się najazdu policji. Zastanawiał się, czy to nie pułapka, czy oddziały uzbrojonych mężczyzn wkradły się od tyłu, kiedy on obserwował front domu i czekały teraz na jego powrót.

Bogowie oszczędzili Brady'ego Moore'a i jego syna - przynajmniej na razie. Ale wyrok śmierci nie został uchylony, więc musi jeszcze raz ich zaatakować. Musi wypełnić nakaz. Rozróżnianie woli Odyna od własnych pomyłek nie zawsze było łatwe. Ojciec bogów zawsze realizował swoją wolę, ale Olaf miał sporo rzeczy do przemyślenia: co zrobił źle? Dlaczego jego misja się nie powiodła? Oczywiście niewystarczająco cicho podszedł do domu. Dzięki temu ofiary miały czas, żeby przygotować obronę. Musiał popracować nad działaniem z ukrycia. Co jeszcze? Ocena sytuacji. Teraz sądził, że zbyt szybko się wycofał. Ofiary były w zasięgu wzroku, ale dał się przepłoszyć syrenom. Wystarczyło jeszcze trzydzieści sekund. Powinien był zostać jeszcze pół minuty.

Mocniej zacisnął powieki. Łzy zmoczyły rzęsy i kołysy pieczenie rogówek. Sięgnął dłonią w dół i pociągnął dźwignię, która opuszczała siedzenie.

Co byś zrobił, Odynie? - pomyślał. - Kiedy wykonałbyś ruch?

Wyobraził sobie siebie leżącego na brzuchu przed bramą Valhalli. W tym wzniosłym miejscu był nikim, zaledwie pchłą do rozdeptania. Ale szukał rady, więc uniżył się jeszcze bardziej: był ziemią na sandale Odyna, nawet nie żyjącą istotą, oto, czym był. Jeszcze niżej... Ukorzył się... niżej...

Wtedy to poczuł: powiew wiatru na twarzy i huk w powietrzu, który przeszywał go aż do kości. Wrota się otwarły. Odyn zaszczyił go swoją obecnością. Umysł Olafa stawał się coraz bardziej zaćmiony, zmierzając w stronę kompletnej ciemności. Odyn wciągał go do Świętej Komnaty.

Niezdolny już do fizycznego wypowiedania wyrazów dobywał z siebie teraz ogłuszające słowa tam, gdzie wzbijał się jego umysł. Niemal nieprzytomny zatopił się w gorączkowej modlitwie.

44.

Alicia wyrznęła czołem w krawędź drzwi, które się zatrzasnęły. Uderzenie ją ogłuszyło. Napastnik owinał ramię wokół jej szyi, nadal zamierzając ją udusić. Zamarkował ucieczkę, żeby schwytać ją w zasadzkę, kiedy puści się za nim w pogoń. Alicia czuła, że ręka zaciska się wokół jej szyi jak pętla sznura. Natychmiast chciała odkaszlnąć, ale nie była w stanie. Ucisk odciął całkowicie dopływ powietrza i uniemożliwił wydanie jakiegokolwiek dźwięku. Jej wrzask rozległ się jedynie w audytorium jej umysłu. Był przeszywający i donośny. Wbiła paznokcie w przedramię napastnika, po czym oplótła jego nadgarstek obiema dłońmi. Ciągnęła z całych sił, ale mimo wysiłków ucisk na jej gardle nie osłabł ani trochę.

Ramię zacisnęło się jeszcze silniej. Alicia wyobraziła sobie swoją krtań miażdżoną pod naporem. Gdyby do tego doszło, to nawet jeśli udałoby się jej uwolnić, udusiłaby ją zdławiona tchawica: Patrz, mamó! Bez trzymanki!

Podejrzewając, że napastnik spodziewa się oporu, podniosła nogi, oparła je na drzwiach i zaczęła przesuwac je w górę, jedna za drugą. Często najskuteczniejsze chwyt w walce wręcz były sprzeczne z intuicją. Kiedy atakujący lub pojmany szarpie lub wykręca kończynę ofiary, większość ludzi broni się, usztywniając mięśnie lub działając siłą w przeciwnym kierunku. To jeszcze wzmacnia moc ataku. W większości przypadków lepszą reakcją byłoby nie stawiać oporu sile napastnika, nie dając mu w ten sposób punktu podparcia. „To tak, jakby popychać linę” - wyjaśnili w akademii spece od szkoleń walki wręcz.

Gdyby jej napastnik to wiedział, cofnąłby się w momencie, kiedy jej bosc stopy zaczęły się wspinać po drzwiach. Straciłaby punkt podparcia i nogi opadłyby znów na podłogę. On zamiast tego zachował się jak typowy tępy brutal: postanowił nie ustąpić jej ani na krok. Jej bosc stopy wzniosły się aż nad głowę i odepchnęła się od drzwi, przenosząc ciało ponad napastnikiem. Siłą tego przewrotu, a także dzięki mięśniom szyi i górnej połowy ciała udało jej się uwolnić z dławiącego uścisku. Mężczyzna upadł do tyłu w momencie, kiedy jej nogi szybowały już w dół. Dotknęła stopami dywanu w tej samej chwili, co jego głowa, która znalazła się dokładnie między nimi. Wiedziała, że powinna dźwignąć się w górę i uderzyć go kolanem w pierś, ale po prostu nie miała na tyle energii. Płuca rozpaczliwie walczyły o powietrze. Umęczone, ściśnięte gardło nie chciało go wpuścić, po chwili jednak ustąpiło.

Przez jej tchawicę zaczęły płynąć odłamki szkła.

Napastnik wyciągnął w górę rękę, żeby ją chwycić, wbijając ostre paznokcie w jej udo. Rzuciła się w dół, tak manewrując ciałem, żeby kolanem wylądować na jego szyi. Przewidział jej ruch i przeturlał się na bok. Kolano ześliznęło się po jego ramieniu i twardo uderzyło o podłogę. Poderwała się, zwracając w kierunku łazienki.

Gdzie jej broń? Schował ją czy miał przy sobie? Nie było czasu, żeby się rozglądać, ale w pokoju były inne przedmioty, których mogła użyć w samoobronie.

Zrobiła krok, a napastnik złapał ją za kostkę. Przewróciła się. Ręką zaczepiła o marynarkę rzuconą na krawędzi łóżka. Padła na podłogę, a nakrycie wylądowało na jej głowie. Poczula raczej, niż usłyszała głucho uderzenie spadającego przedmiotu, który wcześniej odpięła od paska i rzuciła na marynarkę. Odrzucając żakiet zauważyła w zasięgu ręki skórzane etui. Chwyciła je i odpięła jednym ruchem kciuka.

Napastnik zaczął się wspinać po jej nogach, czepiając się to jedną, to drugą ręką.

Wyciągnęła z etui metalowy cylinder, podobny do wałka podajnika papieru toaletowego, tyle że znacznie cięższy. Wykonała obrót i wyrzuciła przedmiotem w szponiastą dłoń wczepioną w jej prawy bok. Ręka otwarła się. Napastnik syknął z bólu, obnażając dwa rzędy kłów, za którymi zionęła czarna otchłań. Drugą ręką trzymał ją za lewe udo. W nią również Alicia wymierzyła cios metalowym cylindrem.

Syk przemienił się w wycie. Zaczęła kopać go po twarzy i ramionach, jednocześnie odsuwając się, żeby wydobyć się spod niego. Podnieśli się równocześnie, jak przeciwnicy szykujący się do kolejnej rundy.

Zlustrował wzrokiem walec, który trzymała w dłoni, i roześmiał się.

- No dalej - zaskrzeczał cienko i chrapliwie.

Alicji przyszła na myśl hiena. Tak, ta kreatura była podobna właśnie do hieny.

- Gaz pieprzowy mi nie szkodzi.

- To całe szczęście, że nie mam go ze sobą - odpowiedziała. Wykonała błyskawiczny ruch nadgarstkiem. Jakby za sprawą czarów, z dźwiękiem wyjmowanej z pochwy szabli, metalowy kołek zmienił się w długą na blisko metr czarną pałkę policyjną. Gdyby zmieniła go w gołębia, zdziwienie napastnika nie mogłoby być większe. Nie cofając dłoni dla lepszego zamachu - taki ruch zdradziłby również jej zamiary - Alicia zadała cios. Pałka trafiła w bok głowy mężczyzny, który nie tyle upadł, co sfrunął na łóżko. Ciało odbiło się od materaca i zważyło bezwładnie na podłogę.

Uderzenie wywołało nową błyskawicę bólu w jej przedramieniu, przypominając jej, że ciało miała aż do kości przetrzięte garotą. Pałka wypadła z jej osłabionej dłoni. Odbiła się od

podłogi, a Alicia z powrotem złapała ją w locie. Odsunęła rękę za głowę, gotując się do kolejnego ciosu. Wbrew jej oczekiwaniom, napastnik nie poderwał się na nogi, więc czekała.

Lewą nogą zrobiła krok do tyłu i przeniosła biodra ponad nią, tak by drugą, wolną nogą mogła wyprowadzić kopnięcie lub wykorzystać ją w obrocie-uniku. Była to standardowa postawa znana w taekwondo pod nazwą fugal sogi. Zdała sobie sprawę, że kilka z zastosowanych przez nią uników pochodziło z jej treningu sztuk walki, chociaż nie przywoływała ich świadomie. Trenerzy w akademii do znudzenia powtarzali, jak ważne są instynktowne i poprawne reakcje w ferworze walki. Co za tym idzie, zmuszali uczniów do ćwiczenia tych samych ruchów w nieskończoność, aż weszły im w krew. Aż do tego momentu nie umiała w pełni docenić znaczenia tych powtórzeń.

Hiena nadal się nie ruszał, więc Alicia zbliżyła się i kopnęła go w łydkę. Żadnej reakcji. Wycelowała pałkę w jego ciało jak rapier. Dźgnęła go w żebra. Nadal nic. Przełożyła broń do lewej ręki. Ostrożnie pochyliła się nad ciałem i wepchnęła prawą dłoń w fałdy płaszcza pomiędzy barkiem a głową, aż dotknęła szyi. Pod palcami wyczuła rytmiczny puls. Był nieprzytomny, ale żył. Szkoda. Wstała i stopą przewróciła go na plecy. Teraz widoczna była część głowy, która przyjęła cios. Biegła przez nią dziesięciocentymetrowa pręga, tak wydatna jak jego kości policzkowe, a na niej podłużna rana, z której krew sączyła się na włosy.

Najpierw go skrępuj, pomyślała, dostrzegłszy swoją torebkę, gdzie trzymała kajdanki. Potem znajdź broń i opatrz ramię.

Robiąc to, zastanawiała się, co dalej począć z Hieną. Przyszło jej do głowy coś, co uznała za genialne i całkowicie, zupełnie szalone. Była zachwycona.

45.

Autostrada Anacostia biegnąca na północ od Garrisonville była jak elektrokardiograf na pulsującym sercu ludzkiej różnorodności. Farmy i lasy oddawały jej spokojny, niespieszny wymiar. Wszystko zatopione było w ciszy i bezruchu. Co jakiś czas światło palące się na werandzie w oddali oświetlało dom, gdzie wszystkie inne lampy gasły wcześniej, a mieszkańcy pogrążeni byli w głębokim śnie. Potem serce znów zaczęło bić i pojawiło się miasto pełne zgiełku i gwaru skąpanego w blasku lamp sodowych. Bum-BUM, bum-BUM. Farmy-miasto, odludzie-tłok.

Brady ścigał swoje przednie reflektory po linii EKG. W miastach starał się nie przekraczać dozwolonej prędkości o więcej niż dziesięć kilometrów na godzinę. Większość gliniarzy ścigała takich, którzy przekraczali o piętnaście. Na wiejskich terenach dociskał gaz, sądząc, że nie są na tyle atrakcyjne, by zapewnić wyżłom z drogówki wystarczająco duże zbiory.

Zerknął na Zacha siedzącego w fotelu pasażera, pogrążonego w głębokim śnie. Nie było jeszcze dziewiątej, ale Brady z doświadczenia wiedział, jak bardzo wyczerpujący jest nadmierny stres. Chłopiec oparty był o drzwi, a pod głową miał swój zwinięty kocyk. Nogi podkulił blisko tułowia. Oddychał powoli i głęboko.

Toyotą highlander podróżowało się łatwo i komfortowo. Ale dzięki temu miał dużo czasu na myślenie, a to było ciężkie. Przeanalizował już, z jakich powodów zabójca Pelletier mógł chcieć ich śmierci. Nie sądził, żeby razem z Alicią odkryli aż tyle, żeby mu zagrozić. Chyba że byli bliżej rozwiązania, niż im się wydawało. Nawet jeśli tak było, skąd zabójca miał o tym wiedzieć? Czy to możliwe, żeby morderca wziął go na cel po prostu dlatego, że miał władzę? A może Brady posiadał jakąś cechę, której sprawca poszukiwał w swoich ofiarach, którą mieli też tamci? Najbardziej niepokojącą możliwością była ta, która wystraszyła Alicię: że ktoś kontroluje poczynania zabójcy, ktoś, kto zna intymne szczegóły z życia i działań Brady'ego. To doprowadziło go z powrotem do początkowego pytania: dlaczego ktoś chciałby jego śmierci? Błędne koło pytań doprowadzało go do szaleń.

Sięgnął do schowka i otworzył go. Wyjął metalowy przedmiot wielkości niedużej książki i zamknął klapkę. Podniósł go do światła rzucanego przez reflektory jadącego za nim samochodu. Chromowa piersiówka. Z przodu staroangielskim liternictwem wygrawerowane

były jego inicjały BDM. Dostał ją od Karen z okazji rocznicy. Uznała, że to idealny prezent, jednocześnie osobisty i niepraktyczny, skoro Brady tak rzadko pił alkohol. W tamtych czasach lubił czasem wzmocnić swoją kawę kilkoma kroplami. Nie miała pojęcia, że piersiówka stanie się przedmiotem codziennego użytku. Kciukiem odkręcił zakrętkę i wyjął zatyczkę przymocowaną na zawiasie. Podniósł flaszeczkę do nosa i skrzywił się. Jim beam.

Obecność Zacha tuż obok ciążyła na jego sumieniu tak, jak ciała niebieskie przyciągają mniejsze obiekty w swoje pole grawitacyjne. Nie spojrzął ponownie na śpiącego chłopca, ale Zach zaprzętał teraz jego myśli jeszcze bardziej niż kiedy opuszczali dom. Piersiówka zawierała coś więcej niż tylko whisky, była pełna kwasu, który mógł przeżreć jego rodzinę - tę, która mu pozostała - jego karierę, przyszłość jego syna.

Przynajmniej się nie wypieram, pomyślał i pociągnął niewielki łyk. To aspiryna, nic innego tylko łyk aspiryny w płynie.

Rozwazał właśnie, czy napić się jeszcze - weź dwie tabletki-łyki i zadzwoń rano - kiedy poczuł wibracje komórki. Telefon wystawał z nieużywanej popielniczki. Kilka leżących na dnie monet zagrzechotało metalicznie do wtóru wibracji. Podniósł komórkę i spojrzął na wyświetlacz: NUMER NIEZNANY. Kciukiem wcisnął guzik połączenia.

- Halo? - odezwał się z cicha.

- To ja - odparł głos Alicii.

- Oddzwonię ze stacjonarnego.

Wyrecytowała numer telefonu hotelowego.

- Jestem w pokoju 522, ale spiesz się, bo będę zmieniać pokój.

Powstrzymał ciekawość, rzucił:

- Daj mi pięć minut - i rozłączył się.

Jeśli ktokolwiek z Biura napuścił na niego mordercę, Bóg jeden wiedział, do czego jeszcze się posunie, żeby dopiąć swego. Śledzenie połączeń wykonanych z konkretnego telefonu komórkowego było dla FBI tak zwyczajowym działaniem, jak lunchy biznesowe dla cywilnych firm. A namierzenie dokładnego położenia komórki było jeszcze łatwiejsze, niż twierdzili powieściopisarze paranoicy. Sygnał każdego telefonu odbierany był przez kilka z wież przekaźnikowych, którymi usiany był krajobraz. Wieża znajdująca się najbliżej komórki odbierała najsilniejszy sygnał, dzięki czemu można było umiejscowić połączenie. Mierząc moc sygnału we wszystkich odbierających transponderach - za pomocą programów znajdujących się już w intensywnym użyciu przez niezliczone agencje rządowe - można było dokonać triangulacji telefonu z dokładnością do trzydziestu centymetrów, nawet jeśli znajdował się w ruchu.

Minął znak drogowy ogłaszający różnorodność udogodnień, które czekały za następnym zjazdem. Nie był wybredny. Zjechał z autostrady i odnalazł stację benzynową z automatem telefonicznym. Miał kartę telefoniczną, ale nie chciał z niej korzystać. Przed wyjściem z domu wygarnął pełną garść ćwierćdolarówek z wypełnionego monetami wielkiego słoja po majonezie na toaletce. Wepchnął w otwór osiem czy dziesięć miedziaków i wybrał numer. Kiedy zgłosiła się centrala hotelowa, poprosił o połączenie z pokojem 522.

- Jak nazywa się gość? - zapytała recepcjonistka.

- Wagner.

Usłyszał na linii kliknięcie i pojedynczy sygnał.

- Tak?

Z pewnością ona, ale Brady i tak się upewnił:

- Alicia?

- Nie poznajesz?

- Może powinniśmy mieć jakiś hasło. Może być „zdumiony”?

- Mało zabawne. Niech będzie „Morgan”. Mówisz: „Czy jest Morgan?”.

Zdał sobie sprawę, że nie żartowała.

- Morgan?

- Tak, nazwy własne świetnie nadają się na hasła. Jeśli wszystko jest okay, odpowiadamy: „przy telefonie”. A jeśli coś jest nie tak, na przykład nie możesz swobodnie rozmawiać albo podejrzewasz, że linia jest na podsłuchu, albo mówisz pod przymusem, użyj słowa „zły”. Na przykład „Wykręciła pani zły numer”. Dobra?

- Jesteś pewna, że to konieczne?

- Ktoś cię napadł dziś wieczór.

- Sądziłem tylko...

- I mnie też.

Cisza. W końcu Brady się odezwał:

- O czym ty mówisz?

- Ktoś - Głos się jej załamał. Zgrywała twardziela, ale cokolwiek się wydarzyło, musiało nią niezłe wstrząsnąć. Ponowiła próbę. - Ktoś włamał się do mojego pokoju. Próbował mnie zabić.

- Alicia... - Nie wiedział, co powiedzieć. Serce ścisnęło mu się w piersi, a jego żołądek zaczął jakimś sposobem luźno podskakiwać i przemieszczać się wewnątrz. To samo czuł, ilekroć pomyślał o niebezpieczeństwie, jakiego dziś ledwie uniknął Zach. Oparł się ramieniem o budkę. - Nic ci się nie stało?

- Będę żyć - odparła. - Słuchaj, chciałam tam jechać, ale teraz muszę się tu zająć pewnymi sprawami. Możesz przyjechać do Nowego Jorku?

- Już jestem w drodze. Za trzy godziny będę.

- Nic więcej nie mów. Nie przychodź do mojego pokoju. Idź na półpiętro klatki schodowej na trzecim piętrze. Zostawię tam coś dla ciebie.

Czuł się jak Dorotka porwana przez cyklon. W każdej chwili mógł zostać rzucony do nieznaney krainy, gdzie wszystko było możliwe.

- Brady? - szepnęła Alicia.

- Jestem.

- Bądź ostrożny - powiedziała i odłożyła słuchawkę.

*

Alicia siedziała na łóżku w pokoju 522 plecami wsparta o poduszki spiętrzone u wezłowia. W rogu pokoju rozciągnięty na podłodze, przykuty kajdankami do masywnej nogi systemu klimatyzacyjnego leżał nadal nieprzytomny napastnik. Właściwie nie nadal, poprawiła się, a ponownie. Dziesięć minut temu poruszył się i zaczął jęczeć. Nie była jeszcze na niego gotowa, dlatego znowu poczęstowała go pałką. Popatrzyła na budzik na nocnym stoliku. Przed trzydziestoma minutami zatelefonowała po starego znajomego. Powiedział, żeby dać mu godzinę. Podejrzewała, że do tego czasu Hiena nie będzie sprawiać kłopotów.

Przed rozmową z Bradym wykonała kilka telefonów do innych pokoi w hotelu. Na łóżku pomiędzy jej nogami leżał notes z listą numerów. Marriott Times Square wznosił się na dwadzieścia dwa piętra. Na każdym mieściło się od dwudziestu do czterdziestu pokoi w zależności od tego, czy były tam też inne pomieszczenia jak sale konferencyjne, bary, siłownie czy rozległe apartamenty. Pierwsza lub dwie pierwsze cyfry każdego numeru oznaczały piętro, na którym znajdował się pokój. Jej pokój był na piątym piętrze. Dwadzieścia kondygnacji wyżej mieścił się, jak podejrzewała, pokój 2522. Dzwoniąc na recepcję i udając wsiową turystkę oszołomioną ogromem hotelu, dowiedziała się, że pokoi było 1528. Oraz że jej kuzynka, która miała przylecieć później tego wieczora, a nie zrobiła rezerwacji - „Przysięgam, ta kobieta by własnej głowy zapomniała!” - mogła być spokojna: nie był to szczyt sezonu i Marriott miał mnóstwo wolnych pokoi.

Wiedziała, że większość hoteli starało się wynajmować pokoje blisko siebie, więc często całe piętra były wolne od gości.

Spojrzała w notatki, żeby przypomnieć sobie, na czym skończyła, i wybrała numer 3314. Nasłuchiwała sygnału. Dochodziła dziewiąta wieczór, nie najlepszy moment na poszukiwanie pustego pokoju. Jeśli nikt nie odbierał, mogło znaczyć, że goście są na kolacji,

oglądają przedstawienie na Broadwayu albo korzystają z jednej z dziesięciu tysięcy wieczornych rozrywek, które oferował Nowy Jork. Rozłączyła się i wystukała 3316.

- Taa? - odezwał się opryskliwy głos.

- Przepraszam, pomyłka. - W notesie zapisała „3314/3316”. Przekreśliła „3316”. Wzięła głęboki wdech i wybrała 3414. Kiedy nikt nie odebrał, spróbowała 3416. Bez odzewu, wybrała więc 3412. Zdyszana kobieta podniosła słuchawkę, sprawiała wrażenia, jakby spodziewała się telefonu. Ale nie od Alicii.

Dwanaście minut i piętnaście piętér później znalazła pusty korytarz. Nikt nie odebrał telefonu w żadnym z pokoi od 4910 do 4929. Dałaby sobie rękę uciąć, że pokoje by puste nie dlatego, że akurat wszyscy ich mieszkańcy korzystali z uroków Nowego Jorku, ale ponieważ hotel celowo nie umieszczał tam gości.

- Pański pokój jest gotowy - zaświergotała przesłodzonym głosem. Człowiek na podłodze nawet nie drgnął.

Ostrożnie powiodła palcami po ręczniku, którym owinęła zranione ramię. Był ciepły i lepki. Na koniuszkach jej palców została krew. Znów przemókł. To już trzeci raz. Jej przyjaciel będzie umiał zatrzymać krwawienie. Apollo był przecież lekarzem, choć od dawna nie praktykował medycyny. Jego drugi fach - ten, dla którego chciała go ściągnąć - był znacznie bardziej dochodowy i, jak sam twierdził, przyjemniejszy. Patrzyła na grę światła w karminowych plamach połyskujących na opuszkach palców i żałowała, że nie wspomniała o swoich obrażeniach. Podczas rozmowy z Apollem bardziej martwiła się o Hienę i o to, co z nim zrobić. Uśmiechnęła się na myśl o tym mimo supłów, które czuła w żołądku.

46.

W drodze do domu Oakleyów w Wilmington Brady kilkakrotnie zbaczał z autostrady. Chociaż bardzo nie chciał tracić czasu, jadąc dłuższą drogą, musiał się jednak upewnić, że nikt ich nie śledzi. A nic nie sprawdzało się lepiej niż długie i kręte wiejskie drogi. W pewnym momencie zatrzymał się, wysiadł i przyjrzał się niebu. Nie było helikopterów. Po dwóch godzinach jazdy po dwuipółgodzinnej trasie zaczął kląć pod nosem i skręcił w najbliższy zjazd. W zaciemnionej zatoczce myjni samoobsługowej wyjął ze schowka latarkę i wczuł się pod samochód. Sprawdził wszelkie typowe miejsca, gdzie umieszcza się urządzenia śledzące, ale żadnego nie znalazł. Potem zaczął szukać na oślep, ale znów bez rezultatów. Nie miał skanera, który jednoznacznie potwierdziłby obecność lub brak urządzenia namierzającego, ale kiedy ponownie wgramolił się na siedzenie kierowcy, czuł pewność, że gdyby coś tam było, znalazł by to.

Zastartował silnik i Zach się przebudził. Brady spojrział na chłopca, który potarł swoją twarzyczkę, przeciągnął się i zamrugał powiekami, strącając z nich resztki snu. Uśmiechnął się, kiedy popatrzył na ojca. To dodało Brady'emu otuchy. Wiedział, że jego obecność jest pocieszeniem dla syna. Nie chciał zawieść jego zaufania.

Zach wyjrzał przez okno na ściany myjni i na zamknięty supermarket po przeciwnej stronie ulicy.

- Gdzie jesteśmy? - zapytał.

- Jakieś pół godziny od wujka Kurta.

- To jest myjnia?

- Tak, pomyślałem, że go trochę opłuczę, żeby ładnie wyglądał. Ale wąż nie działa.

Zach spojrział na niego, nie wierząc w ani jedno słowo.

- Głodny? - spytał Brady. Z tyłu leżała paczka chipsów.

Zach potrząsnął głową i oblizał usta.

- Pić mi się chce.

Brady sięgnął za siebie i namacał butelkę wody z kranu, którą zabrał razem z chipsami, i podał ją Zachowi.

- Potrzebujesz iść do łazienki?

Zach musiał się zastanowić.

- No.

- Dobra, znajdziemy jakieś miejsce. A potem prosto do wujka Kurta i cioci Kari.

A potem do Nowego Jorku i Bóg jeden wie, gdzie dalej, dodał w myśli.

- Wiedzą, że przyjeżdżamy? - zapytał Zach.

- Dzwoniłem do nich z budki. Już nie mogą się ciebie doczekać. Jak tylko wujek powiedział chłopakom, zaczęli krzyczeć z radości.

Zach się uśmiechnął.

Brady zawahał się, po czym ciągnął dalej:

- Posłuchaj, Zach. Nie powiedziałem im o tym człowieku, który nas dzisiaj zaatakował. Nie chcę ich straszyć.

Chłopiec skinął głową.

- To nasza tajemnica.

Brady odetchnął z ulgą i wyjaśnił resztę planu.

- Powiedzmy po prostu, że ze względu na pracę muszę wyjechać z miasta, a nasza zwykła opiekunka nie mogła przyjść, więc pomyśleliśmy, że to będzie dobry moment na wizytę. - Właściwie tę historijkę Brady zdążył już opowiedzieć Kurtowi.

Zach spuścił oczy, wydymając usta.

- Synku, wiem, że nie lubisz kłamać. I to jest wspaniała cecha. Ale to nie jest zwyczajna sytuacja. Boję się, że gdyby wiedzieli prawdę, staraliby się jakoś pomóc. Może zadzwoniliby na policję albo próbowali dodzwonić się do mnie w Biurze. A wtedy bandyci mogliby się dowiedzieć, gdzie jesteś. - Brady na chwilę się zatrzymał. Nienawidził się za to, co miał zaraz powiedzieć, za ponowne wzniesienie strachu w sercu chłopca.

- Zach, oni mogą znów po ciebie przyjść. I następnym razem może im się udać.

Łza stoczyła się z oka Brady'ego. Nie zdawał sobie sprawy, że tam była, nie wiedział nawet, jak bardzo sam był wzburzony. Pomyślał, że uczucie straty i rozpacz towarzyszyło mu tak długo, gdzieś pod powierzchnią, że się do niego przyzwyczyił. Uśmiechnął się i otarł łzę.

Zach nie odpowiedział uśmiechem. Jego wielkie, ciemne oczy śledziły ścieżkę spływającej łzy Brady'ego. Mężczyzna spodziewał się, że chłopiec może sięgnąć ręką i otrzeć kroplę. Zamiast tego Zach spojrzał ojcu w oczy.

- Boisz się, że mogą zrobić krzywdę wujkowi Kurtowi i cioci Kari, i innym? - zapytał.

- Boję się... - Brady przełknął ślinę. - Boję cię, że skrzywdzą cię.

- A bałeś się też o mamę? Zanim zginęła?

Zastanowił się przez chwilę.

- Nie, właściwie nie. Może tylko w jakiś nieokreślony sposób. Obawiałem się wypadków drogowych i złych ludzi, ale chyba nie rozumiałem, że można stracić coś tak cudownego. Stracić tak po prostu, bezpowrotnie. - Wyjrzał przez szybę. Wszystkie widoczne kształty, znaków drogowych, drzew, supermarketu, miały odcienie szaroniebieskie. Wyobraził sobie świat, który zawsze i wszędzie tak wygląda. Wyłącznie szarość o różnym nasyceniu, z domieszką błękitu. Odwrócił się znowu do syna. - Nie chcę stracić i ciebie.

Zach pochylił się nad deską rozdzielczą i próbował objąć ojca. Brady również nachylił się do niego i uścisnęli się.

- Ja też nie chcę cię stracić - powiedział Zach. Uwolnił ojca z objęć i odsunął tak, żeby móc go widzieć. Oczy miał suche, słowa Brady'ego nie spowodowały płaczliwości chłopca, za to wzbudziły w nim determinację.

- Więc obaj będziemy uważać, żeby nic nam się nie stało, dobrze? Nie powiem wujkowi Kurtowi i cioci Kari o tamtym człowieku i jego psach. A ty... a ty nie pozwolisz, żeby oni cię dopadli. Dobra? - oświadczył Zach mocnym tonem.

Brady potrząsnął głową.

- Nigdy nie przestajesz mnie zadziwiać.

- Umowa stoi? - Zach wyciągnął rękę, nie dając za wygraną. Brady ją uścisnął.

- Stoi.

Brady wrzucił bieg, wycofał samochód z myjni i ruszyli na poszukiwanie sklepu całonocnego.

*

Czterdzieści minut później weszli do salonu Oakleyów. Palilo się więcej świateł, niż było potrzebne, i Brady wiedział, że Kari włączyła je, żeby dom wydawał się bardziej zachęcający. Taylor, który urodził się w tym samym tygodniu co Zach, specjalnie nie położył się do łóżka o zwykłej porze, żeby przywitać przyjaciela. Tryskał pomysłami na wspólne spędzenie czasu od pieczenia przysmaków przy ognisku po strzelanie z pistoletów zabawek. Natychmiast wyżalił się, że rodzice kazali mu się bawić z młodszymi braćmi, „ale jak zaczną nas wkurzać, to...”.

- Taylor! - zganiała go mama.

Brady nie był pewien, czy rozdrażnił ją język czy groźba w głosie syna.

- Może pokażesz Zachowi swój namiot? - zaproponowała ze śmiechem.

Taylor złapał przynętę.

- Chcesz zobaczyć mój namiot? Możemy tam spać!

- Yyy... - Zach zwrócił oczy na Brady'ego.

- Pędź. Przyjdę się pożegnać.

Zach się zgodził i pobiegł za Taylorem. Ku zdziwieniu Brady'ego zamiast wybiec przez tylne wejście, pognali schodami na piętro.

Kari uśmiechnęła się widząc jego minę.

- Rozstawił namiot w swoim pokoju.

- Jest naprawdę fajny - roześmiał się Kurt.

Oboje lubili się śmiać, czasem z rzeczy, których Brady nie rozumiał. Ale byli wspaniałymi ludźmi. Razem z Karen ustalili, że to im powinna zostać przyznana opieka nad Zakiem w razie śmierci obojga rodziców. Wtedy wydawało się to możliwością wręcz iluzoryczną, teraz coraz mniej nieprawdopodobną. Brady nadal uważał, że to byłoby najlepsze miejsce dla jego syna. Może nauczyłby się dużo śmiać? Nie było to najgorsze, czego można nauczyć dziecko.

- Brady! - wykrzyknęła Kari. - Co ci się stało? - Podniosła jego dłoń i obejrzała bandaż. - Ciągłe krwawisz.

- A tak, kroilem szynkę - wyjaśnił Brady cicho. - Nie jest tak źle, jak wygląda.

- Mam gazę - powiedziała, kierując się na tył domu.

- Nie, naprawdę nie trzeba - zaproponował. - Za jakiś czas się zagoi.

Sceptycznie zmierzyła go wzrokiem.

Kurt wyjrzał przez okno na SUV-a.

- Jest tam Coco?

- Nie znaleźliśmy go, a trzeba było jechać.

Kari westchnęła z rozdrażnieniem.

- Chyba nie zostawiliście psa samego w domu!

- Wybiegł na zewnątrz i...

- Na zewnątrz? Zostawiłeś go poza domem?

- Ostatnio często wymyka się z ogrodu. Kiedy nikogo nie ma w domu, a on sterroryzuje już sąsiadów, przychodzi do domu obok. Nic mu nie będzie.

Nic dziwnego, że tylu ludzi kłamie, pomyślał. To łatwe.

Kari dobrodusznie potrząsnęła głową i zaprosiła go do salonu na kawę.

- Nie mogę - powiedział Brady szczerze zawiedziony. Nie widział się z nimi prawie od roku i zastanawiał się, dlaczego tak długo. Być może dlatego, że trudno jest nurzać się w rozpacz w towarzystwie ludzi, którym na tobie bardzo zależy.

Na pytanie Kurta, co się dzieje, Brady wyjaśnił, że ma kilka rzeczy do załatwienia w związku z pracą. Oświadczył, że są to sprawy wysoce delikatnej natury, więc byłoby lepiej,

gdyby nie starali się z nim skontaktować. Kiedy dodał „pod żadnym pozorem”, ich troska przerodziła się w niepokój.

Kurt zmarszczył brwi, podszedł bliżej do Brady’ego i kładąc mu dłoń na ramieniu zapytał:

- Co chcesz powiedzieć? A jeśli coś się stanie...?

- Pod żadnym pozorem - powtórzył Brady. - Nie próbujcie się ze mną skontaktować przez Biuro. Nie zostawiajcie wiadomości na automatycznej sekretarce w domu ani na komórce. Przykro mi, ale więcej nie mogę powiedzieć. Wyjaśnię... po powrocie.

- Czyli kiedy?

- Nie wiem. Za kilka dni, może za tydzień. I bardzo proszę, nie wypytujcie Zacha.

- Oczywiście, że nie! - w głosie Kari pobrzmiwała uraza.

Brady poczuł ukłucie wstydu. Wiedział przecież, że nie będą. Znał ich wystarczająco dobrze.

- Będę dzwonić, kiedy będę mógł. Przynajmniej raz dziennie. - Znajdzie jakiś sposób, żeby to robić, nie ujawniając miejsca pobytu Zacha.

- Czy zniknięcie Coco ma z tym coś wspólnego? - spytał Kurt. Z nowymi podejrzeniami zerknął na zakrwawioną dłoń Brady’ego.

Brady zawahał się. Kurt chciał wiedzieć, czy to tajemnicze zadanie ma charakter osobisty. Brady nie znał na to odpowiedzi. Zabójca Pelletier sprawił, że zawodowe sprawy wkroczyły w jego życie osobiste. A Alicia wymusiła na nim obietnicę, że na razie zatai to przed Biurem.

- Nie - odparł tylko i zapytał, czy mógłby dostać termos czarnej kawy.

Kari wymaszerowała do kuchni, a Kurt mówił o niczym i zadawał niewinne pytania, jakby chcąc w ten sposób przeprosić, że mógł wydać się wścibski: Taylor chce wstąpić do skautów, a jak Zachowi się podobało? Czy Zach może pojeździć na ich quadzie? A jak sobie radzą w lidze Baltimore Orioles?

Kiedy Kari wróciła, niosąc sfatygowany metalowy termos, Brady poszedł na górę, żeby odszukać Zacha. Uściskali się i pocałowali, a chłopiec powiedział:

- Nie zapomnij o naszej umowie.

- Ty też.

Zach pokiwał głową. Wyszedł za ojcem na zewnątrz. Brady wycofał samochód z garażu, a chłopiec uroczyście machał mu ręką, stojąc na werandzie razem z Kurtem i Kari. Brady zatrąbił klaksonem i odjechał.

47.

Północ. Osiągnął niezły czas i teraz stał na podeście na trzecim piętrze klatki schodowej hotelu Marriott Times Square. Całe pomieszczenie - ściany, podłoga, schody - było z betonu powleczonego uszczelniaczem, przez który powierzchnie wyglądały jak mokre. Żarówki w metalowych osłonach rzucały tylko tyle światła, żeby ludzie, którzy spadną ze schodów, nie mogli twierdzić, że nic nie widzieli.

Brady natomiast nie widział wiadomości, którą Alicia obiecała tu zostawić. Miała dać mu znać, gdzie się znajduje. Powiedziała, że zmienia pokój i żeby nie szukał jej w 522.

Okay, Alicia. Więc gdzie jesteś?

Obejrzał podłogę, drzwi, sufit. Nic. Na ścianie obok drzwi wisiała gaśnica. Ściągnął ją z haka, zlustrował pobieżnie i... zobaczył wiadomość wypisaną wzdłuż czerwonego cylindra czarnym markerem:

ja + ty - TV + Z

Świetnie. Kryptografem Brady z pewnością nie był. Na ostatnich stronach gazet omijał nawet rebusy i zagadki słowne. Ale Alicia pewnie była w nich niezła. Spędzili razem mnóstwo czasu, ale nie mógł sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek poruszyli temat gier słownych lub szyfrów. Podejrzał, że zagadka jest łatwa, ale jednocześnie zbudowana tak, żeby tylko on mógł znaleźć odpowiedź.

Zastanowił się nad pierwszym słowem: „ja”. Rozwiązanie miało go zaprowadzić do jej pokoju, więc musiało być liczbą. „Ja” czyli Alicia - pomyślał. - Jakie liczby się z nią kojarzą? Wzrost: około stu siedemdziesięciu. Albo jeden i siedem dziesiątych. Waga: hm, pięćdziesiąt pięć? Wiek: trzydzieści jeden”.

Tylko wiek nie pozostawiał wątpliwości, przynajmniej według jego wiedzy. A może liczba liter w imieniu Alicia? To osoba z zewnątrz łatwiej odgadłaby niż jej wiek. Postawił więc na trzydzieści jeden.

„Ty’ to ja”. Trzydzieści trzy. TV... TV... O co mogło jej chodzić? O godzinę wyświetlania jakiegoś programu? Nie mogła się spodziewać, że będzie miał przy sobie program telewizyjny. Ani Alicia, ani Brady nie byli szczególnymi fanami telewizji, a w każdym razie, o ile pamiętał, rzadko dzielili się ze sobą takimi zainteresowaniami...

Ależ oczywiście. Mieli jeden ulubiony serial TV: 24 godziny. Kiefer Sutherland grał

agenta rządowej jednostki antyterrorystycznej. Trik polegał na tym, że każdy sezon pokazywał wydarzenia tylko jednego dnia, a cotygodniowy odcinek stanowił jedną godzinę akcji. W jakiś sposób udało się scenarzystom stworzyć wciągający i wiarygodny serial, chociaż nie było możliwości, żeby tyle rzeczy przydarzyło się jednej osobie w ciągu jednej doby.

Z. Wielką literą. Zabrało mu to trzy sekundy: Zach. Miał dziewięć lat, więc:

$$31 + 33 - 24 + 9 = 49$$

Uznał, że druga linijka musiała stanowić osobną całość i nie miała zostać dodana, odjęta ani podzielona przez czterdzieści dziewięć.

Ręka. Długość ramienia? Zbyt niepewna wartość. Pięć palców? Nie, wtedy napisałaby „dłoń”. Broń ręczna?

Rewolwer miał sześć rund. Półautomaty od sześciu do szesnastu. Jego własny półautomatyczny glock z magazynkiem o dodatkowej pojemności mieścił dwadzieścia trzy. Nie chciałaby, żeby zgadywał i chodził od drzwi do drzwi, szukając jej. To musiało być coś bardziej precyzyjnego.

Alicia, czy naprawdę zaszkodziłoby, gdybyś po prostu napisała numer pokoju? Któżby go tu znalazł?

Zszedł dwa stopnie w dół i usiadł na podeście. Przyjrzał się rebusowi na gaśnicy i zaczął nią obracać, jakby odpowiedź miała stać się widoczna pod innym kątem.

Ręka... ręka... ręka w rękę... ręka rękę myje... coś o ręce... ostatnio.

Wtedy na to wpadł. Wczoraj w drodze na miejsce zbrodni w Fort Collins rozmawiali o Rudym Munizie, który wskoczył na maskę rozpędzonego chargera porywacza. Alicia powiedziała, że złamała rękę. Kiedy? Ile miała wtedy lat? Brady wyobraził ją sobie wtedy jako dziewczynę w wieku... czternastu lat. 4914. Otworzył drzwi od klatki schodowej i wszedł do luksusowego hallu na trzecim piętrze. Znak wskazywał drogę do windy, poszedł więc w tamtą stronę, starając się nie biec.

*

Uchyliła drzwi po dwukrotnym cichym pukaniu. W szczelinie pojawiło się oko patrzące przez łańcuch drzwiowy. Brady dostrzegł, że miała rozciętą brew, zakrzepłą krew we włosach i na czole. Kiedy tylko go zobaczyła, drzwi się zamknęły i natychmiast otwały na oścież.

- Szybko - powiedziała, odsuwając się na bok. Przy prawym przedramieniu trzymała ścierkę. Właśnie miał o to zapytać, kiedy jakiś ruch w głębi pokoju odwrócił jego uwagę. Postawny czarny mężczyzna w grafitowym ubraniu odwracał się od czegoś, czego Brady nie

mógł dostrzec. Przyjrzał się Brady'emu podejrzliwie. Grymas wykrzywił jego przyciężkie rysy. Przypominał teraz maskę tragiczną, symbol teatru dionizyjskiego. Skórę miał tak czarną i pomarszczoną, że zlewała się z tkaniną jego ubrania. Był mrocznym widmem w jasno oświetlonym pokoju.

Bez słowa odwrócił się do ukrytego obiektu swojego zainteresowania. Z pytającą miną Brady spojrzął na Alicię.

- Spokojnie - wyszeptła, zamykając i ryglując drzwi. - To jest Apollo. Prosiłam go, żeby przyszedł.

Brady obserwował, jak mężczyzna odsunął się na bok, odsłaniając to, czym dotąd się zajmował. Oddech uwiązał Brady'emu w gardle i bezwiednie cofnął się o krok. Zobaczył człowieka przywiązanego do krzesła. Wpatrywał się przed siebie, Brady'emu ukazując jedynie profil. Był chudy, a jego skóra była tak biała, jak Apolla była czarna. Na głowie miał burzę czarnych, wiotkich włosów. Klatka piersiowa i brzuch unosiły się i opadały gwałtownie. Skórzane pasy, którymi jego kostki i nadgarstki przywiązane były do krzesła, napinały się pod jego siłą. Rozprostował dłonie, ukazując długie kościste palce zakończone ostrymi paznokciami pomalowanymi na czarno. Jakby wyczuwając uważny wzrok Brady'ego, nagle odwrócił głowę w jego stronę i wydał z siebie przeciągły syk.

Brady zrobił kolejny krok do tyłu i wpadł na Alicię.

Tęczówki mężczyzny były czarne i matowe jak odłamki obsydianu. Po chwili ich rozbiegane spojrzenie skupiło się na Bradym, który poczuł się jak zaszczute zwierzę. Górna warga, prawy policzek i ucho skrępowanego człowieka były umazane krwią. Czarno-niebieskie fałdy zwisały jak draperia pod oczami. Zęby były spiłowane w krótkie kły. Nie przestawał syczeć, aż Apollo, teraz stojący za nim, uderzył go dłonią w tył głowy.

- Przestań! - nakazał. Głos miał głęboki i gładki jak łódź podwodna sunąca na maksymalnej głębokości.

Mężczyzna kłapnął ustami i warknął w stronę ręki, której nie mógł ani dostrzec, ani dosięgnąć.

- Co to do cholery... - zaczął Brady.

Alicia dotknęła jego ramienia i gestem poleciła mu podejść bliżej do kreatury na krześle.

- To on mnie zaatakował. Nie chce powiedzieć, jak się nazywa. Mówię na niego Hiena.

Hiena otworzył właśnie usta, żeby warknąć lub syknąć, ale zanim zdążył wydać z siebie dźwięk, Apollo chwycił go za włosy i gwałtownie szarpnął do tyłu. Nachylił się nisko i

spytął:

- Mam ci znowu zakneblować usta?

Oczy mężczyzny strzelały w lewo i prawo, jakby starał się dojść źródła mówiącego doń głosu. Potem wstrząsnął nim spazm, a Brady zorientował się, że kręci głową na „nie”.

- To morda w kubeł. - Apollo puścił jego włosy i łagodnie pogłaskał po głowie: Grzeczny chłopiec.

Brady odwrócił się. Z jednej strony przestronnego pokoju stały dwa podwójne łóżka. Pomiędzy nimi był stolik nocny zastawiony radiem z budzikiem i kilkoma rzeczami Alicii. Powyżej przymocowana była lampa ścienna z dwoma punktami światła, z których każdy znajdował się na osobnym ramieniu. Jedno z tych świateł paliło się słabo, ledwie widoczne przez niewielki klosz. Najwyraźniej zostało zaprojektowane do czytania w łóżku. Pomiędzy drugim łóżkiem a najdalej położoną od drzwi ścianą, obok biurka stała jasno rozświetlona lampa podłogowa. Po przeciwległej stronie pokoju, za plecami Apolla, znajdował się niewielki kącik do siedzenia: mała sofa, krzesło, stolik do kawy. Ta połowa pokoju zatopiona była w cieniach. Na sofie Brady zauważył kilka otwartych walizek marki Halliburton, kosztowny model z matowego aluminium. Naokoło porzrzucone leżały kable i bandaż oraz różne instrumenty medyczne. Zastanawiał się, czy Apollo preferuje pracę w ciemnościach.

Cała ściana naprzeciw drzwi była ze szkła, które zaczynało się tuż powyżej ciągnącej się na całą szerokość pokoju jednostki systemu klimatyzacji aż do sufitu. Ciężkie zasłony spięte były po bokach w kolumny. Daleko w dole migotał miliard świateł. Blask rozchodził się promieniście i w końcu rozpląwał się w powietrzu, co przywiodło Brady'emu na myśl bombę fosforową. Unosił się nad Ground Zero.

Stanął twarzą do Alicii i zauważył, że to, co wydało mu się ścierką, w rzeczywistości było grubym zwojem gazy przyklejonym taśmą. Krew przeciekała przez opatrunek. Dotykała delikatnie ręki. Dostrzegła, że Brady się przygląda i odchyliła kawałek gazy przy nadgarstku. Skóra przecięta była dwiema długimi bruzdami w odległości ośmiu centymetrów od siebie. Cięcia zniknęły pod gazą, która owijała przedramię aż do łokcia. Krawędzie skóry były czerwone, w stanie zapalnym. Pomiędzy zaskorupiałymi liniami ran ciało pokryte było siniakiem. Rozmieszczone co centymetr czarne szwy zamykały rany. Brady nie mógł sobie wyobrazić, co spowodowało takie paskudne obrażenia.

Alicia z powrotem naciągnęła gazę. Skinęła głową w stronę Hieny.

- Chciał mi poderznąć gardło garotą. Zamiast tego złapał moją rękę.

Uderzyło go, jak potworne byłoby ją stracić nie dlatego, że była agentką czy jego partnerką, ale ponieważ była... Alicią. Nie znalazł lepszego słowa. Pod płaszczykiem

mrukliwości, nieprzejednanej ambicji i elastycznych zasad etyki - a może właśnie dzięki tym cechom - była lepszym człowiekiem niż dziewięćdziesiąt procent tych, których znał czy nawet o których słyszał. Była niezastąpiona.

Dotknął palcami jej gardła, jakby chciał się upewnić, że nie ucierpiał. Gest był nieoczekiwane zmysłowy. W żołądku poczuł trzepotanie motyli skrzydeł. Gdyby podniósł wzrok i spojrzał jej w oczy, ten dotyk stałby się oznaką czegoś więcej niż przyjacielskiej troski. To uczucie do niej było tak niespodziewane, że nie był pewien, czy chce posunąć się dalej. Dostrzegł coś i przechylił się na bok, żeby przyjrzeć się bliżej. Bliżej karku Alicii widniała na skórze zakrzepła linia rany od drutu, długa na dwa i pół centymetra. Garota sięgnęła jej szyi, była bardzo blisko celu.

Odwrócił się z impetem i wyrznął pięścią w szczękę Hieny.

- Hola, hola, kolego - powiedział Apollo, unosząc dłoni.

Brady potarł kostki dłoni, wpatrując się w pozbawione emocji oczy Hieny. Siłą powstrzymał się od kolejnego uderzenia. Hiena poruszał szczęką w przód i w tył, ale nic poza tym nie wskazywało, że cios wywarł na nim jakiegokolwiek wrażenie. Brady poczuł dłoni Alicii na plecach. Skierował wzrok na twarz Apolla o beznamiętnym wyrazie, a potem w dół, na jego ręce. Trzy worki z kroplówką zwisały ze stojaka ze stali nierdzewnej. Z dołu dwóch z nich biegły rurki zakończone igłami wklutymi w zagięcie łokcia Hieny. Brady obserwował, jak Apollo sprawdza palcami rurkę wychodzącą z trzeciej torebki aż do kończącej ją igły. Nachylił się i zręcznie wbił ją w żyłę drugiego ramienia skrępowanego mężczyzny.

Hiena zerknął na igłę i jakby się uśmiechnął.

Brady spojrzał na Alicię, potem na Apolla i znów na nią.

- Co się tu dzieje? - zapytał.

- Apollo jest lekarzem - wyjaśniła Alicia. - Kiedyś pracował wyłącznie dla rządu jako specjalista od przesłuchań.

- Specjalista od prze...

- Pracuje jako wolny strzelec od... ile to już, od trzech lat?

Apollo skinął głową i podniósł wzrok na Brady'ego.

- Pomagam wam, bo ten facet skrzywdził moją Alicię - powiedział.

Takim wypowiedziom zazwyczaj towarzyszy szeroki uśmiech. Nie tym razem. Twarz Apolla była jakby wykuta w kamieniu (jeśli można tak powiedzieć o posiadaczu tak mięsistych policzków). Dykcję miał perfekcyjną, jakby był obcokrajowcem bardzo sumiennie uczącym się angielskiego.

- Chwileczkę - powiedział Brady. Popatrzył Alicii prosto w oczy i wskazał Apolla. -

Skąd znasz tego gościa?

Alicia usiadła na łóżku bezpośrednio naprzeciw Hieny.

- Poznaliśmy się kilka lat temu, kiedy Biuro namierzało przywódców terrorystów w Nowym Jorku. To było zaraz po 11 września. Prowadziłam właśnie testy terenowe nowych gadżetów inwigilacyjnych, ale Biuro było wtedy pod wielką presją, żeby dokonać spektakularnych aresztowań, więc włączyłam się w działania operacyjne.

Brady pamiętał gorączkową atmosferę Quantico, gdzie razem z resztą zespołu usiłował stworzyć profil psychologiczny typowego terrorysty. Zadanie było niemożliwe do wykonania. Mimo to nikt nie odpuszczał. Razem z innymi członkami zespołu przesłuchiwali skazanych terrorystów w więzieniach o najostrzejszym rygorze. Kilku nieżonatych ochotników pojechało do Afganistanu, by tam porozmawiać z ludźmi ścigającymi terrorystów. Dodatkowo katalogowali wszelkie możliwe informacje o każdym domniemanym lub skazanym anarchiście na przestrzeni ostatnich pięciu dekad: od płci po ulubiony kolor... pod lupą znalazły się wszystkie aspekty ich życia. Podobieństwa, nieustanne poszukiwanie szablonów. We wszystkich wydziałach zarówno agencji, jak i pracownicy administracyjni miesiącami pracowali na najwyższych obrotach. Duża część protokołu poszła do kosza, a zamiast tego było jedno nadrzędne zadanie: osiągnąć wyniki w postaci aresztowań.

Alicia kontynuowała:

- Wszyscy sądzili, że zbliżają się nowe ataki terrorystyczne. Potrzebowaliśmy wywiadu, solidnych informacji, i to natychmiast.

Skinął głową.

- Teraz przesłuchujący używają gróźb i negocjacji, żeby uzyskać potrzebne informacje, nawet jeśli na włosku wisi życie porwanego dziecka. Najczęściej sprawy orientują się, że wszystko, co powiedzą, przybliży ich do odsiadki, więc trzymają gębę na kłódkę. A prowadzącym śledztwo nie pozostaje nic innego, jak wyjść na ulicę i modlić się, że znajdą jakiś przełomowy trop. Wiesz, jak to jest.

- Powiedz mi coś, czego nie wiem.

Uśmiechnęła się, po czym bezwiednie dotknęła zranionego przedramienia i wzdrygnęła się.

- Przed drugą wojną światową byliśmy, to znaczy rząd Stanów Zjednoczonych, organy ścigania i tak dalej bardziej otwarci na różne metody wydobywania informacji od podejrzanych, zwłaszcza jeśli stawką było ludzkie życie. Tortury fizyczne nie należały do rzadkości. Większość agencji policyjnych trzymała pod ręką ostrą paprykę, którą wcierali podejrzany w oczy podczas przesłuchań. Obcegi, lutownice...

Brady przerwał jej, podnosząc rękę. Nerwowo spojrzął na Apolla majstrującego teraz coś przy grubej lince, którą Brady rozpoznał jako kabel EKG do monitorowania pracy serca lub EEG do badania fal mózgowych.

- Nie zamierzasz chyba...

- Brady, pozwól mi skończyć. Po tym, jak naziści pokazali światu, jak groteskowe rozmiary mogą osiągnąć tortury, większość rządów przestało z nich korzystać. Już wcześniej były prawa zabraniające ich używania, ale po wojnie agencje rządowe zaostryły stanowisko: „Tym razem na poważnie, żadnych tortur”. Zresztą nie miało to już większego znaczenia, bo wprowadzane już były nowe metody wydobywania informacji.

Obserwując działania mężczyzny niepodobnego do żadnego ze znanych mu „lekarzy”, Brady zrozumiał, o czym była mowa.

- Serum prawdy - powiedział.

Apollo roześmiał się, ale nie spuścił oka ze strzykawki, którą wbił w jeden z worków z kroplówką. Wewnątrz przezroczystej plastikowej torebki czerwony płyn kapał z igły do przezroczystej zawartości. Brady podejrzewał, że stanowił ją roztwór soli. Z każdą kroplą mieszanina nabierała coraz ciemniejszej różowej barwy.

- Można to tak nazwać - odparła Alicia. - Tak naprawdę serum prawdy nie istnieje. To nie żadne serum. Ale określenie brzmi przystępnie: dajesz zastrzyk, poznajesz prawdę. To jednak znacznie bardziej skomplikowane.

Tyle już sam odgadł, obserwując Apolla.

- Chodzi o to - wyjaśnił mężczyzna, nie przerywając przygotowań - żeby przełamać zahamowania, przede wszystkim barierę wyjawiania sekretów. Najlepszym na to sposobem jest wprowadzenie obiektu w stan graniczny pomiędzy świadomością i nieświadomością. Nazywamy to strefą mroku. Czuje się wtedy zamroczony, jakby podпиты. Mechanizmy obronne nie funkcjonują, umysł i ciało są rozluźnione.

Odkleił osłonę z elektrody, zorientował się jednak, że nie jest gotowy, żeby umieścić ją na ciele Hieny, wyciągnął więc w stronę Brady’ego i wręczył mu. Sam chwycił obiema rękami kołnierz podkoszulka Hieny i rozerwał tkaninę w środku. Hiena warknęła na niego. Skóra pod spodem była pozbawiona włosów i niemal przezroczysta, poprzecinana siatką widocznych błękitnych żył.

- A to co znowu? - zdziwił się Apollo. Odchylił część rozdartego podkoszulka. Powyżej lewej brodawki widniał brązowy odwrócony pentagram, pięcioramienna gwiazda często kojarzona z okultyzmem. Miała wielkość pięści.

Alicia wstała z łóżka spoglądając na znak.

- Czy to tatuaż?

Apollo dotknął znamienia.

- Jest wypalony na skórze. To piętno.

- Zdejmij mu koszulę, całą - zakomenderował Brady głosem pełnym ekscytacji.

Apollo wygiął ramiona Hieny, po czym zdarł tkaninę z wychudłego ciała. Alicia przyciągnęła bliżej lampę podłogową i wycelowała ją jak laskę czarnoksiężnika. Cienie wyskoczyły na ścianę za plecami Hieny i Apolla i rozpoczęły taniec do rytmu chwiejnej dłoni Alicii.

Tors Hieny pokryty był symbolami: półksiężyc i gwiazda, swastyka, podwójna błyskawica używane przez SS w nazistowskich Niemczech, gwiazda Dawida w kręgu, krzyż zakończony hakiem na dole - Brady'emu przypominał odwrócony pytajnik z poprzeczką. Miał coś wspólnego z kwestionowaniem boskości Boga. Satanizm i okultyzm to popularne tematy wśród studentów psychologii kryminalnej.

- Nie ma - wyszeptała Alicia.

- Czego nie ma? - chciał wiedzieć Apollo.

- To wszystkie? - spyta Brady.

- Jeszcze tutaj. - Apollo wskazał na plecy Hieny.

Światło lampy tam nie sięgało. Alicia pociągnęła kabel i wyrwała wtyczkę z gniazdka. Pokój oświetlała teraz tylko słaba poświata z lampy ściennej między łózkami.

Brady pochylił się bliżej.

- Wydaje mi się... - zaczął.

Znalazła inny kontakt i wetknęła tam wtyczkę. Światło zalało plecy Hieny.

Wypalony na skórze powyżej lewej łopatki widniał znak słońca z falującymi promieniami, wypełnionego w środku liniami pionowymi: taki sam symbol wypalono na czołach i dłoniach wszystkich ofiar Pelletier. Ten był jednak wielokrotnie większy.

Na plecach znajdowały się jeszcze inne piętna. Na prawej łopatce widniała litera A wpisana w koło. Brady rozpoznał symbol anarchii. Oznaczał łacińską sentencję, którą tłumaczyło się na „Róbcie, co chcecie” - prawo satanistów. Niżej na kręgosłupie zobaczyli Udjat albo „oko szatana” i trzy szóstki ułożone w krąg zwrócone do wewnątrz górnymi ramionami.

Brady nie mógł odwrócić oczu od symbolu słońca na dłużej niż kilka sekund.

- Brady? - powiedziała Alicia.

- Tak, to jest to.

- Czyli co? - dopytywał się Apollo.

- To słońce - odpowiedziała. - Bardzo rzadki symbol. Nie widnieje w żadnej z naszych baz danych.

- Ale już je kiedyś widzieliście?

Alicia skinęła głową.

- Na kilku zwłokach.

Hiena nagle odrzucił głowę do tyłu, a potem znów do przodu z taką siłą, że krzesło zachwiało się pod nim. Stękając rzucał się na wszystkie strony, z całych sił starając się zerwać więzy. Nogi krzesła głucho łomotały o wyłożoną wykładziną podłogę jak nierówne bicie serca.

Brady cofnął się o krok, potem znów przysunął. Musiał coś zrobić, zanim tamten się uwolni, połamie krzesło albo narobi tyle hałasu, że przyciągnie czyjąś uwagę. Nim zdecydował się, w jaki sposób uderzyć, Apollo przekręcił śrubkę przy jednym z worków z kropłówką. Zdzielenie go w głowę na pewno nie odebrałoby mu przytomności tak szybko. W jednej chwili był jak rozwścieczone tsunami, w drugiej był niczym.

- Szybko działa - wyjaśnił Apollo z uśmiechem, pierwszym, który Brady'emu dane było zobaczyć.

48.

Alicia sądziła kiedyś, że Apollo przyjął ten pseudonim na cześć syna Zeusa sportretowanego w Iliadzie jako uzdrowiciel, stwórca i pogromca plag. Jeden z jej kolegów miał inne zdanie: „To dlatego, że mitologiczny Apollo był wszytkowidzący i wszechwiedzący - wyjaśnił. - A uwierz mi, dzięki tej swojej podręcznej apteczce ten Apollo widzi wszystko, co inni chcą ukryć”.

Kiedy go o to zapytała, Apollo tylko wyszczerzył zęby w uśmiechu, a jego policzki zaokrągliły się jeszcze bardziej, jak u buldoga przeżuwającego suchą karmę. Następnie oświadczył, że przyjął to imię, bo grecki bóg jest taki śliczny.

Teraz obserwowała, jak jego twarz buldoga napina się w skupieniu, kiedy przygotowywał swój sprzęt.

Hiena był nieprzytomny. Głowa zwisała mu bezwładnie, broda oparta była na klatce piersiowej. Cienka niteczka śliny ściekała z wargi na udo. Biała skóra napiętnowana symbolami nienawiści rozpięta była na wystających żebrach.

Apollo przypiął przewód do jednego z plastrów elektrodowych przyklejonych w różnych miejscach torsu satanisty. Sięgał właśnie po następny kabel, kiedy Hiena zajączał i rzucił głową. Po raz setny w ciągu dziesięciu minut Apollo szybkim ruchem pokręta przy kropłowce wysłał go do krainy snów. Najwyraźniej działanie środka, choć błyskawiczne, było również krótkotrwałe.

Alicia sfotografowała już symbole aparatem cyfrowym. Brady przesunął lampę na jej poprzednie miejsce, dzięki czemu oświetlała Hienę z przodu. Stał teraz o metr od swojej partnerki ze skrzyżowanymi na piersi rękami, wpatrując się w nieprzytomnego napastnika. Reakcja Brady'ego na jej krzywdę zaskoczyła Alicię i wprawiła ją w zachwyt. Zastanawiała się, czy atak na partnera-mężczyznę tak samo by go rozwścieczył. Z całą pewnością mężczyzny nie dotknąłby w sposób, w jaki przesunął palcami po jej szyi. Spłynął z nich dosłownie ładunek elektryczności.

Brady obrócił się w jej stronę, a ona odwróciła wzrok, instynktownie maskując ten ruch, pocierając brwi.

Podszedł bliżej.

- Ten pokój jest na twoje nazwisko? - zapytał.

Potrząsnęła głową.

- Ten drugi, 522. Ten nie. Sądzę, że całe piętro jest puste.

- Jak się tu dostałaś?

Najnowsza generacja zamków elektronicznych znana była z tego, że nie sposób ich sforsować.

Wskazała głową Hienę.

- W ten sam sposób, w jaki on wszedł do mojego pokoju. - Okrążyła pierwsze łóżko, sięgnęła pod marynarkę i wyjęła niewielki przedmiot. Wróciła i podała mu go. Było to elektroniczne urządzenie wielkości paczki papierosów. Z jego górnej krawędzi wystawała cienka plastikowa karta

Brady wcisnął niewielki guzik i zapalił się ciekłokrystaliczny wyświetlacz.

- Trwa to z pięć sekund - poinformowała.

Przekrzywił głowę z niedowierzaniem i spojrzał na napastnika.

- On miał to przy sobie?

- Wygląda na bezdomnego ćpuna, prawda?

Brady obracał urządzenie w dłoni. Nie było w żaden sposób oznaczone, bez smug czy zabrudzeń.

- Ktoś mu to dostarczył.

- Ktoś, kto wydaje mu rozkazy.

- Już - oświadczył Apollo. - Jestem gotowy.

Brady wyłączył urządzenie i rzucił je na łóżko.

- Co się tu będzie działo? - zapytał.

- Przywrócę mu świadomość, ale tylko ledwo co - wyjaśnił Apollo. - Dzięki temu utrzymam go w strefie mroku. - Wskazał na kroplówki, którymi oszołomił Hienę. - To barbiturany. Autorski przepis. - Oczy mu rozbłysły. - Amobarbital sodu, pentothal sodium i sekonal. Będę mu podawać małe dawki, mniejsze niż do tej pory. W strefie mroku umysł nie działa wystarczająco szybko, żeby sfabrykować kłamstwo. Nie wie nawet, że właśnie to powinna robić.

- Ona?

Apollo wyglądał na zdziwionego pytaniem.

- Umysł to kobieta. - Otwartą dłonią zatoczył łuk kilka centymetrów nad głową Hieny.

- Jest piękna, prosta i skomplikowana, złośliwa i wyrozumiała, szczerza i kłamliwa zarazem. Zdecydowanie jest rodzaju żeńskiego. - Mięiste policzki rozciągnęły się w szerokim uśmiechu. - Niełatwo jest utrzymać kogoś w tym stanie na granicy nieprzytomności. Jak się

podaje za dużo środka uspokajającego, to odpływają. Jeśli za mało to odzyskują świadomość na tyle, żeby zacząć kłamać. A każdy człowiek jest inny. Jednym trzeba dużo eliksiru prawdy, drugiem wystarczy tylko trochę. Niektórzy reagują szybko, inni wcale. Jedni się cieszą, inni robią się smutni. - Zastanowił się przez chwilę. - Albo podnieceni, tak jakby podświadomie wiedzieli, że mówią rzeczy, które powinni ukrywać.

Brady wskazał pozostałe kroplówki.

- W jednym są barbiturany. A w innych?

Apollo dotknął jednej.

- W większości skopolamina. Czyli oryginalne „serum prawdy”. Przekonałem się, że domieszka tego pomaga, jeśli mój przepis nie wystarczy. Środek psychotropowy. Może wywoływać halucynacje i skrajną panikę. Dlatego właśnie zarzucono jego stosowanie. Dodałem też inne halucynogeny o bardzo szybkim działaniu, jak te barbiturany. Uczucie splątania pomaga przełamać mechanizmy obronne. - Dotknął trzeciej torebki. - To stymulanty, benzedryna i metedryna. Barbiturany rozluźniają zahamowania umysłu, a stymulanty rozwiązują język. Gęba się wtedy nie zamyka. - Ręką pokazał gadające usta. - Na nic rozluźnianie umysłu, jeśli delikwent jest tak zamroczony, że nie może mówić.

A więc podaje mu jednocześnie narkotyki i stymulanty. Alicia zastanawiała się, ilu z pacjentów Apolla padło ofiarą zawałów i wylewów. Miała nadzieję, że EKG pozwoli mu uniknąć takiego wypadku.

Hiena znów zaczął jęczeć.

- Gotowi? - spytał Apollo.

Brady spojrzał na nią, a na jego twarzy malowała się troska wryta głębokimi bruzdami.

Skinęła głową.

- Zaczynamy.

49.

EKG leżało na stoliku obok Apolla. Pstryknął przełącznik i igły zaczęły rejestrować rytm serca Hieny. Dźwięk przypominał drapiące po blacie biurka paznokcie. Apollo skulił się za krzesłem napastnika, a jego głowa była ledwie widoczna.

Nie zwracaj uwagi na człowieka za kotarą, pomyślała Alicia.

Dłonie Apolla poruszały się szybko między pokrętłem jednego worka kroplówki a drugiego.

- Mieszanie substancji trzeba ciągle dostosowywać - wytłumaczył. - Zadam mu kilka pytań, żeby sprawdzić, czy jest w odpowiednim stanie umysłu. Potem wy spróbujecie.

Alicia poczuła ucisk w żołądku. Była już świadkiem kilku, jak to nazywano, przeszuchań z amytalem. Ale nigdy żadnego nie przeprowadzała. Wiedziała, że pytania muszą być zadane precyzyjnie, bo inaczej odpowiedzi mogą pochodzić z różnych obszarów pamięci, na przykład z dziecięcych wspomnień. Odpowiedź twierdząca na pytanie: „Czy napadłeś na niego?”, mogła oznaczać przyznanie się do rzucenia gumką w nauczyciela w piątej klasie.

Sięgnęła po leżący na stole mały cyfrowy dyktafon i wcisnęła guzik. Głowa Hieny podniosła się, po czym znów opadła. Jakby czymś przestraszony poderwał ją jeszcze raz. Powieki miał na wpół uchylone.

- Yyy... - wymamrotał.

Głos Apolla rozległ się zza krzesła.

- Posłuchaj mnie! Jak się nazywasz?

- Yyy...

Apollo podniósł dłoń do jednego pokrętła, potem do drugiego.

- Jak się nazywasz?

Powieki mężczyzny otworzyły się. Wpatrywał się prosto w Alicię. Dostała gęsiej skórki, a skóra na jej ramionach i karku się napięła. Zdała sobie sprawę, że tamten nie patrzy na nią, a gdzieś ponad jej ramieniem, na coś, co widział tylko on.

Jego usta bezgłośnie wymówiły jakieś słowo, potem drugie.

- Jak się nazywasz? - powtórzył Apollo.

Na twarzy osobnika pojawił się wyraz nagłego zrozumienia.

- *Mienia zawut Malik.* - Głos miał dziewczęcy i chrapliwy jednocześnie. Jak harcerka,

która pali dwie paczki dziennie, uznała Alicia. Cienki głosik dobywający się z tego potwornego ciała robił na niej piorunujące wrażenie.

- To po rosyjsku? - wyszeptał Brady.

Alicia wzruszyła ramionami.

- Mów po angielsku - zażądał Apollo.

- *Angliskam?*

- *Da* - odparł Apollo.

- *Charaszo. Yy...* - Nastąpiła długa pauza. - Po angielsku, tak. - Powiedział niewyraźnie, z silnym akcentem.

- Jak się nazywasz?

- Malik.

Malik, powtórzyła w myśli Alicia. Chciała nazywać go tym imieniem. W jakiś sposób czyniło go mniej przerażającym, bardziej ludzkim.

- Podaj swoje pełne nazwisko.

Jęknął zdezorientowany, a może pod wpływem silnego stresu.

- Malik, jak masz na nazwisko?

- Malik... Iwanow. - Rozciągał pierwszą część obu słów, po czym gwałtownie urywał ostatnią sylabę.

Apollo przechylił się obok krzesła i ruchem głowy polecił jej podejść. Uklękła obok niego.

- Przesłuchiwałem już Rosjan - wyszeptał jej do ucha. - Iwanow to najpopularniejsze nazwisko w Rosji. Jak Smith w Ameryce. Nie wiem, czy to jego prawdziwe nazwisko, czy zmyśla. Malik już nie jest takie częste, więc może mówi prawdę.

Skinęła głową, wstała i odsunęła się, stając ponownie obok Brady'ego.

- Ile masz lat? - zapytał Apollo.

- Dwadzieścia osiem.

Wyglądał dziesięć lat starzej.

- Gdzie jesteś teraz?

Malik wyglądał, jakby nie zrozumiał pytania. Rozejrzał się po pokoju, zatrzymując wzrok na kilka sekund kolejno na Alicii i Bradym. Powoli opuścił powieki.

- Czy jesteś u siebie w domu? - sprecyzował Apollo.

- W hotelu - odpowiedział Malik nie otwierając oczu.

- Czy ktoś kazał ci tu przyjść?

Alicia i Brady zeszywnieli.

- Tak.

Apollo skinął w stronę Alicii. Nadeszła jej kolej.

Spojrzała na Brady'ego. Uśmiechnął się zachęcająco.

- Kto kazał ci przyjść do hotelu?

Malik zmarszczył brwi, jego twarz wykrzywił grymas.

- Kto?

Dźwięk drapania igieł EKG stawał się coraz wyższy, poruszały się coraz szybciej. Malik zaczął oddychać z wysiłkiem, jakby chciał nabrać powietrza przez owinięty wokół głowy ręcznik.

- Scary movie - wyszeptał.

- Chyba go straciliśmy - powiedział Apollo. - Chwileczkę. - Wyregulował pokrętki przy kropłowce. Alicii przypominało to żmudne dostrajanie odbioru starego telewizora.

- Scary movie! - wrzasnął Malik.

- Spróbuj go podejść z innej strony - zasugerował Apollo.

Alicia zwiesiła ramiona. Chciała wiedzieć właśnie to, kto go przysłał. Starła się wymyślić jakieś inne pytanie.

- Co wiesz o człowieku z psami? O zabójcy z psami? - włączył się Brady.

- Dobry piesek. - Ręce Malika wykonały jakiś gest. - Chodź, piesku. - Nagle wykrzywił twarz jak dzika bestia. Dłonie zacisnął w pięści, którymi zaczął wymachiwać w górę i w dół, na ile pozwalały na to jego więzy. Śmiał się przy tym przerywanym krótkimi oddechami chichotem, od którego krew ścinała się w żyłach.

- W myśli chyba właśnie tłucze jakieś zwierzę - szepnął Brady.

Pięści Malika znieruchomiały. Szyję wyciągnął do przodu, wystawił język i zaczął lizać powietrze. Z każdym liźnięciem język wsuwał się z powrotem do ust i rozlegał się odgłos siorbania.

- On... - zaczął Brady, ale nie dokończył. Na jego twarzy malowała się odraza.

Alicia zakryła sobie usta dłonią. Malik właśnie zlizywał krew z jakiejś wyobrażonej ofiary.

- Co wiesz o ojcu McAfee? - spytała prędko.

Lizanie ustało. Język przesunął się zachłannie po górnej, potem po dolnej wardze.

- Mac-Aff-eeeeee? - zapytał śpiewnym tonem.

- Tak. Co wiesz o ojcu McAfee?

- Świnia. To świnia. Myśli, że może się ukryć. Chowa się za swoim Bogiem. Bóg... jest... niczym. - Skrzywił się, marszcząc nos jak wilk.

- Malik, czy straszyles ojca McAfee?

Znowu śmiech.

- Oooo, Mac-Aff-eeeeee zrozumie, już Malik się o to postara.

- Co zrozumie?

- Że jego Bóg jest niczym. Nie chroni, nie interesuje się.

Apollo podniósł rękę, jakby chciał się wtrącić.

- Dobrze, Malik. Tak, Bóg ojca McAfee jest niczym.

- Niczym - powtórzył Malik.

Alicia wiedziała, że według Apolla potrzebna teraz była domieszka sympatii. Dostarczył jej tak, jakby robił zastrzyk z morfiny.

- Co chcesz zrobić ojcu McAfee, złemu ojcu McAfee? - Apollo skinął głową, oddając jej dowodzenie.

Malik wydał z siebie odgłos wygłodniałego człowieka, którego posadzono przy suto zastawionym stole.

- Oooooo, zły Mac-Aff-eeeeee. - Odchylił głowę, jakby lustrował sufit, ale oczy miał nadal zamknięte. - Bardzo wysoki kościół. Kościół. - W jego głosie brzmiała czysta pogarda.

- Mac-Aff-eeeeee będzie wisiał na żyrandolu. - Usta wykrzywił lubieżny grymas. - Będzie wisiał za flaki.

Lodowata woda zaczęła spływać po kręgosłupie Alicii. Zamknęła oczy i przełknęła ślinę. Ręka pulsowała z bólu. Była pewna, że Malik rzeczywiście miał taki plan wobec tego przemilego starszego księdza. Kiedy ponownie otwarła oczy, wydawało się jej, że światła w pokoju przygasły. Odwróciła się, żeby sprawdzić lampę podłogową i ścienną. Obie były zapalone.

Następne pytanie zadała, zwracając oczy na Apolla. Nie była w stanie spojrzeć na kreaturę na krześle.

- Malik, czy ukradłeś papiery ojca McAfee?

Jego głowa unosiła się i opadała leniwie.

- Czekaj. - Apollo poprawił ustawienie gałek, cały czas obserwując EKG. Usatysfakcjonowany skinął jej głową na znak, że może kontynuować.

- Czy ukradłeś papiery ojca McAfee?

Malik gwałtownie rzucił głową.

- Oczywiście. A kto mówi, że Malik nie ukradł? „Zabierz akta, Malik. Wszystkie przynies do mnie”. Kto mówi, że Malik nie ukradł?

- Nikt tak nie mówi. Kto ci kazał... Kto kazał Malikowi zabrać akta?

- Ksiądz.

Powoli wypuściła powietrze.

- Tak, akta księdza. Kto kazał...

Brady dotknął jej ramienia.

- Malik - odezwał się. - Ksiądz kazał ci ukraść akta. Tak?

- Tak.

- Jak się nazywa ten ksiądz?

- Randall.

Adalberto Randall, ten który twierdził, że reprezentuje Archiwum Watykańskie.

Zerknęła na Brady'ego i kiwnęła głową.

- Gdzie jest teraz ojciec Randall?

- W domu.

- Gdzie jest jego dom?

- Nie tutaj. W domu.

- Malik, gdzie jest dom ojca Randalla?

Nic.

Brady:

- Gdzie jest twój dom?

Pauza. Słysząc tylko urywany oddech. Kiedy się odezwał, jego głos był o oktawę niższy. Żwir chrzęszczący w jego głosie zamienił się teraz w ciężkie kamienie.

- Dom Malika jest w otchłani. Czarnej... ciemnej... bardzo gorąco!

Alicia rzuciła okiem na dyktafon. Słuchający tego nagrania mógłby pomyśleć, że to nie jest głos Malika.

- Dlaczego jest tam gorąco? - spytał Brady.

- Ogień. Płomienie. Krew. - Zaczął się kołysać na krześle. Otworzył usta i wyszczerzył się w szerokim uśmiechu. Z czarnych dziąseł wystawały te okropne zęby. Wydał z siebie przeciągłe syczenie. Alicię dosięgnął zgniły zapach jego oddechu podobny do zepsutego hamburgera.

Cofnęła się o krok. Natrafiła na łóżko i usiadła na nim.

- Krwi! - zawołał, jakby zamawiał piwo. - Niech płynie krew dziecka! Tnij! Tnij teraz!

- Malik! - głos Apolla odbijał się od ścian. Jego twarz wyrażała takie samo przerażenie, jakie czuła Alicia.

Malik rzucał głową.

- Panie? Panie, czy to ty?

Alicia pochyliła się bliżej.

- Kto jest twoim pa...

- Panie! Mamy te dzieci! Następne dzieci dla ciebie!

Zaczął rozprostowywać ręce. Głową zataczał koła.

- Jest w transie - wyszeptał Brady głosem, w którym pobrzmiwało oszołomienie.

- Nasze ciała należą do ciebie. Nasze umysły należą do ciebie. Nasze dzieci należą do ciebie. Dla ciebie jesteśmy nadzy. Panie! Obnażamy wszystko. Weź wszystko!

Tracili go.

Alicia podniosła się z łóżka i kucnęła obok krzesła. Chwyliła naprężone przedramię Malika i utkwiała wzrok w jego twarzy, szukając odpowiedzi.

- Malik - odezwała się prosząco - gdzie jest dom ojca Randalla? Dla kogo pracuje? Kto jest twoim panem?

- Scary... - Starał się jak najwyraźniej wypowiedzieć te słowa, rozciągając usta jak mógł najszerzej. - Movie. - Z rozwartych ust dobiegł chichot.

Brady skrzywił się i cofnął o krok, odstraszone tym odgłosem.

Apollo skulił się niżej za krzesłem. Kukielkarz nie chciał mieć nic do czynienia z wyczynami swojej marionetki. Pociągał za sznurki wyłącznie z obowiązku. Jego ręce biegały od jednej kroplówki do drugiej.

Malik zamarł, jakby nasłuchując słów, których nikt inny nie słyszał. Nagle wykrzyknął:

- Tak! Jem ich mięso. Widzisz? Widzisz? - Rzucił głową i kłapnął zębami. Rozgryzał coś, pokazywał język, przeżuwał. - Jem ich mięso! - Chichot jeszcze bardziej szatański niż kiedykolwiek wcześniej.

Zaczął kopać. Nogi miał skrępowane w kostkach, ale ten ruch wystarczył, żeby zachybotać krzesłem. Przewróciłoby się na podłogę, gdyby nie wpadło wcześniej na Apolla, który odparł jego ciężar ramieniem.

Było jednak za późno. Alicia zobaczyła, jak Malik chwyta zębami worek z kroplówką. Wykręcił szczękę, napiął kark i zerwał ją ze stojaka, szarpiąc wściekle, jak rekin swoją zdobycz. Zawartość rozlała się wszędzie.

Płyn spryskał twarz Alicii. Krople parzyły jej oczy. W ustach czuła gorzki smak. Kwaśna alkoholowa woń zaatakowała jej nozdrza i zatoki. Zerwała się na równe nogi, zatoczyła w tył i upadła na kolana obok łóżka.

50.

Chemikalia z rozdartej przez Malika kroplówki piekły ją w oczy i paliły język. Mrugając z bólu, zmusiła się, żeby wzrokiem odszukać Malika - jakiegokolwiek niebezpieczeństwo mogło grozić tylko z jego strony. Gapił się w sufit z opadłą szczęką. Wtedy to zobaczyła: z jego ust unosiła się czarna smużka dymu. Tworzyła ponad nim wirujący obłok, który powiększał się na jej oczach. Języki oleistego dymu wystrzeliwały z niego jak atakujące węże, po czym cofały się z powrotem w skłębioną masę. Ulatywały z niego gorące opary, które załamywały światło i paliły jej skórę. Przesycaly jej oddech, tak że z trudem chwytala powietrze.

To się nie dzieje naprawdę, powtarzała sobie w duchu, ale serce zamarło w niej na myśl, że może się mylić.

Potarła oczy i pod powiekami poczuła szorstkość piasku.

- Pokrój dzieci! - zawołał Malik. - Jedz je, jedz!

Alicia gwałtownie złapała oddech.

Widziała dzieci! Ich twarzyczki wychylały się z wirującej chmury jak z wnętrza balonu. Małe główki o przerażonych, niewinnych twarzach.

Zacisnęła powieki, ale dzieci jej nie opuszczały. Cienie w jej umyśle przybierały ich kształt - chłopców i dziewczynek, niemowląt i kilkulatków. Miały wyrazisty kolor, idealne kształty. Przelatywały przez krajobraz w jej głowie jak w filmowym montażu. Twarze miały wykrzywione z przerażenia, jakby znajdowały się w uścisku niewidzialnych rąk. Wszystkie naraz zaczęły krzyczeć.

Alicia raptownie otwarła oczy. Brady podbiegł do niej, wołając coś, jakby dopytywał się, czy nic jej się nie stało.

Spojrzała ponad jego ramieniem, ale nie zobaczyła twarzyczek próbujących wydostać się z burzowej chmury zbierającej się nad Malikiem.

Brady wyciągnął do niej dłoń. Cofnęła się. Ręce miał koloru czarno-fioletowego, całe pokryte gadzimi łuskami, zakończone szponami. Palce delikatnie dotknęły jej twarzy. Nie były zwierzęce. Zorientowała się, że tamte ręce musiały należeć do czegoś za Bradym. To coś sięgało po nią ponad nim.

Brady odskoczył jakby zdmuchnięty silnym wiatrem i teraz wpatrywała się w Malika

na krześle. Choć lampy rzucały światło na otoczenie, jego postać pogrążona była w ciemności. Zarys jego sylwetki był niewyraźny, rozmyty, jakby zlewał się z kłębam dymu. I tak rzeczywiście się działo. Jego twarz wydłużała się i stapiała z unoszącym się z jego ust wirem, który wpadał w burzową chmurę. Nad jego głową zbierał się sztorm.

W jakiś sposób jednak wymówił słowa:

- Widzisz? Widzisz? - wołał. - On tu jest!

W gardle Alicii wzbierała żołąć.

- Niech on przestanie! - wrzeszczała, sądząc że ktoś... że był tam jeszcze ktoś inny, kto mógł pomóc. Tylko kto? Do kogo wołała?

- Otwórz się przed nim! - rozkazał Malik.

Jego mroczny kształt zaczął przekształcać się w coś innego. Wyślizgiwał się z więzów, bo skrępowane były tylko ludzkie kończyny, a on nie był już człowiekiem.

- Weź mnie, panie!

Z każdym wypowiedzianym przez niego słowem wir wyrastający z jego ust poszerzał się, powiększając również dymny obłok. Ich dźwięk wrzynał się w jej umysł i dławił jej serce. Dla niej to nie były już zwykłe słowa. Stały się namacalnymi narzędziami chaosu. Zrozumiała, że słowem wywołuje destrukcję, tworzy zło z oddechu i głosu. Coś jednak było w chmurze - nie dzieci - i to coś przybierało kształt. Coś, co mogło być wystającym łokciem, poruszyło się i znów schowało wewnątrz. Przed jej oczami rozgrywała się potworna imitacja ruchów płodowych pod napiętą skórą brzucha ciężarnej kobiety.

Alicia spróbowała wstać, ale jakiś wilgotny ucisk przytrzymał ją, napierając na jej twarz. To Brady... Wrócił z ręcznikiem i wycierał ją. Odepchnęła go.

- Nie! - wrzasnęła. - Nie słyszysz go? Nie widzisz tego?

- Tak, panie! Mam ich krew! Zostawiłem dla ciebie!

Chór głosów wypowiedział te słowa. Spomiędzy warg Malika nadal sączyła się ciemność i przemieniała w obłok. Pokój stawał się coraz ciemniejszy, światło lamp przegrywało z wirami zła. Uderzył ją odór i odrzuciła głowę do tyłu. W sekundzie przypomniała sobie zgniły smród, który buchnął z rozcinanego kiedyś na jej oczach przez policjantów czarnego worka na śmieci. Zawierał, jak się okazało, zwłoki kobiety porwanej trzy tygodnie wcześniej. W tej chwili była pewna, najzupełniej pewna, że trup z tamtego worka jest z nią w pokoju, ukryty pod łóżkiem albo za sofą, że ożył i porusza się, chcąc ją skrzywdzić. Chciała uciec z pokoju i biec jak najdalej przed siebie.

Ale nie mogła. Ruchy jej mięśni były powolne i niezdarne, jakby skrępowane gęstym jak woda powietrzem.

Co...? - pomyślała. Co...? To jedyne pytanie, jakie była w stanie zadać. To słowo jednak wystarczyło, żeby oddać jej oszołomienie i przerażenie. Chciała je wykrzyknąć. I tak zrobiła.

- COOO!?

Kropelka potu stoczyła się z jej czoła i spłynęła po policzku. Otarła ją. Jej twarz cała pokryta była potem - albo czymś innym. Jak przez mgłę pamiętała, że została czymś spryskana, nie miała tylko pojęcia czym.

Krew, pomyślała. To krew dzieci.

Podniosła rękę i zobaczyła, że cała ocieka krwią. Nagle kolor zbladł, a na dłoni pozostała tylko przezroczysta ciecz.

Co się dzieje?

Serce Alicii waliło jak młotem, a w umyśle przelatywały kolejne możliwości. Żadna nie była dobra: Malik był magiem albo demonem... A może była już martwa... Może tkwiła w środku najbardziej wyrazistego koszmaru, jaki kiedykolwiek miała...

Ale to wszystko było rzeczywiste - była tego pewna!

Uwagę Alicii zwróciła jakaś zmiana w pokoju. Niechętnie odwróciła się do zmaconej chmury. Na jej pożyłkowaną błonę napierała jakaś pazurzasta ręka, próbując przebić się na zewnątrz. Alicia zadrżała przekonana, że jeśli to się stanie, wszyscy przebywający w pokoju przepadną... potem wszyscy w hotelu... i w całym mieście...

Musiała coś zrobić... musiała... Odwróciła głowę i zobaczyła to na nocnym stoliku. Swoją broń. Wyciągnęła ją z kieszeni Malika po tym, jak go ogłuszyła w pokoju 522.

Czy to było dzisiaj? Czy to byłam ja, czy ktoś inny?

Nie zastanawiając się więcej, rzuciła się po niego i wylądowała płasko na łóżku, po czym znowu zerwała się w pełnej gotowości. Mglisto zdała sobie sprawę, że teraz, gdy postanowiła walczyć, a nie uciekać, jej powolność ustąpiła. Jednym płynnym ruchem schwyciła broń, zsunęła się z łóżka i wstała, trzymając broń oburącz przed twarzą. Wycelowała w pogrążoną w cieniu, przekształcającą się sylwetkę Malika na krześle.

Za jego plecami z podłogi powstała jakaś postać. Tak jak to coś wewnątrz chmury, była cała czarna i przypominała człowieka. Próbowwała sprowokować Alicię.

- Alicia - odezwała się nieznana istota. Głos był znajomy. Przesunęła rękę, celowała teraz w głowę tej nowej istoty.

- Gdzie jest Apollo? - spytała. - Co z nim zrobiłeś?

- Jestem tutaj - powoli odpowiedziała kreatura. - To działanie skopolaminy... Jesteś...

- Nie! - Alicia potrząsnęła bronią w stronę postaci, chcąc zaznaczyć, że ma broń.

Chmura rozrastała się, niedługo rozciągnie się nad nią i zajmie większość pokoju. Pazurzasta ręka wciąż napierała, a obok pojawiła się druga, obie wyciągały się w jej stronę.

Nagle, jak koc, na Alicię spadła niemoc. Poczowała zawrót głowy i zrobiła krok, żeby złapać równowagę. Kontury zaczęły się zacierać przed jej oczami. Potrząsnęła głową. Nie mogła zemdleć, kiedy razem z nią w pokoju były te istoty... te demony. Ale wiedziała, że już dłużej nie jest w stanie zachować świadomości. Można zrobić jedno: unieszkodliwić ich wszystkich, zanim straci przytomność. Przygotowała się na odrzut i zacisnęła palec na spuście.

Kątem oka dostrzegła jakiś ruch. Coś rzuciło się w jej stronę z boku, nad łóżkiem. Uderzyło w jej ramiona, a pistolet poszybował w powietrze.

Brady! Jest z nimi!

Chwycił ją i próbował obrócić. Skrępował ją ramionami od tyłu i przyciskał mocno do siebie.

- Nie!

Szamotała się, starając uwolnić ręce... Ugryźć go... Zrobić cokolwiek.

Trzymał ją w ciasnym niedźwiedzim uścisku. Upadli na łóżko. Kopała i wiała się, odrzucała głowę do tyłu, ale za każdym razem trafiała tylko w materac.

Ciemna postać stojąca za Malikiem rzuciła się do niej i złapała ją za nogi.

- Trzymaj ją - rozkazała - dopóki się nie uspokoi.

51.

- To wszystko było takie rzeczywiste - mówiła Alicia, kręcąc głową.

Opierała się plecami o łazienkowy blat, przykładając sobie ręcznik do głowy. Apollo nalegał, żeby wzięła długi gorący prysznic. Brady był zdania, że zarówno prysznic, jak i pół godziny, które minęło, od kiedy uwolnił ją z objęć, bardzo dobrze jej zrobiły. Oczy miała nabiegłe krwią, ale biorąc pod uwagę jej niedawny atak halucynacji, wyglądała na nadzwyczaj spokojną.

Alicia podniosła szklankę i dopiero wtedy zobaczył, jaka jest roztrzęsiona. Jej dłoń dygotała tak gwałtownie, że woda rozchlapывała się, nie była też w stanie przyłożyć naczynia do ust. Brady wyjął jej szklankę z ręki i przytrzymał przy jej wargach. Pociągnęła haust. Kiedy opuścił szklankę, uśmiechnęła się słabo, zakłopotana, że potrzebowała pomocy. Wiedział, że Alicia wykona nadludzki wysiłek, żeby odzyskać niezależność i siłę, żeby stać się znów dawną sobą.

Przebrała się i teraz miała na sobie kostium ze spodniami, niemal identyczny jak poprzedni, tyle że kolory były zamienione miejscami. Teraz bluzka z półgolfem była beżowa, a marynarka - wisząca na haczyku na drzwiach - i spodnie miały kolor kawy, bez śmietanki ani cukru.

Zmieniła opatrunek na rękę. Brady zauważył, że krew już zaczęła przeciekać. Dotknął gazy na swojej dłoni. Również była lepka od krwi, a rana pod spodem bolała przy dotyku.

- Apollo mówi, że dostałaś równowagę kilku działek kwasu.

Zamknęła oczy i ujęła w dwa palce nasadę nosa.

- Przypomnij mi, żebym nigdy nie zażywała narkotyków.

- Chyba nie będę musiał.

Zacisnęła szczękę. „Bierze się w garść”, pomyślał Brady. Był pod wrażeniem jej siły. Kiedy otworzyła oczy, widać w nich było skupienie i determinację. Wskazała głową drzwi.

- Więc co z nim zrobimy? - spytała.

Brady podciągnął nogawkę spodni i postawił stopę na krawędzi wanny. Powietrze nadal było ciężkie od pary. To pomagało mu rozluźnić napięcie w klatce piersiowej. Przez zamknięte drzwi słyszeli, jak Apollo się pakuje i ostrzega Malika, żeby przestał się wiercić i mamrotać. Zakneblował mu usta gazą i zakleił taśmą izolacyjną.

- Zostawimy go - odparł. - Jak już będziemy daleko, zadzwonimy do biura terenowego w Nowym Jorku. Powiemy im, gdzie jest i że ma związek z zabójstwami Pelletier.

Alicia pokręciła głową.

- Nic go z nimi nie łączy. Sam symbol nic nie znaczy.

- Możesz wypalić płytę CD z tego nagrania? Powinno się im przydać.

- Tak. Posłuchają sobie, jak odchodzę od zmysłów. - Spojrzała na niego z poważną miną. - Uwięziliśmy go wbrew jego woli i odurziliśmy narkotykami. To my zostaniemy oskarżeni.

- Masz jakiś lepszy pomysł?

Po zastanowieniu potrząsnęła głową.

- Nie możemy tutaj zostać. Ciągłe są ludzie, którzy chcą nas zabić. Nieważne, z jakiego powodu.

Jej ostatnia uwaga mocno nim wstrząsnęła. Rzeczywiście, ani trochę nie zbliżyli się do odpowiedzi, dlaczego ktoś na nich poluje. Mieli kilka tropów, które mogły pomóc odnaleźć ludzi odpowiedzialnych za te ataki, przede wszystkim jedno nazwisko: ojciec Adalberto Randall. Ale wciąż nie znali motywu, przez co ta niesprawiedliwa agresja, której ofiarą padli, była jeszcze bardziej dotkliwa. Nie mogli bronić swojej niewinności, nie mogli iść na ugodę ani próbować udobruchać wroga. Po prostu nie wiedzieli, co tamci usiłują osiągnąć, uśmiercając ich. Frustracja to zbyt łagodne określenie, by oddać to, co czuli.

- W porządku - powiedział Brady zadowolony, że wkrótce uwolni się od tej odrażającej kreatury w pokoju obok. - Jaki jest nasz następny krok?

Alicia ożywiła się, zawsze gotowa iść naprzód.

- Odnajdziemy tego ojca Randalla. Zobaczymy, czy uda nam się znaleźć przeciek wewnątrz Biura. Robimy dalej to, za co nam płacą. Badamy tropy, krok po kroku aż do końca.

Do końca śledztwa czy do naszego końca?

Nie wymówił tego na głos. Wzbierał w nim pesymizm i miał już dość tej sytuacji. Alicia zapewne również. Obudziło się w nim coś, czego wcześniej nie czuł. Jakieś zwierzę, które warcząc, przechadzało się tam i z powrotem. Chciało chronić ludzi mu bliskich i wyrzucić zemstę na tych, którzy im zagrozili, skrzywdzili ich i przerazili. Nie był w stanie dokładnie określić tego uczucia, ale czuł, że jest potężne, przepelnione gniewem i wyzwajające. Jak tygrys na uwięzi. Nie chciał wciągać go z powrotem do klatki, ale też bał się spuścić je z łańcucha.

Alicia złączyła końce palców wskazujących i oświadczyła, jaki według niej powinien

być ich następny krok.

- Weźmy telefon i dowiedzmy się...

Z pokoju dobiegł ich jakiś trzask i gardłowy okrzyk bólu. Alicia pchnęła drzwi i wybiegła z łazienki. Brady był tuż za nią, sięgał po pistolet. Pokój był prawie całkiem ciemny. Lampa podłogowa przewróciła się, a żarówka była stłuczona. Tylko lampa ścienna rzucała mdłe światło na rozgrywającą się scenę. Malik stał. Jeden nadgarstek przywiązany był do podłokietnika krzesła, którym wywijał bez żadnego wysiłku. W drugiej, oswobodzonej dłoni coś lśniło. Po sposobie, w jaki im tym wygrażał, Brady szybko się zorientował, że to nóż albo brzytwa. Stał na środku pokoju. U jego stóp leżał Apollo, podpierając się na łokciu, a drugim ramieniem zasłaniając głowę. Jego czoło i lewa strona twarzy połyskiwały. Brady nie potrafił dostrzec koloru w półmroku pokoju, ale nie trzeba było maniaka gier komputerowych, żeby rozpoznać krew.

- Myślałem, że jest dalej nieprzytomny! - wrzasnął Apollo. - Czekał na mnie, aż...

- Aaaaaaaaaa! - ryczał Malik przez gazę i taśmę. Wymachiwał ostrzem nad Apollem. Koszula rozdarła się na jego ramieniu. Apollo gwałtownie złapał oddech i opadł na dywan. Leżąc u stóp Malika, musiał się czuć zupełnie bezbronny, ale podnosząc się na łokciu, znajdował się w zasięgu ostrza. Brady widział, że postanowił zostać na podłodze.

Brady wycelował pistolet w Malika.

- Odłóż ostrze, teraz! - wrzasnął. - Już!

Malik spojrzał na niego groźnie. Dyszał ciężko i szybko, ramiona wznosiły się i opadały jak miechy.

Obok niego Alicia szeptała.

- Gdzie moja broń?

- Mam go na celowniku - powiedział Brady.

- Strzelaj! - krzyknął Apollo.

Malik przyklęknął na kolano, opuścił ostrze i przeciął skórę na zewnętrznej części dłoni Apolla.

- Przestań! Przestań! Przestań! - rozkazywał Brady, ale Malik zrobił już, co chciał, i teraz z powrotem był na nogach.

- Brady? - wyszeptała Alicia. - Dasz radę?

- Ciii.

- Dlaczego nie strzeliłeś?

Gdyby to zrobił, musiałby strzelać, by zabić, w serce lub głowę. Inaczej dałby szansę Malikowi, żeby śmiertelnie ranić Apolla. A nie trzeba było wiele, cięcie przez gardło, klucie

w klatkę piersiową, w oko albo skroń. A jednak Brady nie miał pewności, że strzał będzie perfekcyjny. Nigdy nie używał broni na służbie. Czy powinien oddać pistolet Alicii? W ten sposób zamknąłby swoją wewnętrzną bestię z powrotem w klatce, a tego nie chciał.

Malik zaczął szarpać taśmę na swoich ustach. Z jednej strony już odpadła. Zwisiała teraz z jego prawego policzka, a do niej przylepiony był zwitek mokrej gazy. Podniósł oczy, uniósł ramiona i zaczął krzyczeć.

- Panie, pomóż swojemu słudze!

Apollo - idiota, przemknęło Brady'emu przez myśl - podniósł swoją wielką rękę. Brady, widząc, co się święci, chciał krzyknąć: „Nie! Czeka!” ale wszystko potoczyło się zbyt szybko.

Apollo złapał Malika za krocze. Zacisnął pięść tak mocno, że na skórze dłoni pokazały się żyły. Wielkie białe zęby zaśniły, kiedy zagryzał je z wysiłku.

Malik wrzasnął. Na moment ból oślepił go, nie wiedział, jak się bronić.

- Teraz! - zagrzmiał Apollo. - Teraz strzelaj.

- Strzel, Brady! - zachęcała Alicia. - Strzelaj! Strzelaj!

Jego palec ześliznął się z osłony i spoczął na spuście. Kilo osiemdziesiąt nacisku. Tyle wystarczy. Zawahał się. Jak mógł odebrać życie człowiekowi, kiedy życie innego nie było bezpośrednio zagrożone? A jeśli siła uścisku Apolla wystarczy, żeby rzucił ostrze?

Jednak nie wystarczyła. Grymas bólu na twarzy Malika zmienił się we wściekłość. Opuścił głowę i zatoczył ostrzem szeroki łuk. Klinga zagłębiła się w przedramię Apolla. Ten wrzasnął z bólu, ale nie zwolnił uścisku. Malik wyszarpnął ostrze i Brady rozpoznał skalpel. Napastnik jeszcze raz wzniosł narzędzie, z którego skapywała strużka krwi. Jeśli Malik pochylił się do następnego ciosu, głowa Apolla znajdzie się w jego zasięgu.

Rozległ się huk wystrzału. Przed Bradym buchnął obłok dymu, przez który dostrzegł, że Malik został trafiony w ramię. Kula przeszła na wylot i wybiła w oknie dziurę wielkości ludzkiego oka. Szyba pękła pionowo, szczelina biegła od otworu w górę i w dół aż do parapetu. Z odgłosem lodu na tafli jeziora kruszącego się pod stopami na oknie pojawił się wzór mikroskopijnych pęknięć promieniujący ze wszystkich punktów wylotu pocisku. Siła pocisku obróciła Malika. Brady nigdy nie miał się dowiedzieć, czy to, co stało się potem, było wynikiem stanu umysłu napastnika czy chaosu i przypadku. Obracając się, Malik wyrzucił ramiona w górę. Przymocowane do nadgarstka krzesło podskoczyło i uderzyło w szybę, roztrzaskując ją. Do pomieszczenia wdarł się zimny podmuch. Krzesło wypadło na zewnątrz, a Malik podążył za nim.

Apollo, uparcie ściskając pachwinę tamtego, uderzył w klimatyzator, który

przekrzywił się, tworząc pochylnię prowadzącą do okna. Kiedy Malik zniknął za framugą, Apollo przesunął się w stronę nocnego nieba. Głową i biodrami zawadził o metalowe, pionowe wsporniki framugi.

- Puść! - wrzasnęła Alicia, rzucając się do przodu.

- Trzyma mnie za rękę! - odpowiedział Apollo. Przerazenie podwyższyło jego głos o oktawę.

Alicia próbowała pochylić się nad nim.

- Nic nie widzę - powiedziała i wspięła się na niego. Klęcząc na jego ciele, chwyciła się rękami ramy okna i wychyliła, żeby spojrzeć w dół.

Brady zacisnął palce na tkaninie między jej łopatkami i odchylił się, żeby zrównoważyć jej lekkomyślne działanie. Miotając się, Apollo kopnął go mocno w zębra.

Alicia coś mówiła, ale jej głos ginął w gwałtownych podmuchach wiatru.

- Co? - wrzasnął Brady.

Obejrzała się przez ramię.

- Wbił pazury w jego nadgarstek! Daj mi swoją broń!

Brady od razu wiedział, że to szalony pomysł.

- Nie możesz się puścić! - odkrzyknął do niej.

- On też nie puści! Wcale nie chce wejść do środka. Odpycha się nogami od muru, chce pociągnąć Apolla ze sobą! - Jej prawa dłoń oderwała się od framugi i otwarła się w jego kierunku.

Wcisnął jej pistolet do ręki, która natychmiast zniknęła z pola widzenia.

- Zdejmijcie go ze mnie! - ryczał Apollo. Wił się pod Alicią, a ta wychylała się coraz dalej za okno.

- Hej! - wrzasnął Brady. - Przestań się ruszać albo wszyscy troje spadniecie!

Apollo wiercił się jeszcze bardziej, gorączkowo starając się spełznąć z klimatyzatora na podłogę. Malik nie ustępował ani na centymetr.

Alicia zaklęła.

- Co?

- Twój pistolet spadł!

Apollo odepchnął się potężnie od framugi. W tym samym momencie Malik musiał pociągnąć, bo Apollo wygiął się i na wpół ześlizgnął, na wpół stoczył za okno, strącając z siebie Alicię. Podniosła się, chcąc znaleźć oparcie dla stóp i przebierała nogami do tyłu, jakby balansowała na pniu drzewa. Jej stopy wyfrunęły w górę, a ona sama zaczęła spadać. Krzyżem uderzyła o parapet i runęła do przodu.

Brady widział, jak materiał jej bluzki wydziera mu się z palców, jak Alicia obraca się, żeby się czegoś chwycić, widział jej twarz wykrzywioną przerażeniem, widział jak odrywa się od okna.

Zniknęła mu z oczu.

52.

Palce - dwie dłonie po cztery palce były zaciśnięte na parapecie.

Brady rzucił się do nich, na oślep sięgając za okno, żeby chwycić nadgarstki. Spojrzał w dół.

Twarz Alicii była jakieś sześćdziesiąt centymetrów poniżej krawędzi. Oczy miała rozszerzone w panice.

Apollo przepadł, prawdopodobnie szybował w stronę markizy oznajmiającej obecność hotelu Marriott na Times Square. Świadomość, że Apollo właśnie zmierzał w stronę własnej śmierci, przekłuła bańkę niedowierzania w umyśle Brady'ego. To działo się naprawdę; to, co stało się z Apollem, mogło się przydarzyć Alicii.

Nie! - pomyślał. - Tak się nie stanie!

Poruszała ustami, ale wiatr porywał jej słowa. Próbował czytać z ruchu jej warg. Krzyczała jego imię.

- Trzymam cię - wrzasnęła. Nie mogła go słyszeć, ale miała nadzieję, że go rozumiała.

Poniżej Alicii wisiał Malik, jedną ręką trzymając ją za kostkę w śmiertelnym uścisku. Druga zwisała w dół obciążona krzesłem. Mebel bujał się na wietrze, tłukąc o jego nogi.

Zaś poniżej Malika, daleko w dole, migotały krzykliwe, wielokolorowe światła Times Square. Brady był za daleko, żeby rozpoznać którykolwiek z potężnych neonów. Plamki światła, jakby opalizujące mrówki to samochody próbujące przedrzeć się przez skrzyżowanie. Odgłos klaksonów, nieustanny jak napór przechodniów, nie dobiegał tak wysoko. Do uszu Brady'ego docierało jedynie wycie wiatru.

Ciągnął, nie przestawał ciągnąć. Ale Alicia nie drgnęła z miejsca. Poczul silny ból w ręce. Zignorował go i jeszcze mocniej zacisnął palce.

Wsunął stopę pod klimatyzator dla lepszego oparcia i spróbował ponownie. Odchylił ciało do tyłu, swoim ciężarem próbując stworzyć dźwignię i wywindować Alicię w górę. Podniosła się o trzy centymetry i starała się znaleźć lepszy uchwyt dla dłoni na przedniej krawędzi klimatyzatora. Jej głowa znajdowała się teraz powyżej parapetu. Błyskawicznie przeniósł ręce na jej bicepsy.

Odchyl się i ciągnij...

Jej brzuch wsunął się na parapet. Chwycił ją pod ramiona. Ciągnij...

Była już w środku. Zaciskała zęby z bólu.

- Moja noga...!

Malik ciągle trzymał ją za kostkę, wgniatając jej piszczel w ostrą krawędź parapetu i wystające z niej odłamki szkła. Z otwartej rany krew lała się na metalową framugę.

Brady złapał dłońmi nadgarstek Malika, usiłując strząsnąć go z Alicii albo uściskiem zmusić, by puścił jej kostkę. Ręka mężczyzny jednak była niewzruszona jak żelazne okowy. Brady wychylił się i przez moment był pewien, że zaraz zwali się w dół i mijając Malika, dołączy do trupa Apolla. Zatopił zęby w wierzchu dłoni Malika. Zagryzł mocno i piłował zębami tam i z powrotem. Ciepła krew o miedzianym posmaku wypełniła mu usta. Nie wypuszczając z uścisku ręki Malika, Brady zagryzł jeszcze mocniej. W końcu dłoń otwarła się.

Malik oderwał się od nogi Alicii - opadł niżej, ciągnąc mocno Brady'ego, który teraz przyjął cały jego ciężar. Brady odchylił się do tyłu i wijąc się, usiłował zsunąć z parapetu do wnętrza pokoju. Malik podnosił się razem z nim. Wykręcał nadgarstek, starając się uwolnić z uchwytu Brady'ego.

Czy on chce spaść? - pomyślał Brady. - Czy to możliwe, że nadal jest odurzony narkotykami?

Malik podniósł drugą rękę w stronę Brady'ego.

Chwyć mnie na nadgarstek!

Zamiast tego mężczyzna zaczął drapać czarnymi paznokciami trzymającą go dłoń. Brady zawył z bólu. Z czterech głębokich bruzd sączyła się krew. Spływała do wnętrza dłoni Brady'ego, powodując śliskość. Czuł, że bandaż zaczyna się odrywać od jego lewej dłoni, że zaraz odpadną. Ścisnął najmocniej jak potrafił.

Ich spojrzenia się skrzyżowały. Brady czuł tylko odrazę i pogardę. Nie dostrzegł nic, co warto ratować w kreaturze, której życie miał w ręku. Oto człowiek, który owinał drut wokół szyi Alicii i wyciągnął ją przez okno na czterdziestym dziewiątym piętrze. Oto bestia, która popchnęła Apolla do zguby, która powiązana była z atakiem na niego i jego syna. Ten napastnik był trybem w maszynie, której celem, jedynym który liczył się dla Brady'ego, było zniszczyć jego, jego syna i jego partnerkę. Poza tym Brady wierzył, że jego przemowy podczas przesłuchania na amyntalu były jednoznaczne z przyznaniem się do morderstwa dzieci.

I uniknie za to kary.

Jeśli razem z Alicią nie aresztują go, nie postawią zarzutów i nie rozpoczną śledztwa, Malik wyjdzie z tego hotelu jako wolny człowiek.

Nadgarstek Malika wysliznął mu się z ręki, która jednak zdążyła się ponownie zacisnąć na dłoni mężczyzny. Tylko opuszki palców wystawały z uchwytu. Zraniona dłoń Brady'ego trzęsła się z bólu, ale koncentrował się, żeby utrzymać uścisk wokół palców Malika.

Brady zamknął oczy. Gdyby puścił, to byłoby morderstwo. Tak się nie robi. Zacisnął jeszcze mocniej, kości Malika zagrzechotały w jego dłoni.

Poczuł, że Alicia złapała go za pasek.

- Wciągnij mnie! - wrzasnął. Poczuł szarpnięcie. Mięśnie dłoni i ramienia paliły go żywym ogniem.

Odejdzie wolno.

Chyba że odfrunie.

Dłoń Malika wysliznęła się. Runął w dół, ciągle wznosząc jedną rękę z rozcapierzonymi palcami. W jego oczach nie było strachu, tylko nienawiść tak zawzięta, że Brady ciągle czuł na sobie jej ostrze, nawet kiedy Malik zniknął mu z oczu.

Pozwolił, by Alicia odciągnęła go od młócących podmuchów wiatru, od ciemności nocy, która - czuł to w głębi duszy - wołała o kolejne ofiary.

Osunął się na podłogę i plecami oparł się o klimatyzator. Alicia opadła ciężko obok łóżka. Włosy miała zmierzwiłone wiatrem.

Patrzył na nią, ale widział tylko malejącą sylwetkę spadającego Malika.

O czym ja myślałem? Że odejdzie wolno... chyba że odfrunie. Puściłem go? Rozmyślnie?

Nie potrafił sobie odpowiedzieć. Naprawdę nie wiedział.

Alicia dała sobie nie więcej niż trzydzieści sekund na złapanie oddechu, po czym wstała. Wsparła się na łóżku, żeby wywindować się w górę, jęcząc z wysiłku. Bolało, kiedy się na to patrzyło. Trzymała się za zranioną rękę. Przednie części obu łydek krwawiły od skaleczeń przez potłuczone szkło na parapecie.

- Musimy się stąd wynosić - powiedziała. Schyliła się, żeby podnieść swój pistolet z podłogi, gdzie leżał, od kiedy Brady wytrącił jej go z rąk. Położyła walizkę na jednym z łóżek, rozpięła suwak i wyjęła coś w kolorze lawendy. Świeżą bluzkę. Ta, którą miała na sobie, była z tyłu podarta. Podeszła do drzwi łazienki i odwróciła się do niego.

- Weź torbę i narzędzia Apolla - zakomenderowała. - Zostaw EKG i kroplówki. Nie mamy czasu udawać, że nas tu w ogóle nie było.

Przerwała, przyglądając mu się ze współczuciem. Wyglądała na tak wykończoną, jak on się czuł.

- Musimy się pospieszyć, Brady.

Weszła do łazienki, ale nie zadała sobie trudu, by zamknąć drzwi.

53.

Po śmierci Karen świat wydawał się Brady'emu mrocznym miejscem. Nie miał jednak pojęcia, jak mroczny rzeczywiście mógł być.

Przez jakiś czas podróżowali w milczeniu. Sceny z ostatnich sześciu godzin przelatywały mu przed oczami jak filmowa zapowiedź horroru, który ma szarpać zmysły nagłymi obrazami kłów, bryzgów krwi i spadających ciał. Atak na niego i Zacha, napad na Alicię, szaleństwo przesłuchania Malika, który z pewnością był satanistą, otarcie się Alicii o śmierć, upadek Apolla, a potem Malika, z czterdziestego dziewiątego piętra. Brady nie mógł się zdecydować, czy powinien to sobie jakoś poukładać, czy po prostu odpuścić i nie myśleć o niczym przez jakiś czas.

Prędko opuścili hotel i to nie tylko dlatego, by uniknąć spotkania z ochroną i policją. Żadne z nich nie było przekonane, że Malik czy zabójca wysłany do domu Brady'ego działali sami. Gdyby zjawili się inni, zwabieni zamieszczeniem lub po prostu ciekawi działań Malika, chcieliby zapewne dokończyć dzieła. Brady dziękował opatrności za swoją potrójną ostrożność, która kazała mu odwiedzić Zacha do Oakleyów.

Ale wyjechać z hotelowego parkingu to już inna sprawa. Wzięli jego toyotę highlander, istniała bowiem szansa, że ktokolwiek ich ścigał, nie wiedział jeszcze, że Brady przyjechał do Nowego Jorku. Mimo to łatwo można było ich namierzyć i śledzić. Brady lawirował więc, co jakiś czas wracając w to samo miejsce i wjeżdżając na jakiś podziemny parking po to, by zaraz z niego wyjechać, cały czas oddalając się od Manhattanu i krwawego bałaganu, który po sobie zostawili.

Przejechali przez Queens i Brooklyn, następnie przez most Verrazano Narrows do Staten Island i wyruszyli na południowy wschód autostradą Richmond Parkway do New Jersey.

Kiedy Alicia skończyła zmieniać opatrunek dzięki zasobom z torby Apolla, wyciągnęła laptop i zaczęła zaciekle stukać w klawiaturę. Wiedział, że w ten sposób radzi sobie ze stresem, chce wyrzucić go z głowy, przelewając na ekran komputera. Kącikiem oka widział, jak światło latarni prześlizguje się po jej twarzy w odstępach tak regularnych jak uderzenia serca. Poza wzrostem i szczupłą budową ciała Karen i Alicia były przeciwieństwami. Jego żona była śniada i tajemnicza, Alicia zaś miała jasne włosy i cerę, a

wyraz jej twarzy wydawał się tak łatwy do odczytania jak menu w fast foodzie (Brady wiedział, że to tylko pozór). Karen często długo się zastanawiała, zanim spokojnie wyjaśniła, dlaczego ma odmienny od Brady'ego pogląd na sprawę. Alicia za to ani przez moment nie wahała się przed zgłoszeniem protestów. Gdy coś ją trapiło, Karen sięgała po Biblię, Alicia po broń.

A jednak Brady czuł jakieś poruszenie serca na myśl, że Alicia siedzi obok niego i dzieli z nim tę mroczną przygodę. Zdał sobie sprawę, że to uczucie może być głęboką wdzięcznością za to, że dzisiaj nie zginęła, choć dwukrotnie otarła się o śmierć. Przypomniawszy sobie przyływ opiekuńczości, którego doświadczył na wieść o ataku Malika. To uczucie było inne. Ciepłe i krzepiące. Daleko mu było do emocji, które budziła w nim Karen, ale po raz pierwszy od jej śmierci poczuł coś takiego. Zaskoczyło go to. I dało mu nadzieję.

Klawiatura przestała stukać. Spojrzał na Alicję. Zgarbiona opierała się o drzwi, oczy miała zamknięte. Sięgnął ręką i zamknął ekran laptopa.

- Nie śpię - powiedziała, nie poruszając się. Minęło dwadzieścia sekund, zanim dodała: - Chociaż prawie.

- Chcesz red bulla? - Widywał już, jak wypijała duszkiem trzy napoje energetyczne w jeden długi wieczór śledztwa. Jemu też przydałoby się kilka.

- Wolałabym motel Red Roof. Brady, jestem skonana.

- Wystarczy słowo.

Potrzebowali czasu na myślenie, opracowanie planu i odpoczynek. Słyszał kiedyś, że najlepsi żołnierze nigdy nie odpuszczali okazji, żeby się wyspać i najeść. Bez tego nie da się osiągnąć najwyższej sprawności, a w czasie walk nigdy nie wiadomo, kiedy przydarzy się następna okazja. A jedna rzecz była tak jasna, że aż kłuła w oczy: on i Alicia byli żołnierzami walczącymi w bitwie o własne życie.

Skręcił w zjazd prowadzący do pierwszego napotkanego motelu, Comfort Inn na obrzeżach Baltimore. Trzy godziny i trzy stany dzieliły ich od pokoju hotelowego w Marriotcie, gdzie ekipa śledcza znajdzie ich odciski palców i DNA.

Brady nie musiał pytać, by wiedzieć, że tak samo jak on Alicia nie chciała być teraz sama. To nie miała być jedna z tych nocy, kiedy stres i widmo śmierci popychają dwoje ludzi w swoje ramiona i do wspólnego łóżka, ale chciał mieć ją na oku, być blisko i wiedzieć, że zasypiając, oddychają tym samym powietrzem. Nie wiedział, czy chciał być właśnie blisko Alicji, czy po prostu blisko towarzysza broni. Podejrzewał, że chodzi o nią.

Po raz pierwszy od śmierci Karen miał dzielić pokój z inną dorosłą osobą. Poprosił o osobne łóżka.

Zaparkowali na tyłach motelu, z dala od głównej arterii i wnieśli bagaż.

Alicia natychmiast rozstawiła sprzęt komputerowy na obtłuczonym fornirowanym stole.

- Malik dostarczył nam ciekawych informacji - wyjaśniła. - Chcę je sprawdzić w Narodowym Centrum Informacji o Przystępności. Zobaczmy, co wyjdzie.

- Teraz?

- To tylko chwila - powiedziała. - Jakies pół godzinki.

Niebo zaczynało jaśnieć i prześwitywać przez firanki jedyne w pokoju okna. Zaciągnął zasłony i poszedł do łazienki sprawdzić, jak gorącą wodę uda mu się uzyskać pod prysznicem. Kiedy wyszedł po dwudziestu minutach, ekran komputera był ciemny, a Alicia leżała ubrana na narzucie łóżka, śpiąc kamiennym snem.

*

Kiedy Brady się przebudził, powieki miał cięższe o pięć kilogramów. Ciężko napierały na jego oczy i musiał wysilać wszystkie mięśnie twarzy, żeby utrzymać je w pozycji otwartej. Głowa i ręka rywalizowały o jego uwagę, w obu czuł rwący ból. Szeroki pas jaskrawego światła wdierał się przez kilkucentymetrową lukę między zasłonami. Brady wstał, żeby temu zaradzić.

Alicia leżała w pościeli, narzuta była zsunięta z łóżka. Lawendowy kołnierz, wygięty jak psie ucho, dotykał jej brody - najwyraźniej nie chciało jej się nawet zdejmować ubrania. Leżała na plecach z głową odrzuconą w tył z otwartymi ustami. Spała snem osoby skrajnie wyczerpanej.

Przyszła mu do głowy modlitwa wieczorna, którą odmawiał codziennie w dzieciństwie.

„Gdybym umrzeć miał we śnie...”

Jak można uczyć dzieci takich rzeczy? Nigdy nie lubił tej modlitwy.

W pokoju panowała duchota. Brady przekonał się, że klimatyzator zamontowany na ścianie tuż pod oknem dmuchał tylko gorącym powietrzem, niezależnie od ustawienia.

Alicia zostawiła na łazienkowym blacie butelkę ibuprofenu. Wziął cztery tabletki i wrócił do łóżka, nie spojrzawszy na zegar.

Horror minionej nocy nawiedził Brady'ego we śnie.

- Nie! Nie słyszysz go? Nie widzisz?

- Tak, panie! Mam krew! Zostawiłem ją dla ciebie!

Brady obrócił się na drugi bok, odgarniając pościel, która pochwyciła go jak czyjaś ręka. Gwałtownie usiadł na łóżku. Z wysiłkiem mrużył oczy przed słońcem wpadającym

przez odsłonięte zasłony. Jednak koszmar go nie opuszczał.

- Alicia...

- Gdzie jest Apollo? Co z nim zrobiłeś?

Alicia siedziała przy niewielkim stoliku. Zauważyła, że się obudził i szybko sięgnęła po dyktafon, na którym nagrała przesłuchanie Malika na amytału. Chaotyczne echa tych wydarzeń nagle ustały.

- Przepraszam - odezwała się.

Brady potarł twarz dłońmi. Powieki odzyskały dawny ciężar, ból głowy zniknął. Tylko ból w dłoni był na tyle mocny, żeby o sobie przypomnieć.

- Która godzina?

Zerknęła na zegarek.

- Pierwsza piętnaście. Nie śpię już od kilku godzin.

Jęknął, zrzucił nogi z krawędzi łóżka i usiadł. Włożył stopy w spodnie i naciągnął je, stojąc. Obrócił się i zobaczył, że Alicia go obserwuje. Nie próbowała nawet tego ukrywać. Zachował zimną krew. Jego koszula wisiała na jej krześle. Podeszedł, zdjął ją z oparcia i założył na siebie.

Położył rękę na ramieniu Alicii. Jej mięśnie były napięte jak postronki. Zaczął masować jej mięśnie trapezowe. Karen nauczyła go powstrzymywać odruch brutalnego ugniatania, a zamiast tego delikatnym dotykiem usuwać z nich napięcie.

- W porządku? - zapytał.

- Wczorajsza noc - powiedziała, wskazując dyktafon. - Nie mogę uwierzyć, że to ja.

Zaczęła powoli obracać głowę. Jej mięśnie reagowały na dotyk palców Brady'ego.

- Zrób sobie przysługę - zaczął. - Usuń to nagranie.

- Wiem, że to były halucynacje, ale nie mogę się pozbyć wrażenia, że było w nich coś więcej.

Czekał, co powie dalej. Skupił się teraz na jej mięśniach naramiennych, powyżej pasa barkowego.

Pozwoliła, by minęło kilka sekund, po czym kontynuowała:

- Czulałam się, jakbym zaglądała do niewidocznego świata, który zawsze jest wokół nas, ale go nie widzimy.

- Świata duchowego?

- Tak... coś w tym stylu. Karma albo... sama nie wiem. Myślę po prostu, że Malik był zły i przyciągał to, co złe, demony, złą energię czy cokolwiek innego. To wszystko gromadziło się wokół niego. Chyba przez moment to widziałam.

Brady przesunął palce na boki i na tył jej szyi, starannie omijając ranę zadaną przez garotę Malika.

- Wiele plemion indiańskich, Aborygenów czy plemion w innych krajach wierzy, że środki halucynogenne pomagają ludziom kontaktować się z duchami - powiedział Brady. - Timothy Leary próbował dowieść, że LSD przełamuje nasze mechanizmy obronne, zmienia nasze pojęcie o rzeczywistości i pozwala zobaczyć świat takim, jaki jest naprawdę, z wymiarami i istotami, których na co dzień nie dostrzegamy. Utrzymywał, że to nie narkotyki deformują naszą świadomość, ale właśnie uprzedzenia. Dlatego niektórzy sądzą, że małe dzieci więcej wiedzą o świecie nadprzyrodzonym niż dorośli, bo nie wykształciły jeszcze uprzedzeń, które nie pozwalają nam widzieć to, co wykracza poza nasze pięć zmysłów.

- A ty w co wierzysz?

Przez chwilę przypatrywał się pracy swoich palców. Powróciły teraz w okolice mięśni trapezowych.

- Wierzę, że wokół nas są wymiary i istoty, których nie widzimy. Biblia mówi tyle: „Nie toczymy bowiem walki przeciw krwi i ciału, lecz przeciw Zwierzchnościom, przeciw Władzom, przeciw rządcom świata tych ciemności, przeciw pierwiastkom duchowym zła na wyżynach niebieskich”. - Pozwolił jej zastanowić się nad cytatem, po czym dodał. - Czy kiedykolwiek dane nam jest zobaczyć je w ciągu naszego ziemskiego życia, tego nie wiem.

- Ja je widziałam.

Przestał masować i obszedł krzesło dookoła, żeby spojrzeć jej w oczy.

- Malik wygadywał niestworzone rzeczy, zanim dostałaś chlust skopolaminy w twarz. Może to, co widziałaś...

- Było sugestią posthipnotyczną? - Potrząsnęła głową. - Nie sędzę.

Widział, że nie jest w stanie jej przekonać. Będzie urabiać to, czego, jak sądzi, doświadczyła, aż stanie się to dla niej użytecznym narzędziem. W końcu dzięki przeżytej wczoraj traumie stanie się silniejsza i będzie lepiej wykonywać swoją pracę. Pod tym względem była bardzo nietzscheańska.

- Chciałbym tylko wiedzieć - powiedział, chcąc rozładować napięcie - jaki horror Malik uznałby za straszny.

Roześmiała się cicho i zobaczył w jej oczach wyraz rozbawienia.

- Muppety na tropie? - rzuciła i oboje wybuchli śmiechem.

Na stole koło dyktafonu leżał włączony laptop. Obok niego Brady zobaczył nieduży stosik wydrukowanych stron. Jego uwagę zwrócił wytłuszczony nagłówek: „Znikający wikingowie: zagadka zachodniej osady”. Opadł na wolne krzesło i wziął do ręki leżącą na

wierzchu kartkę.

- Co to?

- Dane z internetu - wyjaśniła. - Musiałam się czymś zająć, kiedy sobie drzemałeś. Mówiłeś, że ten człowiek, który cię zaatakował, wyglądał jak wiking, miał ich ubranie i broń, więc wrzuciłam w Google „wiking”, „krzyżówki psa z wilkiem” i kilka innych haseł. Wygląda na to, że wikingowie to ostatni krzyk mody. Są im poświęcone setki tysięcy stron. Znajdziesz o nich wszystko. Nie dałabym rady się przez to przedrzeć, więc poszukałam w LexisNexis. Znasz to?

Skinął głową. Była to baza artykułów z magazynów, gazet i periodyków. Bardzo obszerna. Zawierała publikowane artykuły, dlatego najczęściej były lepiej udokumentowane i napisane niż przeciętna strona internetowa. Na studiach podyplomowych regularnie korzystał z tej bazy.

- To artykuł z czasopisma „Journal of Archaeology” - powiedziała.

Zaczął czytać po cichu.

Porzucenie zachodniej osady na Grenlandii w 1350 roku stanowi jedną z największych zagadek średniowiecznej historii. Jak podaje Ivar Bardarsson, islandzki duchowny, z dnia na dzień zniknęło stamtąd dziewięćdziesiąt rodzin. Na wiosnę 1350 roku przyjaźnie nastawieni Eskimosi przynieśli do wschodniej kolonii na południowym cyplu Grenlandii wieść, że w Vesterbygd - jak określano wtedy zachodnią osadę - nikt nie pozostał. Bardarsson przyłączył się do grupy, która wyruszyła tam w celu zbadania prawdziwości informacji. Znaleźli stoły zastawione do posiłku, kociołki strawy nad wygasłymi paleniskami i zagłodzone zwierzęta gospodarskie w zagrodach, ale żadnych ludzi nie było. Czy zostali wybici przez lokalną ludność eskimoską? Czy szczególnie sroga zima roku 1349-50 wypędziła ich... gdzieś indziej? Tego nikt nie jest...

- Gdzie jesteś? - przerwała mu Alicia.

Odpowiedział.

- Okay, z tego artykułu to już wystarczy. Masz... - Przynęła do siebie stertę papierów i przekartkowała je. Wyciągnęła jedną stronę i podała mu ją.

- To z „Journal of Speculative Archaeology”.

- Z czego?

- To ma coś wspólnego z ustalaniem teorii na podstawie znanych faktów, nie wiem zresztą. Autor jest profesorem wydziału archeologii uniwersytetu w Ontario. Zobacz. Czytaj to, co podkreśliłam.

Tym razem zaczął czytać na głos:

- W przeciwieństwie do tego, jak jest przedstawiany w książkach historycznych, Ivar Bardarsson nie był skromnym zakonikiem, ale bezwzględny „misjonarzem tortury”. Pogan, którzy odmawiali nawrócenia na chrześcijaństwo, miał zwyczaj kamienować na śmierć, nie wyłączając ośmioletnich dzieci. Był tak bezlitosny, że w 1341 roku został wygnany z Norwegii i zesłany do wschodniej osady na Grenlandii, znanej później jako Osterbygd. Tam w przebraniu komisarza Biskupa z Bergen Bardarsson dalej prowadził praktykę nawracania pod groźbą śmierci. Nie wiadomo, kiedy Bardarsson dowiedział się o istnieniu zachodniej osady zwanej Vesterbygd, jednak musiał się wtedy poczuć jak dzieciak w sklepie z cukierkami. W przeciwieństwie do innych osad bowiem, w tych czasach już w dużej części chrześcijańskich, kolonia zachodnia była zamieszkaana wyłącznie przez pogan. Kiedy Eryk Rudy opuścił Norwegię, by osiedlić się w Grenlandii w 984 roku, chrześcijaństwo zaczęło już ogarniać jego ojczyznę. Na jego statkach płynęli zarówno chrześcijanie, jak i poganie. Aby utrzymać spokój w swoim kielkującym nowym świecie, Eryk postanowił rozdzielić te dwie religie. Poganie osiedli w Vesterbygd. Z pokolenia na pokolenie Vesterbygd nie tylko zachowało pogańskie wierzenia, ale stało się wręcz zaciekle antychrześcijańskie. Po nawróceniu Skandynawów jako grupy narodowej na chrześcijaństwo krwawą pasję, z którą wcześniej podbijali i grabili Saksończyków, teraz wykorzystywali do nawracania niewiernych. W istocie barbarzyńskie techniki nawracania stosowane przez Bardarssona były niczym innym jak produktem jego dziedzictwa. Dla pogan z Vesterbygd chrześcijanie byli po prostu krwiożerczymi napastnikami. Kiedy Bardarsson wypłynął do Vesterbygd... - Brady przerwał i spojrzał na Alicję. - On chyba nie chce powiedzieć, że Bardarsson wytrzebił całą zachodnią osadę?

- Jeszcze lepiej. Czytaj dalej.

- Bardarsson wypłynął do Vesterbygd pod dwóch latach planowania wyprawy. Wieści o jego zamiarach dotarły do Anglii, gdzie wzbudziły zainteresowanie pseudoreligijnej organizacji zwanej Excubitor. Jej członkowie podzielali pogardę dla chrześcijaństwa żywną przez mieszkańców Vesterbygd. W liście od Arcyksięcia...

- Czytaj tylko podkreślone.

Brady przebiegł wzrokiem kilka linijek.

- Grupa dotarła do Vesterbygd przed Bardarssonem. Przekonali przywódców osady, by przenieśli się dalej na północ, gdzie flota organizacji miała spotkać się z nimi późnym latem. Zawarli układ, na mocy którego Excubitor miał zostać ich dobroczyńcą i pomóc im zachować wierzenia oraz kulturę w zamian za przysięgę na wierność...

Brady przeczytał te słowa, po czym posłał Alicji zdumione spojrzenie. Odpowiedziała

uśmiechem. Powrócił do tekstu.

- ...na wierność mającemu nadejść Antychrystowi, który według przepowiedni ma pokonać chrześcijaństwo i przywrócić panowanie Asetru.

- To religia wikingów. Sprawdziłam to.

- Ale to nie jest prawda. Antychryst nie pokonuje chrześcijaństwa.

Alicia wzruszyła ramionami.

- Wszystko można przekręcić. Dalej autor mówi, że według niego lud z osady zachodniej przeniósł się do dzikich ostępów Terytoriów Północno-Zachodnich w Kanadzie, gdzie ich potomkowie nadal oczekują Antychrysta.

- Ma na to dowody?

- Jakież tam ma... W latach dziewięćdziesiątych dziewiętnastego wieku w Fond du Lac w prowincji Saskatchewan pojawił się jakiś facet ubrany w strój wikinga. Twierdził, że uciekł z zamkniętej społeczności mieszkającej na dalekiej północy. Miejskowa gazeta zrobiła z nim wywiad i sfotografowała go, ale zanim dotarli tam przedstawiciele większych gazet i wysłannicy uniwersytetów, gość zniknął. Ten profesor przytacza dowody archeologiczne, które wykazują, że ta sama społeczność zakładała nowe osady, porzucając dawne mniej więcej raz na jedno pokolenie i przenosząc się w głębsze obszary Terytoriów. - Potrząsnęła głową. - Połowy z tego nie zrozumiałam.

Brady patrzył na nią przez dłuższy czas.

- Więc chcesz powiedzieć, że zabójca Pelletier pochodzi z tej zagubionej osady wikingów? - odezwał się w końcu.

Wyrzuciła ręce w górę.

- Sama nie wiem, Brady. Przeszukuję internet i znalazłam to. Wydaje się interesujące. Czy ma związek? Nie wiem. Czy to zbieg okoliczności, że ci wikingowie czekają na Antychrysta, a wszystkie ofiary Pelletier interesowały się religią? Nie wiem. Ale pokażę ci coś jeszcze.

Przewrócił oczami.

- Tylko kilka zdań, dobrze? - Odszukała wydruk. - O, tutaj... „Wikingowie z Grenlandii, a później z Nowej Funlandii i Labradoru, byli zaciekłymi i zdolnymi myśliwymi. W niemałej części sukcesy zawdzięczali zdolnościom jako hodowcy i treserzy psów myśliwskich. Pierwsza krzyżówka szarego wilka i owczarka niemieckiego zanotowana została w wiosce Brattahlid w 1062 roku. W ciągu dwóch dekad każdy skandynawski myśliwy w Grenlandii był właścicielem hybrydy psa i wilka, które szkolono, by zabijały zwierzęta lub unieruchamiały je aż do nadejścia myśliwego”.

Podniosła wzrok.

- Nieźle - skomentował Brady.

Alicia skinęła głową.

W zamyśleniu wstał i skierował się do łazienki.

- Muszę wziąć prysznic - bąknął. Potem odwrócił się do niej. - Więc co mamy zrobić?

Odnaleźć skandynawskie plemię zagubione od siedmiuset lat?

- Niekoniecznie. Jeśli organizacja Excubitor nadal jest ich darczyńcą, może wystarczy odnaleźć ją.

- Znaleźć organizację, pewnie jeszcze starszą niż siedemset lat? - odparł Brady. - Co za problem? - Po chwili rzekł: - Excubitor... tego też szukałaś w necie?

- Owszem. Nic nie wyskoczyło poza Lanius excubitor. To taki ptak. A, dowiedziałam się jeszcze, że excubitor to łacińskie słowo.

- Które znaczy...

- Strażnik lub obserwator.

Brady skinął bezwiednie głową i wkroczył do łazienki, nadal starając się przyswoić informacje, którymi zarzuciła go Alicia.

Kiedy wyszedł, Alicia przeklinała swój komputer.

- Ehhhh! - jęknęła głośno i zatrzasnęła laptop.

- Co jest? - spytał Brady.

- Zablokowali nam dostęp do systemu Narodowego Centrum Informacji o Przestępczości.

- Jak to? Spróbuj moje hasło...

- Już próbowałam. - Na jego zaskoczoną minę zareagowała machnięciem dłoni. - Znam twoje hasło od kiedy zaczęliśmy razem pracować.

- Naturalnie. Ale dlaczego...? - Przysiadł na krawędzi łóżka. - Powiązali nas już ze śmiercią Malika i Apolla.

Pokręciła głową.

- Wczoraj wieczór, po tym ataku na ciebie, zadałam ci pytanie.

- Kto wie, gdzie mnie znaleźć.

Skinęła.

- Ta sama osoba, która wiedziała, że pojechałam do Nowego Jorku zbadać trop ojca McAfee.

- Gilbreath - powiedział Brady.

John Gilbreath, szef wydziałów laboratoryjnego i szkoleniowego FBI. Zespół do

Spraw Gromadzenia Dowodów był częścią laboratorium, natomiast profilerzy z niewiadomych przyczyn podpadali pod „szkolenia”. Eksperymentalny zespół, do którego należeli Brady i Alicia, składał się z personelu obu tych wydziałów, dlatego Gilbreath był ich bezpośrednim przełożonym.

Pokiwała głową. Mięśnie jej szczęki napięły się.

- Zaczekaj chwilę - rzucił. Próbował wyobrazić sobie swojego szefa jako zdrajcę i mordercę. Był przebojowy, miał aspiracje polityczne, ale czy to znaczy, że zrobiłby wszystko, żeby dopiąć swego, zakładając, że ich śmierć w jakiś sposób pomogłaby mu w karierze? Mimo psychologicznego wykształcenia Brady nie mógł sobie wyobrazić, jak osoba sprawiająca wrażenie zupełnie normalnej, może ukrywać tak haniebne zamiary.

- Dlaczego on? - zapytał. - To znaczy, każdy mógłby się włamać do systemu Biura i znaleźć mój adres. Żaden komputer nie jest stuprocentowo chroniony.

- Osoba, która wiedziała, gdzie nas znaleźć, musiała mieć dwie informacje. Po pierwsze, gdzie będziesz o dokładnej godzinie wczoraj. Więc musiał znać nie tylko twój adres, ale wiedzieć, że wróciłeś do domu ze śledztwa w terenie. Po drugie, wiedział, że mnie nie ma w domu. Właściwie, wiedział, że nie jestem nawet w Kolorado, ale właśnie akurat w Nowym Jorku. Gdyby znalazł jedno z nas... okay, to mógłby być haker. Ale oboje w tym samym czasie, a do tego mnie w nowym miejscu? Nie, to jest kombinacja, którą znała tylko jedna osoba.

Widziała, że nie jest przekonany. Wstała z krzesła i zaczęła przechadzać się po pokoju.

- No dobrze, Brady. Z jakiegoś powodu ktoś chce nas zabić. Musi wiedzieć, gdzie i kiedy ma się znaleźć, tak? I przyjmijmy na chwilę, że to nie Gilbreath. Więc czym mógłby się zajmować?

- Podsluchem na naszych telefonach.

- Okay. Pewnie dzwoniłeś do Zacha, aby mu powiedzieć, że wracasz do domu, zgadza się?

Skinął głową.

- Kiedy dzwoniłam wczoraj wieczór do Gilbreatha z prośbą o zgodę na zbadanie tropu ojca McAfee, korzystałam z telefonu hotelowego. Czy nasz sprawca tam też założył podsłuch?

- Może linia Gilbreatha była na podsłuchu.

- Jego domowy telefon? Mieliby podsłuchiwać jego, żeby znaleźć nas? Mało prawdopodobne.

- A może to ktoś inny w Biurze?

- Okay - odparła, kiwając głową na zgodę. - Ale kolegów, którzy znają mój adres, mogę zliczyć na palcach jednej ręki. A ty?

- Mniej więcej tak samo.

- Więc musiałby to być ktoś z wystarczającą siłą przebiccia, żeby dostać się do naszych akt osobowych. A Gilbreath, kiedy dał mi zgodę, zaznaczył, że sprawa jest nieoficjalna przez jeden dzień, aż okaże się, co odkryłam. Nie chciał nikomu deptać po odciskach, dlatego nie powiedział nawet liderowi zespołu o moich planach. Sam wiesz, jak małowówni są ludzie w Biurze, nawet między sobą. Komu miałby powiedzieć? Zastępcy dyrektora? Czyli swojemu przełożonemu?

Prawie go miała. Prawie.

- A pamiętaj, Brady, że sama nie wiedziałam, że jadę do Nowego Jorku aż do północy tego dnia, kiedy nas zaatakowano. Więc ktoś porusza się bardzo szybko.

Powoli, krok po kroku, przekonywała go do swojego toku myślenia.

- Przyjmijmy, że to ktoś zupełnie niezwiązany z Biurem - powiedziała, czując już zdobycz w zasięgu ręki. - Ten sam człowiek, który kontroluje poczynania zabójcy. Żeby całą układankę złożyć do kupy, wiedzieć gdzie i kiedy nas znaleźć, musiałby mieć dostęp do akt Biura, do bazy danych kart kredytowych i podsłuchiwać z tuzin telefonów.

Zatrzymała się.

- Albo... - ciągnęła dalej - mógł to być Gilbreath, który wszystkie te informacje ma na wyciągnięcie ręki.

Powoli pokiwał głową.

- Posłuchaj, od niego możemy zacząć - powiedziała. - Jeśli to nie on, to nic nie było, grać dalej.

- Dobra - zgodził się Brady. - Więc co robimy?

- Musimy się z nim zobaczyć.

- W piątki wcześniej wychodzi - zauważył Brady. - Jeśli wyjedziemy teraz, to akurat zdążymy.

- Nie - zaprotestowała, a w jej spojrzeniu pojawił się błysk przebiegłości. - Zaplanowałam coś innego.

54.

John Gilbreath przebudził się nagle o 12.37. Żółtawe światło pobliskiej latarni ulicznej sączyło się przez firanki okien po obu stronach łóżka. Czarne cienie przylgnęły do rogów pokoju niczym kawały kitu. Coś go obudziło, tylko co to mogło być? Jego żona Candice głośno oddychała tuż obok. Jej oddech był nosowy, na granicy chrapania. Zupełnie inny niż to delikatne tchnienie, które koło jego nerwy podczas bezsennych nocy.

- Kochanie? - Jego chrapliwy szept zakłócił grobową ciszę domu.

Odpowiedział mu kolejny głośny wdech, tym razem było to już bezkompromisowe chrapanie.

Przeniósł ciężar na lewe biodro i podparł się ramieniem. Drugą ręką sięgnął przed siebie i natrafił na Candice śpiącą pod lekką kołdrą i bawełnianym prześcieradłem. Ledwie dostrzegał w ciemności kształt jej twarzy. Delikatnie nią potrząsnął.

- Candice?

Ponowił próbę, ale znów odpowiedziało mu chrapanie.

Z łomocącym sercem odwrócił się i włączył lampkę nocną, oślepiając się na sekundę. W tym samym momencie w pokoju rozbrzmiał silny kobiecy głos.

- Nic jej nie będzie.

Podskoczył i wydał z siebie ostry dźwięk - nie było to słowo, nie był to również okrzyk - coś pomiędzy. Zlustrował pokój i zatrzymał wzrok na parze nóg odzianych w beżowe spodnie, wystających z cienia w rogu pokoju. Ktoś siedział na zarzuconym różnym rzeczami krześle. Światło lampki przeznaczonej do czytania w łóżku było zbyt słabe, by ukazać sylwetkę i twarz intruza.

Odwrócił głowę i zwrócił wzrok na żonę leżącą na plecach pod kołdrą, z głową zagłębioną w jej ulubioną, puchową poduszkę. Usta miała otwarte nienaturalnie szeroko, a na policzku połyskiwała cienka nitka śliny. Jego nozdrza rozszerzyły się chwytając zapach...

- Chlorowodorek midazolamu - wyjaśnił głos. - Coś jak chloroform, tylko znacznie mniej szkodliwy. Tak przynajmniej twierdzi internetowy podręczny informator lekarski.

- Co to ma znaczyć? Kim pani jest? - Sięgnął do szuflady nocnego stolika, ale zatrzymał się, kiedy z cienia wyłonił się pistolet. - Czego pani chce?

Alicia Wagner nachyliła się do światła, przyglądając mu się bacznie. Z trzech emocji,

jakie przemknęły przez jego twarz, ta środkowa mówiła najwięcej. Pierwszą było zdziwienie - naturalna reakcja bez względu na to, kim by była. Potem strach - mechanizm obronny, który włącza się w sytuacji, kiedy ktoś ma powód, żeby cię skrzywdzić... na przykład ktoś przez ciebie zdradzony. W końcu wyraz oburzenia - czyli sprytny wybieg.

- Alicia! Jak śmiesz! - Jego twarz i szyja zrobiły się czerwone.

- O to samo chciałam cię zapytać.

- Jak obeszłaś system alarmowy?

- Och, proszę cię. - Położyła broń na kolanach.

Udało mu się przyjąć wyraz płomiennego gniewu, ale nie zdołał kontrolować oczu. Biegały między pistoletem, jej twarzą a otwartymi drzwiami sypialni.

- Co się stało w Nowym Jorku? - zapytał, przybierając ton zwierzchnika.

- Najwyraźniej nie to, czego się spodziewałeś.

- Zadzwoiła do nas nowojorska policja. Chcieli wiedzieć, dlaczego wasze odciski palców są wszędzie w pokoju, z którego wypadły dwie osoby. Twoje i Brady'ego, na litość boską! Znaleźli też jego służbową broń. Miał być w domu, w Wirginii.

- Masz na myśli: miał być martwy w Wirginii.

- O czym ty mówisz?

- Co robi policja? Co robi Biuro? Rozesłano za nami list gończy?

- Za tobą i Bradym? Nie! Nie pierzemy naszych brudów na oczach miejscowych, przynajmniej dopóki się nie dowiemy, co się dzieje. Kryliśmy was, powiedzieliśmy że prowadzicie tajną operację, o której nie możemy mówić. Zyskaliście najwyżej kilka dni. - Znów wyciągnął rękę w stronę szuflady stolika. - A teraz jedźmy do biura i wyjaśnijmy...

- Stój, John! Ja nie żartuję!

Ręka odskoczyła, jakby dotknął rozgrzanego metalu.

- Alicia, nie możesz!

- Kto nas ściga, John?

- Nie wiem, o czym...

- Nie uwierzyłbyś, co złożyło mi wizytę w hotelu wczoraj wieczór. - Podniosła rękę prezentując, zakrwawiony opatrunek. - Próbował mnie zabić. Tylko ty wiedziałeś, gdzie jestem.

Gilbreath potrząsnął głową jak pies otrzepujący sierść z wody.

- To jest Nowy Jork, tam tak jest. Ktoś... jakiś bandzior musiał cię śledzić...

- W tym samym czasie zabójca zaatakował Brady'ego Moore'a w jego domu.

Niewiele brakowało, a dopadłby też jego syna.

- Co? - Sprawiał wrażenie naprawdę osłupiałego. - Czy komuś...?

- Obaj żyją. Przykro mi, że przekazuję złe wieści.

- Cieszę się, że żyją, oczywiście! - Jego głowa odskoczyła o milimetr, jakby wpadł mu do głowy jakiś pomysł. Złagodził wyraz twarzy. - Słuchaj, musimy natychmiast się tym zająć. Jeśli ktoś poluje na naszych agentów...

- Zamknij się.

Gilbreath skamieniał.

- Te ataki mają coś wspólnego z zabójstwami Pelletier.

Ciałem Gilbreatha wstrząsnął spazm - niemal niewidoczny, ale wystarczył, żeby dać wyraz jego zdziwieniu. Spojrzał jej prosto w oczy. Otworzył usta i z powrotem je zamknął.

- Mów - zażądała.

Potrząsnął głową i odwrócił wzrok.

- Nic... Nie. Nic nie wiem.

- John... - powiedziała Alicia tonem pełnym rozczarowania.

- Myśl sobie, co chcesz.

Jej twarz przybrała surowy wyraz. Sięgnęła w głąb otaczającej ją ciemności. Dłoń ukazała się znowu, trzymając cylindryczny przedmiot długości około dziesięciu centymetrów. Gilbreath w napięciu śledził go wzrokiem, kiedy podniosła go i zaczęła przykręcać do swojej półautomatycznej broni.

- Tłumik! - warknął. - Jesteś idiotką, Alicia, jeśli chcesz mi tym grozić!

Zrozumiała. Tłumik natychmiast podnosił stawkę. Bardziej niż cokolwiek, co zrobiła dotychczas, ten przedmiot dawał do zrozumienia, że nie ma żartów. Bardziej niż włamanie do jego domu, uśpienie jego żony i wymachiwanie pistoletem. Owszem, był przerażony, znajdując ją w swojej sypialni z bronią, ale nie wierzył, że mogłaby go skrzywdzić. To małe urządzenie wszystko zmieniło. Było wyrazem zimnej premedytacji, morderczych zamiarów kogoś, kto chce zabić i uniknąć kary. Z tego właśnie powodu go przyniosła i pomimo jego gniewnych słów, patrząc w jego przerażone oczy, dobrze wiedziała, że dopięła swego.

- Mów - powtórzyła, celując w niego przedłużoną lufą pistoletu.

Wpatrywał się w tłumik jak zahipnotyzowany.

- Mów, John, albo będziesz musiał wyjaśnić swojej żonie, dlaczego resztę życia musi spędzić na wózku. - Powoli przesunęła broń i wycelowała w nieprzytomną kobietę.

Dolna szczęka Johna Gilbreatha opadła. Przeniósł wzrok z tłumika na nogi kobiety i z powrotem na broń, jakby obliczając potencjalną trajektorię lotu. Przez moment Alicia obawiała się, że mimo to nie zacznie mówić. Wtedy jednak odezwał się:

- Dwa tygodnie temu dostałem telefon w sprawie tych morderstw.
- Dwa tygodnie temu? Wtedy jeszcze o nich nie wiedzieliśmy.
- Ktoś wiedział - odparł. Rzucił okiem w stronę okna, jakby coś usłyszał. Przesunął koniuszkiem języka po wargach, ale nie otarł potu, który wystąpił mu na czoło.

Oddech uwiązał Alicii w gardle jak trudna do przełknięcia pigułka.

- Albo jest inne morderstwo Pelletier, o którym nie wiemy...

Przerwała. Gilbreath pokręcił głową.

Ktoś wiedział o zabójstwach, zanim się wydarzyły? W jej umyśle kłębiły się implikacje tego faktu.

- Zabójca do ciebie zadzwonił?

- Nie, to był ktoś, kogo znam. - Odwrócił głowę. - Z rządu.

- Co ty mówisz? Kto to był?

- Jeff Ramsland. Przynajmniej tak się przedstawił. Kiedy go poznałem parę lat temu, mówił, że jest z departamentu sprawiedliwości. Od czasu do czasu pojawiał się na jakimś spotkaniu wysokiego szczebla. Nie odzywał się słowem, tylko słuchał, a potem wychodził. Odniosłem wrażenie, że to jakiś obserwator czy ktoś w tym rodzaju. Zadzwonił i chciał się spotkać. Przy Haupt Fountains. Znasz to miejsce?

Skinęła głową. Były to gejzery wodne strzelające w górę z granitowych bloków, prawdopodobnie najstarszych skał w Stanach Zjednoczonych. Miały trzy i pół miliona lat.

- Wiesz, dlaczego właśnie tam? - spytał.

Zajął jej to parę sekund.

- Przez wodę - odpowiedziała. - Odgłos praktycznie uniemożliwia elektroniczny podsłuch.

- Pierwsze, co zrobił, to wręczył mi list. Z logo FBI. Z biura dyrektora. Podpisane przez niego samego, widziałem już ten podpis tysiąc razy. Były tam dwa zdania: „Daj temu człowiekowi to, czego chce. Żadnych pytań”. Gdy tylko to przeczytałem, Ramsland zabrał list i wsadził sobie do kieszeni. Potem mi powiedział, z czyjego ramienia występuje. Wtedy zresztą już nie musiał, ja swoje rozkazy dostałem. Zrobił to, żeby się upewnić, że nie będę się sprzeciwiał, żeby podkreślić swoją władzę i może też mnie nastraszyć. - Gilbreath uśmiechnął się blado. - Udało mu się.

- Powiesz mi w końcu?

- Reprezentował Biuro Planowania Kryzysowego. - Przyglądał się, jakie wrażenie wywrze na niej ta wiadomość. - Widzę, że o nim słyszałaś.

- Kto w federalnych organach ścigania o nim nie słyszał? Plotki zaczęły do mnie

dochodzić parę tygodni po wstąpieniu do akademii. To jakieś rządowe psy obronne, które wypatrują latających spodków, kontaktów z kosmosu, wiarygodnych dowodów postrzegania pozazmysłowego... Na podstawie tych plotek nakręcono ponoć Z archiwum X.

- Tylko że w tym serialu wszystko było nie tak. BPK to nie jakiś agent łachudra czy dwóch, którzy uparcie proszą swoich przełożonych o fundusze i pozwolenia na badanie niewyjaśnionych zjawisk w jakiejś dziurze. W całym rządzie federalnym ta agencja ma największą władzę. Musi mieć, żeby działać w ukryciu. Jest niewielka, więc korzysta z zasobów innych agencji. Aby tak mogło być, jej żądania muszą przebijać wszelkie sprzeciwy, jakie tamte agencje mogą zgłaszać. Jeśli na przykład zechcą przejąć satelitę szpiegowskiego, żeby zbadać działalność dzina na Saharze, to po prostu to robią. Jeśli potrzebują, żeby jednostka sił specjalnych wkroczyła do domu jakiegoś profesora Oksfordu, który twierdzi, że odnalazł laskę Mojżesza, chwytają za słuchawkę i sprawa załatwiona. Bezkarne i bez zbędnych pytań. CIA nie może odmówić. NSA nie może odmówić... Podobno nawet prezydent nie może. Jeśli chcą, to zamykają śledztwo. A jeśli chcą zobaczyć akta, to się je wysyła.

- Dokąd?

- Tego nikt nie wie. Teraz wszystko idzie drogą elektroniczną.

- Miałeś już z nimi wcześniej do czynienia?

- Nie bezpośrednio. Raz czy dwa kazano mi przesłać pliki na anonimowe konta e-mailowe albo zmienić kierunek w śledztwie. Jak rozumiałem, był to rozkaz BPK.

- Spore pole do nadużyć.

- Akceptowalne ryzyko, zważywszy, nad czym pracują.

- No nad czym? Nad UFO... Yeti...?

- Nad postrzeganiem pozazmysłowym. Każdy wie, że rząd się tym interesuje. Ale nawet te badania są mało ważne w porównaniu do innych rzeczy, które mogą istnieć. Najpotężniejsze narody świata od dawna wierzą w moc religijnych artefaktów. Poszukiwacze zaginionej arki to nie była całkiem fantastyka. Nikogo nie obchodzi, czy moc artefaktów pochodzi od Boga, czy w starożytności odkryto ich naturalne właściwości i wykorzystano do propagowania wierzeń. Istotna jest sama moc, a nie jej pochodzenie. BPK finansowało ekspedycje poszukujące arki przymierza, laski Mojżesza, prawdziwego krzyża Chrystusa. Wypatruje też Antychrysta, tak zwanej bestii...

- Hola, hola - powstrzymała go. - Antychrysta? - Przyszły jej do głowy religijne wizerunki w domach ofiar Pelletier, satanizm Malika, tajemnicze symbole wypalone na ciałach zabitych i na plecach tamtego, plotki o domniemanej przyczynie zniknięcia całej

skandynawskiej osady.

- Jasne, dlaczego nie? Jeśli się pojawi, to będzie miał ogromną władzę. Dziwisz się, że jedyne supermocarstwo chce mieć w niej swój udział? Albo przynajmniej trzymać rękę na pulsie, żeby się bronić?

- Ale... - Czuła się, jakby zapędziła się w głąb nory za białym królikiem. - Jak agencja rządowa może wypatrywać Antychrysta?

- Wygląda znaków, spełnionych prorocत्व. Mówi się, że BPK utrzymuje bliskie związki z przeróżnymi osobami i organizacjami o podobnych poglądach. Słyszałem, że jeden z ich agentów odbywa regularne spotkania z teologami. Dużo czasu spędza w Watykanie. Czy można sobie wyobrazić lepsze miejsce do szukania informacji o sprawach religii?

Alicji zakręciło się w głowie. Nic z tego, co powiedział Gilbreath, nie stanowiło dowodu, ale w jakiś sposób czuła, że ujrzała cień bestii, którą ścigają. Czasem tak się działo. Strzępek dowodów poszlakowych dodany do innych podobnych tworzył spójną całość, tak zwartą, tak przekonującą jak narzędzie zbrodni z odciskami palców i nagranie zbrodni.

Watykan. Znowu.

Mrugnęła powiekami i zobaczyła, że Gilbreath przygląda się broni. Kiedy mówił, pozwoliła, by ręka z pistoletem osunęła się. Teraz gwałtownie ją uniosła.

- Więc czego Ramsland chciał od ciebie? Bez pytań?

- Chciał wiedzieć, kiedy zajmiemy się zabójstwami Pelletier - przypadkami ścięcia głowy w Utah, Kolorado i Nowym Meksyku.

- Pelletier nie zaatakował w Nowym Meksyku.

Gilbreath uniósł jedną brew, jak człowiek, który wie więcej.

- Wtedy jeszcze nigdzie nie zaatakował. Spytałem Ramslanda, o jakie morderstwa chodzi. Odpowiedział: „Zobaczysz”.

- Więc kiedy zaczęły napływać raporty, wysłałeś mnie i Brady’ego.

Spuścił wzrok. Czyżby ze wstydu?

- Tak szybko, jak tylko mogłem bez wzbudzania podejrzeń. - Jego głos stracił nieco na sile, znikło święte oburzenie. - Uznałem, że prośba Ramslanda to rozkaz przydzielenia do tej sprawy agentów.

- A dzięki Digitalizatorowi Miejsca Zbrodni, który może pomóc miejscowej policji i potrzebował dalszych testów terenowych, mogłeś wysłać nas tam szybciej.

Skinął głową.

- Jeszcze zanim ustaliliśmy oficjalną jurysdykcję.

- Potem powiadomiłeś Ramslanda?

- Tak.

- Jak się z nim skontaktowałeś?

- Telefonicznie. - Pospieszył z odpowiedzią na jej kolejne, niezadane jeszcze pytanie. - Ale ten numer już jest wyłączony. Próbowałem dzwonić na niego dzisiaj, gdy usłyszałem, co się stało w Nowym Jorku. Nie mam więcej możliwości się z nim skontaktować.

- Powiedziałeś mu, że pojechaliśmy tam, żeby pomagać miejscowym?

- Powiedziałem, że razem z Bradym pracujecie nad sprawą. Sądziłem, że nie obchodzi go semantyka.

- I wtedy ostatni raz z nim rozmawiałeś?

Cisza. Spojrzał na żonę.

- John. Coś ty zrobił?

Wziął głęboki wdech i wypuścił powietrze.

- Zadzwoił znowu, pytał, gdzie się zatrzymaliście w Kolorado. Wtedy już odebrałem ci sprawę, bo dowody na seryjne morderstwa w różnych stanach pozwalały na wkroczenie FBI. Myślałem... myślałem, że...

- Myślałeś, że Ramsland będzie chciał przydzielić więcej agentów do tej sprawy. - Obserwowała, jak wierci się na łóżku. Wije się, pomyślała. - Ale on chciał Brady'ego i mnie.

- Powiedziałem, że badasz trop w Nowym Jorku. Chciał wiedzieć, gdzie jesteście, co robicie. Mówił „oni”, więc wiedziałem, że chodzi też o Brady'ego.

- Więc podałeś mu jego adres. - Czują mdłości.

Opuścił głowę, potem popatrzył jej w oczy.

- Wysłałem mu wasze akta osobowe.

Przez firanki po stronie łóżka, na którym leżał Gilbreath, wdarł się oślepiający strumień światła. Umysł Alicii ledwo zdążył to zarejestrować, kiedy zobaczyła, że Gilbreath rzuca się w jej stronę, chcąc chwycić za jej broń. Jego twarz wykrzywiła wściekła furia. Instynktownie odsunęła pistolet, po czym zatoczyła nim szeroki łuk i uderzyła go w skroń. Nieprzytomny, złożył się w pół na łóżku. Przeskoczyła nad nim i przyłgnęła do ściany koło okna, kiedy światło zniknęło z pola widzenia.

Wyjrzała błyskawicznie przez okno, potem jeszcze raz.

Gliny. Gilbreath w jakiś sposób zdołał włączyć cichy alarm. Albo nie była tak sprytna, jak jej się wydawało, i nie pokonała instalacji alarmowej. Tak czy inaczej była w dużych kłopotach.

55.

Było coś zabawnego w widoku policyjnego wozu pod domem Gilbreatha...

Ostrożnie jeszcze raz wyjrzała przez firankę, tym razem wystarczająco długo, żeby ocenić sytuację.

Wóz prywatnej ochrony. Zaparkował na krawężniku. Jeden mężczyzna stał za samochodem, obserwując, jak drugi obsługuje reflektor zamontowany na drzwiach od strony pasażera. Snop światła trafił w drugie okno sypialni, ponownie napelniając pomieszczenie ostrą jasnością sali sekcyjnej.

Czy Gilbreath wiedział? Czy cała ta gadanina była tylko grą na czas?

W zeszłym roku coraz częstsze fałszywe alarmy skłoniły policję miasta Alexandra, by obciążać właścicieli posesji kosztami za nieuzasadnione wezwania. Wskutek tego firmy ochroniarskie przestały zgłaszać każde podejrzanе zdarzenie. Teraz wyłącznie „pewne sygnały”, jak przerwy w monitoringu drzwi i okien czy aktywacja guzików alarmowych uzasadniały wezwanie policji. Alicia była pewna, że wchodząc, nie uruchomiła takiego mechanizmu. System zabezpieczeń w domu Gilbreatha musiał być zaprogramowany tak, by cyklicznie wysyłać zakodowany sygnał - najprawdopodobniej co dwadzieścia, trzydzieści minut - do firmy monitorującej, potwierdzając w ten sposób, że instalacja działa bez przerw. Kiedy odłączyła telefony, żeby wejść do środka, ostatni sygnał nie mógł zostać wysłany.

Kątem oka dostrzegła jakiś ruch.

Był to błyskawiczny ruch Gilbreatha.

Jej dłoń z pistoletem była szybsza i twarz mężczyzny natrafiła na wylot tłumika. Zatrzymał się w miejscu zezując na broń.

- Bóg mi świadkiem - wysyczała Alicia przez zaciśnięte zęby - że to zrobię! Cofnij się! Cofnij się, no już! Na podłogę! Leżeć!

Upadł na kolana. Położyła stopę na jego klatce piersiowej i pchnięciem posłała na deski. Wylądował na plecach, wydając z siebie głuchy odgłos, i zastygł, jedynie oczami śledząc jej ręce.

Z zatopionego w mroku krzesła podniosła płócienną torbę z narzędziami przydatnymi do włamania - wszystkie nabyła w miejscowym sklepie żelaznym. Ruszyła w stronę drzwi, po czym nagle przystanęła. Odwróciła się z impetem i nadepnęła na szyję Gilbreatha.

- Ci goście z BPK są tak straszni, że dałbyś im mnie w czarnym worku?

- Tak! - syknął przez zaciśnięte zęby.

- Biuro już się tym nie zajmuje? Nie możemy wkroczyć?

Jego twarz zaczynała przybierać kolor bakłażana.

- Nie, skoro BPK chce waszej śmierci.

- Skąd wiadomo, że to BPK, a nie ktoś inny, kto ma z nim powiązania?

Nie odpowiedział. Jego powieki zaczęły opadać. Zluzowała nieco ucisk stopy na jego szyję. Oczy wróciły do normy.

- Nie wiadomo - odparł. - Posłuchaj, BPK nie działa samo. Oni obserwują. Wymieniają informacje. Jeśli chcą waszej śmierci, to na pewno stoi za tym ktoś jeszcze.

Spojrzała na niego z obrzydzeniem. Potem wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Przymocowała gadżet, który zablokował skrzydło.

Gilbreath wrzeszczał po swojej stronie drzwi:

- Ta sprawa cię przerasta, Wagner, i mnie też! Ci ludzie badają zjawiska nie z tego świata! Coś się dzieje! Coś nadchodzi! Alicia?

Rozległ się trzask.

Uśmiechnęła się, wyobrażając sobie, jak Gilbreath sięga po broń, którą trzymał w szafie, potem po pistolet pomiędzy materacami, i zdaje sobie sprawę, że w żadnym z nich nie ma amunicji. Później będzie musiał wyłowić magazynki z sedesu w toalecie na dole.

Kolejny trzask. Przypuszczała, że wyszarpnął szufladę ze stolika nocnego. Szukał telefonu komórkowego. Oo, nie ma baterii.

Krzyczał coś niezrozumiale i Alicia żałowała, że nie ma czasu napawać się jego furią.

Kiedy schodziła po schodach, trzymając się blisko ściany, żeby uniknąć skrzypienia, rozległo się łomotanie do drzwi. Wśliznęła się do kuchni na sekundę, zanim snop światła wpadł przez wąskie okno w foyer i rozświetlił klatkę schodową. Słyszała, jak drzwi na górze zagrzechotały, potem ucichły. Obstawiała, że Gilbreath raczej niechętnie napuściłby na nią tych najemnych stróżów prawa. Oprócz upokorzenia wynikającego z porażki, incydent ten przyciągnąłby zbyt duże zainteresowanie prasy. Najlepiej załatwić to w wąskim gronie. Jak chciał tego dokonać z wnętrza zamkniętej sypialni, to już był jego problem.

Dom Gilbreatha był przestronny, posiadał przylegający do kuchni osobny pokój śniadaniowy. Przy okrągłym stole zerwała „tłumik” z pistoletu. Zrobiony z wałka od rolki papieru toaletowego i oklejony czarną taśmą izolacyjną ważył tyle co nic. Gruby długopis wystający z jednego końca trzymał go na miejscu, a jednocześnie wydawał szorstki zgrzyt, kiedy „przykręcała” go do lufy. Dzieło wieńczyła czarna zakrętka od butelki z wyciętym

otworem. Urządzenie było w stanie wytłumić odgłos strzału mniej więcej tak dobrze, jak zasłonięcie lufy palcem. Ale Gilbreatha nieźle nastraszyła, więc cel został osiągnięty. Kilkukrotnie złąła się, że mężczyzna przejrzy jej oszustwo, a okładając go bronią, niemal wyrzuciła „tłumik” w powietrze. Teraz chciała zostawić go dla Gilbreatha, by wiedział, że go nabrała. To drobna satysfakcja, biorąc pod uwagę, co przez niego przeszła. Położyła przedmiot na stole i wymknęła się tylnymi drzwiami.

Alicia była już w połowie drogi do ogrodzenia, kiedy z nieba lunął deszcz. Mrużąc oczy, zerknęła za siebie i wzdłuż boku domu zobaczyła snop światła rozpalający na swej drodze spadające, srebrzyste granulki wody. Wspięła się na blisko dwumetrowy płot ogradzający tył posesji i przeskoczyła na drugą stronę.

56.

Żona Brady'ego zawsze doceniała cuda opatrności Bożej, a przez to i on zaczął przyglądać się im w zadziwieniu. Tej nocy jednak ani trochę nie podobał mu się padający deszcz. Bębnił o dach samochodu z ogłuszającą furją, jakby miliony maleńkich żołnierzyków maszerowało do szturm. Niemal natychmiast w głowie też zaczęło mu dudnić. Sięgnął do kieszonki na piersi, odszukał dwa środki przeciwbólowe, które wcześniej tam włożył, i połknął je bez popijania.

Samochód był zaparkowany na linii granicznej dwóch posesji, na ciemnej ulicy mieszkalnej w bogatszej części Alexandrii. Jeśli którykolwiek z właścicieli zobaczyłby wóz, pomyślałby, że należy do gościa sąsiada. Przynajmniej Brady taką miał nadzieję. Przy krawężniku stało kilka innych samochodów, najbliższy nie dalej jak metr za nim. Duży dom Johna Gilbreatha w stylu kolonialnym oddalony był o cztery przecznice na wschód. Chciał podjechać bliżej, ale Alicia nalegała, że odległość jest sprawą kluczową, jeśli chce wejść i wyjść niezauważona.

Nerwowo spoglądał na schowek, gdzie wetknął szesnaście tysięcy dolarów. Wcześniej w hotelu przekonała go, że należy się najpierw dowiedzieć, co wie Gilbreath, i to przy użyciu elementu zaskoczenia oraz podstęp. Spytała go również, ile gotówki jest w stanie zgromadzić.

- Musimy sami sfinansować nasze śledztwo - oświadczyła.

- Kilka tysięcy wystarczy? - spytał.

- Może trzeba będzie kupić inny samochód, nie nowy, ale niezawodny.

- Pięć?

- Co jeszcze gorsze, potrzebujemy fałszywych legitymacji. Wiem, gdzie je znaleźć, ale dobre rzeczy kosztują. Będziemy musieli non stop się przemieszczać, podążać za tropem, spać w motelach. Po dzisiejszym dniu nie możemy używać kart kredytowych. Zbyt łatwo je wyśledzić.

- Więc ile?

- Ja mogę dać osiem - powiedziała i uniosła brew w oczekiwaniu.

Po namyśle zgodził się wnieść taki sam wkład. Z jednej strony było to mnóstwo pieniędzy, z drugiej - ile warte jest życie?

Przesunął się nieco na siedzeniu pasażera i wpatrzył w wodę, która zasłaniała widok, spływając strumieniami po przedniej szybie. Nie uruchamiał wycieraczek, by nie przyciągnąć niczyjej uwagi. Kiedy poruszał głową, wilgotny świat na zewnątrz przelatywał mu przed oczami: liście i gałęzie (mroczny chaos na ciemniej symetrii), zaparkowany samochód (wydawał się drżeć, nie tylko migotać), wysoki drewniany płot (w gwałtownym chybotaniu strząsający kropelki wody pod naporem ciemnej sylwetki przeskakującej górą).

Zanim zdążył zarejestrować ten widok, otwarta dłoń uderzyła w szybę od strony pasażera, a za nią w polu widzenia zjawiała się twarz Alicii. Brady wcisnął guzik elektrycznego zamka i wgramoliła się do środka, dysząc i ociekając wodą. Pochyliła nisko głowę i energicznie nią potrząsnęła. Brady'emu wydawało się, że spojrzała z boku na swoją dłoń. Przypomniały mu się czasy szkoły średniej i studiów, wtedy był to sposób na sprawdzenie, czy od wypitego alkoholu już trzęsą się ręce. Potem gwałtownie odrzuciła głowę i powróciła do zwykłej pozycji siedzącej, odgarniając z twarzy obciążone wodą włosy. Niewiarygodne, ale uśmiechała się.

- No! - rzuciła.

Ciągle oszołomiony jej nagłym pojawieniem się, z ulgą zdołał tylko zapytać:

- Jak poszło?

Uśmiech zatańczył niezdecydowanie na jej twarzy, zanim zagościł tam na dobre. Brady podejrzewał, że Alicia stara się wlać nieco światła w bardzo mroczne miejsce. To, co się wydarzyło, poważnie nią wstrząsnęło.

Ogarnęła ją widoczna fala zmęczenia. Zgarbiła ramiona, a jej rysy złagodniały.

- To Gilbreath. Bardzo słaby i zły człowiek. Zgodnie z przewidywaniami jesteśmy zdani na siebie.

Brady właśnie się zastanawiał, jak najdelikatniejszym sposobem wydobyć z niej więcej informacji, kiedy wyczuł na zewnątrz samochodu jakiś ruch. Latarnia na sąsiedniej przecznicy rzucała nieziemską poświatę wśród ciemności, a Brady'emu wydawało się, że ktoś pod nią przebiegł.

- Widziałaś coś? - spytał.

- Nie, a co?

Wyjrzała przez przednią szybę, a on uruchomił samochód, włączył reflektory i wycieraczki. W snopach światła migały przelatujące krople, ale żadnego innego ruchu nie było widać. Teraz oświetlone były drzewa, krzaki, ogrodzenia, inne samochody i garaż przed nimi po prawej. Wszystkie stanowiły wyśmienite kryjówki.

- Nie powiem, że to pewnie nic - oświadczył, wciskając guzik blokujący drzwi.

Spojrzeni na siebie nawzajem. - Kiedy ludzie tak mówią, zawsze się okazuje, że to jednak było coś. - Spodziewał się, że zaprzeczy jego popkulturowej mądrości, przywołując jakiś zawodowy slogan: „Ścigany w każdym widzi napastnika” albo coś w tym rodzaju. Nie doczekał się, więc wrzucił bieg i zawrócił, zahaczając o krawężnik po drugiej stronie ulicy. Kiedy oddalili się od chodnika, spytał: - Dokąd?

Pokazała zęby w uśmiechu.

- Co powiesz na Rzym?

Przyjrzał jej się.

- Ten we Włoszech?

- Masz przy sobie paszport, prawda? - Wymogiem dla agentów FBI było noszenie go ze sobą podczas podróży, nawet krajowych. Ale Brady swoją odyseję rozpoczął w domu.

- Jest w schowku - odparł. - Myślisz, że możemy ich używać? Gilbreath mówił coś o listach gończych?

- Nic jeszcze nie wydano. W końcu się do tego zabierze, ale najpierw musi zatrzeć ślady i poczekać, aż jego żona obudzi się po midazolamie. Nie będzie chciał wyjaśniać, co robiłam u niego w domu.

- Więc wyjedziemy z kraju, zanim ktokolwiek się dowie, że nas nie ma.

Zastanowiła się przez chwilę.

- Dla bezpieczeństwa polećmy z jakiegoś mniejszego lotniska międzynarodowego, daleko stąd. Takiego, gdzie nie ma systemu rozpoznawania twarzy. - Od kilku lat system ten wprowadzano w większych portach lotniczych. Do identyfikacji zbiegów wystarczyło zeskanować zdjęcie i czekać, aż kamery namierzą pasującą twarz.

- Harrisburg w Pensylwanii jest o parę godzin stąd - zaproponował.

Spojrzała na zegarek.

- Pewnie do rana i tak nie złapalibyśmy żadnego lotu. Niech będzie. - Klepnęła w deskę rozdzielczą. - Rozpędzaj rumaka. Musimy odwiedzić różne miejsca i spotkać się z różnymi ludźmi.

- A te miejsca i ludzie są akurat we Włoszech - próbował dorównać jej pogodą ducha. Zdawał sobie sprawę, że to tylko lukier na przerażająco gorzkiej pigułce, którą będą musieli przełknąć. Pigułce, która może okazać się śmiertelna.

- Viva Italia! - zakrzyknęła ochoczo.

CZEŚĆ III

WŁOCHY I IZRAEL

*Zło w przebraniu dobra jest dalece groźniejsze i bardziej zdradzieckie
niż najpodlejsze zło, które widzimy.*

Kardynał Roberto Ambrosi

*Jakże zagmatwaną snujemy sieć,
Kiedy zwodzimy po raz pierwszy*

Sir Walter Scott

57.

Brady stał na lotnisku Leonarda da Vinci przy taśmowym transporterze bagażu oznaczonym ich numerem lotu wpatrzony w winylowe paski zwisające nad otworem, w którym wkrótce miały się ukazać ich walizki. Alicia nalegała, by zabrać laptop i DMZ. Zawierały jej notatki na temat sprawy Pelletier oraz nagrania z miejsc zbrodni, a poza tym „nigdy nie wiadomo, co się może przydać”. Niektóre komponenty DMZ, jak ciężką drukarkę i buty z analizą podłoża, uznała za zbędne, zostawili je więc razem z jej pistoletem w czarnej toyocie na lotnisku. Oboje kupili nowe zestawy ubrań i spakowali wszystkie swoje rzeczy do wspólnej walizki na kółkach. W każdej chwili walizka i torba z DMZ miały wysunąć się spod winylowych pasów.

Alicia trąciła go w ramię.

- Wyglądasz, jakbyś odpływał. Dobrze się czujesz? - spytała.

Wydął usta.

- Jestem po prostu zmęczony.

Było to kłamstwo. Przepełniały go raczej troska o syna i wątpliwości, czy postępują słusznie. Gdyby miał pewność, że podróż do Włoch i konfrontacja z ojcem Randallem pomoże im powstrzymać ataki na niego i Alicię, dałoby mu to silniejsze poczucie celu. Czułby się lepiej, gdyby mieli twarde dowód, który można zanalizować i omówić. Miałby się czego uchwycić. Tymczasem zanim dotarli na lotnisko w Harrisburgu, zdążyli już przeprowadzić burzę mózgow nad nikłymi posiadanymi dowodami i wyczerpać możliwe plany działania.

Rozważali, czy nie iść z tą sprawą do terenowego biura FBI. Brady lubił nowojorskie biuro ze względu na rozmiar. Poza tym jego pracownicy znani byli z lekceważącego stosunku do procedur i rozkazów pochodzących z kwatery głównej. Alicia przypomniawszy mu, że mają przeciwko Gilbreathowi tylko poszlakowe dowody, a jeśli mówił prawdę, nikt i tak nie postawi się BPK.

A co z zabójcą Pelletier? - zapytał Brady. Czy tropienie go miało jakiś sens? Mieli mało tropów i jeszcze mniej zasobów. Według Brady'ego można go wywabić, jeśli zagrają rolę przynęty. Ale bez wsparcia pozytywny wynik tej operacji stał pod dużym znakiem zapytania. Nawet gdyby go schwytali, co z tego? Czy wiedziałby więcej od Malika? Nigdy

nie wiesz, zanim nie zapytasz; na tym polega śledztwo. W sumie razem mogli się opierać tylko na procesie eliminacji i zgromadzonych faktach, a te wydawały się mało znaczące. Gdyby schwytanie lub zabicie mordercy gwarantowało koniec zabójstw i ataków, Brady nalegałby, żeby tego spróbować. Ale było pewne, że wiking - tak teraz go nazywali - to tylko marionetka. Lalkarz przysłałby po prostu kolejną ze swoich kukiełek, być może większą i groźniejszą niż poprzednia, chociaż Brady'emu trudno było sobie coś takiego wyobrazić.

Kręcili się w kółko, rozważając wszystkie pomysły, które wpadły im do głowy, choćby nie wiadomo jak nedorzeczne. W końcu zgodzili się, że najlepszym wyjściem będzie wysłedzić ojca Randalla. Zarówno ojciec McAfee, jak i Malik, wskazali na niego. Wiedzieli, gdzie go znaleźć, a przynajmniej gdzie znajdował się jeszcze wczoraj, jeśli wierzyć informacjom uzyskanym przez Alicię w rozmowie telefonicznej z Watykanem. Niedługo mieli się dowiedzieć, czy obrali trafny kierunek.

Nad transporterem zapaliło się bursztynowe światełko, rozległ się dzwonek alarmowy i taśma zaczęła się przesuwac. Kilka sekund później nadjechały ich bagaże.

Na odprawie celnej kask DMZ w sporawej torbie kręglarskiej wywołał niejaki zamieszanie. Kilku oficerów imigracyjnych zaprowadziło ich do pomieszczenia na tyłach i Brady sądził już, że ich przygoda się skończyła, zanim się jeszcze zaczęła. Jednak Alicia dowiodła, że nie utraciła zdolności zadziwiania go na każdym kroku. Z udaną manierą krzykliwej hollywoodzkiej artystki wyjaśniła, że kręci filmy dokumentalne, zaś to dziwne urządzenie to najnowszy model kamery - co, pomyślał Brady, nie było dalekie od prawdy. Założyła nawet kask dla demonstracji. To zrobiło wystarczająco duże wrażenie na urzędnikach, poklepalili więc Brady'ego i Alicię po plecach, spytali, czy znają Francisca Forda Coppolę, i przepuścili ich.

Alicia i Brady wkroczyli do przestronnego hallu. Na wprost przed nimi za szklaną ścianą panował zorganizowany chaos charakterystyczny dla dużych lotnisk - autobusy terminalowe, taksówki, prywatne samochody, nagabywani podróżni. Każdy dokądś zmierzał i każdy chciał się stąd jak najszybciej wydostać.

- Wynajmujemy samochód czy bierzemy taksówkę? - spytał Brady.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, zjawił się przed nimi mały, nieostrzyżony i nieogolony człowieczek.

- *Avete bisogno di un tassi?* - Wpatrywał się w nich pełen entuzjazmu. - English? Trzeba taksówki? - Wyciągnął rękę po torbę DMZ przewieszoną przez ramię Alicii.

- Nie - powiedziała ostro. - Nie trzeba, dziękujemy.

Rzucił jej zdeglustowane spojrzenie, po czym pochylił głowę na znak rezygnacji i

ruszył w stronę innej pary, która właśnie wylaniała się ze strefy odprawy.

- A więc wypożyczamy - podsumował Brady, kierując się w stronę szerokiego korytarza ze stoiskami firm oferujących wynajem samochodów. Alicia złapała go za łokieć. Głową wskazała szklaną ścianę.

- Na razie poruszajmy się taksówkami, dopóki się nie dowiemy, jak długo tu zostaniemy i dokąd musimy pojechać.

- Ale myślałem...

- Z nim nie jedziemy - zdecydowała. Obserwowali, jak taksówkarz przemaszerował obok z uśmiechem na twarzy i trzema ciężkimi walizkami w rękach. Za nim podążała uradowana para podróżnych, którą widzieli wcześniej.

- Na lotnisku w Harrisburgu zalogowałam się na kilka stron dla podróżujących - wyjaśniła. - Na jednej z nich przeczytałam, że na FCO nagabujący taksówkarze bez licencji często zdzierają z podróżnych albo wręcz okradają niczego niepodejrzewających turystów. A czasami robią gorsze rzeczy. Pisano tam, żeby korzystać tylko z białych taksówek, a ich kierowcom nie wolno oddalać się od samochodu.

Najwyraźniej mu zaimponowała.

- FCO? Co to takiego?

Obejrzała się.

- To lotnisko. Nie jesteśmy jeszcze w Rzymie. Jesteśmy trzydzieści kilometrów na południowy zachód, w Fiumicino. - Dostrzegła zegar i przestawiła zegarek.

Zrobił to samo, przesunął wskazówkę godzinową do przodu o sześć godzin, na parę minut po dwunastej w południe.

- Poszukajmy skrytek i kantoru. Potem możemy jechać prosto do Watykanu i zobaczymy, co ma do powiedzenia ojciec Randall. - Wymówiła to nazwisko tonem pełnym pogardy. - Chyba że potrzebujesz najpierw odpocząć? Możemy znaleźć jakieś spanie...?

Już otwierał usta, żeby zaprotestować, kiedy dostrzegł błysk w jej oczach. Droczyła się z nim. Dobrze wiedziała, że tak samo jak ona, on również chce - wręcz potrzebuje - podkręcić tempo.

- Myślę, że moje baterie jeszcze trochę wytrzymają - odpowiedział.

58.

W milczeniu obserwowali przesuujące się za oknem samochodu i budynki, które stawały się coraz wyższe i gęściej rozmieszczone.

- Patrzcie - powiedział taksówkarz, wskazując palcem. - Koloseum. Prawdziwa nazwa to Anfiteatro Flavio. Zbudowane w siedemdziesiątym drugim roku. Bardzo stare.

Jego słowa były wytarte od nadmiernego używania. Brady podejrzewał, że wywołało je raczej oczekiwanie większego napiwku niż jakakolwiek prawdziwa duma ze swego miasta.

Alicia położyła rękę na spoczywającej na siedzeniu dłoni Brady'ego.

- Zawsze myślałam, że zobaczę Rzym w radośniejszych okolicznościach - powiedziała cicho. - Byłeś tu już kiedyś?

Brady nie spieszył się z odpowiedzią. Myślał o żonie i o wakacjach, na które nie pojechali. Kiedy Karen była dzieckiem, jej ojciec służył jako nawigator lotniczy w 57. Eskadrze Lotnictwa Ratowniczego, która stacjonowała w Lajes Field na Azorach. W tamtych czasach oficerowie wraz z rodzinami mogli się zabrać do Europy każdym samolotem wojskowym, który akurat leciał w tamtą stronę. Matka Karen często korzystała z tej możliwości transportu i najżywsze wspomnienia Karen z dzieciństwa to nie dmuchacze szkła na Majorce czy gołębie na placu św. Marka w Wenecji, ale właśnie te podróże na rozkładanym siedzeniu we wnętrzu jakiegoś ciemnego i zimnego kadłuba samolotu, od których dostawała mdłości. Powiedziała Brady'emu, że chciałaby któregoś dnia „zobaczyć Europę jak trzeba”: pojechać w kabinie pierwszej klasy pociągiem z Lizbony do Barcelony, Paryża, Berlina, Wiednia, Genewy.

- A na koniec wylądujemy w najbardziej romantycznym z miast, w Rzymie - powiedziała z szerokim uśmiechem i błyszczącymi oczami.

- Myślałem, że to Paryż jest miastem kochanków - zauważył.

- E, tam. W Paryżu nie ma Koloseum ani Schodów Hiszpańskich, ani Fontanny Czterech Rzek Berniniego.

- A wieża Eiffla, Luwr, katedra Notre Dame?

- Pałac na Kwirynale, Panteon, Bazylika św. Piotra - przysunęła się do niego blisko, poczuł na ustach jej oddech.

- Łuk Triumfalny. - Szperał w pamięci w poszukiwaniu kolejnych paryskich atrakcji.

Zawsze wiedziała więcej niż on, miała pamięć jak twardy dysk. Jeśli tytuł Najbardziej Romantycznego Miasta zależał od wymienienia największej liczby zabytków, Paryż był zgubiony. Poza tym jak mógł się skupić pod głębokim spojrzeniem tych niesamowitych ciemnych oczu? - Sekwana!

- Fontanna di Trevi, Campo dé Fiori.

- Yy... Disneyland. Jest w Paryżu Disneyland, prawda?

- Via Veneto - szepnęła uwodzicielsko.

- To rzeczywiście brzmi romantycznie.

- Same sklepy. To takie rzymskie Rodeo Drive. - Uśmiechnęła się skromnie.

- Świetnie. Jak tylko odbierzemy paszporty, możemy wszcząć postępowanie upadłościowe.

- Aż taka zachłanna nie jestem. Druga hipoteka w zupełności wystarczy.

Karen przycisnęła swoje wargi do jego ust, przesunęła ręką po jego włosach i całkiem zapomniał o Paryżu. Później tego wieczoru postanowił, że rzeczywiście zaciągnie drugą hipotekę, żeby zafundować jej tę wycieczkę. Ale nie zrobił tego i nie pojechali.

Dłoń Alicii wydawała się nienaturalnie gorąca. Chciał odsunąć rękę. I jednocześnie chciał zostawić ją tam, gdzie jest.

- Nie, to mój pierwszy raz w Rzymie - odparł. - Zatrzymajmy się.

- Dlaczego?

- Panie kierowco, proszę nas zawieźć do restauracji.

- Ristorante? - Wskazał na McDonalda. - Hamburgery?

- Nie - poprawił go Brady. - Restauracji ze stolikami. - Spojrzał na Alicię i dodał: - Z barem i wygodnymi siedzeniami.

Taksówkarz kiwnął głową i włączył lewy kierunkowskaz, szykując się do zmiany pasa.

Alicia wpatrywała się w niego. Niepokój wrył długą linię na jej czole, a wokół oczu pojawiły się drobne zmarszczki.

- To z nerwów - wyjaśnił cicho. - Nie jesteś głodna? - W samolocie zjedli pełny posiłek, ale to było kilka godzin temu.

- Zaczekam w taksówce - powiedziała nieco ostrym tonem, który zdradzał rozczarowanie lub niecierpliwość, a prawdopodobnie jedno i drugie.

Taksówka wtoczyła się po niskim krawężniku na zapelniony w połowie parking restauracji zdobionej z boku stiukami i z markizami w biało-zielone pasy. Samochód się zatrzymał, a Brady przyglądał się budynkowi, nie wysiadając.

- Signore?

Brady nie zareagował. Był tu, ponieważ on, jego syn i Alicia zostali napadnięci i niemal zginęli. Chciał zrobić dla nich, co mógł, ale był zmęczony, a wspomnienie marzenia Karen o Rzymie ścisnęło go za serce. Był psychologiem kryminalnym, który po śmierci żony wziął czteromiesięczny urlop, a po powrocie zostały mu przydzielone lekkie obowiązki, nic nadmiernie wyczerpującego. Nie prosił o to, jego przełożeni nie omawiali tego, a jednak wszyscy wiedzieli, że nie jest jeszcze gotów, by dać z siebie sto dziesięć procent, a tyle Biuro oczekiwało od swoich agentów. Zaczynał wierzyć, że nigdy już nie uda mu się wrócić do dawnego poziomu.

Alkohol - wiedział o tym gdzieś w głębi duszy - nie tylko tępił ból po stracie Karen, ale również pomagał mu zapomnieć, że nie najlepiej sobie radzi z jej brakiem. Śmierć żony okazała się podwójnym ciosem. Spowodowała głęboką ranę i ujawniła, że zranienia Brady'ego wcale się nie goją. Teraz więc tęsknił za zmarłą, a jednocześnie tu, na obcej ziemi, ścigał nieznanego zabójcę, próbując chronić jedyne pozostałe przy życiu osoby, na których mu zależało. Czuł, że temu obowiązkowi nie podoła.

Do tego wszystkiego - bowiem zawsze jest coś jeszcze, coś co bardziej komplikuje już i tak skomplikowane życie - Alicia dawała mu sygnały, że chce czegoś więcej od ich relacji. Odkrył, że jego serce reaguje, słyszy wołanie i wyrывa się, by odpowiedzieć. Akurat teraz...

Wziął głęboki wdech, po czym wypuścił powietrze, starając się wyrzucić z siebie napięcie. Obrócił się do niej.

- Wiem, że... yy... Myślę, że po prostu... - Zaciśnął usta. Wbił wzrok w kierowcę, potem wyjrzał na zewnątrz. Taksówka zaparkowała niedaleko zaludnionego chodnika. Za oknami samochodu świat wydawał się jakby prześwietlony, ostry i zupełnie pozbawiony intymności. Nie w takiej scenerii Brady chciał wylewać swoje myśli.

Dotknął ramienia kierowcy.

- Czy mógłby pan dać nam minutę?

- He?

- Może pan nas na minutę zostawić samych? Mógłby pan wysiąść?

Taksówkarz roześmiał się szorstko.

- Wy wysiądźcie - powiedział i kiwnął głową.

Alicia sięgnęła do kieszeni marynarki, wyciągnęła kilka banknotów ze zwitka wymienionych na lotnisku euro i cisnęła nimi w kierowcę.

- Niechże pan na chwilę wysiądzie - warknęła. - Może pan trzymać rękę na klamce, jak pan chce. Proszę...

Złapał pieniądze, przyjrzał im się, bąknął coś pod nosem i wygramolił się z samochodu.

Alicia spojrzała na Brady'ego z wyrazem cierpliwego oczekiwania. Zaraz jednak odwróciła wzrok, by rozładować napięcie.

- Dałam mu chyba ze sto dolarów - powiedziała i roześmiała się.

Brady odpowiedział uśmiechem. Krótka chwila wytchnienia wystarczyła jednak, żeby go rozluźnić jak mocny trunk.

- Posłuchaj - zaczął. - Czuję, że nie radzę sobie za dobrze. Jestem jak ryba wyjęta z wody, a zresztą nawet tam, w domu, też nie byłem całkiem sobą. Wiem, że od kiedy moja żona... Że rozpaczam dłużej niż powinienem.

- Brady, nie musisz...

- Muszę. Zbyt dużo kłębi się we mnie negatywnych emocji. To mnie przytłacza, czuję, że zaraz system padnie. A to ostatnia rzecz, jakiej teraz ode mnie potrzebujesz. Może jeśli wywołokę przynajmniej część tego na światło dzienne, to będę mógł jaśniej rozumować.

Skinęła głową.

- Po pierwsze, tak, oplakuję swoją żonę, jej stratę. To otwarta rana, która się nie goi, bo jej na to nie pozwalam. Ciągłe się w niej zagłębiam i otwieram ją na nowo. Nie wiem, jak z tym skończyć, jak to zrobić, żeby przestała okrwawiać całą resztę mojego życia. Tego na razie nie rozwiążę, okay? Tak po prostu jest.

Jej wzrok złagodniał. Nie było w nim litości, tylko akceptacja.

Ciągnął dalej:

- Jestem śmiertelnie przerażony, sparaliżowany ze strachu o syna. Ciągłe widzę jego twarz, kiedy podnosi na mnie wzrok ze swojej kryjówki, a morderca u szczytu schodów szarpie za klamkę. I te psy. Chciał zabić tylko mnie czy nas obu? Czy wciąż szuka Zacha? Czy ludzie, którzy go kontrolują, mają takie możliwości, żeby znaleźć mojego syna? - Potrząsnął głową. - Ale jestem tutaj, osiem tysięcy kilometrów od domu...

- Brady...

- Wiem, wiem. Jestem tutaj, żeby mu pomóc. Ale jaki ze mnie pożytek? No, zastanów się. Spójrz na siebie. Jesteś pełna zapалу. Widzisz, co trzeba zrobić, i robisz to. To ty chciałaś ścigać Pelletier jeszcze zanim nas zaatakowano, nawet kiedy nasze obowiązki w tej sprawie się skończyły. A ja chciałem tylko jechać do domu. Ty pojechałaś rozmawiać z ojcem McAfee. Jak zrobiło się gorąco, ściągnęłaś Apolla. - Zauważył grymas na jej twarzy i dodał: - Jego śmierć to nie twoja wina. A gdzie byśmy byli, gdyby nie informacje wyciągnięte od Malika? - Przerwał na chwilę. - To ty rozmówiłaś się z Gilbreathem. Wyznaczyłaś nasz kurs

aż tutaj, do Rzymu. To ty...

- Brady! - Potrząsnęła go za ramię.

Popatrzył na nią ze zdziwieniem.

- Może to twój moment, żeby dać upust emocjom - zaczęła - ale nie pozwolę ci się dłużej biczować. Nawet w Rzymie. - Uśmiechnęła się. - Rozumiem, co chcesz powiedzieć. Uważasz, że jesteś wybrakowany i nie dajesz rady. Ty... - Była zła, nie wiedziała, co powiedzieć. Dała mu kuksańca w ramię. - Żyjesz czy nie? A Zach? Nie zamarłeś, kiedy ten potwór was atakował razem z jego bestiami z piekieł! Obroniłeś siebie i syna. Spójrz na swoją rękę. Chwyciłeś ostrze topora! I nie puściłeś! I walczyłybyś, gdyby on nie uciekł. To on uciekł, nie ty. - Potrząsnęła głową. Już ciszej powiedziała - A ja żyję czy nie? Nie stałeś jak kołek, kiedy wyleciałam przez okno. Uratowałeś mi życie. - Głos się jej załamał przy ostatnim słowie. Wzięła głęboki oddech. - Dobrze, chciałam kontynuować śledztwo, a ty wolałeś jechać do domu. To dlatego, że masz do kogo wracać. Masz kogoś, kto cię kocha i potrzebuje, i zrobisz wszystko, żeby go nie zawieść. To szlachetne. Godne najwyższego szacunku. Ja mam swoją pracę, Brady. To całe moje życie. Oddałam się temu tak, jak ty swojej rodzinie. Oczywiście, że chcę dalej prowadzić to śledztwo. Jasne, że jestem trochę bardziej zdecydowana, jeśli chodzi o kierunek sprawy czy plan działania. Od lat nic innego nie robię, podczas gdy ty zajmowałeś się inną dziedziną i tworzyłeś dom, rodzinę. Czy to znaczy, że teraz jesteś balastem? Otóż, Brady, wcale nie!

Poniosły ją nerwy. Przyszło jej do głowy, żeby jeszcze raz go uderzyć.

Uśmiech powoli wypłynął na jego usta.

- Trochę korektora i moglibyśmy wymazać moje nazwisko na dyplomie, a wpisać twoje.

- Jeśli to kolejny twój sposób, żeby sobie dołożyć, to ja się nie zgadzam.

- Nie, tylko uważam, że w niezwykle sposób przedzierasz się przez głodne kawałki i docierasz do sedna. Psychoanalityk potrzebowałby tuzina sesji na to, co ty załatwiłaś w dwie minuty.

- Czyżbym przekłuła twój emocjonalny balon?

Skulił się.

- O, widzisz? Owszem, lepiej mi już. Ale jest jeszcze jedna rzecz. - Spuścił wzrok. -

Ty i ja. To znaczy, jest jasne...

Drzwi od strony kierowcy otwarły się.

- Jedziemy, tak? - spytał taksówkarz i zaczął wsiadać.

Alicia rzuciła się do jego fotela i wypchnęła go z powrotem na zewnątrz.

- Nie! Idź, przelicz pieniądze! - wrzasnęła, po czym przechyliła się nad fotelem, sięgnęła do drzwi i zatrzasnęła je. Z uśmiechem opadła znów na tylne siedzenie. - Co jest jasne?

- Myślę... - Spojrzał jej prosto w oczy. - Czy ty coś do mnie czujesz? Mam na myśli... coś więcej niż do partnera?

- Czuję. Ale to nic. Rozumiem, że nie jesteś...

- Ja czuję to samo - przerwał jej. - Tak mi się wydaje. Złapałem się na tym, że porównuję cię do Karen. To nie fair, wiem o tym, ale dzięki temu zdałem sobie sprawę, że są we mnie takie uczucia... wiesz?

O rany, dlaczego on tak wszystko utrudniał.

Chwyliła jego dłoń i ścisnęła.

- Dobrze, że to powiedziałeś - odparła. - Teraz możemy już dać temu spokój. Nie myślmy o tym, nie zaprzatajmy sobie tym głowy i nie prowadźmy gierki, dopóki nie uporamy się z tą całą sprawą Pelletier. Co będzie, to będzie. Okay?

To powiedziała zupełnie jak Karen, pomyślał. Zdecydowanie, ale przyjmując rzeczy, jakimi są. Karen czerpała siłę ze świadomości, że wszystkim rządzi Bóg. Alicia zaś należała do ludzi, których niespożyta siła pochodziła z miejsca, któremu się nawet bliżej nie przyglądali. Nieważne, skąd jest, ważne że jest pod ręką, kiedy trzeba.

Nie spuszczać z niego oczu, zapukała kostkami dłoni w szybę. Kiedy taksówkarz otworzył drzwi i klapnął na siedzenie, rzuciła:

- Gdzie się pan podziewał? Jedźmy!

59.

Czterdzieści minut później taksówka zaparkowała przy krawężniku przy via della Conciliazione. Brady niewiele widział poza budynkiem, który wyglądał na starannie utrzymaną, zabytkową kamienicę. Wsiadł i spojrzał ponad dachem samochodu. Po przeciwnej stronie alei dwie bogato zdobione budowle stanowiły wejście na potężny plac - Piazza San Pietro. Na środku wznosił się egipski obelisk wysoki co najmniej na trzydzieści metrów, który wcześniej uświetniał cyrk Nerona. Po przeciwnej stronie placu była Bazylika św. Piotra z frontową kolumnadą, fasadą zwieńczoną posągami świętych i sławną kopułą Michała Anioła na szczycie.

- Signore!

Usłyszał wołanie taksówkarza i zorientował się, że stoi bez ruchu w otwartych drzwiach samochodu urzeczony widokiem. Zamknął drzwi i taksówka mogła bez przeszkód odjechać z warkotem silnika. Alicia już biegła przez aleję, jakby na wezwanie syreny. Brady podążył za nią.

Plac miał kształt elipsy. Kolumnady zaczynały się u stóp katedry i biegły po obu stronach szerokim łukiem jak ramiona obejmujące zgromadzonych tu wiernych. Po placu przechadzało się pewnie z kilkaset osób, ale sprawiał wrażenie pustego. Wyglądało na to, że może pomieścić jeszcze wiele tysięcy.

Alicia popukała go w ramię.

- Tam jest jakieś biuro z tabliczką L'ufficio informazioni. - Wskazała poza południową kolumnadę na coś, co wyglądało jak witryny sklepowe, ale oznaczenia wskazywały na biura watykańskie i stanowiska informacyjne. Weszli do biura i zaczęli, aż mężczyzna za ladą wyjaśni szczegóły wycieczki po watykańskich ogrodach grupie starszych amerykańskich turystów o bardzo słabym słuchu. Kiedy ostatnie donośne „Co?” doczekało się odpowiedzi i grupka wytoczyła się na zewnątrz, Brady zwrócił się do mężczyzny.

- Chcemy zobaczyć się z księdzem, który pracuje w archiwum.

- W archiwum czy w bibliotece? - upewnił się mężczyzna z siłą głosu dostosowaną jeszcze do jego poprzednich rozmówców.

- A to różnica?

- Si.

Brady uniósł brwi i spojrzał na Alicję.

- Ojciec McAfee mówił o „tajnym archiwum”.

Brady przeniósł wzrok z powrotem na mężczyznę.

- Ksiądz, którego szukamy, jest...

- Dwoje drzwi dalej - odparł rozmówca i odwrócił się od nich.

- Słucham?

- Do sekretariatu - wskazał na wschód.

Sekretariat wyglądał jak cienko przedające biuro podróży z dwoma starymi biurkami i krzesłami dla oczekujących. Tylko jedno biurko było zajęte, siedział za nim młodzieniec, którego Brady by wylegitymował przy próbie zakupu alkoholu. Miał koloratkę i czarną koszulę z krótkim rękawem. Na jego biurku stał monitor LCD i klawiatura, ale on pochylony był nad jakimś rejestrem. Z ołówkiem w ręku śledził kolumny maleńkich cyfr. Miał czarne, krótko ostrzyżone włosy z przedziałkiem z jednej strony. Utrwalone na żelu. Podniósł na nich wzrok z promiennym uśmiechem.

- *Mi dica?*

- Mówi ksiądz po angielsku? - spytał Brady.

- Naturalnie. Czym mogę państwu służyć? - Jego angielski był bez zarzutu.

Brady poprosił o spotkanie z ojcem Randallem.

- W jakiej sprawie?

Razem z Alicją postanowili być tak szczerzy, jak tylko się da - przynajmniej do pewnego momentu. Wzmianka o śledztwie w sprawie morderstw mogłaby raczej spiętrzyć trudności, niż je usunąć. Wyjaśnił więc, że prowadzą sprawę kradzieży z włamaniem w katolickim kościele w Stanach Zjednoczonych i potrzebują w tej sprawie porozmawiać z ojcem Randallem.

- Przyjechali państwo do Włoch w sprawie włamania? - Młody ksiądz był tak zбитy z tropu, jak każdy byłby na jego miejscu, słysząc nedorzeczną historyjkę Brady'ego.

- Może to mieć związek z innymi przestępstwami - odparł Brady.

- Z ramienia jakiej agencji państwo występują?

- Nie jesteśmy tutaj oficjalnie. Ksiądz, który padł ofiarą włamania, jest naszym przyjacielem.

Duchowny skinął głową, jakby ta informacja wyjaśniała wszystko. Odwrócił się do ekranu i klawiatury na swoim biurku.

- Proszę powiedzieć jeszcze raz, jak się nazywa ten ksiądz?

Brady zawahał się. Nie chciał wpędzić ojca McAfee w kłopoty.

Ich rozmówca podniósł głowę.

- Jak się nazywa człowiek, z którym chcą się państwo zobaczyć?

- Ach. Ojciec Randall. Adalberto Randall.

Wpisał nazwisko na klawiaturze i obserwował ekran. Brady'emu wydawało się, że przez jego twarz przemknął wyraz zaniepokojenia, który jednak zaraz zniknął. Brady od niechcienia pochylił się do przodu, by rzucić okiem na ekran. Młody ksiądz wcisnął klawisz i Brady zdążył tylko zobaczyć znikające słowa. Po kilku sekundach zamiast szarego ekranu pojawiło się zdjęcie placu św. Piotra. Zresztą żadna różnica. I tak nie znał włoskiego.

Ksiądz odsunął szufladę i wyjął żółty formularz wielkości zwykłej fiszki. U góry dużym pismem odnotował datę. Poniżej pisał dalej, mniejszymi literami i jakby niechlujniej. Z kieszeni spodni wyjął mały kluczyk, otworzył nim środkową szufladę biurka i wyciągnął wytłaczarkę. Umieścił w niej formularz i mocno przycisnął. Kiedy szuflada ponownie się zamknęła, a kluczyk powrócił do kieszeni, podał Brady'emu formularz.

- Z tą przepustką możecie przejść do sekretarza archiwum. Dalej on wam pomoże.

- Czy nie możemy iść bezpośrednio do ojca Randalla?

Ksiądz zamasztył ruchem rozłożył na ladzie mapę i wskazał na nią długopisem.

- Pokażę państwu. Proszę przejść obok murów Leona, o tutaj, i przez bramę św. Anny. Zobaczycie państwo zakręcającą drogę. Miniecie budynek „L'Osservatore Romano” i dziedziniec belwederski. Po lewej zobaczycie klatkę schodową. Proszę iść na samą górę. - Stuknął koniuszkiem długopisu w mapę i przesunął go w poprzek biurka. - O tak.

- O tak - powtórzył Brady. - Dziękujemy.

Zanim dotarli do drzwi, ksiądz ich zawołał:

- Po drodze będziecie państwo musieli okazać przepustkę kilku strażnikom. Nie zbaczajcie z drogi, a nic wam się nie stanie. Niech was Bóg błogosławi.

Już na zewnątrz Alicia spytała Brady'ego:

- A co, jeśli zboczymy z drogi?

- Wtedy chyba coś nam się stanie.

60.

Brady trzykrotnie odwiedził Las Vegas w sprawach służbowych. Za każdym razem nie mógł się nadziwić, jak wielkie są tamtejsze hotele. Były, jakby powiedział Zach, olbrzymiczne. Można było przez pięć minut iść przez jedną salę do gier, nie zatrzymując się i nie zataczając kółka. Hotele mieściły baseny o rozmiarach olimpijskich, teatry wielkości tych na Broadwayu, lunaparki jak u Disneya. Od oglądania złotego lwa przed hotelem MGM Grand Brady dostał skurczu szyi. Nie mógł się zdecydować, czy to miasto było pomnikiem chciwości i blichtru, czy dowodem, że ludzie nie zapomnieli, jak to jest budować zamki z piasku i konstrukcje z klocków lego.

Przemierzając Watykan, zdał sobie sprawę, że wizja architektów Vegas była jednak pozbawiona rozmachu. I cokolwiek surowa. Przy tych posągach, kolumnach i fontannach czuł się karzełkiem. Cień budowli tworzył nienaturalny pomrok, tak jak szczyty gór w dolinie Vail. Każdy z mijanych budynków mógł się poszczycić zdobieniami na skalę muzealną: posągi, płaskorzeźby przedstawiające doniosłe wydarzenia historyczne, witraże i baszty. Od myślenia o skarbach ukrytych za tymi murami aż rozboleła go głowa.

Po drodze do Tajnego Archiwum trzykrotnie zostali zatrzymani przez dwuosobowe patrole Gwardii Szwajcarskiej.

- Gdybym miał choć jedną piątą ich zbiorów dzieł sztuki, to strzegłyby ich brygady antyterrorystyczne, a nie jacyś ochroniarze w pumpach - odezwał się Brady, kiedy już ostatni patrol obejrzał ich przepustkę i pozwolił im przejść.

- Nie daj się zwieść fikuśnym kostiumom - odparła Alicia. - Znam jednego faceta z Zespołu Odbijania Zakładników FBI.

Brady skinął głową.

- To najlepsza jednostka antyterrorystyczna w kraju.

- Zgadza się. Otóż tamten gość opowiadał, że kilku z nich jedzie do Szwajcarii, żeby trenować z Gwardią Szwajcarską. Ja na to pytam: „Co ich skłoniło, żeby szukać pomocy?”, myśląc, że jakaś kryzysowa sytuacja otworzyła im oczy na potrzebę lepszego szkolenia, wiesz. A on mówi, że nie, że to tamci będą trenować grupę FBI. Okazuje się, że są najlepsi na świecie, każdy jeden. Mossad, Komando Foki i... samuraje w jednym.

Brady obejrzał się na jednego z nich, odzianego w tradycyjny mundur składający się z

pomarańczowo-niebieskich pumpów, kubraka pod kolor z bufiastymi rękawami i niebieskiego beretu. Uśmiechnął się niemrawo do Alicii.

- Żartujesz, prawda?

- Mówię śmiertelnie poważnie - zaprzeczyła. - Jak powiedziałeś, mają tutaj bezcenne dzieła. No i papieża. Pomyśl, jaki on stanowi cel. - Kilkadziesiąt stopni dalej odezwała się: - Oczywiście możesz im podskoczyć i zobaczyć, co się stanie. Nie musisz mi wierzyć na słowo.

Zmierzali przez brukowany dziedziniec w stronę skrzyżowania ścieżek, gdzie stał strażnik z halabardą. Brady wyobraził sobie, jakie szkody może wyrządzić taka broń we wprawnych rękach.

- Zawsze fascynował mnie spokój uspiionej bestii - powiedział.

- Właśnie. - Klepnęła go w ramię wierzchem otwartej dłoni i wskazała palcem. - Na pewno o to chodzi.

Po ich lewej stronie szerokie kamienne schody prowadziły obok potężnego posągu na podest na wysokości drugiej kondygnacji i ciężkiej drewnianej bramy. Alicia rażno ruszyła po schodach, ale Brady zatrzymał się na chwilę, by przeczytać, że posąg przedstawiał człowieka imieniem Hipolit. Reszta podpisu była po włosku lub po łacinie, a gdyby był to nawet język shelta i tak nie zauważyłby różnicy. Zastanawiał się, czy Hipolit rzeczywiście był tak mądry, na jakiego tu wyglądał, wpatrzony w dal, z książką w dłoni.

Brady zrównał się z Alicią już w drzwiach, gdzie drogę zastąpił im jeszcze jeden szwajcarski ninja. Brady okazał przepustkę i zostali przepuszczeni. Znaleźli się w przedsionku. Nad kolejnymi podwójnymi drzwiami widniała marmurowa tabliczka z rozstrzelonymi literami układającymi się w napis „Biblioteca Apostolica Vaticana”. Na innej ścianie mieściły się pojedyncze drzwi z drewnianą plakietką: „L'Archivo Segreto Vaticano”.

To zrozumiał nawet Brady. Przytrzymując drzwi dla Alicii, zauważył:

- Na drzwiach napisane jest „tajne”. Co tu jest tajnego?

Szli korytarzem w stronę biurka, przy którym siedział mężczyzna. Pomieszczenie było szerokie, z łukowatym sklepieniem, zbudowane niemal w całości z kamienia, z wyjątkiem wielkich okien na jednej ścianie, z których rozciągał się widok na znany im już dziedziniec prowadzący do schodów biblioteki.

Alicia nachyliła się do Brady'ego.

- Przez tysiąc lat dostęp do wszystkich zgromadzonych tu pism był zamknięty dla wszystkich poza papieżem i garstką wyznaczonych przez niego uczonych, badaczy i archiwistów. Dopiero w 1881 roku papież Leon XIII udostępnił połowę zbiorów niewielkiej

liczbie poważanych uczonych i teologów. Nawet teraz istnieje zasada zwana „regułą stulecia”, która umożliwia badanie dokumentów przez ludzi z zewnątrz dopiero po upłynięciu stu lat. - Wyszczrzyła zęby w uśmiechu. - Trzeba więcej czytać, Brady.

Zatrzymali się przy biurku. Było rozmiaru średniego samochodu. Jego barokowe ozdobniki mogłyby być rzeźbione przez Michała Anioła. Mimo to w porównaniu do sali, która otwierała się poza nim, było tylko kawałkiem ledwie ociosanego drewna. Sufit i wszystkie ściany pokryte były malowidłami autorstwa jakiegoś późnorenesansowego mistrza, o którym Brady najpewniej nigdy nie słyszał. Ale stylu nie można było pomylić z żadnym innym - nasycone kolory, wymuszona perspektywa, otyłe nagie lub prawie nagie postaci, tak realistyczne, że wydawało się, że zaraz zaczną się pocić. Sklepienie było wysokie i zwieńczone łukiem. Posadzka wyłożona wielkimi kwadratowymi płytami marmuru. Po obu stronach środkowego przejścia ciągnęły się rzędy masywnych drewnianych sekretarzyków wielkości szaf sieniowych. Rozmieszczone były jak posągi w metrowych odstępach. Na oddalonym krańcu podłużnego pomieszczenia otwarte podwójne drzwi prowadziły do podobnej sali, potem do następnej i jeszcze jednej, tak daleko, jak Brady sięgał wzrokiem.

- *Si?*

Podobnie jak chłopak z sekretariatu, mężczyzna miał koloratkę, ale był w wieku dziadka tamtego. Przysadzisty, miał mięsiste policzki i wylupiające oczy. Łysiał. Brady uznał, że byłby dobry w filmie o Robin Hoodzie jako braciszek Tuck. Przebrnęli przez podobne do wcześniejszych powitania i wyjaśnienia. Tym razem jednak nazwisko ojca Randalla nie wywołało żadnej reakcji.

- Poproszę o identyfikator - powiedział mężczyzna. Jego akcent był znacznie silniejszy niż młodego księdza. Brady pomyślał, że angielski - jak utyskiwali obcokrajowcy, zwłaszcza Francuzi i Latynosi - stawał się językiem uniwersalnym kosztem języków narodowych. Kolejne pokolenia uczyły się go w coraz młodszy wieku i w końcu będą nim władać, zanim jeszcze poznają język swojego kraju. Poczul delikatne ukłucie wstydu, że należy do kultury lingwistycznych despotów.

Wyjął portfel z kieszeni spodni.

- Dokument tożsamości czy legitymację służbową? - upewnił się.

- Oba poproszę.

Podał swoje prawo jazdy i legitymację FBI. Alicia zrobiła to samo.

Ksiądz podniósł słuchawkę, wstukał trzycyfrowy numer i się rozłączył. Chwilę później otworzyły się drzwi, przez które weszli z korytarza. Szwajcarski gwardzista, który wcześniej oglądał ich przepustkę, wszedł do pomieszczenia. Ksiądz wstał z ich dokumentami

w dłoni.

- *Momento* - bąknął i przeszedł przez piękną salę. Za drzwiami na drugim jej końcu skręcił w prawo i znikł im z oczu. Strażnik stanął przy wejściu do sali, obrócił się plecami do ściany i zastygł w pozycji manekina. Brady nie zauważył, żeby był uzbrojony.

- Co się teraz stanie? - szepnął Brady.

- Istnieje duże prawdopodobieństwo, że zadzwonią do FBI. - Tu Alicia przerwała. Zastanawiając się, obserwowała bajeczne pomieszczenie.

- No i? - Zdawał sobie sprawę, że ona też po raz pierwszy znalazła się w takiej sytuacji, ale jej umysł widział rzeczy nie takimi, jakie powinny być, ale jakie są w realnym świecie.

- I jeśli Biuro zechce, to prawdopodobnie przekona Watykan albo rzymską policję, żeby nas zatrzymali dopóki po nas nie przyjadą.

Zerknął na telefon na biurku, potem na gwardzistę.

- Trzeba było sobie załatwić lewe dokumenty.

- W takim miejscu, jak to, nie traci się czasu dla byle kogo - oświadczyła rzeczowo. - Falsywe osobniki z podrobionymi dokumentami są właśnie byle kim, są nikim. Takie jest przecież założenie. Może nas nie sprawdzą. A może FBI nie wydało jeszcze żadnych komunikatów na nasz temat.

- A może zleceniodawca morderstw Pelletier dokonał dziś przy śniadaniu samospalenia razem ze swoim dziwnym przyjacielem wikingiem i jego psami.

- Dobra, dobra. - Przysunęła się bliżej i chwyciła go za przedramię. - Musieliśmy zaryzykować. Inaczej mogliśmy zostać w domu.

Stali przy biurku przez dłuższą chwilę. Nic na jego blacie nie wzbudziło zainteresowania Brady'ego: klawiatura, monitor LCD, a na nim ta sama tapeta z placem św. Piotra, kilka długopisów, notes z pustą kartką na wierzchu i gazeta „La Repubblica”. Na wprost krzesła rozpostarta była część, która wyglądała na dodatek sportowy.

Od czasu do czasu w drzwiach na dalszej ścianie sali mignęła jakaś postać, przechodząc. Było nadnaturalnie cicho, jakby przez długie lata swojego istnienia to miejsce przesycało się bezgłosem. Wzdłuż ściany korytarza przeciwległej do tej, na której stał strażnik, ciągnął się rząd krzeseł, ale zarówno Brady, jak i Alicia byli zbyt podekscytowani, żeby siedzieć.

Alicia nachyliła się do Brady'ego.

- Chętnie bym przejrzała ten komputer - szepnęła.

- Powodzenia.

- Ciekawe co by wyskoczyło, jakbym wpisała nazwisko Randalla.

- A ma to znaczenie?

- Nigdy nie wiadomo.

Spojrzał na strażnika. Gwardzista nie spuszczał z nich oka.

- Myślisz, że uda ci się odciągnąć jego uwagę? - spytała.

Wlepił w nią wzrok i szeroko otworzył oczy.

- Poważnie - powiedziała. - Po prostu przebiegnij przez ten pokój i nie zatrzymuj się.

Założę się, że za tobą poleci.

- Chcesz poświęcić naszą szansę rozmowy z Randallem po to, żeby rzucić okiem na ekran komputera, chociaż nie znasz nawet języka?

Odwrócił się i odszedł w stronę okna. Kilka minut później usłyszał ostry głos strażnika.

- Proszę pani!

Brady obejrzał się i zobaczył Alicię po drugiej stronie biurka. Błyskawicznie sięgnęła ręką i wcisnęła jakiś klawisz.

Strażnik oderwał się od ściany, a jego ręka powędrowała do tyłu, szukając czegoś za plecami.

Podniosła rękę.

- Spokojnie! - rzuciła okrążając biurko.

Gwardzista zatrzymał się.

- Przepraszam - powiedziała skromnie. - Nudzi mi się, wie pan. Może pan... - gestem wskazała na pokój za jej plecami. - Może pan się dowiedzieć, dlaczego to tak długo trwa?

- Nie - odparł. Wycofał się na poprzednie miejsce przy ścianie. Jego ręka pojawiła się, trzymając krótkofalówkę. Strażnik podniósł ją do ust, wcisnął guzik i powiedział coś po cichu w obcym języku.

- Hej, o co chodzi? - zawołała Alicia. - Przecież nie trzeba.

Zerknęła na Brady'ego. Pokręcił głową.

Gwardzista zakończył rozmowę, schował krótkofalówkę za plecami i włączył tryb manekina. Brady podszedł z powrotem do stojącej przy biurku Alicii. Drzwi na końcu korytarza otwały się i wszedł jeszcze jeden strażnik.

- O-o - szepnęła.

Przemaszerował kawałek w ich kierunku, zatrzymał się i przyjął pozycję tyłem do ściany tuż obok towarzysza broni.

Brady usłyszał, jak Alicia wypuszcza oddech.

- Co zobaczyłaś? - spytał.

- Okienko dialogowe z koniecznością logowania. Pole użytkownika i hasła puste. Nie weszłabym, nawet gdyby mi pozwolili godzinę próbować, przynajmniej nie bez narzędzi.

- Więc czekamy - podsumował.

Cmoknęła ze zniecierpliwieniem. Poszperała w torebce, odszukała paczkę cameli i wyjęła jednego.

- Proszę pani?

To pierwszy strażnik. Pokręcił głową, patrząc na nią.

Zwróciła się do Brady'ego.

- Idę na zewnątrz zapalić.

- Palenie wzbronione na terenie Watykanu - odezwał się ponownie strażnik.

- Nigdzie nie wolno?

Potrząsnął głową.

Znów cmoknęła, otwarła torebkę i wrzuciła do niej papierosa.

61.

Według zegarka Brady'ego czekali jeszcze czterdzieści osiem minut. Patrzyli przez okno na księży, zakonnice i biznesmenów przechodzących dziedzińcem poniżej, kiedy usłyszeli stukanie skórzanych podeszew po marmurze i towarzyszący mu lekki pogłos. Odwróciwszy się, Brady stwierdził, że to nie echo, a jeszcze jedna para butów. Za księdzem, który zabrał ich dokumenty, kroczył wyższy mężczyzna również około pięćdziesiątki. Jego twarz była szczupła i umięśniona, a skóra napięta, nie sflaczała. W jego przeszywających oczach widać było oczekiwanie. Poruszał się dostojnie, niemal płynął przez salę jak tancerz nawet na długo po ostatnim występie.

Pierwszy ksiądz westchnieniem osunął się na krzesło za biurkiem, jakby spędził właśnie godzinę na ciężkiej pracy. Podał Brady'emu i Alicii ich dokumenty.

- *Grazie* - powiedział, nie patrząc na nich. Pochylił się nad rozłożoną na biurku gazetą.

Brady i Alicia przyjrzeni się drugiemu mężczyźnie. Ustawił się obok człowieka na krześle. Ręce miał złożone przed sobą. Wąty uśmiech pofałdował jego skórę i utworzył dołeczki w policzkach.

- Ojciec Randall? - spytała Alicia.

- Jestem monsinior Vretenar, wiceprefekt. Porozmawiajmy, *per favore*. - Gestem polecił im okrążyć biurko, obrócił się i odszedł w stronę oddalonych drzwi.

Brady i Alicia szli krok w krok za nim. Wreszcie coś się działo. Brady obejrzał się przez ramię. Strażnicy nie ruszyli się z miejsca, ale nadal ich obserwowali. Kiedy dotarli do połowy sali, monsinior Vretenar odwrócił się do nich.

- Po co państwo tu przyszli? - zapytał przyciszonym głosem.

Brady odpowiedział za nich oboje:

- Żeby porozmawiać z ojcem Randallem.

- Po co?

- Może posiadać informacje o sprawie, nad którą pracujemy.

- Może?

- Posiada. Ile wie, dowiemy się dopiero, kiedy z nim pomówimy.

- Co to za sprawa?

- Włamanie do kościoła w Nowym Jorku.

Mężczyzna pokręcił głową.

- Nie wydaje się to...

- Włamanie może być powiązane z morderstwem - wtrąciła Alicia. - Właściwie z kilkoma morderstwami.

Monsinior lekko uniósł brwi. Te wieści go zaskoczyły, ale był albo mężczyzną bez wyrazu, albo bardzo zręcznie ukrywał swoje myśli.

- Coś wskazuje... na ojca Randalla? - spytał.

- Jest powiązany ze sprawą - wyjaśnił Brady.

- W jaki sposób?

Alicia pospieszyła z odpowiedzią.

- Poprosił o prywatne akta jednego księdza, podobno dla Archiwum. Kiedy tamten odmówił, akta zostały skradzione.

- Ojciec Randall jest archiwistą, ale nie złodziejem.

- Gdybyśmy tylko mogli z nim porozmawiać osobiście...

- Ten ksiądz, czy to jego zamordowano?

- Nie, ale sądzimy, że zabójca pozyskał listę swoich ofiar ze skradzionych akt. - Alicia szybkim ruchem odgarnęła włosy za ucho. Brady widział, że miała ochotę potrząsnąć mężczyzną i zawołać: „Pomóż nam!”.

- Jeden z niedoszłych zbójców wspomniał nazwisko Randalla - powiedział Brady.

- W jakim kontekście?

W to nie chcieli się wgłębiać.

Monsinior Vretenar doskonale zrozumiał ich milczenie. Nikły uśmiech wygiął jego wargi. Mężczyzna zaśmiał się.

- Czy jest w tym coś śmiesznego? - spytał Brady.

- Proszę wybaczyć - odparł monsinior. - Powinniście państwo mi powiedzieć, że jesteście fanami Kodu Leonarda Da Vinci!

- Słucham?

- Agencie Moore, agentko Wagner - zwrócił się do nich protekcyjnie, choć z uśmiechem. - Nie ma tu żadnych zabójców, tajnych stowarzyszeń, żadnych spisków. Nie tego człowieka szukacie. Przykro mi, że fatygowaliście się aż tutaj. *Per favore*. - Gestem wskazał wyjście.

- Chwileczkę! - Alicia chwyciła go za ramię. - Nie ma tu nic śmiesznego i nie jest to fikcja. Skrywa pan człowieka związanego z pięcioma zabójstwami. Ktoś czyha na nasze życie. Moje i agenta Moore'a. Zaatakowano jego dziewięcioletniego syna! Dlaczego nie

chce...

Szwajcarscy gwardziści byli już przy nich. Jeden rozdzielił Brady'ego i monsiniora Vretenara. Odepchnął Brady'ego i przyjął pozycję, która świadczyła, że jest gotów w każdej chwili rzucić się na niego, jeśli choćby nieprzyjaźnie mrugnie. Brady uniósł ręce na wysokość klatki piersiowej, zwracając je wnętrzem w stronę mężczyzny. Usłyszał stęknienie Alicii i spojrzał na nią. Drugi strażnik trzymał ją w chwycie uchikami - lewy nadgarstek wykręcił za plecami i unieruchomił między łopatkami, przytrzymując jednocześnie łokieć tej samej ręki w dole. Wszyscy gliniarze znali ten manewr i ćwiczyli go zarówno w pozycji policjanta, jak i przestępcy. Bolało. I jednocześnie zupełnie pozbawiało człowieka woli walki.

Alicia wciągała powietrze przez zaciśnięte zęby, wyglądała jakby chciała złapać się za bark. Jej bandaże były dobrze widoczne, pod wierzchnią warstwą cieniutkiej gazy prześwitywały brunatne plamy. Przynajmniej strażnik wykręcił jej zdrową rękę.

- Bardzo proszę - odezwał się Brady. - To naprawdę niepotrzebne.

- Doprawdy? - spytał monsinior. - Panno Wagner? - Czekał, aż Alicia podniesie na niego oczy. - Potrzebne czy nie?

Nie odpowiadała. Brady niemal spodziewał się, że Alicia napluje na mężczyznę. Z ulgą zobaczył, że tylko w napięciu pokręciła głową.

Duchowny skinął na trzymającego ją strażnika, i ten ją uwolnił.

Alicia udawała, że go z siebie strząsnęła. Potarła ramię. Wargi zacisnęła tak mocno, że stały się białe. Brady wiedział, że boi się teraz odezwać, żeby nie powiedzieć za dużo.

- Agencie Moore - odezwał się monsinior. - Czy wasz informator opisał ojca Randalla? Czy zrobiliście... to się chyba nazywa portret pamięciowy?

- Nie.

- Zdobądźcie opis. Niech rysownik stworzy szkic, nie wiem zresztą, jak się to teraz robi, w dobie komputerów. Proszę przesłać portret do mnie. - Wyjął wizytówkę i podał Brady'emu, który ją przyjął. - Jeśli istnieje jakiegokolwiek podobieństwo do naszego ojca Randalla, wróćmy do rozmowy. Chociaż szanse są nikłe.

Po krótkiej chwili dodał:

- Ufam, że znajdą państwo drogę do wyjścia, czy też potrzebna jest państwu obstawa?

- Monsinior Vretenar - zaczął Brady - przyjechaliliśmy z daleka. Mój syn jest w niebezpieczeństwie.

- A więc obstawa jest potrzebna?

Brady wlepił wzrok w tego tak zwanego człowieka Bożego. Jak to możliwe, że Karen była tak ciepła i współczująca, a on tak zupełnie bez serca? Czyż nie służyli temu samemu

Bogu? Obrócił się na pięcie i ruszył wzdłuż długiego korytarza. Ksiądz za biurkiem wciąż garbił się nad gazetą, jakby nie słyszał krzyków i nie widział straży przebiegającej obok jego stanowiska. Usłyszał, że Alicia idzie tuż za nim, ale zanim dotarł do drzwi, odgłos jej kroków zamilkł. Również przystanął, spodziewając się, co będzie dalej. Nie odwrócił się, po prostu czekał.

Nabrawszy oddechu godnego operowej diwy, wrzasnęła nazwisko monsiniora, a potem długą litanię obelżywych epitetów, które, jak podejrzewał Brady, były nowością dla mężczyzn, kobiet i amorków wymalowanych na ścianach wielu sal znajdujących się w zasięgu jej głosu. Najprawdopodobniej dla lepszego efektu wystawiła też środkowy palec. Echo jej krzyku wciąż odbijało się od marmuru, kiedy minęła go i wyszła za bramę.

- Chodźmy - rzuciła.

Zastygł. Nie słyszał za sobą tupotu butów. Wyobraził sobie monsiniora Vretenara, który wstrzymuje strażników gestem, ruchem głowy, a może komentarzem w stylu: „To osóbką z problemami. Niech idzie”.

Bardzo wspaniałomyślnie z jego strony.

62.

Zrównał się z nią już na zewnątrz, u stóp schodów. Z braku innych kandydatów swoje wściekle spojrzenie skierowała na pełne spokoju, nieśmiertelne oblicze Hipolita.

- W porządku? - odezwał się do niej, kiedy był już obok.

- Nie! Nie! - Spuściła głowę na znak bezsilności. - Co za nadęty... Jakiego wyzwiska jeszcze nie użyłam?

- Myślę, że raczej wyczerpałaś temat.

Uśmiechnęła się słabo, rozcierając bark.

- Prawą rękę mam wyfiletowaną, a lewą wyrwaną ze stawu. Jak tak dalej pójdzie, niedługo będę jeździć na wózku. - Przypatrzyła mu się. - A u ciebie wszystko okay?

- Nie - odpowiedział szczerze. Ktoś właśnie wlał ołów w jego ciało, po prostu odkręcił głowę i wlał go do środka. Było mu ciężko na sercu, miał ściśnięty żołądek. Jeśli zaraz się nie poruszy, stopy wrosną w kamienne podłoże. Powłócząc nogami, podążył w stronę krętej ścieżki, z której weszli na dziedziniec.

Alicia zrównała się z nim.

- Poszukajmy jakiegoś noclegu - zaproponowała znużonym głosem. - Jutro wrócimy i im pokazemy. Ten palant musi mieć jakiegoś zwierzchnika, z którym możemy porozmawiać.

- Tak, papieża - odparł Brady.

- Musi być ktoś inny. Przedstawił się jako wiceprefekt. Więc pójdziemy do prefekta. Albo do kadr. Czy Watykan nie ma swojej policji? Może oni nam pomogą.

- Optymizm cię nie opuszcza.

- A ciebie pesymizm. I co z tego? Zróbmy, co do nas należy. Chcesz wracać do domu z pustymi rękami?

Zatrzymał się. Dotarli właśnie do miejsca, gdzie przecinały się ścieżki. Droga do wyjścia ciągnęła się na wprost przed nimi. Ścieżka po prawej stronie Brady'ego prowadziła do nieznanых miejsc. Po lewej znajdowała się altanka z kamienną ławką. Usiadł na niej i zwiesił ramiona.

- Nie możemy jechać do domu. Mamy mało tropów i jeszcze mniej środków. Gilbreath nie pozwoli nam dalej pracować, wywali nas albo odsunie podstępem. Poza tym, o ile wiemy, ktoś ciągle chce naszej śmierci. Musielibyśmy ciągle uciekać. Co to za życie?

Usiadła obok niego.

- No dobrze - odezwała się. - Więc zajmie nam to dłużej, niż planowaliśmy. Jesteśmy detektywami, Brady. A to jest śledztwo. Trafiliśmy na mur. Więc cofnijmy się i spróbujmy go obejść. Ktoś zna tego ojca Randalla. Rozpytamy się. Sporządzimy rysopis. Przeszukamy gazetę watykańską, ja poszukam w sieci. Założę się, że znajdziemy jego zdjęcie. A potem będziemy czekać i obserwować. W końcu przecież będzie musiał wyjść. Prawda?

Brady kiwał głową.

- Zrobimy mu Malika.

- Co takiego?

- Złapiemy go i zmusimy do mówienia. Znajdziemy kogoś takiego jak Apollo, żeby go przycisnął i rozwiązał mu język.

- Tak, coś w tym stylu.

Wyprostował się.

- Pewnie. A dlaczego nie? Im się wydaje, że mogą robić, co chcą, bez żadnych konsekwencji. Otóż ja im pokażę konsekwencje. Konsekwencje to ja. Mów mi Pan Konsekwencja. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

Nie odwzajemniła go. Przyglądała się tylko jego twarzy. Rozejrzała się wokoło, popatrzyła w górę na łukowate zadaszenie nad drogą.

- Brady - powiedziała poważnie. - Chcę cię o coś zapytać.

- Słucham.

- Tam, w Nowym Jorku, kiedy Malik spadł...

- Tak?

- Trzymałeś go, bo on trzymał mnie, prawda?

- Nie mogłem pozwolić ci spaść, Alicia.

- Wiem. - Uśmiechnęła się. - Ale trzymałeś go za rękę, aż puścił moją kostkę. Potem spadł.

Brady skinął głową.

- Brady. - Przerwała. Wzrok skupiła na jakimś punkcie przed nimi, w górze ulicy. - On się wyśliznął? Czy go puściłeś?

Nie poruszył się, milczał. Powoli pochylił się i oparł przedramiona na udach, a dłonie zwiesił między kolanami. Zza zakrętu drogi słychać było kroki. Podniósł wzrok i zobaczył księdza z teczką w dłoni. Ukłonił się, a Brady odpowiedział tym samym, po czym obserwował, jak duchowny przechodzi ścieżką aż na dziedziniec i znika za rogiem.

Odwrócił się do niej.

- Nie wiem - odparł.

Dotknęła jego kolana.

- Nie zrozum mnie źle. Ja sama bez chwili zastanowienia wyrzuciłabym go przez to okno. Ale to jestem ja, Brady, a nie...

- Patrz - przerwał jej.

Podążyła za jego spojrzeniem w dół przecinającej ich drogę ścieżki. W najbardziej wysuniętym punkcie zakrętu stała niewielka kapliczka, której nieliczne rzeźbienia niemal zatarły czas i pogoda. Kamień był porowaty, jakby w każdej chwili miał się rozpaść i ponownie zamienić w piasek. Jedno skrzydło wysokich podwójnych drzwi otwarło się i w zacienionym przejściu stanął mężczyzna, patrząc wprost na nich. Był zgarbiony wiekiem, cały ubrany na czarno. Podniósł rękę i gestem przyzywał ich do siebie. Potem zniknął w mroku wnętrza kaplicy.

Wstała.

- Idziemy?

Podniósł się z ławki.

- Jeśli ten facet będzie nam chciał wcisnąć figurkę Jezusa z kiwającą głową, to mu przyłożę - oświadczył.

Razem dotarli do kaplicy i weszli do środka. Po jasności dnia ogarnęła ich ciemność. Na kamiennym ołtarzu migotał rząd świec. Skrawek rozrzedzonego światła wpadał przez drzwi na ścianę za ołtarzem, blado oświetlając wielki, toporny w kształcie krzyż. Jego ramiona wydawały się ociosane jakimś mało precyzyjnym narzędziem. Na przykład toporem, pomyślał Brady.

W miarę, jak ich oczy przyzwyczajały się do ciemności, z cieni zaczęły się wyodrębniać kształty. Po obu stronach środkowej nawy ciągnęły się rzędy dziesięciu ławek. W łukowatych wykuszach widniały witraże. Nie sposób było powiedzieć, co przedstawiają, gdyż nie wpadało przez nie żadne światło. Odkąd powstała ta kaplica, Watykan musiał wyrastać wokół niej, otaczając ją większymi budowlami. Podłogę i ściany stanowiły kamienne bloki, matowa szarość wskazywała na granit. Nie było żadnych rzeźbionych zdobień, kwiecistych gzymsów, winorośli ani kolumn, po których mogłyby się piąć. Kaplica nie pasowała do otoczenia, a jednak w jakiś sposób była absolutnie idealna.

- Halo? - zawołała Alicia.

- Wejdźcie, proszę.

Głos brzmiał zdecydowanie, nie był osłabiony wiekiem. Brady się zastanawiał, czy powiedział to ów starszy człowiek, który ich tu przywołał, czy ktoś inny. Coś poruszyło się w

cieniu. Ich oczom ukazał się starszy mężczyzna, stojący w drugiej ławce od frontu. Gestem zaprosił ich, by usiedli w ławce tuż za nim.

Kiedy podchodzili, przysiadł na oparciu pierwszej ławki i dla równowagi postawił swoje czarne oksfordy na siedzeniu drugiej. Brady pomyślał, że to pewnie jego ulubiona pozycja siedząca, którą zdecydował się przyjmować tak długo, jak tylko będzie w stanie w ogóle siedzieć. Mężczyzna wydawał się kruchy niczym ptak. Za to jego głowa była duża, jakby końska. Światło słońca musnęło jego oczy. Były żywe i niebieskie.

Wpatrywał się w ich oboje na zmianę z posępnym wyrazem twarzy, kąciki jego ust i oczu opadały jakby czymś obciążone. Dłonią sięgnął do kieszeni na piersi i wyszperał z niej ręcznie skręconego papierosa. Tak przynajmniej sądził Brady, w rzeczywistości mógł to być joint. Ręce mężczyzny dygotały - Brady nie wiedział: ze starości czy ze strachu - i dobre piętnaście sekund minęło, zanim udało mu się wepchnąć skręta między wargi. Z tej samej kieszeni wyciągnął zapalniczkę. Pamiętając, ile czasu trwała podróż papierosa do miejsca przeznaczenia, Brady sięgnął i wyjął ją z drżącej dłoni. Podał mężczyźnie ogień.

Alicia odszukała papierosa, którego odmówiono jej w archiwum, więc Brady zapalił także i tego. Potem wrzucił zapalniczkę z powrotem do kieszeni mężczyzny. Starszy ksiądz się zaciągnął i ognik papierosa rozżarzył się jasno. Wydmuchnął kłęb dymu. Tytoń. Brady wyobraził sobie staruszka, jak popała coś mocniejszego, i uśmiechnął się rozbawiony.

Mężczyzna ręką rozgonił dym i odezwał się.

- Wpadliście głęboko. Nawet nie wiecie jak bardzo.

Alicia wypuściła smugę dymu kącikiem ust.

- W co takiego wpadliśmy? - spytała.

Wyjął papierosa z ust i przyjrzał mu się, jakby chciał sprawdzić, jak szybko się spala. Machnął nim w ich stronę, trzymając go między kciukiem a palcem wskazującym.

- W to, co was tu sprowadziło - odparł. - Randall. Malik.

Alicia dostała ataku kaszlu. Niedopałek spadł jej na kolana i strzepnęła go, wciąż kaszląc.

Brady rzucił się w przód, zaciskając dłonie na oparciu ławki przed sobą.

- Skąd wie ksiądz o Maliku? - Nie wspominali jego imienia.

- Czy ksiądz nazywa się Randall? - udało się wymówić Alicii pomiędzy spazmami kaszlu.

Staruszek milczał przez kilka sekund, kiedy umieszczał papierosa z powrotem w ustach.

- Jestem kardynał Ambrosi, prefekt Tajnego Archiwum - powiedział przez pół

przymknięte na ustniku wargi.

- Kardynał - zdziwił się Brady.

- Niech cię nie onieśmielą tytuły, chłopcze. Stary Ambrosi równie dobrze do mnie pasuje. Muszę na wstępie przeprosić za monsiniora Vretenara. Napędziliście mu niezłego stracha. Nie wiedział, jak zareagować na wasze oskarżenia. Na co dzień to miły facet.

Alicia zdusiła czubkiem buta niedopalonego papierosa.

- Nikogo o nic nie oskar...

- Ależ owszem i to całkiem słusznie. Mam rację?

Skinęła głową.

- Podniesie to pani, wychodząc, prawda? - Wskazał na niedopałek, który wciąż przydeptywała stopą. Rozejrzał się po pomieszczeniu. - To moje ulubione miejsce na świecie. Najstarsze chrześcijańskie miejsce kultu w Rzymie. Zbudowano je niedługo po ukrzyżowaniu świętego Piotra w 64 roku, zanim dwieście pięćdziesiąt lat później Konstantyn wznosił bazylikę nad jego grobem. Kroniki podają, że budowla przykryta była zewnętrzną, drewnianą konstrukcją aż do legalizacji chrześcijaństwa przez Konstantyna. To cud, że przetrwała, mogła zrzucić starą skórę i pokazać światu, jaka jest naprawdę. - Zamknął oczy i zaciągnął się dymem. - Tak jak wielu chrześcijan - ciągnął dalej. - Skrywali to, co mają wewnątrz, czekając, aż ktoś im powie, że mogą się ujawnić. - Westchnął z zadowoleniem, rozglądając się wokoło jak ktoś, kto z dogodnego miejsca na parkowej ławce podziwia drzewa, ptaki i obłoki na niebie. Powoli zwrócił oczy z powrotem na Brady'ego i Alicię. Posępny wyraz twarzy powrócił. - Jak rozumiem, jesteście z FBI i prowadzicie śledztwo w sprawie morderstw?

- Nie jesteśmy tu oficjalnie. Jesteśmy sami - odparła Alicia.

Oczy starszego mężczyzny rozbliły ze zdziwienia.

- Jak to?

- To długa historia. Powinniśmy mieć wsparcie... ale nie mamy.

- A więc jesteście tylko we dwójkę? - Zmierzył ich obojętnym, jak się wydawało, wzrokiem. Na chwilę zamknął oczy. Kiedy je otworzył, Brady'emu zdawało się, że jakaś kwestia została rozwiązana.

- Musicie mi opowiedzieć, dlaczego poszukujecie ojca Randalla. Ze szczegółami. Jest bardzo ważne, żebym to wiedział, musicie mi zaufać.

Brady odchrząknął.

- Kardynale Ambrosi...

- Mam na imię Roberto.

Brady skłonił głowę.

- Roberto, kiedy będziemy mogli pomówić z ojcem Randallem?

- Obawiam się, że to niemożliwe. Wyjechał w interesach.

- Chwileczkę. Wyjechał w twoich interesach - powiedziała Alicia ostrym, oskarżycielskim tonem. - Ojciec Randall pracuje dla ciebie.

Skinął głową.

- Owszem, ale nie w charakterze, którego dotyczy wasze dochodzenie. - Ostatni raz zaciągnął się papierosem, wyjął go z ust i zgasił ognek palcami. Wyglądało na to, że wcale nie czuje gorąca. - Otóż - zaczął - ojciec Randall służy dwóm ziemskim panom. Stolicy Apostolskiej i naszej antytezie, że się tak wyrażę. Nie zdaje sobie sprawy, że wiem o tym drugim.

- Antytezie? - spytał Brady. - Proszę wybaczyć, ale o czym ksiądz mówi?

- Najpierw wasza historia.

Brady przyglądał mu się przez minutę, jakby chciał rozgryźć mowę jego ciała. Spojrzał na Alicię i zobaczył, że ta wpatruje się w niego. Zacisnęła zęby i pokręciła głową.

- Kardynale... yy... Roberto - powiedział. - Czy możemy cię na moment przeprosić?

- Naturalnie.

Brady wstał i gestem polecił Alicii zrobić to samo. Poprowadził ją do zacienionego, kąta czując jej wzrok wbity między swoimi łopatkami. Kiedy się odwrócił, uparcie potrząsnęła głową.

- Myślę, że możemy zaufać temu facetowi - powiedział cicho.

- Nie - odparła, bynajmniej nie cicho. Ambrosi patrzył w sufit, udając, że nie słyszy.

- To może być przełom, a bardzo go potrzebujemy.

- A może to on kazał nas zabić. To on wspomniał o Maliku, nie my.

- Gdyby chciał nas zabić, to już byśmy się wykrwawiali na podłodze tej kaplicy. - Wziął głęboki oddech, odchylił głowę do tyłu i zatoczył nią koło. - Posłuchaj, ktoś i tak nas ściga. Co to szkodzi, że mu powiemy, przez co przeszliśmy? Jeśli jest choć cień szansy, że może jakoś pomóc, rzucić trochę światła na to...dziwactwo, musimy zaryzykować. Nie mamy już gdzie się zwrócić, nie mamy też nic do stracenia.

Jej rysy złagodniały. Obejrzała się przez ramię na kardynała. Teraz wpatrywał się w złożone na kolanach ręce. Spojrzała Brady'emu w oczy.

- Ty tu jesteś psychologiem, Brady. Rozpracowujesz ludzi, to twoja praca. Czy to twoja ocena psychologiczna, że jest z nami szczyry?

Rozłożył ręce, jakby chciał powiedzieć: „Nie wiem”.

- Nie jestem w stanie przeprowadzić psychoanalizy nowo poznanego człowieka, ale jest w nim coś, co wzbudziło moje zaufanie. Jest rozluźniony i bezpośredni. Jego postawa sugeruje otwartość i szczerść. A więc tak, to moja opinia jako psychologa.

- To mi wystarczy.

Wrócili do ławki. Kardynał Ambrosi przyglądał się im z poważną miną.

- Wszystko w porządku? - spytał.

- Tak sądzimy - powiedział Brady. Potem wspólnie opowiedzieli o celu swojej wizyty na miejscach zbrodni Pelletier, znalezionych tam tropach i o tym, jak Alicia nie chciała rezygnować ze sprawy, kiedy przejęła ją ekipa śledcza FBI. Brady opisał swój powrót do domu, czas spędzony z Zakiem i napaść, którą ledwie przeżyli.

- Gdzie jest teraz twój syn? - spytał Ambrosi.

- W bezpiecznym miejscu, jak sądzę.

Ambrosi wpatrywał się w niego, jakby wiedział coś więcej na temat bezpieczeństwa Zacha. A może Brady popadał w paranoję? Miał już wy badać mężczyznę, kiedy odezwała się Alicia. Opisała swoje spotkanie z ojcem McAfee, jego badania doświadczeń bliskich śmierci, prośbę ojca Randalla o jego akta i ich kradzież.

- Hmm - ojciec Ambrosi pocierał brodę.

- Co? - spytała Alicia.

- Zastanawiam się tylko, dlaczego ojciec Randall prosił o te akta, skoro chciał i mógł je ukraść.

- Żeby wyeliminować ryzyko śledztwa i uniknąć schwytania, zwłaszcza jeśli spodziewał się, że ojciec McAfee chętnie je odda. Włączenie prywatnych dokumentów do Archiwum to podobno wielki zaszczyt.

- Owszem, i nieczęsto się zdarza. Ale jeśli, tak jak przypuszczacie, wykorzystano je do stworzenia listy ofiar, to kto chciałby być znany jako osoba, która je otrzymała na własną prośbę?

Dla Brady'ego sposób, w jaki Ambrosi rzucał swoje pomysły, miał w sobie coś znajomego i przyjemnego. Dokładnie tak samo szefowie wydziałów FBI starali się ruszyć z miejsca śledztwa, które utknęły w martwym punkcie. Nawet liczne zespoły dochodzeniowe potrzebowały od czasu do czasu świeżej perspektywy. Skrzyżował nogi i wsparł się łokciem o oparcie kościelnej ławki. Zastanawiał się nad odpowiedzią na pytanie Ambrosiego.

- Może sam nie wiedział, do czego będą wykorzystane - zasugerował.

- Albo o nie wcale nie poprosił - dodała Alicia. - Ktoś się za niego podał, żeby go zrobić albo po prostu odsunąć podejrzenia od siebie.

Ambrosi pokiwał głową.

- Mówiliście, że Malik męczył tego księdza przez dłuższy czas. Może miał rozkaz go zabić, żeby się nie wydało, że ojciec Randall prosił o jego akta. Malik się nie spieszył, bo był zdegenerowanym sadystą. Nie byłby to pierwszy raz, kiedy podwładny wyłamuje się z szeregu ku rozpaczy swoich zwierzchników.

- Prowadząc dochodzenie, często popełnia się błąd, zakładając, że wszystko potoczyło się zgodnie z planem - powiedziała Alicia. - Choćby w sprawie Pelletier. Gdyby zabił jedną lub dwie ofiary, które nie miały doświadczenia bliskiego śmierci, trzeba by oczywiście jeszcze raz rozważyć możliwe kryteria jego wyboru i przypuścić, że sprawca celowo stara się nas zmylić. Ale musielibyśmy również dopuścić możliwość, że po prostu popełnił błąd. Często przestępcy są mniej sprytni, niż nam się wydaje.

Ambrosi zastanowił się chwilę.

- Z drugiej strony, jak często się zdarza, że policja nie docenia przestępców, ich sprytu, pomysłowości i zdolności do czynienia zła?

Bez przerwy, pomyślał Brady. I wiedział dlaczego: natura ludzka każe nam zakładać, że inni są podobni do nas. Że intelektualnie i moralnie jesteśmy mniej więcej tacy sami. Jednak umysł przestępcy, który potrafi obmyślić i popełnić morderstwo, krąży po mrocznych miejscach, jakie umysł nowoczesnego, cywilizowanego człowieka dawno już opuścił. Albo tylko udawał, lekko się od nich odwracając. Nie chcemy wierzyć, że rozwinięty intelekt zabójcy pozwala mu popełnić zbrodnię i uniknąć schwytania. Zamiast tego sądzimy, że mordercy są tak samo ułomni intelektualnie, jak i moralnie. Co za tym idzie, nie doceniamy ich.

Nie znaczy to, że wszyscy zabójcy to geniusze, nic podobnego. Brady wiedział jednak to, o czym zawsze pamiętają mądrzy detektywi, że geniusz to fenomen intelektualny, a nie moralny. Może zniszczyć tak samo łatwo, jak tworzy.

63.

Ambrosi poklepał kieszonkę koszuli.

- A, przyniosłem sobie tylko jednego papierosa.

- Proszę - powiedziała Alicia, szperając w torebce.

- Nie, dziękuję ci, moja droga. Jeśli zapalę coś innego niż moja ukochana mieszanka z Lecce, moje płuca się zbuntują i eksplodują. Opowiedzcie mi dalszy ciąg waszej historii.

Opowiedziała więc o hotelu, ataku na nią, obezwładnieniu Malika. Wtedy zawahała się.

Ambrosi czekał, a za jego błyszczącymi oczami obracały się tryby umysłu.

- Zabiłaś go? - spytał wreszcie.

- Nie - odwarknęła. Potem łagodniej już dodała: - Nie bezpośrednio.

- Zrobiłaś coś... nieprzepisowego?

Brady rozumiał, dlaczego nie chce wspominać o Apollu. W momencie, gdy nie zadzwoniła po FBI ani policję po ogłuszeniu Malika, sama stała się przestępcą. Bezprawne zatrzymanie. Brutalność podczas przesłuchania. Odurzenie wbrew woli. I to wszystko doprowadziło do śmierci dwóch osób. Zostałaby oskarżona przynajmniej o karalne zaniedbanie ze skutkiem śmiertelnym. Sądził, że można bronić ich działania, biorąc pod uwagę ataki i domniemany współudział kogoś wewnątrz ich własnej agencji. Ale wiele zależałoby od dowodów, które zdołaliby zgromadzić na poparcie swoich oświadczeń, i od wyników ich obecnego śledztwa.

A oto teraz mieli wyznać swoje zbrodnie zupełnie obcemu człowiekowi. Sami nie mieli na niego nic, czym mogliby trzymać go w szachu. Chyba że palenie na terenie Watykanu było przestępstwem, co zresztą bardzo prawdopodobne. Pomimo jego zapewnień tak naprawdę nie wiedzieli, nie mogli wiedzieć, czy staruszek jest wrogiem czy przyjacielem. Znał głównych graczy, Malika i Randalla - był nawet zwierzchnikiem tego ostatniego. Wyglądał jednak na szczerze zatroskanego. Co więcej, potrzebny był im sprzymierzeniec, który rzuciłby więcej światła na sytuację, w jakiej się znaleźli.

Brady zaczął się podnosić z ławki pewien, że Alicia będzie chciała przedyskutować tę część opowieści w cztery oczy.

Położyła mu dłoń na ramieniu.

- W porządku, Brady. Nie mam nic przeciwko.

Z początku powoli, potem coraz spieszniej opowiedziała o Apollu, koszmarnym przesłuchaniu na amobarbitalu sodu, napaści Malika na Apolla i o oknie, przez które wypadła trójka, a wróciło jedno. Nie ujawniając nazwiska Gilbreatha, zrelacjonowała ten epizod zakończony ich decyzją o przyjeździe do Włoch.

W pewnym punkcie opowieści Ambrosi zamknął oczy. Trwał tak w całkowitym bezruchu przez kilka minut.

- Kardynale Ambrosi? Roberto? - powiedziała w końcu Alicia.

Uniósł palec wskazujący: chwileczkę.

Niedługo potem otworzył oczy, wydawały się zmęczone.

- Widzę, że nie mieliście wyboru. Musieliście tu przyjechać - oświadczył, jakby podsumowując całą sprawę. - Co mogę wam powiedzieć, co skłoni was do powrotu do domu i do waszego życia w Ameryce?

- Jakiego życia? - spytała Alicia. - Wszystko jest wywrócone do góry nogami. Nie jesteśmy tam bezpieczni.

- Tu też nie jesteście. A niebezpieczeństwo będzie coraz większe, jeśli nie zrezygnujecie ze ścigania człowieka odpowiedzialnego za te morderstwa i ataki na was.

- Co innego możemy zrobić? - spytał Brady. - Tropiąc go, mamy szansę na przeżycie i powrót do normalności.

- Może się tak zdarzyć, że przyspieszycie tylko własną śmierć.

- Niech będzie i tak - powiedział Brady zdecydowanym tonem.

- Niech będzie i tak - powtórzyła Alicia.

Ambrosi przyjrzał się ich twarzom, które wyrażały determinację. Przesunął się nieznacznie na oparciu ławki, wziął głęboki oddech i powoli wypuścił powietrze.

- Co zrobicie, jak go już znajdziecie? Zabijecie go?

- Tak - padła odpowiedź Brady'ego bez chwili wahania.

- Chyba że - zaczęła Alicia, zerknąwszy prędko na swojego partnera - tropiąc go, zgromadzimy wystarczające dowody, żeby oskarżyć go przed sądem. Dowody wykazujące, że nasze postępowanie było uzasadnione i które możemy przekazać władzom, żeby doprowadzić do jego aresztowania, gdziekolwiek jest. - Ponownie zwróciła oczy na Brady'ego, szukając poparcia.

Brady po zastanowieniu skinął głową.

- Szukamy szansy uśmiercenia go albo wystarczających dowodów, żeby nas oczyścić i jego oskarżyć. Co zdarzy się pierwsze.

To dziwne, ale dotychczas jeszcze nie wyartykułowali swoich zamiarów. Woleli przyjąć, że podążanie najsilniejszym tropem było dla nich jedyną strategią mogącą przynieść jakikolwiek skutek. W normalnych warunkach aresztowaliby - a przynajmniej postaraliby się aresztować - osobę, do której doprowadziłby ich szlak. Gdyby jednak nie byli w stanie dokonać aresztowania, co im pozostanie? Brady był całkowicie pogodzony z planem, który właśnie przedstawili. W głębi duszy miał nawet nadzieję, że będzie miał okazję władować kulę w głowę tamtego. Wystarczyło, że przypomniał sobie twarzyczkę Zacha, który spogląda w górę na niego ze swojej kryjówki. Oczy miał pełne łez, a dolna warga drgała nie ze strachu o siebie, ale z przerażenia, że może stracić tatę.

Z tego co Brady wiedział, Ambrosi nigdy nie pracował w organach ścigania, a z całą pewnością nie był detektywem ani nie pełnił funkcji szefa wydziału, ale dobrze by się sprawdził w tej roli. W bardzo zręczny sposób skłaniał ludzi do zastanowienia.

- Czego się dowiedzieliście od Malika? - chciał wiedzieć Ambrosi.

- Brał udział w składaniu jakichś ofiar z ludzi - Alicia wykrzywiła się z odrazą. - Wspominał, że ma na rękach krew dzieci. Sądzę, że był satanistą.

- To mnie nie dziwi - oznajmił Ambrosi.

- Co masz na myśli? - zainteresował się Brady. - Znałeś go?

- Tylko ze słyszenia. Otóż sądzą, że znam człowieka, którego szukacie.

Alicia niemal wyskoczyła z ławki.

- Jak to? Kto to jest? Ojciec Randall?

- Nie, ktoś inny. Ale dokończcie najpierw opowiadać. Czy Malik powiedział coś jeszcze?

- Mówił coś o jakimś horrorze - odezwała się cicho Alicia.

- Co takiego? - spytał Ambrosi nachylając się.

- Scary movie - poprawił ją Brady. - Wymówił to kilka razy. Scary movie.

Wargi Ambrosiego rozciągnął szeroki uśmiech. Skóra na jego policzkach przypominała papier, który zaraz ma się rozedrzeć.

- O co chodzi? - spytała Alicia.

- Znacie już nazwisko waszego największego wroga.

- Aktor filmowy? - rzuciła Alicia sceptycznie.

- Nie „scary movie”, moja droga, a „Scaramuzzi”. Luco Scaramuzzi.

Brady powtórzył to nazwisko. Owszem, z obcym akcentem i pod wpływem narkotyków, mogło tak zabrzmieć. Scaramuzzi. Tak, to na pewno to.

- Kim on jest? Nigdy o nim nie słyszałem - powiedział.

- Nie mogłeś mieć okazji... na razie. To wschodząca gwiazda światowej polityki. Uroczy, inteligentny, pełen pomysłów. Ale Ameryka to kraj tak wielki i zajęty sobą, że zwraca uwagę na zagranicznych polityków dopiero na najwyższym szczeblu. Jest włoskim ambasadorem w Izraelu. Jednak... - Wyjął z ust okruch tytoniu, obejrzał i potarł palce o siebie, żeby się go pozbyć. - Większym zagrożeniem dla waszej sprawy jest inna jego rola. Luco Scaramuzzi jest, lub przynajmniej sądzi, że jest Antychrystem.

Alicia klepnęła się w udo.

- Wiedziała, że to coś w tym rodzaju... Wszystko na to wskazywało...

- Antychrystem? - powtórzył Brady takim tonem, jakby właśnie usłyszał, że Scaramuzzi to święty Mikołaj. - Tym z Apokalipsy?

- No widzisz, znasz go. Co wiesz o jego historii?

- Yy... Ma ponoć pochodzić z ludu, który zniszczył Jeruzalem, z cesarstwa rzymskiego. Przywódca polityczny władający narodami. Niezwykle podstępny, będzie udawać dobrego, cały czas planując swoje dzieło zniszczenia.

- Żeby tego dokonać, musi mieć ujmującą osobowość, nie sądzisz?

- Ja coś o nim wiem - odezwała się Alicia ku zdziwieniu Brady'ego. - Z wód odwiecznych się wyłoni i czyni swoje armie wszędzie...

Ambrosi machnął ręką.

- To z filmu Omen - powiedział. - Zmyślone przez autora. Ale te wersy całkiem nieźle oddają cel przyjscia Antychrysta na ziemię. Pamiętasz, co jest dalej?

- Brat zwróci się przeciw bratu, póki wszyscy nie zniweczą się wzajemnie.

- Zgadza się.

- Ale jak ktoś może twierdzić, że jest Antychrystem, jeśli nie zacznie wypełniać biblijnych przepowiedni?

- Takie przepowiednie można znaleźć nie tylko w Piśmie Świętym. Prawdziwe proroctwo to Boże objawienie rzeczy przyszłych. Niektórzy z najbardziej szanowanych teologów chrześcijaństwa, jak Augustyn czy Orygenes, wierzyli, że Pan Bóg nie przestał objawiać przyszłości ludziom, czyniąc to zwykle w snach. Prorocy pozabiblijni nie odrzucają Biblii jako kompletnego i nieomylnego Słowa Bożego. Wierzą natomiast w nieustające zainteresowanie i zaangażowanie Boga w nasze życie. Teologowie często sięgają po pisma pozabiblijne, szukając wskazówek woli Bożej i przepowiedni przeszłości.

Starszy mężczyzna dźwignął z ławki jedną stopę, opuścił ją na ziemię, po czym zrobił to samo z drugą. Zsunął się z drewnianego oparcia i rozmasował sobie siedzenie. - Chodźcie, przejdziemy się - zachęcił. Szurając nogami, okrążył ławkę i wszedł za kamienny ołtarz.

Kiedy dołączyli do niego, Brady dostrzegł, że ołtarz jest pusty w środku i nie ma tylnej ściany. Bezpośrednio pod nim widoczny był prostokątny otwór w podłodze, tak czarny jak kałuża rozlanej ropy. Ambrosi wyjął i włączył latarkę. Skierował snop światła na otwór i oczom ich ukazały się kamienne stopnie.

- Chodźmy - powiedział. Schylił się i wszedł do wnętrza ołtarza. Żeby się zmieścić w ciasnym korytarzyku, musiał ostrożnie się obrócić. Stanąwszy bokiem do schodów posuwał się w dół stopień po stopniu.

Brady był od niego wyższy, dlatego dłużej zajęło mu przybranie pozycji, która umożliwiała zejście.

- Chyba zbudowali to dla dzieci - skomentował.

- To przejście zbudowano, żeby wierni mogli uciec, gdyby kaplica została odkryta - głos Ambrosiego dochodził z dołu, echem odbijając się od ścian.

Brady widział tylko refleks światła tańczący po szarawym kamieniu. Zszedł na niższy schodek i wyciągnął rękę, żeby pomóc Alicii natrafić na pierwszy stopień.

- Pamiętajcie - doszedł ich głos mężczyzny - że kiedy zbudowano tę kaplicę, schwytych chrześcijan rzucało się na pożarcie lwom w Koloseum przy aplauzie mieszkańców Rzymu.

64.

Ambrosi oświetlał stopnie latarką, dopóki Brady i Alicia z nich nie zeszli. Wtedy światło zatoczyło łuk i z ciemności wyłoniło się wejście do korytarza, którego dalsza część niknęła w mroku. Był tak wąski, że musieli iść gęsiego, Ambrosi na czele, a Brady z tyłu. Powietrze było przesiąknięte wilgocią i lekko pachniało mokrą ziemią. Odgłosy kroków i szuranie butów odbijało się od kamiennych ścian. Kiedy Ambrosi ponownie się odezwał, jego głos również rozbrzmiał jak pogłos mikrofonu w wielkim audytorium.

- Pierwotnie tunel prowadził do jaskini - wyjaśnił. - Od tego czasu dodano dużo więcej przejść i komnat. Trasy ucieczki, kryjówki, wykopaliska archeologiczne. Teraz jest tam prawdziwy labirynt.

Minęli po lewej wejście do innego korytarza. Brady poczuł dochodzący z niego nieznaczny podmuch świeżego powietrza. Szli dalej prosto. O ile Brady się orientował, znajdowali się teraz pod dziedzińcem, który przemierzali, dochodząc do schodów Archiwum.

- Te przepowiednie pozabiblijne - przypomniał Ambrosi nieco zdyszany. - Są tacy, którzy sięgają po nie z mało szlachetnych pobudek, szukając wskazówek dotyczących tożsamości Antychrysta.

- Prorocy mieli wizje Antychrysta? - spytał Brady.

- O, tak. Niektórzy mieli wyłącznie takie, biedacy. Na przykład franciszkanin Roger Bacon. Dręczyły go sny o czasach ostatecznych. Jego pisma są niezwykle intrygującym spojrzeniem na „syna zatracenia”. Ma on być leworęczny, mieć bliznę po wypadku z dzieciństwa i oczy „barwy popiołu”. Bacon, jak się uważa, wynalazł proch strzelniczy albo przynajmniej udoskonalił formułę Chińczyków. Starł się odbudować wiedzę adamową, którą według niego rodzaj ludzki zatracił z powodu upadku człowieka w rajskim ogrodzie. Uważał, że to jedyny sposób, żeby pokonać Antychrysta.

- Czy Scaramuzzi posiada te cechy fizyczne? - spytała Alicia.

- Owszem - przytaknął Ambrosi. - Ale nawet gdyby ich nie miał, i tak znalazłby sposób, żeby obrócić przepowiednie na swoją korzyść lub je zdyskredytować.

- Czy Biblia również podaje podobne szczegóły opisu Antychrysta?

- Jest szczegółowa, owszem. Ale Pismo Święte znacznie trudniej interpretować z powodu jego języka. Czasem brzmi on niejasno, bo Bóg tworzył je tak, by przetrwało wieki

bez względu na kulturę, która akurat odcisnę się na umysłach czytających je ludzi. Pismo jest ponadczasowe, przekracza geografie i strukturę społeczną.

- To Bóg napisał Biblię?

- On tchnął swoje słowo w ludzi, którzy je spisali. Bóg często działa w ten sposób. Poprzez nas. Lub przez to co nazywamy naturą.

Przystanął na skrzyżowaniu korytarzy i odwrócił się. Światło odbiło się od posadzki, wypełniając jego oczodoły cieniami. Posłał Alicii uśmiech.

- Obecnie naukowcy uznają, że przejście sześciuset tysięcy Żydów uciekających z Egiptu przez Morze Czerwone było całkowicie możliwe dzięki rafie, która rozciąga się między jednym brzegiem a drugim. Sześć kilometrów rafy. Mówią, że przy wietrze o prędkości 110 kilometrów na godzinę rafa wystawałaby nad powierzchnię wody i dałoby się przejść po niej pieszo. Wyobraźcie sobie. Tędy.

Skręcił w jeden z korytarzy.

Po około dziesięciu metrach Brady odezwał się:

- Kim są ci ludzie, którzy wypatrują nadejścia Antychrysta?

- To bogobojne duszyczki, które chcą się przygotować na niespokojne czasy mające nastąpić po jego przyjściu. Mają dobre intencje, ale chciałbym im powiedzieć: „Żyćcie dla Boga, a zawsze będziecie przygotowani”. Są też ciekawscy, którzy pragną zobaczyć spełnienie się przepowiedni, chociaż nie wiążą losów swojej duszy z żadną ze stron.

Wkroczył do pomieszczenia na planie kwadratu, wielkości pojedynczego garażu. Z trzech ścian wiodły korytarze w różnych kierunkach. Otwór w czwartej ukazywał kręte stopnie, które znikwały poza zasięgiem wzroku. Ambrosi ruszył w górę.

Szerokie stopnie owijały się wokół kolumny z ustawionych jeden na drugim kamieni. Wspinali się krętymi schodami, aż kardynał zatrzymał się na niewielkim podeście. Obok niego były drewniane drzwi. Porowata faktura drewna przypominała Brady'emu zamkowy most zwodzony, stary i ciężki.

- Idziemy dalej do góry, ale pomyślałem, że może chcecie wiedzieć, gdzie jesteście.

Odciągnął żelazny skobel i drzwi otwarły się na zewnątrz. Owionął ich silny podmuch świeżego powietrza, zabarwiony wonią drzewa i papieru. Przestrzeń wypełniało światło elektryczne. Wychyliwszy się, Ambrosi zrobił miejsce dla Brady'ego i Alicii.

Zagłądali do dokładnie takiego pomieszczenia jak to, które widać było zza biurka sekretarza Archiwum. Właściwie sale widoczne za otwartymi naprzeciwko drzwiami to były właśnie te pokoje. To pomieszczenie jednak było umeblowane jak biuro. Biblioteczki. Szafy na akta. Zaś zza potężnego biurka, z otwartymi ustami, wpatrywał się w nich monsignior

Vretenar.

- *Buona sera, monsinior* Vretenar - odezwał się Ambrosi.

Vretenar skłonił głowę.

- Wasza eminencjo.

Alicia pomachała mu ręką jak psotna uczennica.

Ambrosi zamknął drzwi, dociągając je do siebie. Wszedł na kolejne stopnie.

W mroku Brady ledwie dostrzegł szeroki uśmiech Alicii.

Szli dalej w górę po krętych schodach. Wkrótce coraz więcej światła zaczęło wpadać do wewnątrz przez podłużne szpary w zewnętrznym murze, więc Ambrosi wyłączył latarkę. Dotarli do kolejnego podestu i jeszcze jednych drzwi. Brady zauważył jednak, że tutaj schody się kończą. Znaleźli się w najwyższym punkcie, byli u celu. Ambrosi otworzył zamek kluczem i pchnął drzwi. Weszli do przestronnej, okrągłej komnaty. Jedyne światło wpadało przez szczeliny w ścianach, identyczne jak te na klatce schodowej. Podłoga wyłożona była deskami. Sufit był wysoki, a poniżej widać było przecinające się krokwie. Do ścian na wysokości wzroku przytwierdzone były metalowe haki. Na każdym wisiała gazowa latarnia.

Ambrosi zamknął drzwi. Pyłki kurzu wzbily się w powietrze i zawirowały w strugach światła jak miniaturowe galaktyki.

- Oto moja wieża - powiedział. - Mógłbyś? - Wyciągnął w stronę Brady'ego zapalniczkę i wskazał latarnie.

Brady obszedł pomieszczenie, zapalając każdą z nich. Było ich pięć.

Po obu stronach sali stały dwa stoły w kształcie półksiężyca. Uginały się pod stosami książek i luźnych papierów. Tam, gdzie nie było stołu, okna ani latarni, ściany zastawione były biblioteczkami. W centrum pomieszczenia stał natomiast osobliwy stół, jakiego Brady jeszcze nigdy w życiu nie widział. Był wielki, solidny i z kształtu przypominał pączek z dziurką. W wolnym miejscu pośrodku stało stare i obdarte krzesło z wysokim oparciem. Błat stołu pokryty był przeróżnego rodzaju papierami. Były tam mapy, zdjęcia, rysunki, rękopisy, kartki wydarte z magazynów i gazet. Jedne białe i gładkie, świeżo wydrukowane, inne pożółkłe i rozpadające się ze starości. Pusty był tylko fragment stołu szerokości sześćdziesięciu centymetrów, gdzie podnosiło się ruchomy blat, by można było dojść do krzesła.

Ambrosi zauważył, że Brady przygląda się niecodziennemu meblowi.

- Przy tym biurku pracował ponoć święty Franciszek z Asyżu - wyjaśnił. - Tacy bałaganiarscy badacze jak ja mogą dzięki niemu rozłożyć wszystkie swoje materiały i jednocześnie mieć je pod ręką.

- Czym się zajmujesz? - zainteresowała się Alicia, nachylając się nad jednym z dokumentów, na oko bardzo starym. Pokryty był ozdobnym pismem w obcym języku. W każdym z jego rogów widniała niezwykle szczegółowa rycina przedstawiająca egzekucję: spalenie na stosie, ścięcie głowy na pniu drzewa, rozwłóczenie końmi i zepchnięcie w przepaść przez zakapturzoną postać.

- Antychrystem, naturalnie - odparł po prostu.

Wlepili w niego szeroko otwarte ze zdziwienia oczy.

- Tak, jestem jednym z nich. Kościół katolicki od zawsze wyznaczał kogoś na to stanowisko, które ja teraz pełnię. Powinien przecież móc jako jeden z pierwszych rozpoznać początek końca, nie sądzicie? Właściwie większość wyznań, a także rządy potężnych krajów, jak waszego, zatrudniają uczonych, którzy obserwują, wyczekują i badają pisma, żeby jak najlepiej się przygotować.

- Co chcą w ten sposób osiągnąć?

- Chcą być po stronie wygranych. Nie dać się zaślepić przez nagły zwrot w układzie sił politycznych. Chronić swoją gospodarkę przed finansowymi skutkami interesów Antychrysta. Powodów jest tyle, ilu obserwatorów. Pismo Święte mówi, że nie będzie przypominał nikogo, kto dotąd stąpał po ziemi. W końcu opętany przez Szatana zyska nawet moc czynienia cudów. Uczeni już od dawna są zgodni, że pojawienie się tego człowieka wytworzy coś w rodzaju przyciągania grawitacyjnego oddziałującego na wszystkie dzieła człowieka. Religie i armie, przemysł i społeczeństwa skupią się wokół Antychrysta. Proces ten z początku powolny, szybko nabierze siły i rozpędu.

- Znam Biblię wystarczająco, żeby wiedzieć, iż bardzo silny wpływ Antychrysta na świat doprowadzi do Armagedonu, ostatecznej walki człowieka. Tylko nigdy nie zastanawiałem się, co to w praktyce oznacza - powiedział Brady.

- Są tacy, którzy się zastanawiają - odparł Ambrosi. - Nieustannie, od dzieciństwa. Ludzie dysponujący bogactwem i władzą. Ich organizacja, czy też tajne stowarzyszenie, powstała tysiąc lat temu. Collegium Regium Custodum et Vigilum Pro Domino Summo Curantium. W dosłownym tłumaczeniu Królewski Zakon Strażników i Obserwatorów dla Najwyższego Władcy. Teraz są znani po prostu jako Strażnicy.

- Excubitor - wyszeptała Alicia, patrząc na Brady'ego rozszerzonymi oczami.

Ambrosi uniósł brwi.

- Tak, to jedna z ich dawnych nazw. Skąd ją znasz?

- Istnieje teoria, że około 1300 roku porwali za sobą całą skandynawską wioskę zwaną osadą zachodnią.

- A, tak... - Starszy mężczyzna potarł brodę w zamyśleniu. Po chwili jakby wyrwany ze wspomnień ciągnął dalej: - Grupa ta zgromadziła w swoich rękach większą władzę i majątek niż jakikolwiek inny prywatny podmiot w historii. Nie wiem, czy Kościół katolicki jest bogatszy, ale władzą z pewnością im nie dorównuje, jeśli rozumieć ją jako wpływy polityczne. Strażnicy już od czterdziestu pokoleń chcą tylko jednego: oddać rozległe zasoby Kościoła w ręce jedyne prawdziwego Antychrysta.

- Ale dlaczego? - spytał Brady szczerze zdumiony.

- Collegium Regium Custodum et Vigilum Pro Domino Summo Curantium zostało założone w początkach XII wieku jako związek religijny. Na próżno staralibyśmy się zrozumieć, dlaczego ludzie wierzą w to, w co wierzą, ale członkowie założyciele mieli wcześniej związki z satanizmem, zoroastryzmem, a przede wszystkim z sektą gnostyczną znaną jako katarzy. Katarzy deklarowali zgodność z chrześcijańską teologią, ale wierzyli, że jedynym sposobem, by uzyskać boską formę i spędzić wieczność z Bogiem i jako Bóg, był koniec rodzaju ludzkiego. To był powód ich niezdrowego zainteresowania Antychrystem. Papież Innocenty III zobaczył w nich zagrożenie i w mądrości swojej - tu Ambrosi potrząsnął głową - kazał wyrznać niemal wszystkich członków tego ruchu. Ci, którzy uszli z życiem, zwerbowali garstkę wpływowych i bogatych ludzi o podobnych poglądach i tak powstał Strażnicy. Pismo Święte mówi, że Antychryst spowoduje zniszczenie wszystkich ludzi. Ubzdurali sobie więc, że pomagając mu dopiąć celu, doprowadzą do zwycięstwa ducha nad materią. Uznali, że realizacja dążeń Antychrysta, o których mówi prorocstwo, będzie wymagać ogromnej sumy pieniędzy, wielu ludzi i wpływów politycznych. Większość z nich już wtedy była niezwykle majątna. Ślubowali budować swoje fortuny i umacniać swoje wpływy, żeby kiedyś przekazać je Antychrystowi bez względu na to, jak długo przyjdzie im czekać.

Nie przestając mówić, Ambrosi podszedł do jednego ze stołów w kształcie półksiężyca, wyciągnął bibułkę z opakowania, zgiął ją wzdłuż i w zagłębienie wsypał tytoń, który trzymał w humidorze. Wprawdzie jego dłonie wciąż lekko drżały, jednak wydawały się teraz znacznie spokojniejsze niż w kaplicy. Brady znów zaczął się zastanawiać, czy w „ukochanej mieszance z Lecce” nie ma czegoś o nieco bardziej relaksujących właściwościach niż tytoń.

Ambrosi ciasno zrolował bibułkę i kleił papier, zwilżywszy brzeg językiem. Dłonią zaczął szperać w poszukiwaniu zapalniczki.

Brady zorientował się, że ma ją w ręce. Podszedł, przypalił mu papierosa i oddał zapalniczkę.

Starszy mężczyzna wciągnął dym do płuc, delektując się smakiem. Wydmuchnął i

kontynuował opowieść.

- Każde pokolenie wychowywało swoje dzieci na następców, przywódców w społeczeństwie i na Strażników. Niektóre rodziny straciły majątek i wpływy. Z nielicznymi wyjątkami zostali wtedy zastąpieni. Rekrutowano tego, kto akurat miał złoto i dał się nawrócić na ich ideologię. W końcu grupa dwunastu wzrosła w siłę na tyle, żeby zagwarantować, iż żadne z nich nie straci swojego statusu. Nauczyli się wspomagać się nawzajem w trudnych czasach i lojalnie wspierać, nawet jeśli trzeba kilku pokoleń, żeby jakaś rodzina odzyskała dawną siłę. Każdy z obecnych członków może się pochwalić przynajmniej ośmiopokoleniową tradycją w szeregach Strażników. Przez lata pojawiały się plotki o walkach wewnętrznych. Poza różnicami zdań na temat kandydatów do roli Antychrysta główną kością niezgody wydaje się fakt, że nie wszyscy Strażnicy chętnie oddają swoje aktywa z pobudek czysto ideologicznych. Domagają się wpływowych stanowisk w gabinecie Antychrysta, czy jak tam będzie się nazywała grupa jego doradców, kiedy przyjdzie czas. Mimo to jednak każdy ze Strażników bardzo poważnie podchodzi do swoich obowiązków.

- Jest ich tylko dwunastu?

- Tylu zasiada w Radzie Strażników. To ci, którzy mają pieniądze i władzę. Sam zakon liczy dziesiątki tysięcy członków. Każdy musi złożyć przysięgę na wierność Antychrystowi i Radzie w jego zastępstwie. Dodatkowo ślubują stosować się do surowych zasad postępowania. Muszą też wносить swój wkład do skarbcza, każdy według swoich możliwości. Muszą strzec tajności zakonu. Muszą wychowywać dzieci w zgodzie z jego zasadami.

- To sekta - zauważyła Alicia.

- Zgadza się - Ambrosi wyjął papierosa, spojrział na niego i znów włożył go do ust. - Najcenniejsze, co każdy członek może podarować zakonowi, to swój talent. A wśród nich są ludzie o podejrzanym zdolnościach: szpiegzy, złodzieje, zabójcy.

Pozwolił, by jego ostatnie słowa zawisły w powietrzu jak leniwie rozplývające się smugi dymu.

Alicia podeszła do jednej ze szczelin okiennych i wyjrzała na zewnątrz. Słońce zachodziło, barwiąc niebo wybroczynami w różnych odcieniach fioleto.

Westchnęła, odwracając się.

- No dobra - powiedziała. - Więc facetowi się wydaje, że jest Antychrystem, a parę szych nie ma nic lepszego do roboty, niż czekać, aż przyjdzie Antychryst i uwolni ich od ich kasy. - Zerknęła na Brady'ego, obróciła się do Ambrosiego i rozłożyła dłonie. - Co to wszystko ma wspólnego z nami?

- Bardzo wiele - odparł Ambrosi. - I musicie zdawać sobie z tego sprawę, jeśli zamierzacie stawić czoło waszemu wrogowi i przeżyć.

Oczy kardynała błyszczały w świetle latarni. Był w swoim żywiole, wyjaśniał sprawy, których odkrywaniu poświęcił całe życie. Powoli podszedł do biblioteczki, gasząc papierosa we wnętrzu dłoni i strzepnął resztki na podłogę. Z uginającej się półki na wysokości klatki piersiowej wyciągnął oprawne w skórę tomisko grubości dwudziestu centymetrów. Tuląc je w ramionach jak niemowlę, zaniósł do pączkowego stołu świętego Franciszka z Asyżu i opuścił na blat z głuchym odgłosem.

- Chodźcie tu, oboje - powiedział, podnosząc okładkę. - Weźcie to. To jedyna broń, jaką mogę wam zaoferować. Wiedza na temat Bestii.

65.

Pergaminowe karty księgi, grube i zbrązowiałe, były pofalowane na brzegach. Unosiła się z nich woń kurzu i cienkiej skóry. Słowa strony tytułowej były prawie niewidoczne na ciemniejącym pergaminie. Wpatrując się, Brady zdołał tylko się zorientować, że patrzy na ręczne pismo w języku łacińskim. U góry strony, na środku widniała oficjalna nazwa organizacji Strażników. Poniżej zaś podpis i data - 1564. Rok śmierci Michała Anioła.

- To zapis działalności Strażników przez ostatnie pięćset lat - wyjaśnił Ambrosi. - Sześć początkowych stron zostało spisane przez pierwszego z moich czternastu poprzedników. Istnieją dwa wcześniejsze tomy, ale są przechowywane w klimatyzowanych sejfach w Archiwum, a każda karta chroniona jest powłoką z jedwabiu.

Ani Brady, ani Alicia nie znali łaciny oraz włoskiego, więc wartość księgi była dla nich raczej symboliczna. Brady podejrzewał, że Ambrosi chciał się nią wspomóc w przekazywaniu im informacji, ale wydawało się, że zna jej treść na pamięć. Miał nadzieję, że jego partnerka nie straci cierpliwości do starszaka i jego skłonności do efekciarstwa. Zerknąwszy na nią, przekonał się jednak, że była bez reszty pochłonięta lekcją, podążała nawet za spojrzeniem Ambrosiego, wodząc wzrokiem po kartach tomu. Zmysł detektywistyczny pozwolił jej rozróżnić rzecz błahą od koniecznej.

- Strażnicy zwracają uwagę na potencjalnego kandydata najczęściej dzięki zwiadowcom, którzy rozpoznają w jego życiu spełnianie się przepowiedni. Niektóre z cech Antychrysta nie podlegają negocjacji, jak na przykład to, że jest nie-Żydem i potomkiem Imperium Rzymskiego. Uważa się też, że będzie leworęczny i zwróci na siebie uwagę świata w wieku czterdziestu kilku lat, ale to już są cechy, które różnie można interpretować. Większość kandydatów zostaje wyeliminowana już na wczesnym etapie weryfikacji. Rada Strażników poważnie ekscytuje się jakimś pretendentem średnio raz na sto lat. A to oznacza, że mogą minąć dwa pokolenia nie oglądając poważnego kandydata. Jednak...

Ambrosi przewrócił strony aż do ostatniej zapisanej.

- Chwileczkę! - zawołała Alicia. - Wróć.

Zaczął wertować kartki wstecz, aż powiedziała:

- Stop. - Pośrodku strony pokrytej ręcznym pismem widniał rysunek słońca od którego odchodziły falujące promienie, zaś jego tarcza wypełniona była pionowymi liniami.

- Co to jest? - spytała, stukając palcem w rysunek.

- Już to kiedyś widziałaś?

- To było wypalone na ciałach ofiar morderstw - odpowiedział za nią Brady.

Ambrosi zmarszczył brwi patrząc na rysunek.

- Każdy pretendent do miana Antychrysta projektuje symbol swojego królestwa. To znak Scaramuzziego, jego swastyka. Jest wzorowany na średniowiecznym herbie Antychrysta, ale Scaramuzzi go nieco upiększył. Dwanaście płomieni wychodzących ze słońca symbolizuje liczbę Strażników, a dziesięć linii wewnątrz oznacza dziesięć krajów, które złożą się na królestwo Antychrysta.

Wpatrywali się przez chwilę w znak, potem zaś Ambrosi odwrócił kartki, ukazując inną stronę. Zamieszczone tam było coś, co wyglądało jak wykres struktury organizacji z ramkami i liniami oddającymi relacje i zależności. Wskazał prostokąt opisany „Scaramuzzi”.

- Co jakiś czas zdarza się, że kandydat wypełni przepowiednie w wystarczającym stopniu, żeby rozpocząć proces przenoszenia aktywów. Nie pytajcie mnie, jaki stopień jest „wystarczający”. Mogą tu mieć znaczenie kryteria subiektywne, jak charyzma czy inteligencja. Wtedy Rada głosuje nad prawdopodobieństwem, że ów pretendent jest jedynym prawdziwym Antychrystem. Dają mu do dyspozycji ilość środków wprost proporcjonalną do liczby głosów, które otrzymał. Zaufanie dwóch trzecich członków Rady oznacza w teorii, że będzie miał dostęp do dwóch trzecich zarezerwowanych dla niego zasobów.

Alicia potrząsnęła głową, odrzucając włosy z twarzy.

- W teorii?

- Jeśli nierozsądnie je wykorzystuje, Strażnicy mogą je odebrać. We wszystkich przypadkach, które badałem, kandydaci korzystali z nich w sposób ostrożny i umiarkowany. A jednak oznacza to, że ma w ręku ogromną władzę i majątek. Kiedy w 1921 roku Hitlera wybrano przywódcą partii nazistowskiej, jego kandydatura na Antychrysta otrzymała dziewięć z dwunastu głosów. Z czasem te proporcje zaczęły się wahać.

Alicia potrząsnęła głową, jakby poczuła silny odór amoniaku.

- Hitler? A co z rzymskim dziedzictwem?

Ambrosi uśmiechnął się na widok jej wyrazu obrzydzenia.

- Hitler urodził się w Braunau am Inn, które kiedyś należało do Świętego Cesarstwa Rzymskiego i leży całkiem niedaleko od Rzymu. Zresztą każdy, kto ma chociaż najbardziej podstawową wiedzę o przepowiedni na temat Antychrysta, mógłby wykazać braki każdej poważnej kandydatury kiedykolwiek rozważanej przez Strażników. Zwykle stają się one oczywiste dopiero z perspektywy czasu. Podobnie jak oszustwa pretendentów. A do tego

wszystkiego dochodzi natura samej przepowiedni. W większości przypadków przekazywana jest w snach za pośrednictwem symboli i alegorii. Jak się je przetwarza na akceptowane proroctwa wizje, to już zupełnie osobna historia. Powiedzmy, że daje to spore pole do kręctw.

Alicia pokręciła głową.

- Za te wszystkie pieniądze i władzę ja też bym oszukiwała i kręciła.

- Nie jesteś zdolna do takiego zepsucia - zawyrokował Brady. Przyszło mu do głowy, że sam niedawno chciał wyzbyć się nieco swoich moralnych skrupułów. - Musiałabyś morderstwa niewinnych. - Uniósł brwi i spojrzał na Ambrosiego. - Zgadza się?

- O, podejrzewam że taki kandydat musiałby jadać dzieci na obiad, a ich matki na kolację. Psychoza to bezwzględny wymóg na to stanowisko. Nie, zlecenie morderstw czy maczanie rąk we krwi nie stanowiłyby dla Antychrysta najmniejszego problemu. Kłopotliwa natomiast byłaby nieustanna kontrola Rady Strażników. Po pierwsze, masz skarb na wyciągnięcie ręki, ale musisz z niego korzystać oszczędnie. Po drugie, jeśli pretendent nie uzyska stu procent głosów, podlega kierownictwu Rady i musi się stosować do ich dyscypliny. Tak jak eforowie w Sparcie: mieli prawo weta wobec decyzji króla, a nawet mogli odsunąć go od władzy.

- Czy ktoś kiedyś dostał sto procent głosów? - spytała Alicja.

- Nigdy. Żeby zebrać wszystkie głosy, kandydat musiałby chyba mieć rogi i zionąć ogniem.

Brady znów spojrzał na wykres organizacji. Powyżej ramki z nazwiskiem Scaramuzziego znajdował się rząd dwunastu prostokątów. Cztery z nich zawierały ręcznie napisane nazwiska. W trzech wklejono również fotografie wielkości znaczków pocztowych. Wskazał je palcem.

- To Rada Strażników? - upewnił się.

- Dwunastu uczniów - odparł Ambrosi z sarkazmem.

Brady przebiegł palcami nazwiska, wyczytując każde:

- Vajra Kumar, Koji Arakawa, Donato Benini, Niklas Hüber. To wszyscy?

- No cóż, organizacja jest tajna.

- A co to jest? - Wskazał na zaznaczone ołówkiem znaki X lub V przy każdej ramce. Z czterech prostokątów z nazwiskami tylko Niklas Hüber oznaczony był X.

- To ich głosy, przynajmniej według moich informacji. Sądzę, że Scaramuzziemu udało się uzyskać osiem głosów. Jeśli kiedykolwiek liczba ta spadnie poniżej siedmiu, wypada z gry.

- Wypada?

- Wszyscy kandydaci ginęli wtedy lub znikali bez śladu. - Przypatrywał się wykresowi, jakby zatroskany, że o czymś zapomniał. Po minucie dodał: - Któregoś dnia, kiedy pretendent otrzyma w końcu wszystkie głosy, dojdzie do skutku poważne przesunięcie na pozycji władzy. Ta ramka - wskazał tę z nazwiskiem Scaramuzziego - powędruje tutaj. - Przeciągnął palcem do miejsca ponad Radą. - Antychryst zdobędzie absolutną władzę nad Strażnikami i ich zasobami, które będą wtedy należeć do niego. Odebrać może mu ją tylko śmierć.

Zasłonił schemat dłonią.

- Tego Scaramuzzi jeszcze nie osiągnął - powiedział. - Według mnie nigdy mu się to nie uda. Teraz zaprzatają go tylko dwie rzeczy: jak utrzymać głosy przychylnych mu Strażników i jak przekonać do siebie przeciwników wewnątrz Rady. Wszystko co robi, robi żeby osiągnąć te dwa cele.

- Jak może wpłynąć na ich decyzję? - spytała Alicia.

- Wypełniając kolejne szczegóły przepowiedni.

- Nie rozumiem. Jak może to zrobić, jeśli przepowiednia nie jego dotyczy?

- Co do zasady, istnieją trzy sposoby gromadzenia „punktów przepowiedni” - Ambrosi z rozbawieniem wypowiedział to określenie. - Pierwszy jest oczywisty: robić to, czego od ciebie oczekują. W przypadku Antychrysta oznacza to dojście do władzy politycznej, co Scaramuzziemu się udaje. Tym, którzy widzą w nim tylko polityka, wydaje się inteligentny i przekonujący, ma też kilka bardzo intrygujących pomysłów w kwestii Izraela i Bliskiego Wschodu. Sprawia wrażenie człowieka, któremu pokój bardzo leży na sercu. Tak być musi. Antychryst zostanie przywódcą świata dzięki swojemu programowi pokojowemu. Jest muirowanym kandydatem do pokojowej Nagrody Nobla.

- Ale pokój jest ostatnią rzeczą, o którą mu chodzi - powiedział Brady.

- Chyba że wykorzysta go jako podstęp, żeby dojść do władzy. Ostatecznie zapanuje nad federacją dziesięciu królestw bądź państw. Większość z nas, którzy obserwujemy ten proces, sądzi że federacja ta zaczęła się już tworzyć wraz z powstaniem Unii Europejskiej, choć Unia nie posiada jeszcze centralnego przywódcy. Może go nie mieć jeszcze setki lat, ale struktura powstała i jest gotowa na jego przyjście.

- Przecież kraje członkowskie Unii Europejskiej od tysięcy lat są niezależnymi państwami - zaznaczył Brady z powątpiewaniem w głosie. - I tę niezależność agresywnie chronią. Nie wydaje mi się, żeby miały się zjednoczyć pod jednym przywódcą.

- A czy ktoś pomyślałby dwadzieścia lat temu, że zgodzą się dołączyć do wspólnego programu gospodarczego i zrezygnować z narodowej waluty? Na lotnisku wymienialiście

dolary na liry?

- Na euro - odpowiedziała Alicia, wyciągając z kieszeni spodni zwitek banknotów.

Ambrosi skłonił głowę. Dowiódł swego.

- Ale to co innego niż scentralizowany rząd. Europa ma oddać swoje kraje Antychrystowi?

- Według biblijnego proroctwa zrobią to wszystkie państwa oprócz trzech. Mówi o tym Apokalipsa, rozdział trzynasty i siedemnasty, a także Księga Daniela, rozdział siódmy. Obali trzech królów, żeby przejąć władzę. Strażnicy wierzą, że pierwsze królestwo już objął.

- Zabił politycznego przywódcę? Kogo? - Brady nie mógł uwierzyć, że prowadzi tę rozmowę.

- Santo Mucci.

- Włoskiego premiera? To było jakieś cztery lata temu, tak?

- Pięć. Proroctwo nie mówi, że po zabiciu przywódców natychmiast obejmie ich stanowisko. Takiego człowieka ludzie by nie tolerowali, a już na pewno nie poparli. Pamiętajcie, że kiedy dochodzi do władzy, w powszechnej opinii jest orędownikiem pokoju, jednoczy, nie dzieli. Aby wypełnić swoje przeznaczenie, morderstwa te muszą jednak ostatecznie doprowadzić do przejęcia władzy nad krajami zabitych.

- A co z Muccim?

- Scaramuzzi był lokalnym przywódcą we Włoszech. W prowincji Agrigento sprawdził się znakomicie. Ale Mucci nie miał wysokiego mniemania o jego ideach. Były dla niego zbyt liberalne. A sposób bycia Scaramuzziego i jego ambicja działały politykom na nerwy. Po zamachu i śmierci Mucciego parlament ogłosił wybory w trybie nadzwyczajnym i zwyciężył Silvio Berlusconi. Jak wtedy, tak i teraz jest on zagorzałym zwolennikiem Scaramuzziego. Obaj pochodzą z Południa, a to ma tutaj ogromne znaczenie. Mianował go ambasadorem. Jest całkiem możliwe, że Strażnicy mają kontakty w obecnym rządzie i ułatwią Scaramuzziemu dalszą karierę polityczną. Nie ma wątpliwości, że zostanie premierem, i to dzięki zabójstwu Mucciego. Jeden z głowy, zostało dwóch.

- Ale myślałem, że nie wierzysz, iż jest Antychrystem.

- Jeśli nie jest, to cóż z tego? Jeśli go udaje i przekona odpowiednich ludzi, to dokona nie mniejszego zniszczenia, niż gdyby rzeczywiście był Antychrystem. Machinacje Scaramuzziego może nie doprowadzą do Armagedonu, ale na pewno spowodują niezliczone ofiary i ogromne zniszczenia.

- Ten mechanizm wprowadził w ruch, zlecając zabójstwo Mucciego?

- O, nie, nie zlecając. Sam go zamordował. Inaczej zabójstwo nie pasowałoby do

przepowiedni na temat Antychrysta. Zasługi nie przypisano by jemu.

- I nie dostałby punktów przepowiedni - dodał Brady.

Ambrosi entuzjastycznie pokiwał głową.

- A tak dostał ich całkiem sporo. Z kategorii potencjalnego kandydata awansował na poważnego pretendenta. O ile wiem, to było jeszcze przed głosowaniem Strażników. Wyrażano już natomiast żywe zainteresowanie jego osobą. W ciągu trzech miesięcy od zabójstwa, kiedy stało się jasne, że dzięki niemu wprowadził w ruch machinę własnej kariery politycznej, zebrał siedem głosów. Wszedł do gry.

- Ale czy zamach na Santa Mucciego nie miał miejsca w Izraelu?

- W budynku włoskiej ambasady w Tel Awiwie. Scaramuzzi założył w Jerozolimie bazę operacyjną, wiedząc, że ostatecznie tam się znajdzie. Widzicie, przepowiednia głosi, że Antychryst będzie miał silne związki z Izraelem i będzie się wydawał jego sprzymierzeńcem. Nie ma chyba lepszego sposobu na zadziergnięcie takich stosunków niż funkcja ambasadora. Przed tamtymi wydarzeniami niewiele wiadomo o Scaramuzzim. Ale sądzę, że zbierał popleczników, szeregowych pracowników, którzy będą na jego zawołanie. Człowiek o jego ambicji potrzebuje takich. Kiedy został główną nadzieją Rady, zyskał dostęp do ich bazy... rzemieślników.

- Tych szpiegów, złodziei i zabójców, o których wspominałeś?

Opowieść Ambrosiego była zawila i gęsto zaludniona. Brady chciał się upewnić, że nic mu nie umknęło ani nie wyciąga błędnych wniosków.

- Między innymi. Szefem ochrony Scaramuzziego jest bezwzględny Arjan Vos. Były generał armii izraelskiej. Były agent Mossadu. To zwyrodnialec, a jednocześnie wysoko wykwalifikowany zabójca. Sądzę, że to on szkolił Scaramuzziego przed zamachem na premiera. Asia House, gdzie mieści się kilka ambasad w Tel Awiwie, było znakomitym miejscem do tego celu. Niedaleko od tajnej siedziby Scaramuzziego. I daleko od jego siedziby oficjalnej, gdzie z pewnością zapewniono mu alibi na wypadek, gdyby coś poszło nie tak. A i Vos dobrze znał rozkład budynku, bo jako agent Mossadu miał kiedyś przydział w tym okręgu.

Brady zauważył, że od kiedy promienie słońca minęły okna, w pomieszczeniu spadła temperatura. Rozejrzał się, szukając jakiegoś grzejnika czy kratki nawiewowej, ale bez powodzenia. Zastanowiło go, w jaki sposób komnata jest ogrzewana. Wyobrażał sobie staruszkę, jak siedzi w zimie zgarbiony nad prastarym zwojem, okryty wyleniałym kocem, a jego oddech zamienia się w kłęby pary. Czyta słowa napisane przed tysiącem lat o człowieku, którego nadejście będzie początkiem końca ludzkości i który w tym momencie być może

knuje spisek morderczy przy dźwiękach smyczków Vivaldiego. Po plecach przebiegł mu lodowaty dreszcz.

Alicia przysiadła na biurku. Skrzyżowała ramiona.

- Wspomniałeś, że może wzmocnić swoją pozycję na trzy sposoby - przypomniała.

- Może również odkryć nową przepowiednię, wyszukać w tekstach profetycznych coś, co przypominałoby wydarzenie, które już zaszło w jego życiu. Na przykład doświadczenie podtopienia czy śmierć rodzeństwa. Jeśli coś takiego wyciągnie, a teologowie to potwierdzą, wiarygodność kandydata podskoczy oczko wyżej. Kanon przepowiedni o Antychryście rozrasta się z każdym nowym pretendentem.

- To bez sensu - Brady potrząsnął głową.

Starszy mężczyzna wzruszył ramionami. Wetknął palce do kieszeni koszuli i trzymał je tam przez chwilę bezwiednie, aż dotarło do niego, że następnego papierosa trzeba dopiero skręcić.

- Wreszcie można również wybrać jakąś niespełnioną jeszcze przepowiednię i celowo ją wypełnić - powiedział, podchodząc do stołu z humidorem. - To, czy taka realizacja przepowiedni się liczy, czy nie, jest przedmiotem zacieklego sporu. Żaden prorok nigdy jeszcze nie stwierdził, że uprzednia wiedza unieważnia wizję. Przepowiednia to przepowiednia. A jednak jeśli wiemy, że ktoś świadomie zmierzał do jej wypełnienia, jego wiarygodność spada, prawda? Dlatego kandydaci zazwyczaj zaprzeczają, jakoby mieli jakąkolwiek wiedzę o ostatnio spełnionych przepowiedniach.

Brady'emu nie mieściło się w głowie, że kontrola nad ogromnym majątkiem i władzą mogła się opierać na tak mętnej logice i marnych wnioskach, którym przepowiednia najwyraźniej podlegała. Było w tym coś głęboko niepokojącego.

Ambrosi zatrzasnął księgę. Zerknął na Brady'ego, potem na Alicię. Wyciągnął dłoń, jakby przyciskał do piersi piłkę plażową, i potrząsał nią, mówiąc:

- Musicie postawić się w sytuacji swojego przeciwnika. Scaramuzzi jest pozbawiony sumienia, znajduje się pod ogromną presją i dysponuje niemal nieograniczonymi środkami. Może nie jest Antychrystem, ale z pewnością jest bestią. Nieprzewidywalną i agresywną bestią. - Upuścił wyimaginowaną piłkę i splótł palce na klatce piersiowej jak do modlitwy. Jego twarz spowił wyraz smutku. Pokryła się brudami. - Przepraszam was za to, co teraz powiem, ale musicie wiedzieć. Moim zdaniem nie macie szans w tym starciu. Czy walczyć będziecie umysłem, siłą woli czy bronią, on jest silniejszy. Jest zdeterminowany.

- My również - odparł Brady zdecydowanie.

Ambrosi skinął głową, ale nie wydawał się przekonany.

- A ojciec Randall? - spytała Alicia. - Jaka jest jego rola w tym wszystkim?

Ambrosi westchnął przeciągle.

- Ojciec Randall często podróżuje. Pozyskuje dla Archiwum dokumenty o istotnym dla Kościoła znaczeniu. Poszukuje również w rozmaitych innych dokumentach potwierdzenia dla zawartości posiadanych przez nas akt. W ciągu ostatnich czterech lat tylko połowę czasu swoich podróży spędził tam, gdzie twierdził, że się wybiera. Resztę spędza ze Scaramuzzim jako jego główny teolog. Dostarcza mu profetyczne teksty poparte dokumentami odpowiedzi na ewentualne pytania Scaramuzziego albo Strażników... wszystko, czego im potrzeba. Współpracuje też z teologami Strażników nad godziwym rozwiązaniem spornych kwestii przepowiedni. Wykorzystuje nasze Archiwum, które w większości jest niedostępne dla kogokolwiek innego.

- A ty na to pozwalasz? - spytała Alicia.

- Nie wie, że o tym wiem. Tak samo jak nie wie, że mam jego telefon na podsłuchu i dostęp do jego komputera. - Mrugnął do nich. - Gdyby się wydało, że nawet nieświadomie jest źródłem przecieku informacji o Scaramuzzim, Strażnikach i przepowiedniach, mój kontakt natychmiast by się urwał, a jego głowę przysłano by w paczce na pocztę watykańską.

- Wydawał się zmęczony. Jego spojrzenie stało się odległe, dłonią pocierał policzki. Nagle otrząsnął się z jakichś trapiących go myśli i powiedział: - A teraz bierzcie jakiś notatnik. Musicie się jeszcze dużo dowiedzieć.

- Na przykład...? - spytał Brady. Naprawdę nie miał ochoty więcej słuchać o przepowiedniach ani o szaleńcach z manią wielkości.

- Na przykład gdzie znaleźć waszą zdobycz, jak wygląda i, jeśli was to interesuje, od kogo kupić broń palną w Izraelu.

- Trzeba tak było od razu - zawołała Alicia.

Rozmawiali jeszcze długo. O dziewiątej otworzyły się drzwi i weszła zgarbiona kobiecina, niosąc tacę jedzenia i karafkę wina dla Ambrosiego. Na widok Brady'ego i Alicii zrobiła wielkie oczy. Kardynał przedstawił im siostrę Abigail i poprosił ją, by przyniosła dodatkowe dwa posiłki dla jego gości. Zakonnica zabrała tacę z jedzeniem, by po trzydziestu minutach wrócić z talerzami wołowej pieczeni z przypiekanymi ziemniakami, marchewką gotowaną na parze, babeczkami i winem. Sam zapach postawiłby na nogi umierającego. Brady zdał sobie sprawę, jak bardzo jest głodny. Alicii też burczało w brzuchu. Ambrosi zrobił na biurku miejsce na ich nakrycia i przystawił dwie odwrócone skrzynie w charakterze krzeseł.

Alicia nie przestawała zachwycać się kolacją, a i Brady pomrukiwał z zadowoleniem. Podczas posiłku Ambrosi nie chciał mówić o Scaramuzzim, Strażnikach ani Antychryście. Nie odpowiadał również na pytania na ten temat. Zamiast tego zaczął rozprawiać o cudownych rzeczach, które dane mu było trzymać w dłoniach i czytać jako prefektowi Tajnego Archiwum Watykańskiego. Były wśród nich zszyty tom ręcznie spisanych, oryginalnych protokołów z procesu Galileusza, hebrajski manuskrypt z opisem podróży królowej Saby do „czarownej krainy mlekiem i miodem płynącej o nazwie Sypanso”, prawdopodobnie w Japonii, i siedemnaście listów Henryka VIII do Anny Boleyn, w których królewskie wyznania miłosne nie ustępowały salomonowemu zarówno kwiecistością frazy, jak i pikanterią.

- Po paru latach Henryk przeniósł swój afekt na Jane Seymour, więc biedną Annę skazał na ścięcie - dodał. Pociągnął łyk wina i wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: Co było robić?

W końcu Ambrosiego zaciekało ich stanowisko na temat zbawienia. Z szerokim uśmiechem słuchał opowieści Brady'ego o żarliwej religijności jego zmarłej żony i o tym, jak pod jej łagodnym wpływem dołączył do owczarni i sam zaczął mocno wierzyć. Tłumaczył kardynałowi, jak książka O wierze i moralności chrześcijańskiej C.S. Lewisa podważyła i wreszcie zwalczyła jego wątpliwości tam, gdzie były najsilniejsze, czyli na poziomie intelektu. Brady zaangażował się potem w życie lokalnej wspólnoty, a w końcu został diakonem. Uczęszczał na spotkania szkoły niedzielnej, należał do kółka biblijnego dla

mężczyzn i często można go było spotkać z książką o tematyce religijnej w dłoni. Nie wspominał natomiast, że to wszystko urwało się w momencie śmierci Karen.

- Zdajesz sobie chyba sprawę, że to nie żona skłoniła cię do wiary? - powiedział Ambrosi z ustami pełnymi ciasta. - Mogła być katalizatorem, nigdy zresztą nie zrozumiemy jak to się dzieje, ale to Duch Święty przywiódł cię do Jezusa.

Brady skinął głową. Nie miał ochoty wdawać się ze starszkiem w debatę teologiczną. Kiedyś przyznałby mu rację. Teraz jednak sądził, że całe dobro, którego doświadczył od czasu poznania Karen, było jej zasługą. Cieszył go spokój ducha, dobrzy przyjaciele i stymulacja intelektualna, czyli to wszystko, co wiązało się z byciem członkiem Kościoła i praktykowaniem religii wspólnie z rodziną. Nawet teologiczne podstawy tego stylu życia - wiara w kochającego Boga, który troszczy się o swoje dzieci - okazały się fałszywe. To Karen tworzyła ich bezpieczną przystań. Ona, a nie Duch Święty. Spróbuj to powiedzieć księdzu.

Ku zdziwieniu Brady'ego stary Ambrosi jeszcze szerzej się uśmiechnął, gdy Alicia śmiało zadeklarowała swój agnostycyzm.

- Moje dziecko, kiedyś usłyszysz Jego wołanie - zapowiedział. - Twoja niepewność daje ci ogromną przewagę nad tymi, którzy fałszywie wierzą, że są już zbawieni. Tak wielu ludzi myśli, że zna Boga, podczas gdy wyznają jakiegoś bożka, wytwór własnej wyobraźni. Niestety, zamykają umysły, sądząc, że są już w domu.

*

Tę noc spędzili w Watykanie, w mieszkaniu kardynała Ambrosiego. Apartament składał się z wielkich i bogato wyposażonych pokoi. Był bardzo przestronny i świetny do przyjmowania gości. Powiedział im, że są pierwszą „świeżą krwią” w tym miejscu od siedmiu lat, kiedy zmarła jego siostra.

Brady przespacerował się po salonie, gabinecie i bibliotece, podziwiając ciężkie, bogato zdobione meble. Nie potrafił odróżnić bezcennych zabytków od podróbek z pchlego targu, ale był gotów się założyć, że te nie pochodzą z Wal-Martu. Na każdej ścianie wisiał przynajmniej jeden klasyczny obraz w złoczonej ramie, doskonale oświetlony umieszczoną powyżej lampką. Większość stanowiły dzieła wczesnego i późnego renesansu, które były bez wątpienia mistrzowskimi kopiami: rozpoznał Szkołę ateńską Rafaela i obraz Tycjana bądź Rubensa - kto ich rozróżni? Na stoliku znalazł kubek z czymś, co wyglądało jak zimna kawa, popielniczkę wypełnioną niedopalkami i popiołem oraz kolekcję rozmaitych publikacji od tygodnika „National Catholic Reporter” poczynając, a na programie telewizyjnym kończąc. Trącił stosik gazet i jego oczom ukazały się również gazetki z supermarketów, brukowce „National Enquirer” i „Star” oraz ich lokalny odpowiednik „Cronaca Vera”. Uśmiechnął się z

nieopisaną ulgą na widok oznak człowieczeństwa w tej muzealnej scenerii.

Wracając niespiesznie do salonu, gdzie Alicia i Ambrosi pogrążeni byli w cichej rozmowie przy zapalonym kominku z kieliszkami rubinowego płynu w dłoniach, zwrócił uwagę na dwa obrazy wiszące obok siebie powyżej zdobionego kredensu. Znacznie różniły się od pozostałych. Nie wywoływały wrażenia spokoju, nie wprawiały w filozoficzną zadumę, nie było w nich nic wzniosłego. Malowidło po lewej stronie ukazywało człowieka na koniu, który ruszał do ataku. Długa broda powiewała za nim niesiona pędem powietrza. W muskularnym ramieniu wysoko wznosił miecz. Ponad nim jakaś postać, być może anioł, rozpościerała zwój. Poniżej inny jeździec, jakby wylaniający się z płomieni, gnał w stronę zakrytej przed wzrokiem bitwy. Odcienie szarości i złota nadawały dziełu surowości, która przywiodła Brady'emu na myśl spełnianie się snu - a właściwie koszmaru.

Drugi obraz, bardziej realistyczny, wykorzystywał technikę światłocienia, która renesansowym obrazom nadawała niemal fotograficzną precyzję. Ukazywał bitwę, a właściwie rzeź: czterech jeźdźców siekło i tratowało kopytami skulonych ze strachu mężczyzn, kobiety i dzieci. Środkowego wierzchowca dosiadał czarny demon, który ciskał pioruny. Za nimi gnały jakieś upiorne, żądne krwi widziadła.

Pierwszy z obrazów wzbudził niepokój Brady'ego. Drugi sprawił, że zamarło w nim serce.

Alicia i Ambrosi podeszli do niego z dwóch stron. W milczeniu przyglądali się malowidłom, jak ktoś, kto ze szczytu góry obserwuje gromadzące się burzowe chmury.

- Oba noszą ten sam tytuł: *Jeździec na koniu trupio bladym*. Ten - wzniosł kieliszek w stronę malowidła w złocie i szarości - jest dziełem Williama Blake'a, a tamten Benjamina Westa. Przedstawiają jednego z czterech jeźdźców Apokalipsy. W rozdziale szóstym czytamy: „I ujrzałem: gdy Baranek otworzył pierwszą z siedmiu pieczęci, usłyszałem pierwsze z czterech Zwierząt mówiące jakby głosem gromu: »Przyjdź!«. I ujrzałem: oto biały koń, a siedzący na nim miał łuk. I dano mu wieniec, i wyruszył jako zwycięzca, by [jeszcze] zwyciężać”. To Antychryst - ciągnął dalej Ambrosi. - Nosi wieniec-koronę, bowiem jest uważany za wielkiego władcę. Dosiada białego konia, bowiem świat okrzyknął go wielkim orędownikiem pokoju, na wzór Chrystusa. Ale ma również łuk, bo zamierza zwyciężyć ludzkość. Prowadzi innych jeźdźców: wojnę na koniu barwy czerwonej, głód i zarazę na czarnym koniu oraz śmierć na koniu barwy trupiej. „I ujrzałem: oto koń trupio blady, a imię siedzącego na nim Śmierć, i Otchłań mu towarzyszyła. I dano im władzę nad czwartą częścią ziemi, by zabijali mieczem i głodem, i morem, i przez dzikie zwierzęta”.

Znów ogarnęła ich cisza. Pod ich spojrzeniem malowidła wydawały się rozrastać i

wyostrzać, stawały się bardziej wyraziste. Na obrazie Benjamina Westa Brady dostrzegł lwa, który biegł obok koni i pożerał upadające ofiary. Przyszły mu do głowy psy wikinga.

- Scaramuzzi wierzy, że jest jeźdźcem na białym koniu - oznajmił Ambrosi. - Naprawdę jednak dosiada konia barwy trupiej. Nie jest Antychrystem, jest śmiercią. - Zamilkł na chwilę. - Zamówiłem te repliki, żeby przypominały mi tego, kogo wypatruję. I że potwory, które przybędą zamiast niego, będą siały równie wielkie zło i zniszczenie jak on sam.

Dało się zauważyć, że Alicię przeszedł dreszcz.

- Są okropne - oceniła malowidła. Rozejrzała się wokoło. - I to tutaj, w takim cudownym miejscu.

- Nie chcę ani na moment zapominać o Antychryście i tych, którzy go zwiastują... oprócz chwil modlitwy. Tak długo, jak on chodzi po ziemi, nie zaznam wytchnienia ani odpoczynku. Czuję jego obecność w swojej wieży, czuję ją we własnym domu.

Alicia zwróciła na niego oczy.

- Ale co właściwie robisz? Tylko obserwujesz? Opisujesz jego działalność?

Uśmiechnął się skromnie.

- Robimy, co się da.

- Czyli co? Co można zrobić?

- Na przykład pomagać ludziom takim jak wy. Dzielić się wiedzą. Wiem, że może na to nie wygląda, ale są na świecie ludzie, którzy starają się pokrzyżować plany Strażników i powstrzymać pojawiających się pretendentów do miana Antychrysta. Bez przerwy nękają media, próbując je skłonić do wszczęcia śledztwa, ale z nikłym skutkiem. Zdarza się nawet, że wysyłają własnych zabójców. Często zwracają się do ludzi takich jak ja, szukając informacji, które pozwolą im zrozumieć ich wroga. Niestety, w przeciwieństwie do zwolenników Antychrysta, jesteśmy nieliczni i niedofinansowani.

- A więc przed nami byli inni - powiedział Brady, potrząsając głową w osłupieniu. - Sami nie mamy szans ich powstrzymać.

Ambrosi podniósł dłoń i ścisnął jego ramię.

- Zawsze jest nadzieja - odparł.

*

To, co mieli z bagażu, czekało zamknięte w skrytce na lotnisku da Vinci, Ambrosi dał im więc szlafroki i wziął od nich ubrania. Rano znaleźli je w łazience, wiszące na wieszakach, okryte przezroczystą folią z pralni.

Ambrosi zabawiał ich przyjemną rozmową na tarasie przy śniadaniu złożonym z owoców, bułeczek i soku pomarańczowego. Powiedział, że rok temu kompletnie spartaczono

odnowę fresków Sandra Botticelliego na ścianach kaplicy Sykstyńskiej przez użycie kiepskiego werniksu. Teraz arcydziełom groziło zniszczenie, bo przesłaniała je ciemna powłoka. Był szczególnie podekscytowany nowym pismem, które w ciągu następnych tygodni miał pozyskać dla Archiwum. Był to wyrok śmierci wydany przez sąd w Rouen, na mocy którego motloch w 1431 roku spalił na stosie Joannę d'Arc, ponoć za noszenie męskich szat.

Brady nie mógł się nadziwić, jak zręcznie Ambrosi potrafi odciągnąć ich umysły od czekającego ich zadania.

- Jak tu pięknie - zauważyła Alicia.

Poprzedniego wieczora, korzystając z komputera w gabinecie Ambrosiego, zarezerwowała bilety na najwcześniejszy poranny lot z Rzymu na lotnisko Ben Guriona w Izraelu. Teraz wszyscy troje wyszli na zewnątrz, by czekać na przyjazd taksówki.

Budynek, gdzie mieszkał Ambrosi i kilkudziesięciu innych dostojników kościelnych, był niegdyś pałacem papieskim. Obok tryskała najbardziej imponująca fontanna, jaką Brady kiedykolwiek widział. Rzeźba przedstawiała Samsona z ustami wykrzywionym do krzyku i twarzą zwróconą do nieba. Napierał na kolumny, do których był przykuty. Za nim widać było skrzydlatą postać anioła, który wyciągniętym mieczem dotyka jednej z walących się kolumn. Miało to sugerować nadprzyrodzoną pomoc w ostatecznym akcie Samsona, który pod gruzami zburzonej budowli pogrzebał trzy tysiące Filistynów. Woda opływała głowę Samsona, ściekając po jego bujnych włosach, które migocząc, wydawały się spływać kaskadą aż do sadzawki u jego stóp. Jego niewidzące oczy wpatrzone były w świt bielejący nad murami Watykanu. Parę kłębiastych chmur przesuwano się leniwie przez poblądłe niebo. Powietrze było rześkie i chłodnawe, zieleń drzew, krzewów i trawnika ożywiona poranną rosą.

Alicia zwróciła się do Ambrosiego.

- Nie wiem, jak ci dziękować - powiedziała.

- Po prostu nie dajcie się zabić - odparł, patrząc jej głęboko w oczy.

Uścisnęła go.

Potem wyciągnął dłoń do Brady'ego mówiąc.

- Nie daj się ponieść. Działaj roztropnie. Jeśli zrobi się gorąco, uciekajcie. Trzeba przeżyć, żeby móc dalej walczyć. - Z kieszeni spodni wyjął niewielki kartonik i wręczył mu. - Tak jak obiecałem, to namiary na... zaprzyjaźnionego handlarza bronią w Izraelu.

Biała furgonetka z oznaczeniem „taxi” na dachu wyłoniła się zza budynku i skręciła w szeroki brukowany podjazd.

Ambrosi jeszcze raz mocno uściśnął rękę Brady'ego.

- Spodziewaj się wszystkiego, absolutnie wszystkiego. Pamiętaj: jest agresywny i nieprzewidywalny.

- Nie zapomnę - zapewnił Brady. Otworzył tylne drzwi i pomógł wsiąść Alicii. Potem sam wszedł do samochodu, zasunął drzwi i posępnie skinął Ambrosiemu głową na pożegnanie. Taksówka ruszyła w stronę lotniska Leonarda da Vinci.

*

W swoim mieszkaniu kardynał Ambrosi przystanął przed lustrem w bogato zdobionej ramie. Zostało ponoć wykonane w 1841 roku przez samego Justusa von Liebiga, wynalazcę współczesnego lustra powlekanego srebrem, i darowane papieżowi Grzegorzowi XVI dla uczczenia jego podróży po państwie papieskim. Skrzywił się na widok swojego odbicia i smutno potrząsnął głową. Podszedł do białego telefonu wiszącego na ścianie w kuchni. Podniósł słuchawkę i przyłożył ją do ucha. Gdzieś indziej w Watykanie lampka centrali rozbłysła na czerwono.

Kiedy się zgłosił operator, Ambrosi odezwał się po włosku:

- Proszę przysłać mój samochód. - Słuchał przez chwilę, po czym rzucił: - Na lotnisko.

Kolejne pytanie telefonisty.

- Nie, nie - powiedział. - Lotnisko Ciampino.

Odwiesił słuchawkę i poszedł po przygotowaną torbę z ubraniami i przyborami osobistymi, którą trzymał w szafie przy wejściu.

67.

Luco Scaramuzzi siedział właśnie przy swoim biurku w ambasadzie włoskiej, kiedy jego prywatny telefon rozbrzmiał bębniącymi pierwszymi taktami tytułowego utworu do filmu *Conan barbarzyńca* autorstwa Basila Poledouriego. Nie oderwał wzroku od monitora komputera. Widniała na nim lista Strażników spoza Rady, którzy mieli się pojawić tego dnia na wieczornym zgromadzeniu w Jeruzalem. Miał nadzieję, że uda mu się porozmawiać z każdą z ponad dwustu osób. Nic nie zjednywało przychylności, jak szeroki uśmiech i mrugnięcie okiem lub klepięcie w plecy w dobrze wybranym momencie.

Odebrał telefon po czwartym taktach.

- Słucham.

- Pippino Farago żyje.

Słowa przefiltrowane były przez elektroniczny zmieniając głos. Luco odchylił się na krześle i skrzyżował nogi.

- Doprawdy? - spytał.

- Skontaktował się z Amerykanami.

- Jakimi Amerykanami?

- Z dwójką agentów FBI. Umówił się z nimi na przekazanie teczek.

Serce Luca zabiło żywiej.

- Kiedy?

- Dzisiaj.

- Gdzie?

- To mieli ustalić później.

- Tu, w Izraelu?

- Tak.

- Dlaczego mi to mówisz?

- Masz wielu przyjaciół. Jestem tylko jednym z nich.

- A skąd masz te informacje, przyjacielu?

Cisza.

Rozłączył się, chwycił telefon na biurku i wcisnął guzik. Arjan odezwał się po drugim dzwonku.

- Dowiedz się, gdzie są teraz agenci FBI. Natychmiast - powiedział.

Odłożył słuchawkę. Wydarzenia przybrały intrygujący obrót. Zastanawiał się, dlaczego któryś z jego wrogów miałby dostarczać mu informacji, ale żaden powód nie przychodził mu na myśl. Bardzo niewielu ludzi wiedziało, że szukają go agenci Federalnego Biura Śledczego. A o aktach sprawy w Raddusie wiedzieli tylko on i Pip, tak przynajmniej sądził. Podejrzewał, że ktoś pomógł Pipowi w ucieczce przez Arjanem. Być może zadzwonił właśnie ten ktoś. Ale dlaczego teraz miałby go zdradzić?

Bo dopiero później dowiedział się, przed kim ukrywa się Pip, pomyślał. A ja nie jestem człowiekiem, z którym inni chcieliby zadzierać.

Luco istotnie miał przyjaciół. O wielu z nich nawet nie wiedział. Był tego pewien.

Zastanowiło go, że informator użył zmieniaacza głosu. Mogło to oznaczać, że był kimś, kogo Luco mógł rozpoznać, albo nadmiernie ostrożnym człowiekiem. Luco roześmiał się. Gdyby sytuacja była odwrotna i to on miał przekazać Antychrystowi tajną wiadomość wielkiej wagi, też byłby nadmiernie ostrożny.

A zresztą, po co to roztrząsać. Ta informacja to prezent. Powinien natychmiast zrobić z niej użytek.

Coś zaświtało mu w głowie. Kto wie, może telefon pochodził od samego Ojca Szatana. Od dawna się zastanawiał, w jakiż to sposób objawi mu się stary bies. Przepowiednia głosiła, że to zrobi. Im dłużej o tym myślał, tym bardziej wydawało mu się to sensowne. Informator wiedział rzeczy, których nie miał prawa wiedzieć, i podsunął Lucowi rozwiązanie jego najpilniejszego problemu. Przyjaciel...?

- Ojciec - wyszeptał.

To mógł być test. Właśnie, chciał go sprawdzić. Jeśli tak, to Luco nie zawiedzie.

68.

Alicja obserwowała przez okno samolotu, jak Rzym maleje w oddali. Krótka i treściwa wizyta, pomyślała.

Żałowała, że nie znaleźli ojca Randalla, ale pomoc kardynała Ambrosiego ogromnie przysłużyła się ich sprawie. Po zastanowieniu jego kościelna misja monitorowania działań Antychrysta na całym świecie nie wydawała się wcale dziwna. Antychryst należał przecież do dziedziny religii. Jak wyjaśnił Ambrosi, podstawową funkcją Antychrysta była rola wysłannika Szatana. Jego nienawiść do żydów i chrześcijan, a także nienasycona żądza władzy i bogactwa miały w końcu doprowadzić do ostatniej wielkiej bitwy na ziemi. To, czy taka postać miała się kiedyś pojawić, było kwestią wiary. Może za sprawą wpływu kulturowego, może dzięki jakiemuś wrodzonemu instynktowi - zresztą kto wie dlaczego - ona w to wierzyła. A może po prostu przemawiał przez nią cynizm: świat zasługiwał na Antychrysta.

Nawet jeśli nie kupowała całej tej mitologicznej otoczki wokół Antychrysta, Scaramuzzi i jego poplecznicy najwyraźniej brali ją na poważnie. I swoje przekonania wprowadzali w czyn, przez co umierali ludzie. A jeśli wierzyć Ambrosiemu, Scaramuzzi dopiero zaczął upuszczać krwi.

Brady nachylił się do niej.

- Sto dwadzieścia siedzeń - szepnął.

- Co takiego?

- Policzyłem. To samolot do przewozów regionalnych. Nie sądzisz, że to dziwne? Przecież Izrael jest tak ważnym miejscem dla trzech najliczniejszych wyznań świata.

- Brady, Żydzi i Palestyńczycy prowadzą wojnę. Giną ludzie. Przyznasz, że to nie najlepszy czas na zwiedzanie.

- To dotyczy Zachodniego Brzegu Jordanu i strefy Gazy.

- Hamas jest wszędzie tam, gdzie ludzie, których chce unieszkodliwić. Czyli również w Jerozolimie i Tel Awiwie. Kiedy rezerwowałam bilety przez internet, wyskoczyło okno z ostrzeżeniem Departamentu Stanu dla amerykańskich obywateli, by odłożyć podróż do Izraela na później. Był też link do pełnego tekstu ostrzeżenia.

- Czytałaś?

Posłała mu ironiczny uśmiezek.

- A gdyby nie było żadnych lotów komercyjnych do Izraela?
- Wyczarterowałbym odrzutowiec - odparł Brady bez wahania.
- Oczywiście, że nie czytałam.

Próbowała sobie wyobrazić, jak to jest, żyć w miejscu tak niestabilnym jak Izrael. Ze świadomością, że wychodząc z domu, można nigdy nie wrócić. Siedzisz sobie w kawiarni, sącząc herbatę i słyszysz najpierw huk wybuchu, potem pisk rozdieranego metalu, brzęk tłuczonego szkła, łoskot cegieł i betonu. Nieznacznie obracasz głowę i widzisz, jak to wszystko sunie w twoim kierunku. Twój mózg nie przyjmuje do wiadomości tego, co zaraz się wydarzy, przychodzi ci do głowy jakaś zwyczajna myśl, coś zupełnie bez związku („trzeba kupić pieczywo na kolację”). W ostatniej chwili otwierasz usta do krzyku, którego nigdy nie wydasz. „Wyobrażam sobie, co muszą czuć matki, kiedy ich dziecko wychodzi z domu”, pomyślała. Dławiący uścisk strachu na każdy dźwięk dzwonka telefonu. Nie znają dnia ani godziny, terror może zawsze i wszędzie wychynąć z cienia, żeby ich pochłonąć.

Uznała, że to bardzo podobne uczucie do tego, które sama przeżywała przez ostatnie trzy dni.

Rozległ się sygnał i zgasły lampki pasów bezpieczeństwa nad ich głowami. Ze swoich foteli natychmiast podnieśli się dwaj mężczyźni w różnych częściach samolotu i stanęli w przejściu. Byli jednakowo ubrani w czarne spodnie, białe koszule i czarne marynarki. Obaj mieli na głowach jarmułki. Podnieśli ręce ukazując wnętrza dłoni i zaczęli wyrzucać z siebie potoki słów w obcym języku. Powoli obracali się wokół, jakby koniecznie chcieli owionąć każdy centymetr wnętrza samolotu i wszystkich pasażerów niewidzialną substancją promieniującą z ich dłoni. Alicia dostrzegła, że mieli zamknięte oczy. Modlili się.

- O, bardzo to krzepiące - szepnęła żartobliwie. - Czy wiedzą coś na temat tego samolotu, czego my nie wiemy?

- Może to, że jest w rękach Boga? - zasugerował Brady.

Opuściła stolik przed sobą i położyła na nim laptop. Włączyła go, otworzyła plik, który założyła poprzedniego dnia dla spisywania informacji o Scaramuzzim i Antychryście. Razem z Bradym przejrzeni je na lotnisku, czekając na lot. Na tej podstawie ustalili plan działania. Nie był wiele wart, wiedziała o tym, ale nie przeszkadzało jej to.

Kiedyś, kiedy prowadziła śledztwa, zanim przeszła do Badań i Rozwoju, miała partnera z blisko trzydziestoletnim stażem w FBI. Ojcowski typ, twardy jak szyna kolejowa i błyskotliwy jak Alex Trebek. Nazywał się Jerome Moyers i uwielbiał dawać rady w postaci przysłów. Jednym z jego ulubionych powiedzonek było: „Prowadzenie dochodzenia jest jak

wypłukiwanie złota. Może się zdarzyć, że znajdziesz samorodek wielkości pięści, ale najprawdopodobniej będziesz zbierać opiłki tak długo, aż będzie co zanieść do banku”. Kiedy Alicia narzekała, ile się musi nachodzić, nadzwonić i naprzesłuchiwać, i wszystko na nic, odpowiadał jej: „Płuczesz, kochana. Płucz dalej”. I rzeczywiście w jakiś niemal niezauważalny sposób jej zespół gromadził wreszcie wystarczającą liczbę dowodów, żeby iść z nimi do banku, co w ich branży oznaczało prokuraturę.

Zebrane tropy i analiza możliwych opcji najpierw zaprowadziły ich do Rzymu, teraz zaś do Izraela. Wcześniej zakładali, że ojciec Randall jest w Watykanie. Zamiast niego znaleźli tam kardynała Ambrosiego, a wiadomości od niego uzyskane wyznaczyły im nowy cel: Luco Scaramuzziego. Nadal chciała przygwoździć Randalla, ale Ambrosi przekonał ich, że ten i tak doprowadziłby ich do Scaramuzziego. Przy odrobinie szczęścia obu znajdą w Izraelu.

Ustalili z Bradym, że podejrzenia kardynała na temat Scaramuzziego i Strażników przyjmą za fakty, przynajmniej dopóki nie przekonają się o ich fałszywości. Na pierwszy rzut oka wszystko, co powiedział im Ambrosi, zgadzało się z tym, co wiedzieli do tamtej pory: człowiek odpowiedzialny za morderstwa i ataki miał władzę i kontakty wystarczające, żeby wysledzić stosunkowo mało znanych agentów i zlecić ich egzekucję. Historia z Antychrystem była mocno dziwaczna, to na pewno. Ale to samo można powiedzieć o makabrycznych morderstwach tak zwanych przemienionych, jak określał ich ojciec McAfee, o zabójcy udającym wikinga - a może naprawdę nim był? - który używa psów wojennych, o niedoszłym mordercy, który dręczy księży, obłąkanym na punkcie Szatana i ofiar z dzieci oraz o szefie dywizji FBI drżącym ze strachu na wzmiankę o organizacji, która obserwuje całą tę szopkę z więzy z kości słoniowej w stolicy. Wszystko to mocno dziwaczne.

Pierwszym punktem ich planu działania było zgromadzenie informacji o bieżących działaniach Scaramuzziego od drugorzędnych graczy, poczynając od tych, u których prawdopodobieństwo posiadania informacji jest najmniejsze - okolicznych sklepikarzy i lokalnych mieszkańców - i kierując się do wewnątrz kręgu wiedzy, w centrum którego był sam Scaramuzzi.

Zamierzali przeprowadzić dochodzenie według schematu stosowanego w FBI do walki ze zorganizowaną przestępczością: na drodze inwigilacji opracować listę graczy, następnie ustalić rolę i rangę każdego z nich, jak również ich potencjalną przydatność jako źródło informacji bądź sojusznika.

Plan działania miał nieustannie ewoluować. Z każdą nową informacją, z każdym nowym tropem będzie wymagał poprawek i przekształceń, a czasem gwałtownych zwrotów.

Taka była natura dzikiej bestii, którą ujeżdżali. Jedyna reguła to utrzymać się w siodle.

Ich celem było zebranie wystarczających dowodów obciążających Scaramuzziego, by zmusić Izrael, Włochy albo USA do podjęcia działań przeciwko niemu za tę czy inną zbrodnię. Gdyby to się nie powiodło, chcieli skompromitować go w oczach Strażników. Ambrosi powiedział, że wotum nieufności ze strony Strażników zawsze skutkowało zniknięciem kandydata. Brady oświadczył, że zaakceptuje oba scenariusze. Nie zostawił jednak wątpliwości, że gdyby śledztwo utknęło w martwym punkcie lub stało się jasne, że Scaramuzzi dopadnie ich, zanim zdążą go przygwoździć, zrobi co w jego mocy, żeby „wpakować bydlakowi kulę w łeb”.

Brawo, Brady, pomyślała.

Ich plan był cieniutki, wręcz przezroczysty. Miał dziury tak wielkie, że sami mogli w nie wpaść. Pełno w nim było niejasności, gdybania i dość optymizmu, żeby całą planetę na zawsze uwolnić od leków antydepresyjnych. Ale ten plan to wszystko, co mieli. Inaczej musieliby się po prostu położyć i pozwolić, żeby Scaramuzzi uśmiercił ich i wszystkich innych, których ma ochotę.

Alicia przygryzła wargę i wyjrzała przez okno. Błękit nieba. Skrawki chmur.

Co my najlepszego robimy? - pomyślała.

To, co trzeba, nadeszła odpowiedź. To, do czego nas zmuszono.

Zobaczyła własny uśmiech w bladym odbiciu plastikowej szyby.

No to dawaj... Jestem gotowa...

*

Lotnisko Ben Gurion było znacznie mniejsze niż da Vinci, mniej nastawione na pierwsze wrażenie. Nie było tam wysokich pod samo niebo sufitów, dzieł sztuki nowoczesnej, odbłasku słońca na kosztownych kamiennych i metalowych powierzchniach. Przypominało jedno z niezliczonych lotnisk lokalnych, po których wozila ją matka, zapalona podróżniczka. Miejsce do wsiadania i wysiadania z kilkoma sklepikami i barami. Nic więcej i nic mniej. Pozbawiona ozdóbek funkcjonalność tego miejsca miała swój urok, coś jak piekarnia z sąsiedztwa.

Podczas odprawy celnej Alicia przypominała sobie, że izraelska wiza w paszporcie mogła uniemożliwić późniejszy wjazd do niektórych krajów arabskich, a czasem miała jeszcze gorsze skutki. To ona pozwoliła członkom FWP, którzy w 1985 roku wprowadzili liniowiec Achille Lauro, namierzyć i zamordować amerykańskiego Żyda Leona Klinghoffera. Plama atramentu w paszporcie. Izraelscy celnicy często szli na rękę nerwowym turystom, wlepiając naklejkę, którą dało się potem usunąć.

Natychmiast przeobraziła się w Alicię-filmowca i rozpoczęła inspekcję hełmu-kamery DMZ. Poszło głodziutko. Już po odprawie porównała czas swojego zegarka ze ściennym, tak samo jak wczoraj w Rzymie.

- Godzinę do przodu - poinformowała Brady'ego. - 2.23.

- W Stanach to pora śniadania - powiedział, nastawiając zegarek. - Chcę zadzwonić do Zacha. - Rozejrzał się za automatem telefonicznym.

- W porządku - powiedziała. - Ja muszę znaleźć toaletę. Spotkamy się przy stanowisku Hertza.

Zobaczyła korytarz, który wyglądał obiecująco, i skręciła w niego. Przeszła ze sto metrów i już miała zawracać, kiedy dostrzegła schematyczny obrazek kobiety powyżej wejścia. Wkroczyła do środka.

W pomieszczeniu nie było nikogo. Wybrała przedostatnią kabinę od wejścia. Wewnątrz zsunęła marynarkę i obejrzała ramię, delikatnie dotykając bandaży. Ucisk wywołał tępy ból, który rozchodził się po ciele jak fale po tafli wody. Kilka kolejnych szturchnięć przeszło ją prądem elektrycznym promieniującym aż do ramienia i karku. Poczuła nawet ból w dole pleców, jakby wtórny wstrząs. Mimo to jeszcze raz dotknęła rany, jakby prowokując ją do dalszych tortur.

Rozległo się stukanie kroków po płytkach podłogi. Ktoś przystanął, po czym wszedł do pierwszej kabiny i zamknął drzwi na zasuwkę.

Alicia zebrała swoje rzeczy i podeszła do umywalki. Ochlapała twarz wodą, wytarła szorstkim papierowym ręcznikiem. Ciągle patrzyła na swoje przedramię w lustrze. Teraz krew przeciekała szybciej. W samochodzie będzie musiała zmienić opatrunek. Może oklei go taśmą izolacyjną, żeby krew nie przesiąkła do marynarki.

Westchnęła ciężko i przyjrzała się w lustrze. W gruncie rzeczy nie wyglądała najgorzej, zważywszy na okoliczności. Wygodne łóżko w mieszkaniu kardynała, długi, gorący poranny prysznic, zdrowe śniadanie i czyste ubrania poprawiły jej kondycję zarówno estetyczną, jak i emocjonalną. Gdyby jeszcze tylko wiedzieli, co robią. I gdyby nie ta pokiereszowana ręka.

Z powrotem założyła marynarkę, podniosła z blatu torebkę i drugą, większą torbę, po czym ruszyła do wyjścia. Okrążywszy załom ściany, skręciła do drzwi i wpadła prosto na jakiegoś mężczyznę, który najwyraźniej stał tuż za progiem. Cofnęła się o krok.

- Przepra... - zaczęła, ale głos jej zamarł. Mężczyzna uśmiechał się do niej szeroko. Był przystojny jak gwiazdor filmowy. Miał mocno zarysowaną szczękę, wielkie, ciemne oczy, wyraziste brwi i nos. Oliwkowa cera mogła uchodzić za głęboką opaleniznę. Tam, gdzie

pojawiłby się dokładnie teraz ogolony zarost, skóra była o ton ciemniejsza. Emanował męskością, a jednocześnie w oczach i uśmiechu miał jakiś chłopięcy urok.

- Alicia, Alicia, jak miło cię poznać - odezwał się, śpiewnie intonując słowa. Jego głos uwodził.

Przez chwilę starała się przypomnieć, skąd się znają. Nie sądziła, żeby miała zapomnieć tego mężczyznę, ale nic nie przychodziło jej do głowy.

- Przepraszam, czy my się...

Ktoś podszedł do niej od tyłu z wnętrza toalety. Poczula, że ciągnie za jej torbę. Rzuciła się do ucieczki i kątem oka dostrzegła jakąś postać. Był to łysy mężczyzna o srogim wyglądzie. Zaczerpnęła powietrza, żeby wrzasnąć jakiś niecenzuralny akompaniament dla ciosu łokciem, który miała zamiar zadać. Zza jej pleców wyłoniła się jakaś ręka, okrążyła jej głowę i przycisnęła do ust kawałek materiału. Jej usta napełnił słodkawy, przyjemny posmak.

Środek usypiający!

Próbowała się wyrwać. Ręka trzymała ją mocno przypartą do klatki piersiowej stojącego za nią napastnika. Wymachiwała ramionami, młóciła i biła na oślep, zadając miażdżące ciosy. Ale sekundę później zdała sobie sprawę, że jej ciało wcale nie słucha poleceń. Ręce zwiślały bezwładnie. Wywróciła oczy do góry, potem spuściła nieco wzrok - z sufitu na przystojną twarz mężczyzny. Uśmiech spłynął z jego twarzy, kiedy wargi zaczęły się poruszać. Mówił coś.

Co... Nie słyszę... Muszę ostrzec Brady'ego... Muszę...

Zapadła ciemność.

69.

Obejrząwszy automat, Brady za gotówkę kupił w kantorze kartę telefoniczną. Włożył ją do szczeliny i zaczął przyciskać guziki, poprzedzając numer Oakleyów kierunkowym 011. Telefon po drugiej stronie zadzwonił. Uśmiechnął się, na myśl o rozmowie z synem niemal zakręciło mu się w głowie. Po trzecim dzwonku rozległ się kobiecy głos.

- Kari?

- Brady? Brady, jak się masz? Gdzie jesteś?

- Wszystko w porządku?

- O, tak. Dzieciaki świetnie się dogadują, jak zwykle. Pierwszego dnia Zach trochę marudził przy jedzeniu, wiesz. Widać było, że jest przygnębiony. Taylor i Tommy próbowali go trochę rozweselić. Wczoraj było już lepiej. Zaczął się śmiać razem z nimi. Zjadł cały obiad. Tylko brokuły zostawił. Nie lubi brokułów?

- Nie. Czy możesz go zawołać?

- Wiesz, pochłonęli śniadanie i polecieli. Chyba nad potok. Mówili coś o budowaniu fortu. - Pauza. - Mogę po niego iść...

Brady wiedział, że nad potok szło się dwadzieścia minut przez wertepy.

- Nie, nie trzeba. Przyjdą na lunch?

- No chyba. O wpół do pierwszej.

- Spróbuję wtedy. Niech nie wychodzi, zanim nie zadzwonię, dobra?

- Przywiążę go do krzesła - odpowiedziała ze śmiechem.

- Dzięki, Kari. Do usłyszenia.

Odłożył słuchawkę, ale jego dłoń nie chciała jej wypuścić. Cieszył się, że Zach ma towarzyszy zabawy i zajęcie, które pozwala mu zapomnieć o zmartwieniach, ale tak bardzo potrzebował rozmowy z synem. Zamknął oczy i przywołał we wspomnieniach moment, kiedy przytulał go na kanapie na pół godziny przed tym, jak zostali zaatakowani. Ścisnął chłopca tak mocno, że czuł bicie jego serca.

- *Hul khalast?*

Brady podskoczył jak oparzony. Obok stał jakiś człowiek w turbanie na głowie, odziany w garnitur i z aktówką w ręce. Powtórzył pytanie, głową wskazując na telefon.

- Przepraszam - bąknął Brady. Zrzucił torby na ramię, obrócił walizkę na kółkach i

odtoczył ją na bok.

- *La termi!* - ktoś zawołał.

Brady odwrócił się. Mężczyzna przy automacie trzymał w podniesionej dłoni jego kartę telefoniczną. Brady zawrócił, odebrał ją ze skinieniem głowy i schował do kieszeni. Idąc za znakami prowadzącymi do wypożyczalni samochodów, zjechał ruchomymi schodami na niższy poziom. Odnalazł stanowisko Hertza, ale Alicii jeszcze nie było.

Czekał, stojąc za parą, która bezskutecznie domagała się samochodu lepszej klasy, obserwował z oddali ludzi schodzących z ruchomych schodów i co chwilę spoglądał na zegarek. Para oddaliła się i poszedł do lady. Wypożyczenie samochodu trwało dziesięć minut, ale kiedy odchodził od stanowiska z umową, kluczykami i mapą w dłoni, Alicia wciąż się nie pojawiła.

Wjechał z powrotem na poziom główny i poszedł na miejsce, gdzie się rozstali. Nie widział, w którą stronę poszła. Powiedziała, że do toalety. Źle się poczuła? Czy to możliwe, że zatrzymały ją władze lotniska? Alicia nie pozwoliłaby, żeby ją zabrali, zanim da mu znać, choćby miała wszcząć awanturę, wrzeszczeć i złamać kilka nosów.

Patrząc w kierunku, w którym udał się po rozstaniu z Alicią, mierzył wzrokiem postaci i punkty usługowe. Turyści płynęli cienką strużką ze stanowiska odprawy celnej, kilkoro zatrzymało się, żeby zaczekać na towarzyszy podróży. Po jego stronie odprawy trzy okrągłe kolumny dzieliły przestrzeń szerokiej hali, jak wartownicy chroniący terminal przed przybywającymi turystami, zanim ich obecność w kraju zostanie zaaprobowana. Wzrok Brady'ego prześliznął się po nich, by zaraz skierować się z powrotem na mężczyznę opartego ramieniem o jeden z filarów. Ubrany był ze swobodną elegancją. Miał na sobie spodnie w kant o kolorze czekolady i ciemnoniebieską koszulę z krótkim rękawem, która wyglądała jak uszyta na miarę, dopasowana do kształtu jego torsu. Ramiona trzymał skrzyżowane na piersi, patrzył prosto na Brady'ego. Uśmiechał się. Skinął głową na powitanie.

Brady obejrzał się, ale nie zauważył nikogo, kto zwracałby na mężczyznę szczególną uwagę. Ruszył w jego kierunku. Kiedy się zbliżał, ramię nieznajomego oderwało się od filaru.

- Wiesz, kim jestem? - spytał Brady'ego.

- A skąd mam... - Kolejne słowo uwięzło mu w gardle. Owszem, wiedział. Poczł ucisk w żołądku.

Spodziewaj się wszystkiego, absolutnie wszystkiego, ostrzegał Ambrosi.

- Gdzie ona jest? - spytał ostro. Siłą się powstrzymywał, żeby nie wyróżnąć pięścią w zadowoloną twarz Scaramuzziego, powalić go na ziemię i zakatować na śmierć... czymkolwiek, co wpadnie mu w rękę. Choćby neseserem DMZ, butem albo gołymi rękami.

- W połowie drogi do Tel Awiwu - odparł Scaramuzzi. Przyglądał się twarzy Brady'ego, jakby czegoś szukając.

- Czego od niej chcesz?

- Będziesz marnować nasz wspólny czas na głupie pytania?

Brady wlepił w niego wściekłe spojrzenie.

- Dobra. Więc czego chcesz ode mnie?

- Chodźmy gdzie indziej. Znam jedno miejsce. - Złapał Brady'ego za ramię.

- Tu mi się podoba - odparł tamten.

Scaramuzzi kiwnął głową.

- Oddaj akta.

Mózg Brady'ego pracował na najwyższych obrotach. Akta? Jakie znowu akta? Nie dał nic po sobie poznać. Potrzebował chwili na zastanowienie.

- Jak nas znalazłeś? - spytał, grając na czas. Akta sprawy Pelletier? Plik komputerowy? Nagranie z miejsca zbrodni?

- Tak samo, jak się dowiedzieliśmy, gdzie byliście trzy dni temu. Co wie FBI, wiemy i my.

- Jeśli oddam ci je teraz, wypuścisz ją całą i zdrową? - Dla efektu poklepał dłońią przewieszoną przez ramię torbę.

Scaramuzzi przekrzywił głowę.

- Bardzo zabawne.

- Myślisz, że dam ci akta, jak jej nie wypuścisz? Ty naprawdę jesteś tak obłąkany, jak mówią.

Wzrok Scaramuzziego stał się surowy.

- Idź po nie - rozkazał. - Przynies pod ten adres. - Wręczył Brady'emu wizytówkę.

Papier był sztywny i jedwabisty w dotyku. Był na niej włoski herb, nazwisko Scaramuzziego i słowa „Asia House”. Pod spodem widniały drobne litery adresu w Tel Awiwie. Wizytówka zadygotała w dłoni Brady'ego. Wepchnął ją sobie do kieszeni. Chciał coś powiedzieć, cokolwiek. Może: „Nie mam bladego pojęcia, o co ci chodzi!”. Obawiał się jednak, że to może zniweczyć wszelkie nadzieje na odzyskanie Alicii całej i zdrowej.

„Nie daj się zabić i zobacz, co będzie dalej”, pomyślał.

- Zamiast tego mogliśmy was śledzić - oświadczył Scaramuzzi - i zabić was wszystkich, kiedy już będziecie mieć akta.

- Więc dlaczego tak nie zrobiliście?

- Pip popadł w lekką paranoję. Zdaje się, że ktoś strzelił mu w głowę. - Włożył obie

ręce do kieszeni, podniósł się lekko na palcach i opadł z powrotem na pięty. Wydawał się całkiem rozluźniony.

Brady nie odezwał się ani słowem. Pip? Któż to?

- Nawet moim ludziom nie uda się go podejść w jego obecnym stanie - ciągnął Scaramuzzi. - Nie, lepiej żebyś to ty wydobył od niego to, czego ci trzeba, żeby odzyskać dziewczynę.

- A co jeśli...? - Brady potrząsnął głową. - Co jeśli się nie uda? Jak nie zdobędę akt?

Scaramuzzi przypatrywał mu się bacznie, próbując przejrzeć jego grę.

- Dziewczyna umrze - powiedział.

Brady skulił się wewnątrz. Przed oczami mignął mu obraz żony, Karen, kiedy widział ją w kostnicy. Woskowa figura na stole ze stali nierdzewnej, skóra koloru prześcieradła, które przykrywało ją aż po szyję. Ale na stole leżała nie Karen tylko Alicia.

Chciał złapać Scaramuzziego, potrząsnąć nim i zawołać: „Nie znam żadnego Pipa! Nie wiem nic o aktach, które według ciebie ma mi dać! Ani dlaczego miałby to robić! Nie wiem, gdzie szukać ani z kim się skontaktować! Może jeszcze każesz mi wyciągnąć z ucha skrzypce i zagrać *Dla Elizy*? Są na to takie same szanse, jak na to, że znajdę tego postrzelonego w głowę Pipa i jego tajemnicze akta!”.

Brady starał się ukryć swoją skrajną frustrację. Spoglądał na kręcących się turystów, kioski i stanowiska w głębi terminalu. Jego oczy spoczęły zbyt długą chwilę na dwójce policjantów z patrolu lotniska, z których jeden śmiał się z czegoś, co powiedział drugi.

- Oni ci nie pomogą - oznajmił Scaramuzzi beznamiętnie.

Brady błyskawicznie przeniósł oczy na niego, czerwieniąc się z gniewu i zaciskając szczęki.

- Chcesz mi powiedzieć, że całą policję i rząd masz w kieszeni? Mylisz się. Nikomu się to nie uda. Może nie wiesz, ale są ludzie, których nie da się kupić. Gdybyś miał taką władzę, jak sugerujesz, nie martwiłbyś się dowodami, które na ciebie mamy. Nie byłoby cię tutaj.

Scaramuzzi pozwolił Brady'emu skończyć, po czym odparł:

- Chodzi o to, że pani Wagner będzie już karmić rybki w Morzu Śródziemnym, zanim policja się zorientuje, że nie ma prawa przeszukiwać eksterytorialnej placówki, jaką jest włoska ambasada. Moja ambasada. Masz sześć godzin. - Minął Brady'ego wciąż trzymając ręce w kieszeniach.

- Czekaj - zawołał za nim Brady.

Scaramuzzi obrócił się, uniósł brwi.

- O co w tym wszystkim chodzi? - spytał Brady. - Po co te morderstwa w Utah i Kolorado? Dlaczego kazaleś nas zabić?

Zaciśnięte wargi mężczyzny rozciągnęły się w uśmiechu. Wystarczyły dwa kroki i już był z powrotem obok.

- Nie powinniście byli zabnąć tak daleko - wyjaśnił. - Teraz jednak wasza rola wzrosła. Byliście pionkami, teraz jesteście wieżami. Moje gratulacje.

- Ale dlaczego chcesz nas zabić? Co zrobiliśmy?

Scaramuzzi przypatrywał się jego twarzy.

- Zjawiliście się - odparł. - To wystarczyło. - Odwrócił się i swobodnym krokiem odszedł, zostawiając Brady'ego z otwartymi ustami, wpatzonego w jego plecy.

Scaramuzzi skinął głową mijającym go ludziom, którzy rozpromienieni odwzajemnili pozdrowienie. Stanowił przyjemny widok, emanował zbyt rzadko spotykanym na tym świecie urokiem.

Brady zdał sobie sprawę, że prawdziwe zło może kwitnąć tylko pod pozorami dobra. Agresywna maskarada. W szkole średniej pisał wypracowanie o pszczołach kleptopasożytniczych, które imitują wygląd i feromony innych pszczoł. W ten sposób samica pasożyta dostaje się do gniazda żywiciela i składa tam jaja. Kiedy larwy się wyklują, atakują i zabijają wszystkich mieszkańców gniazda.

Brady poznał właśnie ludzkiego kleptopasożyta.

Chciało mu się wymiotować.

Brady gnał przez lotnisko Ben Guriona, a neseser DMZ i torba z aktami objęły się o jego biodra. Nową walizkę na kółkach z ubraniami zostawił tam, gdzie stała. Teraz priorytetem była szybkość i mobilność. Zauważył sylwetkę Scaramuzziego i zwolnił kroku. Musiał zachować dystans, żeby nie zostać dostrzeżonym. Zamierzał śledzić go do samochodu, potem wziąć taksówkę i jechać za nim. Co, jeśli trzymał Alicię gdzieś poza ambasadą? Być może pojedzie tam sprawdzić, czy wszystko poszło zgodnie z planem.

Może trzyma ją w samochodzie, pomyślał. Gdyby choć mignęła mu przed oczami - jak szamota się na tylnym siedzeniu albo leży nieprzytomna w bagażniku - Brady zaalarmowałby policję lotniskową i narobił takiego rabanu, że sprowadziłby izraelską policję. Nie sądził, żeby Scaramuzzi zaryzykował zabójstwo Alicii na zatłoczonym parkingu w obecności Brady'ego, który drze się w niebogłosy. Gdyby udało mu się ją uratować tu i teraz, zanim Scaramuzzi przewiezie ją na suwerenne terytorium ambasady, wycofaliby się, pojechaliby do domu i opracowali strategię. Trzeba przeżyć, żeby móc dalej walczyć, jak powiedział Ambrosi.

Podkscytowany tą myślą znów przyspieszył. Zanim się zorientował, był już dziesięć metrów od śledzonego. Gdyby Scaramuzzi odwrócił teraz głowę, zobaczyłby go. Brady przystanął przy jakimś automacie z gazetami i udawał, że czyta pierwszą stronę przez szybę. Scaramuzzi nagle skręcił za róg i zniknął mu z oczu. Brady rzucił się za nim. Kiedy dotarł do załomu, prawie biegł. Nagle zatrzymało go uderzenie jakichś wyprostowanych, sztywnych palców. Trafiły go w klatkę piersiową i powaliły na ziemię. Wylądował na plecach. Jego płuca gwałtownie wyrzuciły powietrze. Próbował złapać oddech.

Nad nim stał mężczyzna około pięćdziesiątki. Zbity i muskularny. Miał przeszywający wzrok i łysą czaszkę. Pociągła twarz była poprzecinana napiętymi jak postronki mięśniami. Wycelował w Brady'ego jeden ze swoich żelaznych palców. Linia pozbawionych warg ust wygięła się w dół. Ostrzeżenie było jasne. Mężczyzna oddalił się pewnym krokiem. Ruchy jego nóg były szybkie i precyzyjne, ramiona zwisały sztywno. Chód żołnierza. Brady'emu przypomniało się nazwisko zasłyszane poprzedniego wieczoru: Arjan Vos. Szef ochrony Scaramuzziego. Bezwzględny, tak określił go Ambrosi.

Podeszli jacyś ludzie, oferując pomoc. Zarzucony został troskliwymi pytaniami w

językach, których nie rozumiał. Znów na nogach Brady zlustrował korytarz w poszukiwaniu Scaramuzziego albo Vosa, zakładając, że to był on. Zniknęli. Widział, że korytarz prowadzi do hali, za którą panowała krzątanina taksówek, autobusów i prywatnych samochodów. Opuścił walizkę z DMZ i torbę na pokrytą wykładziną podłogę. Rozpiął górne guziki koszuli i rozsunął jej poły. Trzy owalne siniaki tworzyły trójkąt powyżej mostka.

Oczy miał zamknięte, najwyraźniej zamknęły się same.

Co teraz?

Miał odebrać coś od jakiegoś człowieka. Jakies akta. Człowiek nazywał się Pip. To wszystko, co wiedział. Czy Alicia umówiła się z tym mężczyzną, nie informując go o tym? Mało prawdopodobne, jednak Alicia nie cofnęłaby się przed działaniem w sekrecie, bez konsultacji z nim, jeśli uważałyby, że w ten sposób szybciej osiągnie cel. Ale jak mogła się o nim dowiedzieć? Kiedy miałyby okazję zaaranżować spotkanie?

To nie miało znaczenia. Czy wiedziała o Pipie, czy nie, on to nie Alicia. Nie mógł się spodziewać, że Pip nieoczekiwanie mu się objawi.

Ktoś postrzelił go w głowę.

A więc Scaramuzzi miał Alicię, a za jej wolność nazaczył cenę wyższą, niż Brady mógł zapłacić. Po prostu nie miał fantu, na któremu tamtemu zależało. Widział tylko jedną możliwość: dostać się do ambasady i zabrać ją stamtąd. Starał się nie myśleć o swoich szansach.

Zamiast tego, podnosząc bagaże i kierując się w stronę autobusu, który miał go zawieźć do wynajętego samochodu, skupił myśli na przeciwniku. W trakcie całej ich rozmowy z twarzy mężczyzny nie zniknął wyniosły uśmiech. Brady nigdy wcześniej nie spotkał człowieka, który tak komfortowo czułby się we własnej skórze, tak bezgranicznie pewnego siebie. Doskonale rozumiał, że taki mężczyzna mógł zwieść ludzi, przekonać ich, że jest tym, za kogo się podaje, zwłaszcza jeśli jego charyzma była tylko dodatkiem do przemyślanej strategii kłamstw i sfabrykowanych dowodów.

Coś zaświtało mu w głowie, ale myśl umknęła błyskawicznie. To było coś ważnego, ale Brady na próżno starał się przywołać ją z powrotem do świadomości. Co to było? Ta rozmowa ze Scaramuzzim. Coś było w niej nie tak. Spróbował zrekonstruować wymianę zdań.

- Gdzie ona jest?

- W połowie drogi do Tel Awiwu.

- *Huna!*

Brady spojrzął na kierowcę autobusu.

- Co?

- A16 - odparł kierowca, kiwając głową w stronę niebieskiego peugeota.

- Aha... - Wygramolił się na zewnątrz, otworzył bagażnik sedana, wrzucił do niego obie sztuki bagażu i wsiadł za kierownicę. Zapalił silnik. Włączył klimatyzację. Wbił wzrok w szybę, ale nie widział nic oprócz własnych mrocznych, chaotycznych myśli.

Zaczynały się od jednego słowa: wyjechać.

Słyszał Alicię: „Masz do kogo wracać. Masz kogoś, kto cię kocha i potrzebuje, zrobisz wszystko, żeby go nie zawieść. To szlachetne. Godne najwyższego szacunku”.

Jeśli zostanę i spróbuję ją ratować, zginę. Co będzie wtedy z Zakiem?

Odejdź. Alicia by to zrozumiała. Chciałaby tego.

Jego dłonie ścisnęły kierownicę tak mocno, że aż łapał go skurcz. Pot sączył się z dłoni i skapywał na spodnie. Zaciśnął powieki.

W odpowiedzi na uprowadzenie Alicii, konfrontację ze Scaramuzzim i konieczność działania jego podwzgórze uruchomiło reakcję „walki i ucieczki”. Fala adrenaliny napłynęła do krwiobiegu, puls i oddech przyspieszyły, kierując mniej krwi do najważniejszych organów, a więcej do mięśni i kończyn. Wyostrzył mu się wzrok, skrócił czas reakcji. Fizycznie i psychicznie był w stanie wyższej gotowości do walki lub ucieczki niż dwie minuty temu. Siedział w samochodzie, a chłodne powietrze owiewało mu twarz. Siłą woli zmuszał się, by zachować spokój. Oddychać głęboko, wdech i wydech.

Zostawienie Alicii nie wchodziło w grę.

Nie zniżyłby się do tego. Ona zasługiwała na coś lepszego.

Gdyby teraz odszedł, wstyd nigdy nie dałby mu spokoju, aż w końcu stałby się zupełnie zgorzkniały. Ta chwila i to miejsce wypaliłoby się w jego świadomości jako godzina najtragiczniejszej porażki, moment, kiedy przestał być mężczyzną, kiedy zatracił swoje człowieczeństwo. Ten kierowca, który potrafił Karen i zostawił ją umierającą na poboczu, uciekł, bo się bał, że jego błąd będzie kosztował życie nie tylko niewinnej osoby, ale także jego. Wyrok za spowodowanie wypadku drogowego ze skutkiem śmiertelnym. Od dziesięciu lat do dożywocia.

Jak Brady mógłby zrobić to samo albo coś jeszcze gorszego po tym, jak przez osiemnaście miesięcy przeklinał zabójcę żony? W którym kręgu piekła znalazłby się, gdyby zostawił Alicię? Z nim miała jakąś szansę. Bez niego już nie żyła.

Jego oczy otworzyły się gwałtownie. Wydał z siebie ryk gniewu i determinacji dobyty z samej głębi jego duszy. Zrobi to.

Priorytet numer jeden: ratować Alicię.

Priorytet numer dwa: zniszczyć Scaramuzziego.

Był gotów oddać życie za pierwszą sprawę i miał szczerą nadzieję, że i druga się powiedzie.

Wrzucił wsteczny i obejrzał się przez ramię. Obracające się koła wydały piskliwy dźwięk. Wrzucił bieg.

- Zach, szkoda, że nie pogadaliśmy - powiedział na głos. Sprawdził zegarek. Miał zadzwonić za cztery godziny.

Cztery godziny. Chyba dożyję.

Docisnął gaz i znów rozległ się pisk opon.

71.

Brady wyjechał z terenu lotniska i minął znaki dla autostrady nr 1 - na zachód do Tel Awiwu, na wschód do Jerozolimy. Przejechał pod autostradą i skierował się na południe. Niemal natychmiast znalazł się w starym miasteczku Lod, gdzie wypalone słońcem i omiatane piaskiem domy z cegły i gipsu przemieszane były z połyskującymi nowoczesnymi budynkami wysokimi na piętnaście pięter. Tu i ówdzie ponad płaszczyznę pustyni wznosiły się pnie palm niczym wynurzająca się szyja potwora z Loch Ness. Brady przypomniał sobie, że to tutaj podobno Piotr apostoł uzdrowił paralytyka, wypowiadając imię Jezusa. Miał nadzieję, że okaże się to dla niego dobrą wróżbą.

Jechał za wskazówkami zamieszczonymi na kartce, którą Ambrosi wręczył mu przed fontanną Samsona. Odnalazł ulicę Gidon Gertbu i skręcił na zachód. Gdyby nie wszystkie te arabskie znaczki na każdym sklepie, równie dobrze mógłby jechać główną ulicą miasteczka w środku Ameryki lat pięćdziesiątych. Fronty zrobione z drewna albo bielonej cegły. Wysokie, prostokątne fasady zwieńczone spadzistymi dachami. Kilku kupców ustawiło na chodniku wystawy ze swoimi towarami - owocami, zbożem i czymś, co Brady'emu wyglądało na używane naczynia Tupperware. Z bliska dostrzegł, że farba na ścianach łuszczy się jak wióry, a pęknięte szyby posklejane są poźółkłą taśmą.

Ulica Gidon Gertbu, gwoli ścisłości, przypominała bardziej amerykańską główną ulicę z lat sześćdziesiątych. Były to czasy, kiedy pierwsze pokolenie młodzieży - tej samej, która wylewała krew na wietnamskiej ziemi - zdało sobie sprawę, że nie mają obowiązku zostać tam, gdzie się urodzili, i z mozołem uprawiać pola swoich ojców. Było to już po początku końca amerykańskich małych miasteczek, ale jeszcze przed tym, jak zatrzaśnięto okiennice, a starszków przestał obchodzić nawet toczący się ulicą wysuszony szarłat.

Jechał wolno i rozglądał się na boki, starając się zorientować, co sprzedają mijane sklepy. Po tym, jak rzadko zdarzał się zachodni alfabet, można było wnosić, że miasteczko nie przyciąga wielu turystów. Dwie przecznice dalej po lewej stronie ulicy zobaczył to, czego szukał: wąską fasadę sklepiku, przed którym na chodniku stał niewysoki regał z książkami. Na frontowej szybie wyblakła, ledwie widoczna biała i czerwona farba układała się w hebrajskie i arabskie słowa: „Jonatana książki rzadkie i używane”.

Przystanął, by przepuścić jadącego w przeciwnym kierunku zardzewiałego pick-upa,

po czym skręcił i zaparkował przed księgarnią. Nacisnął klamkę, nad drzwiami rozbrzmiał dzwonek i Brady wszedł do pomieszczenia przepelnionego zapachem starego papieru i kurzu, ale też czegoś jeszcze, czegoś bardziej cierpkiego, co czuł już wcześniej, ale nie mógł sobie przypomnieć gdzie. Pokoik wielkości kuchni w jego domu zastawiony był biblioteczkami, których półki uginały się od książek. Naprzeciwko wejścia za ladą siedział zgarbiony nad książką starszy człowiek. Nie podniósł wzroku.

- Przepraszam? - rzucił Brady w stronę różowawej, pokrytej piegami głowy sprzedawcy.

Tamten powoli podniósł głowę, ukazując rzadką, siwą brodę. Nos miał długi, wąski i tak zakrzywiony, że mógłby nim otwierać puszkę. Świdrujące, blisko osadzone oczy mierzyły Brady'ego od stóp do głów.

- Mówi pan po angielsku? - spytał Brady.

Mężczyzna lekceważąco machnął ręką.

- Aaa! - odezwał się, jakby chciał odpędzić natrętnego kota i powrócił do książki.

Brady podszedł bliżej. Nie miał czasu na arogancję.

- Hej! - zawołał.

Szpetna łysa czaszka ledwie drgnęła, ale człowiek nie przerwał lektury.

Brady już miał popukać go w ramię - i to mocno - kiedy przypomniał sobie, że Ambrosi napisał jakąś rekomendację na odwrocie kartki ze wskazówkami. Wyjął ją z kieszeni spodni i położył na książce starego, tuż przed jego oczami.

Sprzedawca gapił się na nią przez dłuższą chwilę. Kiedy podniósł głowę, na twarzy malował się grymas. Zarost wokół ust wygiął się w marsowym wyrazie. Z oczu wyzierała taka niechęć, że Brady cofnął się o krok. Ręka człowieka wyłoniła się spod lady. Palce były kościste, zakończone połamanymi brązowymi paznokciami. Zręcznie podniósł kartkę dwoma palcami. Bez słowa się odwrócił, zsunął ze swojego wysokiego stołka i zniknął za zasłoną z koralików, która zasłaniała przejście na zaplecze.

Brady patrzył, jak koraliki kołyszają się za nim. Grzechotały jak muszle unoszone morską falą. Zastanawiał się, czy nie iść za sprzedawcą. Zamiast tego podszedł do stołu, na którym leżały książki napisane po arabsku. Otworzył jeden ze starych tomów. Strony zapelnione były ręcznym pismem. Jakiś dziennik lub pamiętnik. Odwrócił kilka kartek. Między nagryzmołonymi akapitami widniał niestaranny rysunek jakiejś twarzy, pół człowieka pół niedźwiedzia, rozpołowiony z góry na dół. Teraz żałował, że nie umie czytać arabskich znaczków.

Koraliki znów zagrzechotały. Odwrócił się i zobaczył, że starszy mężczyzna wraca na

swoje miejsce na stołku. Znów pochylił się nad książką. W ręce nie miał już kartki.

Zanim Brady zdążył cokolwiek powiedzieć, z zaplecza wyłonił się mężczyzna przed trzydziestką. Był przystojny, miał krótko ostrzyżone czarne włosy, ciemne oczy i gęste brwi. Posłał Brady'emu ujmujący uśmiech, ukazując duże, białe zęby. Prawie przeskoczył przez ladę i rozpostarł ramiona, jakby spodziewał się uścisku.

- Witaj, przyjacielu. Jesteś mile widziany - jego głos brzmiał, jakby mówił szczerze. Mówił po angielsku z silnym akcentem.

- Dziękuję. Ja...

Mężczyzna wyciągnął rękę. Brady ją uściśnął.

- Jestem Avi - oznajmił.

Brady odpowiedział skinieniem głowy. Nie sądził, żeby podawanie nazwiska było roztropne w tych okolicznościach.

Wydawało się, że Avi to rozumie. Dał Brady'emu kilka sekund na przedstawienie się, a potem powiedział:

- Miło, że cię poznać.

Brady lekko przechylił głowę.

- Potrzebuję...

Avi przerwał mu, podnosząc dłonie, i cmoknął głośno. Rozejrzał się prędko, jakby chciał się upewnić, czy przypadkiem jakiś klient odziany od stóp do głów w ubranie o wzorze książek nie przyłgnął do któregoś z regałów.

- Chodź - zachęcił, przywołując go gestem dłoni. Okrążył ladę i zniknął na zapleczu.

Pomieszczenie za zasłoną z koralików prawie pod sam sufit było zastawione kartonami. Niektóre były otwarte i Brady dostrzegł w nich książki. Dwa długie stoły robocze wydawały się mieć różne przeznaczenie. Na jednym były rozmaite butelki i ścierki, suszarka, miotłka do kurzu, nitka i igła. Do naprawy i czyszczenia, jak się domyślił Brady. Przeznaczenie drugiego było bardziej oczywiste. Koperty bąbelkowe, waga do listów, frankownica, arkusze nalepek. Nad stołem zwisała z sufitu ogromna plastikowa torba styropianowych kulek spięta u dołu klamrą do bielizny.

- Wysyłamy na cały świat - wyjaśnił Avi. - Wysyłkowo sprzedajemy... yy... dziesięć razy tyle co w sklepie.

- Książki? - spytał Brady.

Uśmiech Aviego jeszcze się poszerzył.

- Głównie.

Otworzył drzwi i przeszedł dalej. Pomieszczenie, gdzie teraz się znaleźli, było

opustoszałe w porównaniu z poprzednim. Na jednej ścianie stały wysokie do samego sufitu szafki, bez wątpienia zbite na miejscu. Wszystkie pozamykane na kłódki. Środek pokoju zajmował spory stół warsztatowy. Powyżej zwisała goła, zapalona żarówka z metalową stożkowatą osłoną i zwiniętą żółtą rurą, w której Brady rozpoznał wąż do sprężonego powietrza. Obok stało odsunięte od stołu pojedyncze metalowe krzesło. Kawał brezentu wielkości ręcznika plażowego przykrywał leżący na stole przedmiot, który mógł być na przykład makietą jakiegoś pasma górskiego. Dziwny zapach, który Brady wyczuł w sklepie, był tutaj znacznie intensywniejszy. Teraz go rozpoznał: olej do konserwacji broni.

- Mógłbyś...? - Avi wskazał mu koniec stołu. Wsunął palce pod blat ze swojej strony i dźwignął go do góry. Podniosła się tylko deska blatu.

Brady chwycił za nią z drugiego końca. Była ciężka. Zobaczył, że została ułożona na prawdziwym blacie roboczym stołu. Avi wskazał dwie krzyżakowe podpórki ustawione pod tylną ścianą. Przesunęli się w tamtą stronę, dźwigając deskę, którą potem ostrożnie na nich ułożyli. Avi podniósł brezent i pokazał Brady'emu zawartość.

- Co sądzisz?

Był to karabin maszynowy. Z otwartej metalowej obudowy wystawało sześć luf blisko metrowej długości. Wokół leżały koła zębate i rozsypane śruby.

- Minigun GEC - oznajmił Avi wyraźnie zadowolony. - Kaliber siedem koma sześćdziesiąt dwa NATO. Lufy się obracają - zataczał kręgi palcem wskazującym - jak... jak...

- Jak w gatlingu? - odpowiedział Brady.

- Tak, w gatlingu! Ale na elektrykę. Strzela sześć tysięcy pocisków na minutę. No to masz tutaj, więcej nie ma. Okay. Weź. Miłego dnia.

Brady bez słowa wlepił w niego wzrok.

Avi wybuchnął śmiechem i zamachał ręką.

- Ha ha, nie no, żartuję. - Puścił brezent, który opadł, przykrywając karabin. - To dla bardzo specjalnego klienta. W Ameryce Południowej. Zresztą nie chcesz takiego. Trzeba helikopter albo czołg. Albo Arnold Schwarzenegger. - Znowu się roześmiał. Jednocześnie podważył osadzony na zawiasach blat stołu. Kłapa otworzyła się nieco szerzej niż do pozycji pionowej i zatrzymała się. Wnętrze ukrytej pod spodem płytkiej skrzyni wyłożone było czarnym aksamitem, na którym rozłożona była różnaita broń: strzelby, karabinki samoczynne, pistolety, noże, miecze, shurikeny, kusza, łuk bloczkowy, łuk azjatycki.

- Na co myślisz?

- Potrzebuję pistolet.

Avi skinął głową.

- Rewolwer czy półautomat?

- Przyzwyczailem się do półautomatów.

- Ja to samo. - Wziął do ręki spory czarny pistolet. - Beretta 92FS. Broń boczna amerykańskiego wojska. Dziewięć milimetrów. Masa: jeden i dwie dziesiąte kilograma, nienaładowana. Trzypunktowy celownik. Ten jest laserowy. - Wyprostował ramię, celując bronią w ścianę, przestawił coś kciukiem i na tynku pojawił się czerwony punkt. Kropka podskakiwała w miarę, jak potrząsał ręką. Zdjął laser i położył pistolet z powrotem na aksamicie. Wziął inny.

- Taurus PT25. Lekki, trzysta czterdzieści gramów. Kaliber dwadzieścia pięć. Nienajlepszy w walce, ale jako wsparcie może być. - Zademonstrował, jak lufa uchyla się do przodu. - Szybkie ładowanie.

Odłożył go i przyglądał się innym.

- Właściwie wszystko mi jedno - powiedział Brady. Myślał o uciekających sekundach.

- A może... - Jego oczy spoczęły na czarnym cylindrycznym przedmiocie. - To jest tłumik?

- Reduktor dźwięku - poprawił Avi. Wziął go do ręki. - Bardzo ładny. Wycisza dwadzieścia strzałów, potem trzeba wymienić.

- Do czego to pasuje?

- Ja sam... yy... - Ponownie zakręcił palcem kółka w powietrzu, tym razem mniejsze.

- Obróciłem?

Potrząsnął głową.

- Maszyną... Zrobiłem maszyną, jedna lufa na razie, ale bardzo dobry, absolutnie. - Podniósł niewielki szary półautomat. - Kimber ultra RCP. Wzorowany na colcie 1911, tylko mniejszy, gładszy. Kaliber czterdzieści pięć. Spora siła. - Dokręcił tłumik do lufy i podał Brady'emu kolbę do przodu.

Ten odciągnął suwadło, żeby się upewnić, że broń nie jest nabita. Wyciągnął ramię, jakby celował. Wzdłuż lufy biegła półokrągła bruzda.

- Nie ma żadnych celowników - powiedział.

- Ma szynę do celowania. Trzeba się przyuczyć... yy... przyzwyczaić. Nie da skupić na przednim celu. Nie ma przedniego celownika! Przy walce w krótkim dystansie to nieważne.

Brady próbował sobie wyobrazić, jak dostaje się do włoskiej ambasady. Droga będzie wiodła głównie przez biura. Jest pewnie kilka korytarzy, ale mógł ich unikać. Skinął głową. - Ile?

- Dwa tysiące. Dolarów.

Brady się skrzywił.

- Coś ci powiem - zaczął Avi. - Dorzucę kaburę, pudełko amunicji i to... - Podniósł nóż z szarą rękojeścią w czarnej pochwie, z której zwisały dwa krótkie paski na rzepy.

- Nie potrzebuję noża.

- Nie wiadomo nigdy - ostrzegł Avi. - To idzie o tu... - Klepnął się po kostce. - Bardzo ładny.

Brady przyjrzał się pistoletowi. Wyobraził sobie, jak przyciska lufę z tłumikiem do czoła Scaramuzziego.

- Dołożysz lornetkę - powiedział - i biorę.

72.

Budynki Tel Awiwu zaczęły się wyłaniać nad pustynią zaledwie kilka minut po tym, jak Brady wjechał na autostradę nr 1. Połyskiwały w upale, jakby utworzone z wilgoci powietrza.

Myślał o Asia House. Ambrosi powiedział, że stanowiło siedzibę kilku różnych ambasad. Tam właśnie dokonano zabójstwa premiera Santa Mucciego. By tego dokonać, Scaramuzzi musiał się tam włamać, najprawdopodobniej wykorzystując nieodłączną słabość budynków zajmowanych przez wielu lokatorów. Po zamachu na Mucciego to mogło się zmienić, ale pięć lat wystarczy, by ludzie zapomnieli i znów przestali zwracać uwagę na rygorystyczne procedury. W drzwiach prowadzących do holu mógł być wykrywacz metalu. Nie miał złudzeń, że uda mu się wnieść pistolet do budynku tą właśnie drogą. Liczył, że krótki rekonesans podda mu jakiś nowy pomysł, jak wejść z bronią i dostać się do Alicii.

W połowie drogi do Tel Awiwu Brady ostro zahamował. Koła się zablokowały. Udało mu się skręcić na pobocze przy akompaniamencie ryku klaksonów. Poczul szarpnięcie pasów, potem gwałtownie wcisnęło go w fotel, gdy jego peugeot w końcu się zatrzymał. Sekundę później szary dym otoczył samochód, roznosząc smród palonej gumi. Smuzka unosiła się, rozpraszana lekkim wiatrem.

Zrozumiał, co nie dawało mu spokoju.

Wszystko, co dotyczyło Scaramuzziego, było złudne. O Tel Awiwie wspomniał dwukrotnie - raz bezpośrednio i raz sugerując, że trzyma Alicię we włoskiej ambasadzie. Zrobił to na wypadek, gdyby Brady spróbował zrobić to, co właśnie zamierzył. Ambrosi mówił, że Scaramuzzi ma jedną publiczną siedzibę i drugą, sekretną. Nie ryzykowałby reputacji i kariery politycznej, przywożąc porwaną agentkę FBI do ambasady włoskiej.

Zabrał ją do Jerozolimy, do swojej kryjówki.

Gdyby Brady przypadkiem zjawił się w Asia House z aktami, ludzie Scaramuzziego mogli go bez rozgłosu zamordować i je przejąć, Alicia nie była tam potrzebna. Mogli też zrobić przedstawienie i zabić go twierdząc, że jest zamachowcem-szaleńcem. Co do szaleństwa, to nawet Biuro by się z nimi zgodziło. Gdyby Brady domagał się zobaczyć Alicię przed oddaniem akt, można byłoby po nią posłać, Jerozolima była przecież oddalona o pięćdziesiąt minut drogi. Może Scaramuzzi od początku planował wysłać Brady'ego do

Jerozolimy. Urządzić na niego zasadzkę po drodze albo już na własnym terenie, ale gdzieś z dala od ludzkich oczu.

Brady dostrzegł lukę między samochodami, zakręcił ostro kierownicą i wdepnął pedał gazu. Peugeot płynnym łukiem przeciął drogę i zanurkował w płytki spadek trawiastego terenu, który oddzielał pasy jezdni biegnące na wschód i na zachód. Przedni zderzak zarył w łagodny wzgórek po przeciwległej stronie, wyrzucając w powietrze glebę i darń. Grad ziemi posypał się na sedana, bębniąc o maskę jak salwa plastikowych kulek do airsoftu. Przez pięć sekund Brady widział tylko osuwający się po przedniej szybie piach. Gorączkowo gmerał przy przyciskach i dźwigniach, aż w końcu udało mu się uruchomić wycieraczki. Przez szybę zobaczył niebo, pastelowo błękitne i idealnie czyste. Wtedy przód pojazdu pokonał wzniesienie po drugiej stronie i gwałtownie opadł na asfalt. W stronę prawego boku peugeota pędził biały samochód - Brady widział tylko odbłask szyby i kratę chłodnicy. Przód samochodu niemal zarył w jezdnię, kiedy kierowca najwyraźniej usiłował wdeptać pedał hamulca w podłogę. Brady'emu mignęła przed oczami rozciągnięta twarz z groteskowo okrągłymi oczami i ciemnym otworem ust w kształcie dużego O, z którego, jak podejrzewał, dobywał się wrzask, jaki zagłuszyłyby nawet pisk opon.

Tylne koła peugeota z głuchym odgłosem uderzyły w asfalt autostrady i natychmiast podążyły za przednimi na najdalszy pas. Biały samochód z kwikiem wyminął go o szerokość palca. Brady zakręcił kierownicą i wdepnął gaz. Wóz zawirował, ustawił się równolegle do białej linii i wypruł naprzód. Samochody widoczne we wstecznym lusterku hamowały ostro i usuwały się w różnych kierunkach, próbując uniknąć spotkania z przyspieszającym peugeotem oraz zwalniającym białym wozem, który okazał się furgonetką. Znów zawyły klaksony, jednak cichły w miarę jak wskazówka prędkościomierza przesuwiała się coraz dalej: siedemdziesiąt kilometrów... osiemdziesiąt... dziewięćdziesiąt.

Dzięki temu manewrowi nie tylko zmienił kierunek na właściwy - teraz był tego pewien - ale również mógł zmylić potencjalny ogon lub zmusić śledzącego do ujawnienia się. Rzucił okiem w lusterko, ale nie dostrzegł żadnych pojazdów, które próbowałyby wykonać podobny obrót o sto osiemdziesiąt stopni. Nie było też migających świateł. Może szczęście w końcu się do niego uśmiechnęło.

*

Ktoś siedział w jej głowie i walił drewnianym młotkiem od środka w jej gałki oczne. Mózg szamotał się, objijając o ściany czaszki. Powieki zatrzepotały i otwarły się. Otaczająca ją szarość wirowała, powoli krzepnąc w poszczególne kształty. Przyćmiona żarówka w obudowie z drutu. Kamienny sufit.

Alicia gapiła się na nią, czekając, aż ustanie pulsowanie w jej głowie. Leżała na plecach na czymś miększym od podłogi, ale twardszym od łóżka.

Powietrze było chłodne oraz przesiąknięte wilgocią. I ten zapach... Jedna z wielu wycieczek, na które zabierała ją matka, zawiodła je do Limerick w Irlandii. Odwiedziły tam zamek Bunratty zbudowany na miejscu obozu handlowego wikingów z dziesiątego wieku. Był on świadkiem zaciekłych bitew między wodzami Irlandczyków a Normanami i Anglikami. Według przewodniczki, młodej kobiety o wyglądzie elfa, której zaśpiew urzekł dziesięcioletnią Alicię, był to najlepiej zachowany i najbardziej autentyczny zamek w Irlandii. Lochy, które przez wieki służyły za magazyn, zbrojownię i więzienie, przepelniał zapach kamienia i czegoś jeszcze. Wtedy nie potrafiła tego opisać. Teraz, kiedy ta woń znów wypełniała jej nozdrza, wiedziała, co to jest: to starość, jakby mury wchłonęły sam czas.

- Może aspirynę?

Alicia podskoczyła. Gwałtownie obróciła głowę w stronę, skąd dochodził głos. Człowiek, który zaczepił ją na lotnisku - „Alicia, Alicia, jak miło cię poznać” - siedział na łóżku składanym i obserwował ją.

Dźwignęła się i usiadła. Ruch wywołał w jej głowie uderzenie przeszywającego bólu. Zamknawszy oczy, czuła, jak jej poślanie wiruje. Wzięła głęboki oddech. Zaszło jej w ustach, czuła też jakiś metaliczny posmak. Otworzyła jedno oko, potem drugie.

Mężczyzna przysiadł na krawędzi łóżka, niecały metr od niej. Wyciągnął w jej stronę otwartą dłoń, a na niej trzy białe pigułki. W drugiej trzymał plastikową butelkę. Kiwnął głową w stronę tabletek.

- To aspiryna. Możesz mi wierzyć. Gdybym chciał ci podać coś innego, już dawno bym to zrobił. - Jego uśmiech był pełen pewności siebie i rozbijający jednocześnie.

Wzięła oferowane pigułki. Podał jej również butelkę. Woda mineralna, nieotwarta. Alicia wypłała do połowy i rzuciła mu krzywe spojrzenie.

- Jesteś Luco Scaramuzzi.

- A ty Alicia Wagner.

Rozejrzała się po pomieszczeniu. Osiem metrów kwadratowych. Kamienne ściany z trzech stron, czwarta zamknięta żelazną kratą. Drzwi, również zrobione w całości z żelaznych sztab, były otwarte. Około dwa i pół metra za kratą była jeszcze jedna ściana. Po prawej i lewej stronie znajdowały się zaciemnione przejścia, jakby korytarz w kształcie litery U kończył się właśnie w tej celi.

- Gdzie jestem? - spytała, zerkając na otwarte drzwi.

- W moim domu lotniskowym - odparł Scaramuzzi przyjaźnie. - Znajdujemy się w

samym środku potwornie zawilego labiryntu podziemnych tuneli. Gdybyś miała jakoś się wydostać z tego skromnego apartamentu, jaki dla ciebie przyszykowałem, szanse na znalezienie wyjścia są zerowe, zwłaszcza teraz. Mamy tu małe spotkanko. Sporo znajomych się tu kręci i bardzo im zależy, żeby zrobić na mnie dobre wrażenie. Mogliby w tym celu na przykład przywlec mi twojego trupa.

Powiedział to z nonszalancją kelnera, który recytuje jadłospis dnia.

- Więc dlaczego mnie jeszcze nie zabiłeś? - Spojrzała mu w twarz wyzywającym wzrokiem.

- Twój partner nie dostarczył nam akt Pipa.

- Jakiego Pipa? Co za akta?

Uśmiech nie zniknął z twarzy Scaramuzziego, ale na jego czole zauważyła wyraz zaskoczenia.

- Pippina Farago. Najpewniej użył innego nazwiska, jeśli w ogóle jakieś podał.

- Po co?

- Żeby się z wami skontaktować. Dostarczyć wam amunicję potrzebną do wyeliminowania mnie. Łudziliście się, że wam się uda, to mnie akurat nie dziwi. Chociaż naiwność Pipa jest nieco zaskakująca.

Wpatrywała się w niego, nic z tego nie rozumiejąc.

- I Brady ma ci przynieść te akta? - upewniła się.

- W zamian za twoje życie. A mówią, że nie ma już prawdziwych bohaterów.

Zmierzyła go wzrokiem. Była atletycznie zbudowany. Szeroki w ramionach, wąski w pasie. Krótkie rękawy koszuli ukazywały wyćwiczone mięśnie przedramion. Był od niej cięższy o jakieś trzydzieści, czterdzieści kilogramów - i to wszystko mięśnie. Chociaż jeśli był taki sam, jak większość maniaków kulturystyki, to jego muskulatura była tylko na pokaz, a przydatność praktyczną miała nikłą. Czy trenował sztuki walki? Był biegły w walce wręcz? Nie miała żadnych informacji o jego zdolnościach bojowych. Ale według słów Ambrosiego latami szykował się do roli Antychrysta. Na jego miejscu trenowałaby, żeby przygotować się nie tylko na intelektualne, ale i fizyczne wyzwania. Powinna więc założyć, że Scaramuzzi wie, jak się bronić i jak atakować.

- Szkoda, że nie zamieściłaś w notatkach informacji o kontakcie z nim - ciągnął dalej.

- Zaoszczędziłoby mi to sporo kłopotu. - Stukał paznokciami w jakiś przedmiot, który leżał obok na pryczy.

Zobaczyła, że mężczyzna trzyma rękę na jej laptopie. Serce skoczyło jej do gardła. Co przeczytał? Spisała tam wszystko, co opowiedział im Ambrosi. Czy zdemaskowała ojca

Randalla jako nieświadomą niczego wtyczkę? Zresztą co ją to obchodzi, skoro tamten pomaga Scaramuzziemu? Za to dla Ambrosiego utrata dostępu do informacji o wewnętrznych machinacjach kręgu Scaramuzziego byłaby miażdżącym ciosem. Co gorsze, jej notatki dostarczały Scaramuzziemu mnóstwa powodów, żeby usunąć kardynała: z zemsty lub po to, by wyeliminować wroga, który zbyt dużo wie.

- No cóż - mówiąc to, podniósł komputer i wstając, wetknął go sobie pod pachę. - Może jednak gdzieś tu jest, co? Miałem tylko chwilę w samochodzie, żeby to przejrzeć po drodze.

- Po drodze dokąd? Gdzie jestem?

- W podziemiach Jerozolimy, w dzielnicy chrześcijańskiej. - Spojrzał w górę i potoczył wzrokiem wokoło, jakby podziwiał splendor katedry. - Wyśmienite miejsce na śmierć. - Wyszedł z celi i zatrzasnął drzwi. Szczęknęły głośno, a dźwięk rozniósł się echem. Usłyszała elektroniczny sygnał.

Podniosła się na nogi. Podłoga zachybotała się pod nią, Alicia znów więc usiadła na pryczy. Głowa ciążyła jej jak kowadło. Opuściła ją i oparła na dłoni, po czym podparła łokieć o udo.

- Dlaczego my? - spytała, nie patrząc na niego.

- Agent Moore zadał to samo pytanie - usłyszała odpowiedź. Mężczyzna wydawał się rozbawiony.

- I co mu powiedziałaś?

- Że się zjawiliście.

Podniosła głowę, żeby na niego spojrzeć.

- Co to znaczy?

Przyglądał jej się przez chwilę przez kraty. Potem rozejrzał się ukradkiem, jakby zastanawiając się nad czymś lub nasłuchując. Dotknął klawiatury, która najwyraźniej zamieszczona była z przodu na drzwiach. Metal i kamień były nadal tak samo nieprzeniknione jak przed tysiącami lat, ale starożytne zamki nie były godne zaufania. Rozległ się trzykrotny sygnał, a potem metalowy szczęk wewnętrznej zasuwki. Scaramuzzi wrócił i znów usiadł na przeciwległej pryczy. Nachylił się do Alicii.

- Z twoich notatek wnoszę, że rozumiesz delikatną naturę mojej relacji ze Strażnikami - odezwał się konspiracyjnym szeptem.

Skinęła głową.

- Nawet w samej Radzie mam wrogów, którzy nie szczędzą środków ani energii, żeby mnie zdyskredytować. - Wzruszył ramionami. - Rozumiem oczywiście, że ich wysiłki mają

na celu zagwarantowanie, iż wyłącznie prawowity następca wejdzie w posiadanie dziedzictwa powierzonego Strażnikom pod opiekę. Ale wydaje mi się, że wszystkich tych przez wieki udoskonalanych zabezpieczeń nie jest w stanie sforsować nawet ten, kogo naprawdę zapowiada prorocstwo.

- Czyli ty? - spytała. Udało się jej uniknąć cynicznego tonu.

Uniósł brwi.

- Oczywiście. Jezus Chrystus był tym, za kogo się podawał, a też nikt Mu nie wierzył. Przynajmniej nie na tyle, żeby ocalić Go od ukrzyżowania. Nie wydaje ci się, że gdyby się bardziej postarał, to zdołałby przekonać więcej ludzi, i to wpływowych?

- Faryzeuszy?

- Właśnie, faryzeuszy - zgodził się. - Tych, którzy mieli wypatrywać Mesjasza. I spartaczyli robotę. Nie rozpoznali Go. - Wzruszył ramionami. - Naturalnie nie chcę, żeby to samo mnie spotkało.

- Ciebie, czyli Antychrysta?

Lekko skłonił głowę.

- Więc próbujesz ich przekonać. Jak?

- Przynosząc im dowody. Przeoczone przepowiednie, które wypełniłem. Zupełnie tak jak Jezus wypełniał prorocstwa i czynił cuda na dowód tego, kim jest.

Z coraz większym trudem przychodziło jej zachowanie spokoju.

- A jakie przepowiednie wypełniłeś?

Wydawał się rozczarowany jak nauczyciel mówiący do mało pojętnego ucznia.

- Żadnej... jeszcze. Znasz przepowiednie dotyczące Antychrysta?

- Powoli poznaję.

- „I czyni wielkie znaki, tak iż nawet każe ogniewi zstępować z nieba na ziemię na oczach ludzi”. Apokalipsa, rozdział trzynasty. To o mnie. To moja przyszłość. Już nie mogę się doczekać.

Zdała sobie sprawę, że on mówi poważnie. Widać to było w jego oczach. Nie udawał, nie kłamał.

- Co to ma wspólnego z nami, ze mną i Bradym?

- Jezus popełnił błąd, bo zawsze miał publiczność. Nikt nigdy nie natknął się na Niego, kiedy na polu unosił owce w powietrze. - Potrząsnął głową. - O nie, musiał nakarmić pięć tysięcy ludzi i wskrzesić Łazarza w obecności tłumu zebranych przy grobie żałobników.

Czekała na dalszy ciąg, ale Scaramuzzi nie kontynuował.

- No i?

- I dlatego, że zawsze czynił cuda na oczach ludzi, wyglądały na zaplanowane. Jakby były obliczone na wywołanie wrażenia. Tak na pewno sądzili faryzeusze. Ja mam podobny problem. Muszę przekonać Radę, ale dowody tracą wiarygodność przez sam fakt, że to ja je przedstawiam.

- Muszą znaleźć własne dowody - podsumowała Alicia.

- Dokładnie. Albo na to, że jestem, kim jestem, a to nie takie proste, skoro niemal wszystkie przepowiednie są już znane, albo na moją szczerość.

- Muszą wiedzieć, że ich nie kantujesz.

- Wiedziałem, że jesteś inteligentna. Przecież prawie mnie znalazłaś.

Postanowiła zaryzykować i powiedzieć, co myśli.

- Czyli szaleniec jest lepszy od oszusta?

Nie zbiło go to z tropu.

- Szaleniec nie byłby w stanie funkcjonować pod tak baczną obserwacją jak ja.

- Mógłby, i to znacznie lepiej. Bez presji.

- Więc wszyscy powinniśmy być szaleni. Abstrahując, dowód mojej szczerości wystarczyłby, żeby zaskarbić sobie zaufanie moich szacownych kolegów.

- Okay.

- Najlepiej, żeby się dowiedzieli, iż oparłem się na przepowiedni, aby zrealizować swoje egoistyczne zamiary. Nie na pokaz oczywiście, bo ta przepowiednia była im nieznana.

Potrząsnęła głową.

- Mam niesamowitego teologa, który wynajduje przepowiednie pasujące do mojego życia. Współpracuje też z teologami Rady. Ma wgląd do tego, nad czym akurat pracują. Kilka miesięcy temu przyszedł do mnie z przepowiednią, na którą się natknął. O ile się nie mylę, prorokini Priscilli: „Ten kto nosi ogień otchłani, obali człowieka grzechu”. Okazuje się, że w czasach Priscilli, czyli w pierwszym wieku, „nosić” oznaczało pamiętanie czegoś, co się widziało. „Obalić” znaczy zabić. Otchłań to piekło, oczywiście, a ja... no cóż, ja jestem człowiekiem grzechu. - Uśmiechnął się widząc niedowierzanie Alicii. - Takie już są przepowiednie. Wymagają egzegezy. Analizuje się każde słowo, jego znaczenie w kontekście całości oraz w kontekście historycznym, a także w relacji do innych znanych przepowiedni. To cud, że ktokolwiek coś z tego rozumie i że teologom udaje się osiągnąć konsensus. Jeśli chodzi o przepowiednię Priscilli, to obecnie egzegeci szukają potwierdzenia w innych pismach profetycznych, od Montanusa do Tertuliana na przykład i w symbolice języka używanego przez Daniela i Jana. Na razie można ją tłumaczyć tak: „Antychryst zostanie zabity przez kogoś, kto widział piekło”.

- Piekło? Jak to... - Wtedy zrozumiała. Przynajmniej częściowo. - Doświadczenia bliskie śmierci - powiedziała. - Zabijasz ludzi, którzy twierdzą, że widzieli piekło podczas doświadczenia bliskiego śmierci. I to z powodu przepowiedni, co do której nikt nie jest pewien.

- Przepowiednia zostanie potwierdzona. Prawie zawsze tak się dzieje, kiedy docierają do tego etapu badań. A nawet jeśli nie, to i tak spełni swój cel.

- Nie rozumiem - powiedziała.

- Rada musi tylko sądzić, że ja sam w nią wierzyłem i usiłowałem jej przeciwdziałać bez ich wiedzy. Założą wtedy, że robiłem to nie dlatego, żeby im zaimponować, ale by chronić siebie przed prorokowaną groźbą. Dlatego muszę być tym, kim twierdzę, że jestem. Albo przynajmniej sam w to wierzyć.

- Czyli udowodnisz, że jesteś albo Antychrystem, albo szaleńcem, ale nie oszustem.

- Kiedy już z tym się uporam, moja praca będzie nieporównanie łatwiejsza.

Próbowała odtworzyć jego plan jeszcze raz w głowie od początku do końca. Kiedy natrafiła na przeszkodę, powoli wypowiedziała swoje wątpliwości.

- Ale ten plan wymaga, żeby sami się dowiedzieli, co robisz. Nie mógłbyś zwracać na to ich uwagi, a nawet powinieneś starać się to przed nimi ukryć.

Scaramuzzi pokiwał głową. Przyglądał się, jak Alicia składa kawałki układanki.

- Potrzeba by sporego rozgłosu. Na przykład w mediach.

Jego usta rozciągnęły się w łisim uśmiechu.

- Tego nie gwarantują już nawet seryjne morderstwa - powiedziała. - Ale zabójstwo agentów FBI pracujących nad tą sprawą z pewnością by pomogło. - Spojrzała na niego, szukając potwierdzenia.

Udał, że przeszedł go dreszcz.

- Uuu... Bardzo sprytnie. Musiałem atakować szybko, zanim złapiecie mojego człowieka w akcji.

- Twojego zabójcę. - Jej głos brzmiał twardo i ostro.

- Sensacyjne zabójstwo dwójki agentów FBI skupiłoby uwagę wszystkich na śledztwie, które prowadzili, czyli na seryjnych morderstwach. Na pewno wypłynąłby też związek z doświadczeniami bliskimi śmierci.

- Członkowie Rady wiedzą już o tej przepowiedni?

- Nie, ich teologowie przedstawiają im tylko potwierdzone proroctwa albo proroctwa przyniesione przez moich uczonych, które trzeba niezależnie zweryfikować. Dzięki temu moje działanie za ich plecami staje się jeszcze bardziej wiarygodne.

- Ale jeden z teologów niewątpliwie słyszałby o morderstwach przemienionych i...

- Kogo?

Nie znał tego terminu. Nie rozmawiał z ojcem McAfee tak jak ona. Wykorzystał go tylko to stworzenia listy ofiar.

- Przemienionych - powtórzyła. - Czyli tych, którzy przeżyli doświadczenie bliskie śmierci. Jeden z teologów usłyszałby o morderstwach i zwrócił na ten „zbieg okoliczności” uwagę Rady, która z kolei zbadałaby sprawę i wykryła prawdę.

- To jeden z możliwych kanałów komunikacji. Więcej możliwości to większe prawdopodobieństwo sukcesu. Wykorzystałem więc również wasze Biuro Planowania Kryzysowego. BPK założył przodek jednego ze Strażników. Żyjemy w... symbiozie. Oni również skontaktowałiby się z Radą w sprawie śmierci dwóch agentów, których ostatnio pomagali namierzyć. Strażnicy, jak powiedziałaś, odkrywszy, że to ja stoję za morderstwami, doszliby do wniosku, że muszę być szczery, skoro próbuję zniszczyć tego, kto według przepowiedni ma zniszczyć mnie.

- I to za ich plecami - dodała, ciągle starając się pojąć zawilóści planu Scaramuzziego i jego czystą nikczemność.

- Oni naturalnie chcieliby mnie namówić, żebym przestał na oślep atakować taką rzeszę ludzi. Kiedy do króla Heroda dotarła wieść, że trzech mędrcy przybyli uczcić narodziny zapowiadanego Mesjasza, nakazał uśmiercić wszystkich chłopców do lat dwóch w Betlejem i jego okolicach. Potworna rzeź, a wszystko na nic, bo Józef i Maria uciekli do Egiptu z maleńkim Jezusem, a Herod nie dopiął swego. W przypadku tej nowo odkrytej przepowiedni na mój temat mądrze byłoby poczekać, aż wrogowie się ujawnią, po czym dowiedzieć się, który lub którzy z nich byli kiedyś reanimowani.

Mówił z takim przekonaniem, jakby to była prawda.

- Będę musiał przekonać Strażników, że zaślepiiony złością i obawą nie myślałem jasno - ciągnął dalej. - Nieco nadszarpię to moją reputację, ale za to da mi kontrolę nad środkami, które mi powierzono. To niewielka cena za zaufanie, które sobie zjednam.

- Więc Brady i ja jesteśmy racą, która ma rzucić światło na te seryjne morderstwa? A zabójstwa zleciłeś po to, żeby sprawić pozory, iż martwisz się przepowiednią?

Scaramuzzi zmrużył oczy w zamyśleniu, po czym skinął głową.

- Właśnie.

Podniósł się. Rozmowa dobiegła końca.

Alicia chciała się rzucić na niego, opleść palcami jego szyję i nie puścić, dopóki jedno z nich nie padnie trupem. Powstrzymała ją fala mdłości i zawrót głowy.

Wyszedł z celi i zamknął drzwi. Znów rozległ się metaliczny szczęk i elektroniczny sygnał. Uśmiech mężczyzny świadczył o tym, że świetnie się bawił, widząc, jak oniemiała z wściekłości.

- Nie przejmuj się - powiedział z udawaną szczerością. - Ludzie codziennie umierają ze znacznie błahszych powodów. Całe bataliony tracą życie, szturmując wzgórze, bo jakiś generał chciał powtórzyć imponujący manewr, o którym czytał w akademii.

Podszedł w stronę jednego z korytarzy, przystanął i odwrócił się do niej:

- Ty przynajmniej wiesz, dlaczego musisz umrzeć.

73.

Nawet przez tanią lornetkę o słabej mocy Brady z dachu hotelu Gloria oddalonego o jedną przecznicę dostrzegł znaki rozpoznawcze, które opisywał Ambrosi. Stromy podjazd po południowej stronie Łacińskiego Patriarchatu. Mur odgradzał go od aktywności na frontowym dziedzińcu seminarium duchownego. Zaraz na prawo wznosił się mur Starego Miasta, a za nim, aż do ulicy Jaffa, za którą zaczynała się nowoczesna część Jerozolimy, rozciągało się usiane drzewami rumowisko. Podjazd był niewielki i sprawiał niepozorne wrażenie. Mógł być na przykład tylną dróżką dojazdową, jak pewnie sądziła większość seminarzystów. Z wysokości piątego piętra Brady sięgał wzrokiem aż na sam dół podjazdu, gdzie bruk stawał się poziomy. Nie widział metalowych drzwi, o których mówił Ambrosi, prowadzących do odgradzonej murem części piwnic seminarium i biegnących pod spodem tuneli. Budynek wzniesiono z żółtawożółtego kamienia jerozolimskiego. Był pięknie wykończony, ale prostokątny kształt i małe, równo rozmieszczone okna nadawały mu wygląd więzienia.

Obserwował jakiegoś człowieka, który schodził właśnie podjazdem od strony głównego parkingu seminarium. Na dole zatrzymał się na moment, po czym otworzył drzwi. Kiedy się zamknęły, postać znikła. Ta chwila przed drzwiami świadczyła, że były zamknięte na klucz.

Brady zlustrował okolicę. Podjazd kończył się betonową ścianą wysoką na około trzy metry, która łączyła szczyt muru z poziomem terenu. Nad jej krawędzią zwieszały się krzewy.

Zostawiając lornetkę, schował do kieszeni kilka spośród leżących na dachu kamyczków i zszedł schodami do lobby. W hotelowym sklepie z pamiątkami kupił paczkę gum do żucia i wychodząc, skinął głową recepcjoniście. Poszedł dziarskim krokiem ulicą Łacińskiego Patriarchatu, aż znalazł się na parkingu. Teraz, idąc niespiesznie, dotarł do ostatniego rzędu, jakieś osiemnaście metrów od miejsca, gdzie zaczynał się podjazd. Wiązy sięgające dachu czteropiętrowego budynku seminarium ocieniały całą południową część parkingu.

Czuł się osłonięty cieniem, ale z własnego doświadczenia wiedział, że to poczucie bezpieczeństwa było fałszywe. Przechodnie w cieniu drzew byli całkowicie widoczni. Na parking skręcił minivan. Gdy samochód powoli go mijał, Brady udawał, że szpera w

kieszeniach, szukając kluczy. Minivan zaparkował na wolnym miejscu jakiś tuzin wozów dalej w kierunku głównej bramy seminarium. Wysiadło z niego trzech mężczyzn w wieku dwudziestu paru lat. Ubrani byli identycznie w ciemne spodnie, białe koszule i czarne krawaty. Ruszyli w stronę drzwi, nie oglądając się na Brady'ego.

Kiedy zniknęli, poszedł w stronę dalszego końca parkingu. Przekroczył jakiś uwiędły krzak i stanął między podjazdem a murem Starego Miasta. Z tamtego miejsca mógł spojrzeć w dół podjazdu. Teraz miał metalowe drzwi w zasięgu wzroku. Były szerokie, czarne, nabijane nitami. Wyglądały na ciężkie, przypominały drzwi do skarbcza. Obok nich na kamiennej ścianie, na wysokości około półtora metra, umieszczona była niewielka klawiatura.

Dotarł do tylnej ściany podjazdu. Mur Starego Miasta załamywał się tutaj do wewnątrz, otaczając łukiem tył budynku seminaryjnego. Ziemia była tu pokryta darnią, gdzieś tam przyozdobiona falującymi na wietrze krzewami. Podjazd był na tyle szeroki, że zmieściłaby się na nim ciężarówka, która musiałaby niechybnie wycofać, żeby rozładować towar. Rozejrzawszy się szybko, czy nikt nie patrzy, Brady ukląkł, a potem położył się na brzuchu za krzakami. Sięgnął do tyłu i dotknął kolby pistoletu Kimber tkwiącego w przypiętej do paska na plecach kaburze. Przynajmniej nie wypadł. Avi dał mu jedyną kaburę, jaką miał. Była otwarta dołem, więc tłumik mógł prześliznąć się przez otwór, słabo też pasowała do tego typu broni. Rozpakował gumy i dwie włożył do ust.

Czekał. Pięć minut... Dziesięć... Przyglądał się bandażom owiniętym wokół lewej ręki. Były postrzępione i brudne, na środku dłoni widoczna była podłużna brązowa plama krwi. Zamknął pięść i znów rozwarł. Nie czuł bólu, a tylko ucisk, jakby dłoń była ciasno owinięta drutem. Mimo wszystko był wdzięczny, że zranił lewą rękę. Prawą strzelał, a za swoją celność nie ręczył nawet, kiedy miał dobry dzień. Malika wprawdzie trafił. To nic, że w ramię, a celował w klatkę piersiową, ale w końcu tamten zginął, a on żył. O tym musi pamiętać, kiedy będzie robił to, co właśnie zamierzał.

Rozległ się odgłos kroków na podejździe.

Brady się cofnął. Rozchylił gałęzie. Podjazdem schodziło dwóch mężczyzn, z których jeden trzymał jakieś pudełko. Zajęci byli rozmową - o czymś zabawnym, jak można było sądzić po uśmiechach i chichocie - ale w języku, którego Brady nie rozumiał. Zatrzymali się przy drzwiach i ten, który miał wolne ręce, wstukał kod na klawiaturze. Zbyt szybko, żeby Brady mógł zobaczyć. Mężczyzna otworzył drzwi i przytrzymał je dla swojego towarzysza. Następnie sam wszedł i drzwi zaczęły powoli się zamykać, tak samo jak wtedy, kiedy Brady obserwował je przez lornetkę. Samozamykacz hydrauliczny zamontowany do ościeżnicy gwarantował, że w końcu się zatrzasną, choć nie spieszyły się.

Brady przykucnął, przekroczył krzewy, chwycił się muru i opuścił. Opadł na chodnik, lądując na palcach. Dwie sekundy później przyciskał klatkę piersiową i policzek do ściany przy drzwiach, które od framugi dzieliło jeszcze czterdzieści centymetrów.

Przez szczelinę dobiegały głosy. Były blisko.

Brady wyjął dwa kamyczki z kieszeni, przyłożył je do ust i przycisnął do nich gumę do żucia. Ugniótł ją palcami, zadowolony z rozmiaru i twardości oklejonego nią kamyka. Nie patrząc, wsunął dłoń za krawędź ościeżnicy.

Nikt nie wrzasnął... jeszcze.

Małym palcem namacał wnękę, w którą wchodziła zapadka. Wetknął tam kamyk oklejony gumą i cofnął rękę.

Jeśli po zamknięciu i zaryglowaniu drzwi zapalała się lampka, i jeśli wchodzący byli dość zdyscyplinowani, żeby na nią zważać, no cóż, wtedy będzie niewesoło. Systemy zabezpieczeń były jednak tylko tak skuteczne, jak uważni byli ludzie z nich korzystający, a czujność z czasem ulega osłabieniu. Teraz na to właśnie liczył.

Drzwi się zamknęły. Nie rozległ się trzask ani elektroniczny sygnał.

Począł czekać trzydzieści sekund. Pociągnął za klamkę, ale drzwi nie drgnęły. Poczł ucisk w żołądku. Szarpnął mocniej. Drzwi ustąpiły z cichym kliknięciem. Zerknął szybko do wewnątrz, ale nie zobaczył nikogo. Wszedł do środka stopą przytrzymując drzwi. Wewnątrz nie było klawiatury, na skrzydle zaś zamontowany był drążek naciskowy. Drzwi miały za zadanie powstrzymać intruzów z zewnątrz raczej niż zagrażać wyjściu. Wygrzebał gumę i kamyczki z wnęki zatrzasku i wyrzucił je na bruk.

Pomieszczenie było ciemne, oświetlone jedynie znakiem wyjścia nad drzwiami. Czekał, aż oczy przyzwyczają się do mroku. W powietrzu unosił się zapach stęchlizny i rdzy. Powoli jego oczom ukazało się pomieszczenie wielkości osiedlowego sklepika. Całe z betonu i kamienia. Monstrualnych rozmiarów stary bojler, taki sam piec i różne inne sprzęty majaczyły w cieniu dalszej części pomieszczenia jak przyczajone zwierzęta. Nieco bliżej niego stały pudła oblepione zaschniętą farbą, drewniane skrzynie i narzędzia ogrodnicze, które odnalazły już chyba swoje miejsce wiecznego spoczynku. Otoczenie przywiodło Brady'emu na myśl atrakcję disneyowskiego parku rozrywki, bardzo wiernie odtworzoną. Nic natomiast nie zagrażało mu drogi do drzwi na lewej ścianie. Te też były metalowe, ale nieco zardzewiałe i powgniatane. Obok nich w ścianie umieszczona była skrzynka bezpiecznikowa.

Podszedł do drzwi i pomacał ich krawędź. Przylegały mocno pomimo prowizorycznego wyglądu. Za skrzynką odnalazł klawiaturę. Gumowe przyciski podświetlone były od wewnątrz.

Poczuł raczej niż usłyszał głuchy pomruk.

Cofnął się o krok w obawie, że stare drzwi zaraz ustąpią pod ogromnym naporem. Wtedy zdał sobie sprawę, że dźwięk dobiega zza drugich drzwi, z zewnątrz. Rozległ się pisk hamulców. Po podjeździe wtoczyła się ciężarówka. Brady podbiegł do bojlera i skrył się za nim. Tam ciemność była nieprzenikniona. Zewnętrzne drzwi otwały się na oścież. Do wewnątrz wpadły oślepiające promienie słońca. W wejściu pojawiła się rozmyta sylwetka mężczyzny, lecz zaraz się cofnęła. Zagrzechotał łańcuch. Zaskrzypiały zawiasy i drzwi uderzyły w bok ciężarówki. Rozległ się warkot niewielkiego silnika: podnośnik hydrauliczny.

Pojedynczy ostry dźwięk sprawił, że skóra Brady'ego napięła się: szczęknięcie, gardłowe i wściekle.

- Freya! - krzyknął mężczyzna.

Brady wcisnął się jeszcze głębiej za bojler. Przykucnął i zamknął oczy. Nie było właściwie powodu, żeby miał dojść do takiego właśnie wniosku, ale on wiedział. Po prostu wiedział: byli tu. Śledzili go aż tutaj.

Coś załomotało na zewnątrz.

- Uważaj! - odezwał się ten sam ostry głos.

Ktoś wymamrotał przeprosiny.

Brady podniósł się i spojrzał pomiędzy dwiema rurami.

Do środka wszedł mężczyzna, na początku widać było jedynie kontury jego przysadzistej sylwetki podświetlone słońcem. Podszedł do skrzynki i otworzył ją. Brady dostrzegł zrobioną na drutach wełnianą koszulę, szal z futra narzucony na masywne ramiona i pasma długich włosów. Przybysz odwrócił głowę w momencie, kiedy wewnętrzne drzwi otwały się z kliknięciem. W sercu Brady'ego zakrzepła kostka lodu, która ścinała mu krew w żyłach. To wiking.

Inny mężczyzna wszedł do środka, ciągnąc metalowy wózek. Kółka szczęknęły o próg. Na wózku leżały cztery transportery dla psów, w jakich przewozi się zwierzęta w lukach bagażowych samolotów. Plastikowe, z otworami w górnej części boków, zamykane na drzwiczki z chromowanej kratki.

Światło bladło w miarę, jak powoli zamykały się drzwi.

Psy zaczęły warczeć. Jeden zaszczekał, inne zaraz się przyłączyły. W mgnieniu oka zaczęły wściekle ujadać, jakby walczyły o zdobycz.

Wiking podniósł dłoń, żeby zatrzymać mężczyznę z wózkiem. Spojrzał na psy i wepchnął palec przez kratkę drzwiczek.

- *Er eitthvað að?* - spytał.

Obrócił się twarzą w stronę bojlera i zbliżył się o krok. Zatrzymał się, powoli przesuając wzrokiem po sprzętach.

- Szczury - odezwał się tamten z włoskim akcentem. - Czasami koty się tu za nimi zapędzą.

Wiking się nie poruszył. Po piętnastu sekundach obejrzał się na psy, które nadal szalały.

- *Hattu? essu!* - powiedział. Cztery sylaby zabrzmiały jak strzał z biczka.

Zwierzęta natychmiast się uspokoiły. Jedno zaskomlało, po czym również ucichło.

Znów obrócił się do bojlera.

- *Er einhver hér?* - spytał. Potem odezwał się głośniejszym głosem - Daj mi latarkę.

- Nie mam - padła odpowiedź. W głosie drugiego mężczyzny pobrzmiewała frustracja.

- *Affrettarsi!* Arjan czeka!

Wiking się zbliżył. Brady ostrożnie opuścił się na podłogę, aż położył się płasko na brzuchu. Przyłgął ciałem do podstawy bojlera. Była szorstka, tłusta i śmierdziała przypalonym mięsem. Drobnymi ruchami przyciskał się jeszcze mocniej, jakby chciał się stopić z metalem. Przyszła mu na myśl obietnica, jaką złożył w drodze do Oakleyów. Zach prosił go: „Nie pozwolisz, żeby ten człowiek z psami cię dopadł. Dobra?”.

Dobra, Zach. Staram się.

Rozległ się odgłos kroków. Wiking zatrzymał się przy tylnej ścianie. Przyglądał się podłużnej przestrzeni poza stojącymi tam urządzeniami, prześlizgując się wzrokiem ponad Bradym. Zmrużył oczy, po czym obrócił głowę. Brady'emu wydawało się, że mężczyzna zmierza wejść w głąb pomieszczenia i sprawdzić tylną ścianę, żeby się upewnić. Przypomniawszy sobie o pistolecie i zastanowił się, na jaki ruch może sobie pozwolić bez zwrócenia uwagi tamtego. Dlaczego wcześniej go nie wyciągnął? Zaciśnięte pięści miał złożone pod klatką piersiową. Wsunął prawą rękę... bardzo powoli. Liście prędkiej rudzieją na jesieni.

- Olaf? *Affrettarsi!*

Wiking o imieniu Olaf odchrząknął, odwrócił się i odszedł sztywnym krokiem.

- Chodźmy! - zakomenderował.

Przednie kółka wózka szczyknęły o kolejny próg.

Brady podniósł się i zerknął między rurami. Białe światło dochodziło z korytarza za zardzewiałymi drzwiami. Tył wózka ciągle wystawał na zewnątrz. Włoch ciągnął go mozolnie, co jakiś czas przystając.

- *Vaffanculo!* - warknął.

Coś zawadzało i wózek nie mógł przejechać.

- Odsuń się - rzucił Olaf z głębi. - Ja to wciągnę. - Nagle wózek skoczył naprzód. Jego tylne kółka odbiły się od progu. Drzwi zaczęły się zmykać.

Brady wysunął się zza bojlera, cicho podbiegł do drzwi i przycisnął się do ściany obok. Zajrzał. Żarówka o słabej mocy zwisała z drutu, rzucając mętną poświatę na ściany pomieszczenia prymitywnie wykutego w kamieniu. Dziewięć metrów wysokości. Drzwi mieściły się wysoko na ścianie, blisko sufitu. Od nich łagodnym skosem opadała metalowa kładka aż do pozbawionego drzwi wyjścia z pomieszczenia. Poręcze po obu stronach podestu chroniły wchodzących przed spadnięciem. Stalowe kółka wózka nie obracały się, a sunęły po skrzypiącej kładce, głośno protestując.

Transportery zasłaniały Olafa i Włocha przed wzrokiem Brady'ego. A to znaczyło, że oni również go nie widzą. Skulony przekroczył próg i wszedł na kładkę. Jeden z psów zaczął warczeć gardłowo. Brady zsunął się z krawędzi i trzymając się rękami zwiśł z kładki wysoko nad podłogą, na wypadek gdyby któryś z tamtych się obejrzał. Słyszał kliknięcie drzwi, które zamknęły się za nim. Odezwał się pulsujący ból w zranionej ręce, wysyłając prąd elektryczny po jego ciele. Na czole pojawiły się krople potu. Jedna spłynęła mu do oka. Zamknął je. Drugim zobaczył, że ciemna strużka płynie z dłoni po nadgarstku, gdzie kropla nabrzmiała i spadła. Rozbryznięła się na jego czole.

Usłyszał, jak najpierw przednie, a potem tylne kółka wózka zjechały z kładki. Odciążony podest zakołysał się.

- Weź to - powiedział Olaf. Słowa rozniosły się lekkim echem.

Kółka piszczały coraz ciszej, oddalając się.

Brady wywindował się na podest. Otarł brwi przedramieniem. Krzywiąc się, zobaczył, że bandaż na dłoni przesiąknięte są czerwienią. Obrócił się twarzą do tunelu i serce mu zamarło. W kamieniu powyżej wejścia wyryty był głęboko duży symbol słoneczny - swastyka Scaramuzziego, tak nazwał go Ambrosi. U progu jego siedziby ten znak mógł być ostrzeżeniem. Z chłodną determinacją wyjął pistolet i odciągnął suwadło, aż jego oczom ukazał się mosiężny nabój w komorze. Odbezpieczył. Wciągnął powietrze w płuca i ruszył kładką do tunelu.

74.

W prawo czy w lewo? Na kamiennej podłodze nie zostawał żaden ślad kroków poprzedników. Nie było odcisków butów ani poruszonej ziemi. Na suficie w obie strony ciągnął się drut, z którego zwisały zapalone żarówki rozmieszczone zbyt rzadko, żeby dostatecznie oświetlić tunel. Najdrobniejszy dźwięk odbijał się od ścian, tak że nie sposób było rozpoznać, skąd pochodził. Słyszalny z oddali stukot kół wózka, który wjechał do tunelu, mógł dobiegać z którejkolwiek ze stron.

Brady skręcił w lewo.

Tunel lekko opadał i zataczał łagodne łuki to w jedną, to w drugą stronę, jakby budujący go robotnicy raz za razem zbaczali i wyrównywali kurs. Stuk butów Brady'ego był zbyt głośny, oznajmiając jego obecność i uniemożliwiając mu nasłuchiwanie zbliżających się kroków czy innych dźwięków, które mogłyby go naprowadzić na właściwą drogę. Próbował stąpać ciszej, na palcach. To spowolniło go w marszu, ale nie dało zamierzonego efektu. Zdjął więc buty i niósł je w dwóch palcach lewej ręki.

Po jakichś stu krokach dotarł do miejsca, gdzie korytarz rozgałęział się w prawo. Zajrzał w głąb zza rogu. Parę metrów w głębi powierzchnie nowego tunelu ginęły w nieprzeniknionych ciemnościach. Dochodził stamtąd powiew, który studził pot na jego twarzy. Spojrzał głębiej w oświetlony korytarz. Dalej to samo.

Co lepsze, oświetlenie czy powiew? - zastanawiał się. - Te światła są tu z jakiegoś powodu. Ale podmuch powietrza wskazuje przecież jakieś ujście, może szyb wentylacyjny jakiegoś używanego pomieszczenia.

Ten argument przemówił do Brady'ego najlepiej, wszedł więc do ciemnego tunelu. Tutaj spadek był bardziej stromy, przez co szło się szybciej. Pistolet trzymał przy twarzy skierowany lufą w górę, w pozycji znanej w FBI jako pół-sabrina od pamiętnej pozy Kate Jackson w Aniołkach Charliego (ona trzymała broń oburącz, stąd pełna sabrina). Dzięki temu mógł co jakiś czas wysuwać łokieć i trącać nim ścianę, co pozwalało mu zachować orientację w ciemnościach. Co jakiś czas ściany skręcały w bok, kiedy jego korytarz zbiegał się z innymi. Czasem podmuch zmieniał nasilenie i Brady odkrywał odgałęzienie tunelu po przeciwnej stronie. Zawsze się zatrzymywał, usiłując rozróżnić jakieś nowe zapachy, dźwięki lub wypatrując światła dochodzącego z głębi. Każdy korytarz wydawał się tak samo

anonimowy, jak ten, którym szedł, nie zbaczał więc z kursu.

W pewnym momencie zauważył, że zaczyna w tunelu rozróżniać wcześniej niezauważalne kształty: wystający kamień, głębszy cień w miejscu, gdzie wpadała odnoga. Skądś sączyło się światło, chociaż bardzo słabe. Tunel skręcił i ciemność stopniowo zmieniała się w półmrok. Przeszedł łuk korytarza i zatrzymał się. Jakieś sto metrów dalej tunel wpadał do oświetlonego pomieszczenia. Brady miał ochotę rzucić się biegiem, ale powstrzymał się. Zamiast tego ruszył powoli i ostrożnie, idąc tak blisko ściany jak tylko mógł, nie ocierając się o nią.

W pomieszczeniu jednak nie było jasno, jak się spodziewał, a tylko tak się wydawało w porównaniu z nieprzeniknionym korytarzem. Zbliżywszy się na metr do wejścia omiół wzrokiem widoczną partię sali, przeskoczył się na drugą stronę tunelu i zlustrował pozostałą część. Jeszcze raz szybko rzucił okiem na najbliższe otoczenie, w lewo i w prawo, po czym wszedł do środka. Źródło światła stanowiła żarówka zawieszona pod aluminiową osłoną wysoko pod sufitem na środku pomieszczenia. Sklepienie wznosiło się na kamiennych żebrach na wysokość około dziesięciu metrów. Znajdował się w ośmiobocznej komnacie. Na każdej ścianie mieściło się ozdobione łukowatym portalem wejście do ciemnego korytarza. Z przynajmniej jednego z nich dobiegał ledwie słyszalny odgłos dudnienia, ale nie sposób było rozpoznać, z którego dokładnie. Jakieś niewyraźne ludzkie głosy to nasilały się, to znowu cichły, ale ani przez chwilę nie były głośniejsze niż lekki szmer wiatru. A może to tylko szum jego własnego tętna?

Brady poczuł, że siły go opuszczają. Westchnął i zgarbił ramiona. Zaczęło do niego docierać, jak trudne czeka go zadanie. I nie chodziło o uwolnienie Alicii, ale o to, żeby ją w ogóle odnaleźć. Tunele ciągnęły się kilometrami we wszystkich kierunkach. Prawdopodobieństwo trafienia na korytarz prowadzący do Alicii było nieskończenie małe.

Okrążył pomieszczenie w nadziei, że przechodząc koło portali, znajdzie jakąś wskazówkę. Wrócił na środek sali i wtedy zorientował się, że nie wie, którym korytarzem tu trafił. Sprawdzając każdy jeszcze raz, odnalazł trzy, które się wznosiły - mógł tu wejść każdym z nich. Z pozostałych pięciu, z których trzy były poziome, a dwa opadały, wybrał jeden na chybił trafił. Na progu położył kamyk. Spojrzał na zegarek. Żałował, że nie ma survivalowego zegarka z wbudowanym kompasem.

Brady szedł prosto jakieś cztery minuty, aż znalazł korytarz oświetlony sznurem żarówek. Nie miał pojęcia, czy to ten sam tunel, do którego wszedł na początku. Trzymał się go, mijając inne korytarze, niektóre oświetlone, inne ciemne jak sadza. Tunele bardzo różniły się od siebie. Wiele z nich było bardzo wąskich, niektóre wymagałyby posuwania się bokiem.

Inne znów były całkiem szerokimi alejkami, ale nie wyglądały bardziej obiecująco niż reszta. Niektóre mogły się poszczycić starannymi wykończeniami ścian - wypolerowanych na wysoki połysk albo zdobionych złożonymi trójlistnymi ornamentami, kolumnami czy łukami, inne zaś były wykute w kamieniu jakby za pomocą prymitywnych narzędzi. W jednym z takich grubo ciosanych korytarzy Brady zauważył na podłodze sadzawkę wody. Podejrzał, że różnorodność wzornictwa i wykończeń odzwierciedlały podziemne ambicje zmieniających się przez wieki władców.

Po dwudziestu minutach od opuszczenia ośmiokątnej komnaty trafił do kolejnej, identycznej. Skręcił tylko raz pod kątem dziewięćdziesięciu stopni, zaś korytarz, którym szedł, zatoczył tylko nieznaczny łuk, jednak Brady sprawdził, czy nie leży tam zostawiony przez niego kamień. Nie znalazł go. Tym razem trzy z korytarzy były oświetlone. Wybrał jeden, zostawił dwa kamyki - jeden oznaczał tunel skąd przyszedł, drugi ten, w który zamierzał wejść - po czym ruszył dalej.

Wszędzie korytarze. Czasem miał wrażenie, że niektóre biegną równoległe do siebie, oddzielone murem grubym zaledwie na dłoń. Podejrzał, że podłoga tuneli wznosiła się i opadała, by ominąć inne korytarze prowadzące powyżej i poniżej. Labirynt zniekształcał cienie i dźwięki, jakby były giętkimi przedmiotami, których sprężystość wykracza poza granice rozsądku i praw fizyki. Korytarzami, które wydawały się krótkie, szło się czasem przez pięć minut. Za to tunel wyglądający, jakby ciągnął się w nieskończoność, mógł równie dobrze być zamknięty pogrążoną w mroku ścianą, zmuszając Brady'ego, by zawrócił. Co jakiś czas z przecinających się korytarzy dobiegały go głosy. Zazwyczaj brzmiały obco, ale raz był pewien, że rozpoznał słowa „szczerze” i „ich dwoje”. Kiedy tylko kierował się w ich stronę, wszystkie dźwięki - nawet ten brzęk czy dudnienie, do którego już się przyzwyczajał - rozplywały się, a on znów się zastanawiał, którądy iść.

Przechodził właśnie krótkim korytarzem łączącym dwa oświetlone tunele, kiedy usłyszał odgłos, który sprawił, że zamarł. Pojedyncze szczeknięcie. Natychmiast rozwinęło się w kakofonię warkotu i ujadania. Głośno... blisko... Odgłosy dochodziły zza rogu. Potem rozdzieliły się, jak mgła niesiona bocznym wiatrem. Brady wpatrywał się w załom muru, widoczny jedynie jako granica między czernią a szarością. Zamrugał, nagle niepewny, czy rzeczywiście cokolwiek słyszał. Szczekanie zaczęło się i urwało zbyt gwałtownie, żeby mogło być prawdziwe. Ale jak mógł je sobie wyobrazić? Czy te tunele aż do tego stopnia plątały mu umysł? Wyczuł lekką woń zwierzęcia, jakby klatki w zoo. Otrząsnął się i ruszył dalej. Co innego mu pozostało?

Odwiędził jeszcze cztery ośmiokątne komnaty, zawitał też do jednej, przez którą już

raz przechodził. Szedł dalej, co jakiś czas obracając się, nasłuchując i starając się wyczuć zapachy. Jak to możliwe, że tyle metrów korytarza nie zawierało żadnych śladów bytności człowieka?

W plątaninie ukrytych przed światem tuneli zacierały się granice nie tylko przestrzeni, ale i czasu. Niedługo po opuszczeniu pierwszej ośmiokątnej komnaty spojrzął na zegarek i ze zdumieniem stwierdził, że minęło pięćdziesiąt minut. Oparł się plecami o ciemny mur i dał sobie dziesięć minut na odpoczynek. Kiedy chciał iść dalej, zorientował się, że upłynęły tylko trzy.

Zupełnie stracił orientację i wycucie odległości. Od bruku Starej Jerozolimy mogło go dzielić kilkadziesiąt centymetrów, ale mógł też się znajdować w niezgłębionych podziemiach. Czuł, że równie dobrze może być pod Kopułą na Skale, jak i pod Stonehenge. Skośne mury, wznoszące się i opadające sufity, raz szersze, raz węższe sale, ruchome cienie, zmienna temperatura, sporadyczne powiewy, niewiarygodne odgłosy - Brady poczuł, że traci równowagę, a pogrążony w półmroku tunel kołysze się i obraca wokół niego. Sięgnął ręką ściany, ale to niewiele pomogło. Zatoczył się i twardo usiadł na ziemi. Poczul zawroty głowy. Zamknął oczy. Teraz wydawało mu się, że to nie tunel wokół niego, a on sam wiruje, co jakiś czas zwalniając, jak podczas przejażdżki na karuzeli. Wziął głęboki oddech.

Kiedy otworzył oczy, nadal znajdował się w tunelu, tak pewnym i niewzruszonym, jak można było się tego spodziewać. Tak wygląda piekło, uznał. Zgubił się w środku labiryntu, a życie Alicii zależało od tego, czy ją znajdzie.

Podpierając się o ścianę, podniósł się na nogi. Szedł dalej, choć stracił wiarę, że znajdzie tutaj jakiegokolwiek życie, a co dopiero Alicię. Będzie się tu błakał, aż padnie. Ktoś kiedyś natknie się na jego kości i zmiecie je na szufelkę.

Po lewej stronie dostrzegł oświetlony otwór w ścianie. Kiedy się zbliżył, by tam zajrzeć, przysły resztki jego i tak już niskiego morale. Zatrzymał się w progu i patrzył w górę na wznoszącą się kładkę, która prowadziła do metalowych drzwi, jakieś sześć metrów nad kamienną podłogą.

75.

To nie mogą być te same drzwi, pomyślał.

Kolana załamywały się pod nim, z trudem dźwigając ciężar porażki. Rzucił buty na ziemię, założył je i schylił się, żeby zawiązać sznurówki. Broń trzymał zawieszoną na palcu wskazującym. Kołysała się, kiedy chwiejnym krokiem wspinał się po podeście, nie zważając na hałas butów po podłożu. Dostrzegł to miejsce, gdzie uwiesił się kładki, żeby tamci go nie zauważyli. Przy drzwiach zatrzymał się i przyłożył dłoń, jakby siłą woli mógł je zamienić w inne. Nacisnął drążek i drzwi ustąpiły.

Piwnica Patriarchatu Łacińskiego. Było tam jaśniej niż powinno. Drzwi zewnętrzne były otwarte, skrzydło właśnie zamykało się powoli. Przy skrzynce bezpiecznikowej stał mężczyzna i wpatrywał się w Brady'ego. Po trzydziestce, miał długie włosy koloru słomy związane w kucyk. I twarz, która zatrzymała niejedną pięść. Miał przynajmniej dwa metry wzrostu i był niewiarygodnie umięśniony. Wyglądał jak chodzący biceps.

Albo mina zdradziła Brady'ego, albo mężczyzna znał wszystkich, którym wolno było tu przebywać, a może ostrzeżono go, że ktoś niepowołany może się tu znajdować - tak czy inaczej natychmiast się zorientował, że Brady jest intruzem. Rzucił mu wściekle spojrzenie.

- *Was machst Du denn hier?* - warknął.

Niemiec, pomyślał Brady. Mężczyzna chciał go chwycić.

Brady cofnął się kilka kroków i podniósł broń.

Niemiec przekroczył próg, na widok pistoletu otwierając szeroko oczy. Wziął zamach potężną pięścią, celując w ramię Brady'ego. Uderzyła w tłumik z siłą kija bejsbolowego. Broń wyfrunęła z dłoni Brady'ego, odbiła się od ściany i zniknęła pod kładką. Kilka sekund później rozległ się stukot metalu na kamiennej podłodze.

Niemiec napierał na Brady'ego, który cofał się w dół po podeście. Mężczyzna bez przerwy zadawał ciosy, prawy, lewy... jak opętany.

„Walczy się po to, żeby zwyciężyć. Broniąc się, nie pokonasz przeciwnika. Miecz jest ważniejszy niż tarcza”.

Te słowa każdy stażysta FBI znał na pamięć, bo instruktorzy powtarzali je do znudzenia. Ich autorem, dość niespodziewanie, był John Steinbeck, który wpajał zasady bitewne rycerzom Okrągłego Stołu w swojej powieści Czyny Króla Artura i jego

szlachetnych rycerzy.

Brady zniżył głowę i zaatakował, wślizgując się między mlójące pięści. Głową trzasnął w mostek tamtego, a ramiona oplótł wokół muskularnego torsu. Na plecy Brady'ego spadł miazdzący cios. W odpowiedzi wymierzył ostre, precyzyjne uderzenie w przeponę Niemca. Rozległ się głuchy odgłos, jakby właśnie walnął w worek mąki. Drugą ręką wziął zamach, nie pamiętając o ranie dłoni aż do chwili, kiedy ból przeszył mu ramię jak metalowy drut i eksplodował w okolicy barku. Dostał pięścią w tył głowy. Na okamgnienie ciemność zamgliła mu myśli, jakby taśma filmowa na moment zsunęła się z rolki, żeby zaraz wrócić na miejsce. Ze wszystkich sił starał się chwycić przytomność jak tonący powietrze.

Niemiec złapał go za włosy i szarpnął w górę. Po skórze głowy Brady'ego coś ściekało - nie wiedział, czy to pot, czy krew. Trzymając jego głowę lewą ręką, olbrzym wziął szeroki zamach prawą i uderzył. Pięść trafiła w szczękę, która przemieściła się w bok. Brady usłyszał trzask. Runąłby na ziemię, gdyby tamten nie trzymał go za włosy. Pięść znów zaczęła się cofać.

Tego ciosu nie wytrzymam, pomyślał Brady z absolutną pewnością.

Instynktownie wyrzucił rękę do przodu. Palce środkowy i wskazujący wyprężył jak szpony i dźgnął Niemca prosto w oczy. Poczł pod palcami coś miękkiego, a potem jakąś ciepłą lepkość. Mężczyzna wrzeszczał w niebogłose z bólu i wściekłości. Rozluźnił uścisk.

Brady zatoczył się w tył, zakręciło mu się w głowie.

Niemiec nie przestawał ryczeć. Jedną rękę trzymał przy twarzy, a drugą wymachując, starał się odeprzeć kolejny atak. Rozsmarował sobie krew na policzku, po czym zamrugał i spojrzał wściekle na Brady'ego swoim jednym, jasnym okiem. Drugi oczodół wypełniała jakaś lepka masa. Wyciekały z niego strużki purpury.

Brady wpatrywał się w niego przerażony.

Niemiec wykorzystał jego moment zawahania. Zbliżył się i jednym szybkim ruchem złapał przeciwnika za kark i wyrznął jego głowę w poręcz podestu. Brady z impetem uderzył brodą i poczuł, jak skóra pęka mu pod naporem stali i kości. Trzymając go za kark w żelaznym uścisku, Niemiec zepchnął twarz Brady'ego z poręczy, tak że teraz metal wrzynał się w jego szyję. Natychmiast poczuł, że poręcz miażdży mu tchawicę i blokuje dostęp powietrza.

Jak przez mgłę Brady przypomniał sobie pewien cios, który zaraz wyprowadził: dłoń-nóż - silne uderzenie w tył, jak wahadło, prosto w pachwinę napastnika. Niemiec gwałtownie wypuścił powietrze z płuc. Zgiął się w pół, ale uścisk na karku Brady'ego nie zelżał. Brady wymierzył cios łokciem w nos trzymanego go mężczyzny. Dał się słyszeć cichy trzask i

jakiś bulgoczący okrzyk.

Mężczyzna zatoczył się do tyłu, a Brady znów mógł nabrać tchu. Gwałtownie zaczerpnięte powietrze było jak chluzt chłodnej wody na płomień, które buzowały w jego płucach. Roztarł gardło i odwrócił się, ciągle oparty o poręcz.

Niemiec rzucił się na niego z twarzą zalaną krwią. Wyciągnął ramiona, próbując otoczyć nimi przeciwnika, a głowę nienaturalnie odrzucił do tyłu. Brady zdał sobie sprawę, że tamten szykuje się do uderzenia głową. Sklepieniem czoła chciał zmiażdżyć delikatne kości twarzy przeciwnika. Taki cios, prawidłowo wykonany, mógł być niezwykle groźny, nawet śmiertelny, a temu facetowi najwyraźniej nie brakowało praktyki. Wyglądał, jakby potrafił zmusić do uległości całą armię.

Umysł Brady'ego buzował jak piec hutniczy. W głowie kłębiły się rozgrzane do białości, zupełnie niezrozumiałe myśli, efekt skrajnej wściekłości i paniki. Kopnął tamtego jeszcze raz w pachwinę, tym razem kolaniem. Niemiec zgiął się w pół. Wyrzwał głową o podest u stóp Brady'ego.

Przygotowany na wyprowadzenie serii ciosów Brady potknął się o leżącego i runął na ziemię. Miał teraz przed oczami ogromne, znoszone buty robocze. Zanim zdał sobie sprawę, co się dzieje, jeden z nich kopnął go w brodę. Głowa odskoczyła mu do tyłu. Wiedział już, o co chodzi w walkach ulicznych - żeby wykorzystać każdy możliwy sposób uderzenia, w jakiegokolwiek pozycji byś się znalazł. Zaczął kopać na oślep ze wszystkich sił. Zacisnął powieki, ufając, że nogi same znajdą cel. Raz! I jeszcze raz! Niemiec nie pozostawał mu dłużny, na dodatek okładając Brady'ego pięściami po udach i biodrach. Każde uderzenie powodowało przeraźliwy ból, który wędrował wzdłuż ciała aż do głowy. Wiedział, że dużo więcej już nie znieśie. Złapał młocące buty tamtego, przyciągnął je do siebie i mocno objął ramionami. Podważył ciało Niemca kolaniem i popchnął. Spleceni razem potoczyli się po kładce objając się o poręcze. Brady popchnął mocniej, manewrując ciałem w stronę krawędzi. Stoczyli się z kładki i runęli w dół, obracając się w locie.

Brady, pchając i ciągnąc, próbował obrócić się tak, żeby znaleźć się na górze. Obaj jednak wylądowali na boku. Powietrze uciekło z ich płuc jakby nagłym wybuchem. Brady odtoczył się na bok, a w tym samym momencie Niemiec uderzył go w żołądek. Cios nie był mocny, ale wystarczył, żeby spowodować falę mdłości. Odsunął się jeszcze dalej, podniósł na kolana i łokcie, z trudem łapiąc oddech. Z ust ściekała mu ślina pomieszana z krwią. Poczul coś twardego i wypluł. Po kamiennej podłodze potoczył się ząb. Macając językiem, doszedł do wniosku, że pozbył się górnego kła, którego Zach nazywał zębem wampira. Zamknął oczy.

Ten facet mnie zabije, pomyślał. To już koniec. Tu i teraz.

Przeciwnik był od niego większy, sprawniejszy i miał wyraźną przewagę w umiejętnościach bojowych. Zarówno atak, jak i bloki Brady'ego były niedokładne, bo nigdy wcześniej się nie bił. Może poza kilkoma zniechęconymi lekcjami w akademii, podczas których próbował sobie wyobrazić, jak zakłada podejrzanemu uchwyt za szyję albo wyprowadza nokautujący cios, jednocześnie analizując zdjęcia z miejsca zbrodni, żeby przeniknąć umysł zabójcy.

Mimo wszystko, jak dotąd szło mu nienaj...

Na jego żebrach wylądował but. Brady zwałił się na ziemię.

Kretyn! - pomyślał.

Zawsze natychmiast podnoś się na nogi. Nigdy nie spuszczaaj oka z przeciwnika. Dwie reguły walki, które zapomniał zaraz po tym, jak je usłyszał.

Podkulił kolana i zwinął się w kłębek, żeby chronić brzuch i klatkę piersiową. Na podłodze, daleko od nich, zobaczył ciemny przedmiot: pistolet. Następne potężne kopnięcie sięgnęło jego łydki. Energia ciosu rozeszła się wzdłuż nogi i wtedy sobie przypomniał...

Zablokował kopnięcie, podciągnął nogawkę spodni, odpiął futerał i wyciągnął nóż, który dał mu Avi. Bez chwili wahania zatopił ostrze w nodze Niemca.

Pomieszczenie wypełniło się wyciem. Mężczyzna zachwiał się. Brady wyszarpnął ostrze, rzucił się naprzód i wbił nóż w drugą nogę przeciwnika, który zwałił się jak ścięte drzewo.

Brady odsunął się i wstał. Czuł przeraźliwy ból w boku, wszystkie nerwy na jego ciele były obolałe. Przez sekundę patrzył, jak Niemiec, wyjąc i jęcząc, najpierw ścisną ranę na prawej łydce, potem chwytą za lewą. Krew, która w mroku przybrała czarny jak ropa kolor, rozlewała się po posadzce, rozcierana miotającym się ciałem.

Brady zatoczył się do tyłu i wpadł na ścianę. Przesuwał się wzdłuż, na wpół tylko świadomy tego, jak chropowata powierzchnia szoruje o jego posiniaczone plecy. Doszedłszy do rogu, uderzył o przylegającą ścianę i dalej przesuwał się wzdłuż niej. Pod kładką. Kiedy znalazł się w pobliżu pistoletu, oderwał się od ściany i podniósł go. Podeszedł do Niemca, który nadal skręcał się z bólu, choć okrzyki ustały. Brady wgniół lufę z tłumikiem w policzek tamtego.

Niemiec zwrócił na niego swoje sprawne oko. Obnażył zęby.

Brady przycisnął mocniej, po czym okrakiem usiadł mu na klatce piersiowej. Przysunął się bardzo blisko.

- Gdzie ona jest? - wydyszał ciężko.

Oko tamtego zwężło się. Widać było, że w głowie mężczyzny kłębią się jakieś kalkulacje. Brady wiedział, że nie ma dużo czasu, zanim tamten zrobi ruch. Przesunął lufę pod jego szczękę, skąd trudniej byłoby ją wytrącić jednym ciosem.

- Dziewczyna - powiedział Brady. - Przyjechała ze Scaramuzzim i Arjanem Vosem parę godzin temu. Gdzie jest?

Niemiec odwrócił głowę i splunął krwią.

- Nic nie wiem o dziewczynie - odparł z pogardą.

Brady głębiej wepchnął lufę. Twarz tamtego skurczyła się z bólu.

- W takim razie Scaramuzzi - powiedział. - Prowadź mnie do niego.

Mężczyzna zaśmiał się i potrząsnął głową.

- *Nein! Nein!* Nikt cię do niego nie zaprowadzi. Lepiej, żebyś ty mnie zabił, niż on.

Brady mu uwierzył. Nie wiadomo było, czy to strach, czy jakaś niepojęta lojalność, oba te uczucia doskonale pasowały do tego, co wiedział na temat Scaramuzziego i jego metod podporządkowywania sobie ludzi.

Wziął gwałtowny rozmach i grzmotnął mężczyznę płaską częścią broni w skroń.

Niemiec zdążył jeszcze wyrazić zdumienie, zanim jego głowa odskoczyła na bok, a z przeciętej skóry trysnęła krew. Nie stracił jednak przytomności. Rzucił Brady'emu wściekle spojrzenie i syknął przez zęby.

Brady wymierzył jeszcze jeden, potężny cios.

Niemiec zaczął się trząść. Złapał za koszulę napastnika i próbował zablokować kolejne uderzenie, ale jego ramię zostało odepchnięte.

Brady raz za razem grzmocił pistoletem w głowę tamtego. W końcu ciało Niemca zwiotczało, stracił przytomność. Brady podniósł wysoko rękę ściskającą broń, gotów ponowić atak. Rany na głowie leżącego krwawiły, ale żył. Dało się odczuć jego oddech nieznacznie unoszący klatkę piersiową. Brady sam dyszał ciężko z wyczerpania. Podejrzewał, że złapanie oddechu utrudniają również połamane żebra. Opuścił broń i pokręcił głową. Znokautowanie człowieka nie było takie łatwe, jak to pokazują w telewizji.

Wstał i powłókł się w stronę wejścia na kładkę. Powoli schował pistolet do kabury na plecach, czując każde napięcie mięśnia i każde zgięcie stawu. Rozważał wyjęcie noża z nogi Niemca, ale zrezygnował. Spojrzał na przejście, za którym ciągnął się labirynt, potem na metalowe drzwi u szczytu kładki, wiodące do piwnicy seminarium i dalej na zewnątrz. Stał tak przez dłuższą chwilę obolały na ciele i duszy.

Ruszył naprzód. W górę kładki, do wyjścia.

Zdołał przejść kilkaset metrów do hotelu Gloria, nie przewracając się ani nie

zwracając na siebie uwagi. Ostrożne powłóczenie nogami, zgarbione plecy i podarte, brudne ubrania bez wątpienia nadały mu wygląd pijaka. Tacy byli w Jerozolimie rzadkością, ale nie aż takim ewenementem, żeby wzbudzić zainteresowanie policji lub skorych do nawracania Samarytan. Wszedł do hotelu od tyłu i wspiął się po krętej klatce schodowej na trzecie piętro. Zapukał do pierwszych z brzegu drzwi, a kiedy nikt nie odpowiedział, wykopał je. W środku przystawił krzesło i oparł je od spodu o klamkę. Wgramolił się na łóżko tak ostrożnie, jakby wchodził do zimnej wody, i położył głowę na poduszce. Zwinął się w kłębek.

Rozpłakał się.

Nadzieja to bezlitosna tortura.

Jest jak szum strumienia dla spieczonych warg. Jak perspektywa miłości dla niekochanego. Cudowny lek dla rodziców umierającego dziecka. Obiecuje zwycięstwo nad nieuniknionym i zachęca, byśmy dalej czołgali się po ostrych odłamkach szkła, a jednocześnie wciąż się cofa, zostając tuż poza zasięgiem. Zwyczajny ból zamienia w agonię, każąc nam wierzyć, że mogło być inaczej. I śmieje się z ludzkości, która mimo tysięcy rozczarowań wciąż wyciąga do niej ramiona.

Brady musiał pozwolić jej odejść.

Nigdy nie miał wrócić do domu. Nigdy nie zobaczy już Zacha... Nie weźmie go w ramiona... Nie będzie patrzył, jak jego syn staje się mężczyzną.

Nie mógł bowiem zostawić Alicii, a nie było szans, żeby pokonał Scaramuzziego w tym podziemnym labiryncie i ją odnalazł.

Bolało go wszystko: czubek głowy, dziąsła, szczęka, bark, żebra, ręka, ramię, nogi... serce.

Z pożądaniem myślał o otepiającym działaniu whisky. Choćby łyk lub dwa. Zrzucił nogi z łóżka i usiadł. Pokój był czysty, choć prosto urządzony. Bez lodówki ani minibaru. Nie szkodzi. Jeśli śmierć miała go zabrać, chciał spojrzeć jej w twarz niczym niezmaconym wzrokiem. Tak jak musiała patrzeć Karen. Bóg jeden wie, jak wiele godzin spędził, rozmyślając nad ostatnimi chwilami jej życia. Nie miał pojęcia, czy widziała nadjeżdżający samochód, czy zauważyła, że nie skręca, że jedzie prosto na nią. A może potracił ją zupełnie niespodziewanie. Biegła, czuła jak mięśnie pracują, jak ziemia daje odpór jej stopom, krew pulsuje w piersi i szyi. Może odmierzała kroki do rytmu muzyki MercyMe w walkmanie - kiedy Brady sprawdził, nagranie zatrzymało się pod koniec utworu *I Can Only Imagine* - a potem... pustka. Ciemność... Bóg... a może coś innego. Brady jednak wierzył, że wcześniej coś jeszcze było, nawet jeśli nie zauważyła samochodu. Choćby na ułamek sekundy przed uderzeniem - może poczuła napór powietrza te kilka centymetrów przed zderzakiem, czy nawet samą wibrację metalu. W tym okamgnieniu wiedziała, że jej życie się skończyło. O czym myślała na końcu? - zastanawiał się często. Do szaleństwa doprowadzała go myśl, że mógł to być niemy krzyk przerażenia albo błagalne „Nieeee!”. Chciał wierzyć, że myślała:

„Żegnaj, Brady... Żegnaj, Zach... Kocham was, chłopaki”.

Zach.

Przyglądał się telefonowi na nocnym stoliku. Musiał zadzwonić. Teraz przyszła jego kolej, żeby się pożegnać.

Miał wrócić do labiryntu z zamiarem odnalezienia i uratowania Alicii. Ale dobrze wiedział, że większe szanse miał wygrać na loterii, kupiwszy jeden los. Nie, nie wyjdzie już z tych piekielnych tuneli. Nie szkodzi. Scaramuzzi wygrał. Przynajmniej Brady odejdzie na własnych warunkach, nie jak tchórz. Zrobi to, co należy.

Był tak przeraźliwie zmęczony. Obolały, wyczerpany i złamany. Śmierć byłaby ulgą. Najtrudniejsze było jednak zostawić Zacha. Ale cóż byłby z niego za ojciec, gdyby zostawił Alicię i nigdy już nie mógł spojrzeć w lustro? Jakim ojcem byłby zgorzkniały, nienawidzący siebie alkoholik? Zachowi lepiej będzie z Kurtem i Kari Oakleyami. Byli zdrowi i szczęśliwi. Otoczą go miłością i wpoją silne wartości.

Zerknął na zegarek. Miał zadzwonić już dwie godziny temu. Wyszperał z portfela nową kartę telefoniczną i ułożył ją na łóżku. Podniósł słuchawkę i po usłyszeniu sygnału wcisnął dziewiątkę. Sygnał zająknął się i przeszedł w ciągły dźwięk. Wstukał dane z karty i wybrał numer Oakleyów.

Zach odebrał jeszcze zanim wybrzmiał pierwszy dzwonek.

- Cześć, młody - przywitał go Brady, siląc się na beztroski ton.

- Tata! Czekałem na ciebie.

- Przepraszam. Coś mi wypadło.

- Nie szkodzi. Gdzie jesteś?

Zawahał się. Nie chciał, żeby Zach się dowiedział, że ojciec okłamywał go do samego końca.

- Nie zgadniesz - odpowiedział. - Jestem w Izraelu.

- Tam gdzie mieszkał Jezus? Nie gadaj! A co tam robisz?

- Śledzę tego bandytę, o którym ci mówiłem.

Zach zamilkł na chwilę.

- Aresztowałeś go?

- Jeszcze nie.

- To niebezpieczne?

- Tak, ale będę uważał.

- Pamiętaj, co obiecałeś?

„I nie pozwolisz, żeby ten człowiek z psami cię dopadł. Dobra?”

Brady zacisnął powieki.

- Pamiętam, pewnie. - Czuł, że coś zaraz rozerwie mu gardło. - Ale słuchaj... Gdyby coś się stało... gdyby...

- Zbudowaliśmy fort! - wypalił Zach przerywając mu w pół zdania.

- Zach, chcę, żebyś mnie wysłuchał. Muszę ci kilka rzeczy powiedzieć.

- Ja już to wiem - rzucił szybko, jakby chciał, żeby jego tato przestał już mówić o tym, co może się stać.

Brady szukał słów, które zwróciłyby uwagę syna, jednocześnie nie wywołując przerażenia. Zanim je znalazł, Zach odezwał się.

- Kochasz mnie. I mama mnie też kochała. I będzie mi dobrze z wujkiem Kurtem i ciocią Kari. I wszyscy się kiedyś spotkamy... W niebie.

- Synu, ja...

- Ale ja nie chcę się spotykać w niebie! - prawie krzyknął. Brady słyszał łzy, choć nie mógł ich zobaczyć. Zach pociągnął nosem. - Mama już tam jest! To wystarczy! Więcej już nie! Nie ty!

Brady usłyszał w tle zatroskany, pocieszający głos Kari. Potem rozległ się w słuchawce jakiś głuchy odgłos i jakieś tłumione, niezrozumiałe słowa. Spodziewał się, że zaraz Kari podejdzie do telefonu, żeby zapytać, co takiego powiedział Zachowi, co wywołało taką histerię. Zamiast tego do jego uszu dotarł szept Zacha.

- Obiecałeś.

- Czasem tak po prostu jest...

- Obiecałeś.

Cisza.

Zgadza się, obiecał. Nie chciał zostawiać Zacha. Ale i nie mógł zostawić Alicii. Klatka piersiowa bolała go jak otwarta rana, ale nie z powodu fizycznych obrażeń.

- Zach?

- No?

- Możesz chwilę poczekać? Dobrze? Poczekaj...

Położył słuchawkę na łóżku. Przycisnął dłonią usta i odszedł w róg pokoju.

To pożegnanie było ponad jego siły.

Wyobrażał sobie, że Zach podnosi słuchawkę do ucha i uważnie nasłuchuje ze ściśniętym sercem.

Od zawsze uwielbiał głos syna. Był cichy i brzmiał niewinnie. Zach czytał mu od czasu, kiedy skończył pierwszą klasę. Brady codziennie nie mógł się doczekać tych

dwudziestu minut.

Ale dlaczego przyszło mu to do głowy? Dlaczego właśnie teraz?

Słyszał, jak Zach czytał różne rzeczy, od książek dla dzieci Dr. Seussa do... ostatnio...

Słowa wypełniły jego umysł, jakby syn był w tym samym pokoju i wypowiadał je na głos.

Dylan Thomas. Zach wybrał tomik poezji ze szkolnej biblioteki. Brady'emu wiersze wydawały się nieco zbyt dojrzałe jak dla czwartoklasisty, ale Zach je przeczytał. A potem zadawał inteligentne pytania i miał kilka bardzo celnych spostrzeżeń.

Jego ulubiony cytat to: „Nie wchodź łagodnie do tej dobrej nocy, / Starość u kresu dnia niech płonie, krwawi; / Buntuj się, buntuj, gdy światło się mroczy”.

- To o śmierci, prawda? - spytał kiedyś Zach.

- Tak. O tym, że można nie poddać się jej bez walki. Kochać życie tak mocno, żeby wygrać jej pięścią i mówić: „O nie! Nic z tego!”.

- Mama tak robiła?

- O, tak. Mama kochała życie. - Przyciągnął Zacha do siebie. - Czasem walka jest krótka, zdarza się, że przegrywamy, ale zawsze warto walczyć o życie.

Czy naprawdę to powiedział? Tak, i nawet wtedy, po śmierci Karen, mówił szczerze.

Walcz. Nie odpuszczaj.

Podszedł z powrotem do telefonu i podniósł słuchawkę.

- Zach?

- Tak, tato?

- Obiecałem ci coś i mam zamiar dotrzymać słowa, jeśli tylko będzie to możliwe. Muszę zrobić coś, co jest bardzo niebezpieczne. Nie da się tego ominąć. Od tego zależy czyjeś życie. Ale będę bardzo uważał i będę bił się z każdym, kto będzie chciał mi zrobić krzywdę. Okay?

- Chcę, żebyś wrócił.

- I ja też chcę wrócić. Kocham cię, synku.

- Ja ciebie też.

- Do zobaczenia - powiedział na pożegnanie. I to była prawda. W ten czy inny sposób, znów się spotkają. Odłożył słuchawkę.

Nadzieja. Znowu tu jesteś? No cóż, witaj ponownie.

Beznadzieja to bezlitosna tortura.

Mąci twój umysł, nie pozwala mu znaleźć wyjścia z ciemności. Powiedziała Brady'emu, że jego zadanie jest niewykonalne, a on uwierzył. Teraz jednak widział, że to

nieprawda.

Wiedział, jak pokonać labirynt i odnaleźć Alicję.

Było parę minut po dziesiątej, kiedy przecisnął się przez tylne drzwi hotelu Gloria i wyszedł na parking. Słońce niespiesznie oddaliło się już dwie godziny temu, zarzucając na miasto miękki koc mroku. Światłne punkty latarni ulicznych i lamp na gankach domów rozsyłały poświatę po żółto-czerwonych ścianach niskich budynków i szarym bruku ulic ułożonym tu tysiące lat przed tym, gdy elektryczność zakłóciła rytm dnia i nocy. Wsiadł do peugeota, uruchomił silnik i wypalił na asfalcie dwa półokręgi gumy. Samochód ciężko przysiadł na resorach, odbijając w zakręt i wjeżdżając w biegnącą za hotelem uliczkę równoległą do ulicy Łacińskiego Patriarchatu. Głową uderzył w dach - jeszcze jeden ból. Cały był rozbity. W jednych miejscach ból pulsował i rwał, w innych przesywał go sztyletami. Zaciśnął zęby i zignorował błaganie ciała o pomoc i chwilę ulgi.

Skierował się w stronę seminarium, przypomniał sobie, że widział sklepik po przeciwnej stronie, i zawrócił szerokim łukiem. Prawe koła peugeota z głuchym odgłosem wspięły się na krawężnik, po czym z niego spadły. Jakaś trzymająca się za ręce para wycofała się w głąb wypielęgnowanego trawnika, chociaż samochód Brady'ego nawet się do nich nie zbliżył.

Pojechał jeszcze kawałek ulicą, zanim zatrzymał się na maleńkim parkingu przed sklepem. Szarpnął za drzwi, jakby się spodziewał, że są zaryglowane. Mosiężny dzwonek zagrzecotał i spadł z haczyka. Wylądował na stojaku z oliwkami i zadzwieczał z oburzeniem, po czym ucichł. Chłopiec mniej więcej w wieku Zacha przerwał zamiatanie, żeby obserwować wejście Brady'ego.

- Przepraszam - odezwał się mężczyzna. Szybki rzut oka przekonał go, że sklep wyposażony jest we wszystko, czego tylko mógłby zapragnąć turysta. - Aspirynę! - zawołał do chłopca, który rzucił miotłę i popędził w głąb alejki. Brady poszedł za nim i złapał pierwszą z brzegu butelkę z napisem „środek przeciwbólowy” na etykiecie. Zerwał osłonkę z celofanu, odkręcił i wsypał sobie zawartość do ust. Rozgryzł pastylki i zaczął przetykać proszek. Podszedł do chłodziarki ze szklanymi drzwiami, wyciągnął jakąś puszkę i wlał płyn do gardła. Aspirynowa pasta spłynęła z zębów i podniebienia do przetyku. Gazowany napój pienił się w gardle i z bulgotem cofnął się do zatok. Brady zatrzymał płyn i przełknął z powrotem.

Krzywiąc się, spojrział na chłopca. Malec wpatrywał się w niego z szeroko rozwartą buzią.

- Jest taśma izolacyjna? - spytał skrzeczącym głosem. Pociągnął jeszcze jeden łyk z puszki i powtórzył: - Taśma izolacyjna?

Chłopiec obrócił się, nie odrywając wzroku od Brady'ego, i skręcił w inną alejkę.

Brady znalazł taśmę i wziął jedną rolkę. Prawie już porwał latarkę, kiedy się zorientował, że nie będzie mu potrzebna. Nie tym razem. Wychodząc, rzucił na ladę garść banknotów i monet.

Trzydzieści sekund później był już na frontowym parkingu seminarium. O tej porze był niemal całkiem pusty. Zaparkował niedaleko podjazdu wiodącego do drzwi labiryntu i zgasił silnik. Żadna latarnia nie oświetlała drogi podróżnych po podjeździe, był pogrążony w mroku i niemal niewidoczny. Rozglądał się, czy nie ma przechodniów. Zamierzał wdrzeć się do środka przez zewnętrzne drzwi, gdy tylko ktoś je otworzy, i wymusić przejście przez następne. Siedząc w samochodzie, zdjął koszulę. Odwinął taśmę, nie odrywając jej od rolki i zaczął oklejać nią swój tors w miejscu, gdzie pod siniakami podejrzewał złamania żeber. Owijał nią ciało raz za razem, aż otoczył się winylowym gorsetem od pępka aż do mostka. Wygramolił się z samochodu, po czym pochylając się i kołysząc na boki, nadał taśmie kształt, który pozwalał mu się swobodnie poruszać.

Otworzył bagażnik i w nikłym świetle lampki zobaczył coś, co było jego nadzieją: neseser z DMZ Alicii. Wyjął go, ustawił na asfalcie i otworzył. W odwróconym hełmie znalazł metalowe pudełko wielkości modemu. Wiedział, że to komputerowy mózg DMZ, który przypinało się do paska. Inne pudełko stanowiło twardy dysk urządzenia pozwalający utrwalić nagranie z miejsca zbrodni. Nie zależało mu na uwiecznieniu najbliższej godziny, nie był jednak pewien, czy DMZ nie potrzebuje danych z twardego dysku do prawidłowego funkcjonowania, więc go podłączył. Wyjął hełm i zobaczył, że wokół niego i pod spodem poukładane są rozmaite dodatkowe części. Po kilku próbach znalazł dla wszystkich wejścia na kasku. Obrócił teraz ciężkie urządzenie w rękach i skinął głową. Właśnie tak wyglądało na Alicii.

Serce mu zamarło, kiedy rękawice DMZ i opaski na ramiona z przyciskami do kontroli oświetlenia i ekranu kasku okazały się za małe. Wreszcie jednak udało mu się w nie wcisnąć, rozrywając tylko jeden szew. Miał nadzieję, że kamizelka z wiązką elektryczną stanowiąca dodatkową obsadę dla hełmu i sam kask nie były tak dopasowane do drobniejszej postury Alicii, jak rękawice i opaski. Założył je jednak bez problemu.

Spokojniejszy zdjął hełm z powrotem. Włożył neseser do bagażnika. Nachylił się

przez przednie drzwi peugeota, żeby sięgnąć po broń i taśmę. Owinął nią rękojeść pistoletu, a dodatkowe pasmo okręcił sobie wokół prawego nadgarstka. Taśmę pomiędzy kolbą a ręką ścisnął, formując mocny sznurek. Wyciągnął ramię i obserwował zwisający u dłoni pistolet. Szybki ruch nadgarstka i trzymał broń w ręku. Mógł obsługiwać DMZ, nie chowając pistoletu.

Zakładanie kostiumu przypomniało mu boleśnie o każdym miejscu, na które spadły dotkliwe ciosy Niemca, nawet mimo otepiającego działania środka przeciwbólowego. Wyprostował się i wziął głęboki oddech. Płuca miał ściśnięte pod gorsetem z taśmy, ale ostry ból pogruchootanych żeber już go nie rozpraszał.

Zostawiwszy kluczyki pod wycieraczką zatrzasnął drzwi i klapę bagażnika, podniósł hełm i ruszył w dół podjazdu. W ciągu ośmiu czy dziewięciu minut, kiedy owijał się taśmą i zakładał DMZ nikt nie zbliżył się do kryjówki Scaramuzziego. Zastanawiał się, czy zamykają na noc, czy też organizacja, która miała tu swoją siedzibę, ograniczała działalność do godzin dziennych, żeby zminimalizować ryzyko wykrycia.

Już przy metalowych drzwiach dźwignął hełm i założył go sobie na głowę. Umocował go na obręczy opartej na podkładkach na ramionach. Otoczyła go czerń. Żadnego ekranu, żadnych świateł świadczących o możliwościach urządzenia. Przypomniał sobie, że przedni panel był nieprzezroczysty. Trzeba było włączyć kostium, żeby aktywować piksele pozwalające, w zależności od ustawień, albo na widzenie przez panel, albo przeglądanie innych obrazów. Nie rozumiał tej technologii, choć Alicia kiedyś usiłowała mu to wyjaśnić. Pamiętał, jak mówiła, że kamizelka zawiera dwie baterie umieszczone nad każdą z nerek. Każda z nich wystarczała ponoć na pięć godzin intensywnego użytkowania. Naładowała je po oględzinach w Fort Collins - pamiętał, że musiał omijać jednostkę ładującą, układając na sterty zdjęcia z miejsca zbrodni i sporządzając raporty w pokoju Alicii. Ale nadal nie miał zasilania, a co za tym idzie, nie miał DMZ.

Tylko nie to! - pomyślał o krok od paniki.

Poruszał hełmem, unosząc go lekko i obracając. Poczuł, jak z łatwością wślizguje się w szynę na obręczy. Obrócił, wyczuł opór i popchnął trochę mocniej. Rozległo się kliknięcie i kask wskoczył na miejsce. W oczach zamigotało mu światło i patrzył teraz przez panel. Zamiast ciemności jednak zobaczył metalowe drzwi, kamienny mur naokoło nich i skrzynkę z klawiaturą tak wyraźnie, jak w dzień. Rozpoznał tę „dzienną” jakość obrazu, którą widział na ekranie laptopa Alicii, oglądając nagrania z miejsca zbrodni. Spędziwszy mnóstwo czasu nad tymi zapisami wideo, dobrze znał te techniczne gadżety, które teraz kontrolował: mikroczip systemu mapującego DNA-MEM do podstawowej mikroanalizy materiału biologicznego

pozostawionego na miejscu zbrodni, podczerwień pozwalającą oglądać obraz termowizyjny, lasery na podczerwień i ultrafiolet pokazujące...

Jego umysł przeskoczył z myślenia akademickiego na praktyczne. Otworzył skrzynkę z klawiaturą przy drzwiach. Wyglądała tak samo, jak ta po wewnętrznej stronie: z gumy, podświetlona od wewnątrz, o rozkładzie tarczy numerycznej telefonu. Zerknął na lewe przedramię i palce prawej ręki umieścił na panelu sterującym DMZ. Jeszcze raz przyjrzał się klawiaturze. Palcem wskazującym dotknął guzika na kostiumie. Strumień ostrego białego światła wystrzelił prosto w klawiaturę na ścianie i odbiwszy się, trafił w jego twarz. Wklęsły ekran przed jego oczami przyciemnił się nieco, by wyrównać naświetlenie. Instynktownie obrócił głowę, żeby zlustrować górną część podjazdu. Było jasno jak w dzień, ale wiedział że to nie zasługa ustawienia optycznego pozwalającego mu widzieć w ciemności. Włączył silne halogeny na hełmie. Każdy w zasięgu wzroku musiał pomyśleć, że w pobliżu seminarium ktoś rozpałił ognisko. Ponownie wcisnął przycisk. Światła przygasły, a ekran powrócił do trybu dziennego widzenia.

Przez całe trzydzieści sekund czekał bez ruchu.

Potem zobaczył migające niebieskie światła, przelatujące po koronach drzew i ścianach seminarium, z każdą chwilą coraz większe i większe.

Ojciec Randall siedział przy niewielkim stoliku pośród ulicznych sprzedawców i ich wózków. Nawet o tak późnej godzinie kupcy wystawiali swoje towary, licząc na turystów, którzy nie przestawili się jeszcze na lokalny czas. Wszędzie wokół niego wisały barwne szale, narzuty i dywaniki. Najbardziej lubił się przyglądać migotaniu rozświetlonych na tkaninie gwiazd, które bardziej niż drobiazgi z Via Dolorosa przypominały chińskie lampiony. Z otwartych drzwi za jego plecami płynęły łagodne dźwięki skrzypiec. Córka jego przyjaciela Nissima Ben-Davida stawiała się coraz bieglejsza. Z porcelanowej filiżanki wypił łyżeczek migdałowej herbaty z mlekiem - najlepszego napoju na świecie. Zawsze działała na niego uspokajająco, a dziś wieczór bardzo tego potrzebował. W ciągu ostatnich kilku dni Luco był zupełnie nieobliczalny. Najpierw zlecił morderstwo Pipa, a teraz, o ile Randall dobrze rozumiał, porwanie jednego z Amerykanów, którzy przyjechali tutaj prowadzić śledztwo w sprawie zbrodni popełnionych w ich kraju.

Odstawił filiżankę i zerknął na zegarek. Zostało mu zaledwie parę minut w niezmaconym spokoju tego miejsca. Wkrótce miało zacząć się Zgromadzenie z pseudomną celebrowaną osobiście przez Luca. Randall czuł, że od samego myślenia o tej potworności zaraz rozboli go głowa. Zanim się zacznie, miał nadzieję złapać Luco i wybadać jego zamiary wobec Amerykanów. Miał nadzieję, że nie są aż tak nieczne, jak podejrzewał. Pozwolił oczom zamknąć się powoli. Czuł płynącą muzykę jak powiew wiatru na policzku.

Z wewnętrznej kieszeni płaszcza wyciągnął papierośnicę i otworzył ją. Miał właśnie wyjąć papierosa, kiedy rzucił okiem na lekko poruszające się na wietrze szale i migoczące gwiazdki. To co zobaczył, sprawiło, że papierośnica wypadła mu z ręki. Uderzyła o krawędź spodka, przez co filiżanka się przechyliła i gorąca herbata wylała się na jego kolana. Natychmiast wystrzelił do góry, przewracając przy tym krzesło.

Spojrzał błyskawicznie na swoje nogi i poprzewracaną zastawę, ale kiedy podniósł wzrok, Pipa już nie było. To na pewno był on, Randall nie miał co do tego wątpliwości. Wyglądał okropnie, głowę miał całą w bandażach, zapadnięte oczy i skórę jak pergamin.

Randall prędko okrążył stół i ruszył w tamtą stronę tak szybko, jak tylko pozwalały mu na to nie tak sprawne już nogi. Dziesięć metrów - tak blisko był Pip. Z takiej odległości ujrzał jego twarz wyglądającą spomiędzy zwisających tkanin. Dotarłszy na to miejsce,

Randall zobaczył, że tam właśnie z handlową ulicą łączy się wąska alejka.

- Pip! - zawołał, chociaż nie widział nikogo, kto mógłby nim być. Jeszcze głośniejszym wykrzyknął: - Odszukaj mnie, Pip!

Przygarbił ramiona. Obejrzał się na stolik. Dalia, żona Ben-Davida, ustawiała krzesło. Jej córka stała w drzwiach ze skrzypcami i smyczkiem w rękach. Przyglądała mu się z troską. Zamachał ręką i próbował się uśmiechnąć. Cofnął się o krok, sięgając po portfel, żeby zapłacić za herbatę i to, co potłukł.

*

Głowa już jej nie bolała, ale w ustach nadal czuła posmak aluminium, a wody dawno już nie było. Alicia siedziała na pryczy z głową wspartą na dłoniach, przytłoczona ponurością otoczenia. Jej umysł się rwał, żeby badać, szukać nowych informacji, choćby po omacku, a ona mu na to pozwalała. To lepsze niż oszaleć, próbując znaleźć drogę ucieczki z celi. Stąd nie było wyjścia. Mury były solidne - nacisnęła i opukała każdy kamień, drapała paznokciami każdą fugę. Mocno osadzone w podłodze i suficie sztaby dzieliła zaledwie odległość dłoni. Zamek nie grzechotał i nie poruszył się, kiedy szarpnęła, nie pozostawiał cienia nadziei choćby najlżejszym drgnieniem. Co dziwne, mogła dosięgnąć klawiatury, która otwierała drzwi, ale jej nie widziała, a jak się okazało, trzykrotne wstukanie błędnego kodu wywoływało przenikliwy sygnał alarmowy, który wyłączał się dopiero po dwóch minutach. Uruchomiła go trzy razy, ale żaden strażnik się nie pojawił. Fakt, że tak kompletnie ją ignorowano, był jeszcze gorszy od czujnego nadzoru. Świadczył o pewności, że nie jest w stanie uwolnić się z celi i znaleźć drogi przez labirynt - jeśli rzeczywiście od wyjścia dzielił ją labirynt. Nie miała powodów, żeby wierzyć w choć jedno słowo Scaramuzziego.

Zastanowiło ją coś, co powiedział otwarcie: że Brady ma się spotkać z kimś o imieniu Pip, żeby odebrać jakieś akta, które Scaramuzzi chciał mieć. Sugerował, że ta osoba już się skontaktowała z nią i Bradym. Czy coś jej umknęło? Kiedy to miałoby nastąpić? Szperała w pamięci, szukając zdarzeń, które mogły stanowić próbę kontaktu: błagalnych spojrzeń obcych, zagadkowych wiadomości na serwetkach, nieodebranych telefonów. Nic jednak nie przychodziło jej do głowy. Od kiedy spotkała się z Bradym w pokoju 4914 hotelu Marriott, byli nierozłączni.

Nie, była pewna, że nikt nie próbował nawiązać z nimi kontaktu.

Cóż to za grę prowadził Scaramuzzi?

Był szalony, to nie ulegało wątpliwości. Ale w przebiegły, straszny i czarujący sposób zarazem, coś jak Hitler. Szczwany lis. Chociaż to nie do końca prawda. Ten facet naprawdę wierzył, że jest Antychrystem...

Przyszła jej do głowy myśl, która wcale się jej nie spodobała: a jeśli to prawda? Jeśli Ambrosi się mylił?

Nie pamiętała, jak kardynał uzasadniał swoje przekonanie, że Scaramuzzi albo udaje, albo jest obłąkany. Kiedy Ambrosi drwił z domniemanej tożsamości Scaramuzziego, Alicia założyła, że się nie myli. Nie dlatego, że był uczonym biegłym w tym temacie, ale dlatego, że Antychryst nie może przecież dzisiaj chodzić po ziemi, eliminując swoich przeciwników i knując podbicie świata. Takie rzeczy dzieją się tylko w kiepskich filmach. Ale jeśli uczeni, przywódcy religijni, a nawet rządy państw wierzyły, że kiedyś Antychryst się pojawi, to dlaczego nie teraz?

Może od początku źle się do tego zabrali. A co jeśli...

Wyczuła na sobie czyjś wzrok. Odwróciła głowę i niemal krzyknęła.

Kilka centymetrów od krat stał wilk, wpatrując się w nią żółtawo-zielonymi ślepiami. Nieznacznie zniżył pysk i patrzył teraz spod zmarszczonych brwi. Z masywnej piersi dobywał się niski warkot. Górna warga zwierzęcia drgała, ukazując czarne dziąsła i osadzone w nich białe kły.

Alicia zdała sobie sprawę, że to jedna z tych hybryd psa z wilkiem, które zaatakowały Brady'ego i Zacha, a także pomagały zabójcy Pelletier. Jeśli nawet nie to konkretne zwierzę, to jakieś łudząco podobne. To pies wojenny, szkolony w zabijaniu. Wstała i zrobiła krok w tył.

Warkot zwierzęcia stał się głośniejszy.

W kąciu oka dostrzegła jakiś ruch. Z czarnego korytarza po prawej stronie wyłonił się inny wilk. Zatrzymał się tuż przy wyjściu z cienia. Kolejne zwierzę okrążyło go i miarowym krokiem podążyło w stronę pierwszego psa, ani na chwilę nie zdejmując wzroku z Alicii. Pazury stukały o kamienną podłogę.

Pies stojący w korytarzu wszedł w plamę światła, ponaglony przez kogoś większego: człowieka. Jego postać unosiła się na granicy cienia i jasności, jakby tuż pod powierzchnią mętnej sadzawki. Miał gęstą brodę, a na ramionach coś, co przypominało skóry zwierzęce. Ręcznie wydziergana koszula, ciemne spodnie i wysokie buty.

Wiking. Zabójca Pelletier. Jego oczy połyskiwały w półmroku. Drgnął i wyszedł z korytarza. Zza jego ramienia wystawała drewniana rękojeść. Alicią wstrząsnęła świadomość, że właśnie tą bronią zabito Cynthię Loeb i inne ofiary. Wyobraziła sobie, jak mężczyzna sięga do tyłu, chwyta za stylisko, bierze szeroki zamach i odcina głowę jednym płynnym ruchem.

Jakby wyczuwając jej myśli, tak jak psy z pewnością czuły jej strach, zrobił krok do przodu, a jego dłoń powędrowała w stronę rękojeści topora.

79.

Brady wycofał się w kąt z tyłu podjazdu.

Wóz policyjny zwolnił, zbliżając się do seminarium. Migające błękitne światła grały na murze i w gałęziach krzaków powyżej niego. Pamiętał, jak ktoś wspominał, że jerozolimską policję nigdy nie wyłączała kogutów. Sam widział kilka oświetlonych radiowozów w drodze z lotniska po przylocie. Miał nadzieję, że halogeny DMZ tylko mignęły przed oczami siedzącym w samochodzie stróżom prawa, którzy przyjechali sprawdzić źródło światła, nie wiedząc dokładnie, gdzie powinni szukać.

Tak też się okazało, kiedy światło szperacza przemknęło przez drogę, omiotło szczyt stromeego podjazdu i równie nagle zgasło, przywracając należną nocy ciemność.

Radiowóz oddalił się, zabierając ze sobą błękitne światła.

Brady wypuścił powietrze z płuc i zdał sobie sprawę, że wstrzymywał oddech.

Wrócił do klawiatury.

Gotów cofnąć czynność w przypadku, gdyby znów włączyło się coś zwracającego uwagę, wcisnął środkowym palcem guzik sterowania DMZ. Obraz przed jego oczami zrobił się czerwony. Na klawiaturze i wokół niej dostrzegł teraz blade plamy i smugi. Pod jego małym palcem znajdowało się pokrętło podobne do tego, jakim zazwyczaj reguluje się głośność w radiu z budzikiem. Pokręcił nim lekko. Plamy i smugi znikły. Obrócił pokrętło w przeciwnym kierunku. Teraz cała klawiatura zaślniła neonowym światłem plamek, których było zbyt wiele, żeby coś dla niego znaczyły. Kręcił dalej gałką tam i z powrotem, ale nie udało mu się znaleźć trybu ukazującego tylko te ślady, które mogły mu udzielić poszukiwanych odpowiedzi.

Sfrustrowany wcisnął palcem serdecznym inny guzik. Odcień obrazu zmienił się na pomarańczowy - i ukazał te klawisze, na których ślady używania były najświeższe. Trzy przyciski... Choć może pięć. Obrócił pokrętło i dwa z nich zgasły, zawężając zainteresowanie Brady'ego do trzech klawiszy. Każdy z nich naznaczony był pomarańczową poświatą, której nie było na pozostałych dziewięciu. Dwa. Siedem. Osiem. Kiedy poprzednio wśliznął się przez te drzwi, otwierający je człowiek wcisnął trzy przyciski - tyle sygnałów usłyszał Brady. A więc kod był trzycyfrowy. Trzy do potęgi trzeciej dawało dwadzieścia siedem możliwych kombinacji, i to przy założeniu, że ta sama cyfra mogłaby być użyta więcej niż raz, a wtedy

inne przyciski zostałyby niewykorzystane. Rozświetlone klawisze świadczyły jednak, że kod wymagał użycia wszystkich trzech, zmniejszając liczbę kombinacji do... sześciu lub dziewięciu. Nie był pewien. Z tym sobie chyba poradzi.

Wstukał dwa - siedem - osiem. Nic. Mimo to spróbował otworzyć drzwi. Nie ustąpiły.

Dwa - osiem - siedem.

Siedem - dwa - osiem. Mechanizm zamykający drzwi zabrzączał i rozległo się szcęknięcie, jakby zamek zmienił pozycję.

Brady szarpnięciem otworzył drzwi i zobaczył to, co miał nadzieję ujrzeć dzięki DMZ: ślady butów na podłodze, rozświetlone na pomarańczowo. Przeszło tędy tyle stóp, że ślady utworzyły zwarty szlak szeroki na jakieś sześćdziesiąt centymetrów, jakby pełznął tędy potężny ślimak. Od nieregularnych brzegów co jakiś czas odrywały się pojedyncze odciski, ukazując miejsca, gdzie idący zoczyli z najprostszej ścieżki wiodącej do klawiatury za skrzynką bezpiecznikową i zardzewiałych drzwi wewnętrznych. Przekroczył próg i zamknął za sobą drzwi. Złapał się na tym, że omija ślady na podłodze jak coś namacalnego i odrażającego. Zobaczył swoje odciski z poprzedniej wizyty, które nikły za piecem i bojlerem. Większe ślady pokazywały, gdzie stąpał wiking, Olaf, szukając go. Te większe były jednak podwójne, dwa zestawy śladów prowadziły w stronę stojących tam sprzętów i z powrotem. Wokół nich i na całej podłodze piwnicy, teraz to zauważył, widniały nieregularne plamy wielkości niewielkich pięści. Poczł, jak krew ścina mu się w żyłach, kiedy zrozumiał, czym są: to odciski łap. Olaf wrócił z psami, żeby jeszcze raz sprawdzić teren. Czy to znaczy, że znaleźli Niemca? Czy ocknął się i powiedział towarzysząom o obecności Brady'ego? Czy to Olaf był tak skrupulatny lub czujny, że wiedział, iż ktoś tam jednak był?

Nieważne, pomyślał Brady. I tak wchodzi. Odnajdzie Alicię na przekór całej armii wikingów, wilków, niemieckich bokserów, satanistów, antychrystów i co tam jeszcze kryło się w tunelach za tymi rdzewiejącymi drzwiami.

Kiedy rozglądał się wokoło, poczuł przyplływ zawrotów głowy, które ogarnęły go jak powiew wiatru. Cofnął się o krok i wyciągnął rękę w stronę ściany. Była bliżej, niż się spodziewał i potłukł sobie kostki dłoni o kamień. Manewrowanie wyłącznie na podstawie pomarańczowej elektronicznej grafiki było dezorientujące. Wyczytał gdzieś, że młodzi rekruci z bogatym doświadczeniem w grach komputerowych radzili sobie w tej dziedzinie znacznie lepiej. Zaczynał rozumieć, dlaczego tak było. W miarę jak elektronika stawała się coraz istotniejszym elementem wyszkolenia polowego, umiejętność przełożenia dwuwymiarowej grafiki z ograniczonym polem widzenia na trójwymiarowy teren dawała wyraźną przewagę.

Zrobił krok w stronę wewnętrznych drzwi. Zawrót głowy minął, więc Brady poruszał się szybciej. Na drugiej klawiaturze wstukał poprawny kod przy szóstej próbie. Ślimak spełził po metalowej kładce i, co teraz było widoczne, skręcił w lewy tunel. Plamy krwi w dole w miejscu, gdzie się bił z Niemcem, połyskiwały jak pomarańczowy fosfor pomiędzy chaotyczną gmatwaniną odcisków butów, dłoni i psich łap.

Brady szybkim ruchem nadgarstka złapał pistolet w dłoń. Powoli schodził po kładce, lewą ręką trzymając się poręczy. Nie ufał sobie na tyle, żeby w DMZ, bez podparcia, zejść po pochyłym, chwiejnym podejściu. Gdy znalazł się na dole, wziął głęboki oddech.

Idzie lepiej niż za pierwszym razem, krzepił się w myśli, bo potrzebował tego i ponieważ to była prawda. Nie wchodził na ślepo. Miał przewodnika, a właściwie mnóstwo przewodników - odciski stóp wszystkich, którzy wchodzili do labiryntu w ciągu ostatniego dnia i kierowali się do strefy wykorzystanej. Zjrzał najpierw do tunelu, w który wszedł za pierwszym razem, potem do tego, gdzie poszli wszyscy inni. Na ekranie DMZ widział korytarz głębiej niż poprzednio. Przecinające tunel przejścia, które podczas jego pierwszej próby pojawiały się jakby znikąd, teraz były wyraźnie oznaczone wysokimi cieniami.

Przyjrzał się przyciskom na przedramieniu i małym palcem wcisnął przycisk z ikonką głośnika. Na wyświetlaczu pojawiło się menu.

GŁOŚNOŚĆ ODTWORZENIA ZAPISU - GŁOŚNIKI WEWNĘTRZNE

GŁOŚNOŚĆ ODTWORZENIA ZAPISU - GŁOŚNIKI ZEWNĘTRZNE

ZEWNĘTRZNY GŁOŚNIK - GŁOŚNOŚĆ

ZEWNĘTRZNY MIKROFON - GŁOŚNOŚĆ

ZEWNĘTRZNY MIKROFON - WYCISZENIE

Dotknął umieszczonego na panelu sterowania kulistego manipulatora wielkości gumki do mazania przy ołówku i na wyświetlaczu pojawił się kursor reagujący na ruchy jego palca. Wybrał ZEWNĘTRZNY MIKROFON - GŁOŚNOŚĆ. Pojawił się suwak. Brady zwiększył głośność i jego uszy przeszył wysoki, buczący dźwięk. Przywrócił poprzednie ustawienie. Wypróbował sterowanie wyciszenia, ale wkrótce zdał sobie sprawę, że to nic nie daje. Lekko tylko podkręcił głośność, tak żeby słyszeć własne kroki. Buczenie było teraz ledwie zauważalne, ale kłopoty z ustawieniami audio w DMZ stanowiły problem. Każdy, kto był choć trochę zaznajomiony z działaniem z zaskoczenia, z łatwością będzie mógł go podejść. Grzebiąc w rozmaitych menu, odkrył sposób umieszczenia w małym oknie na dole

wyświetlacza obrazu z tylnej kamery. Nie było idealnie, ale nieco rekompensowało mu to słabą słyszalność.

Ruszył dalej.

Ściany naznaczone były smugami, co jakiś czas połyskiwały na pomarańczowo odciski dłoni. Tuż pod powierzchnią świadomości Brady'ego buzowało nieokreślone poczucie frustracji. Wtedy zdał sobie sprawę, że nie daje mu spokoju łatwość, z jaką znajduje teraz drogę w tunelu, w porównaniu z kompletnym zagubieniem i bezsilnością, jakie czuł kilka godzin wcześniej. Musiał sobie przypominać, że ślimaczy ślad na podłodze jest gołym okiem zupełnie niewidoczny. Może powinien już wcześniej wpaść na to, żeby skorzystać z DMZ, ale jak mógł przewidzieć poziom skomplikowania tej gmatwaniny korytarzy? Poza tym nigdy wcześniej nie korzystał z tego urządzenia, analizował tylko nagrania, więc użycie go nie od razu przyszło mu do głowy.

Miał je teraz i do tego sprzęt działał. Tylko to się liczyło.

Po kilku minutach Brady zorientował się, że labirynt jest jednak bardziej podstępny, niż mu się wydawało. Większość śladów meandrowała po najbardziej zaskakujących przejściach - sześćdziesięciocentymetrowych szparach, które mogłyby uchodzić za naturalne pęknięcia, długich korytarzach wypełnionych po kostki wodą, ostrych zakrętach w tunele, które dla nieuzbrojonego oka wydawały się zacienionymi niszami. Zastanawiał się, jak ludziom Scaramuzziego udaje się znajdować drogę w labiryncie. Szukał jakichś wskazówek, oznaczeń na powierzchni kamienia, jakiegoś wzoru w częstotliwości zakrętów... ale nic nie rzucało się w oczy. Podejrzywał, że Scaramuzzi kazał niektórym ze swoich ludzi wyuczyć się trasy i teraz funkcjonowali jako przewodnicy dla innych. To zwiększyłyby tajność działań nawet wśród tych, których wpuszczał do swojej siedziby. Może przewodnicy kursowali tam i z powrotem między wejściem a wykorzystanymi pomieszczeniami z regularnością autobusów miejskich, prowadząc każdego, kto wchodził lub wychodził. Może pomieszczenie z kładką było terenem przygotowawczym dla niewtajemniczonych.

Im dłużej o tym myślał, tym bardziej wydawało mu się to rozsądne. Nie każdy mógłby przeprowadzić wrogi oddział przez labirynt, nawet pod przymusem. A przewodnik prawdopodobnie zawsze miał towarzyszy - albo celowo, albo po prostu dlatego, że ktoś bez przerwy potrzebował wchodzić lub wychodzić. Brady zdał sobie sprawę, że musi być gotowy na bezpośrednią konfrontację. Położył palec na spuście na przekór instrukcjom FBI, które nakazywały dotykanie spustu tylko podczas strzału. Nadzwyczajnie długa lufa pistoletu przypomniawszy mu o tłumiku. Strzelanie w tunelu nie zdradziłoby jego obecności. Skrzyżował nadgarstki przed sobą, dzięki czemu miał łatwy dostęp do panelu sterującego DMZ.

Przyszło mu do głowy, że rzeczy, nad którymi się zastanawia, są nieistotne. Zrozumiał, dlaczego to robi: żeby nie myśleć o tym, co będzie musiał zrobić, kiedy już znajdzie Alicję. Mogła przecież być zamknięta w klatce zawieszanej u sufitu w pomieszczeniu pełnym kryminalistów, jeśli w ogóle jeszcze...

Nie!

Zacisnął powieki. Wolał nie myśleć o tym, co mogło się zdarzyć. Była to jedna z tych sytuacji, kiedy niewiedza umożliwia działanie.

Po prostu zrób to. Jeśli to hasło jest dobre dla tenisówek, to i dla niego.

80.

Wilki rozstały się, robiąc przejście wikingowi. Usunęły się z drogi, nie spuszczać ślepi z Alicii.

Podchodząc do krat celi, wiking wyciągnął topór zza pleców. Ostrze przejechało po jakimś metalu, wydając złowieszczy zgrzyt. Mężczyzna pozwolił obuchowi opaść do drugiej dłoni, tak że topór trzymał teraz poziomo przed sobą na wysokości pępka.

Mignął jej w oku błysk złota. Na palcu miał pierścień. Zerknęła na niego i poczuła ucisk w żołądku. Na obrączce znajdował się niewielki symbol słońca - patrzyła na narzędzie, którym piętnował swoje ofiary.

Alicia cofała się, aż poczuła na plecach opór chłodnej ściany.

Mężczyzna ustawił się przed celą i wpatrywał się beznamiętnie w uwięzioną tam kobietę.

Czy przysłano go tutaj, żeby ją zabił? Rozglądała się na wszystkie strony, rozpaczliwie szukając czegokolwiek, czym mogłaby się bronić. W końcu jej wzrok powrócił na topór. Miał dwa ostrza. Oba były trójkątne, w najszerszym miejscu części roboczej mogły mierzyć około dwudziestu centymetrów.

A Alicja wiedziała, czym się trudnią. Przecinaniami ciała, ścięgien i kości...

- Tu jesteś - odezwał się. Głos miał głęboki i miękki, mówił cicho. Miał amerykański akcent, bez śladu obcych naleciałości.

- Tak...?

- Powiedziano mi, że jesteś zagrożeniem dla pana Scaramuzziego. Dla mnie nie wyglądasz niebezpiecznie.

- Wypuść mnie stąd, to może jeszcze zmienisz zdanie.

Wąsy okalające usta mężczyzny uniosły się w uśmiechu. Skinął głową.

- Tak już lepiej. Myślałem, że błędzisz w tunelach. Przecież dlatego mnie tu wezwali razem z moimi tropicielami. - Opuścił rękę i poklepał po boku pierwszego z psów. Zwierzę podniosło łeb, spojrzało z wdzięcznością na swego pana, po czym znów przybrało swoją złowieszczą pozycję.

- Wybacz, że cię zawiodłam.

- Nie zjawilem się na darmo. Jak rozumiem, jest tutaj Brady.

Zszokowało ją, że użył imienia Brady'ego, jakby go znał.

Zastanawiała się, czy próbował konwersować z wszystkimi ofiarami. Nie było żadnych dowodów, które by na to wskazywały. Tylko ślady błyskawicznej, przerażającej destrukcji.

- Czy tym się zajmujesz? Zabijasz dla Scaramuzziego, żeby go chronić?

- Robię wszystko, czego potrzebuje.

- A po co kazał ci napaść na mojego partnera? I na jego syna? Po co kazał ci ściąć głowy pięciorgu ludziom?

Wiking zastanawiał się nad jej słowami. Jego twarz nie zdradzała nic, ale w oczach mignęło coś, co mogło być smutkiem lub melancholią.

- Stali na drodze Ivaktar, Wielkiego Oczyszczenia. - Widział, że nie rozumie jego słów, więc ciągnął dalej: - Powrotu do dawnych zwyczajów.

- Dawnych...?

- Sprzed chrześcijaństwa. Sprzed czasów krwawej łaźni w imię jednej religii.

- Chrześcijaństwo nie jest religią śmierci - warknęła. Może nie wiedziała dużo o Chrystusie i Jego uczniach, ale tego była pewna.

- A krucjaty? A dawni kolonizatorzy, którzy torturami zmuszali tubylców do nawrócenia? Moi przodkowie stali się żądni krwi w imię Chrystusa.

- Ludzie popełniają błędy. To kwestia ludzi, nie religii.

- Religia to ludzie - odparł. - Narody Europy przesiąknięte są chrześcijańskim dziedzictwem. Chrześcijanie założyli Amerykę. A czy twój kraj miłuje pokój? Czy ten świat wygląda tak, jakbyś chciała?

Oczywiście, że nie, pomyślała. Jej pogląd na naturę człowieka był właściwie wyjątkowo sceptyczny. Widziała już tyle zła, że nie sposób było sobie wyobrazić świata bez niego. Ale czy temu wszystkiemu winne jest chrześcijaństwo? A może ludzie, którzy czytali i wierzyli w słowa Jezusa, przynajmniej w pewnym stopniu zapobiegali większemu złu? Nawet będąc agnostyczną, wierzyła, że świat jest lepszy dzięki religiom pokoju jak chrześcijaństwo, judaizm, hinduizm...

Uznał jej milczenie za zgodę. Skinął głową i odwrócił się. Jeden z psów zaskomlał i wszystkie trzy ustawiły się za swoim panem.

- Poczekaj! - zawołała. - Nawet jeśli masz rację, to myślisz, że Scaramuzzi to wszystko naprawi?

- Strażnicy w to wierzą - odpowiedział po prostu.

- Mogą się mylić.

- Ja w to wierzę.

Rozpoznała ten ton. W jego głosie pobrzmiwał upór wynikający z wiary, której nie da się w pełni wypowiedzieć ani wyjaśnić. Niezawodnie zwiastował koniec rozmowy.

- Brady tutaj jest? W tych tunelach? - spytała.

- Był. Jeśli nadal jest, to go znajdę.

Uśmiechnęła się blado.

- Myślałeś, że cię minął, dotarł aż tutaj i mnie uwolnił? Dlatego przyszedłeś?

- Przyszedłem, bo mam do patrolowania prawie trzydzieści kilometrów tunelu.

- I...?

- Zwierzęta teraz znają twój zapach. Jak uciekniesz, znajdą cię.

Zniknął w korytarzu. Psy podążyły w krok za nim, stukając pazurami w podłogę. Stukot coraz bardziej się oddalał, aż w końcu do celi powróciła cisza i otuliła Alicję jak nieszczerzy przyjaciel. Osunęła się po ścianie i usiadła. Ręka pulsowała z bólu. Alicia czuła, że jej przedramię jest mokre i nabrzmiąte. Ale mogła myśleć tylko o jednym: o psach, wikingu i krętych tunelach, przez które szli tropem Brady'ego.

81.

Po piętnastu minutach marszu Brady zauważył, że ślimaczy ślad staje się coraz węższy i zamienia się w pojedyncze ślady, zaś inne zbaczają w osobne korytarze. Spodziewał się, że dotrze do jakiegoś centralnego pomieszczenia, jakiegoś lobby podziemnej siedziby Scaramuzziego. Okazało się natomiast, że osobne korytarze prowadzą do różnych części jego kryjówki. Skąd miał wiedzieć, którędy poprowadzono Alicię? Chciał ją jak najszybciej odnaleźć, jednak zmusił się do zwolnienia kroku. Studiował każdy odcisk buta, szukając tego, który mógł należeć do niej - mniejszego i bez bieżnikowanej podeszwy. Na rozstaju korytarzy, gdzie równa liczba śladów prowadziła do każdego z nich, serce skoczyło mu do gardła. Zobaczył w tym miejscu dowód obecności Alicii: dwie sześciocentymetrowe linie w odstępnie około trzydziestu centymetrów od siebie biegingy przez środek podłogi. Wyobraził sobie, jak niesie ją dwóch ludzi, trzymając jej nieprzytomne ciało, a czubki jej butów wloką się po ziemi, zostawiając ten podwójny ślad.

Podniecony podążył za nim i wszedł w korytarz, zaniehbując swoją zwykłą czujność. Snop jaskrawego światła uderzył w monitor przedniego panelu. DMZ natychmiast zrównoważył jasne oświetlenie, przyciemniając ekran, i Brady ujrzał trzech ludzi stłoczonych razem. Jeden z nich kierował na niego światło latarki. Snop światła trząsł się jak osikowy liść. Twarze mężczyzn wyrażały skrajne przerażenie. Ja, Robot to ostatnie, co spodziewaliby się spotkać w tych tunelach.

Pierwszy otrząsnął się osobnik po lewej, ciemnoskóry, muskularny typ w brudnym kombinezonie. Oczy zwężyły mu się w szparki, wyczierała z nich podejrzliwość, a zaraz potem gniew. Wystąpił naprzód.

Brady włączył halogeny, wystrzelijując oślepiający promień prosto w źrenice mężczyzn. Zatoczyli się do tyłu. Brady podniósł broń. Jeden z nich upadł. Dwaj pozostali odwrócili się, potknęli o leżącego towarzysza, ale utrzymali równowagę i uciekli. Trzeci pozbierał się i pognął za nimi ze zwinnością karalucha. Brady trzymał pistolet wycelowany w jego plecy.

Strzelaj, rozkazał sobie. Dzięki automatycznie dostosowującej się optyce DMZ mężczyźni pozostali widoczni, mimo że znaleźli się poza zasięgiem halogenów, uciekając w głąb tunelu.

Zastrzel ich wszystkich, bo sprowadzą posiłki.

Palec wskazujący napiął się na spuście. Kilo trzydzieści nacisku na spust wyregulowany na kilo osiemdziesiąt.

Z jękiem bezsilności opuścił rękę i cofnął palec.

To, co powinien zrobić, i to, na co mógł się zdobyć, to dwie różne rzeczy.

Wyłączył halogeny i spiesznie ruszył śladem dwóch połyskliwie pomarańczowych linii.

Zaczął natrafiać na sale, najpierw po prawej, potem po lewej. Większość była słabo oświetlona, w żadnej nikogo nie spotkał. Smugi na podłodze biegły dalej korytarzem, nie skręcając w żadne z pomieszczeń. Hełm zaczął rejestrować jakieś głosy i nieokreślone dźwięki, może odgłosy kroków albo szuranie przesuwanych sprzętów. Każdy dźwięk zniekształcany był zakłóceniami, więc nie dało się rozróżnić pojedynczych słów. Potem dwa głosy stały się głośniejsze, dochodziły zza zwieńczonego łukiem przejścia jakieś sześć metrów dalej, po prawej. Słowa brzęczały jakby naładowane elektrycznością, ale były zrozumiałe.

Kobięcy głos, przenikliwy i naznaczony obcym akcentem, którego Brady nie mógł rozpoznać, powiedział: „Niepokoi mnie”.

Głos mężczyzny, inny akcent: „Dobrze zagraj, a nic ci nie będzie. Chwyć to, dobra?”.

Kobieta: „Ale będzie tam cała Rada. Czy to nie...”.

Mężczyzna: „Słuchaj, jesteśmy tutaj ze względu na Jedyne, to wszystko. Skup się na tym, żeby jak najlepiej dla niego zagrać i o nic się nie martw”.

Kobieta: „Łatwiej powiedzieć, niż zrobić”.

Mężczyzna stęknął. Rozległy się kroki. Brady obrócił się i odszedł nieco dalej, ale zorientował się, że odgłosy stopniowo cichną. Wrócił i zajrzał do pomieszczenia. Nie było nikogo. Kobieta i mężczyzna musieli wyjść którymś z innych wyjść. Podłoga zagracona była kartonowymi pudłami, drewnianymi skrzyniami, pulpitemi i składanymi krzesłami. Brady pospieszył do wyjścia.

Sala została za jego plecami. Korytarz zaś biegł długo prosto bez żadnego oświetlenia. Smugi po stopach Alicii były tu wyraźniejsze niż wcześniej, zdeptane przez zaledwie sześć innych par odcisków. Zmartwiał. Zobaczył ślady łap, było ich mnóstwo, a obok kształt dużych butów. Wychodziły z przecinającego korytarza, prowadziły w kierunku, w którym szedł Brady, i wydawało się, że zawracały tam, skąd przyszły. Zerkając zaledwie w głąb, minął przejście, gdzie zobaczył pustą alejkę i oddalony zakręt. Serce łomotało mu w piersi. Jeśli Alicia nie żyje, wyniesie ją z tego piekła.

Próbował przełknąć ślinę, ale nie mógł. W gardle urosła mu gęła.

Na litość boską! - beszał się. - Weź się w garść. Zabieraj Alicię i wrywaj stąd, jedź do domu i tam się rozklej. Ale nie teraz. Ta chwila ma swoje przeznaczenie: ratowanie Alicii. Nic innego nie może się wydarzyć. Nic.

Światło... W oddali, zaledwie jasna kropka pośród ciemności - na ekranie DMZ widoczna była jako żółta poświata na białym tle noktowizyjnej optyki DMZ. W miarę jak się zbliżał, plamka rozrosła się do rozmiarów pokoju na końcu korytarza. Zwolnił kroku, zatrzymał się. Posuwając się do przodu centymetr po centymetrze, przyjrzał się pomieszczeniu: kamienne ściany... kraty... to cela! Podchodząc bliżej, zobaczył Alicię. Siedziała na podłodze z tyłu celi. Kolana podciągnęła pod brodę, obejmując je ramionami. Głowę miała spuszczoną, a włosy spływały luźno, zasłaniając twarz.

Ta pozycja wyrażająca rezygnację była tak obca tej Alicii, którą znał Brady, że przez chwilę się zawahał. Wtedy podniosła wzrok, który mówił, że była pogodzona ze wszystkim, co miało ją spotkać ze strony oprawców. Smutek natychmiast zniknął z jej oczu, które ze zdumienia zrobiły się wielkie jak spodki. Uśmiech rozświetlił jej twarz. Przedstawiała teraz olśniewający widok. Skoczyła na nogi, ale nie zbliżyła się do krat.

- Brady? - spytała z nadzieją, ale bez pewności w głosie. Jej oczy się zwężyły. - Czy jest Morgan?

- Przy telefonie - odparł, podchodząc bliżej.

Uśmiech powrócił i był jeszcze bardziej promienny. Rzuciła się do krat, wyciągnęła przez nie ręce i chwyciła jego ramiona.

Pozwolił, by pistolet wypadł mu z dłoni i zwił na taśmie.

Zlustrowała go z góry na dół.

- Użyłeś DMZ! Brady, jesteś genialny!

- Trzeba cię stąd wyciągnąć - powiedział. - To urządzenie jest niesamowite.

Przesunął się w bok w stronę klawiatury, nie zdejmując wzroku z Alicii. Chciał ją taką zapamiętać, pełną życia i entuzjazmu.

- Dobrze cię widzieć - wyszeptał. Nie wiedział i nie zważał na to, czy hełm przekazuje jego słowa, po prostu potrzebował je wypowiedzieć.

- Ciebie też - odpowiedziała. - Przynajmniej tyle ciebie, ile da się zobaczyć.

Nie minęły dwie sekundy, kiedy zauważył jakąś zmianę w jej oczach. Podniosła wzrok na coś ponad jego ramieniem, a oczy znów zamieniły się w spodki. W małym oknie z obrazem z tylnej kamery dostrzegł jakąś rozmazaną plamę, jakiś ruch.

- Brady! - wrzasnęła. Przefiltrowany przez wewnętrzne głośniki hełmu jej okrzyk

zmienił się w piskliwy skrzek, który narastał aż do ogłuszającego grzmotu.

Zwalił się na ziemię jak upuszczona kukielka. Hełm trzasnął o kamienną podłogę. Lewy halogen był rozbity, górny laser odpadł i ze stukiem potoczył się po posadzce.

- Brady! - powtórzyła Alicia.

Z jednej strony hełmu widoczne było wgniecenie zbyt głębokie, by mógł uniknąć obrażeń.

Nad nim stał Scaramuzzi, uderzając kijem bejsbolowym o wnętrze dłoni.

- Kiedy usłyszałem, że w moich tunelach grasuje jakiś mechaniczny potwór, zacząłem się obawiać, że moje Louisville sobie z nim nie poradzi. - Zaśmiał się krótko, jakby chciał powiedzieć: „gapa ze mnie”. - Tak się u was mówi, nie? Louisville?

- Brady?

Nie poruszył się.

- *Osservilo sopra* - powiedział Scaramuzzi.

Dwóch mężczyzn, którzy dotąd stali za nim, okrążyło go, podeszło i kucnęło z obu stron Brady'ego. Jeden obszukał leżącego. Drugi wyjął nóż i przeciął taśmę, którą do nadgarstka przymocowany był pistolet. Mężczyzna z uznaniem przyglądał się broni. Alicia zauważyła, że pistolet miał tłumik, prawdziwy, nie taki z rolki papieru toaletowego, jakim nastraszyła Gilbreatha. Mężczyzna wsunął sobie broń za pasek na plecach.

- *Niente* - odezwał się do Scaramuzziego.

Ten z rozbajającym uśmiechem obrócił się na pięcie. Zniknął w lewym korytarzu, kołyszac kijem jak angielski gentleman nieotwartym parasolem. Dwóch mężczyzn zaczęło ciągnąć za hełm. Jedna noga i jedna ręka leżącego opadły bezwładnie.

- Brady? - odezwała się cicho. Potem głośniejszym głosem zwróciła się do mężczyzn.

- Przekręćcie to. W lewo.

Wpatrywali się w nią, nic nie rozumiejąc.

Na migi przekazała im instrukcje i zdjęli hełm. Głowa Brady'ego najpierw uniosła się razem z nim, a potem opadła na podłogę z głuchym odgłosem, od którego robiło się niedobrze.

Jeden z mężczyzn warknął coś do Alicii i wskazał na tylną ścianę. Cofnął się o krok, badawczo przyglądając się bezwładnemu ciału. Wstukał kod na klawiaturze i otworzył drzwi celi. Drugi chwycił Brady'ego za nogi i wciągnął go do środka. Kiedy tylko zrzucił ładunek, czmychnął na zewnątrz. Drzwi zamknęły się z trzaskiem.

Zanim jeszcze zniknęli z pola widzenia, Alicia już klęczała obok swojego partnera. Przesunęła dłonią po jego policzku, szukając rany. Twarz miał pokrytą czarno-sinymi

plamami, były też przecięcia zaschnięte już w strupy, ale wszystkie te obrażenia musiały zostać zadane wcześniej. Skóra na lewej kości policzkowej zaczęła się odbarwiać na żółtawy odcień. Krew gromadziła się na lewym płątku usznym. Kiedy otarła ją palcami, zobaczyła, że przecięcie jest okrągłe i rozmiarem odpowiada wewnętrznemu głośnikowi hełmu.

Głowa mężczyzny drgnęła i obróciła się. Jęknął.

- Brady! - wykrzyknęła. - Nic ci nie jest?

Przeciągając jęk w głośny oddech, zatrzepotał powiekami i otworzył oczy.

- To dla mnie nienajlepszy dzień - odezwał się.

Uśmiechnęła się i objęła go mocno.

- Ktoś mi przyłożył - powiedział.

- Scaramuzzi chciał kijem bejsbolowym wybić twoją głowę na aut. - Zbadala jego oczy. Obie źrenice były tak samo duże, ani nadmiernie rozszerzone, ani zwężone. Ułożyła dwa palce w literę V tuż przed jego twarzą. - Ile widzisz palców? - spytała.

- Dwa, czyli tyle, ile razy mnie dzisiaj znokautowano. - Podniósł się na łokciach. - Najpierw brat Arnolda Schwarzeneggera, a teraz Antychryst. - Powoli pokręcił głową.

- Wiesz, jaki dziś dzień?

- Zły dzień, bardzo zły.

- Brady.

- Niedziela... Chyba że leżałem nieprzytomny dłużej niż mi się wydawało.

- Jakąś minutę. Chyba nie masz wstrząsu mózgu, choć nie mam pojęcia, jak go uniknąłeś.

- Czyli hełm chyba działa.

- Wygląda gorzej niż ty.

Zlustrował otoczenie.

- Marriott to nie jest.

Poklepała pryczę.

- Spróbuj, spodoba ci się. Wskakuj. - Pomogła mu wydźwignąć się na pryczę. Opadł na posłanie, a ona usiadła obok.

Przytulił się do ściany i zamknął oczy.

Chciała go wypytać o jego rany, o labirynt, o to, co się z nim działo od wyjazdu z lotniska aż do teraz. Rozumiała jednak, że teraz Brady potrzebuje po prostu spokoju. Nawet w panującym w celi półmroku rozlewający się na policzku siniak był dobrze widoczny. Tętnice na skroni i w gardle pulsowały, zwalniając nieco, w miarę jak się uspokajał. Zobaczyła, że zraniona ręka znów okrwawiła bandaż. Ścisnęła drugą dłoń.

Po jakiejś minucie usiadł prosto, ze wszystkich sił starając się wyglądać na całego, zdrowego i w pogodnym nastroju.

Opowiedziała mu o tym, jak obudziła w celi w towarzystwie Scaramuzziego i zrelacjonowała, dlaczego zlecił morderstwa Pelletier i ataki na nich.

W oczach Brady'ego rozbliżyła iskra, ale był zbyt znużony, żeby okazywać złość.

- Więc to wszystko kant, który ma uwiarygodnić Scaramuzziego w oczach rady zarządu - podsumował.

- Sztuczka iluzjonisty, tyle że na śmierć i życie - zgodziła się. Przyjrzała się swojemu owiniętemu gazą przedramieniu. Dotknęła plamy i ogładnęła palec. Był mokry od świeżej krwi.

Brady potrząsnął głową.

- Tyle już wieczorów zmarnowałem, kontemplując naturę zła. Wydawało mi się, że patrzyłem mu prosto w oczy. Sądziłem, że je znam. - Zmarszczki na jego czole pogłębiły się.

- A tymczasem wściekałem się na uzurpatora... patrzyłem na... na dym, a nie na ogień.

- Ogniem jest Scaramuzzi - zawyrokowała Alicia.

- Myślałem, że śmierć Karen była bezsensowna. Jakiś pajac za kółkiem, pijany, rozkojarzony albo lekkomyślny, zmiotł ją tak, jak się zabija muchę. To przeraźliwie boli, ale to, co robi Scaramuzzi, jest jeszcze gorsze. - Podniósł na nią wzrok. - Żyłem we własnym świecie, żyłem przeszłością, lamentując nad tym, co jest teraz. Zapomniałem o prawdziwym świecie, gdzie żyją ludzie, których kocham. A takie potwory jak Scaramuzzi im zagrażają. Jeśli jestem tym człowiekiem, którego kochała moja żona, to muszę pozwolić jej odejść. Ona jest już gdzie indziej...

Jego wzrok odplynął, a Alicia wiedziała, że Brady mówi nie tylko do niej, ale i do siebie. I do Karen, i Zacha, a może nawet do swojego Boga, z którym na jej oczach toczył walkę, od kiedy go poznała.

- Nie mogę zatrzymać jej i jednocześnie innych ludzi, których kocham - ciągnął dalej.

- Chciałem być z nią bardziej niż chciałem być z nimi. Od dziś to się zmieni. Oni mnie potrzebują, ona już nie.

Znów podniósł wzrok. Oczy miał wilgotne i zaczerwienione.

Chciała powiedzieć coś, co by go pocieszyło, ale obawiała się, że cokolwiek powie, może zabrzmieć źle. Dlatego ścisnęła go tylko za rękę.

- To nie koniec - wyszeptał. Właśnie miał powiedzieć coś jeszcze, ale przerwał im jakiś dudniący głos.

- Jesteście sławni!

Scaramuzzi podszedł do celi, ręce układając w szyderczym powitaniu.

- Wszyscy o was pytają - powiedział. - Chcą wiedzieć, kim są ci wrogowie, którzy wdarli się do mojego domu. Kimże są ci niewierni? Jedna osoba wykazywała szczególne zainteresowanie, więc zaprosiłem ją, żeby was poznał. Nie macie chyba nic przeciwko?

Odwrócił się do zaciemnionego korytarza.

- Chodź, ojcze! - Do Brady'ego i Alicii zaś odezwał się cicho: - Stareńki już jest, biedaczysko. Ledwie chodzi.

Z cienia wyłonił się zgarbiony stary człowiek w czarnych spodniach i koszuli z koloratką. Podniósł głowę i Alicia poczuła, jak ciało Brady'ego, podobnie jak jej, sztywnieje.

- Agenci specjalni Moore i Wagner - przedstawił Scaramuzzi. - Poznajcie mojego głównego teologa ojca Randalla.

Starzec skrzyżował spojrzenia kolejno z każdym z nich. Szybkim ruchem podniósł palec do ust, po czym podrapał się po policzku pokrytym jednodniowym zarostem.

Brady i Alicia spojrzeli na siebie nawzajem. Pomogła mu wstać z pryczy i podejść do krat. Stał tam, twarzą w twarz z nimi, człowiek, którego znali jako kardynała Ambrosiego.

82.

Kardynał Ambrosi - ojciec Randall - zmierzył ich wzrokiem i skinął głową.

Scaramuzzi odezwał się do swoich więźniów.

- Ojciec Randall był ciekaw, co o mnie wiecie i w jaki sposób dotarliście aż tutaj po zaledwie kilku dniach poszukiwań. Zaproponowałem, żeby sam was zapytał.

- Istotnie... - odezwał się Ambrosi w zamyśleniu. Jego spojrzenie padło na Alicię. Na twarzy księdza malowała się troska, choć próbował ją ukryć pod pozorami ciekawości. Powieki powoli opadły, po czym znów uniosły się jakby dzięki ogromnej sile woli.

- Proszę się nie spóźnić na Zgromadzenie - powiedział Scaramuzzi cicho do kardynała czy księdza, czy kimkolwiek był ten człowiek. Przesłał Alicii uśmiech. - Bądź dla niego miła. Ma wysoko postawionych przyjaciół. - Roześmiał się i Alicia zrozumiała, że mógł mieć na myśli Boga albo watykańskich hierarchów, a nawet samego siebie. Podejrzewała, że właśnie ta dwuznaczność tak go ucieszyła. Scaramuzzi przyjacielsko ścisnął Ambrosiego za ramię i oddalił się niespiesznie.

- Proszę, odsuńcie się pod ścianę - powiedział starszy mężczyzna.

- Coś ty zrobił? - spytał Brady, a każde słowo było ciężkie jak głaz.

- Proszę was. Nie możecie jeszcze wyjść. To zbyt niebezpieczne.

Alicia odciągnęła Brady'ego do tyłu. Obserwowali, jak tamten przysuwa się do klawiatury, wstukuje kod i otwiera drzwi. Wszedł, szurając nogami i zamknął drzwi za sobą.

Podszedł do pryczy Alicii i usiadł. Westchnął ciężko i zwiesił ramiona. Wydawał się drobniejszy, niż pamiętała go z tego ranka. Bardziej kruchy. Usiadła obok niego.

Brady patrzył na niego wściekle.

- Jesteś popychadłem Scaramuzziego - rzucił złośliwie. - Wysłał cię, żebyś mu nas wystawił.

- Nie - zaprzeczyła Alicia, zerkając na twarz Ambrosiego, na której malowało się znużenie. - Scaramuzzi nie wie wszystkiego. Nie wie, kim naprawdę jesteś.

- To my nie wiedzieliśmy, kim jest naprawdę. Sługą Antychrysta.

Ambrosi poprawił się na pryczy, powoli i ostrożnie, jakby chciał zyskać na czasie, żeby pozbierać myśli. Odchrząknął.

- Miałem nadzieję, że to skończy się inaczej - zaczął. - Próbowałem dać wam do

zrozumienia, jak niebezpieczny i nieprzewidywalny jest Scaramuzzi. Sądziłem... - Potrząsnął głową, jakby dziwił się własnej naiwności. - Sądziłem, że mając tę wiedzę i desperacko chcąc ratować siebie i twojego syna, nie pozwolicie mu podejść tak blisko. Myślałem... - Spuścił wzrok.

- No co? - ponaglił Brady.

- Myślałem, że zabijecie go pierwsi.

- I o to ci chodziło? - spytała Alicia. - Żebyśmy go zabili?

- To niebezpieczny człowiek. Zdolny do ogromnego zniszczenia.

- Więc sam go zabij - odwrknął Brady. - Masz przecież dojsście.

Ambrosi lekko przechylił głowę.

- Gdyby mi się nie udało... Muszę najpierw mieć następcę. Księdza, który kontynuowałby moją pracę. Ktoś musi wypatrywać i powstrzymywać przyszłych kandydatów, a kiedyś nakłaniać wiernych, by nie poddali się spiskom prawdziwego Antychrysta.

- Trzeba było pomyśleć o następcy jakieś pięćdziesiąt lat temu.

Skinął głową.

- Miałem ich kilku. Znudziło się i zajęli inną dziedzinę. Bóg ześle mi następcę w odpowiednim momencie.

- A do tego czasu wysyłasz innych, żeby odwalali czarną robotę - podsumował Brady. Złapał ręką kratę, żeby nie upaść. Zatoczył się na swoją pryczę i usiadł.

- Musicie zrozumieć - powiedział Ambrosi - że kiedy zdałem sobie sprawę, jak Scaramuzzi zamierza wykorzystać prorocstwo o doświadczeniu bliskim śmierci, próbowałem, jakby to ująć, wezwać kawalerię.

- Powiedziałeś ojcu McAfee, jak się nazywałeś.

- Miałem nadzieję, że zbiegnie się całe wasze FBI albo Interpol. Zamiast tego...

- Dostałeś nas - dokończył Brady.

- Robiłem, co mogłem - ciągnął Ambrosi. - Zaprzyjaźniłem się z najbardziej zaufanym człowiekiem Scaramuzziego, Pippinem Farago. Był przyjacielem Luca z dzieciństwa, a potem został jego osobistym asystentem. Odkryłem, że posiada dowody, iż Scaramuzzi jest oszustem. Prawie go przekonałem, żeby oddał je w ręce Strażników. Zachęcałem go, żeby zrobił to, co należy, ze względu na siebie i na całą ludzkość. Zaaranżowałem spotkanie Pipa z jednym ze Strażników, który niczego bardziej nie pragnie, niż odsunąć Scaramuzziego od władzy. Wtedy właśnie Pip zniknął. To było cztery dni temu.

- Czy to ten Pip, który rzekomo się z nami kontaktował? I te akta, które niby mamy

albo możemy zdobyć?

- Tak.

- Powiedziałeś mi, że Pip się do nas zwrócił?

- Powiedziałem. Przepraszam.

- Ale dlaczego?

- Żeby go wywabić na powierzchnię. Sami nigdy nie podeszlibyście do niego tak blisko. A jak możecie zabić kogoś, kogo nie widzicie? Te akta są dla niego tak ważne i tajne, że nie wysłałby po niego nikogo ze swoich ludzi. Poszedłby sam.

- Nastawiasz tego Pipa przeciw Scaramuzziemu i facet znika. Wysyłasz nas, żebyśmy go zabili i znajdujemy się tutaj, praktycznie martwi. Całe to szpiegowanie chyba kiepsko ci idzie, nie sądzisz?

Ambrosi uśmiechnął się.

- Jeśli chcesz rozbawić Boga, opowiedz Mu o swoich planach.

Alicia poklepała go delikatnie po plecach. Spojrzał na nią z życzliwością.

- Chciałem tylko powstrzymać Scaramuzziego. Kilka miesięcy temu Pip po kilku kieliszkach wina zaczął narzekać, że Luco go okropnie traktuje. Mówił, że chce mu się postawić, powiedzieć mu do słuchu. Przypomniałem mu, że Luco nie toleruje zuchwałości. Wyszydził mnie, więc powiedziałem mu: „Pip, ten człowiek zabił własną matkę” - wszyscy znają tę historię. Pip się roześmiał i powiedział, że to nieprawda. Wtedy już wiedziałem, że da się Scaramuzziemu przyłapać na kłamstwie i skompromitować w oczach Strażników jako oszusta. Nikogo nie obchodziło, czy zamordował matkę, czy nie. To ja musiałem ich tym zainteresować. Sfabrykowałem całą przepowiednię o matkobójstwie, a Scaramuzzi ją kupił, za wszelką cenę chcąc przekonać do siebie Strażników.

Alicia dokończyła za niego.

- Strażnicy mieli ją zaakceptować przy aprobacie Scaramuzziego, a potem Pip miał wystąpić i powiedzieć, że Luco wcale tej przepowiedni nie wypełnił.

- Nawet lepiej. Pip wrócił do mnie i wyznał, że ma dowód na to, że Scaramuzzi nie zamordował swojej matki.

- Te akta - powiedział Brady.

Ambrosi przytaknął.

- Trzeba go powstrzymać. Nie dlatego, że jest Antychrystem. Nie jest nim ani trochę bardziej niż Matką Teresą. Ale jest bardzo sprytnym oszustem. Zwłaszcza teraz, kiedy sam uwierzył, że jest tym, za kogo się podaje. Może nie spowoduje biblijnego Armagedonu, ale dla setek milionów ludzi to może być koniec świata. Wyobraźcie sobie Hitlera z

nowoczesnym uzbrojeniem: to właśnie Luco Scaramuzzi.

Brady nie był ani trochę przekonany.

- Masz wysokie mniemanie o sobie i o swoim powołaniu do wypatrywania Antychrysta i dlatego jesteś gotów poświęcić niewinnych ludzi.

Alicia skrzywiła się.

- Myślę, że on ma rację. Co znaczy kilka osób w porównaniu z milionami, które mogłyby stracić życie, gdyby Scaramuzziemu się udało?

Mów za siebie, pomyślał Brady. Ale nie powiedział tego na głos. Mógłby to zrobić tylko z czystej złośliwości, bo w głębi duszy zgadzał się z nią i prawdopodobnie również z Ambrosim. Nie podobało mu się tylko, że zostali w ten sposób wykorzystani.

Ambrosi utkwiał wzrok w podłodze.

- *Exitus acta paene aprobat.*

Alicia delikatnie dotknęła jego przedramienia.

- Co to znaczy, Roberto?

Podniósł na nią oczy z wymuszonym uśmiechem.

- Cel niemal uświęca środki.

Słyszając to, Brady uśmiechnął się słabo.

- Rozumiem, co starałeś się osiągnąć, chociaż nie zgadzam się z twoimi metodami. Doceniam twoje zaangażowanie i ryzyko, jakie podjąłeś, żeby infiltrować obóz Scaramuzziego. Ale czy nie dało się nic zrobić wcześniej, zanim sprawy zaszły tak daleko? Zanim zamordowano pięcioro niewinnych ludzi, zanim my o mało nie zginęliśmy?

- To może zabrzmieć bezdusznie, ale czy to nie Napoleon radził, żeby nigdy nie przeszkadzać wrogowi, kiedy popełnia błędy? Wiedziałem, że działania Scaramuzziego w Ameryce zwrócą na niego uwagę wszystkich. Jednocześnie sądziłem, że do tego czasu Strażnicy dostaną od Pipa dowody obciążające. Byłby osaczony. Wyobrażałem sobie, że Strażnicy go wyeliminują, a FBI czy Interpol przetrzebi ich szeregi, tak że trudno będzie im się przegrupować czy uratować zasoby finansowe, które zainwestowali w świat Scaramuzziego. Chciałem wyrządzić im tyle szkód, ile tylko mogłem.

- Czy to ty jesteś odpowiedzialny za naślanie na mnie tego wikinga, a na Alicję Malika?

- Skądże. To był plan Scaramuzziego, wszystko działało jak w zegarku. Chciał, żebyście oboje zostali zabici w Ameryce. Prasa zrobiłaby sobie piknik, relacjonując informację o morderstwie dwojga agentów federalnych, z których jednego zabito w ten sam sposób, co ofiary, w sprawie których prowadził dochodzenie. Tego samego dnia Strażnicy

wiedzieliby, kto zlecił wasze zabójstwo, i jego wiarygodność natychmiast by wzrosła, tak jak tego chciał.

- Czyli ty i Pip byliście blisko Scaramuzziego, ale cały czas spiskowaliście przeciw niemu, a Pip zdecydował się go zdradzić - podsumowała Alicia.

Ambrosi skinął głową.

- Taka właśnie jest natura fałszu i oszustwa. Kiedy już się wejdzie w ten świat, wpadnie się w pajęczą sieć, jak to ktoś kiedyś nazwał, już nigdy nie można nikomu zaufać. Nigdy nie wiesz, jakie intrygi knują inni przeciwko twoim. - Westchnął ciężko, po czym kontynuował: - Ludzi często zadziwia bezwzględność łotrów, ich zatwardziałe okrucieństwo. To dlatego, że działają w środowisku, które bezlitośnie karze za każdy przejaw słabości.

Nagle spojrzął na zegarek i podniósł się.

- Muszę już iść.

- Poczekaj - powiedział Brady, wstając z pryczy. Złapał starca za kościste ramię. - Nie możesz nas tu tak zostawić - powiedział.

- Jeśli teraz uciekniecie, będę zdemaskowany. Wrócę po was później... Dziś wieczór.

- Możemy nie dożyć! - wycodził Brady przez zaciśnięte zęby. - Za godzinę możemy być martwi! Ty nas w to wpakowałeś i ty nas stąd wyciągnij.

Ambrosi łagodnym gestem położył dłoń na ramieniu Brady'ego.

- Zrobię to, ale musicie poczekać. Nie można teraz wszystkiego zaprzepaścić.

- Zaprzepaścić? Ja już...

- Zostaw go - odezwała się Alicia. - On wróci.

Pochylił do nich głowę.

- Pip nie został zamordowany, wbrew moim obawom - wyszeptał. - Widziałem go dzisiaj. Myślę, że się ze mną skontaktuje i zdobędzie te akta. Nie wszystko jeszcze stracone.

Cofnął się o krok i energicznie skinął głową, jakby mówiąc: „Oto, czego dokonaliśmy. Jeszcze wygramy tę wojnę”.

Sięgnął przez kraty, odnalazł dłonią klawiaturę i wstukał trzy cyfry. Rozległy się trzy sygnały. Drzwi się otwarły i Ambrosi wyszedł z celi.

- Przynajmniej podaj nam kod - powiedział Brady. - Na wszelki wypadek.

- Cierpliwości, synu. Nie zdradzę was... znowu.

Alicia podniosła rękę i położyła ją poziomo na piersi Brady'ego. Był to raczej gest pocieszenia niż rzeczywista próba zatrzymania go.

- Będzie dobrze - szepnęła.

Ambrosi zatrzasnął drzwi klatki.

- Jeśli będziesz miał akta, to my już nie będziemy ci potrzebni. - Brady nie dawał za wygraną.

Starszy mężczyzna przycisnął palec do ust.

Odwrócił się i powłócząc nogami odszedł w ciemny korytarz, w którym zniknął Scaramuzzi.

- Wrócisz dzisiaj? - upewnił się Brady.

- Modłę się o to - odparł Ambrosi, nie zatrzymując się.

- Powiedziałaś, że wrócisz dziś wieczór!

W progu tunelu odwrócił się i oparł dłonią o ścianę.

- Brady, musisz ufać...

Z ciemności wyłonił się kij i z trzaskiem uderzył w czaszkę starca. Skóra, mięśnie i kość rozpadły się pod ciosem. Krew trysnęła jak powietrze z przekłutego balonu. Ambrosi grzmotnął o ścianę i zwałił się na ziemię.

- Nieee! - wrzasnęła Alicia.

Brady podbiegł do krat i z całych sił szarpał za drzwi, ciskając przekleństwa pod adresem Scaramuzziego. Ten wyszedł z cienia i przekroczył leżące ciało, przyglądając się dziełu własnych rąk. Karminowa strużka spływała z czubka kija, skapując na czarny sweter Ambrosiego.

Wokół głowy kardynała tworzyła się kałuża krwi, najpierw szkicuując siatkę spojeń między kamieniami posadzki, a potem pokrywając całą ich powierzchnię.

Scaramuzzi pochylił się i zdjął coś ze swetra księdza. Podniósł wysoko. Był to nadajnik wielkości dziesięciocentówki, z którego jak odnóża wystawały dwie antenki z cienkiego drutu. Dopiero teraz Brady zauważył białe słuchawki iPoda w uszach Scaramuzziego, który z pewnością był ustawiony na odbiór sygnału z tego nadajnika. Mężczyzna podszedł bliżej do krat celi.

- Odniosłem wrażenie, że staruszek ostatnio osobliwie się zachowuje - powiedział. - Trochę szkoda. Nawet go polubiłem.

Od strony podłogi dobiegł ich chrapliwy, niemal nieludzki głos.

- Jest... tak... jak... myślicie.

Wszyscy troje spojrzeli w stronę Ambrosiego, który podpierał się na łokciach wpatrzony w Brady'ego i Alicię oczami okrągłymi ze zdziwienia. Gorliwość, jaką Brady w nich zobaczył, wywołała u niego gęsią skórę.

- No, no, wystarczy - powiedział Scaramuzzi, unosząc kij.

- Nie! Nie! - Alicia cisnęła w niego te słowa jak kamienie. Ale nie przyniosły żadnego

skutku. Trzymając kij oburącz, zamachnął się nim i uderzył w i tak już zdeformowaną czaszkę. Dźwięk przypomniawszy Brady'emu odgłos upadku przejrzałego arbuza, którego kiedyś upuścił, niosąc do śmietnika.

Alicja pobiegła do kąta celi i wymiotowała.

Scaramuzzi podchwycił wzrok Brady'ego, wskazał na ciało i powiedział:

- To mogłeś być ty.

Odwrócił się i zniknął w korytarzu, a stukot jego obcasów cichł z każdym krokiem.

83.

Ukrywszy twarz w dłoniach, Alicia łkała, podnosząc twarz tylko po to, żeby przekląć Scaramuzzię. Brady siedział obok na pryczy, głaskając ją po plecach. Zasłonił nos ręką, przedkładając zapach potu i skóry nad woń krwi i wymiotów. Jeden dobry wdech, a zaraz dołożyłby swoje trzy grosze do tego, co na podłodze zostawiła Alicia.

- Staruszek nigdy nie przestał mnie zadziwiać - powiedział, starając się dodać jej otuchy. - Po prostu musiał nam powiedzieć, jak to jest. - Skrzywił się, słysząc własne słowa. Ale nie mógł teraz zamilknąć, może uda mu się z tego wybrnąć. - Jak to jest, kiedy się umiera. „Jest tak, jak myślicie”. Pewnie widział już złociste bramy nieba, co?

Konwulsje Alicii stopniowo ustały. Siedziała w milczeniu, z twarzą ukrytą w dłoniach. Kiedy podniosła na niego wzrok, oczy miała zaczerwienione, policzki mokre od łez, ale w spojrzeniu nie było smutku, tylko niedowierzenie.

- To było niedelikatne z mojej strony - powiedział przepaszająco.

Wstała i wyciągnęła palec, jakby chciała powiedzieć: „chwileczkę”.

Podeszła do drzwi celi. Wyciągnęła rękę przez metalowe sztaby i majstrowała coś przy klawiaturze. Rozległy się trzy sygnały. Mechanizm zamykający zabrzączał i drzwi odskoczyły na dwa centymetry.

Brady zerwał się.

- Co do...?

Usta miała zaciśnięte. Brady zorientował się, że Alicia próbuje jednocześnie się uśmiechnąć i powstrzymać łzy. Zbliżył się i wziął ją w ramiona. Wtulając policzek w jego pierś, powiedziała:

- Jest tak, jak myślicie. Nie mówił o śmierci, tylko o kombinacji. Dotrzymał obietnicy.

- Więc jaki był kod?

Odchyliła głowę, żeby spojrzeć mu w twarz.

- To niby Antychryst. I do tego facetowi się wydaje, że jest cwany i dowcipny.

Brady potrząsnął głową na znak, że dalej nie rozumie.

- Może po prostu trzeba znać takich typów od tej strony, od której znają ich kobiety.

Chodźmy. - Przekroczyła próg, odwracając twarz od ciała Ambrosiego.

- Nie powiesz...? - Wtedy go olśniło. - Sześć - sześć - sześć.

Uśmiechnęła się do niego blado i z wyraźnym wysiłkiem.

Brady potrząsnął głową i chwycił ją za rękę.

- Wynośmy się stąd.

Wbiegli do prawego tunelu. Właśnie wtedy dotarł Brady, szukając Alicii, może uda mu się odtworzyć trasę. Choć bez DMZ nie robił sobie wielkich nadziei.

- Już wcześniej mierzyłem się z tymi tunelami - powiedział. - Błądziłem przez dwie godziny.

- Brady, musimy spróbować.

Przejścia otwierające się po obu stronach wyglądały mniej gościnnie niż tunel, którym szli - były niewiarygodnie wąskie, zalane wodą, przesiąknięte smrodem. Bez optyki DMZ wszystko wyglądało zupełnie inaczej. Wreszcie dotarli do jakiegoś oświetlonego tunelu i skręcili w niego. Na prawo otwarło się kolejne oświetlone przejście. Brady wszedł w nie i zatrzymał się. Alicia wyszła zza rogu, wpadła na niego i wtedy zaczęła się rozglądać.

Znaleźli się w jakiejś komnacie. Pod wszystkimi ścianami porozstawiane były pudła, skrzynie i torby. Nad jednym z kartonów pochylał się mężczyzna, oklejając je taśmą. Podniósł na nich wzrok.

- Hej! - wrzasnął. Rzucił taśmę i sięgnął za plecy. Stał za daleko, żeby mogli się na niego rzucić.

- Wracaj! Wracaj! - krzyknął Brady i cofnął się, wypychając Alicię z powrotem do tunelu. Kątem oka dostrzegł, że mężczyzna ma w ręku pistolet. Kiedy był już za progiem, rozległ się huk wystrzału, który jak grzmot rozszedł się echem po tunelu. Za sobą Brady usłyszał jeszcze jeden ostry dźwięk. To kula trafiła w ścianę tuż obok jego głowy.

- Stójcie! - krzyczał mężczyzna z amerykańskim akcentem. W ciągu sekund byłby w tunelu w prostej linii za ich plecami.

- Skręcaj! - rzucił Brady. - Teraz!

Alicia zboczyła w szerokie, ale kompletnie ciemne przejście. Pistolet wystrzelił raz jeszcze i odłamki kamienia odpysły od ściany, raniąc Brady'ego w policzek. Skręcił za nią. Tamten też nic tu nie zobaczy, ale będzie pewnie strzelać na ślepo, pomyślał.

- Jeszcze raz - polecił Alicii.

- Nic nie widzę!

- Macaj lewą ścianę. Ja prawą.

Instynktownie każde z nich wyciągnęło również i drugą rękę, aż ich dłonie splotły się ze sobą.

Za nimi znów huknął wystrzał: Bam! Bam! Bam!

Brady usłyszał świst pocisku koło swojego ucha.

- Brady - zawołała Alicia. W jej głosie słychać było przerażenie.

- Jestem! - odpowiedział i pociągnął ją za sobą do tunelu, na który natrafił. Był równie nieprzenikniony, natomiast węższy. Biegli teraz jedno za drugim. Gdyby napastnik strzelił do tego tunelu, nie mógł chybić.

Korytarz zakręcał lekko w prawo, więc lewa ściana ciągle ich odpychała. Pojawiło się jakieś światelko - około sto metrów dalej ukazał się oświetlony tunel. Nagle na jego tylnej ścianie zakołysały się jakieś cienie i dobiegły ich krzyki około sześciu osób. Brady ostro zahamował.

- Cofaj się - wyszeptał ostro.

- Ale ten facet ma broń.

- On jest jeden - powiedział Brady. - A z drugiej strony cała armia.

Usłyszał, jak obróciła się na pięcie i pognęła przed siebie.

- Alicia, czekaj!

Rzucił się za nią.

- Co jest? - odrzyknęła.

- Wyciągnij przed siebie ramiona na wysokości głowy. Oba. I biegnij jak najszybciej.

Przyspieszyli tempo.

- Przygotuj się - szepnął tuż za nią.

Brady usłyszał kroki i oddech tamtego na dwie sekundy, zanim Alicia zderzyła się z napastnikiem. Oboje jęknęli ciężko. Brady wpadł na plecy Alicii, żeby swoją wagą i impetem pomóc jej dokończyć dzieła, jeśli jej wyciągnięte ręce nie załatwiły sprawy. Zwalili się na podłogę tunelu, kotłując się i miotając. Brady natychmiast skoczył z powrotem na równe nogi.

- Alicia!

- Jestem - powiedziała podnosząc się obok niego.

- A gdzie tamten...

- Mam go pod butem. Nieprzytomny.

- Weź jego broń.

- Nie mogę znaleźć - dobiegł po chwili jej głos z okolic podłoża.

Brady ukląkł i zaczął obmacywać podłogę.

Usłyszeli odgłosy ścigającej ich grupy. Snop światła latarki prześliznął się po zakręcającej ścianie tunelu.

Dłoń Brady'ego natrafiła na metalowy przedmiot, który zatańczył po podłożu.

- Mam! - powiedział. - Idziemy.

Dotarli do oświetlonego korytarza, w którym mężczyzna po raz pierwszy do nich strzelił.

Alicia skręciła w lewo, oddalając się od celi. Zwolniła przed oświetlonym portalem po lewej stronie. Zajrzała ostrożnie, ale nikogo tam nie było. Tylko przejście, podobne do tego, w którym się znajdowali.

- Prosto - powiedział Brady bez chwili wahania.

Trzydzieści sekund później usłyszeli głosy wyprzedzające ludzi, do których należały. Brady i Alicia gnali prosto na jakiś inny szukający ich oddział.

Obrócili się jednocześnie i skręcili w oświetlony tunel, który przed chwilą minęli. Pędem pobiegli naprzód. Dwie grupy pościgowe spotkają się za jakieś dwadzieścia sekund i zorientują się, którądy ucieka zwierzyna.

- Skręcaj w następny oświetlony tunel - zakomenderował Brady.

Minęli trzy ciemne korytarze zanim natrafili na tunel, gdzie u sufitu rozwieszony był sznur żarówek. Skręcili tam i zwolnili kroku, przechodząc do marszu, dzięki czemu mogli złapać oddech i nasłuchiwać odgłosów prześladowców.

- Dźwięk jest tutaj bardzo zniekształcony - powiedział jej. - Bardzo ciężko jest namierzyć źródło.

- Zauważyłam.

Spojrzał na pistolet, który trzymał w dłoni. Glock 21 - taki sam jak ten, z którym trenował i który nosił na służbie, tyle że ten strzelał pociskami kaliber .45, czyli większymi niż kule 9 mm, do których przywykł Brady. Zatrzymał się i wyjął magazynek. Był pusty. Odciągnął suwadło i wypadł jeden pocisk. Brady wsunął go z powrotem do komory.

- Jedna kula - poinformował.

- Dobrze ją wykorzystaj.

Padł strzał i jedna z żarówek nad ich głowami rozprysła się. Odwrócili się, żeby zobaczyć kobietę, która mierzyła do nich ze strzelby. Była oddalona przynajmniej o sto metrów, stała za wejściem do tunelu, z którego skręcili w ten korytarz.

Brady i Alicia padli na ziemię. Zagrzemiał strzał. Kula przeorała kawałek ściany nad głową Alicii.

Kobieta szła w ich stronę.

- Czołgaj się, jak najszybciej - ponaglił Brady. Sam czym prędzej podążył za nią, poruszając się tyłem, żeby mieć na oku kobietę ze strzelbą.

Kobieta szykowała się do strzału. Brady widział, że celując, zamknęła jedno oko.

Podniósł glocka i przymierzył, ustawiając broń tak, by głowa kobiety znalazła się między dwoma jasnymi punkcikami celownika.

Trzech ludzi wpadło z impetem do tunelu z jednego z bocznych przejść pomiędzy nimi a kobietą. Zaraz dołączyło jeszcze czterech innych. Wydawali się niepewni, w którą stronę biec. Dwóch zauważyło kobietę ze strzelbą i błyskawicznie kucnęło, wyciągając jednocześnie broń.

- Hej! - ktoś wrzasnął. Brady podejrzewał, że to Strzelczyni, wkurzona, że banda kretynów zmarnowała jej strzał.

Obrócił się, ale nie zobaczył nic poza pośladkami Alicii i podeszwami jej butów. Popędził za nią.

Za nim rozbrzmiał chór głosów stanowiący reprezentację rozmaitych nacji:

- *Erhalten Sie sie!*

- *Tiro! Tiro!*

- *Déplaces-le des secousses!*

Ktoś strzelił.

Dotarłszy za róg, poderwali się na nogi. Głosy odbijały się od ścian wokół nich. Tunel wpadał do potężnego korytarza, a może hallu, wysokiego przynajmniej na trzy piętra i tak długiego, że z żadnej strony nie było widać końca. Wzdłuż obu ścian ciągnęły się rzędy żłobionych kolumn. Kamienne łuki łączyły jedną kolumnę z następną w rzędzie, na całej długości hallu. Tak daleko, jak Brady sięgał wzrokiem, z sufitu na łańcuchach zwisały się misy z bursztynowego szkła podobne do gigantycznych soczewek kontaktowych. W każdej z nich buzował ogień, wypełniający całe pomieszczenie jaskrawą, migotliwą poświatą.

Na środku, między każdą parą kolumn, widniały wysokie podwójne drzwi. Alicia podbiegła do jednych i szarpnęła. Nie ustąpiły.

Brady spróbował otworzyć inne, ale również bez rezultatu.

Popędzili korytarzem, sprawdzając na zmianę każde drzwi.

Z tyłu i z przodu dochodziły ich głosy.

- Szukaj innego tun... - zaczął Brady, kiedy nagle drzwi, za które pociągnął, posłusznie poruszyły się w jego stronę z piskiem konającego ptaka.

- Alicia! - zawołał, odwracając się, by odszukać ją wzrokiem. Była tuż obok. Razem otwarli drzwi na oścież.

- Wejdźcie! - zachęcił ich znajomy głos.

Na przeciwnym końcu długiej, wyłożonej dywanem nawy, za kamiennym ołtarzem stał Luco Scaramuzzi, przywołując ich skinieniem.

- Panie i panowie - zaanonsował. - Mamy gości!

84.

Obie grupy pościgowe wpadły do wnętrza korytarza. Nadbiegły z obu stron, a każda liczyła przynajmniej tuzin ludzi uzbrojonych w noże, pistolety lub strzelby. Spotkały się w miejscu, gdzie stali Brady i Alicia. Nie mając wyboru, przyjęli zaproszenie Scaramuzziego. Szybkim krokiem weszli do pomieszczenia. Była to katedra pieczołowicie wyłobiona w skale pod Jerozolimą. Nawet ławy po obu stronach przejścia były wryte z kamienia. W stronę Brady'ego i Alicii zwróciło się dwieście twarzy. Zatrzymali się w połowie drogi do ołtarza. Uzbrojeni ludzie tłoczyli się w progu za ich plecami. Ich głosy zamierały, jak zazwyczaj dzieje się to w kościele.

Brady rozejrzał się wokół i zauważył uzbrojonych strażników na balkonach w czterech rogach katedry. Bez wahania podniósł pistolet i wymierzył w Scaramuzziego.

Rozległy się odgłosy gwałtownie wciąganego powietrza i odbezpieczania broni. Kilku mężczyzn siedzących w ławkach nieopodal zerwało się na nogi, gotowi do skoku.

- Czekaście! - zawołał Scaramuzzi. Uniósł ramiona jak telewizyjny kaznodzieja uzdrawiający publiczność przed odbiornikami. Miał na sobie białą szatę, której rękawy zwisały jak skrzydła anielskie. Cała farsa tego niby-nabożeństwa, razem ze świątynią i celebrazem, wydawała się Brady'emu odpychająca. Przypomniało mu to obraz Hieronima Boscha przedstawiający czarną mszę i poczuł odrazę.

- Kto zsyła tych prześladowców? - ciągnął dalej Scaramuzzi. - Czy to mój ojciec? Czy to Szatan?

Po zebranych przebiegła fala odgłosów aplauzu.

- Czy to jest wyzwanie? Sprawdzian? Ojcze, czy nadeszła chwila mej próby i mego triumfu?

Potoczył wzrokiem po sali i wygiął usta w uśmiechu.

Brady zaryzykował i też się rozejrzał. Zebrani byli oniemiałi, pochłonięci spektaklem przed ich oczami. Scaramuzzi rozgrywał to perfekcyjnie. Takiego właśnie przedstawienia chcieli. Niezależnie od rezultatu Scaramuzzi obróci je na swoją korzyść, a tamci będą go kochać. Bestia, którą opisał Ambrosi, mówiąc o podłości Hitlera i władzy nad narodami, nabierała kształtu na ich oczach.

Brady nie mógł odpędzić absurdalnej myśli: Czy Scaramuzzi od początku tak to

zaplanował? Czy jego i Alicię zagnano tutaj celowo, właśnie w tym momencie, zgodnie z jego zamysłem?

Nie opuszczając ramion, Scaramuzzi okrążył ołtarz.

- Umiłowani! Ci, którzy nas nachodzą, wiedzą, kim jestem. Rozpoznają mnie!

Brady krzyknął:

- Każ swoim ludziom rzucić broń!

Scaramuzzi skinął głową.

- Oczywiście. - Poruszył rękami w dół, a potem w górę, jakby wachlował zebranych.

Po chwili wahania wszędzie wokół nich ludzie rzucili broń, która ze stukotem wylądowała na podłodze. Strażnicy na balkonach oparli strzelby o balustradę.

- Widzisz? - zwrócił się ze spokojem do Brady'ego. - Czy widzisz, jak przyjmuję swoje przeznaczenie?

Brady widział tylko, że głowa Scaramuzziego znalazła się na celowniku pistoletu. Poczł spust pod palcem.

Naciśnij, nakazał sobie w myśli. Skończ to.

To byłby koniec wszystkiego: Scaramuzziego... Alicii... jego samego. Zdawał sobie sprawę, że zanim ucichnie odgłos wystrzału, tłuszcza rzuci się na nich. Rozerwą ich na strzępy.

Nie chciał, żeby to spotkało Alicię. Nie chciał tego również dla siebie. Bardzo pragnął znów zobaczyć Zacha. Chciał też się przekonać, jak to jest, trzymać Alicię w ramionach.

Zdjął palec ze spustu.

- Wychodzimy - oznajmił i cofnął się o krok.

Scaramuzzi nie odezwał się ani słowem.

On chce, żebyśmy sobie poszli.

Zapewnił już swoim fanom spektakl, jakiego szukali. Powie teraz, że w miłosierdziu swoim darował życie wrogom... Albo że jego ojciec, Szatan, powiedział mu, że pomyślnie przeszedł próbę, bo stawiał czoła wrogom i przeżył... Powie im coś, co umocni ich wiarę i zapewni mu jeszcze większą władzę.

Brady zrobił jeszcze jeden krok do tyłu. Alicia przesuwała się razem z nim - była tuż obok, trzymała dłoń na jego ramieniu.

Nagle zazgrzytał zamek i drzwi na prawo od Brady'ego otwarły się, skrzypiąc. Wszyscy, łącznie ze Scaramuzzim, odwrócili głowy w tamtym kierunku. Brady nie drgnął, ale spojrział tylko w tamtą stronę i dostrzegł stojących w przejściu trzech mężczyzn. Wysunięty do przodu był niski, krępy, miał krzaczaste brwi i bardzo gęste siwe włosy. Brady

rozpoznał go ze zdjęcia w albumie Ambrosiego - to Niklas Hüber. Ten Azjata obok niego to... hm, nie mógł sobie przypomnieć nazwiska, ale jego fotografia widniała tuż obok Hübera. Za nimi stał wysoki, czarny mężczyzna. Nie było go w albumie Ambrosiego, ale sam kardynał przyznał, że jego informacje na temat Rady Strażników są niekompletne. Nowo przybyli szybko ocenili sytuację. Kiedy spojrzeli na Scaramuzziego, ich czoła przecięły głębokie bruzdy.

- To jest mój test! - głos Scaramuzziego odbijał się echem od ścian katedry. Spojrzał ponad pistoletem prosto w oczy Brady'ego. - „I ujrzałem jedną z jej głów jakby śmiertelnie zranioną, a rana jej śmiertelna została uleczona. A cała ziemia w podziwie powiodła wzrokiem za Bestią!”

Brady poczuł ucisk w żołądku. To był cytat z Apokalipsy. Ten fragment według wielu teologów opisuje śmiertelną ranę w głowę, którą ma odnieść Antychryst, i z której ma cudownie wyzdrowieć, pieczętując w ten sposób swoje objęcie władzy.

Czy on chce, żebym...?

Nie spuszczać wzroku z Brady'ego, Scaramuzzi wołał:

- Słuchajcie mnie wszyscy! Tych intruzów zesłał mój ojciec, by dowiedli mojej mocy i tego, kim jestem! Niech strzelą do mnie...

Całe zgromadzenie wybuchło okrzykami: „Nigdy”, „Nie pozwolimy na to!”.

- Niech do mnie strzelą, gdyż tak mówi Pismo. Mówi też, że znów powstanę. I wszyscy mnie poznają!

Okrzyki sprzeciwu zmieniły się w aplauz.

- Jeśli strzelą, puśćcie ich. Jeśli nie... zabijcie.

Odpowiedziała mu cisza.

- Zgoda, umiłowani?

Nikt nie odpowiedział. Prosił o więcej, niż wielu z nich mogło obiecać. Mieliby strzelić do zbawiciela i odejść wolno? To bluźnierstwo!

- Ja powrócę - zapewnił Scaramuzzi - i wywrę moją zemstę. Oni należą do mnie.

Te słowa spotkały się z większym zrozumieniem zebranych. Oklaski i okrzyki radości przeszły w ogłuszający huk. Potem, stłumione, odpłynęły jak fala uciekająca z przybrzeżnego piasku, by wrócić do kipieli.

- A więc - zwrócił się cicho do Brady'ego - dopełnij moje przeznaczenie.

Obok niego Alicia wyszeptała:

- Zrób to.

Oczyrna duszy widział już, jak pociąga za spust, a kula przeszywa głowę tego

szaleńca.

Ale jego palec był jak sparaliżowany.

Tak nie wolno. Scaramuzzi nie miał broni. Zastrzelić go w ten sposób to morderstwo.

Strzelaj! - beształ się w myślach.

Brady nie był stworzony do łamania zasad. Mylił się, sądząc, że jest zdolny do wszystkiego bez względu na prawo czy moralność. Cel nie uświęcał środków! Trzy dni wcześniej, kiedy mierzył do Malika, nie był gotów znów zagnać do klatki tę bestię, która się w nim obudziła. Teraz - tak.

Te morderstwa... Zach... Atak na Alicię...

Miał wszelkie powody, żeby strzelać. Więc dlaczego nie mógł?

Słyszał o żołnierzach, którzy będąc świetnie wyszkoleni w zabijaniu, zarówno fizycznie, jak i psychicznie, z jakichś powodów nie byli w stanie tego zrobić, i to nawet wtedy, gdy nieprzyjaciel próbował zabić ich. To raczej kiepski moment, żeby zdać sobie z tego sprawę.

- Brady? - usłyszał szept Alicii.

Zobaczył, że czoło Scaramuzziego zalsniło potem. Kosmyk jego włosów drżał jakby poruszany wiatrem. Starał się zachować zimną krew, ale nerwy zaczęły mu puszczać.

- Zrób to - powiedział Scaramuzzi ledwie słyszalnie.

Brady nieco obniżył broń. Pomiędzy punktami celownika znalazła się teraz szyja mężczyzny... Potem klatka piersiowa...

Ktoś mocno chwycił go za nadgarstek. To Alicia, jakby czytała w jego myślach. Prawą dłoń podniosła i zacisnęła na pistolecie. Chcąc wyjąć broń z dłoni Brady'ego, pociągnęła, a potem wyszarpnęła mu ją z ręki.

Wycelowała w Scaramuzziego.

Rzucił jej spojrzenie spod zmrużonych powiek i na moment obłok szaleństwa jakby się rozwiął. Przez jego twarz przemknęło skrajne przerażenie.

Wystrzeliła.

Nad lewym okiem mężczyzny pojawił się otwór. Z tyłu jego głowy wydobyła się jakby czerwona mgiełka. Drobiniki krwi natychmiast pojawiły się na tylnej ścianie. Scaramuzziego odrzuciło do tyłu, upadł na ołtarz. Sekundę później stał z powrotem, jakby wyłącznie siłą przyzwyczajenia. Strużka krwi wyciekała z dziury w jego czole, zbierała się nad brwią i skapywała na białą szatę w okolicach serca. Zakołysał się i upadł do przodu. Jego głowa uderzyła w posadzkę i kość trzasnęła jak pod ciosem młota kowalskiego. Ciemna aureola krwi rozlewała się pod jego głową powoli jak syrop.

Nikt się nie odezwał. Nikt nie drgnął. Brady'emu zdawało się, że wszyscy wstrzymali oddech. Wszyscy ze zgrozą wpatrywali się w ciało i coraz większą ciemną kałużę, czekali.

Alicia pociągnęła go za ramię i pozwolił się jej tyłem poprowadzić wzdłuż nawy. Nie był w stanie odwrócić wzroku od nieruchomego ciała. Kiedy w końcu obrócił głowę, dostrzegł, że trzech członkowie Rady, trzech eforowie, obserwują ich odejście. Na ich twarzach nie widać było żadnej emocji poza determinacją. Jego wzrok powędrował na balkon, skąd całą scenę obserwował wiking. Ich oczy spotkały się i Olaf cofnął się w cień.

Alicia przeciągnęła go pomiędzy ciągle stojącymi w progu członkami oddziału. Nikt nie próbował ich zatrzymać. Teraz wypuściła z rąk jego ramię, schyliła się i wymieniła pustą broń na jedną z leżących na podłodze. Sprawdziła magazynek i komorę, po czym najwyraźniej usatysfakcjonowana odeszła miarowym krokiem.

- Idziesz? - rzuciła przez ramię.

85.

- Ktoś musi nam wskazać drogę - powiedział. Poruszali się szybko środkiem szerokiego korytarza.

- Chcesz wrócić i zapytać któregoś z tych oszołomów?

Obejrzał się. Grupa, którą wziął za oddział wewnętrznej milicji - w rzeczywistości byli to raczej strażnicy czy uzbrojeni robotnicy - zniknęła wewnątrz katedry. Nie chciał wiedzieć, co robią teraz.

- Ten hall na pewno gdzieś prowadzi - uznał.

Kiedy dotarli do końca pomieszczenia, zobaczyli tylko trzy przejścia, z których żadne nie wyglądało bardziej obiecująco niż kilometry tunelu, które jak dotąd przemierzali.

- Wybieraj - powiedziała Alicia, niecierpliwie postukując nowym pistoletem w udo.

Brady wkroczył do jednego z tuneli, jakby wiedział co robi.

Szli dwadzieścia minut, aż trafili do jednej z ośmiokątnych komnat, z którymi Brady tak dobrze się zaznajomił przy swoim pierwszym podejściu.

- No i świetnie - rzuciła Alicia pogodnie.

- Nie rób sobie nadziei.

Brady zrobił krok w stronę portalu i zatrzymał się. Z cienia wyłonił się wilk. Zwierzę podeszło do progu i przystanęło. Łeb trzymało nisko, a żółte ślepia wpatrywały się w mężczyznę spod szorstkich brwi. Z głębi jego gardła dobywał się głęboki warkot. Jedna warga drżała, ukazując solidne, ostre kły.

- Brady? - powiedziała Alicia łagodnym tonem.

- Wiem... Ja... - Wtedy zdał sobie sprawę, że ona nie patrzyła na to samo zwierzę. Wpatrywała się w innego wilka stojącego w progu dokładnie naprzeciw. Zaraz warkot dobiegł ich z jeszcze innej strony. Powoli spojrzeli w tamtym kierunku. Trzeci wilk, mniejszy od tamtych, ale o równie groźnym wyglądzie wybiegał właśnie z głębi tunelu. Pazury stukały o posadzkę.

Za trzecim zwierzęciem pojawił się wiking. Jego twarz była zupełnie pozbawiona emocji. Przyszedł tu w interesach.

Topór trzymał przy boku, pozwalając mu zwisać niemal do samej podłogi. Minął psa. Wziął zamach i złapał obuch drugą dłonią, trzymając go teraz w pozycji przez pierś.

Nagle psy zaczęły wściekle warczeć i ujadać, podskakując do przodu jakby rzucone samą siłą swojego gniewu.

- Co zrobiłaś? - wyszeptał Brady.

- Poruszyłam bronią o centymetr.

- No to nie rób tak więcej.

- Coś musimy zrobić.

- Nie zastrzelisz ich, zanim nas rozszarpia.

- Ale przynajmniej jego dostanę - powiedziała, patrząc z nienawiścią na wikinga.

Brady odwrócił się, stając twarzą w twarz z wrogiem. Warkot psów zmienił się w głośnie szczekanie.

- *Goð stelpa!* - rozkazał mężczyzna i psy ucichły.

- Olaf... - odezwał się Brady.

Bez odpowiedzi.

Próbował wymyślić coś, co można by mu powiedzieć, kiedy usłyszał Alicię.

- Luca Scaramuzzi nie żyje.

- Wiesz, że to prawda - potwierdził Brady. - Sam widziałeś.

- Powiedziałeś mi, że wierzysz, bo wierzą Strażnicy. Teraz oni już nie wierzą, Olaf.

Pozwolili nam odejść - ciągnęła Alicia.

- Znasz przepowiednie - powiedział Brady. - On powinien przeżyć, ale zmarł.

Jeden z psów zaskomlał, jakby znudziła mu się beczyność. Zwierzę stojące za Olafem przysunęło się bliżej, kręcąc się wokół nogi swego pana.

W tunelu za Bradym i Alicią rozległ się odgłos kroków. Wzrok wikinga powędrował w stronę czegoś ponad ich ramionami. Odwrócili się i zobaczyli grę światła na ścianie korytarza. Kilka sekund później w przejściu pojawił się człowiek, którego żelazne palce zatrzymały Brady'ego na lotnisku - Arjan Vos. W rękach trzymał sporej wielkości karabin.

Małymi, błyszczącymi oczami przyglądał się scenie. W kącikach jego ust chwiał się uśmiech. Podniósł zakrwawioną rękę i Brady zgadł, że Vos musiał zapewne badać ciało Scaramuzziego, może trzymał w dłoniach jego głowę.

- Olaf! - warknął Arjan. - Bierz ich! Oni zabili Luca... Zabili pana.

Olaf wpatrywał się w niego bez słowa

Arjan podniósł broń, celując w Alicię.

Olaf rzucił ostrą komendę. Psy odwróciły się pyskami do Arjana, a jego oczy rozszerzyły się.

- Co to ma być? - spytał Arjan, mówiąc jakby do psów. Rzucił okiem na Olafa i w

okamgnieniu odgadł jego zamiary. Skierował broń na brodatego dzikusa.

Najbliżej stojący pies wyskoczył w powietrze.

Pistolet wystrzelił, odłupując odłamek kamienia ze ściany obok Olafa.

Zwierzę zacisnęło szczęki na nadgarstku Arjana. Broń wypadła mu z ręki. Dopadły go pozostałe dwa psy. Jeden skoczył mu na klatkę piersiową, chcąc dosięgnąć gardła. Warcząc i skowycząc, drugi zatopił zęby w wolnym nadgarstku. Mężczyzna zatoczył się i upadł w głąb ciemnego tunelu. Jego wrzaski po chwili zmieniły się w bulgot... Potem zapadła cisza. Od ścian komnaty odbijało się tylko echo furii wygłodniałych wilków.

Alicia i Brady odwrócili się.

- Wystarczy - powiedział Brady.

Olaf zawołał psy:

- *Hattu flessu!*

Zwierzęta ucichły i wbiegły do pomieszczenia, oblizując zaróżowione pyski. Zapobiegliwie wróciły na pozycje wokół Brady'ego i Alicii.

Brady obserwował Olafa. Jego twarz wydawała się jakby marszczyć. Włosy na jego brodzie lekko się poruszyły. Zmarszczki wokół oczu stały się głębsze. W środku obracała się ruletka emocji. Brady dostrzegł konsternację, ciekawość, gniew. Ale uczucie, które na końcu zagościło na dobre na jego twarzy, zaskoczyło Brady'ego: był to głęboki żal. Przypomnił sobie te artykuły o osadzie zachodniej, które wyszperała Alicia. Wynikało z nich, że honor i prawość wiele znaczyły dla tego ludu. Przyszło mu do głowy, że wiking nie tyle rozpacza po stracie zbawiciela, ile z powodu tego, czego się dopuścił w służbie uzurpatora.

- Przykro mi - powiedział Brady.

Wiking długo im się przyglądał. W końcu podniósł topór ponad swoim ramieniem i wsunął go do pochwy na plecach.

Rzucił jakiś rozkaz i psy podbiegły do niego, ustawiając się tuż za jego nogami.

- Czego potrzebujecie? - zapytał.

- Nie wiemy, jak stąd wyjść - odpowiedziała Alicia.

Skinął głową. Wydał z siebie dźwięk podobny do kasznięcia i psy wbiegły do tunelu za nim. Skinął lekko głową, dając Brady'emu i Alicii znak, że mają iść za nim. Odwrócił się i zniknął.

Alicia nachyliła się do Brady'ego.

- To jest zabójca Pelletier - powiedziała, zaciskając szczękę.

- Myślę, że posłałaś kulkę w głowę zabójcy Pelletier.

- Ale, Brady...

- Wiking był tylko narzędziem.

- Mogłabym go... - Podniosła pistolet, celując w głąb tunelu.

Spojrzeni na siebie i Alicia westchnęła głęboko.

- Pewnie nigdy byśmy stąd nie wyszli, gdybym to zrobiła.

- Pewnie nie.

Kucnęła i położyła broń na podłodze.

Wyciągnął do niej rękę, a ona podała mu swoją.

Wiking trzymał spory dystans. Kiedy przyspieszyli, on również zaczął iść szybciej. Kiedy było to konieczne, przystawał, żeby widzieli, gdzie skręca. Psy krążyły wokół jego nóg jak duchy.

- Nie wyszlibyśmy stąd za żadne skarby świata - odezwała się Alicia po jakichś piętnastu minutach. - Nie ma szans.

Jakiś tuzin zakrętów później zorientowali się, że wiking zniknął. Szli dalej prosto, aż dotarli do kładki wiodącej do drzwi piwnicy.

Kiedy wyszli przez drzwi zewnętrzne, ich twarze omiótł wiatr. Księżyc był w pełni, wysoko na niebie.

Trzymając się za ręce, wchodzili po podjeździe. Na górze skręcili w stronę drzew i razem osunęli się na trawę.

- Nie powinienem się cieszyć - powiedział Brady. - Ale jestem niewiarygodnie szczęśliwy i nie mam pojęcia dlaczego.

- Ja wiem dlaczego - odparła. - Bo żyjesz.

Pocałowała go.

I stało się coś zadziwiającego: odwzajemnił pocałunek.

Epilog

Dwa tygodnie później

Zach i Brady stali obok siebie przy grobie Karen. Podmuchy wiatru rozwiewały im włosy, a przyniesione kwiaty kołysały się, jakby machając do nich z kamiennego wazonu wmurowanego w nagrobek. Zach otoczył ojca ramionami. Mocno go uściskał, przypominając Brady'emu, że połamane zębra wciąż się nie zagoiły. Podobnie jak siniaki, zerwane wiązadła i przecięcia na skórze. Wydawało się, że bandaże nigdy nie znikną z jego lewej dłoni. Ale mógł pogłodzić prawą ręką włosy syna, więc teraz to zrobił.

Zach spojrzał na niego.

- Myślisz, że jest szczęśliwa? - spytał.

- Bardzo. Wszyscy są szczęśliwi w niebie. Tam nikt nie płacze.

Zawrócili i zeszli po trawiastym wzgórzu do samochodu. Alicia stała oparta o zderzak highlandera. W oczach Brady'ego wyglądała wspaniale: nogi skrzyżowała w kostkach, włosy tańczyły na wietrze, na ustach i w oczach gościł uśmiech. Zach podbiegł do niej.

- Kto pierwszy na górze? - zaproponował.

- Och... Chyba musimy to odłożyć. Moje biedne, stare kości jeszcze nie doszły do siebie.

- Nie potrzebujesz ręki, żeby biegać - Zach nie dawał za wygraną.

Dotknęła swojego przedramienia zwieszzonego na temblaku.

- Ręka... - zaczęła, potem wskazała na nogę, gdzie nosiła opatrunek na ranie odniesionej podczas wspinania się do okna na czterdziestym dziewiątym piętrze. - Noga... Twarz... - Dotknęła policzka palcem. Sine przebarwienie zmieniało kolor na żółty. - Na blizny wygrałabym nawet z gladiatorem.

- Ale przynajmniej nie wybili ci zęba! - zawołał Zach.

Brady uśmiechnął się szeroko, ukazując przerwę, gdzie kiedyś był ząb wampira.

Alicia pokręciła głową.

- Jak sobie radzisz z jedzeniem?

- Przyjmuję tylko płyny - odparł Brady. - Słomka akurat mieści się w wyrwie.

- Bardzo śmieszne - powiedziała. - Czy nie widziałam cię przypadkiem ostatnio, jak

zajadałeś stek?

- Dobra, patrzcie - odezwał się Zach znudzony rozmową i puścił się biegiem po wzniesieniu.

Brady przysunął się bliżej.

- Mam coś dla ciebie.

- Naprawdę? Uwielbiam prezenty.

Sięgnął do kieszeni spodni, wyjął coś i podał jej.

- Pióro? - zdziwiła się.

- Pióro łabędzia... Białe pióro.

Roześmiała się i przyjęła je jakby było różą. Obracała je w palcach.

- Biuro pewnie tego nie przyzna, ale zasłużyłaś na nie... Do twojej czapki.

- Tobie też się takie należy.

- Tego nie wiem. - Utkwił wzrok w swoich butach. - Nie potrafiłem pociągnąć za ten spust.

- Brady. - Chwyliła go za ramiona. - Już ci to kiedyś mówiłam. Takie rzeczy to moja działka, nie twoja. Ja nie potrafiłabym wniknąć w umysł zabójcy nawet przy pomocy piły.

To właśnie była Alicia. Uśmiechnął się i oparł o samochód obok niej. Zach właśnie wbiegł na wzgórze i teraz pędził z powrotem w dół.

- Jeśli przywrócą Gilbreatha na stanowisko, to chyba będę musiał znaleźć sobie inną posadę - powiedział Brady.

On, Alicia i Gilbreath zostali wysłani na przymusowy urlop do czasu wyjaśnienia sprawy.

- Nie zwolnią go - uznała. - Za mało dowodów. Ale słyszałam, że mają go zrobić zastępcą dyrektora w jakimś odległym zakątku kraju.

- To degradacja - zauważył Brady.

- Ale sprawią, że będzie wyglądała na awans. On będzie wiedział, że nawalił, ale wszyscy zachowają twarz.

- A szkoda.

Zach zahamował z poślizgiem i zatrzymał się tuż przed nimi. Padł na trawę, odrzucił głowę w tył i dyszał z wysiłku.

- Rekord trasy - oceniła Alicia. - Teraz chodźmy coś zjeść. Umieram z głodu. - Otworzyła drzwi od strony pasażera, wsiadła i zatrzasnęła. Zza przyciemnianej szyby pokazała Zachowi język.

Zach nie pozostał jej dłużny. Złapał wyciągniętą dłoń Brady'ego, stanął na nogi i

przysunął się blisko do ojca.

- Lubię ją - powiedział.

- Nie przestajesz tego powtarzać - odparł Brady. - Ja też ją lubię. Zdradzić ci tajemnicę?

Zach natychmiast pokiwał głową.

Brady rozejrzał się i nachylił do ucha chłopca.

- Ona lubi Olive Garden prawie tak bardzo jak ty.

- Aaaaaa!

Brady klepnął syna w siedzenie.

- Ładuj się do samochodu!

Zach posłuchał, a Brady spojrział na nich z uśmiechem, zanim okrążył wóz i wsiadł za kierownicę.

Podziękowania

Dłuższa powieść nigdy nie jest wyłącznie kreacją autora, ale rodzi się z każdego, kto podzielał tę wizję i niósł jej brzemień. Jestem dozgonnie wdzięczny swojej rodzinie, która znosiła moje obsesyjne i maniackalne zachowania - moim synom Mattowi i Anthony'emu, mojej córce Melanie i przede wszystkim mojej żonie Jodi. Moja matka, Mae Gannon, dawała mi zachętę na długo zanim sam wiedziałem, dokąd zaprowadzi mnie moja pasja czytania i pisania. Mój ojciec, Tony Liparulo, dopingował mnie łagodnie i mądrze. Przyjaciele dodawali mi odwagi na wiele sposobów, z których nie zdają sobie sprawy - w szczególności Mark Olsen, John Fornof, Mark Nelson, Jay McGuire, Bob Seeds, Tim Casey, Evangeline Edwards, Connie i Dwight Cenac, Jan Dennis i Cheri Flores. Jestem wdzięczny wyśmienitemu autorowi powieści sensacyjnych Davidowi Morrelowi za rozrywkę i wiedzę, jakiej dostarczyły mi jego powieści, a także za osobistą zachętę i radę.

Chciałbym wyrazić również głęboką wdzięczność zespołowi WestBow, zwłaszcza Allenowi Arnoldowi, Amandzie Bostic, Caroline Craddock, Jennifer Deshler, Rebecce Seitz, Scottowi Harrisowi i Jenny Baumgarten, najlepszej redaktorce, jaką mogłem sobie wymarzyć. Dziękuję również Patowi LoBrutto i L.B. Norton za ich bezcenne rady. A także Joelowi Gotlerowi, przyjacielowi, wizjonerowi i nadzwyczajnemu agentowi. „Bez kunsztu [rządzenia] naród upada, wybawienie - przy wielu doradcach” [Prz 11,14].